

John Dos Passos

42 równoleżnik

(The 42nd Paralel)

tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki

USA

Młody człowiek kroczy szybko, sam jeden w rzednącym wieczornym tłumie; nogi bolą go od wielogodzinnego chodzenia; oczy wypatrują zarysu życzliwej twarzy, błysku zrozumienia w oczach, skinienia głowy, wzniesionej ręki, dłoni wyciągniętej do uścisku; krew w żyłach kipi nie zaspokojonymi pragnieniami; w głowie roi się jak w ulu od bzyjących, kąśliwych nadziei, mięśnie się prężą do trudu nie znanych zawodów, do ciężaru kilofa i łopaty w rękach drogowca, do sprawności rybaka wciągającego oślizgły włok przez burtę chwiejnego trawlera, do szerokich ruchów robotnika zakładającego rozgrzane do białości nity na moście, do pewności dłoni mechanika spoczywającej na zaworze, do napięcia wszystkich mięśni farmera, który pokrzykując na muły wyciąga pług z bruzdy. Młody człowiek kroczy sam jeden, wypatruje spragnionymi oczami, nasłuchuje spragnionymi uszami, sam jeden w tłumie.

Ulice opustoszały. Ludzie wtoczyli się do metra, wsiedli do tramwajów i autobusów, rozbiegli się na stacjach do pociągów podmiejskich; zniknęli w kamienicach czynszowych, wjechali windami do apartamentów. Za witryną dwu bladych dekoratorów bez marynarek ustawia manekina w czerwonej sukni, na rogu dwu spawaczy z osłoniętymi twarzami pochylonymi nad niebieskim językiem płomienia reperuje tory tramwajowe, paru pijaków zatacza się po trotuarze, smutna ulicznica spaceruje nerwowo pod łukową latarnią. Od rzeki dochodzi głuchy ryk syreny odpływającego parowca. Gdzieś w oddali buczy holownik.

Młody człowiek kroczy sam jeden, szybko, lecz nie dość szybko, daleko, lecz nie dość daleko (twarze nikną z oczu, rozmowy rwą się na potargane strzępy, kroki cichną w zaułkach); spieszy się, by złapać ostatnie metro, tramwaj, autobus, wbiec po trapach na wszystkie parowce, zameldować się we wszystkich hotelach, pracować we wszystkich miastach, odpowiedzieć na wszystkie anonsy, nauczyć się wszystkich zawodów, objąć wszystkie posady, zamieszkać we wszystkich domach, spać we wszystkich łóżkach. Jedno łóżko to za mało, jedna posada to za mało, jedno życie to za mało. Więc kroczy nocą, sam jeden, z głową wirującą od pragnień.

Bez pracy, bez kobiety, bez domu, bez miasta.

Tylko uszy nasłuchujące mowy ludzkiej chronią go przed samotnością; baczne uszy, przykuwane silnym ogniwem frazy, niespodziewaną puentą dowcipu, blaknącym recytatywem opowieści, szorstką kadencją zdania. Zespalająca więź mowy wije się przez kwartały miast, rozpościera po brukach, sunie szerokimi ocienionymi alejami, pędzi za ciężarówkami wyruszającymi w dalekie nocne kursy po ruchliwych szosach, szeleści na piaszczystych drogach polnych koło wyjałowionych farm, łącząc miasta i stacje benzynowe, parowozownie, statki, aeroplany zagubione na powietrznych szlakach; słowa rozlegają się na górskich pastwiskach i spływają z nurtem rzek, coraz szerszych w miarę zbliżania się do morza i milczących plaż.

To nie długie nocne wędrówki w potracającym się tłumie kołły nieco jego samotność, nie

przeszkolenie wojskowe w Allentown, nie dni spędzone w dokach Seattle, nie gorące letnie noce dzieciństwa w wyludnionym dusznym Waszyngtonie, nie posiłki na Market Street, nie kąpiel koło czerwonych skał w San Diego, nie zapchlone łóżko w Nowym Orleanie, nie zimny tnący jak brzytwa wiatr od jeziora, nie szare twarze wstrząsane dudnieniem ciężarówek w tunelu pod Michigan Avenue, nie wagony dla palących w ekspresach z miejscówkami, nie piesze włości po kraju, nie przejażdżki suchymi górskimi kanionami, nie noc bez śpiwora wśród zamarzniętych tropów niedźwiedzi w Parku Yellowstone, nie niedzielne wycieczki łodzią po Quinipiacu; lecz słowa matki opowiadającej co było dawnodawnotemu, wspomnienia ojca jak byłem chłopcem, prześmiewki wujów, kłamstwa chłopców w szkole, gadki parobka, naciągane historyjki żołnierzy snute po capstrzyku; to mowa ludzka jest tym, co pozostaje w uchu, wspólnotą, która pulsuje we krwi; USA

USA to szmat kontynentu. USA to grupa towarzystw akcyjnych, kilka centrali związków zawodowych, zbiór praw w cielej skórce, sieć radiostacji i kinematografów, kolumna notowań giełdowych wypisywanych na tablicy i ścieranych przez urzędnika towarzystwa telegraficznego Western Union, czytelnia publiczna pełna starych gazet i podręczników historii z pozaginanymi kartkami i protestami nagryzmołonymi ołówkiem na marginesach. USA to litery na końcu adresu, kiedy wyjeżdżasz z kraju. USA to największe zlewisko wodne świata, zamknięte łańcuchami gór i wzgórz. USA to garstka wyszczekanych urzędników z nadmiarem kont bankowych. USA to legion żołnierzy pochowanych w mundurach na cmentarzu w Arlingtonie. USA to litery na końcu adresu, kiedy wyjeżdżasz z kraju. Lecz USA to przede wszystkim mowa narodu.

KRONIKA I

Dumni to byli ojczyzny synowie,
Pod górę do szturm szli –
Gdzie na nich czekali, do strzału gotowi
Insurrectos¹ żądni krwi

STULECIE STOLICY DOBIEGŁO KOŃCA

Wszystkie oczy przyciągał generał Miles² w paradnym mundurze, na ognistym rumaku, tym bardziej że wierzchowiec zachowywał się nadzwyczaj niespokojnie. Akurat minęła głównodowodzącego orkiestra, kiedy koń stanął dęba, w pozycji prawie pionowej. Generał Miles momentalnie ściągnął cugle i wbił przerażonemu zwierzęciu ostrogi, lecz koń, ku przerażeniu widzów, przewrócił się do tyłu, przygniatając generała. Ku powszechnej radości generał Miles nie doznał jednak szwanku, jakkolwiek jego koń ma z boku zdarty pokaźny płat skóry. Pył uliczny pokrył prawie cały płaszcz generała, a pomiędzy łopatkami powstała dziura około cala średnicy. Nie czekając, żeby go ktoś otrzepał, generał Miles dosiadł z powrotem konia i przyjmował dalej defiladę, jak gdyby takie wypadki były rzeczą codzienną.

Incydent przyciągnął oczywiście zainteresowanie tłumu, a to zwróciło uwagę na fakt, że głównodowodzący nigdy nie omieszka odkryć głowy przed sztandarem i pozostaje tak, dopóki poczet go nie minie.

Kompania B, a na jej przedzie
Kapitan kroczy jak chwyt,
Do boju śmiało chłopców wiedzie,
Z kulami za pan brat

WŁADZE NIE WIEDZĄ O SIEDLISKU ZGORSZENIA

Inspektorzy sanitarni kierują wody rzeki Chicago do podziemnego kanału JEZIORO MICHIGAN PODAJE DŁOŃ OJCU WÓD³. Konkurs śpiewu dla kanarków zorganizowany

¹ Insurrectos (hiszp.) -powstańcy.

² Generał Nelson Appleton Miles (1839-1925) był głównodowodzącym armii amerykańskiej od roku 1895 do 1903, kiedy to przeszedł w stan spoczynku. Podczas wojny secesyjnej walczył po stronie Unii na czele kompanii ochotników. W latach 1874-1891 zasłynął jako błyskotliwy i okrutny dowódca w kampaniach przeciwko Indianom Zachodu. W 1894 stał na czele oddziałów wysłanych do Chicago w celu stłumienia strajku w zakładach Pullmana. W 1898, podczas wojny z Hiszpanią, dowodził oddziałami, które zdobyły Portoryko. W 1902 dokonał inspekcji anektowanych w wyniku tejże wojny Filipin i w swoim raporcie napiętnował złe traktowanie przez wojska Stanów Zjednoczonych wziętych do niewoli powstańców filipińskich.

³ Ojciec wód - to oczywiście rzeka Missisipi, a okazją do napuszonego nagłówka gazetowego było otwarcie w roku 1900 budowanego od 1885 Chicagowskiego Kanału Sanitarnego i Żeglugowego (Chicago Sanitary and Ship Canal), którego pierwotnym zadaniem było odwrócenie biegu rzeki Chicago tak, by ścieki miejskie nie zanieczyszczały jeziora Michigan. Kanał, który ma długość 48 kilometrów, najmniejszą szerokość 50 metrów, głębokość 2,7 metra i dwie śluzy, a którego konstrukcja stanowiła wówczas największe przedsięwzięcie budownictwa ziemnego na kontynencie amerykańskim, doprowadził nurt rzeki Chicago do rzeki Des Plaines pod miastem Joliet w stanie Illinois, skąd za pośrednictwem istniejącego od 1848 kanału Illinois-Michigan i rzeki Illinois wiodła droga wodna do Missisipi. Zmodernizowany w 1933, ten szlak wodny umożliwia dziś kursowanie

staraniem niemieckiego Zuchtervereinu⁴ walka o utrzymanie bimetalizmu w stosunku 16 do 1 nie została jeszcze przegrana, twierdzi Bryan⁵.

KŁĘSKA BRYTYJCZYKÓW POD MAFEKINGIEM⁶

Niejeden dobry żołnierz poległ na Luzonie

ROŚCI SOBIE PRAWO DO WYSPY PO WIECZNE CZASY

Klub im. Hamiltona Wysłuchał Mowy Ekskongresmana Poseya⁷ z Indiany

WRZAWA WITA NOWE STULECIE

ROBOTNICY WITAJĄ NOWE STULECIE KOŚCIOŁY WITAJĄ NOWE STULECIE

Prezydent McKinley⁸ pochłonięty pracą w swoim gabinecie, gdy rozpoczynał się nowy rok.

NARÓD WITA ŚWIT NOWEGO STULECIA

Odpowiadając na toast „Wiwat, kraju Kolumba!” na bankiecie Klubu Kolumbijskiego w Indianapolis w stanie Indiana eksprezydent Benjamin Harrison⁹ oświadczył między innymi: „Nie mam nic przeciwko ekspansji terytorialnej; nie uważam jednak, tak jak niektórzy, ekspansji

nawet dużych statków między jeziorem Michigan i pozostałymi Wielkimi Jeziorami a Morzem Karaibskim.

⁴ Zuchterverein (niem.) - związek hodowców.

⁵ William Jennings Bryan (1860-1925), najwybitniejszy przedstawiciel lewego skrzydła Partii Demokratycznej na przełomie stuleci, jest bohaterem biograficznego rozdziału „Młody krasomówca znad rzeki Platte”. Trzykrotny kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta, przegrał wybory na rzecz kandydatów republikańskich, Williama McKinleya w roku 1896 i 1900 oraz Williama Tafta w 1908. Do istotnych punktów jego programu politycznego należało utrzymanie bimetalizmu, czyli oparcia waluty na podwójnym parytecie złota i srebra, oraz nieograniczonego bicia monet srebrnych, w czym upatrywał panaceum na złą sytuację materialną farmerów i ludzi pracy w ogóle. Bimetalizm został w Stanach ograniczony ustawodawstwem lat siedemdziesiątych XIX stulecia i ostatecznie zniesiony w 1900 tzw. Aktem Standardu Złota (Gold Standard Act), do kontrowersji wokół którego odnosi się cytowana wypowiedź Bryana. Na zjeździe przed wyborami 1912 roku, głównie dzięki poparciu właśnie Bryana, nominację Partii Demokratycznej otrzymał Woodrow Wilson, który, zostawszy prezydentem, mianował go sekretarzem stanu. Bryan, konsekwentny pacyfista, ustąpił z tego stanowiska 9 czerwca 1915 w proteście przeciw drugiej nocy Wilsona do Niemiec w sprawie zatopienia pasażerskiej *Lusitania*, słusznie przewidując, że ostry ton noty, grożący zerwaniem stosunków dyplomatycznych, musi w konsekwencji wciągnąć Stany Zjednoczone w wojnę. W późniejszych latach Bryan odegrał kluczową rolę w uchwaleniu dwu poprawek do konstytucji: przyznającej prawa wyborcze kobietom oraz wprowadzającej prohibicję.

⁶ Mafeking - to miasto w Południowej Afryce, w tym czasie stolica kraju Betswana; podczas tzw. wojny burskiej Anglicy bronili się tutaj od października 1899 do maja roku następnego przeciwko przeważającym początkowo siłom Burów. Burowie (inaczej: Afrykanerzy), osadnicy pochodzenia holenderskiego, utworzyli w wieku XVII i XVIII w północnej części dzisiejszej Południowej Afryki republiki Natal, Oranie i Traswal, o których niezależność walczyli w latach 1899-1902 z napierającymi z południa osadnikami angielskimi.

⁷ Prawnik Francis Blackburn Posey (1848-1915) był działaczem Partii Republikańskiej, z której ramienia ubiegał się w 1888 bez powodzenia o mandat na pięćdziesiątą pierwszą kadencję Kongresu. Wszedł do Kongresu na niespełna dwa miesiące (styczeń-marzec 1889) kończącej się poprzedniej pięćdziesiątej kadencji na miejsce kongresmana z Indiany, Alvina Hoveya, który zrezygnował z mandatu. Alexander Hamilton (1755-1804), którego imię nosił klub, gdzie Posey wygłosił mowę na powitanie nowego stulecia, to jeden z tzw. Ojców Założycieli Stanów Zjednoczonych, współautor ich konstytucji, a następnie sekretarz skarbu w pierwszym rządzie George'a Washingtona.

⁸ William McKinley (1843-1901) był prezydentem Stanów Zjednoczonych z ramienia Partii Republikańskiej w latach 1897-1901. W wyborach prezydenckich 1896 i 1900 roku wygrał dwukrotnie z kandydatem Partii Republikańskiej, Williamem Jenningsem Bryanem. W przeciwieństwie do niego był zwolennikiem parytetu złota, który przymusił w 1900 roku, oraz popierał wielki biznes, co się prawdopodobnie przyczyniło do wyprowadzenia Stanów Zjednoczonych z fali kryzysów, które je nawiedzały pod koniec XIX wieku. W 1898 roku poparł zbrojnie powstanie Kubańczyków przeciwko panowaniu hiszpańskiemu, co doprowadziło do trzymiesięcznej zwycięskiej wojny z Hiszpanią, w której wyniku Stany weszły w posiadanie Portoryko i Filipin (do walk o te ostatnie odnosi się piosenka przewijająca się przez Kronikę I). 6 września 1901, w pierwszym roku swojej drugiej kadencji, został postrzelony w brzuch podczas bankietu z okazji Wystawy Panamerykańskiej w Buffalo i po ośmiu dniach zmarł. Zamachowcem był fanatyczny anarchista Leon Czolgosz, stracony kilka miesięcy później. Jest o tym wzmianka w Kronice III.

⁹ Benjamin Harrison (1833-1901) był prezydentem Stanów Zjednoczonych z ramienia Partii Republikańskiej w latach 1889-1893. Zapisał się głównie zmodyfikowaniem tzw. doktryny Monroe (sformułowanej przez prezydenta Jamesa Monroe w 1823 roku, a głoszącej, że obie Ameryki są sferą wpływów Stanów Zjednoczonych i mocarstwa europejskie nie mają prawa do mieszania się w ich sprawy), zmodyfikowaniem jej w sposób, który w konsekwencji przyczynił się do przełamania tradycyjnego amerykańskiego izolacjonizmu i dał początek amerykańskiej ekspansji terytorialnej i handlowej.

terytorialnej za najbezpieczniejszą i najbardziej pożądaną drogę rozwoju narodowego. Dzięki korzyściom, jakie ciągniemy z obfitych i tanich złóż węgla i żelaza, z olbrzymiej nadprodukcji środków spożywczych oraz z wynalazków i oszczędności w produkcji, bijemy obecnie na głowę najstarsze i największe mocarstwa kolonialne”.

Panny z Towarzystwa Oburzone: Tańczyły z Detektywami

Niejeden dobry żołnierz poległ na Luzome

i Mindanao

GIRLASKI OBLĘŻONE PRZEZ TŁUM W NEW JERSEY

Jedna z litografii przedstawia sławną aktorkę siedzącą na rozgrzanym do czerwoności piecu, w stroju bardziej kusym od kostiumów kąpielowych, jakie widuje się obecnie w Atlantic City; z piniącym się kielichem w jednej ręce, drugą ściągą aktorka wstążki stanowiące uprząż pary rozbrykanych homarów.

Niejeden dobry żołnierz poległ na Luzonie

i Mindanao, i na Samarze

W odpowiedzi na toast „Za wiek dwudziesty” senator Albert J. Beveridge¹⁰ stwierdził między innymi: „Wiek dwudziesty będzie należał do Amerykanów. Zapanuje w nim myśl amerykańska. Amerykański postęp nada mu barwę i kierunek. Rozsławią go czyny Amerykanów.

Cywilizacja nigdy nie utraci gruntu w Szanghaju. Cywilizacja nie wycofa się nigdy z Hongkongu. Bramy Pekinu nie zamkną się już więcej przed metodami współczesnego człowieka. Odrodzenie świata, zarówno fizyczne jak moralne, już się rozpoczęło, a rewolucja nigdy się nie cofa”.

Niejeden dobry żołnierz padł na Filipinach,

Na wieki w ciemnym grobie śpi

¹⁰ Albert Jeremiah Beveridge (1862-1927) został wybrany republikańskim senatorem z Indiany w 1899 roku i piastował tę godność do 1911. Był znanym mówcą i propagatorem aspiracji imperialnych Stanów Zjednoczonych. W późniejszych latach stał się jednym z najaktywniejszych popleczników polityki prezydenta Theodore’a Roosevelta.

OKO KAMERY (1) ¹¹

idąc ulicą trzeba stąpać ostrożnie zawsze na kamienie, żeby nie nadepnąć na blade trwożne źdźbła traw łatwiej kiedy trzymasz Mamusię za rękę kiedy się uwieszisz bo możesz wyrzucać wysoko nogi a idąc szybko depczesz tyle trawek i biedne zgniecione zielone źdźbła kurczą się pod twoimi butami może dlatego ci ludzie są tacy gniewni idą za nami wygrażają rzucają kamienie dorośli ludzie rzucają kamienie Mamusia idzie szybko zaczyna biec jej spiczaste pantofle wbijają się między biedne stratowane źdźbła traw podskakują plisy grubej brązowej spódnicy Englander kamień stukocze po bruku

Szybko kochanie szybko do tego sklepu z pocztówkami tu spokojnie ci źli ludzie zostali na ulicy nie wejdą do środka non nem nicht Englander amenkanisch Americam Hoch Amenka Vive l'Amenque Mamusia śmieje się Kochana pani ale mi napędzili strachu

wojna w buszu Kruger¹² Bloemfontein Ladysmith¹³ i królowa Wiktoria starsza pani w spiczastym koronkowym czepku posłała żołnierzom na gwiazdkę czekoladę

pod kontuarem jest ciemno i ta pani ta miła Holenderka która lubi Amerykanów i ma krewnych w Trenton pokazuje widokówki które błyszczą w półmroku piękne hotele i zamki O que c'est beau schon ładne ładne i księżyc marszczy się marszczy pod mostem i te małe reverberes¹⁴ świecą w mroku pod kontuarem i te małe okienka hotelów dookoła portu O que c'est beau la lune¹⁵

i księżyc w pełni

¹¹ Oko kamery (1) odnosi się do jednego z najwcześniejszych wspomnień Dos Passosa, gdy podczas wojny burskiej zostali we dwoje z matką wzięci w Brukseli za Anglików i musieli uciekać przed wzburzonym tłumem.

¹² S.J.P. Kruger (1825-1904) był od 1883 roku prezydentem niezależnej burskiej Republiki Południowej Afryki; w okresie poprzedzającym wojnę jego nazwisko stało się symbolem walki Burów o zachowanie niezawisłości od Wielkiej Brytanii.

¹³ Bloemfontein i Ladysmith to miasta w Południowej Afryce, o które toczyły się walki w latach 1899-1900.

¹⁴ Reverberes (fr.) - latarnie.

¹⁵ O que c'est... (fr.) -jaki piękny ten księżyc.

MAC

Kiedy wiatr wiał od strony fabryki sreber za rzeką, w szarym drewnianym domu czterorodzinnym, gdzie Fainy McCreary przyszedł na świat, od rana do wieczora dławił zapach tranu wielorybiego, na którym robiono mydło. W pozostałe dni pachniało kapustą, pieluszkami i praniem matki. Fainy nigdy nie mógł bawić się w domu, bo ojciec, kulawy mężczyzna o zapadłej piersi i rzadkich siwoblond włosach, był nocnym stróżem w fabryce Chadwicka i cały dzień spał. Dopiero koło piątej przez drzwi pokoju zaczynała przeciskać się do kuchni spiralna smużka dymu tytoniowego. Był to znak, że ojciec wstał, że jest w dobrym humorze i że zaraz będzie chciał kolację.

Wówczas matka kazała Fainy'emu biec na jeden z dwu rogów krótkiej błotnistej uliczki, zabudowanej identycznymi drewnianymi domkami.

Na prawo, nie dochodząc do rogu, był szynk Finleya, gdzie Fainy długo czekał przed szynkwasem, w lesie zabłoconych nogawek, dopóki piwo i whisky nie zatkały na chwilę cuchnących krzykliwych gardzieli dorosłych nad jego głową. Potem wracał do domu, ostrożnie stąpając krok za krokiem, a rączka bańki kipiącej pianą wrzynała mu się w palec.

Na lewo, nie dochodząc do rogu, był sklep Maginniego, Artykuły Spożywcze Krajowe i Kolonialne. Fainy lubił tekturowego Murzyna na wystawie reklamującego kaszę mannę, szklaną gablotę z różnymi gatunkami wędlin, beczki kartofli i kapusty, brunatny zapach melasy, trocin, imbiru, wędzonych śledzi, szynki, octu, chleba, pieprzu, smalcu.

- Bochenek chleba, pszepana, pół funta masła i paczkę ciasteczek imbirowych - mówił.

Czasami wieczorem, kiedy matka czuła się kiepsko, musiał wyprawiać się dalej. Minąwszy sklep Maginniego skręcał w Riverside Avenue, które kursowały tramwaje, i po czerwonym moście przechodził na drugą stronę rzeczki, która płynęła w dole, czarna pomiędzy oblodzonymi podmytymi zaspami zimą, żółta i spieniona podczas wiosennych roztopów, brunatna i tłusta latem. Za rzeką, aż po róg Main Street, gdzie mieściła się apteka, Riverside Avenue zamieszkiwały Pepiczki i Polaczki. Ich dzieciaki wiodły nieustanną wojnę z dzieciakami Murphych, O'Harów i O'Tlanaganów mieszkających na Orchard Street.

Fainy szedł na uginających się nogach, przez rękawice ścisnął z całych sił butelkę z lekarstwem zapakowaną w biały papier. Na rogu Quince Street stoi banda chłopaków, musi ich minąć. Minąć to jeszcze nietrudno; dopiero jak się oddali o jakieś dwadzieścia jardów, koło uszu zaczną mu gwizdać śnieżne piguły. Ale nie ma wyjścia. Jeśli zacznie uciekać, będą gonili. Jeśli upuści lekarstwo, dostanie w domu lanie. Miękką kulą pacnęła go w tył głowy i topniejący śnieg jął ściekać po szyi. Kiedy znalazł się w pół drogi do mostu, mógł już ryzykować i brać nogi za pas.

- Zmyka jak królik! Dziad irlandzki! Murphy na krzywych nogach! Te, leć się poskarżyć

mamusi - wrzeszczały Polaki i Pepiczki między jedną śnieżną kulą a drugą. Żeby kule były twardsze, polewali je wodą i zostawiali na noc na dworze. Jak trafiła taka obmarznięta piguła, to rozcinała skórę do krwi.

Jedynym bezpiecznym miejscem do zabawy było podwórko za domem. Miał tam walące się parkany, powyginane kubły na śmieci, stare garnki i patelnie zbyt przypominające sita, żeby nadawały się do reperacji, pusty kurnik, gdzie jeszcze wałało się pierze i odchody, latem zielsko, zimą błoto; ale prawdziwą chlubę podwórka McCrearych stanowiła klatka, w której Tony Harriman trzymał belgijskie króliki. Tony Harriman był suchotnikiem i mieszkał z matką na parterze po lewej. Mówił, że kiedyś będzie hodował jeszcze inne małe zwierzątka, szopy, wydry, może nawet srebrne lisy; zrobi na nich majątek. Kiedy umarł, nigdzie nie można było znaleźć klucza od wielkiej kłódki na drzwiczkach klatki. Przez kilka dni Fainy karmił króliki wciskając liście kapusty i sałaty w ciasne oczka podwójnej siatki. Ale potem nastął tydzień deszczu i śniegu i Fainy nie wychodził z domu. Kiedy pierwszego pogodnego dnia poszedł zajrzeć do królików, jeden już zdechł. Fainy zbladł jak ściana; próbował wmówić sobie, że zwierzątko tylko śpi, ale leżało sztywne i niezdarne, wcale nie uśpione. Reszta królików, zbita w kącie, rozglądała się z drgającymi noskami i bezradnie oklapniętymi wielkimi uszami. Biedne króle; Fainy'emu zbierało się na płacz. Pobiegł pędem na górę, dał nura pod deskę do prasowania, z szuflady kuchennego stołu wyciągnął młotek. Za pierwszą próbą rąbnął się w palec, ale za drugą udało mu się rozbić kłódkę. W klatce panował dziwny, kwaśny zapach. Podniósł zdechłego króla za uszy. Miękki biały brzusek zaczął się już wzdymać, jedno otwarte oko patrzyło przeraźliwie martwo. Coś nagle ścisnęło go za gardło, wrzucił króla do pierwszego z brzegu kubła i pognął na górę. Wstrząsany lodowym dreszczem wyszedł na palcach na kuchenną werandę i spojrzał w dół. Z zapartym tchem obserwował pozostałe króliki. Ostrożnymi susami zbliżały się do drzwiczek klatki, jeden już wyszedł na podwórko. Matka zawołała z kuchni, żeby podał duszę z pieca. Kiedy wrócił na werandę, królików już nie było.

Tej zimy w fabryce Chadwicka wybuchł strajk i ojciec został bez pracy. Przesiadywał po całych dniach w pokoju, paląc i wyrzekając:

Rany boskie, jestem silny chłop, jeszcze bym złoł skórę każdemu jednemu z tych cholernych Polaków, nawet z tą kulą przywiązaną do tyłka. Takżem powiedział temu Barry'emu; i ani mi w głowie żadne strajki. Panie Barry, powiadam, jestem spokojny człowiek i z olejem w głowie, a do tego trochę kaleka i żonę mam, bachory na karku. Osiem lat byłem stróżem nocnym i teraz mnie wylewacie, ściągacie łamignatów z jakiejś agencji. Sukinsyn niemyty z nosem jak kartofel.

Strajku im się zachciało, przybłędom zawszonym - potwierdzał każdy, żeby go pocieszyć.

Strajk nie był popularny na Orchard Street. Przez niego matka musiała harować coraz ciężej i

ciężej, prac coraz większe i większe balie brudów, a Fainy i jego starsza siostra Milly po powrocie ze szkoły musieli jej pomagać. Aż któregoś dnia matka zachorowała i zamiast wziąć się do prasowania musiała wracać do łóżka. Leżała z tą swoją okrągłą, bladą, pobrużdżoną twarzą bielszą od poduszki i z pomarszczonymi od prania rękami splecionymi pod brodą. Przyszedł doktor i pielęgniarka dzielnicowa i wszystkie trzy izby mieszkania przesiąkły zapachem doktorów, pielęgniarek i lekarstw, a jedynym miejscem, gdzie Fainy i Milly mogli siedzieć, były schody. Więc siedzieli i chlipali cichutko we dwoje. Potem twarz matki skuliła się na poduszce w coś tak małego, skurczonego i białego jak zgnieciona chusteczka do nosa; powiedzieli, że matka nie żyje, i zabrali ją z domu.

Wyprawienie odbyło się z zakładu pogrzebowego na Riverside Avenue, zaraz za najbliższą przecnicą. Fainy czuł się ważny i rozpierała go duma, bo wszyscy go całowali i głaskali po głowie, i mówili, że zachowuje się jak mały mężczyzna. Miał także nowe czarne ubranko, uszyte jak na dorosłego, z kieszeniami i ze wszystkim, tyle że z krótkimi spodenkami. W kaplicy pogrzebowej zebrali się różni ludzie, z którymi nigdy bliżej się nie stykał - rzeźnik pan Russel, ksiądz O'Donnell, wuj Tim O'Hara, który przyjechał aż z Chicago - i pachniało whisky i piwem zupełnie jak u Finleya. Wuj Tim był kościstym mężczyzną o czerwonej gruzłowatej twarzy i mętnych niebieskich oczach. Miał na szyi luźny czarny jedwabny krawat, który niepokoił Fainy'ego, i raz po raz zginał się w pasie sztywno jak składany scyzoryk, by ochryplym głosem szepnąć Fainy'emu w ucho:

- Nic sobie z nich nie rób, zuchu, to banda nierobów i hipokrytów, prawie wszyscy już ululani na cacy. Popatrz na księdza O'Donnella, spaśny wieprz, już kalkuluje, ile weźmie za pogrzeb. Ale nic sobie z nich nie rób, pamiętaj, jesteś O'Hara po matce czy nie? Ja też, zuchu, nic sobie z nich nie robię, a przecież była moją siostrą z krwi i kości.

Kiedy wrócili do domu, Fainy był okropnie śpiący, miał przemoczone i zziębnięte nogi. Ale nikt na niego nie zwracał uwagi. Siedział po ciemku, popłakując na brzegu łóżka. Z pokoju od ulicy dochodziły głosy, szcęk noży i widelców, ale nie miał odwagi wejść. Skulił się pod ścianą i zasnął. Obudziło go światło padające prosto w oczy. Wuj Tim z ojcem stali nad nim, głośno rozprawiając. Wyglądali dziwnie i jakoś nie bardzo pewnie trzymali się na nogach. Wuj Tim ścisnął lampę.

- No, Fainy, stary zuchu - rzekł, niebezpiecznie przechylając lampę nad głową Fainy'ego.
- Fenianie O'Hara McCreary, podnieś się i uważaj, żebyś nam powiedział, co **myślisz** o przeprowadzce do wielkiego i wciąż rosnącego miasta Chicago. Middletown to cuchnąca zakazana dziura, jakby się kto pytał... Bez urazy, John... Nie to co Chicago. Rany boskie, chłopie, dopiero jak się znajdziesz w Chicago, zrozumiesz, żeś się tu kisił przez te wszystkie lata.

Fainy się bał. Podciągnął kolana pod brodę i z drzeniem patrzył na dwie wielkie chwiejne postacie, oświetlone przez chwiejną lampę. Próbował się odezwać, ale słowa więzły mu w gardle.

- Dzieciak jest rozespany, Tim, na nic twoje gadanie. Rozbierz się, Fainy, i włącz do łóżka. Musisz się porządnie wyspać, rano wyjeżdżamy.

Wyruszyli późnym dżdżystym rankiem, bez śniadania, z wielkim starym wybrzuszonym kufrem przywiązanim sznurami, balansującym niebezpiecznie na dachu dorożki, którą Fainy biegał zamówić w stajni u Hodgesona. Milly płakała, ojciec nie odzywał się słowem, tylko ssał nie zapaloną fajkę. Wszystko załatwiał wuj Tim; przez cały czas sypał dowcipami, z których nikt się nie śmiał, a w krytycznych sytuacjach wyjmował z kieszeni zwitek banknotów i z bulgotem solidnie pociągał z flaszki, którą też miał w kieszeni. Milly chlipała i chlipała. Fainy patrzył wielkimi, suchymi oczami na dobrze znane ulice, przesuwające się koło dorożki, nagle jakieś odmienione, jakby przekrzywione. Czerwony most, ospowate kryte gontami domy, w których mieszkają Polacy, drogeria Smithów na rogu. O, właśnie wychodzi Billy Hogan z paczką gumy do zucia w ręku. Znowu wagaruje. W pierwszej chwili Fainy miał chęć krzyknąć na niego, ale coś go zmroziło. Main Street z wiązami i tramwajami, długi szereg sklepów na Church Street, straż pożarna. Po raz ostatni zapuścił żurawia w mroczną pieczarę, w której urzekająco połyskiwały mosiądzem i miedzią oble kształty sikawki. Dalej tekturowe frontony pierwszego kościoła Kongregacjonistów i kościoła Baptistów pod wezwaniem Góry Karmel, ceglany kościół Episkopalny Świętego Andrzeja, ustawiony w poprzek parceli, nie tak jak inne kościoły surowym obliczem prosto do ulicy, potem trzy żeliwne jelenie na trawniku przed Hotelem Kupieckim i wille, każda z trawnikiem, z werandą wyrzynaną w esy-floresy i z krzewem hortensji. Potem domy zrobiły się mniejsze, zniknęły trawniki; dorożka zakręciła koło Składow Ziarna i Paszy Simpsona, przetoczyła się uliczką fryzjerów, knajp i garkuchni i już wysiadali na dworcu.

W bufecie dworcowym wuj Tim postawił wszystkim śniadanie. Osuszywszy Milly łyzy i wytarłszy Fainy'emu nos w wielką nowiutką chustkę, która jeszcze miała w rogu etykietkę, kazał im się brać do jaj smażonych na boczku i kawy. Fainy nigdy nie pił kawy, więc bardzo mu pochlebiało, że siedzi i pije jak mężczyzna. Ale Milly kawa nie smakowała, orzekła, że jest gorzka. Potem zostali sami i przez jakiś czas siedzieli nad pustymi talerzami i pustymi filiżankami, pod pełnym dezaprobaty wzrokiem kobiety o paciorkowatych oczach, długiej szyi i spiczastej kurzej twarzy, która przyglądała się zza kontuaru. Wreszcie z ogłuszającym grzmotem i łoskotem, łup-puf, łup-puuf, na stację wjechał pociąg i mężczyźni zgarnęli ich i powlekli przez peron, przez zasnuty fajkowym dymem wagon. Ani się spostrzegli, kiedy pociąg ruszył i za oknami jął dudnić brunatny zimowy krajobraz Connecticut.

zatechły cuchnący stajnią omnibus pędził kołysząc jak statek a On powtarzał w kółko Co byś zrobiła Lucy gdybym zaprosił któregoś do stołu? To bardzo mili ludzie Lucy ci czarni w małym srebrnym puzderku miał goździki a z ust pachniało mu żytniówką pędziliśmy żeby złapać połączenie do Nowego Jorku

a Ona mówiła Och złotko żebyśmy się tylko nie spóźnili i Scott czekał z biletami biegiem wpadliśmy na peron przy Siódmej Ulicy te małe armatki wysypywały się jedna po drugiej z Olimpu i wszyscy schylali się żeby je podnieść a konduktor Wsiadać szybko pszepani szybko

armatki były mosiężne błyszcząły w słońcu na peronie przy Siódmej Ulicy i Scott wsadził nas wszystkich pociąg już ruszył i dzwon dzwonił na lokomotywie Scott wcisnął w ręce garść maleńkich mosiężnych armatek ale dosyć dużych żeby zmieściły się w nie te najmniejsze petardy podczas bitwy w Zatoce Manilskiej¹⁷ i powiedział Ale artylerzysta z ciebie Jack

i On perorował w wagonie klubowym Ależ Lucy jakby było trzeba też bym przystąpił do strajku i może by mnie zastrzelili pewnego pięknego dnia i ty byś też przystąpił prawda Jack? i pan też prawda panie konduktorze? Bo akurat konduktor roznosił wodę mineralną a On woził podręczną flaszkę w torbie podróźnej gdzie jedwabne chusteczki z inicjałami pachniały zawsze wodą laurową

a kiedy dojechaliśmy do Havre de Grace¹⁸ powiedział Pamiętasz Lucy przeprawialiśmy się zawsze promem przez Susquehanna zanim wybudowali most

i przez Gunpowder Creek¹⁹ też

¹⁶ Oko kamery (2) jest wspomnieniem z jednej z wczesnych podróży Dos Passosa z rodzicami z Waszyngtonu do Nowego Jorku czy jakiegoś innego miasta na północy. Dworzec przy Siódmej Ulicy istniał do 1907 roku, kiedy to oddano do użytku Union Station, bezkolizyjną wspólną stację wszystkich linii kolejowych. Pociągi odchodzące z dawnych dworców jechały ulicami przez samo centrum Waszyngtonu, tak że dochodziło do licznych wypadków, szczególnie na przejazdach.

¹⁷ W Zatoce Manilskiej, koło południowo-zachodnich wybrzeży Luzonu, rozegrała się 1 maja 1898 roku bitwa morska, w której flota amerykańska pod dowództwem komandora George'a Deweya rozbiła flotę hiszpańską, otwierając siłom lądowym dostęp do Manili i w konsekwencji do całych Filipin. Wzmianki o bitwie wplata Dos Passos w Kroniki III i IV, które odnoszą się w zasadzie do okresu nieco późniejszego. *Olimpia*, z której wysypują się małemu Jackowi armatki, to miniatura noszącego taką nazwę okrętu flagowego komandora Deweya.

¹⁸ Havre de Grace - to miasto w północno-wschodniej części stanu Maryland nad rzeką Susquehanna, niedaleko jej ujścia do zatoki Chesapeake. Wedle tradycji, zaskakującą francuską nazwę nadał w 1782 roku istniejącej tu osadzie francuski uczestnik amerykańskiej wojny o niepodległość, markiz de la Fayette, uderzony podobieństwem jej usytuowania do francuskiego Hawru.

¹⁹ Gunpowder Creek to jakby Rzeczka Prochowa (gunpowder znaczy proch strzelniczy); w istocie nazywa się ona Gunpowder River (Rzeka Prochowa) i uchodzi do zatoki Chesapeake nieco bliżej, w połowie drogi między Baltimore a Havre de Grace. Dos Passos wspomina ją być może dlatego, że łączą się z nią różne fantastyczne opowieści, które zapewne słyszał w dzieciństwie. Według jednej nazwa wzięła się stąd, że pobliski młynarz wypalał tu węgiel drzewny na proch, według drugiej, że Indianie siali proch jak ziarno w przekonaniu, że obrodzi na wiosnę.

MAC

Brunatne pagórki, pasma lasu, farmy, krowy, gniady żreback wierzgający na pastwisku, drewniane płoty, skrawki podmokłej łąki.

Czuję się jak ostatni kundel, Tim. Jak długo żyję, zawsze postępowałem, jak się należy - powtarzał ojciec terkocącym głosem. - I co teraz o mnie powiedzą?

Rany boskie, chłopie, co innego mogłeś zrobić, powiedz sam? Co, u licha, można zrobić, jak człowiek nie ma centa przy duszy, nie ma roboty, a tu ci jeden za drugim złażą doktor, grabarz, gospodarz, wszyscy z rachunkami? O dzieciakach musisz myśleć!

Zawsze byłem spokojnym, przyzwoitym człowiekiem, Tim. Ożeniłem się, ustatkowałem, uważający byłem, choć mi się nigdy nie wiodło. A teraz co sobie o mnie pomyślą? Tak czmychnąć jak zbity kundel!

John, wierz mi, jestem ostatni, który by chciał ściągnąć hańbę na nieboszczkę. Była przecież moją siostrą z krwi i kości! Ale to ani nie twoja wina, ani nie moja. To wina nędzy, a nędza to wina systemu... Fenianie, posłuchaj no, co mówi wuj Tim O'Hara. I ty, Milly, też posłuchaj, bo w dzisiejszych czasach dziewczyna powinna wiedzieć te rzeczy tak samo jak chłopak. Posłuchajcie, jak raz w życiu Tim O'Hara mówi prawdę... To wina systemu, co zabiera człowiekowi owoce jego pracy. Tylko kanciarze mają coś z kapitalizmu, taki to ci dojdzie raz dwa do milionów. A uczciwy robociarz jak John albo ja, taki choćby sto lat harował, nie zostawi nawet na pogrzeb jak się patrzy.

Dym faluje za oknami i z jego splotów wynurzają się drzewa, słupy telegraficzne, małe kwadratowe domki o dachach krytych gontami, miasta, tramwaje i długie szeregi stojących jedna za drugą bryczek zaprzężonych w parujące konie.

- A kto zbiera owoce naszego tyrania? Biznesmeni, agenci, pośrednicy, którzy w życiu nie zhańbili się żadną pożyteczną pracą.

Spojrzenie Fainy'ego wznosi się i opada w ślad za drutami telegraficznymi.

Chicago to też nie raj, żebyś wiedział, John. Ale tam lepiej niż na wschodzie można spieniężyć pracę mięśni i mózgu. Dlaczego, pytasz, dlaczego? No, stosunek popytu i podaży, potrzeba teraz ludzi do pracy w Chicago.

Mówię ci, Tim, czuję się jak ostatni kundel.

Wszystkiemu winien system, John, przeklęty parszywy system.

Obudził Fainy'ego ruch, jaki się zrobił w wagonie. Było ciemno. Milly znowu płakała. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest.

- No, panowie - informował wuj Tim - zaraz będziemy w poczciwym starym Nowym Jorku.

Na stacji było widno; zaskoczyło to Fainy'ego, który myślał, że jest już noc. Zostawiono go z Milly na walizce w poczekalni. Poczekalnia była ogromna, pełna obcych ludzi, przerażających jak postacie w książkach z obrazkami. Milly ciągle płakała.

- Hej, Milly, bo ci dam sółkę w bok, jak się nie przestaniesz mazać.

- Dlaczego? - chlapała Milly, zalewając się jeszcze obfitszymi łzami.

Fainy stanął jak mógł najdalej, żeby ludzie nie myśleli, że są razem. Ale sam był bliski płaczu, kiedy ojciec i wuj Tim wrócili wreszcie i zabrali ich wraz z walizką do restauracji. Mocny świeży zapach whisky bił im z ust, oczy wydawały się dziwnie błyszczące. Usiedli wszyscy przy stoliku nakrytym białym obrusem i życzliwy Murzyn w białej kurtce podał im długą kartę zadrukowaną od góry do dołu.

No, zjemy kolację jak się patrzy - oznajmił wuj Tim.

- Niech się dzieje, co chce.

- Cholerny wydatek - powiedział ojciec. - Wszystkiemu winien system.

- Do diabła z papieżem - odrzekł wuj Tim. - Zrobimy jeszcze z ciebie socjaldemokratę.

Zamówili Fainy'emu ostrygi z patelni i kurczaka, lody i ciastko i kiedy potem musieli wszyscy biec do pociągu, dostał okropnego klucia w boku. Wpadli do wagonu, w którym pachniało dymem i nie mytymi pachami.

- Kiedy wreszcie pójdziemy do łóżka? - jęła zawodzić Milly.

- Wcale nie pójdziemy do łóżka - powiedział wuj Tim od niechcienia. - Będziemy tutaj spali jak kury... jak kury na grzędzie.

- Nie lubię kur - wrzasnęła Milly zalewając się na nowo łzami, kiedy pociąg ruszył.

Fainy'ego piekły oczy, w uszach miał nieprzerwane dudnienie, łomot-łomot na zwrotnicach, gniewne niespodziewane warknięcia, kiedy przelatowali pod wiaduktami. Jakby jechali tunelem, jakby przez całą drogę do Chicago jechali nie kończącym się tunelem. Naprzeciwko majaczyły twarze ojca i wuja Tima, czerwone i gniewne, nie podobał mu się ich wygląd, światło było mętne i chwiejne, za oknami uciekał tunel, oczy go bolały, koła i tory dudniły w uszach... Z tym zasnął.

Kiedy się obudził, byli w jakimś mieście, pociąg jechał tuż koło szerokiej ulicy. Był słoneczny poranek. Widział ludzi zajętych swoimi sprawami, sklepy, bryczki i wozy stojące przy chodniku, gazeciarzy sprzedających gazety, drewniane figury Indian przed trafikami²⁰. Z początku myślał, że to sen, ale po chwili przypomniał sobie wszystko i doszedł do przekonania, że to musi być Chicago. Ojciec i wuj Tim spali na przeciwległej ławce. Usta mieli otwarte, twarze plamiste - nie podobał mu się ich wygląd. Milly spała skulona, owinięta z głową wełnianym szalem. Pociąg zwalniał, wjeżdżał na stację. Jeżeli to Chicago, powinni wysiąść. Szczęśliwie nadszedł konduktor,

²⁰ Drewniane figury Indian ustawiano tradycyjnie jako znak rozpoznawczy przed trafikami, czyli sklepami z wyrobami tytoniowymi.

starszy mężczyzna z wyglądu podobny do księdza O'Donnella.

- Pszepana, to Chicago?

- Do Chicago jeszcze kawał drogi, synu – powiedział konduktor bez uśmiechu. - To Syracuse.

Wszyscy się pobudzili i przez długie, długie godziny za oknami przesuwały się słupy telegraficzne, miasteczka, drewniane domki, fabryki z czerwonej cegły, z rzędami i rzędami błyszczących okien, wysypiska śmieci, bocznice kolejowe, zaorane pola, pastwiska, krowy, aż Milly zrobiło się niedobrze od długiej jazdy, a Fainy myślał, że nogi mu odpadną od siedzenia na ławce; w jednych miejscach padał śnieg, w innych świeciło słońce, Milly wciąż miała mdłości i czuć ją było rozpaczliwie wymiotami; potem zrobiło się ciemno i wszyscy zasnęli, potem znowu się rozwidniło i w końcu miasteczka, domki i fabryki zaczęły się zbijać coraz ciaśniej, przechodzić w zgarbione składy i elewatory, bocznice rozbiegły się jak okiem sięgnąć po obu stronach toru - i to było Chicago.

Ale panował taki ziąb, wiatr tak bił piaskiem w twarz, oczy tak się kleiły od pyłu i zmęczenia, że Fainy nic nie widział. Czekali długo na dworze, Fainy i Milly tulili się do siebie w chłodzie, potem wsiedli w tramwaj i jechali, jechali. Byli tacy śpiący, że później nie mogli sobie zupełnie przypomnieć, gdzie skończył się pociąg, a zaczął tramwaj. Głos wuja Tima perorował dumnie, entuzjastycznie; Chicago, Chicago, Chicago. Ojciec siedział z brodą opartą na kuli.

Tim, czuję się jak ostatni kundel - powtarzał.

Przez dziesięć lat Fainy mieszkał w Chicago.

Z początku chodził do szkoły, grał w sobotnie popołudnia w baseball na pustych parcelach, ale potem przyszła ostatnia promocja, dzieci odśpiewały chórem „Twą chwałę głoszę, kraju mój” - i już było po szkole, trzeba było iść do pracy. Wuj Tim miał w tym czasie własną drukarenkę na parterze starej wysłużonej kamienicy z czerwonej cegły, na jednej z brudnych przecznic North Clark Street. Drukarenka zajmowała niewielką część budynku, przerobionego poza tym na składy i słynącego ze szczurów, i miała jedną długą witrynę, błyszczącą złotymi gotyckimi literami: TIMOTHY O'HARA, DRUKARNIA AKCYDENSOWA.

- No, Fainy, stary zuchu - powiedział wuj Tim – masz okazję nauczyć się zawodu od podstaw.

Odtąd Fainy biegał na posyłki, roznosił paki cyrkularzy, anonsów, afiszów, uskakiwał przed tramwajami, przemykał się pod munsztukami spienionych perszeronów, czepiał furgonów pocztowych. Kiedy nie było posyłek, zamiatał pod prasami, czyścił kaszty, opróżniał kosze w kantorku, a gdy się zdarzyła nagląca robota, ganiał za róg po kawę i sandwicze dla zecera albo po buteleczkę kukurydzianej whisky dla wuja Tima.

Ojciec obijał się przez kilka lat o kuli, wciąż szukając pracy. Wieczorami palił fajkę na schodkach od podwórza, klnąc swoje szczęście i od czasu do czasu odgrażając się, że wróci do Middletown. Aż któregoś dnia dostał zapalenia płuc i umarł cicho w szpitalu Serca Jezusowego.

Jakoś w tym samym czasie wuj Tim kupił linotyp. Był tym tak przejęty, że przez trzy dni nie wziął whisky do ust. Okazało się, że drewniana podłoga jest zupełnie przegniła i trzeba było przez całą wysokość piwnicy budować podstawę dla maszyny.

- No, ale jak będziemy kupować następny linotyp, to się wybetonuje całą podłogę - opowiadał wszystkim wuj Tim.

Tego dnia nikt nie pracował w drukarni. Wszyscy stali z założonymi rękami i gapili się na czarną maszynę, zwalistą i skomplikowaną jak organy w kościele. Kiedy ją uruchomiono i drukarnia wypełniła się palącą wonią roztopionego metalu, wszyscy wodzili oczami za drgającym badawczym ramieniem, które raz po raz wyskakiwało i zginało się nad klawiaturą. Potem, kiedy podawali sobie z ręki do ręki ciepłe błyszczące odlewy złożonych wierszy, stary zecer, Niemiec, którego nie wiadomo dlaczego nazywano Mike'em, zsunął na czoło okulary i rozplakał się.

- Pięćdziesiąt pięć lat jestem drukarzem i na co mi przyszło na stare lata? Chyba cegły będę dygował, żeby zarobić na życie.

Pierwszym tekstem, który wuj Tim złożył na nowej maszynie, było zdanie: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się; nie macie nic do stracenia prócz swych kajdan”.

Kiedy Fainy miał siedemnaście lat i zaczynały go niepokoić spódniczki, nogi i majtki dziewczyn, gdy wracał wieczorem do domu i migotliwe wielkomijskie światła odbijały się na odurzającym migotliwym nieboskłonie zachodu, w przemyśle drukarskim Chicago wybuchł strajk. Tim O'Hara zawsze zatrudniał wyłącznie związkowców i wszystkie druki związkowe wykonywał po cenie kosztu. Przyjął również ulotkę podpisaną „Obywatel” i opatrzoną nagłówkiem „Energiczny sprzeciw”, którą pozwolił złożyć Fainy'emu samodzielnie na linotypie, kiedy zecer poszedł wieczorem do domu. Jedno zdanie utkwilo Fainy'emu szczególnie w pamięci i powtarzał je, kiedy położył się w nocy do łóżka: „Czas najwyższy, żeby wszyscy uczciwi ludzie złączyli się w walce przeciwko wyzyskowi bogaczy”.

Następnego dnia przypadała niedziela i Fainy wyszedł na Michigan Avenue z plikiem ulotek do rozdania. Był przedwczesny wiosenny dzień. Znad żółtej kry topniejącej na jeziorze lekkie powiewy niosły nieoczekiwaną woń kwiatów. Dziewczyny wyglądały piekielnie ponętnie, wiatr rozwiewał im spódnice. Fainy czuł wiosenny żar krwi pulsującej w żyłach, miał ochotę całować, tarzać się po ziemi, biegać po krach na jeziorze, wygłaszać mowy z wierzchołków słupów telegraficznych, przesadzać jednym susem tramwaje; zamiast tego rozdawał ulotki, wstydził się przetartych spodni i pragnął mieć szykowne ubranie i szykowną dziewczynę, z którą by mógł chodzić pod rękę.

- Hej, kawalerze, masz pozwolenie na rozdawanie tych ulotek? - warknął mu nad uchem głos policjanta.

Rzucił okiem przez ramię, cisnął ulotki i wziął nogi za pas. Dał nura pomiędzy błyszczące czarne fiakry i powozy, przebiegł boczną uliczką i szedł, szedł nie oglądając się za siebie, póki nie minął zwodzonego mostu, który tuż za nim podniósł się do góry. Zresztą policjant i tak go nie gonił.

Stał długo na krawężniku, a nad uchem pisał mu drwiąco gwizdek na straganie z orzeszkami ziemnymi.

Wieczorem przy kolacji wuj Tim zapytał o ulotki.

- Jasne, wszystkie rozdałem nad jeziorem. Chciał mnie zatrzymać jeden policjant, ale mu z miejsca powiedziałem, żeby się odwalił.

Oblał się krwawym rumieńcem, kiedy wszyscy przy stole odpowiedzieli chóralnym „uuuu”. Napchał w usta tłuczonych kartofli i nie odezwał się już słowem. A ciotka, wuj i trzy ich córki śmieli się i śmieli.

- No, dobrze, żeś wrywał prędzej od tego policjanta - powiedział w końcu wuj. - Bo inaczej musiałbym za ciebie płacić kaucję, a to kosztuje.

Następnego dnia z samego rana, kiedy Fainy zamiatał w kantorku, po schodkach wszedł mężczyzna z twarzą jak befszytk po tatarsku; palił cienkie czarne cygaro, jakiego Fainy jeszcze nigdy nie widział. Zapukał w szklane drzwi.

- Chcę mówić z panem O'Hara, z panem Timothyem O'Hara.

- Jeszcze go nie ma. Ale zaraz będzie, proszę pana. Poczekaj pan?

- Pewnie, że poczekam.

Mężczyzna usiadł na brzegu krzesła i splunął, uprzednio wyjąwszy z ust pogryziony koniuszek cygara, i skrupulatnie, z namysłem go obejrzał. Po chwili nadszedł wuj Tim i drzwi kantorka zamknęły się z trzaskiem. Fainy kręcił się w pobliżu, trochę niespokojny, czy mężczyzna nie jest tajniakiem badającym sprawę ulotek. Głosy w kantorku podnosiły się i opadały, głos nieznanego w krótkich burkliwych tyradach, głos wuja Tima w długich perswadujących okresach. Raz czy dwa Fainy usłyszał zdanie: „Cofam prawo wykupu”, po czym drzwi się otworzyły gwałtownie i nieznanemu wybiegł z twarzą jeszcze bardziej purpurową niż przedtem. Na żelaznych schodkach zatrzymał się i, wyciągnąwszy z kieszeni nowe cygaro, przypalił od starego. Cedząc słowa spoza kłębu niebieskiego dymu, powiedział:

- Ma pan dwadzieścia cztery godziny do namysłu, panie O'Hara. Powiesz pan słowo i natychmiast wstrzymuję postępowanie.

Z tym odszedł w głąb ulicy, pozostawiając za sobą długą smugę cuchnącego dymu. W minutę później z kantorka wysunął się wuj Tim z twarzą białą jak papier.

- Fenianie, stary zuchu - powiedział - będziesz musiał rozejrzeć się za pracą. Zwijam interes...
Póki co, miej oczy otwarte. Idę się czegoś napić.

Był pijany przez następne sześć dni. Pod koniec tygodnia zaczęli pojawiać się potulni osobnicy z pozwami i wuj Tim musiał wytrzeźwieć na tyle, by pójść do sądu i złożyć oświadczenie o niewyplącalności.

Ciotka grzmiała i wyrzekała.

- A mówiłam ci, O'Hara, mówiłam, że nic dobrego nie wyjdzie z tych konszachtów z bezbożnikami, z tymi wszystkimi związkowcami, socjaldemokratami i rycerzami pracy²¹. Wszystko to takie same pijaki i nieroby jak ty, O'Hara. Nic dziwnego, że cech wykupił twoje weksle. Zmiażdży cię na proch. Dobrze ci tak, O'Hara, za twoje bezbożnictwo, za twoje pijaństwo, za twój socjalizm. Mogli byli tylko pomyśleć o twojej biednej żonie i o tych bezradnych maleństwach. Z głodu teraz wszyscy pozdychamy razem z tymi pociotkami, pasożytami, których naściągales do domu.

- No, coś podobnego! - krzyknęła siostra Fainy'ego, Milly. - Bo to może nie tyrałam, rąk sobie nie urabiałam do łokci za każdziuteńki kawałek chleba, który zjadłam w tym domu!

Zerwała się od śniadania i wypadła z pokoju. Famy siedział, dopóki burza szalała nad głową; potem wstał i wsunawszy do kieszeni kukurydzianą bułeczkę, wymknął się z pokoju. W sieni wyszukał dział ogłoszeń o pracy w „Chicago Tribune”, wziął czapkę i wyszedł w chłód niedzielnego poranku, pełnego bicia dzwonów. Wsiadł do tramwaju i pojechał do parku Lincoln. Usiadł na ławce i żując bułeczkę, długo przeglądał kolumnę ogłoszeń zaczynających się od słów: „Chłopiec potrzebny”. Ale żadne nie wyglądało zbyt zachęcająco. Jednego był pewien: nie dostanie pracy w żadnej drukarni, dopóki strajk się nie skończy. Nagle wpadło mu w oko:

Chłopiec inteligentny potrzebny, ambitny, zamiłowania liter., doświadczył, druk. i wyd. Dyskr. przedsięb. kolport.-handl. 15 dol. **tyg.** Zgłoszenia list. skryt. poczt. 1256 b

Głowa zrobiła mu się nagle lekka. „Chłopiec inteligentny, coś dla mnie, ambitny, zamiłowania literackie. Jezuniu, muszę skończyć to *Spojrzenie w przeszłość*²². Jak rany, czytać lubię, linotyp umiałbym obsłużyć, składać ręcznie też, jakby mi pozwolili. Piętnaście dolarów tygodniowo, niczego sobie, potem dycha podwyżki...” I w myśli zaczął układać list z prośbą o pracę:

²¹ Rycerze p r a c y (Knights of Labor) - to związek założony w 1869 roku w Filadelfii przez włóknarzy, działający do 1881 jako tajne bractwo, ważny jako pierwsza w Stanach Zjednoczonych wszechbranżowa organizacja pracownicza. Rycerze lansowali ideał społeczeństwa przemysłowych i rolnych kooperatyw, stanowiących własność pracowników i przez nich prowadzonych. Przyjmowali ludzi pracy bez względu na rasę, wiarę, zawód, branżę oraz stopień kwalifikacji, z wyłączeniem lekarzy (do 1881), prawników, bankierów, akcjonariuszy, szulerów oraz sprzedawców alkoholu. Domagali się daleko idących reform, m.in. ośmiogodzinnego dnia pracy, zakazu pracy więźniów oraz dzieci do lat czternastu, jednakowych warunków i zarobków w przemyśle dla kobiet oraz zakazu sprowadzania europejskich robotników kontraktowych. Ich siła gwałtownie wzrosła w wyniku kryzysu lat siedemdziesiątych, tak że w szczytowym roku 1886 chlubili się 135 kooperatywami pracowniczymi, setkami umów między pracownikami a kierownictwem i 700 tysiącami członków. W wyniku powstania w tymże roku Amerykańskiej Federacji Pracy, secesji licznych związków branżowych, tarć w kierownictwie co do taktyki działania i serii przegranych strajków, związek stracił na znaczeniu pod koniec stulecia i został formalnie rozwiązany w 1917.

²² *Spojrzenie w przeszłość* (*Looking Backward, 2000-1887*) — to utopijna powieść reformatora i pisarza Edwarda Bellamy'ego (1850—1898), wydana w roku 1888 i niezmiernie popularna w środowiskach radykalnych; przedstawia

Szanowny Panie! (Wielce Szanowny Panie!) a może: Szanowni Panowie!

Odnosnie do ogłoszenia w dzisiejszej niedzielnej „Chicago Tribune” chciałbym donieść (pragnę stwierdzić), że mam siedemnaście, nie, dziewiętnaście lat, i kilkuletnią praktykę w przemyśle drukarskim i wydawniczym, jestem ambitny, mam doskonałą znajomość i zamiłowanie do drukarstwa i pracy wydawniczej...

„Nie, nie mogę się powtarzać... Ogromnie mi zależy na tej pracy...” Ale w miarę jak się posuwał naprzód, wszystko coraz bardziej mieszało mu się w głowie.

Ocknął się przy wózku z fistaszkami. Zimno było jak diabli, świszczący wiatr ciął jak brzytwa po pękających krach i czarnych plamach wody na jeziorze. Wydarł ogłoszenie, a resztę gazety puścił z wiatrem. Potem kupił sobie torebkę gorących fistaszków.

KRONIKA II

Przyjdź i posłuchaj, Przyjdź i posłuchaj, Przyjdź i posłuchaj,

W mowie skierowanej do Izby Ustawodawczej stanu Michigan ustępujący gubernator, Hazen S. Pingree²³, powiedział między innymi: „Jeśli ci, którzy sprawują władzę i w których rękach spoczywa ustawodawstwo, nie zmienią obecnego systemu nierówności społecznej, to nie minie ćwierć wieku, a nasz kraj pogrąży się w krwawej rewolucji”.

CARNEGIE²⁴ MÓWI O SWOIM EPITAFIUM

Opuści cię chandra, Gra najlepszy w kraju, Gra najlepszy w kraju

Lunch, który został podany w laboratorium fizycznym, obfitował w pomysłowe atrakcje. Na stole bankietowym stał miniaturowy piec hutniczy wielkości czterech stóp, a dookoła biegły szyny wąskotorowej kolejki długości czterdziestu stóp. Z pieca zamiast roztopionego metalu lał się do wagoników gorący poncz. Lody były uformowane na wzór podkładów kolejowych, chleb miał kształt lokomotywy.

Pan Carnegie, wychwalając korzyści płynące z wyższego wykształcenia we wszystkich dziedzinach wiedzy, doszedł na koniec do następującej konkluzji: „Praca rąk okazuje się najlepszą pożywką dla wielkiego wysiłku myśli”.

WICEPREZES OPRÓŻNIA KASY BANKU

Przyjdź i posłuchaj, Opuści cię chandra, Gra najlepszy w kraju, Gra najlepszy w kraju

brat Jesse Jamesa²⁵ oświadcza, że sztuka przedstawiająca go jako bandytę, rabusia kolejowego i wyrzutka jest demoralizująca

lokalny opór kładzie koniec poligamii wciąż jeszcze, jak wykazały badania duchownych z Salt Lake City, uprawianej przez mormonów²⁶ członkinie klubu nie mogły wykrztusić słowa

²³ Hazen S. Pingree (1840-1901) zdobył ogólnokrajowy rozgłos swoimi reformatorskimi posunięciami jako burmistrz Detroit w latach 1889-1896 i gubernator stanu Michigan w latach 1897-1900.

²⁴ Andrew Carnegie (1835-1919), bohater biograficznego rozdziału, któremu Dos Passos nadał ironiczny tytuł „Książę pokoju”, był jednym z największych potentatów przemysłowych i jednym z najhojniejszych filantropów w historii Stanów Zjednoczonych. Urodzony w Szkocji, przybył w wieku 13 lat do Ameryki, gdzie pracą i przemyślnością dorobił się wielomilionowego majątku. Założnikiem jego fortuny były udziały w Towarzystwie Pullmanowskim, poczynione, gdy został kierownikiem pittsburghskiego oddziału Kolei Pensylwańskiej. Następnie powiodły mu się szczęśliwe inwestycje w przemyśle naftowym, a w końcu skoncentrował się na przemyśle hutniczym. Był jednym z pierwszych, którzy zastosowali w Stanach bessemerowską metodę produkcji stali, i w roku 1899 kontrolował 25 procent amerykańskiej produkcji hutniczej. W 1901 sprzedał Amerykańskiej Korporacji Stali (por. przypis do s. 330) swoje towarzystwo stalowe (Carnegie Steel Co.) za 480 milionów dolarów - sumę, którą dzisiaj należałoby pomnożyć kilkunasto-, jeśli nie kilkudziesięciokrotnie - i wycofał się z interesów. Pozbawiony formalnej edukacji, cenił wysoko wiedzę i dokształcał się przez całe życie. Osiągnąwszy w wieku 33 lat roczny dochód 50 tysięcy dolarów, oświadczył: „Od tego punktu nie staraj się pomnażać majątku, lecz przeznaczaj co roku nadwyżkę na cele dobroczynne”. Zgodnie z tą maksymą wyasygnował już za życia 350 milionów na różne instytucje naukowe, kulturalne i pokojowe, z których wiele nosi jego imię. O dwóch z jego fundacji jest mowa w przypisach.

²⁵ Jesse James (1847-1882) - to osławiony rzezimieszek z Dzikiego Zachodu, przywódca bandy specjalizującej się w napadach na banki i pociągi, notoryczny rewolwerowiec i wielokrotny morderca; zginął zastrzelony przez jednego z własnych ludzi, skuszonego wysoką nagrodą nałożoną na jego głowę. Jego brat, Frank James (1843-1915), został w jakiś czas po rozbięciu bandy zwolniony z więzienia i dożył swoich lat jako spokojny farmer. Dookoła Jesse Jamesa i jego bandy narosło z biegiem lat wiele romantycznych legend.

²⁶ Mormoni [właściwie: Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Dzisiejszego (the Church of Jesus Christ of Latter-Day Saints)] - to sekta chrześcijańska założona w roku 1830 przez niejakiego Josepha Smitha w Fayette w stanie Nowy Jork, następnie migrująca coraz dalej na zachód w ucieczce przed prześladowaniami i ostatecznie, po zamordowaniu w 1844 Smitha przez tłum w Illinois, pod przewodnictwem Brigham Younga, osiadła głównie w Salt Lake City w stanie Utah. Doktryna mormońska, oparta obok *Biblii* na tzw. *Księdze Mormona (The Book of Mormon)*, rzekomo zapisanej na złotych tabliczkach,

Gra najlepszy w kraju Jazzband Alexandra

twierdzi, że tylko zwierzęta cyrkowe jedzą chicagowską koninę aukcja parcel w Indianie na pokrycie zaległych podatków finałem koniunktury spowodowanej Wystawą Światową²⁷ z flagi uszył worek na gałgany zabity na wyspie ludożerców dozorca wpada do wody i atakują go lwy morskie

W końcu barkas podpłynął do powłoki sterowca, z której już uszła połowa gazu i która w każdej chwili mogła przydusić Santos-Dumonta²⁸, i ten ni to wgramolił się, ni to został wciągnięty przez burtę do łodzi.

Książę Monako nalegał, żeby pozwolił się zabrać na pokład jachtu, gdzie mógłby się osuszyć i przebrać, ale Santos-Dumont nie zgodził się opuścić barkasu, dopóki wszystko, co można było uratować, nie zostało przewiezione na brzeg, po czym mokry, lecz uśmiechnięty i niewzruszony, wyszedł na ląd pośród frenetycznych wiwatów tłumu.

których miejsce ukrycia objawił Smithowi anioł, nie neguje *Biblii*, lecz rozszerza ją o dodatkowe wersje, z których najważniejszą jest podanie, że Chrystus objawił się po męczeńskiej śmierci przedkolumbijskim białym osadnikom w Ameryce i obiecał im stworzyć tam „Nowe Jeruzalem”. Obok istotnych innowacji dogmatycznych w interpretacji *Pisma Świętego*, jednym z zasadniczych przedmiotów kontrowersji, które prowadziły do prześladowań mormonów, był zarzut, że praktykują poligamię, czemu początkowo zaprzeczali, co jednak oficjalnie przyznali w 1852 roku i co 10 do 20 procent wyznawców jawnie uprawiało przez następne 38 lat. Wywoływało to liczne tarcia, doprowadziło do wysłania w latach 1857-1858 wojsk federalnych do Utah, jednakże dopiero w roku 1890 mormoni pod naciskiem potępili poligamię i zobowiązali się przestrzegać prawnie obowiązującej monogamii. Oczywiście nie zniknęły jednak istniejące rodziny wielożenne, a fundamentalistyczny odłam sekty mimo groźby ekskomuniki kościelnej i kary świeckiej nadal obstawał przy poligamii. Przelotny romans z mormonem ma w dalszej części książki jedna z fikcyjnych bohaterek, Ewelina Hutchins.

²⁷ Kolumbijska Wystawa Światowa (World's Columbian Exposition) została otwarta 1 maja 1893 roku w Chicago dla upamiętnienia czterechsetnej rocznicy odkrycia przez Kolumba zachodniej hemisfery. Głównym założeniem wystawy było przedstawienie osiągnięć naukowych i przemysłowych epoki i ich praktycznego zastosowania. W ramach przygotowań do wystawy uruchomiono w Chicago pierwszą w Stanach elektryczną sieć komunikacyjną. Wzniesiono wiele budowli projektowanych przez najwybitniejszych architektów, otworzono centrum rozrywkowe z licznymi nowatorskimi atrakcjami. 46 krajów oraz 28 kolonii i prowincji miało swoje pawilony. Wystawa, przy której budowie pracowało 6 tysięcy robotników i która kosztowała olbrzymią na owe czasy sumę ponad 6 milionów dolarów, cieszyła się niebywałym powodzeniem. Jest o niej także wzmianka w następującym Oku kamery (3).

²⁸ Alberto Santos-Dumont (1873-1932) - to konstruktor sterowców i aeronauta pochodzenia brazylijskiego, od roku 1891 osiadły we Francji. W 1901 roku dokonał w czasie niecałej godziny, sterowcem napędzanym śmigłem poruszonym silnikiem benzynowym o sile 4,5 koni mechanicznych, pionierskiego lotu z Saint-Cloud do wieży Eiffla i z powrotem. Przytoczona relacja gazetowa odnosi się niewątpliwie do jego podjętej rok później nieudanej próby przelotu tymże sterowcem przez Morze Śródziemne.

OKO KAMERY (3)

O qu'il a des beaux yeux²⁹ powiedziała pani siedząca naprzeciwko ale Ona odparła że nie trzeba mówić takich rzeczy dzieciom i mały poczuł jak oblewa go gorący pot zapadał zmierzch i lampa w kształcie przekrojonego arbuza rozjarzyła się mętnym światłem a pociąg dudnił i nagle zapadłem w sen jesk czarna noc i granatowy chwast tańczy na krawędzi mrocznej czerni która ma kształt arbuza i wszędzie widać ostre półokrągłe cienie (kiedy przyszedł pierwszy raz przyniósł arbuza słońce prószło przez wysokie koronkowe firanki przekroiliśmy go i zapach arbuza nappełnił cały pokój) No ale nie jedz pestek kochanie bo dostaniesz zapalenia ślepej kiszki wyglądasz przez okno w dudniącą czarną noc nagle pociętą zwałistymi kominami i ogarnia cię strach przed czarnym dymem i kłębamii ognia które buchają z kominów potem bledną Fabryki porcelany kochanie pracują przez całą noc Kto pracuje przez całą noc? Robotnicy prości ludzie czarnoroboczy travailleurs³⁰ Meksykanie

jak się wtedy bałeś

ale mrok znowu poczerniał lampa w przedziale niebo i wszystko znów przybrało granatowy odcień i Ona opowiadała jak Dawnodawnotemu Przedwystawąświatową Nimsięurodziłeś jechali do Meksyku salonką po nowo otwartej międzynarodowej linii kolejowej i mężczyźni z tylnego pomostu strzelali antylopy i wielkie króle nazywali je kłapouchami i raz w nocy Dawnodawnotemu Przedwystawąświatową Nimsięurodziłeś którejś nocy Mamusia mała nie umarła ze strachu przez tę kanonadę ale wszystko się wyjaśniło okazało się że to nic tylko taka mała strzelaninka polowali na jakiegoś Meksykanina i tyle to było w dawnych czasach

²⁹ O q u ' i l a... (fr.) -Jakie on ma piękne oczy.

³⁰ Travailleurs (fr.) - robotnicy.

MIŁOŚNIK LUDZKOŚCI

Debs³¹ był kolejarzem, urodził się w drewnianym baraku w Terre Haute.

Miał dziewięcioro rodzeństwa.

Jego ojciec przybył do Ameryki na żaglowcu w roku 49, Alzatzyk z Colmaru; groszorb był z niego kiepski, lubił muzykę i lubił czytać, dzieciom umożliwił ukończenie szkoły publicznej, to było wszystko, co mógł dla nich zrobić.

Mając piętnaście lat Gene Debs pracował już w parowozowni na kolei Indianapolis - Terre Haute. Pracował jako palacz na parowozie, subiekt w sklepie, wstąpił do miejscowej komórki Bractwa Palaczy Kolejowych, został wybrany sekretarzem, zjeździł cały kraj jako agitator.

Był wysoki, niezgrabnie powłóczył nogami, miał porywający sposób mówienia, którym rozpałał kolejarzy w salach z sosnowych desek, budził w nich tęsknotę do świata, którego sam pragnął, świata w braterskim władaniu, świata, w którym wszyscy dzieliliby się równo:

Nie jestem przywódcą związkowym. Nie chcę, żebyście szli za mną ani żebyście szli za kimkolwiek innym. Jeśli szukacie Mojżesza, który was wyprowadzi z kapitalistycznej puszczy, zostańcie lepiej tam, gdzie jesteście. Ja nie zaprowadzę was do ziemi obiecanej, nie zrobiłbym tego, gdybym nawet mógł, bo gdybym ja mógł was zaprowadzić, kto inny by was wyprowadził.

Oto jak przemawia! do ładowaczy i dróżników, do palaczy, zwrotniczych i maszynistów, wbijając im do głowy, że nie wystarczy zorganizować kolejarzy, że trzeba zorganizować wszystkich robotników, że wszyscy robotnicy muszą się zjednoczyć we wspólnocie robotniczych kooperatyw.

Niejedną noc spędził bezsennie na dalekich szlakach, palacz w kłębach dymu trawiony ogniem, ogniem, który potem buchał porywczymi słowami w salach z sosnowych desek; chciał, żeby jego bracia byli wolnymi ludźmi.

Byli wolni, gdy zgromadzili się tłumnie na stacji przy Old Wells Street, żeby go powitać, kiedy wyszedł z więzienia po strajku³² w zakładach Pullmana, byli wolni, kiedy w 1912 oddali na

³¹ Eugene Victor Debs (1855-1926) był jednym z najwybitniejszych działaczy robotniczych Ameryki na początku stulecia. Palacz na kolei Indianapolis-Terre Haute od szesnastego roku życia, w roku 1880 został sekretarzem-skarbnikiem Bractwa Palaczy Kolejowych, a w 1893 przewodniczącym zorganizowanego przez siebie Związku Kolejarzy (American Railway Union). W 1898 był współzałożycielem amerykańskiej Partii Socjaldemokratycznej, przekształconej w 1901 w Partię Socjalistyczną, a w 1905 współzałożycielem związku zawodowego IWW. Kandydował z ramienia Partii Socjalistycznej pięciokrotnie na stanowisko prezydenta USA, uzyskując za każdym razem większą liczbę głosów (95 tysięcy w 1900, 402 - w 1904, 421 - w 1908, 897 - w 1912 i 920 - w 1920). W tych ostatnich wyborach kandydował z więzienia w Atlancie, do którego go wtrącono w roku 1918 na dziesięć lat z paragrafu wojennego ustawodawstwa o działalności wyrotowej (za wygłaszanie mów antywojennych). W 1921 został ułaskawiony przez prezydenta Hardinga, jednak nigdy nie przywrócono mu praw obywatelskich. Pozostał socjalistą, kiedy w 1919 z Partii Socjalistycznej wyłamali się komuniści.

³² Strajk pullmanowski (Pullman Strike) był to ogólnokrajowy strajk kolejowy w czerwcu i lipcu 1894 roku. Rozpoczął się w Zakładach Wagonów Kolejowych Pullmana (Pullman Palace Car Company) w miasteczku Pullman (obecnie przedmieście Chicago), wybudowanym w 1881 przez przemysłowca George'a Mortimera Pullmana (1831-1897), konstruktora wagonów kolejowych do dziś nazywanych pulmanami - sypialnych, restauracyjnych, salonowych. Kiedy w zakładach zastrajkowało 2500 pracowników w proteście przeciw obniżeniu poborów i wysokim czynszom narzuconym przez Towarzystwo Pullmanowskie, Debs i Związek Kolejarzy ogłosili bojkot wagonów pulmanowskich. Koleje odpowiedziały zwolnieniami związkowców, na co związek ogłosił ogólny strajk, który sparaliżował koleje w całym kraju. Prokurator generalny wysłał 3600 ludzi do obsługi kolei i uzyskał nakaz sądowy przeciwko związkowcom zakłócającym ruch kolejowy. Kiedy następnego dnia tłum zdemolował pociąg pocztowy, prezydent Cleveland wysłał do Chicago wojsko. Wkrótce wojsko zostało wycofane, ale jeszcze przez jakiś czas pociągi kursowały pod jego ochroną. Klęskę związkowców

niego dziewięćset tysięcy głosów, straszakiem socjalistycznej prezydentury rzucając popłoch na panów w analezach i cylindrach i udiamentowane panie bawiące gości w Saratoga Springs, Bar Harbor i Lake Geneva³³.

Lecz gdzie byli bracia Gene'a Debsa w 1918, kiedy Woodrow Wilson kazał go zamknąć w Atlancie za mowy antywojenne, gdzie byli ci rośli amatorzy whisky, towarzystwa takich jak oni sami, dobrodusznie ciągnący nieskładne opowieści przy barach w małych miasteczkach Środkowego Zachodu, spokojni chłopcy tęskniący do domku z werandą, na której mogliby majstrować, i do pulchnej żony, która by im gotowała, do kieliszka i do cygar, do ogródka, w którym mogliby kopać, i do kumpli, z którymi mogliby sobie uciąć pogawędkę, gotowi na to zapracować, przekonam, że inni też na to powinni zapracować; gdzie byli ci palacze i maszyniści kolejowi, kiedy go wleczono do więzienia w Atlancie?

A potem przywieźli go z powrotem, żeby dogorywał w Terre Haute; i mógł siedzieć na werandzie w fotelu na biegunach, z cygarem w ustach, a obok miał bukiet róż, które żona mu układała w wazonie; mieszkańcy Terre Haute, mieszkańcy Indiany, mieszkańcy całego Środkowego Zachodu lubili go i bali się go, myśleli o nim jako o starym dobrotliwym wujaszku, który ich kocha, chcieli być z nim, i chcieli, żeby ich karmił łakociami, a jednocześnie bali się go, tak jakby był zarażony jakąś chorobą społeczną, syfilisem albo trądem, przyznawali w duchu, że to wstyd, lecz ze względu na sztandar, na koniunkturę i na walkę o zapewnienie światu demokracji bali się przebywać w jego towarzystwie, nawet myśleć o nim za wiele, bo jeszcze by mu uwierzyli, gdy mówił:

Póki istnieją klasy niższe, ja do nich należę; póki istnieją klasy przestępcze, ja do nich należę; póki choćby jedna żywa dusza żywa przebywa w więzieniu, i ja nie jestem wolny.

przypieczętowało w następnym roku orzeczenie Sądu Najwyższego, który usankcjonował interwencje rządowe w konfliktach robotniczych. Debs i inni przywódcy związkowi zostali skazani na pół roku więzienia pod zarzutem nieusłuchania zakazu sądowego.

³³ Saratoga Springs w stanie Nowy Jork, Bar Harbor w stanie Maine i Lake Geneva w stanie Wisconsin to kurorty modne od połowy XIX stulecia.

OKO KAMERY (4) ³⁴

jadę tyłem w deszcz w dudniącym pudle dorożki przede mną ich twarze w falującym świetle dorożki na dachu łomocą Jej kufry a On recytuje Otella swoim adwokackim głosem

*Jej ojciec lubił mnie; często, bywało,
W dom mnie zapraszał, badał mnie o dzieje
Mojego życia w tych a tych epokach,
O bitwy, szturmy, przebyte koleje.
Opowiadał mu one, począwszy
Od lat chłopięcych aż do owej chwili,
W której mi one kazał opowiadać;
Prawiłem mu o ciężkich moich przejściach,
Strasznych przygodach na morzu i lądzie;
Jakem to o włos ledwie się wydobył
Z śmiercią ziejących bresz³⁵...*

ależ to już Schuylkill po kocich łbach kopyta koni grzechoczą ostro na gładkim mokrym asfalcie przez szare smugi deszczu połyskliwa rzeka toczy zimowe mętne wody Kiedy byłem w twoim wieku Jack skakałem z mostu na głowę przez barierę widać w dole zimną połyskującą w deszczu wodę Tak w ubraniu skakałeś? Tylko w koszuli

³⁴ Oko kamery (4) - to wspomnienie z jakiegoś przejazdu małego Dos Passosa z rodzicami przez Filadelfię, gdzie jego ojciec rozpoczynał karierę jako chłopiec na posyłki, a później praktykant w firmie adwokackiej, o czym jest szerzej mowa w Oku kamery (15). Rzeka Schuylkill przepływa przez zachodnią i południową część miasta i uchodzi do rzeki Delaware, którą Dos Passos ojciec dopływał tu niekiedy w późniejszych latach swoim jachtem z Waszyngtonu czy Wirginii.

³⁵ Jej ojciec... - W. Szekspir *Oteilo*, akt I, scena 3, przełożył Józef Paszkowski.

MAC

Fainy stał przy drzwiach w zatłoczonym wagonie kolei nadziemnej i na plecach tęgiego jegomościa, trzymającego się skórzanej rączki nad głową, odczytywał raz po raz list na mięsistym blankiecie ze znakiem wodnym:

LITERACKIE TOWARZYSTWO KOLPORTAŻOWE POSZUKIWACZY PRAWDY,
SP. Z O.O. Biura: 1104 South Hamlin Avenue, Chicago, Illinois

14 kwietnia 1905

Fenian O'H. McCreary 456 North Wood Street Chicago, III.

Szanowny Panie!

Z przyjemnością potwierdzamy odbiór listu Pańskiego z 10 bm.

Co do sprawy, o którą chodzi, uważamy, że wskazana byłaby osobista rozmowa. Gdyby Pan więc wpadł pod powyższym adresem w poniedziałek 16 kwietnia o godzinie dziewiątej, moglibyśmy omówić dokładnie sprawę i od razu zdecydować, czy nadaje się Pan na stanowisko, o które się Pan ubiega.

Pański w poszukiwaniu Prawdy

EMANUEL R. BINGHAM, Doktor Teologii

Fainy miał pietra. Dojechał za wcześnie i zostało mu piętnaście minut na przejście dwu przecznic. Wlókł się ulicą, oglądając wystawy. W sklepie preparatora stał wypchany złoty bażant; nad nim wisiała wielka płaska zielonkawa ryba z długim dziobem w kształcie piły, na którym huśtała się karteczka:

RYBA PIŁA (pristis perrotetti)

Zamieszkuje wybrzeża Florydy i Zatoki Meksykańskiej. Chętnie przebywa w płytkich zatoczkach i odnogach morskich.

Może w ogóle nie iść? W głębi wystawy czaił się ryś, po drugiej stronie kuguar, każdy na swoim konarze. Nagle Fainy zaczerpnął tchu. Spóźni się. Puścił się pędem wzdłuż chodnika.

Bez tchu i z sercem łomocącym głośniejszym niż tramwaje wdrapał się na czwarte piętro. Jedne po drugich lustrował matowo szklone drzwi.

POWSZECHNE TOWARZYSTWO ŁĄCZNOŚCI

F.W. Perkins Ubezpieczenia

CHICAGOWSKIE TOWARZYSTWO ZABAWEK MAGICZNYCH

Dr Noble Utensylia Szpitalne i **Ambulatoryjne**

Ostatnie były brudne drzwi w tyle obok ubikacji. Złocene litery złuszczyły się, ale jakoś zdołał odcyfrować po śladach:

POWSZECHNA SPÓŁKA WYPOSAŻENIOWO-ZAOPATRZENIOWA

Potem spostrzegł na ścianie koło drzwi bilet z dłonią trzymającą wyciągniętą pochodnię, a

pod tym słowa: „Towarzystwo Poszukiwaczy Prawdy”. Zapukał ostrożnie. Nikt nie odpowiedział. Zapukał jeszcze raz.

- Wchodzić, nie stukać - zawołał niski głos.

Fainy stwierdził, że się jąka, kiedy otworzył drzwi i wszedł do wąskiego ciemnego pokoju, zavalonego dwoma olbrzymimi zasuwanyymi biurkami:

- Przepraszam pana. Przyszedłem zobaczyć się z panem Binghamem.

Przy dalszym biurku, przed jedynym oknem, siedział postawny mężczyzna z wielką obwisłą szczęką, która upodabniała go trochę do setera. Miał długie czarne włosy, skręcone lekko nad uszami, i szeroki czarny pilśniowy kapelusz, zsunięty na tył głowy. Rozparł się na krześle i zmierzył Fainy'ego od stóp do głów.

- Jak się masz, młody człowieku? - huknął basem. - No, jakie książeczki chciałbyś dzisiaj nabyć? Czym ci mogę służyć?

- Przepraszam, to pan jest pan Bingham?

- Masz przed sobą doktora Bingham'a we własnej osobie.

- Bo ja, proszę pana... ja przyszedłem w sprawie tej pracy.

Wyraz twarzy doktora Bingham'a uległ zmianie. Usta skrzywiły się, jakby skosztował czegoś kwaśnego. Okręcił się na obrotowym krześle i splunął do mosiężnej spluwaczki w kącie pokoju. Potem obrócił się z powrotem do Fainy'ego i wymierzył w niego grubym palcem.

- Młody człowieku, jak się pisze: doświadczenie?

- D-o-ś-w-i-a-t-c-z...

- Wystarczy. Nie masz wykształcenia. Tak też i myślałem. Nie wiesz, co to kultura, nie znasz żadnego z tych wzniosłych uczuć, które odróżniają człowieka cywilizowanego od dzikusów mieszkających na puszczy. Nie wiesz, co to zapal poszukiwania prawdy, niesienia światła tam, gdzie panuje ciemność. Czy ty zdajesz sobie sprawę, młody człowieku, że to nie jest zwykła praca, to, co ci proponuję, ale wielka okazja, wspaniała okazja służenia innym i rozwijania samego siebie. Proponuję ci za darmo wykształcenie.

Fainy poruszył się niespokojnie. W gardle go dławiło.

- Jak to jest związane z drukarstwem, tobym chyba dał radę.

- Posłuchaj no, młody człowieku. Poddam cię teraz małemu egzaminowi, a ty odpowiadając nie zapominaj, że stoisz u progu kariery.

Przez dłuższą chwilę szperał w przegródkach biurka, wreszcie znalazł cygaro, odgryzł koniuszek, zapalił, po czym zwrócił się z powrotem do Fainy'ego, który stał jak na rozżarzonych węglach.

o, może byś mi powiedział nazwisko.

- Fenian O'Hara McCreaty.

- Yhm, ze szkocko-irlandzkiej rodziny. To bardzo dobre połączenie, sam pochodzę z takiej rodziny. Wyznanie?

Fainy poruszył się niespokojnie.

- Ojciec był katolikiem, ale...

Oblał się rumieńcem. Doktor Bingham roześmiał się i zatarł ręce.

- Och, religio, jakichże zbrodni nie popełniano w twoje imię! Ja sam jestem agnostykiem, nie zważam na pochodzenie społeczne ani wiarę, kiedy znajduję się wśród przyjaciół. Chociaż czasami, mój chłopcze, człowiek musi patrzeć, skąd wiatr wieje. Tak, bracie, moim Bogiem jest prawda, która, wznosząc się coraz wyżej w dłoniach uczciwych ludzi, rozproszy mroki ciemnoty i zachłanności i przyniesie rodzajowi ludzkiemu wyzwolenie i wiedzę... Zgadzasz się ze mną?

- Pracowałem u wuja. On to jest socjaldemokratą...

- Och, młodzieńcze z gorącą głową! Potrafisz powozić?

- Pewnie, proszę pana, pewnie, że bym potrafił.

- No to nie widzę powodu, dlaczego miałbym cię nie przyjąć.

- W gazecie pisało, że tygodniówka będzie piętnaście dolarów.

Głos doktora Bingham przybrał jeszcze bardziej aksamitny ton.

- No, Fenianie, mój chłopcze, piętnaście dolarów to minimum tego, co zarobisz tygodniowo. Słyszałeś kiedy o kooperatywach? Właśnie na takiej zasadzie cię przyjmuję. Jako wyłączny właściciel i reprezentant Towarzystwa Poszukiwaczy Prawdy rozporządzam wspaniałym ze stawem książeczek i broszur obejmujących wszystkie aspekty ludzkiej wiedzy i dążeń. Zamierzam niezwłocznie przystąpić do wielkiej kampanii handlowej, która obejmie cały kraj. Ty będziesz jednym z moich kolporterów. Książki kosztują od dziesięciu do pięćdziesięciu centów. Na każdej książce za dziesięć centów zarobisz centa, na pięćdziesięciocentowych będziesz zarabiał pięć centów.

- A tygodniówki żadnej nie dostanę? - wyjąkał Fainy.

- Łakomy dwa razy traci. Nie odrzucisz chyba dla nędznej tygodniówki najwspanialszej okazji, jaka ci się trafia w życiu? Nie, widzę po twoim płomiennym wzroku, po twoim dumnym imieniu, które się wywodzi prosto z pradawnych dziejów Irlandii, że jesteś młodzieńcem wielkiego ducha i determinacji. No, dogadaliśmy się? Więc uściśnijmy dłonie na zgodę, Fenianie, a na Boga, nigdy tego nie pożałujesz.

Doktor Bingham porwał się na nogi, złapał Fainy'ego za rękę i jął potrząsać.

- A teraz chodź ze mną, Fenianie. Na wstępie musimy załatwić ważną sprawę.

Ściągnął kapelusz na czoło i razem zaczęli schodzić po schodach. Doktor Bingham był tęgim mężczyzną; tłuszcz drgał luźno na jego ciele, kiedy się poruszał. „Ostatecznie, to jednak praca” - powiedział sobie Fainy.

Weszli najpierw do krawca, gdzie na ich spotkanie przywłókł się złoty mężczyzna o długim nosie, którego doktor Bingham nazywał Lee. W pracowni pachniało parującym materiałem i płynem do wywabiania plam. Lee mówił tak, jakby nie miał podniebienia.

- Jestem cholery człowiek - powiedział. – Wydałem więcej tysiąc dolarów na doktoly i nic mi nie lepiej.

- No, ja cię nie opuszczę, wiesz dobrze, Lee.

- Pewnie, Mannie, pewnie. Tylko ty mi za dużo pieniędzy winien.

Doktor Emanuel Bingham spojrział na Fainy'ego kącikiem oka.

- Zapewniam cię, że cała sytuacja finansowa wyjaśni się w ciągu najbliższych dwu miesięcy. Ale co bym teraz chciał, to pożyczyć od ciebie dwa duże kartony, te tekturowe pudła, w których odsyłasz klientom ubrania.

- Co ty chcesz z nimi robić?

- Och, mamy z moim młodym przyjacielem taki maleńki projekcik.

- Tylko ty nie łób żaden szwindel. Tam jest moje nazwisko na te pudła.

Doktor Bingham wybuchnął serdecznym śmiechem, kiedy wyszli na ulicę, pod obiema pachami ściskając wielkie płaskie pudła z ozdobnymi napisami: „Levy i Goldstein, Rzetelne Krawiectwo”.

- Zawsze był z niego taki kawalarz - powiedział. – Ale niech jego oplakany stan będzie dla ciebie nauką, Fenianie. Biedak cierpi na skutek pewnej choroby społecznej, której się nabawił w wyniku młodzieńczej lekkomyślności.

Znów mijali sklep preparatora. Na wystawie dzikie koty, złoty bażant i wielka ryba piła. „Chętnie przebywa w płytkich zatoczkach i odnogach morskich”. Fainy'ego kusiło, żeby cisnąć pudła na ziemię i rzucić się do ucieczki. Ale w końcu to praca.

- Fenianie - powiedział doktor Bingham poufnym tonem - czy znasz hotel Mohawk?

- Pewnie, proszę pana. Robiliśmy dla nich różne druki.

- Ale ciebie tam nie znają, co?

- Nie, gdzie by mnie tam poznali. Raz odniosłem jakieś blankiety.

- To wyśmienicie. Teraz uważaj. Mieszkam w pokoju 303. Poczekasz i wejdiesz za jakieś pięć minut. Jesteś chłopcem od krawca, rozumiesz, przyszedłeś po ubrania do odświeżenia. Wejdiesz na górę, weźmiesz ubrania i zanieśiesz je do biura. Gdyby cię kto pytał, gdzie je niesiesz, powiesz, że do firmy Levy i Goldstein. Rozumiesz?

Fainy wciągnął głęboko powietrze.

- Jasne, że rozumiem.

Kiedy zastukał do małego pokoiku na poddaszu hotelu, doktor Bingham przechadzał się tam i z powrotem.

- Z firmy Levy i Goldstein - powiedział Fainy z powagą na twarzy.

- Widzę, chłopcze - odparł doktor Bingham – że będzie z ciebie zdolny pomocnik.

Cieszę się, że cię wybrałem. Dam ci dolara na konto przyszłych zarobków.

Mówiąc, wyjmował ubranie, papiery, stare książki z wielkiego kufra stojącego pośrodku pokoju. Zapakował je starannie w jeden karton. W drugi włożył futro.

- To palto kosztowało dwieście dolarów, Fenianie, resztki dawnej świetności. Jesienne liście w Vallombrosa³⁶ ... Et tu in Arcadia vixisti...³⁷ To łacina, język uczonych.

- Wuj Tim, ten, co prowadził drukarnię, w której pracowałem, znał dobrze łacinę.

- Myślisz, że udźwigniesz te pudła, Fenianie? Nie będą za ciężkie?

- Jasne, że udźwignę.

Fainy chciał zapytać o tego dolara.

- No, to lepiej zmykaj. Zaczekaj na mnie w biurze. W biurze Fainy zastał jakiegoś mężczyznę przy drugim zasuwany biurku.

- A ty tu czego? - wykrzyknął mężczyzna ochryłym głosem.

Był to młody człowiek o ostrym nosie, woskowej cerze i prostych czarnych włosach, sterczących pionowo na głowie. Fainy nie mógł złapać tchu po szybkiej wspinaczce, ręce miał sztywne od ciężkich kartonów.

- Wygląda mi to na jakieś nowe błazeństwo Manniego. Możesz mu powiedzieć, żeby się stąd wynosił. Jego biurko jest już wynajęte.

- Doktor Bingham przyjął mnie właśnie do pracy w Towarzystwie Poszukiwaczy Prawdy.

- Patrzcie no, przyjął go do pracy.

- Zaraz tu powinien być.

- Dobrze, siadaj i bądź cicho; nie widzisz, że jestem zajęty?

Fainy usiadł z posępną miną na obrotowym krześle przy oknie, jedynym krześle w całym biurze nie zawalonym stertą broszurek. Za oknem widać było kilka zakurzonych dachów i drabinek pożarowych. Przez brudne szyby mógł zajrzeć do podobnych biur z podobnymi zasuwany biurkami. Na biurku przed nim leżały paki z książkami, pomiędzy nimi wały się luzem małe książeczki. Jego wzrok zatrzymał się na tytule:

KRÓLOWA BIAŁYCH NIEWOLNIC

Przerażające wyznania Milly Meecham, w wieku lat szesnastu wykradzonej z domu rodziców i przez nędznego uwodziciela popchniętej do życia pełnego hańby i niesławy.

Zaczął czytać. Język zasechł mu w ustach, ciało zrobiło się lepkie.

³⁶ Vallombrosa (wt Cienista Dolina) - to dolina w Toskanii w okolicach Florencji, obfitująca w piękne lasy, rozslawiona często cytowanymi wersami z I księgi *Raju utraconego* Johna Milтона: „Gęste jak jesienne liście, co zaścielają strugi / W Vallombrosa”.

³⁷ Et tu... (łac.) - I ty mieszkałeś w Arkadii; jest to popularny napis nagrobkowy, nawiązujący do mitów rodem ze starożytnej poezji bukolicznej o szczęśliwym życiu pasterzy w tej lesistej górskiej krainie na Peloponezie.

- Nikt cię nie zaczepiał po drodze, co?

Basowy głos doktora Bingham wdarł się w lekturę. Ale nim Fainy zdążył odpowiedzieć, nieznajomy mężczyzna warknął od swojego biurka:

- Słuchaj, Mannie, musisz się stąd wynosić. Twoje biurko już wynajęte.

- Nie wytrząsaj nade mną swoich krwawych kudłów,³⁸ Samuelu Epsteinie. Właśnie przygotowujemy z moim młodym przyjacielem wyprawę pomiędzy dzikusów czarnego Michiganu. Wyjeżdżamy wieczorem do Saginaw. Nie minie dwa miesiące, jak wrócę, żeby przejąć ten lokal z twoich rąk. Ten młody człowiek jedzie ze mną uczyć się zawodu.

- Patrzcie no, zawodu - burknął tamten i ukrył z powrotem twarz w papierach.

- Opieszczość, Fenianie, jest złodziejem czasu - powiedział doktor Bingham wkładając po napoleońsku tłustą dłoń za poły dwurzędowej kamizelki. - Jest w sprawach ludzkich fala, która wykorzystana w pełni³⁹...

Przez następne dwie godziny Fainy pocił się, pakując pod jego kierunkiem książki, wiążąc paki i wypisując na szarym papierze adres: „Towarzystwo Poszukiwaczy Prawdy, Saginaw, Michigan”. Potem wyprosił sobie godzinę, żeby skoczyć do domu i pożegnać się z rodziną. Milly pocałowała go wąskimi, zaciśniętymi wargami w czoło, po czym wybuchnęła płaczem.

- Szczęściarz z ciebie. Gdybym ja była chłopakiem - wyrzuciła jednym tchem i uciekła na górę.

Ciotka powiedziała, żeby był porządnym chłopcem i żeby zawsze mieszkał w Ymce - to chroni przed pokusami; i niechaj wuj ze swoimi pijackimi zwyczajami będzie mu przestrożą. Gardło mu się ścisnęło, gdy szedł szukać wuja Tima. Znalazł go w tylnej sali u O'Grady'ego. Wuj miał mętne błękitne oczy i trzęsła mu się dolna warga, kiedy mówił:

- Wypij ze mną kufelek, Fainy. Musisz sobie teraz sam radzić.

Fainy wypił piwo, nie czując żadnego smaku.

- Rozgarnięty z ciebie chłopak, Fainy. Żałuję, że ci nie mogłem więcej pomóc; O'Hara z ciebie w każdym calu. Czytaj Marksa, ucz się, czego będziesz mógł; pamiętaj, jesteś buntownikiem z krwi i kości. I nie miej pretensji do ludzi. Weź tę herod-babę z językiem żmii, którą los mi dał za żonę; czy ja mam do niej pretensję? Nie, bo wszystkiemu winien system. I pamiętaj, żebyś się nigdy nie zaprzedał tym skurwysynom; przez kobiety zawsze się człowiek zaprzeda. Rozumiesz, o co mi chodzi. No to idź, synu. Musisz zmykać, bo się spóźnisz na pociąg...

- Napiszę z Saginaw, wujku Timie, na pewno napiszę.

Pociągnęła rumiana twarz wuja Tima w pustej zadymionej sali, połyskujący mosiądzem bufet z

³⁸ Nie wytrząsaj... -to sparafrazowany cytat z *Makbeta* W. Szekspira, akt III, scena 4.

³⁹ Jest w sprawach... - to sparafrazowany cytat z *Juliusza Cezara* W. Szekspira, akt IV, scena 3.

przechylonym barmanem o czerwonych rękach, butelki, lustra, portret Lincolna - wszystko to rozplynęło się jak za mgłą i już był na błyszczącej od deszczu ulicy, biegł z walizką w ręku pod błyszczącym sklepieniem chmur do stacji kolei nadziemnej.

Doktor Bingham czekał na niego na dworcu Illinois Central, otoczony wianuszkami pak w szarym papierze. Fainy'emu zrobiło się głupio na duszy, kiedy go spostrzegł z tymi tłustymi, ziemistymi podbródkami, w dwurzędowej kamizelce, w workowatym czarnym pastorskim surducie, w zakurzonej czarnym pilśniowym kapeluszu, spod którego włosy wyłaziły nieoczekiwanymi kłaczkami na mięsiste uszy. W końcu to jednak praca.

- Muszę przyznać, Fenianie - zaczął doktor Bingham, ledwo Fainy podszedł - że mimo całego przekonania o znajomości natury ludzkiej byłem trochę niespokojny, czy się zjawisz. Gdzież to poeta mówi, że trudny jest pierwszy płochliwy lot pisklęcia, które jeszcze nie opuściło gniazda? No, zanieś te paczki do pociągu, a ja tymczasem kupię bilety. Tylko pamiętaj, wybierz wagon dla palących.

Kiedy pociąg ruszył i konduktor przeciął bilety, doktor Bingham pochylił się i stuknął Fainy'ego pulchnym palcem w kolano.

- Rad jestem, że schludnie się ubierasz, mój chłopcze; nigdy nie zapominaj, jak ważna jest powierzchowność, którą pokazujesz światu. Choćby serce było jak proch i popiół, cielesna powłoka powinna być zawsze rześka i radosna. Chodź, pójdziemy na cygaro do palarni; odpoczniemy od tych ćwoków.

Padła gęsta deszcz i okna wagonu poprzecinane były na tle ciemności pasmami ukośnych paciorków. Fainy czuł się niepewnie, idąc za doktorem Binghamem przez rozkołysany wagon klubowy z fotelami wyściełanymi zielonym pluszem do małej, objanej skórą palarni na końcu. Znalazłszy się tam, doktor Bingham wyciągnął z kieszeni olbrzymie cygaro i zajął się puszczeniem wspaniałych kólek. Fainy przycupnął koło niego z nogami ukrytymi pod ławką, starając się zajmować jak najmniej miejsca.

Powoli przedział wypełnił się milczącymi mężczyznami i krętymi spiralami dymu. Na dworze deszcz bębnił o szyby jak ziarenka żwiru. Przez długi czas nikt nic nie mówił. Niekiedy któryś z mężczyzn chrząknął i na odległość celował do spluwaczki kulką flegmy lub strumyczkiem soku tytoniowego.

- Tak, tak, panie - zaczął jakiś głos, jakby dochodzący znikąd i skierowany donikąd - inauguracja⁴⁰ była jak się patrzy, chociaż o mało nie zamarzyliśmy na śmierć.

⁴⁰ Mowa o inauguracji Theodora Roosevelta (nazywanego dalej poufale Teddym) na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych w dniu 4 marca 1905 roku. W poprzednich wyborach 1900 roku Roosevelt (1858-1919) został wybrany wiceprezydentem z ramienia Partii Republikańskiej, by po paru miesiącach objąć po zamordowanym Wilhamie McKinleyu urząd prezydenta, który pełnił do 1909. Potomek patrycjuszowskiej rodziny nowojorskiej, Roosevelt miał barwne i burzliwe życie, był pisarzem, ranczerem, podróżnikiem, pionierem działań na rzecz ochrony przyrody. Począwszy od 1889 sprawował różne funkcje publiczne, m.in. komisarza policji nowojorskiej, podsekretarza marynarki, gubernatora stanu Nowy Jork, na wszystkich tych

- Był pan w Waszyngtonie?

- I owszem, panie, byłem.

- Większość pociągów dojechała dopiero następnego dnia.

- Wiem, panie, ale ja miałem szczęście. Niektóre pociągi stały uwięzione w zaspach przez czterdzieści osiem godzin.

Śnieżycą była, nie ma co.

Do nocy nie ustały północne podmuchy,

Lecz już tchnienie cieplejsze dodaje otuchy

I słońce, co w południe przebijając chmury

*Rozświetliło jaskrawym blaskiem dzień ponury*⁴¹

zadeklamował doktor Bingham skromnie, ze spuszczonej oczami.

- Musi pan mieć doskonałą pamięć, żeby tak deklamować wiersze bez zająknięcia.

- I owszem, nie obrażając wrodzonego poczucia skromności, muszę przyznać, że mam pamięć, można powiedzieć, encyklopedyczną. Gdyby to był dar natury, nie pozostałoby mi nic innego, jak zaczerwienić się i milczeć, ale ponieważ jest to wynik czterdziestu lat studiowania wszystkiego, co najlepsze w światowej literaturze epicznej, lirycznej i dramatycznej, uważam, że zwrócenie na to uwagi może być czasami zachętą dla innych, którzy kroczą ścieżką oświecenia i samokształcenia. - Obrócił się raptownie do Fainy'ego. - Młody człowieku, chciałbyś usłyszeć przemowę Otella do weneckiego senatu?

- Pewnie, że bym chciał - powiedział Fainy czerwieniąc się.

- No, nareszcie nasz Teddy będzie miał możliwość wywiązania się z obietnicy zwalczania trustów.

- Powiadam panu, głosy tych zbuntowanych farmerów z Północnego Zachodu...

- Okropna historia z tymi pociągami specjalnymi, które uwięzły w śniegu.

Ale doktor Bingham już recytował:

Potężni, światli, szanowni panowie,

urzędach wykazując się nieprzeciętną energią i reformatorskimi poczynaniami. W 1898, podczas wojny hiszpańskiej, zdobył ogólnonarodową sławę jako organizator ochotniczego oddziału kawalerii, którym dowodził na Kubie. Jako prezydent prowadził politykę umiarkowanych reform w sprawach wewnętrznych, forsując m.in. ustawy ograniczające samowolę wielkich trustów, oraz twardą politykę umacniania amerykańskiej dominacji w sprawach zagranicznych. W 1905 roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za mediację, która doprowadziła do zakończenia wojny rosyjsko-japońskiej. W 1908 zrezygnował z kandydowania na następną kadencję prezydencką na rzecz swego sekretarza wojny, Williama Howarda Tafta, jednakże niezdecydowanie i konserwatyzm tego ostatniego na urządzie prezydenta sprawiły, że w następnych wyborach 1912 roku postanowił się ubiegać ponownie o nominację Partii Republikańskiej. Przegrawszy w rywalizacji o kandydaturę z Taftem, stworzył z liberalnych republikanów nową Partię Progresywną, ale rozbiście Partii Republikańskiej zdecydowało o lawinowym zwycięstwie kandydata Partii Demokratycznej, Woodrowa Wilsona. Po wybuchu wojny Roosevelt od początku agitował za przystąpieniem do niej Stanów po stronie alianckiej, a gdy do tego doszło, chciał formować, jak podczas wojny hiszpańskiej, ochotnicze oddziały ekspedycyjne pod swoim dowództwem, na co nie uzyskał zgody prezydenta. W drugim tomie trylogii, *Roku 1919*, Dos Passos poświęcił mu rozdział biograficzny, zatytułowany „Szczęśliwy wojak”.

⁴¹ Do nocy... - to wersy 93-96 bardzo w tym czasie popularnej opowieści poetyckiej *Snow-Bound (W okowach śniegu, 1866)*, pióra poety amerykańskiego Johna Greenleafa Whittiera (1807-1892). Utwór jest wyidealizowanym

*Wielce szlachetni i łaskawi moi
Rozkazodawcy! Żem starcowi temu
Wziął córkę, prawdą jest; prawdą jest niemniej,
Żem ją zaślubił...*

- Nie uda im się z tymi ustawami antytrustowymi, może mi pan wierzyć, me uda się. Nie można ograniczać w ten sposób wolności osobistej jednostki.

- Ależ to właśnie wolność osobistą jednostkowego przedsiębiorcy chce chronić postępowe skrzydło partii republikańskiej.

Lecz doktor Bingham był już na nogach, z jedną dłonią zatknietą za poję dwurzędowej kamizelki, drugą zataczając szerokie, okrągłe gesty:

*Szorstka moja mowa,
Obrana z krasnych wyrażen właściwych
Czasom pokoju. Zaledwie to ramię
Uczuło w sobie siedmioletnie siły,
Od tej już pory, aż dotąd, odjąwszy
Dziewięć ostatnich miesięcy, jedynym
Moim zajęciem, w polu i w obozie,
Było wojenne rzemiosło...*

- Głosy farmerów - zaczął jeden z mężczyzn piskliwie, ale nikt go nie słuchał. Uwagę przykuwał doktor Bingham.

*... o sprawach
Wielkiego świata mało więcej
Powiedzieć mogę nad to, co dotyczy
Bitw i szczegółów żołnierskiego życia;
Toteż i mówiąc w własnej sprawie, mało
Barw mogę użyć.⁴²*

Pociąg zaczął zwalniać i głos doktora Bingham zabrał nagle dziwnie głośno w malejącym łoskocie. Fajny poczuł, że siedzi wciśnięty z całej siły w oparcie ławki. Raptem zaległa cisza, gdzieś z oddali zabrał dzwon na lokomotywie, po czym rozległ się głos doktora Bingham zniżony do lepkiego szeptu:

- Proszę panów, mam tutaj w broszurowym wydaniu pełną, nie wykastrowaną edycję jednego z arcydzieł literatury światowej, sławnego Dekameronu Boccaccia, który od czterystu lat uchodzi za synonim pieprznego dowcipu i rubasznego humoru. - Wyjął z jednej ze swoich

wspomnieniem ze śnieżnej zimy na rodzinnej farmie Whittiera w Massachusetts.
⁴² Potężni, światli... Szorstka moja mowa... o sprawach...-to cytaty z Szekspirowskiego *Otella*, akt I, scena 3, przełożył Józef Paszkowski.

wypchanych kieszeni plik małych książeczek i zaczął nimi wymachiwać. - W dowód życzliwości gotów byłbym podzielić się częścią egzemplarzy, gdyby któryś z panów miał na nie ochotę. Weź, Fenianie, i zapytaj, kto reflektuje; po dwa dolary sztuka. Mój młody przyjaciel zajmie się dystrybucją... Dobranoc panom.

Pociąg ruszył, gdy wychodził, zostawiając Fainy'ego z książeczkami w ręku pośrodku kołyszącej się palarni. Podejrzliwe oczy mężczyzn świdrowały go jak sztylety.

- Pokaż no tę książkę - powiedział w końcu mały człowieczek o wylupiastych oczach, siedzący w kącie.

Otworzył książkę i zabrał się łapczywie do czytania. Fainy stał pośrodku przedziału i czuł ciarki przebiegające mu po ciele. Spostrzegł biały błysk w kąciку oka, kiedy mały człowieczek zerknął wzdłuż linii cygar, poprzez kłęby dymu. Odstające uszy zaczynały mu nabiegać czerwienią.

- Mocna rzecz - powiedział. - Ale dwa dolary to za dużo.

Fainy stwierdził, że się jąka:

- Tto nie m-moje, proszę pana. Nie w-wiem...

- No, już dobrze. Pał to lichó.

Wcisnął Fainy'emu w rękę dwa banknoty dolarowe i pogrążył się z powrotem w lekturze. Fainy miał sześć dolarów w kieszeni i dwie nie sprzedane książeczki, kiedy ruszył z powrotem do wagonu osobowego. W połowie wagonu klubowego spotkał konduktora. Serce zamarło mu w piersiach. Konduktor zmierzył go ostrym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

Doktor Bingham siedział na swoim miejscu z głową ukrytą w dłoniach i zamkniętymi oczami, jakby drzemał. Fainy wcisnął się na ławkę koło niego.

- Ile wzięli? - zapytał doktor Bingham kącikiem ust, nie otwierając oczu.

- Mam sześć dolarów. Rany boskie, ale mi konduktor napędził stracha. Jak się spojrział!

- Konduktora zostaw mnie i pamiętaj, że nigdy nie jest przestępstwem w obliczu ludzkości i oświaty kolportować dzieła wielkich humanistów wśród kupców i groszorbów tego przekłętego kraju. Podaj mi nieznacznie forszę.

Fainy chciał zapytać o przyrzeczonego dolara, ale doktor Bingham deklamował już znowu Otella:

Gdyby po każdej burzy miała taka

Cisza nastawać, niech szaleją wichry

I niech się na góry fal pnie łódź wędrowną

Aż po sam Olimp...⁴³

Spali do późna w Hotelu Kupieckim w Saginaw, po czym zjedli obfite śniadanie, podczas którego doktor Bingham roztrząsał teorię i praktykę sprzedawania książek.

⁴³ Gdyby po każdej burzy... - to cytat z *Otella*, akt II, scena 1, przełożył Józef Paszkowski.

- Mam poważne obawy, że na tym odludziu, na które się teraz zapuścimy - powiedział krząc trzy sadzone jajka i napychając usta grzanką z chleba pieczonego na proszku - że na tym odludziu kmiotki ciągle jeszcze wzdychają do Marii Monk.

Fainy nie wiedział, kim była Maria Monk⁴⁴, ale nie miał ochoty pytać. Po śniadaniu poszedł z doktorem Binghamem do stajni Hummera wynająć wóz i konia. Nastąpiły długie targi pomiędzy Towarzystwem Poszukiwaczy Prawdy, Spółka z o.o., a kierownictwem Stajni i Wozowni Hummera co do ceny najmu wozu na resorach oraz srokatego konia nie pierwszej młodości, o zadach tak wychudzonych, że na sterczących kościach można było powiesić kapelusz. W rezultacie zrobiło się późne popołudnie, nim wreszcie minęli ostatnie zabudowania Saginaw i wyjechali na gościniec, z pakami książek spiętrzonymi w tyle wozu.

Był chłodny dzień wiosenny. Wzdęte chmury płynęły szarą ławicą po srebrzystogranatowym niebie. Srokaty koń ciągle wpadał w stępa i Fainy bez przerwy musiał klepać go lejcami po zapadłych kłębach i mlaskać językiem, aż mu zasychało w ustach. Po każdym klepięciu koń ruszał kłusa, który natychmiast przeradzał się w nierówny trucht, po czym przechodził w stępa. Fainy kłął i cmokał, ale nie mógł utrzymać konia w kłusie ani truchcie. Tymczasem doktor Bingham siedział obok niego w szerokim kapeluszu zsuniętym na tył głowy i paląc cygaro perorował:

- Pozwól sobie powiedzieć, że postawa człowieka świątłych poglądów to „Kaduk zabierz wasze domy!”⁴⁵. Ja sam jestem panteistą, ale nawet panteista... musi jeść. Stąd Maria Monk.

Krople deszczu, lodowate i kąśliwe jak grad, zaczęły bić ich w twarz.

- Dostanę zapalenia płuc, jak będziemy jechali w tym tempie; będziesz miał mnie na sumieniu. Mówiłeś, że umiesz powozić... O, patrz, wjedź w to obejście na lewo. Może nam pozwolą wstawić konia z wozem do stodoły.

Kiedy skręcili na drogę prowadzącą do szarego domu i wielkiej szarej stodoły, które stały pod kępą sosen trochę w bok od gościńca, koń przeszedł w stępa, po czym jął skubać pęki jasnozielonej trawy rosnącej na skraju rowu. Fainy trzepnął go końcem lejców, potem wystawił nogę i kopnął, ale srokacz ani drgnął.

- Niech to diabli! Daj mi te lejce.

Doktor Bingham szarpnął z pasją, ale nie odniosło to żadnego skutku ponad to, że koń obrócił łeb i spojrział na nich, ukazując pomiędzy długimi żółtymi zębami zieloną pianę częściowo przeżutej

⁴⁴ Kanadyjka Maria Monk (ok. 1817-1849), szarlatanka podająca się za byłą zakonnice, opublikowała w 1836 roku w Nowym Jorku książeczkę pt. *Awful Disclosures of the Hotel Dieu Nunnery of Montreal (Strasliwie rewelacje o żeńskim klasztorze Hotel Dieu w Montrealu)*, w której opisywała rzekome bezceństwa popełniane w katolickich klasztorach. Książeczka, podsycająca zawsze silne w Ameryce nastroje antykatolickie, rozeszła się w 200 tysiącach egzemplarzy i Maria Monk mogła w następnym roku wydać jej kontynuację, *Further Disclosures (Dalsze rewelacje)*. Jednakże rozwiązyły tryb życia autorki wzbudził wątpliwości co do jej prawdomówności i do Montrealu udała się komisja protestanckich duchownych, która stwierdziła, że „rewelacje” są wyssane z palca. Maria Monk umarła w więzieniu, skazana za kradzież.

⁴⁵ Kaduk zabierz wasze domy - to znaczy: domy Kapuletów i Montekich z *Romea i Julii* W. Szekspira. Są to

trawy. Famy odniósł wrażenie, że się śmieje. Deszcz bił coraz mocniej. Postawili kołnierze, lecz mimo to Fainy wkrótce poczuł lodowatą strużkę wody ciekącej po karku.

- Złaź, poprowadź go - prychnął doktor Bingham. - Niech to wszyscy diabli! Nie umiesz powozić, to ciągnij.

Fainy zeskoczył na ziemię i poprowadził konia do kuchennych drzwi domu. Deszcz lał mu się do rękawa z dłoni, którą trzymał uzdę.

- Dobry wieczór pani.

Doktor Bingham był już na nogach i kłaniał się starszej niskiej kobiecie, która ukazała się w drzwiach. Po chwili stał obok niej na ganku, poza zasięgiem deszczu.

- Czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, że wstawimy na chwilę konia z wozem do stajni? Mam na wozie cenny ładunek, który łatwo może ulec zniszczeniu, a nie wziąłem plandeki.

Kobieta kiwnęła strąkami siwych włosów.

- A, to bardzo ładnie z pani strony, trzeba przyznać. No, Femanie, to wstaw konia do stodoły i przychodź tutaj. I przynieś tę małą paczkę spod siedzenia... Mówiłem właśnie do mego młodego przyjaciela, że w tym domu na pewno mieszkają jacyś dobrzy samarytanie, którzy przyjmą dwu zdrożonych wędrowców.

- Niech pan wejdzie, panie... Będzie pan chciał pewnie posiedzieć przy piecu, trochę się osuszyć. Niech pan wejdzie, panie...

- Doktor Bingham się nazywam. Wielebny doktor Bingham - usłyszał jeszcze Fainy słowa, z którymi jego chlebodawca znikł w domu.

Był przemoczony i trząśł się, kiedy wreszcie wszedł także do domu, ściskając pod pachą paczkę książek. Doktor Bingham siedział rozparty na bujanym fotelu koło kuchni. Obok niego na wyszorowanym do białości sosnowym stole stał kawałek nadziewanego placka i kubek kawy. W kuchni unosił się ciepły swojski zapach jabłek, smażonego boczku i lamp. Stara kobieta, pochylona nad kuchennym stołem, słuchała uważnie, co mówi doktor Bingham. Druga kobieta, wielka i chuda, o rzadkich żółtych włosach zwiniętych w węzeł na czubku głowy, stała z tyłu, z czerwonymi rękami opartymi na biodrach. Czarno-biały kot, z grzbietem wygiętym w łuk i podniesionym ogonem, ocierał się o nogi doktora Bingham.

- A, Fenian, w samą porę - zaczął głosem, który przypominał mruczenie kota. - Właśnie mówię... opowiadam naszym uprzejmym gospodyniom o naszej arcyinteresującej i pouczającej biblioteczce, która zawiera całą śmietankę religijnej i nabożnej literatury świata. Odniosły się do nas tak łaskawie w tej przygodzie, jaką nam splatała pogoda, że poczytywałem sobie za obowiązek pokazać im kilka naszych tytułów.

Wysoka kobieta zwijała w rękach fartuch.

- Nie powiem, nawet lubię czasem poczytać - odezwała się nieśmiało. - Ale bo to człowiek ma czas? Chyba jak zima przyjdzie.

Dobrotliwie się uśmiechając, doktor Bingham rozwiązał sznurek i otworzył paczkę na kolanach. Jedna z książeczek upadła na podłogę i Fainy spostrzegł, że jest to Królowa białych niewolnic. Cień zniecierpliwienia przemknął po twarzy doktora Bingham. Przycisnął nogą leżącą książeczkę.

- To *Gawędy ewangeliczne*, mój chłopcze - powiedział. - Ja chciałem *Kazania na wszelkie okazje* doktora Spikenarda.

Podał półotwartą paczkę Fainy'emu, który szybko przycisnął ją do siebie. Potem pochylił się i powolnym, zamaszystym ruchem dłoni wyciągnął spod nogi książeczkę; wsunął ją do kieszeni.

- Będę chyba musiał sam pójść, poszukać – podjął głosem bardziej niż kiedykolwiek przypominającym mruczenie. Kiedy drzwi się zamknęły za nimi, warknął Fainy'emu w ucho: - Pod siedzeniem, hyclu jeden. Jak mi jeszcze raz zrobisz taki kawał, to ci kości porachuję!

I kolanem kopnął go w siedzenie tak silnie, że Fainy szczęknął zębami i wyleciał jak z procy na deszcz.

- Słowo daję, nie zrobiłem tego naumyślnie - pisnął. Ale doktor Bingham był już z powrotem w domu i jego niezmacony głos wydobywał się w mrok i deszcz wraz z pierwszym błyskiem lampy.

Tym razem Fainy nie omieszkał zajrzeć do paczki, nim ją zaniósł do kuchni. Doktor Bingham wziął książki nie patrząc na niego i Fainy wycofał się za komin. Stał tam w wilgotnym, parującym ubraniu, słuchając, jak doktor Bingham peroruje. Był głodny, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby go poczęstować kawałkiem placka.

- Och, moi drodzy, nie potrafię wam powiedzieć, jak wdzięczny jest Stwórcy samotny głosiciel ewangelii świat łości, wędrujący pośród plew i znojów tego świata, kiedy napotyka chętnych słuchaczy. Jestem pewien, że te skromne książeczki potrafią pocieszyć, zaciekawić i natchnąć każdego, kto zada sobie niewielki trud przestudiowania ich. Jestem tak głęboko przekonany o tym, że zawsze wożę z sobą kilka wolnych egzemplarzy, które gotów jestem odstąpić za umiarkowaną opłatą. Serce mi się kraje, że na razie nie mogę jeszcze rozdawać ich gratis, za darmo.

- Po ile one są? - zapytała stara kobieta i rysy jej twarzy nagle się zaostrzyły.

Chuda opuściła bezwładnie ręce i potrząsnęła głową.

- Pamiętasz, Fenianie - zapytał doktor Bingham, rozpierając się wygodniej w fotelu - jaka jest cena tych książeczek?

Fainy był obrażony. Nie odpowiedział.

- Chodź no tutaj, Fenianie - powiedział doktor Bingham miodowym głosem. - Pozwól,

że ci przypomnę słowa nieśmiertelnego barda:

... często pokora

Młodej ambicji służy za drabinę,

Do której zawzdy ten, co się pnie w górę,

Twarz ma zwrócona; lecz gdy na najwyższym

Ujrzy się szczeblu, natychmiast się do niej

Tylem odwraca...⁴⁶

- Ale ty musisz być głodny. Może zjesz mój placek?

- Znajdzie się jeszcze i dla chłopca kawałek placka - powiedziała starsza z kobiet.

- Czy nie po dziesięć centów są te książki? – odezwał się Fainy wychodząc z kąta.

- Jak po dziesięć centów, to może i wezmę jedną – powiedziała szybko stara kobieta.

Chuda zaczynała też coś mówić, ale już było za późno.

Placek ledwo zdążył zniknąć w ustach Fainy'ego, a połyskliwa dziesięciocentówka, wyjęta ze starego pudełka po tytoniu stojącego na kredensie, zniknęła w kieszonce kamizelki doktora Bingham, kiedy w mroku i deszczu za oknem rozległo się pobrzękiwanie uprząży i błysnęła latarnia bryczki. Starsza kobieta poderwała się na nogi i spojrzała nerwowo na drzwi, które się zaraz otworzyły. Otrzepując deszcz z klap kurtki, do izby wkroczył barczysty siwy mężczyzna z krótką szpicbródką sterczącą na okrągłej, rumianej twarzy. Za nim wszedł szczupły chłopak mniej więcej w wieku Fainy'ego.

- Dobry wieczór panu! Dobry wieczór, synu! – huknął doktor Bingham z ustami pełnymi jeszcze placka i kawy.

- Prosimy, żeby im pozwolić konia wstawić do stodoły, póki nie przestanie padać. Chyba to nie szkodzi, James? - zapytała niespokojnie stara kobieta.

- Chyba nie - powiedział mężczyzna, siadając ciężko na krześle. Kobieta zdążyła przed jego wejściem schować kupioną broszurę w szufladzie kuchennego stołu. - Książkami handlujecie, widzę. - Mężczyzna zmierzył wrogim spojrzeniem odwinętą paczkę. - No, nie potra nam tu tego śmiecia, ale przenocować możecie w stodole. Nie godzi się wyrzucać człowieka na taką psią pogodę.

Wyprzęgnęli tedy konia i wymościли sobie legowiska w sianie nad obórką. Zanim wyszli z izby, mężczyzna kazał im oddać zapałki.

- Gdzie są zapałki, tam tylko patrzeć ognia - powiedział.

Doktor Bingham, z miną jak gradowa chmura, owinął się końską derką, mruczając coś o poniewieraniu duchowną osobą. Fainy natomiast był podniecony i szczęśliwy. Leżał na wznak, wsłuchany w stukot deszczu na dachu i bulgotanie w rynnach, w przytłumione żucie i poruszenia

⁴⁶ ... często pokora... - to cytat z *Juliusza Cezara* W. Szekspira, akt II, scena 1, przełożył Józef Paszkowski.

bydła i konia na dole; nozdrza miał pełne woni siana i ciepłej zielnej słodyczy krów. Nie chciało mu się spać. Tęsknił do towarzystwa rówieśnika, z którym mógłby pogadać. Ale w końcu to praca. I jest w drodze.

Ledwo zasnął, obudziło go światło. Chłopak, którego widział w kuchni, stał nad nim z latarnią. Nad ich głowami wisiał olbrzymi cień, załamujący się na krokwiach.

- Słuchaj, chciałbym kupić książkę.

- Jaką książkę? Fainy ziewnął i usiadł.

- No wiesz... Taką o tancerkach, o białych niewolnicach, o takich różnych...

- A ile możesz zapłacić, synu? - odezwał się spod derki głos doktora Bingham. - Mamy wiele interesujących książek, które śmiało i szczerze przedstawiają fakty życia, opisują pożałowania godną rozwiązłość wielkich miast, w cenie od dolara do pięciu dolarów. Pełne wydanie Seksuologu doktora Burnside'a kosztuje sześć pięćdziesiąt.

- Ja tam nie mogę dać więcej jak dolara. Słuchajcie, ale nie poskarżycie na mnie staremu? - zapytał wyrostek, obracając się od jednego do drugiego. - Seth Hardwick, on tu mieszka niedaleko, jak pojechał raz do Saginaw, to kupił taką książkę od jednego faceta w hotelu. Jezuniu, to było morowe.

Zachichotał niepewnie.

- Fenianie, zejdź i podaj mu *Królową białych niewolnic* za dolara - powiedział doktor Bingham i ułożył się z powrotem do snu.

Fainy zszedł z gospodarskim synem po chwiejnej drabinie.

- Słuchaj, to bardzo pieprzne? Jezuniu, jakby ojciec znalazł, toby mi spuścił rżnięcie... Co, ty to pewnie znasz te wszystkie książki?

- Ja? - powiedział Fainy wyniośle. - Ja nie potrzebuję czytać książek. Jak zechcę, to mam to samo w życiu. No, bierz. To o upadłych kobietach.

- Co, taka mała książeczka za dolara? Myślałem, że za dolara to dostanę jaką większą.

- Za to jaka pieprzna!

- Dobrze, to biorę i zmykam, zanim ojciec zauważy, że się włóczę po nocy. Dobranoc.

Fainy odnalazł legowisko na sianie i zapadł w twardy sen. Śniło mu się, że wchodzi po koślawych schodach jakiejś stodoły, w towarzystwie Milly, która robi się coraz większa, bledsza i grubsza, na głowie ma wielki kapelusz obszyty strusimi piórami, suknia pruje jej się od szyi coraz niżej i niżej, a głos doktora Bingham obwieszcza: „To właśnie Maria Monk, królowa białych niewolnic”; już miał ją złapać, kiedy promienie słońca otwały mu powieki. Przed nim stał doktor Bingham na szeroko rozstawionych nogach i czesząc włosy kieszonkowym grzebykiem, deklamował:

W drogę czas ruszać: wszechobecne słońce

Niejedno miejsce darzy błogim ciepłem

*Ni człek jak drzewo zapuszcza korzenie...*⁴⁷

- No, Fenianie - huknął basem widząc, że Fainy już nie śpi - czas otrząsnąć kurz tego niegościnnego domostwa, ze złorzeczeniem przypasując sandały, jak mawiali starożytni filozofowie. Zaprzęgaj konia, śniadanie zjemy w drodze.

Tak jeździli przez kilka tygodni, aż któregoś wieczora trafili na schludny żółty dom, stojący w zagajniku ciemnych pierzastych modrzewi. Fainy czekał na wozie, a doktor Bingham poszedł rozmówić się z gospodarzami. Po chwili pojawił się w drzwiach, z twarzą pofałdowaną szerokim uśmiechem.

- Możemy spodziewać się przyzwoitego przyjęcia, Fenianie, takiego jakie przystoi osobie duchownej i w ogóle... Uważaj, jak się wyrażasz, dobrze? Zaprowadź konia do stodoły i wyprzęgnij.

- Wszystko ładnie, panie Bingham, ale co z moimi pieniędzmi? Minęło już trzy tygodnie.

Fainy zeskoczył z wozu i podszedł do łba konia. Po twarzy doktora Bingham przemknął mroczny cień. - Och, mamona, mamona.

- Dobrze obejrzyj te ręce:

*Dłoń śnieżnobiała, lecz co to, Brudne widać na niej plamy? Tfu, to są przekupstwa ślady!*⁴⁸

- Snułem wielkie plany kooperatywne, a ty wszystko psujesz swoją młodzieńczą zapalczywością i skąpstwem. Ale jak już koniecznie chcesz, to jeszcze dziś wieczór dostaniesz wszystko, co ci się należy, i więcej. A teraz wyprzęgnij konia i przynieś tę małą paczkę z Marią Monk i Zmową papistów.

Był ciepły wieczór. Koło stodoły śpiewały drozdy. Pachniało wonną turówką i kwiatami. Stodoła była czerwona, podwórze bieliło się od leghomów. Wyprzągłszy wóz i odprowadziwszy konia do stajni, Fainy usiadł na płocie i patrząc na srebrnozielony zagon owsa za domem, palił papierosa. Pragnął teraz mieć koło siebie dziewczynę, którą by mógł objąć ramieniem, albo kolegę, z którym by mógł pogadać.

Na ramieniu poczuł czyjąś rękę. Obok stał doktor Bingham.

- No, Fenianie, młody przyjacielu, trafiła nam się gratka - powiedział. - Gospodyni jest w domu sama, mąż pojechał z parobkiem na dwa dni do miasta. Nie będzie nikogo, tylko ona i dwoje małych dzieci, słodkie szkraby. Możliwe, że wystąpię w roli Romea. Nie widziałeś mnie jeszcze zakochanego, to moja najwznioślejsza rola. Och, opowiem ci kiedyś o mojej niepokromionej młodości. Chodź, zobaczysz, jaka z niej słodka ślicznotka.

W drzwiach kuchni powitała ich, krygując się, okrągła kobieta z dołkami na policzkach i w

⁴⁷ W drogę czas ruszać... - to cytat nie zidentyfikowany.

⁴⁸ Dobrze obejrzyj... -to fragment IV księgi poematu autora angielskiego Williama Cowpera (1731-1800), *The Task* (*Zadanie*, 1785). Pisany białym wierszem, poemat łączy elementy heroikomiczne, satyryczne i sentymentalno-opisowe z moralizatorskim przesłaniem mającym na celu „odeprzeć nowomodne zachwyty nad życiem londyńskim i zalecić wiejską swobodę i beztróskę jako sprzyjające pobożności i cnocie”.

lawendowym czepku na głowie.

- Oto mój młody pomocnik, proszę pani – powiedział doktor Bingham z bohaterskim gestem. - Fenianie, to jest pani Kovach.

- Musicie panowie być głodni. Zaraz siadamy do kolacji.

Ostatnie promienie słońca oświetlały kuchnię zastawioną garnkami i rondlami, spod okrągłych wypolerowanych pokrywek buchały obłoczki wonnej pary. Pani Kovach pochyliła się tak, że widać było tylko jej wielkie granatowe siedzenie uwieńczone wykrochmaloną kokardką fartucha przewiązanego w pasie, i otwarte drzwi pieca, wyjęła dużą blachę pełną bułeczek kukurydzianych, które wysypała na półmisek czekający na nakrytym stole pod oknem. Kuchnię wypełniła ciepła woń ciasta. Fainy'emu ślinka napłynęła do ust, doktor Bingham zacierał dłonie i przewracał oczyma. Wreszcie usiedli i pani Kovach, usadowiwszy dwójkę umorusanych błękitnookich dzieci, które od razu rzuciły się na jedzenie, nałożyła im kopiałe talerze faszerowanych pomidorów z tłuczonymi kartoflami, gulaszu oraz fasoli z wieprzowiną. Potem naląła im kawy i siadając powiedziała z mgiełką w oczach:

- Lubię patrzeć, jak mężczyźni jedzą.

Na twarzy miała tak wniebowzięty wyraz, że Fainy, przypadkiem spojrzawszy na nią, czym prędzej spuścił oczy. Po kolacji siedziała zadowolona i przejęta, podczas gdy doktor Bingham perorował i perorował, przerywając tylko po to, by od czasu do czasu odchylić się w krześle i puścić kółko dymu w stronę lampy.

- Chociaż sam nie jestem, proszę pani, luteraninem, jakby można było przypuszczać, to jednak zawsze żywilem podziw, mało, cześć dla wielkiej postaci Marcina Lutra jako jednego z luminarzy ludzkości. Gdyby nie on, do dziś dnia czołgalibyśmy się pod straszliwym jarzmem papieża.

- Nigdy papiści nie dostaną naszego kraju! Jejku, ciarki mnie przechodzą, jak o tym pomyśle.

- Nie dostaną, póki jedna kropla krwi płynie w żyłach wolnych protestantów. Ale ciemność, proszę pani, można pokonać tylko światłem. A światło płynie z nauki, czytania książek, kształcenia się...

- Jejku, głowa mnie tylko boli od czytania. Zresztą, tak prawdę powiedzieć, to i czasu dużo nie mam. Mój mąż i owszem, czyta książki, przysyłają mu z Departamentu Rolnictwa. Jedną nawet chciał, żebym ja czytała, o hodowli drobiu, ale nic z tego nie mogłam wyrozumieć. Jego rodzice to przyjechali ze starego kraju. Nic, tylko ludziska muszą tam być jacyś inni.

- Pewno niełatwo być żoną takiego obcego?

- Czasami sama w głowę zachodzę, jak z nim mogę wytrzymać. Niby prawda, diabelnie był przystojny, jak za niego szlam. Nigdy nie umiałam się oprzeć przystojnemu mężczyźnie.

Doktor Bingham pochylił się przez stół. Wywrócił oczy, jakby chciał je wysadzić z orbit.

- Ja też się nie mogę nigdy oprzeć przystojnej kobiecie. Pani Kovach westchnęła głęboko.

Fainy wstał i wyszedł. Cały czas czekał chwili, kiedy będzie mógł wtrącić słówko o swojej należności. Ale czy to co da? Na dworze było chłodno, gwiazdy błyszcząły nad dachami stodoły i przybudówek. Z kurnika dochodziło niekiedy senne gdaknięcie lub trzepot piór, gdy któraś kura straciła na grzędzie równowagę. Fainy chodził tam i z powrotem po obejściu i klnąc doktora Binghamu kopał napotkane grudy gnoju.

W końcu zajrzał do kuchni. Na tle lampy doktor Bingham deklamując obejmował panią Kovach w pól, a wolną ręką czynił szerokie gesty:

Rada

Słuchała tego piękna Desdemona;

Jeśli ją jaki domowy interes

Znaglił do wyjścia, jak mogła, najprędzej

*Wracała znowu i łakomym uchem...*⁴⁹

Fainy pogroził w stronę okna.

- Niech cię jasny gwint, chcę dostać moje pieniądze - powiedział na głos.

Poszedł przespacerować się po gościńcu. Wrócił śpiący i zziębnięty. Kuchnia była pusta, lampa przykręcona. Nie wiedząc, gdzie się położyć, usadowił się na krześle koło kuchni. Chciał się tylko rozgrzać, lecz głowa opadła mu i zasnął.

Obudził go okropny rumor i piski kobiece dochodzące z góry. Pierwszą myślą było, że doktor Bingham rabuje i morduje gospodynię, ale zaraz usłyszał drugi głos wykrzykujący przekleństwa łamaną angielszczyzną. Nim zdążył unieść się na krześle, obok przemknął doktor Bingham. Miał na sobie tylko flanelowe kalesony z podkoszulkiem. W jednej ręce ścisnął buty, w drugiej resztę garderoby. Spodnie, ciągnięte na szelkach, powiewały za nim jak ogon latawca.

- Hej, co mam robić? - zawołał Fainy, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Znalazł się natomiast twarzą w twarz z wysokim czarnym mężczyzną o niechlujnej kruczej brodzie, który z zimną krwią ładował dubeltówkę.

- Śrutem naszpikuję skurwysyna.

- Ojej, nie zrobi pan tego... - zaczął Fainy.

Dostał kolbą w piersi i zwałił się z powrotem na krzesło. Mężczyzna wyszedł długim giętym krokiem i zaraz na dworze rozległy się dwa strzały; zagrzecotało pośród zabudowań. Po chwili zabrzmiały nowe kobiece piski, przerywając przeciągły histeryczny jazgot i szloch. Fainy siedział jak sparaliżowany koło kuchni. Spostrzegł na podłodze pięćdziesięciocentówkę, która musiała wypaść doktorowi Binghamowi ze spodni. Ledwo zdążył porwać ją i schować do kieszeni,

⁴⁹ Rada słuchająca... - to cytat z Szekspirowskiego *Otella*, akt I, scena 3, przełożył Józef Paszkowski.

kiedy wysoki mężczyzna z dubeltówką ukazał się ponownie.

- Nie mam więcej nabojów - powiedział głucho. Potem usiadł na kuchennym stole między brudnymi naczyniami i rozpłakał się jak dziecko; łzy ciekły po sękatych palcach jego wielkich brązowych dłoni. Fainy podkradł się do drzwi i skierował w stronę stodoły.

- Panie Bingham - zawołał ostrożnie.

Uprząż leżała zwalona na kupę między dyszlami wozu, lecz po doktorze Binghamie i srokatym komu nie było śladu. Trwożne gdakanie kur trzepoczących się w kurniku wtórowało piskom kobiety, które wciąż jeszcze dochodziły z piętra domu. „Co, cholera, robić?” - zadawał sobie pytanie Fainy, kiedy nagle spostrzegł w jasnych drzwiach kuchni wysoką postać mierzącą do niego z dubeltówki. Strzał gruchnął, nim zdążył dać nura do stodoły i wypaść tylnym wyjściem. Śrut zagwizdał mu nad głową. Znalazł drań naboje! Co sił w nogach wyrywał na przełaj przez owies. Wreszcie, bez tchu w piersi, przelazł przez płot obrośnięty dziką różą, która mu poraniła twarz i rękę, i padł plackiem w suchym rowie, żeby odpocząć. Nikt go nie gonił.

KRONIKA I I I

„TRZEBA ODWAGI, BY ŻYĆ NA TYM ŚWIECIE” OSTATNIE SŁOWA GEORGE’A SMITHA ⁵⁰ POWIESZONEGO WRAZ Z BRATEM PRZEZ TŁUM W KANSAS MARKIZ QUEENSBERRY ⁵¹ NIE ŻYJE OGIEŃ STRAWIŁ FABRYKĘ KORZENI SĄD UWALNIA ZOLE⁵²

kilka lat temu anarchiści z New Jersey, ze znaczkami McKinleyowców oraz czerwonymi godłami anarchii w klapach, uraczeni piwem przez republikanów, uknuli spisek na życie jednej z koronowanych głów Europy i jest rzeczą prawdopodobną, że w tym samym czasie albo wkrótce potem wyklął się plan zamordowania prezydenta

Na Wabashu falach księżycy pozlota, Zapach sianokosów niesie się nad rzeką, Wśród liści platanów świeczka gdzieś’ migota Nad Wabashu brzegiem, daleko, daleko

SZYKOWAŁ SIĘ NA BYCZĄ HULANKĘ

Sześć Tysięcy Robotników Demonstruje w Smoleńsku z Transparentami Głoszącymi Śmierć Carowi Skrytobójcy

rozruchy i barykady na ulicach upamiętniają rozpoczęty strajk woźniców

LADA CHWILA OCZEKUJE SIĘ NAJWIĘKSZEJ BITWY MORSKIEJ W HISTORII starcie policji madryckiej z 5000 robotników niosących czarną flagę⁵³

widzowie dostawali zawrotu głowy, a tancerz posilając się pomarańczami bił rekord, który doprowadza do absurdu

⁵⁰ George Smith i jego brat Edward byli to dwaj biali mężczyźni oskarżeni o morderstwo. Padli ofiarą samosądu w miejscowości Fort Scott w stanie Kansas 20 stycznia 1900 roku.

⁵¹ John Sholto Douglas, markiz Queensberry (1844-1900), w latach 1872-1880 członek brytyjskiej Izby Lordów ze Szkocji, był współautorem ogłoszonych w 1865 roku przepisów nowoczesnego boksu, zarówno amatorskiego, jak zawodowego, w przeważającej części obowiązujących do dzisiaj. Wsławił się również rolą, jaką odegrał w 1895 w głośnej sprawie skazania za pederastię, na dwa lata ciężkich robót w więzieniu Reading, Oscara Wilde’a (1854-1900), co tego ostatniego złamało fizycznie i zrujnowało finansowo i co doprowadziło do jego rychłej śmierci. Oburzony homoseksualną przyjaźnią autora *Portretu Donana Graya* z jego synem, lordem Alfredem Douglasem (1870-1945), markiz podrzucił w miejscu publicznym obraźliwy list, zmuszając tym Wilde’a do wytoczenia procesu o zniesławienie. Fakty, które ujawnił w sądzie, doprowadziły z kolei do wytoczenia brzemiennego w skutki procesu Wilde’owi.

⁵² Sławny powieściopisarz Emile Zola (1840-1902) został skazany na rok więzienia za list otwarty do prezydenta Francji, Felixa Faure’a, ogłoszony 13 stycznia 1898 roku na pierwszej stronie dziennika „L’Aurore” założonego rok wcześniej przez Georges’a Clemenceau, późniejszego premiera Francji i głównego przedstawiciela francuskiego na wersalskiej konferencji pokojowej w 1919 roku. W liście tym, zatytułowanym *l’accuse (Oskarżam)*, Zola wystąpił w obronie Żyda kapitana artylerii, Alfreda Dreyfusa (1859-1935), niesprawiedliwie skazanego przez sąd wojskowy na dożywotnie zesłanie na Wyspę Diabelską za rzekome szpiegostwo na rzecz Niemiec. Odważne wystąpienie w obronie zaszczonego oficera naraziło Zolę na gwałtowną nagonkę sterowaną przez szowinistyczną oligarchię wojskową i cywilną, a uwięzienia z oskarżenia o oszczerstwo uniknął tylko dlatego, że w momencie, gdy się stało oczywiste, iż jego apelacja zostanie oddalona, ratował się ucieczką do Anglii. Powrócił do Francji po roku, w czerwcu 1900, kiedy ogłoszono rewizję procesu Dreyfusa. I tym razem, nie chcąc dopuścić do ostatecznej kompromitacji armii, utrzymano uprzedni haniebny wyrok skazujący niewinnego kapitana, jednakże premier Rene Waldeck-Rousseau pokierował sprawą tak, że nowy prezydent, Emile Loubet, Dreyfusa amnestionował. Co do samego Zoli, premier odraczał jego nowy proces, wyznaczony początkowo na 23 listopada, i w rezultacie nigdy do niego nie doszło. Kapitana Dreyfusa zrehabilitowano wyrokiem sądu kasacyjnego i przywrócono do służby w stopniu majora dopiero w 1906. W pierwszej wojnie światowej dosłużył się rangi podpułkownika.

⁵³ Czarne flagi, obok swej funkcji żałobnej, są również godłem anarchistów.

urządziliśmy w wannie bitwę o Port Artur⁵⁵ i woda przeciekła przez sufit do salonu okropna rzecz w Kew Gardens stary pan Garnet który był jeszcze zdrów i czerstwy chociaż taki stary przyszedł na herbatę zobaczyliśmy go najpierw przez okno z tą jego czerwoną twarzą i staromodnymi faworytami jak z obrazka i ciocia powiedziała że ma kołyszący chód starego wilka morskiego pod pachą niósł wielkie pudło i Vickie z Pompon rzuciły się z ujadaniem a pan Garnet przyszedł na herbatę wyciągnął z czarnego pudła fonograf nałożył walec i z rogu stołu odsunęli rozstawiony serwis do herbaty Trzeba uważać żeby nie upadło bo łatwo porysować Och, zwykła igła do szycia też by wystarczyła proszę pani ale ja mam specjalne igły

i rozmowa zeszła na admirała Togo⁵⁶ i Banyan i jak ci Rosjanie piją i że pomordowali tych biednych rybaków na Morzu Północnym⁵⁷ i pan Garnet nakręcał z wielką ostrożnością żeby nie przekręcić sprężyny igła zaczęła sunąć szur szur Och sam wstąpiłem do marynarki chłopcze pętałem byłem niewiele większy od ciebie dochrapałem się bosmanmata na pierwszym brytyjskim pancerniku Warrior jeszcze bym potrafił zatańczyć marynarskiego proszę pani na wierzchu dłoni miał wytatuowaną czerwono-czarną marynarską busolę paznokcie czarne i grube majstrował nimi przy igle a igła sunęła szur szur gdzieś daleko zaczęła grać orkiestra i z małej czarnej tuby wydobyło się chrapliwe „Boże chroń króla” a psiaki ujadły jak szalone

⁵⁴ Oko kamery (5), jak i następujące Oko kamery (6), odnosi się do okresu lat 1904-1906, gdy Dos Passos uczył się w szkole z internatem Peterborough Lodge na londyńskim przedmieściu Hampstead, dziś dzielnicy Londynu. Przebywał wówczas często w domu pań Kate Gee i Sophii Louisy Meakin, przyjaciółek matki, u których ta ostatnia się zatrzymywała podczas pobytów w Anglii. Było to w miejscowości Kew Gardens w podlondyńskim hrabstwie Surrey, słynnej z istniejących tam od 1761 roku Królewskich Ogrodów Botanicznych.

⁵⁵ Bitwa o Port Artur, rosyjską bazę morską nad Morzem Żółtym (obecnie Liishun w Chinach), w której Japończycy bez wypowiedzenia wojny zaatakowali i zablokowali rosyjską Flotę Dalekowschodnią, rozpoczęła się w lutym 1904, a zakończyła w styczniu roku następnego poddaniem portu atakowanego od lądu i morza.

⁵⁶ Admirał Heihachiro Togo (1847-1934) był głównodowodzącym floty japońskiej podczas wojny z Rosją. To on częściowo zniszczył, a częściowo zablokował flotę rosyjską w Port Artur, a w maju 1905 rozbił spieszącą na odsiecz Flotę Bałtycką pod dowództwem admirała Zinowija Pietrowicza Roździestwieńskiego w głośnej, trzydniowej bitwie pod Cuszimą (w cieśninie między Japonią a Koreą, oddzielającej Morze Japońskie od Morza Wschodniochińskiego), która przesądziła o losach wojny. Zatopione, zdobyte lub unieszkodliwione zostało 8 pancerników, 9 krążowników oraz 6 innych okrętów rosyjskich. **Banyan** był krążownikiem floty japońskiej, który się wslawił w obu bitwach.

⁵⁷ Rosyjska Flota Bałtycka w drodze na Daleki Wschód ostrzelała 21 października 1904 w pobliżu ławicy Dogger na Morzu Północnym angielskie trawlerzy rybackie, które jakoby wzięła za japońskie kontrtorpedowce. Incydent ten odbił się szerokim echem i przez kilka dni groził konfliktem między Wielką Brytanią a Rosją. Sprawa została jednak załagodzona i brytyjskie okręty, wysłane w ślad za rosyjską eskadrą, zawróciły do baz.

KRONIKA IV

*Poznałem miłą w Alamo*⁵⁸

I księżyc na nowiu zgasł,

Taką jaśniała pięknnością,

Taki był oczu jej blask

przed południem pikietujący zatrzymali wóz z ładunkiem pięćdziesięciu składanych foteli, który jechał do wozowni straży pożarnej na rogu Michigan Avenue i Washington Street. Fotele, jak się dowiadujemy, przeznaczone były dla wygody policjantów przydzielonych do pilnowania strajkujących

PRAWDOPODOBNIIE JESZCZE DZISIAJ FLOTY SPOTKAJĄ SIĘ W BOJU NA ZACHÓD OD LUZONU

do obiadu zastrzelono trzy dorodne wilki.

Projektuje się tutaj wielką paradę, w której weźmie udział prezydent Roosevelt, ażeby obywatele mogli go zobaczyć. Na czele ma jechać w klatce niedźwiedź pojmany niedawno po rozszarpaniu tuzina psów i zranieniu kilku ludzi. Niedźwiedź ma być wypuszczony w stronę gór, a po upływie godziny ruszą jego tropem sfory psów, po czym w pogoń uda się prezydent Roosevelt z przewodnikami

Trzej Studenci Uniwersytetu Columbia Założyli się, że Dojadą Automobilem do Chicago⁵⁹

GROZI STRAJK POWSZECHNY

Na Wabashu falach księżycyca pozlota

NAJSZCZĘŚLIWSZY DZIEŃ W ŻYCIU KRÓLA NAFTY

cherubinek co pięć minut nadal zdrowy popyt na wszelkiego rodzaju nieruchomości ze szczególnym zapotrzebowaniem na parcele pod fabryki oraz rezydencje i przedsiębiorstwa handlowe

wyrok sądu rozbija związek

⁵⁸ Alamo - to dawna franciszkańska misja w San Antonio w Teksasie, wybudowana około roku 1722, następnie ufortyfikowana, a obecnie stanowiąca muzeum stanowe. Obrona Alamo w 1836 roku odegrała przełomową rolę w powstaniu kolonistów amerykańskich przeciwko Meksykowi. Kiedy 23 lutego do San Antonio podchodziły cztero-tysięczne wojska meksykańskie pod dowództwem generała Antonio Lopeza de Santa Anna (1794-1876), trzykrotnego prezydenta Meksyku, w Alamo zamknął się miejscowy garnizon z pułkownikiem Williamem Travisem (1809-1836) na czele, wzmocniony 1 marca do siły 187 ludzi. 181 z nich zginęło w obronie misji, i rzezi po jej ostatecznym zdobyciu przez Meksykanów 6 marca, 6 wziętych do niewoli Santa Anna kazał stracić. Wśród poległych byli dwaj legendarni bohaterowie pogranicza, Davy Crockett i James Bowie. W dalszych walkach koloniści amerykańscy szli do boju z okrzykiem: „Pamiętajcie Alamo” - i w sześć tygodni później, po zwycięskiej walnej bitwie z siłami Santa Anny, ogłosili niepodległą republikę Teksasu, która przetrwała dziewięć lat, do roku 1845, kiedy to Teksas został włączony jako stan do USA.

⁵⁹ Uniwersytet Columbia (Columbia University) - powstały w 1754 roku jako King's College, przemianowany w 1784 po uzyskaniu przez Stany niepodległości na Columbia College, a działający pod obecną nazwą od 1896 - jest najbardziej znaną wyższą uczelnią Nowego Jorku i jednym z najbardziej renomowanych uniwersytetów amerykańskich w ogóle. Wyprawa prymitywnym automobilem z Nowego Jorku do Chicago oznaczała jazdę ówczesnymi gruntowymi drogami na trasie obecnie obliczanej na 818 mil, czyli 1308 kilometrów, dla której pokonania nowoczesnymi autostradami, według danych Automobilklubu Amerykańskiego, potrzeba 16 godzin i 21 minut.

KRWAWA NIEDZIELA W MOSKWIE⁶⁰

anielice zmiążdżone pola roponośne pod strażą

wojska Ameryka rozrasta się do rozmiarów imperiów, jakie istniały w czasach cesarów
5 dolarów za wiersz przyniosło jej bogatego męża jedzcie mniej, nawołuje Edison⁶¹ bogaty karciarz
pada martwy kupiwszy pokera skarga o łapownictwo w Cicero

STRAJK W ROSJI MOŻE DOPROWADZIĆ DO REWOLTY

romans dwu jachtów na jeziorze morderstwo kończy spór związkowy Michigan bije na
głowę Albion czerwone sztandary w Sankt Petersburgu

CAR USTĘPUJE POD NACISKIEM LUDU

przez czterdzieści godzin trzymała w objęciach martwe niemowlę rodziny pozbawione
dachu nad głową na skutek pęknięcia kolektora

CAR PRYZNAŁ KONSTYTUCJĘ

Zapach sianokosów niesie się nad rzeką. Wśród liści platanów świeczka gdzieś migota

⁶⁰ Krwawą niedzielą (*krwawoje wosknesienje*) nazywa się niedzielę 22 stycznia (9 stycznia starego stylu) 1905 roku, kiedy to wojsko otworzyło ogień do bezbronnego tłumu, który pod przewodem popa Jurija Apołonowicza Gapon (ok. 1870-1916) kierował się do Pałacu Zimowego z petycją do cara Mikołaja II (1868-1918); zabitych zostało ponad sto osób, rannych przeszło dwa razy tyle. Gapon stał na czele Stowarzyszenia Robotników Rosyjskich, jednego z legalnych, inspirowanych przez policję związków zawodowych, na jakie władze zezwoliły pod koniec XIX stulecia, pragnąc wrzenie rewolucyjne, które groziło domaganiem się zasadniczych reform ustrojowych, ograniczyć do żądań bytowych. Marsz został zapowiedziany, demonstranci nieśli ikony, portrety cara i transparenty z prośbami. Cara w pałacu nie było, rozkaz otwarcia ognia wydał jego stryj, szef policji, wielki książę Władimir. Masakra ta miała jednak miejsce w Sankt Petersburgu, nie w Moskwie.

Dała ona początek rewolucji 1905 roku, wywołując falę strajków w wielu miastach, powstań chłopskich na wsi i buntów w wojsku. Dalsze nagłówki tej i następnej kroniki wypunktowują niektóre przełomowe wydarzenia rewolucyjne, które zmusiły cara do pewnych ustępstw wobec żądań społecznych, m.in. do powołania Dumy, czyli parlamentu, o bardzo jednak ograniczonych uprawnieniach.

⁶¹ Thomas Alva Edison (1847-1931), genialny samouk, był może największym wynalazcą epoki elektryczności, posiadaczem około tysiąca patentów. Poczynił niezliczone ulepszenia w elektrotechnice, telegrafu, telefonii, wynalazł m.in. żarówkę, fonograf, mimeograf, akumulator, pierwszy film dźwiękowy. Dos Passos poświęca mu rozdział biograficzny pt. „Twórca elektrycznych cudów”.

OKO KAMERY (6)

Z życiem z życiem wołał dyrektor pan Linwood kiedy się biegnął przez boisko kopiąc przed sobą piłkę nóżka nazywało się to w Hampstead a potem była pora żeby wracać do domu i człowiek czuł się szczęśliwy bo pan Linwood wołał z życiem Taylor krzyknął Przyjechał jeszcze jeden Amerykanin tamten miał zęby jak Teddy na fotografiach w gazetach i zadarty nos i ubrany był jak Twardzi Jeźdźcy⁶² Roosevelta z wojny hiszpańskiej i od razu zapytał Na kogo będziesz głosował? a ja że nie wiem to on wypiął pierś i pyta A za kim są twoi starzy za Rooseveltem czy za Parkerem? więc powiedziałem Za sędzią Parkerem⁶³

tamten miał kruczoczarne włosy wyciągnął pięści zadarł nos jeszcze bardziej i powiada A ja za Rooseveltem chcesz się bić? więc drżącym głosem mówię A ja jestem za sędzią Parkerem ale wtrącił się Taylor Nie ma który dwu pensów na piwo imbirowe? i nie doszło tym razem do bójk

⁶² Twardzi Jeźdźcy (Rough Riders) - to żołnierze ochotniczego pułku kawalerii, złożonego w większej części z ranczerów, kowbojów i Indian z zachodnich stanów, sformowanego w 1898 roku, po wybuchu wojny hiszpańskiej, przez Theodore'a Roosevelta, który w związku z tym zrezygnował z zajmowanego podówczas stanowiska podsekretarza w Departamencie Marynarki. Twardzi Jeźdźcy walczyli później na Kubie jako jednostka piesza, gdyż konie utknęły na Florydzie. Rozgłos, jaki sformowanie pułku i dowodzenie nim przyniosły Rooseveltowi, pomógł mu później bardzo w dalszej karierze.

⁶³ Alton Brooks Parker (1852-1926), sędzia Sądu Najwyższego, był z ramienia Partii Demokratycznej niefortunnym kontrkandydatem republikanina Roosevelta w wyborach prezydenckich 1904 roku.

KRONIKA V

MIKROBY ZMUSZAJĄ BIOLOGA DO ODWROTU uciekinierzy związali i zakneblowali; uwalnia go pies

CAR MIKOŁAJ II W OBLICZU REWOLTY **SWOJEGO** IMPERIUM PRZYZNAJE PODDANYM SWOBODY

paraliż zatrzymuje skalpel chirurga za jednym pociągnięciem pióra do historii przeszła ostatnia absolutna monarchia Europy kara śmierci grozi górnikowi z Doliny Śmierci i oszustowi ogłoszeniowemu z kolei Santa Fe skazany na więzienie za kradzież gipsowego anioła

Nad Wabashu brzegiem, daleko, daleko

MAC

Następnego ranka o pierwszym świcie Fainy kulejąc schronił się przed gwałtowną ulewą na stacji kolejowej w Gaylord. W poczekalni buzował ogień w wielkim pękatym piecu. Kasa była zamknięta, poczekalnia pusta. Fainy zdjął najpierw jeden przemoczony but, potem drugi i grzał nogi, dopóki nie wysuszył skarpetek. Na obu piętach zrobiły mu się pęcherze, które teraz pękły, i brudne skarpetki przylepiły się do strupów. Włożył z powrotem buty i wyciągnął się na ławce. Zasnął momentalnie.

Ktoś wysoki, ubrany na granatowo, mówił do niego. Fainy spróbował podnieść głowę, ale był zbyt senny.

- Te, bracie, żeby cię nie nakrył zawiadowca – mówił głos, który Fainy słyszał już przez sen.

Otworzył oczy i usiadł.

- Jezuniu, myślałem, że to glina.

Stał nad nim barczysty chłopak w granatowej koszuli i drelichowych spodniach.

- Uważałem, że lepiej cię obudzić. Zawiadowca taki wredny w tej dziurze.

- Dziękuję. - Fainy rozprostowywał nogi. Stopy miał tak spuchnięte, że z ledwością stał.

- Rany, ale zdrętwiałem.

- Słuchaj, jakbyśmy mieli po dwadzieścia pięć centów na głowę, to znam jedno miejsce, gdzie można dostać bycze śniadanko.

- Mam półtora dolara - powiedział Fainy z namysłem. Stał z rękami w kieszeniach, odwrócony plecami do ciepłego pieca, przyglądając się badawczo kwadratowej szczęce i niebieskim oczom nieznanego.

- Skąd jesteś?

- Z Duluth. Ale tak w ogóle to się włóczę. A ty?

- Żebym to wiedział. Miałem do wczoraj robotę.

- I co, rzuciłeś?

- Słuchaj, to może pójdziemy na to śniadanie.

- Fajno. Nic wczoraj nie jadłem. Nazywam się George Hall, ale chłopaki wołają mnie Ike. Właściwie to nie jestem trampem, wiesz. Tylko chcę obejrzeć kawałek świata.

- Zdaje się, że i ja będę musiał obejrzeć kawałek świata - powiedział Fainy. - McCreary się nazywam. Jestem z Chi. Ale urodziłem się na wschodzie, w Middletown. To w Connecticut.

Kiedy otwarli siatkowe drzwi kolejarskiej kantyny przy torach niedaleko stacji, powitał ich zapach szynki, kawy i proszku przeciw karaluchom. Blondynka o końskich zębach i skrzypiącym głosem postawiła przed nimi nakrycia.

- Gdzie wy, chłopcy, pracujecie? Nie pamiętam, żebyśmy już widzieli.
- Ja pracowałem w tartaku - powiedział Ike.
- Tartak zamknęli dwa tygodnie temu, jak intendent palnął sobie w łeb.
- Bo to nie wiem?
- Lepiej zapłaćcie, chłopaki, z góry.
- Mam pieniądze - powiedział Fainy, podsuwając jej pod nos dolara.
- No, jak macie pieniądze, to pewnie zapłacicie - powiedziała kelnerka, pokazując w uśmiechu długie żółte zęby.

- Jasne, ślicznotko, zapłacimy jak milionerzy – odparł Ike.

Najedli się do syta polenty z jajami na szynce, popili kawę z wielkimi białymi bułkami i pod koniec śniadania tak się zaśmiewali z opowieści Fainy’ego o doktorze Binghamie i jego miłosnych zapędach, że kelnerka zapytała, czy przypadkiem nie pili. Ike naciągnął ją na bezpłatne drugie kawy dla siebie i dla Fainy’ego, po czym wyłowił dwa pogniecione papierosy z kieszeni drelichowych spodni.

- Chcesz gwoźdźcia do trumny, Mac?
- Tutaj nie wolno palić - powiedziała kelnerka. – Pani nie pozwala.
- Dobra, blondyneczko, już zjeżdżamy.
- Dokąd się wybieracie?
- No, ja do Duluth. Na łono rodzinki.
- To ty jesteś z Duluth?
- I co z tego? Takie śmieszne, że z Duluth?
- Gdzie tam śmieszne, tragiczne.
- Myślisz, że mnie weźmiesz na bajer?
- Szkoda by mi było strzępić języka, kochasiu. Chichocząc kelnerka sprzątała ze stołu.

Miała wielkie czerwone ręce i grube paznokcie, białe od kuchennej roboty.

- Ale, ale, nie ma tu jakich gazet? Chętnie bym coś poczytał, jak będziemy czekać na pociąg.
- Przyniosę wam. Pani dostaje „Journal American” z Chicago.
- Rany, nie widziałem gazety od trzech tygodni.
- Ja też chętnie przeczytam - powiedział Mac. – Lubię wiedzieć, co się dzieje na świecie.
- Same łgarstwa w tych gazetach. Wszystkie są w rękach kapitału.
- Hearst⁶⁴ jest po stronie ludzi.

⁶⁴ William Randolph Hearst (1863-1951) był twórcą największego amerykańskiego koncernu prasowego pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Syn kalifornijskiego przemysłowca, milionera, George’a Hearsta (1820-1891), objął w wieku dwudziestu czterech lat w rodzinnym San Francisco redakcję gazety „Examiner”, stanowiącej własność jego ojca, i rozpoczynając od niej, a następnie nowojorskiego „Morning Journal” nabytego w 1895, oraz „Evening Journal” założonego w 1896, które w ciągu roku uzyskały bezprecedensowy na owe czasy, łączny nakład dzienny półtora miliona egzemplarzy, zbudował imperium nie tylko prasowe, które w połowie lat dwudziestych, u szczytu jego potęgi, obejmowało 25 gazet o wielomilionowych nakładach w głównych miastach Stanów, 13 popularnych czasopism, agencję prasową, 2

- Nie wierzę mu bardziej niż innym.

- Czytałeś kiedy „Apel do Rozumu”⁶⁵?

- Co ty, socjalista jesteś?

- Jasne. Pracowałem w drukarni u wuja, póki kapitaliści nie doprowadzili go do bankructwa, bo stanął po stronie strajkujących.

- Rany, to klawo... Pani położy... Bo ja też. Wiesz co, Mac, to dla mnie wielki dzień. Nieczęsto spotykam facetów, którzy myślą tak jak ja.

Usadowili się z plikiem gazet pod wielką sosną za miastem. Wyszło ciepłe słońce, wielkie białe marmurowe chmury żeglowały po niebie. Leżeli na plecach z głowami na kawałku różowawego korzenia o korze jak skóra aligatora. Pomimo nocnej ulewy sosnowe igliwie było suche i ciepłe. Przed nimi przebiegała jednotorowa linia kolejowa, przecinająca zagajniki i golizny spustoszonych lasów, w których tu i ówdzie wierzbówka zaczynała wypuszczać bladezielone listki. Czytali na zmianę płachty zeszłotygodniowej gazety i rozmawiali.

- Może zacząć się w Rosji, to kraj najbardziej zacofany i nigdzie nie ma takiego ucisku jak tam. W tartaku robił ze mną jeden Rusek, wykształcony facet, z Syberii drapnął. Dużo z nim gadałem. Tak uważał. Mówił, że rewolucja zacznie się w Rosji i rozprzestrzeni na cały świat. Klawy był facet. Założyłbym się, że to nie byle kto.

- Wuj Tim uważał, że zacznie się w Niemczech.

- Powinno się zacząć u nas, w Ameryce. Mamy wolne instytucje. Bylebyśmy się tylko wydostali spod władzy kapitału...

- Wuj Tim powiada, że za dobrze nam się powodzi w Ameryce. Nie wiemy, co to jest naprawdę ucisk i nędza. On i inni moi wujowie byli fenianami⁶⁶ w Irlandii, zanim wyemigrowali. Dlatego dali mi na imię Fenian. Ojcu to się nie bardzo podobało, w ogóle nie miał ikry.

- Czytałeś Marksa?

wytwórnie filmowe, 8 radiostacji, blisko 100 tysięcy hektarów ziemi i zamek w San Simeon w Kalifornii, liczne dalsze posiadłości w Walii, Nowym Jorku i Meksyku oraz bajeczne zbiory sztuki. Prawdą jest, że prasa Hearstowska często szermowała populistycznymi hasłami, ale wiara bohatera Dos Passosa, że Hearst stoi „po stronie ludzi”, jest oczywistym złudzeniem. Poczytność jego gazet wynikała przede wszystkim z ich chwytliwej demagogii oraz pogoni za sensacją, w której się prześcigały w rywalizacji z gazetami konkurencyjnego koncernu Josepha Pulitzera (1847-1911). Prasa Hearstowska odegrała kolosalną rolę w kształtowaniu amerykańskiej opinii publicznej, a osobiste poglądy i idiosynkrazje magnata wręcz przesądzały w różnych okresach o polityce Stanów Zjednoczonych. I tak przyczynił się on m.in. do wypowiedzenia wojny Hiszpanii w 1898 i do interwencji w Meksyku w 1916, do rozdmuchania ksenofobii i nagonki na pacyfistów w okresie pierwszej wojny światowej, do izolacjonizmu i odcięcia się USA od Ligi Narodów po wojnie. Wspomniany „Journal American” był chicagowską mutacją nowojorskiego „Journal”. Dos Passos poświęca Hearstowi rozdział biograficzny zatytułowany „Biedny mały bogaty chłopiec” w trzecim tomie trylogii, *Ciężkich pieniądzech*.

⁶⁵ „Apel do Rozumu” („The Appeal to Reason”), radykalny tygodnik założony w sierpniu 1895 roku w miejscowości Gerrard w stanie Kansas przez Juliusa A. Waylanda i wychodzący do 1922, osiągnął w okresie swej największej popularności nakład trzech i pół miliona egzemplarzy. Głosił socjalizm, a przyczyny wszelkiego zła społecznego upatrywał w kapitalizmie. Jednym z jego redaktorów w pierwszych latach stulecia był Eugene V. Debs.

⁶⁶ Fen i a n i e (Fenians) - to tajna organizacja powstała około roku 1858, mająca na celu obalenie rządów brytyjskich w Irlandii i przekształcenie kraju w niezawisłą republikę. Nazwa pochodzi od grup irlandzkich wojowników z II i III wieku n.e., Fianna. Organizacja przestała istnieć około 1885, a po 1900 jej hasła przejął istniejący do dziś ruch

- Rany, nie. Ale bym chciał.

- Ja też nie czytałem. Ale czytałem Bellamy'ego Spojrzenie w przeszłość; to on ze mnie zrobił socjalistę.

- To opowiedz; zacząłem czytać, ale akurat musiałem wyjechać z domu.

- To o takim bubku, co się kładzie spać i jak się budzi, jest rok 2000, rewolucja już była i wszystko jest socjalistyczne, nie ma więzień ani biedy, nikt nie pracuje na siebie, nie ma mowy, żeby kto został wielkim spekulantem albo kapitalistą, i w ogóle klasa robotnicza żyje sobie całkiem klawo.

- Zawsze tak myślałem. Robotnicy wytwarzają dobra i oni powinni być właścicielami, nie ta banda trutni.

- Żebyśmy tylko mogli skończyć z kapitalizmem, trustami i Wall Street, toby życie tak wyglądało!

- Jezuniu!

- Wystarczyłby jeden generalny strajk i żeby robotnicy odmówili pracy właścicielom. Rany boskie, żeby tylko ludzie zrozumieli, jakie to diabelnie łatwe. Kapitał trzyma w garści całą prasę i nie dopuszcza do uświadomienia i kształcenia robotników.

- Znam się trochę na drukarstwie, całkiem nieźle umiem składać na linotypie. Może kiedyś będę mógł coś zrobić.

Mac poderwał się na nogi. Czuł mrowienie w całym ciele. Słońce zaszło za chmurę, ale dalej przy torze rzadki las był pełen zielonożłotego blasku młodych listków brzozowych mieniących się w promieniach słońca. Krew buzowała w nim jak ogień. Stał na szeroko rozstawionych nogach, zapatrzony wzdłuż toru. Zza zakrętu wynurzyła się drezyna wioząca brygadę roboczą, mała brązowo-granatowa plamka z powiewającym na przodzie czerwonym punkcikiem flagi. Patrzył, jak się zbliża, rośnie, zanurzając się w pasma cienia, coraz większa i wyraźniejsza za każdym razem, gdy wyjechała w pasmo słońca.

- Wiesz co, Mac? Lepiej, żeby nas nie widzieli, jeżeli mamy skakać do tego towarowego. Kapują wściekle na tej linii.

- Jasne.

Odeszli sto jardów w głąb zagajnika karłowatych sosen i brzoź. Mac zatrzymał się koło wielkiego, zielonego od porostów pnia, żeby się odlać. Mocz mienił się, jasnożółty w słońcu, i natychmiast wsiąkał w porowaty ił zbutwiałych liści i drewna. Mac był bardzo szczęśliwy. Kopnął z rozmachem pień, który okazał się spróchniały. Noga przeszła na wylot i kurz podniósł się jak dym, kiedy pień potoczył się w zarośla olszyny.

Ike usiadł na jakiejś kłodzie i dłubał w zębach małą gałązką brzozową.

- Słuchaj, Mac, byłeś kiedy na wybrzeżu?

- Nie.

- A chciałbyś?

- Jasne.

- To wiesz co? Zabierzemy się teraz do Duluth. Chcę wdepnąć, przywitać się ze staruszką. Rozumiesz, nie widziałem jej trzy miesiące. Potem zaczepimy się gdzieś, jak zaczną zbiór pszenicy, i na jesieni wylądujemy w Seattle albo Frisco. Mówili mi chłopaki, że w Seattle są świetne szkoły wieczorowe za darmo. Chcę się czegoś nauczyć, kapujesz? Nie umiem jednej zasmarkanej rzeczy.

- Pierwsza klasa to obmyśliłeś.

- Skakałeś kiedy na towarowy albo jechałeś na brankardzie, Mac?

- No, właściwie to nie.

- Trzymaj się tylko za mną i rób to, co ja. Wszystko będzie klawo.

W dali usłyszeli gwizd lokomotywy.

- Oho, numer trzeci już za zakrętem. Skaczemy, jak tylko ruszy ze stacji. Po południu będziemy w Mackinaw City.

Późnym popołudniem zdrętwiali i zmarznięci schronili się w szopie na przystani parowców w Mackinaw City. Wszystko było przesłonięte mgłą napływającą z falami deszczu od jeziora. Po kupieniu dziesięciocentowej paczki Caporali zostało im wszystkiego dziewięćdziesiąt centów. Właśnie sprzeczali się, ile mogą wydać na kolację, kiedy z kantoru wyszedł agent okrętowy, chudy mężczyzna w płaszczu nieprzemakalnym i z zieloną umbrelką na oczach.

- Szukacie zajęcia, chłopcy? - spytał. - Bo akurat przyjechał jeden facet z hotelu na wyspie, potrzebuje pomywaczy. Zdaje się, że biuro pośrednictwa przysłało im za mało ludzi, a jutro otwarcie sezonu.

- Ile płacą? - zapytał Ike.

- No, dużo to nie płacą, ale żarcie klasa.

- Co ty na to, Mac? Moglibyśmy uzbierać na bilety i potem pojechać do Duluth statkiem jak paniczyki.

Jeszcze tego wieczora przeprawili się na wyspę Mackinac. Nie było tam nic nadzwyczajnego. Zatrzęsienie nieciekawych widoczków z tablicami w rodzaju: „Diabelski kocioł”, „Głowa cukru”, „Skok kochanka”, oraz kupa żon i dzieci średnio zamożnych kupców z Detroit, Saginaw i Chicago. Kobieta o szarej twarzy, która prowadziła hotel i o której mówiło się per „dyrekcja”, kazała im harować od szóstej rano do ciemnej nocy. Nie tylko zmywali statki, ale rznąli również drewno, biegali na posyłki, myli ubikacje, szorowali podłogi, taskali bagaże i wykonywali dziesiątki innych zajęć gospodarczych. Kelnerkami były stare panny albo sterane życiem żony zapijaczonych

farmerów. Jedynym mężczyzną w całym domu był kucharz, hipochondryczny, półkrwi indiańskiej Francuz z Kanady, który upierał się, żeby go nazywać Monsieur le Chef. Wieczorami przesiadywał w małym domku z bierwion za hotelem, popijając anodynę⁶⁷ i mamrocząc o Bogu.

Odebrawszy po miesiącu pensję, zapakowali skromne manatki w gazetę i wymknęli się na pokład Juniaty odbijającej do Duluth. Bilety pochłonęły im cały kapitał, ale mimo to czuli się szczęśliwi, kiedy stojąc na rufie patrzyli, jak porośnięta świerkami i jodłami wyspa Mackmac zanurza się w jeziorze.

Duluth - płatanina dźwigów na nabrzeżu, upstrzone nędznymi domkami wzgórza, wysokie smukłe kominy, stłoczone przygarbione elewatory zbożowe, spowite dymem fabryk wijącym się ciemnymi kłębami na tle olbrzymiego łososiowego zachodu. Ike ociągał się z zejściem na ląd ze względu na ładną ciemnowłosą dziewczynę, z którą chciał przez cały czas nawiązać rozmowę.

- Diabła tam, nawet na ciebie nie spojrzysz, Ike. Za szykowna dla ciebie - powtarzał raz po raz Mac.

- Ale się staruszka ucieszy, jak nas zobaczy - powiedział Ike, kiedy zbiegli po trapie. - Spodziewałem się, że może będzie czekać w porcie, chociaż niby nic nie pisałem, że przyjeżdżamy. No, chłopie, zobaczysz, jaką nam zrobi wyzerkę.

- A gdzie mieszka?

- Niedaleko, zaprowadzę cię. Słuchaj, tylko nie pytaj przypadkiem o mojego starego, dobrze? To nicpoń, coś mi się zdaje, że siedzi w kryminale. Naharowała się staruszka, żeby nas wychować. Bo mam dwu braci w Buffalo, ale jakoś nie mogę z nimi dojść do ładu. Staruszka to lubi szyć, smażyć konfitury, piec ciasteczka i różne takie. Robiła dawniej w piekarni, ale teraz to ją za bardzo boli w krzyżu. Byłaby z mej mądra kobieta, żeby nie ta śmierdząca nędza przez całe życie.

Skrećili w błotnistą uliczkę wspinającą się pod górę. Na szczycie wzgórza stał schludny mały domek przypominający szkołę.

- Tu mieszkamy. Rany, to dziwne, nie widać żadnego światła.

Weszli przez furtkę w płocie z drewnianych palików. Na grządce przed domem kwitły goździki brodate. Czuli zapach, choć prawie nic nie widzieli, tak było ciemno. Ike zapukał.

- Co to może znaczyć?

Zapukał jeszcze raz. Potem zapalił zapałkę. Na drzwiach była przybita kartka z napisem: DO SPRZEDANIA i nazwiskiem pośrednika.

- Chryste Panie, to dziwne, widocznie się wyprowadziła. Teraz, jak się zastanawiam, to nie miałem listu od paru miesięcy. Chyba me jest chora. Zapytam obok, u Buda Walkera.

Mac usiadł na drewnianym schodku i czekał. Chmury, jeszcze zabarwione najlżejszą

⁶⁷ Anodyna - to mieszanka alkoholu etylowego i eteru etylowego używana jako środek znieczulający i narkotyki.

czerwienią zachodzącego słońca, rozstały się nad głową i wzrok tonął w czarnej otchłani pełnej gwiazd. Zapach goździków kręcił w nosie. Mac poczuł głód.

Poderwał go cichy gwizd.

- Chodź - powiedział Ike opryskliwie i ruszył szybko w dół, z głową zwieszoną między ramionami.

- Co się stało?

- Nic. Przeniosła się do Buffalo, mieszka u moich braciszków. Nieroby jedne, kazali jej się pewnie wyprzedać, bo chcą przepuścić forszę.

- Rany, to ci draka, Ike.

Ike nie odpowiedział. Szli w milczeniu, aż znaleźli się na ulicy z oświetlonymi sklepami i tramwajami elektrycznymi. Z jakiejś knajpy dochodziły dźwięki pianoli. Ike obrócił się i trzepnął Maca w plecy.

- Chodź, napijemy się po jednym, bracie. Diabła tam! Przy długim barze stał samotny mężczyzna. Był to bardzo pijany wysoki starszy osobnik w długich drwalskich butach i zydwestce na głowie, który co chwila pokrzykiwał ledwo dosłyszalnym głosem: „Bawcie się, chłopcy” - i długą brudną ręką machał w powietrzu. Mac i Ike wypili po dwie whisky, tak mocne i piekące, że zaparło im dech w piersiach. Ike schował resztę z dolara i powiedział:

- No, chodźmy stąd.

W chłodzie ulicy poczuli, że są zawiani.

- Rany, Mac, zabierajmy się stąd jeszcze dzisiaj. To okropne wrócić do miasta, gdzie człowiek był szczeniakiem. Tylko patrzeć, jak się napatoczę na jakiego znajomego bubka albo na dziewczynę, w której się bujałem. Ja to zawsze mam takie zakichane szczęście.

W jadalni przy stacji towarowej dostali hamburgery z kartoflami, chleb z masłem i kawę za piętnaście centów od głowy. Kiedy kupili papierosy, zostało im jeszcze razem osiem siedemdziesiąt pięć.

- Jezuniu, bogaci jesteśmy - powiedział Mac. – To gdzie idziemy?

- Poczekaj chwilę. Pójdę, poniucham na stacji. Miałem kiedyś znajomka, który tu pracował.

Mac czekał spacerując pod latarnią na rogu i paląc papierosa. Wiatr ucichł, zrobiło się ciepło. Z kałuży gdzieś na bocznicach dobiegało rechotanie ropuch. Wyżej na wzgórzu ktoś grał na harmonii. Ze stacji dochodziło ciężkie sapanie lokomotywy, stukot przetaczanych wagonów i śpiewne dudnienie kół.

Za chwilę po nie oświetlonej stronie ulicy rozległo się gwizdnięcie. Mac przebiegł na drugą stronę.

- Słuchaj, Mac, musimy się pospieszyć. Znalazłem tego faceta. Otworzy nam wagon w towarowym na zachód. Mówi, że dojedziemy aż na wybrzeże, jak nie będziemy wysiadali.

- No, dobrze, ale co będziemy jedli, jak nas zamknie w tym pudle?
- Będziemy jedli, będziemy. Zostaw to już mnie.
- Ależ, Ike...
- Zamknij jadaczkę, dobrze? Chcesz, żeby całe miasto się dowiedziało, co mamy zamiar zrobić?

Na palcach szli w ciemności pomiędzy dwoma rzędami zamkniętych wagonów towarowych, dopóki Ike nie znalazł półotwartych drzwi. Dał nura do środka, a Mac za nim. Potem z całą ostrożnością zasunęli za sobą drzwi.

- Teraz nic nam nie pozostało, jak uderzyć w kimono - szepnął Ike, dotykając wargami ucha Maca. - Ten facet mówi, że nie ma dziś na służbie ani jednego kapusia.

- W kącie znaleźli siano z rozprutej beli. Pachniało w całym wagonie.
- Nie fajno? - szepnął Ike.
- Sam miód, Ike.

Niedługo pociąg ruszył i jeden obok drugiego ułożyli się do snu na rzadkim sianie. Zimne nocne powietrze dmuchało przez szpary w podłodze. Co chwila się budzili. Pociąg ruszał i stawał, znowu ruszał, wexłował tam i z powrotem na bocznicach, a koła stukały, dudniły im w uszach i łomotały na zwrotnicach. Nad ranem zapadli w ciepły sen i cienka warstewka siana na gołych deskach zrobiła się nagle miękka i przytulna. Żaden nie miał zegarka, a dzień był pochmurny, tak że nie wiedzieli, która może być godzina, kiedy się obudzili. Ike odsunął troszkę drzwi i wyjrzał; pociąg jechał szeroką doliną, zalaną od brzegu do brzegu przez wezbraną rzekę, z wystającymi zielonymi falami rosłej pszenicy. Od czasu do czasu pokazywała się w oddali kępa drzew wyglądająca jak wyspa. Na każdej stacyjce garbiło się ślepe cielsko elewatora zbożowego.

- Cholera, to musi być Rzeka Czerwona, ale jakoś w dziwnym kierunku jedziemy - powiedział Ike.

- Jezuniu, napiłbym się kawy - powiedział Mac.
- Napijemy się takiej kawy w Seattle, Mac. Niech mnie diabli, jeśli się nie napijemy.

Położyli się z powrotem i obudzili zupełnie zdrtwiali i z zaschniętymi gardłami. Pociąg stał, nie słyhać było żadnego dźwięku. Leżeli na wznak przeciągając się i nasłuchiwali.

- Gdzie, u diabła, możemy być?

Po dłuższej chwili usłyszeli, jak żużel przy torach skrzypi pod nogami i ktoś, idąc wzdłuż wagonów, sprawdza plomby na drzwiach. Leżeli tak cicho, że słyszeli, jak im wałą serca. Drzwi rozsunęły się z łoskotem i nagle wagon zalało słońce. Leżeli bez ruchu. Mac poczuł stuknięcie kija na piersi i usiadł mrugając. W uszach zawibrował mu szkocki głos:

- Tak i myślałem, zawsze się znajdzie jakiś amatorr podrróży tymi klubowcami. No, chłopaczki, wstawać i bulić. A jak nie, to na komisarriacik.

- O, cholera - powiedział Ike podchodząc na czworakach.

- Przekleństwa i wymysły nic wam nie pomogą. Jak macie parę papierków, możecie jechać choćby do Winnipegu, tam spróbować szczęścia. A nie, to ani się obejrzyjecie, jak będziecie tłuc kamienie na drodze.

Brekowy był złym, niskim mężczyzną o czarnych włosach i flegmatycznym sposobie bycia.

- Gdzie jesteśmy, szefie? - zapytał Ike, starając się mówić jak Anglik.

- Grretna. Jesteście w dominium Kanady. Możecie być zatrzymani równie dobrze za nielegalne przekroczenie granicy Jej Królewskiej Mości, jak za włóczęgostwo.

- No, to nie ma rady, trzeba bulić. Widzi pan, bo my to jesteśmy synami arystokratów, tylko, gównu, dla draki zachciało nam się powłóczyć po świecie.

- Nic nie pomogą przekleństwa i wykręty. Ile macie?

- Parę dolarów.

- Pokazać, tylko prędko.

Ike wyciągnął z kieszeni jednego dolara, potem jeszcze jednego; w drugim banknocie zawinięte było pięć dolarów. Szkot jednym ruchem capnął wszystkie trzy papierki i zatrzasnął za sobą drzwi. Słyszeli, jak przewleka zatyczkę. Przez dłuższy czas siedzieli bez słowa w ciemności. W końcu Ike powiedział:

- Słuchaj, Mac, możesz mi dać w mordę. Diabelnego byka strzeliłem. Nigdy nie wolno nosić forsy w kieszeni, powinienem trzymać w pasie. A tak zostało nam wszystkiego siedemdziesiąt pięć centów. W ogóle jesteśmy ugotowani. Ten typ na pewno zatelefonuje, żeby nas wyłuskali na pierwszej większej stacji.

- Oni na kolei też mają konną policję? - zapytał Mac głuchym szeptem.

- Rany, wiem tyle co ty.

Pociąg ruszył i Ike, przewróciwszy się na brzuch, zapadł w chmurny sen. Mac ułożył się obok niego na wznak i wpatrzony w szparę w drzwiach, przez którą przeświecało słońce, zastanawiał się, jak może wyglądać kanadyjskie więzienie.

Tej samej nocy, po dłuższym postoju w syku i stukocie jakiejś węzłowej stacji, usłyszeli, że ktoś zdejmuje zatyczkę. Odczekali trochę, po czym Ike zdobył się na odwagę i odsunął drzwi. Sztywni i okropnie głodni zeskoczyli na żużel przy szynach. Na sąsiednim torze stał drugi pociąg towarowy, więc nie widzieli nic prócz jasnego pasma gwiazd nad głową. Wydostali się ze stacji bez kłopotu i ruszyli ulicami dużego, szeroko rozrzuconego miasta.

- Jak wymarłe to całe Winnipeg, jeśli chcesz wiedzieć - rzekł Ike.

- Musi być po północy.

Wlekli się i wlekli, aż natrafili na małą garkuchnię, prowadzoną przez Chińczyka, który właśnie miał zamykać. Zapłacili czterdzieści centów za gulasz z kartoflami i kawę, po czym

spytali, czy nie mogliby się trochę przespać na podłodze za kontuarem. Ale Chińczyk wyrzucił ich na złamanie karku i znowu powlekli się śmiertelnie zmęczeni szerokimi wyludnionymi ulicami Winnipegu. Za zimno było, żeby gdzieś przysiąść, a jakoś nie mogli natrafić na dom noclegowy, w którym - sądząc z wyglądu - znalazłby się nocleg za trzydzieści pięć centów. Więc szli i szli, zresztą niebo zaczynało już błędnąć w leniwym świetle północnego lata. Kiedy rozwidniło się zupełnie, wrócili do Chińczyka i wydali pozostałe trzydzieści pięć centów na owsiankę i kawę. Potem poszli do biura werbunkowego kolei Canadian Pacific i podpisali kontrakt do obozu robót kolejowych w Banff. Czas, który im pozostał do odejścia pociągu, spędzili w Bibliotece Publicznej. Mac przeczytał kawałek *Spojrzenia w przeszłość* Bellamy'ego, a Ike, nie mogąc znaleźć żadnego tomu Karola Marksa, odcinek *Kiedy śpiący się budzi*⁶⁸ w „Strand Magazine”. Wsiedli do pociągu z głowami pełnymi nadchodzącej rewolucji socjalistycznej; zaczęli o niej opowiadać dwu długonogim drwalom o ogorzałych twarzach, którzy siedzieli naprzeciwko. Jeden przez cały czas żuł w milczeniu tytoń, ale drugi wypluł prymkę przez okno i powiedział:

- Trzymajcie, chłopcy, język za zębami, bo wam to nie wyjdzie na zdrowie.

- Co, u diabła, jesteśmy w wolnym kraju. Człowiek może chyba mówić, co mu się podoba, nie? - zapytał Ike.

- Ano, może, dopóki mu lepsi nie powiedzą, żeby zamknął gębę.

- O, u diabła, nie szukam przecież draki – powiedział Ike.

- No, myślę - odparł tamten i więcej się już nie odzywał.

Przez całe lato pracowali dla Canadian Pacific, a pierwszego października byli już w Vancouverze. Sprawili sobie nowe walizki i nowe garnitury. Ike miał czterdzieści dziewięć i pół dolara, Mac osiemdziesiąt trzy i piętnaście centów w nowiutkim portfelu ze świńskiej skóry. Mac zaoszczędził więcej, bo nie grał w pokera. Wzięli za półtora dolara dwuosobowy pokój i pierwszego wolnego ranka wylegiwali się w łóżkach jak hrabiowie. Byli ogorzali i zahartowani, skórę na rękach mieli zrogowaciałą. Po zapachu cuchnących fajek, nie mytych nóg i pluskiew w kolejowych barakach mały pokoik hotelowy o wyszorowanych deskach podłogi i czystych łóżkach wydawał się pałacem.

⁶⁸ *Kiedy śpiący się budzi: powieść z nadchodzących lat* (*When the Sleeper Wakes: A Novel of the Years to Come*) - to wydana w roku 1899 powieść pioniera fantastyki naukowej, angielskiego autora H.G. Wellsa (1866-1946). Wychodząc z pozycji reformatorskiego socjalizmu tzw. Towarzystwa Fabiańskiego (Fabian Society), do którego założycieli Wells należał, powieść opisuje, jak macki jednego gigantycznego kartelu kapitalistycznego stopniowo omotują gospodarkę całego świata zachodniego, idea, do której pisarz później wracał w kilku dalszych powieściach, szczególnie w *Pokarmie bogów* (*The Food of the Gods*, 1904) oraz *Tono-Bungay* (1909). „Strand Magazine” był jednym z pierwszych ilustrowanych miesięczników rodzinnych poświęconych lekkiej literaturze. Założony w 1891 roku przez eksperymentującego na polu czasopiśmiennictwa wydawcę londyńskiego, George'a Newnesa, zdobył szybko ogromną poczytność i utrzymał się na rynku aż do roku 1950. Pamiętany jest dziś może najbardziej z tego, że miały w nim swoje pierwodruki opowieści Arthura Conan Doyle'a o Sherlocku Holmesie. W swoim „nieformalnym pamiętniku”, *Najlepszych czasach* (*The Best Times: An Informal Memoir*, 1966), Dos Passos wspomina, jak opiekując się latem 1912 roku w Waszyngtonie obłożnie chorą matką znalazł na strychu stare roczniki „Strand Magazine” i zaczytywał się w nich fantastycznymi opowieściami Wellsa.

Obudziwszy się na dobre, Mac usiadł i sięgnął po nowiutkiego Ingersolla⁶⁹. Jedenasta. Słońce na parapecie było rudawe od dymu lasów palących się dalej na wybrzeżu. Wstał i wymył się w misce zimnej wody. Chodząc tam i z powrotem po pokoju wycierał ręcznikiem twarz i ramiona. Przyjemnie było czuć pod dłonią zarys karku, zagłębienie między łopatkami i mięśnie ramion, kiedy tak wycierał się szorstkim, świeżym ręcznikiem.

- Jak myślisz, Ike, co teraz zrobimy? Bo ja myślę, że wsiądziemy sobie na statek jak dwaj gogusie i pojedziemy do Seattle. Chcę się gdzieś zahaczyć, znaleźć pracę u jakiegoś drukarza; z drukarstwa można niezgorzej żyć. Będę wkuwał jak diabli przez całą zimę. Co ty o tym sądzisz, Ike? Chcę się jak najprędzej wyrwać z tej zakazanej angielskiej prowincji, wrócić do ludzkiego kraju. Co ty na to, Ike?

Ike stęknął i przewrócił się w łóżku.

- Te, zbudź się, Ike, na miłość boską. Obejrzymy miasto, a potem cześć.

Ike usiadł na łóżku.

- Rany, potrzebuję kobity.

- Słyszałem, że klasa dziewczynki są w Seattle. Jak Boga kocham, słyszałem.

Ike zerwał się z łóżka i jął spryskiwać się zimną wodą od stóp do głów. Potem wskoczył w ubranie i stanął w oknie, wyczesując wodę z włosów.

- Kiedy odchodzi ten cholerny statek? Jezuniu, dwa razy spuściłem się przez sen. Ty też?

Mac się zaczerwienił. Kiwnął głową.

- Musimy sobie zafundować dziewczynki. Takie sny wyciągają z człowieka siły.

- Żeby się tylko nie zarazić.

- Diabła tam, mężczyzna nie jest mężczyzną, póki nie przejdzie trzy razy trypra. No, chodź, obejrzymy w końcu to miasto.

- Dobre sobie, może nie czekam na ciebie od pół godziny?

Zbiegli po schodach i na ulicę. Obeszli Vancouver, wciągając w nozdrza winny zapach tartaków na nabrzeżach, zatrzymując się pod wielkimi drzewami parku. Potem kupili bilety w biurze okrętowym i poszli do sklepu galanteryjnego, gdzie sprawili sobie krawaty w paski, kolorowe skarpetki i jedwabne koszule po cztery dolary sztuka. Czuli się jak milionerzy, wchodząc po trapie statku do Victorii i Seattle w nowych garniturach, z nowymi walizkami, w jedwabnych koszulach. Spacerując po pokładzie, palili papierosy i rozglądali się za dziewczynkami.

- Popatrz, tamte dwie, wyglądają na łatwe. Założę się, że to lafiryndy - szepnął Ike Macowi w ucho i szturchnął go łokciem w żebro, kiedy mijali dwie dziewczyny w wiosennych kapeluszach, spacerujące w odwrotnym kierunku.

⁶⁹ Ingersoll - to masowo produkowany zegarek, sprzedawany za dolara.

- Rany, spróbujemy je przygadać.

Wypili w barze kilka piw, po czym wrócili na pokład. Dziewczęta znikły. Posępni chodzili przez jakiś czas po pokładzie, aż wreszcie znaleźli je oparte o burtę na rufie. Był chmurny księżycowy wieczór. Morze i strzeliste iglaste drzewa mrocznych wysp majaczyły jaśniejszymi i ciemniejszymi plamami w mieniącym się srebrzystym blasku. Dziewczyny miały fryzowane włosy i sińce pod oczami. Macowi wydały się za stare, ale Ike ruszył już do przodu i było za późno, żeby coś powiedzieć. Dziewczyna, z którą zaczął rozmawiać, miała na imię Gladys. Z wyglądu bardziej podobała mu się druga, imieniem Olive, ale Ike podszedł do niej pierwszy. Stali na pokładzie, przekomarzając się i chichocząc, aż dziewczyny powiedziały, że im zimno; wobec tego zeszli do saloniku i usiedli na kanapce. Ike poszedł kupić pudełko cukierków.

- Jadłyśmy cebulę na obiad - powiedziała Olive. - Mam nadzieję, że nie będzie wam to przeszkadzało. Widzisz, Gladys, mówiłam ci, że nie trza jeść cebuli, jak mamy jechać statkiem.

- Daj buziaka, to ci powiem, czy mi będzie przeszkadzało - odparł Ike.

- Nie tak ostro, chłopczyku, nie na tym statku – ucięła Olive i dwie gniewne linie zarysowały się koło jej ust.

- Musimy bardzo uważać na statku - wyjaśniła Gladys. - Oni tu strasznie podejrzliwi, jak zobaczą dwie dziewczyny podróżujące bez towarzystwa. Czy to nie okropne?

- Pewnie, że okropne - powiedział Ike, przysuwając się bliżej do Olive.

- Dosyć tego dobrego. Gębę w kubel i fora ze dwora. Nie żartuję.

Olive przesiadła się na przeciwległą kanapkę. Ike przesiadł się za nią.

- Dawniej można było robić, co kto chciał na tych statkach. Ale teraz to już nie - powiedziała Gladys, zwracając się do Maca cichym, poufnym głosem. - Wy, chłopcy, pracowaliście w fabryce konserw?

- Nie, robiliśmy przez całe lato na linii Canadian Pacific.

- O, toście musieli zarobić kupę forsy.

Mac spostrzegł, że rozmawiając z nim, zerka cały czas na koleżankę.

- E, nie taką znowu kupę. Ja zebrałem niecałą setkę.

- I teraz jedziecie do Seattle?

- Chciałbym się gdzieś dostać za linotypistę.

- My też mieszkamy w Seattle. Mamy z Olive mieszkanie. Ale chodźmy na pokład, za gorąco tutaj.

Kiedy mijali Olive i Ike'a, Gladys pochyliła się i szepnęła jej coś do ucha. Potem zwróciła się do Maca, cała roztopiona w uśmiechu. Na pokładzie nie było nikogo.

Pozwoliła się objąć w pół. Pod palcami poczuł fiszbinę gorsetu. Ścisnął.

- Och, nie tak ostro, chłopczyku - pisnęła śmiesznym głosikiem.

Mac się roześmiał. Cofając rękę, poczuł kształt jej piersi. Idąc ocierał się nogą o jej nogę. Po raz pierwszy był tak blisko dziewczyny.

Po pewnym czasie powiedziała, że musi iść spać.

- A co, gdybym poszedł z tobą? Potrząsnęła głową.

- Nie na statku. Zobaczymy się jutro. Może odwiedzicie nas z kolegą w domu. Pokażemy wam miasto.

- Dobra - powiedział Mac.

Spacerował dokoła pokładu i serce waliło mu w piersi. Czuł dudnienie maszyn pod pokładem i opór wody roztrącaną przez strzelisty dziób; i on drżał jak statek. Spotkał Ike'a.

- Moja powiedziała, że musi iść spać.

- Moja też.

- Dopiąłeś czego, Mac?

- Dowiedziałem się, że mają mieszkanie w Seattle.

- Ja dostałem od swojej buziaka. Mówię ci, gorąca jak diabli. Rany, myślałem, że mi da.

- Dostaniemy jutro, nic się nie martw. Następnego dnia było słońce; kiedy zeszli na ląd w Seattle, nabrzeże było całe roziskrzzone, pachniało składami drewna, ogłuszało turkotem wozów i krzykami woźniców. Poszli do Ymki wynająć pokój. Koniec, już więcej nie będą robociarzami i trampami. Dostaną czystą pracę, będą żyli porządnie i chodzili do szkoły wieczorowej. Włóczyli się po mieście cały dzień, a wieczorem spotkali się z Olive i Gladys pod słupem totemicznym na Pioneer Square. Sprawy potoczyły się szybko. Poszli do restauracji i zjedli obfity kolację z winem, po czym przenieśli się do piwiarni z ogródkiem, w którym grała orkiestra, i pili whisky z sokiem cytrynowym i cukrem. Idąc do dziewczyn, wzięli ze sobą jeszcze jedną butelkę i Mac o mało jej nie upuścił na schodach.

- Na miłość boską, nie hałasujcie tak, bo nam ściągniecie gliny na kark! - syknęły Olive i Gladys.

W mieszkaniu pachniało piżmem i pudrem, na wszystkich krzesłach przewracała się damska bielizna i dziewczyny kazały sobie zapłacić z góry po piętnaście dolarów. Mac poszedł ze swoją do łazienki; umazała mu nos szminką i zaśmiewali się, zaśmiewali, ale w końcu przebrał miarkę i dała mu po buzi. Potem zasiedli wszyscy do stołu i pili dalej, a Ike odtńczył na bosaka taniec Salome. Mac pokładał się ze śmiechu, takie to było komiczne; siedział na podłodze i kiedy chciał wstać, upadł na twarz i nagle znalazł się w łazience; wymiotował, a Gladys wymyślała mu od ostatnich. Pomogła mu się ubrać, nie mógł tylko nigdzie znaleźć krawata, i wszyscy orzekli, że jest pijaczyna i wyrzucili go za drzwi. Szedł ulicą, wyśpiewując: „Gębę w kubel i fora ze dwora, fora ze dwoora” - aż spotkał policjanta i spytał, gdzie jest Ymca. Ale policjant zabrał go na komisariat i zamknął w areszcie.

Obudził się z głową jak wielki pęknięty kamień młyński. Koszulę miał zarzyganą, spodnie

rozdarte. Przeszukał kieszenie, ale w żadnej nie znalazł portfela. Potem policjant otworzył celę i kazał mu się wynosić. Wyszedł w jaskrawe słońce, które kłuło oczy jak nóż. Mężczyzna siedzący na portierni w Ymce zmierzył go dziwnym wzrokiem, ale nic nie powiedział i Mac wszedłszy na górę zwałił się na łóżko. Ike jeszcze nie wrócił. Zdrzemnął się, cały czas czując przez sen pulsującą głowę. Kiedy się obudził, Ike siedział na swoim łóżku. Miał błyszczące oczy i czerwone policzki. Był jeszcze ciągle lekko zawiany.

- Słuchaj, Mac, ciebie też obrobiły? Bo ja nie mam portfela. Chciałem wrócić, ale nie mogę znaleźć tego domu. Rany boskie, stłukłbym kurwy jedne. Gówno, jeszcze jestem zalany w pestkę. Wiesz, ten bubek na dole mówi, że będziemy się musieli wynieść. Nie mogą trzymać pijaków w Ymce.

- Jezuniu, ale myśmy zapłacili za tydzień.

- Zwróci nam część forsy. O, do diabła z nim, Mac. Jesteśmy goli, ale czuję się klasa. Wiesz, miałem ciężką przeprawę z twoją dzidzią, jak cię wyrzuciły.

- Diabła tam, ja się czuję kiepsko.

- Boję się kłaść, żeby też nie dostać kaca. Chodź, wyjdziemy, to nam dobrze zrobi.

Była trzecia po południu. Wstąpili do małej chińskiej restauracyjki w porcie i wypili po kawie. Mieli dwa dolary, które dostali w zastaw za walizki. Jedwabnych koszul nie chcieli wziąć w lombardzie, bo były brudne. Na dworze lalo jak z cebra.

- Rany Jezusa, powinniśmy mieć tyle oleju w głowie, żeby się nie dać upić! Jesteśmy skończone matole, Ike.

- Zabawiliśmy się pierwszorzędnie. Jezuniu, jak ty śmiesz wyglądać z tą gębą wymazaną szminką.

- Czuję się paskudnie. Chcę się uczyć i pracować, żeby do czegoś dojść. Wiesz, o co mi chodzi. Nie żeby zostać poganiaczem niewolników, tylko dla socjalizmu, dla rewolucji i w ogóle. Nie popracować trochę i potem iść w gaz, znowu popracować i znowu w gaz, tak jak te wszystkie ćwoki na kolei.

- Cholera, na drugi raz będziemy mieli więcej oleju, zostawimy forszę w jakimś bezpiecznym miejscu. Ja też sobie pluję w brodę.

- Jakby ta buda się teraz zapaliła, to nie wiem, czybym miał siłę wyjść.

Siedzieli u Chińczyka, póki mogli, po czym wyszli na deszcz i wynaleźli trzydziestocentowy dom noclegowy, w którym spędzili noc; pluskwy mało ich nie zjadły. Rano poszli szukać pracy. Mac w drukarniach, Ike w biurach okrętowych. Spotkali się wieczorem, ale żadnemu się nie poszczęściło. W rezultacie obaj najęli się do wyrębu lasu nad Snake River. Wagon, do którego ich załadowano, był pełen Szwedów i Finów; tylko oni dwaj mówili po angielsku. Na miejscu okazało się, że nadzorca jest pies, żarcie parszywe, barak brudny, tak że po paru dniach się urwali i ruszyli dalej. W Górach Błękitnych było już zimno i umarliby z głodu, gdyby nie kuchnie spotykanych po drodze obozowisk drwali, w których zawsze można było wyżebrać coś do jedzenia. Dotarli do kolei w Baker City i udało im się dobić towarowymi aż do Portland. Ale mieli tak brudne ubrania, że nie mogli dostać żadnej pracy, więc poszli na południe jedną z tych rozległych, nie kończących się oregońskich dolin, pełnych farm owocowych. Spali w stodołach i od czasu do czasu dostali coś do zjedzenia za porąbanie drewna czy jakies inne roboty gospodarskie.

W Salem Ike stwierdził, że ma trypra, i Mac nie mógł spać po nocach ze strachu, że i on dostanie. Doktor, do którego trafili, był wysokim mężczyzną o puciołowatej twarzy i tubalnym śmiechu. Kiedy powiedzieli, że nie mają pieniędzy, odrzekł, że zgoda, zrobią mu coś w domu za poradę, ale usłyszawszy, że chodzi o chorobę weneryczną, palnął im gorące kazanko o cenie grzechu i wyrzucił za drzwi.

Powlekli się dalej drogą, głodni i z poobcieranymi nogami; Ike miał gorączkę i bolało go przy każdym kroku. Szli w milczeniu. W końcu dobrnęli do malej stacyjki na głównej linii kolei Southern Pacific, skąd pociągi zabierały owoce i gdzie tankowały wodę. Tutaj Ike oświadczył, że nie może iść dalej i że będą musieli poczekać na jakiś pociąg.

- Chryste Panie, w kryminale byłoby człowiekowi lepiej.

- Jak komu się nie wie dzie w tym kraju, to już na całego - powiedział Mac i nie wiadomo dlaczego obaj parsknęli śmiechem.

W zaroślach za stacją spotkali starego trampa, który gotował kawę w blaszance. Dał im trochę kawy, kawałek chleba i skórkę od słoniny, a oni powiedzieli mu o swoich kłopotach. Stary oznajmił, że jedzie na zimę na południe, i poradził, że najlepszy na trypra jest wywar z łądyg i pestek wiśni.

- Cholera, ale skąd ja wezmę wiśni?

A w ogóle, powiedział, nie trzeba się tym przejmować, to akurat taka sama choroba jak silne przeziębienie. Był to pogodny staruch o twarzy tak obrośniętej brudem, że wyglądała jak brunatna skórzana maska. Miał zamiar łapać towarowy, który zatrzymuje się tutaj tuż po zapadnięciu zmroku, żeby nabrać wody. Mac zdrzemnął się trochę, a Ike ze starym gawędzili. Obudził go wrzask Ike'a i wszyscy trzej popędzili na łeb, na szyję, bo pociąg już ruszył ze stacji. W półmroku Mac

nie trafił nogą na stopień i wyciągnął się jak długi na podkładach. Skręcił sobie kolano, przejechał nosem po żużlu i zanim się zerwał z powrotem na nogi, światelka ostatniego wagonu rozplywały się w listopadowej szarówce.

Nigdy więcej nie widział Ike'a.

Wrócił do traktu i utykając włókł się przed siebie, póki nie doszedł do jakiejś farmy. Pies z ujadaniem rzucił mu się do łydek, ale on był zanadto zmordowany, żeby się przejmować. W końcu w drzwiach ukazała się tęga kobieta, która dała mu kilka zimnych grzanek i trochę przecieru z jabłek i powiedziała, że może się przespać w stodole, jeśli odda wszystkie zapalki. Pokuśtykał do stodoły i zaszywszy się w stertę siana, momentalnie zasnął.

Rano przyszedł do stodoły farmer, wysoki ogorzały mężczyzna nazwiskiem Thomas, i tubalnym głosem zaproponował, żeby Mac kilka dni popracował na farmie za wikt i mieszkanie. Byli dla niego dobrzy i mieli ładną córkę, imieniem Mona, dla której Mac stracił głowę. Była to dorodna dziewczyna o czerwonych policzkach, silna jak chłopak i nie bojąca się niczego. Poszturchiwała go, siłowała się z nim i Mac, kiedy się trochę odżywił i wypoczął, prawie nie sypiał po nocach, tylko myślał o mej. Leżąc na sianie, przypominał sobie dotknięcie jej nagiego ramienia, kiedy ocierała się o niego podając sitko do spryskiwania drzew albo zbierając przycięte gałęzie na opał, i krągłość jej piersi, i jej oddech słodki jak u klaczy, kiedy dokazywali i robili sobie nawzajem kawały wieczorem po kolacji. Ale Thomasowie mieli inne projekty co do córki, więc powiedzieli Macowi, że więcej go nie potrzebują. Łaskawie zaopatrzyli go na drogę w mnóstwo dobrych rad, trochę starego ubrania i zimny obiad zapakowany w gazetę, ale pieniędzy mu nie dali. Mona wybiegła za nim, kiedy odchodził piaszczystą, poźłobioną koleinami polną drogą i pocałowała go na oczach rodziców.

- Zadzurzyłam się w tobie - powiedziała. - Zarób dużo pieniędzy i wróć, to się pobierzemy.

- Jak Boga kocham, wróć - odrzekł Mac i odszedł ze łzami w oczach, ale bardzo szczęśliwy.

Tym bardziej był rad, że nie złapał trypra od tej dziewczyny w Seattle.

KRONIKA VI

Paryż Wreszcie Zgorszony

HARRIMAN⁷⁰ POTENTATEM KOLEJOWYM

znany oszust w pułapce

TEDDY WYMACHUJE TĘGĄ PAŁKĄ⁷¹ dojeżdżający do pracy domagają się miejsc siedzących

Niesie nas nocny wiew

W księżycu blasku,

Po wodzie płynie zew

Błaganie o łaskę

Nie odchodź, serce mi zabrałeś.

Pamiętasz miłości słodki śpiew

W księżycu blasku

PO NABOŻEŃSTWIE TLUM DOKONUJE LINCZU

kiedy surówka buchnęła z pieca, ujrzałem ludzi uciekających w bezpieczne miejsce. Dziesięciu mężczyzn w ubraniach ogarniętych płomieniami rzuciło się w popłochu na prawo od pieca. Jasne było, że część z nich doznała obrażeń od razu w momencie eksplozji, i kilku, potknąwszy się, upadło. Roztopiony metal zalał nieszczęśliwców w mgnieniu oka.

WYCHWAŁA MONOPOLE JAKO POWSZECHNE DOBRODZIEJSTWO

skłócenii przemysłowcy dążą do ugody w domu pani Potterowej Palmer⁷²

miłości słodki

śpiew

Niesie nas nocny wiew W księżycu blasku.

⁷⁰ Edward Henry Harriman (1848-1909) w ostatnich latach XIX wieku uzyskał faktyczną kontrolę nad głównymi południowymi szlakami kolejowymi łączącymi wschód Stanów z wybrzeżem Pacyfiku. W roku 1901 doszło do starcia między nim a twórcą północnej drogi żelaznej do Pacyfiku, Jamesem (Jimem) Hillem (1838-1916), o którym jest wzmianka w Kronice VII, oraz współnikiem tego ostatniego, Johnem Pierpontem Morganem (1837-1913), któremu Dos Passos poświęcił rozdział biograficzny zatytułowany „Dom bankowy Morgana” w drugim tomie trylogii, *Roku 1919*. Trzej potentaci doszli jednak rychło do porozumienia, tworząc wspólne towarzystwo holdingowe, co zakończyło wojnę towarzystw kolejowych. Sielanka ta została zakłócona w roku 1906 badaniami komisji, która korzystając z ustaw antytrustowych zarządziła częściowy podział imperium kolejowego. Por. również przypis dotyczący Schiffa.

⁷¹ Tęga pałka (The Big Stick) - to termin spopularyzowany w 1900 roku oświadczeniem Theodore'a Roosevelta (por. przypis do s. 50), że zawsze cenił zachodnioafrykańskie przysłowie: „Przemawiaj łagodnie, lecz noś tęgą pałkę” („Speak softly and carry a big stick”). W czasie jego prezydentury prasa używała tego terminu głównie na określenie polityki wymuszania ustępstw w stosunkach z innymi państwami groźbą użycia siły zbrojnej, którą to metodą Roosevelt posługiwał się w kilku **kolejnych** kryzysach międzynarodowych. Tutaj termin ten może się odnosić także do jego zapowiedzi rozbijania trustów i zapobiegania dalszej monopolizacji kapitału.

⁷² Pani Potterowa Palmer-to żona wielkiego kupca chicagowskiego, Pottera Palmera (1826-1902), który zrewolucjonizował ówczesny system sprzedaży, wprowadzając w swoim magazynie zasadę, że klient może zabrać zakupiony towar do domu w celu dokładnego obejrzenia, po czym ewentualnie go odnieść do wymiany czy zwrotu. Około 1865 roku Palmer wszedł w spółkę z Marshalllem Fieldem i Levim Z. Leiterem, którzy wkrótce wykupili jego udziały w firmie. W 1881 powstał z nowej spółki jeden z najbardziej znanych domów towarowych Ameryki, Marshall Field & Co., w którym pracuje bohaterka dalszych rozdziałów powieści, Eleonora Stoddard.

OKO KAMERY (7) ⁷³

ślizgaliśmy się na stawie koło fabryki sreber i w powietrzu wisiał ten dziwny lepki zapach ze śmietnika ktoś powiedział że to mydło z tranu wielorybiego którego używają do polerowania sreber noży łyżek i widelców żeby im nadać połysk zanim pójda na sprzedaż połyskiwał wczesny czarny lód i dźwięczał jak ostrze piły ledwo ledwo porysowany białymi śladami pierwszych łyżwiarzy nie mogłem się nauczyć jeździć na łyżwach i raz po raz wyciągałem się jak długi uważajcie na tych łobuziaków mówili wszyscy szczeniaki tych Pepiczków i Polaczków wsadzają kamienie w piguły wypisują świństwa na ścianach wyprawiają świństwa po kątach a ich starzy pracują w fabryce

my czyści mali Amerykanie Mali Wędrownicy ⁷⁴ obeznani z maszynami Pogromcy Zwierząt ⁷⁵ graliśmy w hokeja bawiliśmy się w skautów robiliśmy ósemki na lodzie Achilles Ajaks Agamemnon ⁷⁶ tylko ja nie mogłem się nauczyć i raz po raz wyciągałem się jak długi

⁷³ Oko kamery (7), jak i następujące Oko kamery (8), jest wspomnieniem z lat nauki Dos Passosa w prywatnej Choate School w Wallingford, niedaleko miasta New Haven w Connecticut, sto kilkadziesiąt kilometrów na północ od Nowego Jorku. Pisarz uczył się tu od roku 1907 do 1911, kiedy to miał już zaliczonych dosyć przedmiotów, by nie uczęszczając do ostatniej klasy, zdawać na Uniwersytet Harvarda. Miasteczko Wallingford, choć położone w rejonie rolniczym, miało kilka fabryk (wśród nich fabrykę sreber stołowych), w których pracowali imigranci; paniczykowie z ekskluzywnej szkoły musieli oczywiście budzić zawiść ich synów.

⁷⁴ Mali Wędrownicy (The Rover Boys) - to bohaterowie 20 seryjnych opowieści dla chłopców, o akcji rozgrywającej się w szkole prywatnej i college'u, ukazujących się w latach 1899-1916. Autorem ich był niejaki Edward Stratemeyer (1863-1930), który publikował tę serię powieści pod pseudonimem Arthur M. Winfield, a kilka innych serii pod innymi pseudonimami.

⁷⁵ Pogromcy Zwierząt - to nawiązanie do tytułowej postaci powieści *Pogromca zwierząt* (*The Deerslayer*, 1841), pióra pierwszego wielkiego powieściopisarza amerykańskiego, Jamesa Fenimore'a Coopera (1789-1851). Powieść ta, ostatni co do daty powstania, a pierwszy tematycznie tom jego *Pięcioksięgu przygód Sokolego Oka* (*Leather-Stocking Tales*), ma za bohatera młodego myśliwego z końca XVIII wieku, żyjącego wśród Indian Delaware i walczącego wraz z nimi z plemieniem Huronów.

⁷⁶ Achilles, Ajaks, Agamemnon -to imiona bohaterów Homera, które biorą się tutaj stąd, że Dos Passos studiował w tym okresie *Iliadę* i *Odyseję*, jak również *Eneidę* Wergiliusza. Czynił to na wyraźne życzenie ojca, wielkiego miłośnika antyku, który sam się uczył greki i łaciny i próbował czytać klasyków starożytnych w oryginale. Był zachwycony, kiedy jego syn zaczął w szkole pobierać nadobowiązkowe lekcje greki u żony dyrektora. Mały Dos Passos dostał w tymże czasie od ojca łyżwy, a zawsze bardziej sprawny umysłowo niż fizycznie, był bardzo nieszczęśliwy musząc się wykazać umiejętnością jazdy na nich.

ZAKLINACZ ROŚLIN

Luther Burbank⁷⁷ urodził się w murowanym wiejskim domu w Lancaster, Massachusetts.

Chodząc po lesie pewnej zimy, miażdżąc nogami połyskliwą skorupkę śniegu, natknął się na małą kotlinkę, w której było ciepłe źródło, i znalazł zieloną trawę i kielkujące chwasty, i śnieguliczkę puszczającą tęgie pędy. Wrócił do domu, usiadł przy piecu i zabrał się do czytania Darwina; Walka o Byt, Początek Gatunków, Dobór Naturalny, tego nie uczono w kościele, więc Luther Burbank przestał wierzyć, przeniósł się do Lunenburga, znalazł owoce na krzaku kartofli, wydobyl z nich nasiona, posiał i zarobił na Doborze Naturalnym pana Darwina, na Spencerze i Huxleyu⁷⁸, wyhodowawszy kartofel Burbanka.

Młodzi na Zachód;

Luther Burbank pojechał do Santa Rosa pełen snów o trawie zieleniącej się w zimie, o wiecznikwitnących kwiatach, wiecznieowocujących jagodach; Luther Burbank mógł ciągnąć zyski z Doboru Naturalnego, Luther Burbank wcielił w życie apokaliptyczny sen o trawie zieleniącej się w zimie, o jagodach bez nasion i śliwkach bez pestek i różach, jeżynach, kaktusach bez kolców - zimy były posępne w tamtym posępnym murowanym wiejskim domu w posępnym stanie Massachusetts -hejże do słonecznej Santa Rosa; i stał się promiennym starszym panem, gdzie róże kwitły cały rok, wiecznikwitnące, wiecznieowocujące hybrydy.

Ameryka jest hybrydą, niech Ameryka ciągnie zyski z Doboru Naturalnego. Był niedowiarkiem, wierzył w Darwina i w Dobór Naturalny, i wpływ potężnych nieżyjących, i w zdrowe twarde owoce eksportowe nadające się do puszkowania.

Był jednym z wielkich starszych panów, dopóki kościoły i kongregacje nie wywęszyły, że jest niedowiarkiem i że wierzy w Darwina. Przez te wszystkie lata spędzone w Santa Rosa, kiedy tworzył coraz to lepsze hybrydy dla Ameryki, Lutherowi Burbankowi nie powstała w głowie żadna zdrożna myśl.

Ale tym razem wdepnął w gniazdo os; nie chciał się zaprzecć Darwina i Doboru Naturalnego, więc go użądliły i umarł nic nie rozumiejąc.

Pochowali go pod cedrem.

Jego ulubiona fotografia przedstawiała małego berbecia, któremu w głowie nie powstała żadna zdrożna myśl, stojącego za grządką hybrydy Shasta, wiecznikwitnących podwójnych

⁷⁷ Luther Burbank (1849-1926), wychowany na farmie w stanie Massachusetts, kupił w wieku 21 lat kawałek ziemi, na którym zaczął eksperymentować z uszlachetnianiem roślin i już w 1873 roku wyhodował tzw. kartofel Burbanka, odmianę znacznie większą i wytrzymalszą od wówczas hodowanych. Przeniósłszy się dwa lata później do Kalifornii, kontynuował przez następne 50 lat eksperymenty, w których wyniku wyhodował liczne ulepszone odmiany owoców, warzyw, kwiatów. W chwili śmierci prowadził 3000 doświadczeń i hodował 5000 tysięcy roślin ze wszystkich zakątków świata. Opublikował 20 tomów prac o swoich metodach i osiągnięciach hodowlanych.

⁷⁸ W czasie, gdy Burbank rozpoczynał swoje eksperymenty, główne dzieło Charlesa Darwina (1809-1882), *O powstawaniu gatunków droga doboru naturalnego* (*On the Origin of Species by Means of Natural Selection*), wydane w 1859, było wciąż, w Ameryce bardziej niż w Europie, kontrowersyjną nowinką. Wielcy angielscy uczeni tej epoki, Herbert Spencer (1820-1903), socjolog i filozof, oraz Thomas Henry Huxley (1825-1895), biolog, paleontolog i fizjolog, byli zwolennikami i propagatorami darwinowskiej teorii ewolucji; pierwszy oparł na niej swoją ogólną teorię wszech nauk,

stokrotek.

Góra Shasta, którą widać w tle, była kiedyś wulkanem, ale teraz nie ma już wulkanów.

drugi swoimi badaniami przyczynił się do jej potwierdzenia i rozwinięcia.

KRONIKA VII

OŚWIADCZYŁ, ZE W TYM STULECIU RZĄDZIĆ BĘDĄ MILIARDY I MÓZGI

Niemowlę Urodzone w Minneapolis Zostało Przywiezione w Inkubatorze

Cheyenne, Cheyenne, Na konika hop, kochanie

twierdzi, że Jim Hill oskarżył trust naftowy o 939 wykroczeń

POCIĄG WYLECIAŁ W POWIETRZE NA KOLEI WIELKIEJ CZWÓRKI⁷⁹

kobieta i dzieci poszły w zapomnienie przyznaje, że był świadkiem chłosty a nawet okaleczeń, ale nie jakichś przerażających gwałtów

PRAWDA O WOLNYM PAŃSTWIE KONGIJSKIM⁸⁰

Dopatrują się Zasadniczej Wady w Pancerniku Dreadnought⁸¹ Santos-Dumont opowiada o konkurencie drapieżnych ptaków żony pierwszym celem krajowców z Konga niezwykle list odwołujący amerykańską piechotę morską

BIALI W KONGU TRACĄ POCZUCIE MORALNOŚCI

KOBIETA USIDLONA PRZEZ POKĄTNYCH ADWOKATÓW

Thaw⁸² Zmierzy się z Sądem w Brzemiennej Walce

⁷⁹ Koleją Wielkiej Czwórki nazywano towarzystwo obsługujące połączenia między czterema wielkimi miastami: Cleveland i Cincinnati w stanie Ohio, Chicago w stanie Illinois i Saint Louis w stanie Missouri.

⁸⁰ Wolne Państwo Kongijskie (Etat Independant du Congo), z Leopoldem II (1835-1909), królem Belgii od 1865, jako monarchą, zostało utworzone w roku 1885 decyzją Konferencji Berlińskiej, powołanej do ustalenia stref wpływów mocarstw europejskich w zachodniej Afryce. Jednakże było to tylko formalne uznanie stanu faktycznego, gdyż już wcześniej, w 1877, Leopold powołał międzynarodowe towarzystwo do zagospodarowania afrykańskiego interioru wzdłuż rzeki Kongo, ciągnącej się na długości około 4700 kilometrów. Jego zainteresowanie tym rejonem wzbudziła głośna wyprawa badawcza Henry'ego Stanleya biegiem rzeki w latach 1874-1877. Na zlecenie towarzystwa, którego głównym udziałowcem był król, Stanley stworzył w latach 1879-1882 placówki w górnym biegu Konga i rozpoczął negocjacje z miejscowymi kacykami murzyńskimi. W 1884 Association Internationale du Congo miało podpisane umowy z 450 lokalnymi władcami i Leopold mógł się ubiegać o międzynarodowe uznanie swych roszczeń do tych terenów. Przez lata dziewięćdziesiąte umacniał na nich swoje dyktatorskie panowanie, dławiąc środkami militarnymi opór i eliminując kolejnych czarnych władców. Ludność murzyńska była zmuszana do niewolniczej pracy przy zbieraniu kauczuku, oleju palmowego i kości słoniowej, w kopalniach miedzi i diamentów. Belgowie wprowadzili chłostę i branie zakładników w celu wymuszania narzuconych norm, karali okaleczaniem ciała nawet za drobne wykroczenia. Szacuje się, że liczba ludności eksploatowanych terenów spadła w okresie dwudziestu paru lat z 20-30 milionów do 8 mln. Ujawnienie tych faktów przez prasę najpierw brytyjską, a potem światową zmusiło Leopolda w 1908 roku do przekształcenia Wolnego Państwa Kongijskiego w Konga Belgijskie, kolonię pozostającą pod kontrolą parlamentu. Od 1960 jest to Zair.

⁸¹ Brytyjski pancernik *Dreadnought* został zwodowany w roku 1906. Był to okręt o wyporności 17900 ton, napędzany turbinami parowymi, wyposażony w 10 wielkich 12-calowych dział i 5 wyrzutni torped, mogący rozwinać szybkość do 21 węzłów. Przewyższający siłą ognia i szybkością wszystkie dotychczasowe okręty, dał początek całej klasie okrętów „dreadnought” w różnych flotach. Odegrały one dużą rolę w pierwszej wojnie światowej, ale starły się bezpośrednio tylko raz w nie rozstrzygniętej Bitwie Jutlandzkiej 1916 roku, kiedy to flota niemiecka próbowała przełamać brytyjską blokadę w cieśninie Skagerrak. Nazwa *Dreadnought* (co można by luźno przetłumaczyć *Nieustraszone*) była tradycyjna we flocie brytyjskiej - pierwszy okręt o tej nazwie pływał za czasów królowej Elżbiety I, najnowszym jest pierwsza brytyjska atomowa łódź podwodna, wodowana w 1963.

⁸² Harry Kendall Thaw (1871-1947), milioner z Pittsburgha, zastrzelił 25 czerwca 1906 roku w restauracji teatru letniego, na dachu Madison Square Garden w Nowym Jorku, architekta Stanforda White'a (1853-1906). Thaw, dziedzic fortuny jednego z założycieli Kolei Pensylwańskiej, był pozbawionym jakichkolwiek hamulców playboyem i psychopatą; mordu dokonał z zimną krwią, oddając publicznie podczas przedstawienia trzy strzały w twarz architekta, do którego żywił od dawna jęczącą nienawiść. Przyczyną była piękna Evelyn Nesbit (1885-1967), którą Thaw poślubił w kwietniu 1905 roku, a którą cztery lata wcześniej wylansował w wieku szesnastu lat na aktoreczkę teatru rewiowego, a następnie uwiódł starszy od niej o ponad trzydzieści lat White. Wielki artysta, twórca wielu wspaniałych budowli, skądinąd hojny i szlachetny człowiek, White - jak wyszło na jaw w trakcie procesu - zajmował się również aranżowaniem dla przyjaciół z najwyższych sfer pełnych wykwintu przedstawień-orgietek, do których angażował młodzieńskie gwiazdki. Evelyn była przez jakiś czas jego kochanką, potem uległa jednak usilnym zabiegom oraz mirażowi majątku o czternaście lat starszego Thawa i zgodziła się go poślubić, chociaż już wiedziała, czego może się spodziewać, gdyż niejednokrotnie padała ofiarą jego niepoczytalnych wybuchów oraz sadystycznych upodobań i praktyk. Thawa sądzono w dwu procesach, Evelyn zeznawała lojalnie w obydwu jako główny świadek obrony. Adwokaci występowali o uniewinnienie, dowodząc wbrew oczywistym faktom, że Thaw działał w stanie czasowej niepoczytalności. W pierwszym procesie, trwającym od stycznia do kwietnia

ZWIĄZKI ZAGRAŻAJĄ POLITYCE

ostatnie przedstawienie Salome⁸³ w Nowym Jorku heroizm matki okazał się bezcelowy

Dziś nas złączy ślubowanie

I jak jeden mąż oboje

Na konika hop, kochanie,

W drogę do Cheyenne

1907, sąd przysięgłych nie uzyskał wymaganej jednomyślności; w drugim, w styczniu i lutym 1908, nowy skład przysięgłych orzekł niepoczytalność i w rezultacie sędzia osadził Thawę w Zakładzie dla Chorych Umysłowo Przystępców w miejscowości Matteawan. Przez cały czas trwania obu procesów prasa czyniła z Thawą niemal bohatera, White'a zaś przedstawiała jako zwyrodniałego potwora. W Matteawan Thaw rezydował w warunkach najwyższego luksusu, wychodził, kiedy chciał. Rozpoczęły się teraz petycje o unieważnienie orzeczenia niepoczytalności, odrzucane przez kolejne instancje; kiedy w 1913 odrzucił prośbę Sąd Najwyższy USA, Thaw uciekł do Kanady. Półtora roku trwały starania o jego ekstradycję, po której jednak kolejny sąd orzekł w 1915, że jest on poczytalny, i Thaw wyszedł na wolność - kara za morderstwo już mu nie groziła, gdyż według prawa amerykańskiego nikt nie może być bez względu na okoliczności sądzony za to samo przestępstwo, jeśli raz został uniewinniony. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że już w 1916, w jednej ze swoich sadystycznych sesji, Thaw zaćwiczył pejcem do nieprzytomności dziewiętnastoletniego chłopaka i znów został wsadzony do domu dla psychicznie chorych, by w 1924 ponownie zostać uznanym za poczytalnego i zwolnionym. Sensacyjna sprawa Thawę wracała na łamy prasy amerykańskiej przez blisko dwie dekady. Evelyn Nesbit, która liczyła na wdzięczność milionerskiej rodziny za uratowanie swoimi zeznaniami męża przed groźącą mu karą śmierci, gorzko się zawiodła i do końca życia borykała się ciężko o mizerną vegetację najpierw jako podrzędna gwiazdka, potem jako właścicielka wciąż upadających lokali rozrywkowych.

⁸³ *Salome* (1905) - to opera niemieckiego kompozytora Richarda Straussa (1864-1949), oparta na jednoaktowej sztuce Oscara Wilde'a pod tym samym tytułem, napisanej po francusku i wystawionej z wielkim powodzeniem w Paryżu w 1896, ale w Anglii zakazanej przez cenzurę do 1931. Wystawiona na scenie Manhattan Opera House w Nowym Jorku 22 stycznia 1907, opera wywołała sensację swoją śmiałą treścią (m.in. Salome kocha się w świętym Janie), ale musiano ją rychło zdjąć z afisza na skutek protestów organizacji obrony moralności.

OKO KAMERY (8)

siedziałeś na łóżku zdejmowałeś buty Hej Francuzik wrzasnął Taylor w drzwiach musisz się bić z Małym nie chcę się bić musisz prawda że się musi bić chłopcy? Freddy wsadził głowę w szparę w drzwiach i zagrał na nosie Musisz się bić umpaumpa i już zbiegli się wszyscy chłopcy z górnego piętra baba jesteś jak się nie chcesz bić a ja już byłem w pizamie wepchnęli Małego do pokoju i Mały rąbnął Francuzika a Francuzik rąbnął Małego i w ustach poczułeś smak krwi wszyscy wrzeszczeli Bij go Mały tylko jeden Szczербal wrzeszczał W szczękę go Jack i Francuzik przewrócił Małego na łóżko ale go oderwali wszyscy razem kupą przyparli go do drzwi Francuzik młócił pięściami na prawo i na lewo nie widział kto go okłada i wszyscy zaczęli się drzeć że Mały dał mu wycisk a Taylor i Freddy złapali go za ręce i powiedzieli żeby Mały podszedł i dał mu w mordę ale Mały nie chciał Mały płakał

słodki smak krwi w ustach aż się rzygać chce a tu dzwonek na gaszenie świateł i wszyscy rozbiegli się do pokoiw położyłeś się do łóżka z pulsującą głową płakałeś kiedy Szczербal wszedł na palcach do pokoju i powiedział To ty mu dałeś wycisk Jack to było pierdolone świństwo Freddy ci tak przyfasował ale akurat Kuternoga podkradł się cichaczem do hallu przyłapał Szczербala jak chciał wrócić do siebie i wlepił mu

MAC

Na Dziękczynienie⁸⁴ Mac dotarł do Sacramento, gdzie dostał robotę przy rozbijaniu skrzynek w składach suszonych owoców. Do Nowego Roku zaoszczędził tyle, że mógł sobie kupić ciemny garnitur i wsiąść na parowiec kursujący w dół rzeki.

Była ósma wieczór, kiedy wysiadł na nabrzeżu w San Francisco. Z walizką w ręce ruszył Market Street w głąb miasta. Ulice były pełne świateł. Młodzi ludzie i przystojne dziewczyny w jaskrawych sukienkach mijali go szybko w porywach silnego wiatru, który trzepotał spódnicami i szalikami, różowił policzki i unosił w powietrze papiery i tumany piasku. Na ulicach widziało się Chińczyków, Włochów, Portugalczyków, Japończyków. Ludzie spieszyli się na przedstawienia i do restauracji. Z barów dochodziła muzyka, z restauracji zalatywał tłusty zapach smażonych potraw, woń wina i piwa. Mac miał ochotę się zabawić, ale zostało mu wszystkiego cztery dolary, więc poszedł i wynajął pokój w Ymce. Potem zjadł kawałek klajstrowatego placka i popił kawą w wyludnionej kafeterii na dole.

Wróciwszy do pokoju o ścianach nagich jak w szpitalu, spróbował otworzyć okno, ale okazało się, że wychodzi ono na wąski wewnętrzny świetlik. W pokoju pachniało jakimś środkiem do czyszczenia, a gdy się położył na łóżku, stwierdził, że koc czuć formaliną. Był w świetnej formie, krew buzowała mu w ciele. Miał ochotę z kimś pogawędzić, pójść gdzieś na tańce, napić się z kumplem albo poderwać jakąś dziewczynę. Przypomniał mu się zapach rózu i piżmowy zapach pudru w pokoju tych dziewczyn w Seattle. Usiadł na brzegu łóżka, zamachał nogami. W końcu postanowił wyjść, przedtem jednak schował pieniądze do walizki i zamknął na klucz. Samotny jak duch wałęsał się po ulicach aż do śmiertelnego zmęczenia; szedł szybko, nie patrząc w prawo ani w lewo, ocierając się o wymalowane dziewczyny stojące na rogach, wyrostków wciskających ulotki z adresami, pijaków szukających bójki, żebraków skomlących o jałmużnę. Rozgoryczony, zmarznięty i bez sił, wrócił w końcu do swojego pokoju i rzucił się na łóżko.

Następnego dnia wyszedł na miasto i dostał pracę w małej drukarence, prowadzonej przez łysego Włocha nazwiskiem Bonello. Bonello nosił wielkie faworyty i powiewający czarny fontaż. Powiedział Macowi, że kiedyś należał do czerwonych koszul Garibaldiego⁸⁵, a teraz jest

⁸⁴ Dziękczynienie (Thanksgiving Day) - to święto amerykańskie obchodzone w czwartki czwartek listopada. Według tradycji, po raz pierwszy obchodzili je w 1621 roku purytańscy osadnicy z pierwszej stałej kolonii w Nowej Anglii (Plymouth, koło dzisiejszego Bostonu), w podzięce za przetrwanie srogiej, głodowej zimy, ale w rzeczywistości była to prawdopodobnie po prostu przywieziona ze starego świata tradycja dożynkowa. Ustanowienie dorocznego dnia dziękczynienia proponowano już podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, ale ustawowo wprowadził święto dopiero w 1817 roku jako pierwszy stan Nowy Jork, za nim poszły niektóre inne stany, a ostatecznie Dziękczynienie jako doroczne święto ogólnonarodowe proklamował w 1863 prezydent Abraham Lincoln. W skład tradycyjnego menu obiadowego w tym dniu wchodzi indyk z borówkami oraz placek dyniowy, potrawy, które jakoby mieli jeść purytańscy osadnicy w 1621 roku.

⁸⁵ Czerwonymi Koszulami nazywano członków legionu, który pod dowództwem Giuseppe Garibaldiego (1807-1882) walczył w różnych latach o wyzwolenie ziem włoskich spod panowania austriackiego i francuskiego, a następnie o zjednoczenie poszczególnych księstw w jedno państwo. Tradycja noszenia przez legionistów czerwonych koszul zrodziła się przypadkowo w 1843 roku, kiedy Garibaldi, na którym od 1834 ciążył wyrok śmierci za udział w tzw. ruchu Młodych Włoch, chroniąc się w Południowej Ameryce, organizował legion włoski w Montevideo. Na skutek zamknięcia z powodu wojny granicy z Argentyną, na rynku pojawiła się znaczna liczba przygotowanych na eksport

anarchistą. Jego bohaterem jest Ferrer⁸⁶; a Maca przyjmuje do pracy, bo ma nadzieję nawrócić go na swoją wiarę. Przez całą zimę Mac pracował u Bonella, jadł spaghetti i pił czerwone wino, wieczorami rozprawiał z nim i jego przyjaciółmi o rewolucji, a w niedzielę chodził na socjalistyczne pikniki i mityngi w obronie swobód obywatelskich. Natomiast sobotnie popołudnia spędzał w burdelach z kolegą, niejakim Millerem, którego poznał w Ymce; ów Miller uczył się na dentystę. Zaprzyjaźnił się również z dziewczyną, która się nazywała Maisie Spencer i pracowała w dziale modniarskim w Emporium. Co niedziela ciągnęła go ze sobą do kościoła. Była to spokojna dziewczyna o wielkich niebieskich oczach, które podnosiła na niego z uśmiechem niedowierzania, kiedy zaczynał opowiadać o rewolucji. Miała maleńkie, równe, perłowe ząbki i ładnie się ubierała. Po pewnym czasie dała za wygraną i przestała go tak bardzo męczyć o ten kościół. Lubiła, kiedy zabierał ją do Cytadeli⁸⁷ na koncert kapeli wojskowej albo do Sutro Parku⁸⁸ oglądać posągi.

Rankiem w dniu trzęsienia ziemi⁸⁹ pierwszą osobą, jaka Macowi przyszła na myśl, gdy

czerwonych wełnianych koszul i rząd urugwajski wyposażył w nie członków nowej formacji. W rezultacie legion Garibaldiego przybył w 1848 w czerwonych koszulach do Włoch, gdzie jednakże walki okresu Wiosny Ludów nie przyniosły wyzwolenia i zjednoczenia kraju. Następnie Czerwone Koszule walczyły w 1859 w Alpach z Austriakami, a w 1860-1861 wyzwołyły spod panowania francuskiego Królestwo Obojga Sycylii, umożliwiając ogłoszenie pod berłem króla Sardynii i Lombardii, Wiktora Emanuela II (1820-1878), niepodległych Włoch, obejmujących cały Półwysep Apeniński z wyjątkiem Wenecji i państwa papieskiego, które zostały przyłączone później, w roku 1866 i 1870.

⁸⁶ Francesco Ferrer Guardia (1859-1909) to pedagog i polityk hiszpański o przekonaniach antymonarchicznych i antyklerykalnych, związany z masonerią i ruchami anarchicznymi. Zamieszany w nieudany spisek republikański 1886 roku, musiał szukać schronienia we Francji. W 1901 wrócił do Barcelony, gdzie za pieniądze bogatej zwolenniczki założył szkołę opartą na radykalnej doktrynie pedagogicznej. Nazwana Szkołą Współczesną, była ona koedukacyjna, „racjonalna i naukowa”, świecka, hołdowała zasadzie swobody dziecka, eliminowała bezpośrednie współzawodnictwo i egzaminy, wprowadzała wychowanie fizyczne, później nawet seksualne. W 1908 w samej Barcelonie działało co najmniej 10 szkół opartych na głoszonych przez niego zasadach, dalsze powstawały w całej Hiszpanii. Finansowali je rodzice dzieci stosownie do swoich możliwości. Tymczasem Ferrer, oskarżony w roku 1906 o udział w nieudanym zamachu na króla Alfonsa XIII (1886-1931), a następnie uniewinniony, udał się ponownie na emigrację do Francji, Belgii i Anglii. W 1908 zaczął w Brukseli wydawać pismo „L'Ecole renouee” („Szkoła Odnowiona”), organ założonej przez siebie Międzynarodowej Ligi na Rzecz Racjonalnej Edukacji Młodzieży, na której czele stanął. Wrócił do Barcelony w 1909, kiedy wybuchły tam rozruchy wywołane ogłoszeniem mobilizacji na niepopularną wojnę z Marokiem, i chociaż wstrzymał się od działań, władze upatrzyły sobie w nim kozła ofiarnego i oskarżyły go o ideologiczną odpowiedzialność za wydarzenia. W obliczu rozpętanej przeciwko niemu nagonki, próbował ucieczki w przebraniu, został jednak zatrzymany, postawiony przed sądem wojskowym, skazany 9 października na śmierć i w cztery dni później rozstrzelany. Wywołało to falę protestów we wszystkich wielkich stolicach europejskich i doprowadziło do upadku rządu. W 1911 wznowiono przewód sądowy i w następnym roku uznano skazanie Ferrera za bezpodstawne.

⁸⁷ Cytadela w San Francisco to teren położony na wysokim wznesieniu nad Złotą Bramą (patrz niżej), wybrany na kwatery hiszpańskich wojsk króla Karola III i ufortyfikowany w 1776 roku, noszący do dziś hiszpańską nazwę Presidio. Po garnizonach hiszpańskich stacjonowały tu nieregularne formacje amerykańskie, które w połowie XIX wieku wywalczyły przyłączenie Kalifornii do Stanów, ochotnicy w wojnie hiszpańskiej, poborowi obu wojen światowych. Wewnątrz fortyfikacji, ukrytych w wydmach nadbrzeżnych i gęsto zalesionych wzgórzach, mieści się m.in. dowództwo Dziewiątego Korpusu Armii USA, koszary, kwatery oficerskie, wartownia, szpital, cmentarz, magazyny i piękne tereny rekreacyjne. Na tych ostatnich wzniesiono w 1906 miasteczko namiotów dla ofiar katastrofalnego trzęsienia ziemi i pożarów, które dotknęły San Francisco.

⁸⁸ Adolph Sutro (1830-1897), żydowski imigrant z Prus, przybyły do San Francisco w 1851 roku, był jego burmistrzem w latach 1895-1897. Po przybyciu parał się początkowo kupiectwem, potem dorobił się milionowego majątku w kopalniach srebra w Virginia City w Nowadzie. Wcześniej zaczął skupować tereny na ówczesnych obrzeżach San Francisco, których znaczną część stopniowo zagospodarował i udostępnił publiczności. Górujące nad miastem wzgórze porośnięte bylicą zadrzewił sprowadzonymi z Australii eukaliptusami, kupił i adaptował stojącą na wysokim brzegu nad Pacyfikiem budowlę zwaną Domem na Skale (Cliff House), po której spłonięciu wznosił na tym miejscu w 1896 imponującą rezydencję. Wokół niej właśnie urządził wspaniałe ogrody, określone przez Dos Passosa mianem Parku Sutro, w których rozmieścił sprowadzone z Europy posągi. Chociaż z wykształcenia inżynier górnik, miał szerokie zainteresowania kulturalne i zapisał miastu m.in. bibliotekę złożoną ze 100 tysięcy woluminów starannie kompletowanych w Europie. Sławne były również otwarte w 1896 Łaźnie Sutro (Sutro Baths), zespół rekreacyjny złożony z sześciu basenów ze słoną i słodką wodą o różnej głębokości i temperaturze, plaż, torów wrotkowych, promenad i oranżerii.

⁸⁹ Trzęsienie ziemi, które nawiedziło San Francisco 18 kwietnia 1906 roku o 5:13 rano, chociaż trwało zaledwie 48 sekund, było jednym z największych kataklizmów w dziejach Ameryki. Spowodowało je osunięcie się na długości 430 kilometrów uskoku, na którym leży Kalifornia, co wywołało wstrząsy, które dały się odczuć od Los Angeles na południu

ochłonał z potwornego przerażenia, była Maisie. Dom, w którym mieszkała z rodziną na Mariposa Street, stał jeszcze, kiedy tam dotarł, ale wszyscy mieszkańcy już się wynieśli. Dopiero na trzeci dzień - po trzech dniach dymu, trzasku pękających belek i wysadzania dynamitem domów grożących zawaleniem, które przepracował w brygadzie pożarniczej - odnalazł ją w kolejce po żywność przy wejściu do Parku Złotej Bramy⁹⁰. Spencerowie mieszkali w namiocie koło zrzuconych oranżerii.

Maisie nie poznała go, bo miał osmalone włosy i brwi, ubranie w strzępach i był od stóp do głów umazany sadzami. Nie całował jej nigdy przedtem, ale teraz porwał ją w ramiona i pocałował na oczach wszystkich. Kiedy ją puścił, twarz miała całą w sadzach. Niektórzy ze stojących w ogonku śmieli się i klaskali, ale stara kobieta za nią, uczesana w pompadurkę⁹¹, spod której wyglądał przekrzywiony postisz, i ubrana w dwa różowe jedwabne wutowane szlafroki naciągnięte jeden na drugi, powiedziała ze złością:

- Widzisz, teraz będziesz musiała iść się myć.

Od tej pory uważali się za zaręczonych, nie mogli się jednak pobrać, bo drukarenka Bonella spłonęła wraz z całym kwartałem kamienic i Mac był bez pracy. Maisie pozwalała się całować i ścisnąć w ciemnej bramie, kiedy wieczorem odprowadzał ją do domu, ale dalej nie próbował się posuwać.

Na jesieni dostał pracę w redakcji „San Francisco Bulletin”. Pracował teraz w nocy i prawie nie widywał się z Maisie, jeśli nie liczyć niedziel, lecz mimo to zaczęli mówić, że pobiorą się po Bożym Narodzeniu. Kiedy była daleko, przeważnie zżymał się na nią, ale gdy tylko znaleźli się razem, żale natychmiast topniały. Próbował ją skłonić do czytania broszur socjalistycznych, ale ona się śmiała, podnosiła na niego wielkie ufne niebieskie oczy i mówiła, że to dla niej za mądre. Lubiła chodzić do teatru i jadać w restauracjach, gdzie była krochmalona bielizna stołowa i gdzie

do Coos Bay w stanie Oregon na północy i spowodowało częściowe zniszczenie także miast San Jose, Salinas i Santa Rosa. W samym San Francisco straty w ludziach szacuje się na co najmniej 700 zabitych i dwa razy tyle rannych. W wyniku dwu błyskawicznie po sobie następujących wstrząsów zapadła się od razu część śródmieścia, z magistratem włącznie, po czym coraz większe połacie miasta zaczął ogarniać ogień. Powodowały go poprzewracane lampy naftowe i kuchenki, popękane przewody gazowe i elektryczne. Straż pożarna, bezradna, gdyż zostały uszkodzone także główne doprowadzenia wody, opanowała rozszerzanie się pożarów dopiero po trzech dniach, wysadzając dynamitem całe kwartały miejskie. Zostało ich w rezultacie zniszczonych pięćset czternaście - 10 kilometrów kwadratowych samego centrum San Francisco z 28 tysiącami budynków - i ocenia się, że bez dachu nad głową zostało 250 z 350 tysięcy ówczesnej ludności miasta. Po raz pierwszy w historii władze wojskowe zarządziły wówczas rekwizycję wszystkich dostępnych samochodów, które oddały nieocenione usługi, okazując się nie tylko przedmiotem zbytku, za jaki je do tej pory uważano.

⁹⁰ Złota Brama (Golden Gate), nazywana także Złotymi Wrotami, to cieśnina długości około 8 kilometrów a szerokości od 1,5 do 3 kilometrów, stanowiąca wejście z Pacyfiku do zatoki i portu San Francisco; kursowały przez nią wówczas promy, a jej dwa brzegi, miasto i leżące po przeciwnej stronie hrabstwo Marin, dopiero w 1937 roku spiął sławny wiszący Most Złotej Bramy. Sięgający zachodnim krańcem oceanu Park Złotej Bramy, największy teren zielony San Francisco o powierzchni ponad 400 hektarów, został oddany do użytku w 1870 roku. Zaprojektował go geodeta William Hammond Hall (1846-1934), który musiał przezwyciężyć m.in. kolosalne trudności z nawodnieniem piaszczystego terenu pod roślinność i zabezpieczeniem go przed piaskiem nawiewanym bezustannie przez wiatry od oceanu. Piękną architekturę zieleni, dostosowaną do naturalnego ukształtowania terenu, rozwijał dalej następca **Haik**, John McLaren (1847-1943), który był dyrektorem parku od 1890 do śmierci. Po trzęsieniu ziemi i pożarze 1906 na terenie parku koczowało blisko rok około 40 tysięcy ludzi, z których wielu próbowało potem na jego terenie pozostać prawem zasiedzenia; zmusiły ich do wyniesienia się dopiero nakazy sądowe i siłowe eksmisje.

⁹¹ Pompadurka to fryzura damska z włosami zaczesanymi z czota pionowo w górę. Ażeby włosy się trzymały, układano je na specjalnej podkładce zwanej postiszem. Nazwa nawiązuje do uczesania faworyty Ludwika XIV, pani de Pompadour (1721-1764).

usługiwali kelnerzy we frakach.

Jakoś w tym czasie wybrał się pewnego wieczoru na odczyt Uptona Sinclaira⁹² o rzeźniach chicagowskich. Obok niego siedział młody mężczyzna w drelichowych spodniach. Miał orli nos, szare oczy, głębokie bruzdy pod kośćmi policzkowymi i cedził powoli słowa. Nazywał się Fred Hoff. Po odczycie poszli razem na piwo i zaczęli rozmawiać. Fred Hoff należał do nowo założonej rewolucyjnej organizacji IWW⁹³. Przy drugim kuflu piwa przeczytał Macowi program. Fred Hoff zszedł właśnie z frachtowca, na którym obsługiwał dźwig pokładowy. Bokiem wyłaziło mu już podłe zarcie i ciężka harówka na morzu. W kieszeni miał jeszcze cały lon i postanowił, że nie przepuści go za jednym zamachem. Słyszał, że w Goldfield, w Nowadzie, jest strajk górników, więc pomyślał sobie, że pojedzie, zobaczy, może będzie mógł pomóc. Słuchając go, Mac uświadomił sobie, jak nędzne życie prowadzi, pomagając w drukowaniu kłamstw przeciwko klasie robotniczej.

- Rany boskie, bracie, właśnie takich jak ty nam potrzeba. Chcemy założyć w Goldfield własne pismo.

Jeszcze tego samego wieczoru Mac poszedł do miejscowego biura IWW i wypełnił deklarację. W głowie mu szumiało, kiedy wracał do pensjonatu.

- Tylko patrzeć, a zaprzedałbym się tym sukinsynom - powtarzał sobie.

W najbliższą niedzielę mieli się wybrać z Maisie kolejką zębatą na szczyt Tamalpais. Mac był przeokropnie śpiący, kiedy budzik wyciągnął go z łóżka. Ale trzeba było wyruszyć wcześniej, bo wieczorem musiał być znowu w pracy. Idąc do przystani promu, gdzie się z nią umówił o

⁹² Upton Sinclair (1878-1968) opublikował w 1906 roku głośną powieść *The Jungle*, wydaną w Polsce w przekładzie Jerzego Niemojewskiego pod tytułem *Grzęzawisko*. Odmalował w niej przerażający obraz stosunków panujących w chicagowskich rzeźniach i fabrykach konserw, co się przyczyniło do uchwalenia jeszcze w tym samym roku pierwszej z serii Ustaw o Czystej Żywności i Lekach (Pure Food and Drug Acts). *Grzęzawisko* jest być może najbardziej znaną powieścią wyrosłą z ruchu tzw. gnojodłubów (muckrakers), publicystów i pisarzy, którzy w 1902 roku rozpoczęli akcję demaskowania wyzysku i skandalicznych warunków panujących w różnych dziedzinach życia gospodarczego, społecznego i politycznego. Po raz pierwszy określenia tego użył w stosunku do nich w mowie wygłoszonej 17 marca 1906 roku w ekskluzywnym klubie waszyngtońskim prezydent Theodore Roosevelt, czyniąc aluzję do jednego z bohaterów alegorycznej XVII-wiecznej powieści *The Pilgrim's Progress (Wędrówka pielgrzyma)* pióra kaznodziei sekty baptyistów Johna Bunyana, postaci tak zaabsorbowanej „dłubaniem w gnoju” (raking muck), że nie dostrzegła korony niebieskiej nad swoją głową. Wkrótce zatarło się ironiczne ostrze tego określenia i przeszło ono do historii jako nazwa całego kierunku w piśmiennictwie amerykańskim, którego jednym ze sztandarowych przedstawicieli był Upton Sinclair. Idealista-reformator, przeznaczył dochody z *Grzęzawiska* na założenie w Englewood w stanie New Jersey socjalistycznej wspólnoty kooperatywnej. Z jego około 100 późniejszych publikacji książkowych szczególnie głośne były również demaskatorskie powieści *Król Węgiel (King Coal, 1917)* oraz *Naftal (Oil, 1927)*. W 1940 roku, powieścią *World's End (Koniec świata)*, Sinclair zapoczątkował popularny jedenastotomowy cykl z bohaterem, który znajduje się w centrum światowych wydarzeń i intryg politycznych od pierwszej wojny światowej do zimnej wojny. Najgłośniejszym ogniwem tego cyklu była powieść *Dragon's Teeth (Zęby smoka, 1943)*, ostatnim *The Return of Lanny Budd (Powrót Lanny'ego Budda, 1953)*, pierwsza - oskarżenie Niemiec hitlerowskich, druga - Związku Sowieckiego.

⁹³ IWW (skrót nazwy: Industrial Workers of the World, Robotnicy Przemysłowi Świata) - to może najbardziej wpływowa radykalna organizacja związkowa działająca w USA na początku stulecia. Założona w roku 1905 w Chicago przy współudziale Eugene'a Debsa i Williama Haywooda (por. przypisy do ss. 36 i 113), skupiała głównie robotników niewykwalifikowanych i sezonowych, w znacznej części wykorzystywanych imigrantów. Głosiła marksistowską doktrynę światowej rewolucji robotniczej, która obali kapitalizm. Jej liczebność nigdy nie przekroczyła 18 tysięcy zarejestrowanych członków, głównie drwali z Północnego Zachodu, robotników rolnych ze środkowych stanów, włókniarzy, górników i dokerów. Przeprowadziła w latach 1906-1917 około 150 mniejszych i większych strajków. Do najpotężniejszych należały: strajk górników w Goldfield w Nowadzie (1906-1907), o którym jest mowa w dalszej części historii powieściowego Maca; zwycięski strajk włókniarzy w Lawrence w stanie Massachusetts (1912, por. przypis do s. 287), który stanowił szczytowy punkt popularności IWW; i przegrany strajk w zakładach jedwabniczych w Paterson w New Jersey (1913), od którego zaczął się spadek znaczenia związku. Ostatecznie o losie IWW przesądziły procesy wytoczone jej przywódcom na mocy wojennego ustawodawstwa o szpiegostwie i działalności wyrotowej z 1917 i 1918 roku.

dziewiątej, w głowie miał jeszcze stukot maszyn drukarskich, a w nozdrzach kwaśny zapach farby i papieru miażdżonego przez prasy. Do tego mieszał się zaduch domu, do którego zaszedł z paroma chłopakami, fetor zatęchłych pokojów i wiader z brudną wodą, woń potu i toaletki dziewczyny o kręconych włosach, którą wziął na lepiącym się łóżku, smak zwietrzałego piwa, które pili, i jej bezosobowy gruchający głos: „Pa, kochanie, przyjdź niedługo”.

- Boże, ale ze mnie świnia - powiedział do siebie. Dobrze, że przynajmniej rano jest pogodny, wszystkie barwy ulicy mieniają się jak szkło. Boże, po dziurki w nosie ma już tych sobotnich wypraw na dziwki. Żeby tylko Maisie była trochę równiejsza, żeby choć była trochę buntowniczką, z którą można pogadać jak z przyjacielem. Jak jej, u licha, powiedzieć, że rzuca pracę?

Czekała na niego przy promie; w schludnej granatowej sukience i kapeluszu z szerokim, okalającym twarz, rondem wyglądała jak dziewczęta z obrazów Gibsona⁹⁴. Nie mieli czasu na powitania, bo trzeba było pędzić do promu, ale znalazłszy się na pokładzie, podała mu twarz do pocałunku. Wargi miała chłodne, dłoń w rękawiczce położyła tak lekko na jego dłoni. W Sausalito wsiedli do tramwaju, potem przesiedli się jeszcze raz, a ona wciąż się do niego uśmiechała, nawet kiedy biegli, by zająć dobre miejsca w kolejce zębatej. Czuli się tacy samotni w huczącym bezmiarze burych gór, błękitnego nieba i morza. Nigdy nie byli ze sobą tacy szczęśliwi. Maisie biegła przodem na sam szczyt. Do obserwatorium dotarli obydwój bez tchu. Przytulili się do ściany, gdzie nikt ich nie mógł zobaczyć, i Maisie pozwoliła się całować po całej twarzy, po całej twarzy i po szyi.

Koło nich płynęły strzępy mgły, zasłaniając przed wzrokiem fragmenty zatoki, dolin i ocienionych gór. Kiedy wyszli zza obserwatorium, od strony morza wiał przeszywający lodowaty wiatr. Skłębiona masa mgły nadpływała znad oceanu jak olbrzymia fala. Maisie złapała go za ramię.

- Boję się, Fainy!

Wtedy powiedział jej nagle, że rzucił pracę. Popatrzyła na niego przerażona, cała drżąca na zimnym wietrze, taka mała i bezradna; łzy zaczęły jej cieknąć po obu policzkach.

- A myślałam, że mnie kochasz, Fenianie... Myślisz, że mi było łatwo czekać na ciebie tyle czasu, pragnąc cię i kochać? Och, a ja myślałam, że mnie kochasz!

Objął ją ramieniem. Nie mógł wykrztusić słowa. Ruszyli z powrotem do kolejki.

- Nie chcę, żeby ci wszyscy ludzie widzieli, że płakałam. Tacy byliśmy szczęśliwi. Zejdziemy na piechotę do Muir Woods.

- To kawał drogi, Maisie.

- Wszystko mi jedno. Chcę iść.

⁹⁴ Charles Dana Gibson (1867-1944), grafik i ilustrator, słynął jako autor piórkowych rysunków publikowanych w najbardziej znanych magazynach amerykańskich przełomu stuleci. Przedstawiał najczęściej życie kobiet z klas posiadających, lansując ideał urody i mody kobiecej nazwany od jego nazwiska dziewczyną Gibsonowską

- Rany, równa z ciebie dziewczyna, Maisie.

Ruszyli ścieżką w dół i wszystko rozplynęło się we mgle.

Po paru godzinach zatrzymali się na odpoczynek. Zeszli ze ścieżki i znaleźli kawałek trawy w gęstwinie zarośli cistusowych. Mgła otaczała ich ze wszystkich stron, ale nad głową była jaśniejsza i czuli przez nią ciepło słońca.

- Aj, porobiłam sobie pęcherze - powiedziała i skrzywiła się tak śmiesznie, że parsknęła śmiechem.

- Musi być już niedaleko - odrzekł. - Słowo daję, Maisie.

Chciał jej opowiedzieć wszystko o strajku i o wobblisach⁹⁵ i wytłumaczyć, dlaczego jedzie do Goldfield, ale nie mógł. Jedyne, co mógł zrobić, to pocałować ją. Przywarła ustami do jego warg, ramiona splotła mu ciasno na szyi.

- Słowo daję, to nie będzie miało żadnego wpływu na nasze małżeństwo, słowo daję, Maisie, szaleję za tobą. Pozwól mi, Maisie, musisz mi pozwolić. Słowo daję, nie wiesz, jakie to dla mnie okropne, tak cię kocham, a ty nie chcesz mi nigdy pozwolić.

Wstając wygładził jej sukienkę. Maisie leżała z zamkniętymi oczami i bladą twarzą; przestraszył się, że zemdlą. Ukląkł i pocałował ją delikatnie w policzek. Uśmiechnęła się leciutko, przyciągnęła jego głowę i zmierzwiła mu włosy.

- Mój mężuś - powiedziała.

Po chwili podnieśli się i nic nie widząc ruszyli przez las sekwoi. Tak doszli do tramwaju. Wracając promem postanowili, że pobiorą się jeszcze w tym tygodniu. Mac obiecał, że nie pojedzie do Newady.

Następnego dnia wstał rano przygnębiony. Zaprzedał się. Goląc się w łazience, powiedział półgłosem do swego odbicia w lustrze:

- Draniu jeden, chcesz się sprzedać tym sukinsynom. Wrócił do pokoju i napisał list do Maisie.

Kochana Maisie!

Nie myśl ani przez minutkę, że Cię nie kocham tak jak dawniej, ale obiecałem przyjechać do Goldfield i pomóc chłopcom przy tej gazecie, więc muszę dotrzymać słowa. Przyślę Ci adres, jak tylko dojadę na miejsce, i gdybyś mnie naprawdę potrzebowała, z jakichkolwiek względów, wrócę natychmiast, słowo daję, wrócę.

Tysiąc całusów,

kochający Cię

FAINY

(Gibson girl) - młodej kobiety wysmukłej, chłodnej, dystygowanej.

⁹⁵ Wobblisi (ang. wobblies) - potoczna nazwa członków IWW.

Poszedł do redakcji „Bulletinu” po pieniądze, po czym spakował manatki i ruszył prosto na dworzec sprawdzić, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Goldfield w stanie Newada.

OKO KAMERY (9) ⁹⁶

przez cały dzień z fabryki nawozów sztucznych śmierdziało że coś okropnego a w nocy roiło się od komarów że można było oszaleć ale byliśmy w Crisfield na Wschodnim Brzegu i gdybyśmy mieli motorówkę do przewożenia na drugą stronę zatoki moglibyśmy wysyłać pomidory i kukurydzę i wczesne brzoskwinie prosto do Nowego Jorku i nie pozwolić się obdzierać ze skóry pośrednikom z Baltimore założylibyśmy gospodarstwo warzywne wysyłałibyśmy nowalijki nawodnilibyśmy użyźnilibyśmy sztucznymi nawozami wyjałowione przez tytoń tereny Północnego Cypla gdybyśmy tylko mieli motorówkę wozilibyśmy w zimie ostrygi hodowalibyśmy żółwie na sprzedaż

na boczniczy kolejowej wdałem się w gadkę z jednym młodym gościem nie mógł być wiele starszy ode mnie spał w wagonie towarowym spał w pełnym słońcu na boczniczy pachniało kukurydzą zalatywał smrodek gnijących śledzi z fabryki nawozów ten gość miał kręcone włosy i żdźbła siana we włosach przez rozpiętą koszulę widać było piersi opalone aż do pasa pewnie był z niego gagatek ale przyjechał aż z Minnesoty wybierał się dalej na południe i kiedy mu powiedziałem o zatoce Chesapeake wcale się nie dziwił tylko mówi Zdaje się że to za daleko żeby przepłynąć trzeba się będzie zgodzić za rybaka

⁹⁶ Oko kamery (9) jest pierwszym wspomnieniem z rejsów, jakie młody Dos Passos odbywał z ojcem jego jachtem po rzece Potomac oraz zatoce Chesapeake. Miasto Crisfield leży po wschodniej stronie tej ostatniej, w stanie Massachusetts, co w książce określane jest mianem Wschodniego Brzegu (Eastern Shore). Po przeciwległej, zachodniej, stronie zatoki, która ma tu szerokość około 40 kilometrów, znajduje się dolny kraniec tzw. Północnego Cypla (dosłownie: Północnej Szyi, Northern Neck), 100-kilometrowego półwyspu między Potomakiem a mniejszą rzeką, Rappahanock. Środkową część tego cypla zajmuje hrabstwo Westmoreland w Wirginii, w którym Dos Passos senior wykupił w ciągu lat siedem dawnych plantacji w słabo wówczas zaludnionej okolicy, łącznie blisko 3 tysiące hektarów terenów rolnych i leśnych, ciągnących się na długości bez mała 20 kilometrów wzdłuż południowego brzegu Potomacu. Pierwszą z tych plantacji było Sandy Point, położone u ujścia tej rzeki, mającej tu szerokość 4 kilometrów, do zatoki Chesapeake; tutaj, w odległości mili od miejscowości Cintra, Dos Passos senior wznosił przestronny dom, w którym jego syn spędzał w tym czasie znaczną część wakacji. Ojciec był zamiłowanym żeglarzem, kazał się nazywać „Commodore”, jednakże posiadanie jachtu miało dla niego również niebagatelne znaczenie praktyczne, gdyż Potomakiem można było dopłynąć do hrabstwa Westmoreland z Waszyngtonu w niecały dzień, podczas gdy okrężna podróż łądem trwała w owym czasie dwie doby. Jacht, którym Dos Passos pływał z rodzicami, był trzydziestometrową jednostką o napędzie parowym, nazwaną *Gaivota* (po portugalsku: mewa); miał 3 luksusowe kabiny, pomieszczenia dla 4-osobowej załogi (w tym czarnych - stewarda i kamerdynera), salon, bibliotekę, jadalnię, kambuz i parę łazienek. Wspomnieniem z późniejszych rejsów *Gaivota* są Oko kamery (15) i Oko kamery (16), wspomnieniem z wakacji w rodzinnej posiadłości w Wirginii - Oko kamery (19) i Oko kamery (21); folklorowi Potomacu poświęcone jest Oko kamery (13).

WIELKI BILL

Wielki Bili Haywood⁹⁷ urodził się w 69 w pewnym domu noclegowym w Salt Lake City.

Wychowywał się w stanie Utah, nauki pobierał w Ophir, obozowisku górników, gdzie odbywały się rozprawy rewolwerowe, w sobotnie wieczory grano w faraona, whisky lala się na stoliki pokerowe zawałone piramidkami nowiutkich srebrnych dolarów.

Kiedy skończył jedenaście lat, matka oddała go na służbę do pewnego farmera, ale rychło uciekł, bo farmer zerznął mu skórę batem. To był jego pierwszy strajk.

Utracił oko strugając procę z dębiny.

Pracował po sklepikach, prowadził stragan z owocami, był bileterem w teatrze w Salt Lake City, gońcem, boyem w hotelu Continental.

Kiedy miał piętnaście lat, pojechał do kopalni w hrabstwie Humboldt w Newadzie, wyposażony w kombinezon, sweter, granatową koszulę, buty górnicze, dwie derki, szachy, rękawice bokserskie i solidną porcję puddingu ze śliwkami, który matka dała mu na drogę.

Ożeniwszy się osiadł w Fort McDermitt, wybudowanym w dawnych czasach dla obrony przed Indianami, opuszczonym teraz, kiedy już me było pogranicza; tutaj jego żona urodziła pierwsze dziecko bez doktora ani akuszerki. Bili odciął pępowinę, Bili zakopał łożysko; dziecko utrzymało się przy życiu. Bili zarabiał jak mógł, mierzył grunty, pomagał przy sianokosach w Rajskiej Dolinie, ujeżdżał żrebaki; poznał całą górzystą krainę.

Pewnego wieczora w Thompson's Mill był jednym z pięciu mężczyzn, którzy spotkali się przypadkiem i zatrzymali na nocleg na opuszczonym rancho. Każdy z nich miał wybite jedno oko, więcej jednookich nie było w całym hrabstwie.

Potem utracili gospodarstwo nadane przez rząd, wszystko się rozleciało, żona była chora, Bili musiał myśleć o dzieciach. Pojechał pracować jako górnik do Silver City.

W Silver City, w Idaho, wstąpił do Federacji Górników Zachodu, tutaj piastował swoją pierwszą godność związkową; został wybrany delegatem górników z Silver City na zjazd FGZ w Salt Lake City w 98. Odtąd stał się agitorem, mówcą, burzycielem umysłów, potrzeby górników

⁹⁷ Wielki Bili (właściwie William) Haywood (1869-1928) należał do najwybitniejszych działaczy robotniczych Ameryki na przełomie stuleci. Jako dziewięcioletni chłopiec stracił oko, rzucił szkołę i zaczął pracować. W wieku 19 lat został sekretarzem skarbnikiem niezależnego związku znanego jako Federacja Górników Zachodu (Western Federation of Miners). W 1904 jego nazwisko trafiło na łamy prasy krajowej jako przywódca strajku w kopalniach złota w Cripple Creek w stanie Colorado, oskarżanego o podburzanie do gwałtów. W 1905 był jednym z założycieli radykalnego związku Robotników Przemysłowych Świata (IWW). W 1906 został wraz z dwoma innymi przywódcami związkowymi porwany w Denver w stanie Colorado i postawiony przed sądem w Boise w stanie Idaho pod zarzutem zamordowania byłego gubernatora tego stanu, Franka Steunenberg. Broniony przez błyskotliwego adwokata Clarence'a Darrowa (por. przypis do s. 115), został uniewinniony. Przewodził wielu głośnych strajkom, m.in. włóknarzy w Lawrence w Massachusetts (1912) i jedwabników w Paterson w New Jersey (1913). Był członkiem komitetu wykonawczego Partii Socjalistycznej, został z niej jednak wykluczony w 1913 za propagowanie „gwałtu, sabotażu i występku” jako metod walki strajkowej. W sierpniu 1918 skazano go wraz z innymi przywódcami IWW na 20 lat więzienia za propagandę antywojenną. Zwolniony za kaucją do sprawy apelacyjnej, uciekł w maju 1921 roku do Związku Sowieckiego. Witany początkowo jako bohater, po miesiącu popadł w konflikt z przywództwem partyjnym na Trzecim Zjeździe Międzynarodówki Komunistycznej. Rozczarowany, dożył swoich lat na jakiejś synekurce.

były jego własnymi potrzebami; stoczył batalie w Coeur D'Alenes, Telluride, Cripple Creek, wstąpił do Partii Socjalistycznej, zjeździł Idaho, Utah, Newadę, Montanę, Kolorado pisząc i przemawiając do strajkujących górników, którzy walczyli o ośmiogodzinny dzień pracy, o lepsze życie, o udział w bogactwach, które wyrąbywali spod ziemi.

W styczniu 1905 zwołano do Chicago konferencję, która zebrała się w tej samej sali na Lake Street, w której przed dwudziestu laty przemawiali na mityngach chicagowscy anarchiści.

William D. Haywood został wybrany stałym przewodniczącym. Na tej właśnie konferencji uchwalono manifest powołujący do życia IWW.

Gdy powrócił do Denver, został siłą uprowadzony do Idaho i wraz z Moyerem i Pettibonem oskarżony o zabójstwo owczarza Steunenberga, eks gubernatora Idaho, rozerwanego przez bombę we własnym domu.

Kiedy ich uniewinniono w Boise (obrońcą był Clarence Darrow⁹⁸), imię Wielkiego Billa Haywooda, przywódcy klasy robotniczej, znane było od oceanu do oceanu.

Potrzeby wszystkich czarnoroboczych były teraz jego potrzebami, został rzecznikiem całego Zachodu, kowbojów i drwali, robotników rolnych i górników.

(Świder parowy wyrzucił z pracy tysiące górników; świder parowy rzucił popłoch na wszystkich górników Zachodu).

FGZ robiła się konserwatywna. Haywood działał w IWW budując nowe społeczeństwo w skorupie starego, w 1908 brał udział w kampanii za kandydaturą Debsa na prezydenta objeżdżając Stany Czerwonym Specjalnym. Brał udział we wszystkich wielkich strajkach na Wschodzie, gdzie dojrzywał ruch rewolucyjny, w Lawrence, w Paterson, w strajku hutników Minnesoty.

Tamci wysłali do Europy Amerykańskie Siły Ekspedycyjne, żeby ratować pożyczki Morgana⁹⁹, żeby ratować Wilsonowską demokrację, stali przed grobem Napoleona i roili im się sen o imperium, pili szampana w barze u Ritza, spalili z rosyjskimi hrabinami na Montmartrze i roili im się sen o imperium, w całym kraju w lokalach Legionu Amerykańskiego¹⁰⁰ i na śniadankach

⁹⁸ Clarence Seward Darrow (1857-1938), wybitny obrońca karny, wstawił się rolą, jaką odegrał w około stu najgłośniejszych procesach epoki, przy czym żaden z jego klientów nie został skazany na karę śmierci, której Darrow był żarliwym przeciwnikiem. Znany z lewicowych sympatii, często bronił radykałów, m.in. Debsa po sławnym strajku pullmanowskim i Haywooda w 1906. Był również obrońcą Leopolda i Loeba, dwu studentów z dobrych domów, w sensacyjnym procesie o „morderstwo dla dreszczyku” (1924); oraz w tzw. „małym procesie” Johna Scopesa, nauczyciela oskarżonego w stanie Tennessee o podważanie autorytetu *Biblii* przez głoszenie w szkole darwinowskiej teorii ewolucji (1925).

⁹⁹ Pożyczki Morgana-to prywatne kapitały amerykańskie zaangażowane za pośrednictwem Domu Bankowego Morgana w kredytowe dostawy wojenne dla Anglii i Francji. W roku 1917, w momencie przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, sięgały one olbrzymiej sumy szacowanej przez różne źródła na miliard dziewięćset milionów do dwu i pół miliarda dolarów, podczas gdy kapitał amerykański zaangażowany po stronie państw centralnych szacowano na zaledwie 35 milionów dolarów. „Domowi Bankowemu Morgana”, kierowanemu w tym okresie już przez Johna Pierponta Morgana juniora (1867-1943, senior zmarł w roku 1913), poświęcił Dos Passos rozdział pod takim tytułem w drugim tomie trylogii, *Roku 1919*.

¹⁰⁰ Legion Amerykański (American Legion) - to powołany do życia w 1919 roku w Paryżu związek kombatantów pierwszej wojny światowej (obecnie wszystkich późniejszych wojen, w których Stany Zjednoczone brały udział). Legion miał przede wszystkim na celu pomoc kombatantom, natomiast w założeniach ideowych był ultrakonserwatywny, jako swoje zadanie formułował „popieranie i utrwalanie stuprocentowego amerykańizmu”. Oznaczało to w owym czasie izolacjonizm, zwalczanie organizacji i zapatrywań uznanych za wywrotowe, przekładało się na dyskryminację rasową i narodowościową.

biznesmeni nie wahali się dla pieniędzy wydzierać orłu krzyk z gardła; linczowali pacyfistów i nastrojonych progermańsko, wobblisów, czerwonych i bolszewików.

Bili Haywood, wraz ze stu jeden innymi, stanął przed sądem w Chicago, gdzie sędzia Landis¹⁰¹, zwany carem baseballowym, z taką pogardą dla procedury, jakby chodziło o wykroczenie drogowe, skazywał na dwadzieścia lat więzienia i na trzydzieści tysięcy dolarów grzywny.

Po dwu latach odsiadki w Leavenworth zgodzili się zwolnić Wielkiego Billa za kaucją (miał pięćdziesiąt lat, był ciężko steranym starcem); wojna się skończyła, ale tamci przekonali się w Sali Lustrzanej w Wersalu, że sen o imperium da się zrealizować; sądy odmówiły rewizji procesu.

Haywoodowi pozostało do wyboru: uciec poświęcając kaucję lub wrócić na dwadzieścia lat do więzienia.

Był chory na cukrzycę, miał ciężkie życie, więzienie do reszty zrujnowało mu zdrowie. Ale była Rosja, republika robotnicza; więc pojechał do Rosji, przez kilka lat mieszkał w Moskwie, nie zaznał jednak i tutaj szczęścia, zbyt obcy był dla niego ten świat. Umarł i jego wielką steraną powłokę cielesną spalono, a popioły pochowano pod murami Kremla.

¹⁰¹ Sędzia Kenesaw Mountain Landis (1866-1944) zyskał sobie przydomek cara baseballowego później, w 1920 roku, kiedy po głośnym skandalu w związku z ujawnieniem nadużyć w rozgrywkach ligowych został powołany na nowo utworzone stanowisko komisarza do spraw baseballa. Wcześniej na łamy prasy ogólnokrajowej trafił jako sędzia orzekający wysokie kary w sprawach z niedawno wprowadzonego ustawodawstwa antytrustowego, w 1907 przeciwko przemysłowi naftowemu, w 1910 przeciwko przemysłowi mięsnemu. O ile sprawy antytrustowe, jak i późniejsza sprawa baseballowa przyniosły mu uznanie opinii publicznej, oburzenie znacznej części społeczeństwa budziły drakońskie wyroki wieloletniego więzienia wymierzone przez niego pacyfistom oskarżanym, tak jak Haywood i Debs, o podżeganie do buntu przeciwko udziałowi Stanów Zjednoczonych w wojnie.

stary major który zabierał mnie na Kapitol podczas sesji Senatu i Izby Reprezentantów był kiedyś w mntendenturze Armii Secesyjnej i miał bardzo piękne maniery więc cały personel kłaniał się staremu majorowi tylko paziowie się nie kłaniali bo to byli mali chłopcy niewiele starsi od twojego brata¹⁰³ kiedy też posługiwał raz jako paź w Senacie i od czasu do czasu jakiś senator albo członek Izby Reprezentantów rzucał na majora okiem spod spuszczonej powiek że może to jest ktoś i kłaniał się albo ścisnął serdecznie rękę albo podnosił dłoń

stary major ubierał się bardzo wytwornie nosił żakiet i bokobrody jak Franciszek Józef¹⁰⁴ chodziliśmy bardzo wolno w mętnym blasku słońca po Ogrodzie Botanicznym czytaliśmy małe tabliczki na drzewach i krzakach przyglądaliśmy się jak tłuste drozdy i szpaki skaczą po trawie i wchodziliśmy po schodach w mroczną atmosferę rotundy gdzie stały martwe posągi różnych rozmiarów do Senatu który był mrocznoczerwony do pokoju posiedzeń komisji do Izby Reprezentantów która była mrocznozielona do pokoi posiedzeń komisji i do Sądu Najwyższego zapomniałem jakiego koloru był Sąd Najwyższy i pokoje komisji

szepty pod drzwiami galerii dla publiczności martwota w powietrzu głos dudniący pod szklaną kopułą zasuwane ze stukiem biurka puste korytarze pełne martwego powietrza nogi zaczynały nas boleć od chodzenia i myślałem o szpakach na trawie i o długich ulicach pełnych martwego powietrza nogi mnie bolały ze zmęczenia i łupało mnie między oczami starsi panowie kłaniali się z szybkim błyskiem spod spuszczonej powiek

może to jest ktoś i wielkie niechętnie zaciśnięte usta i zakurzony czarny filc i zaduch pałt zamkniętych w szafach i martwota w powietrzu ciekaw jestem o czym myślał stary major i o czym ja myślałem może o tym wielkim obrazie w Galerii Corcorana¹⁰⁵ gdzie pełno było kolumn i stopni i konspiratorów i skrwawiony Cezar leżący bez władnie na ziemi nazywało się to Cezar martwy

¹⁰² Oko kamery (10) jest wspomnieniem z którejś z wakacyjnych wizyt młodego Dos Passosa w Waszyngtonie w latach, gdy od jedenastego do szesnastego roku życia uczył się w Choate School. Jego ojciec mieszkał w Nowym Jorku, gdzie miał dom i kancelarie, matka natomiast zajmowała kolejno dwa z domów w Waszyngtonie, które ojciec nabył w ramach swoich inwestycji w nieruchomości. Jej rodzina, choć od dawna zakorzeniona w tym mieście, stała w czasie wojny secesyjnej po stronie stanów południowych, więc zapewne do znajomych matki należał stary major armii Konfederacji, który oprowadzał chłopca po Kapitolu, siedzibie kongresu Stanów Zjednoczonych, i położonym u jego podnóża Ogrodzie Botanicznym.

¹⁰³ Dos Passos miał dwóch braci przyrodnych, obu o pokolenie od niego starszych. Louis Dos Passos, syn ojca z pierwszego małżeństwa, był o 20 lat starszy, mieszkał w Nowym Jorku i pozostawał w orbicie wpływów swojej matki. James Madison, syn matki z pierwszego małżeństwa, był o 23 lata starszy, wychowywał się po większej części u jej rodziców w Waszyngtonie, i to z pewnością on był tym, który posługiwał jako paź w Senacie, oczywiście na długo przed urodzeniem pisarza.

¹⁰⁴ Franciszek Józef I (właściwie: Franz Joseph, 1830-1916) z dynastii Habsburgów, ostatni cesarz Austrii od 1848 i król Węgier od 1867, nosił charakterystyczny zarost: sumiaste wąsy, bujne bokobrody sięgające od uszu do kąćków ust i wygoloną dolną szczękę.

¹⁰⁵ Galeria Corcorana (Corcoran Gallery of Art) przy Siedemnastej Ulicy w Waszyngtonie powstała w 1869 roku z zapisu waszyngtońskiego bankiera i kolekcjonera sztuki Williama Wilsona Corcorana (1798-1888), a w 1897 została przeniesiona do obecnej siedziby, przy której mieści się również szkoła sztuk pięknych. Chociaż w statusie założycielskim pomyślana jako galeria sztuki amerykańskiej, posiada również wspaniałe zbiory obce, od figurynek starożytnej Grecji, Etrurii i Egiptu oraz dawnych perskich tkanin i francuskich witraży, po malarstwo flamandzkie i niderlandzkie XVI i XVII wieku oraz płótna takich mistrzów XIX wieku, jak Corot czy Whistler.

MAC

Ledwo Mac zdążył wysiąść z pociągu w Goldfield, podszedł do niego wysoki mężczyzna w koszuli khaki, bryczesach i drelichowych wojskowych getrach na nogach.

- Jeśli wolno zapytać, bracie, czego szukasz w tym mieście?

- Komiwojażer jestem, książki sprzedaję.

- Jakie znowu książki?

- No, szkolne i takie różne. Mam przedstawicielstwo Towarzystwa Poszukiwaczy Prawdy z Chicago.

Mac wypowiedział to jednym tchem i mężczyzna wydawał się zadowolony.

- No, chyba jesteś w porządku - powiedział. – Jedziesz Pod Orła?

Mac kiwnął głową.

- Prymka cię podwiezie, ten facet z końmi. Widzisz, musimy mieć oko na tych cholernych agitatorów, tę całą bandę wobblisów, nierobów jednych¹⁰⁶.

Przed hotelem Pod Złotym Orłem trzymało wartę dwu żołnierzy, groźnie wyglądających krępych mężczyzn w kapeluszach zsuniętych na oczy. Kiedy Mac wszedł do środka, wszyscy przy barze odwrócili się mierząc go wzrokiem.

- Czołem, panowie - burknął jak najmniej zachęcająco i podszedł prosto do właściciela zapytać o pokój.

Przez cały czas łamał sobie głowę, kogo, u licha, odważy się zapytać o redakcję „Robotnika Newady”.

- Ano, może i znalazłoby się jakie łóżko – odrzekł właściciel. - Komiwojażer?

- Yhm - powiedział Mac. - Książki sprzedaję.

Przy drugim końcu baru zażywny jegomość z długim sumiastym wąsem belkotał jęśliwym pijackim głosem:

- Jakby mi dali wolną rękę, z miejsca bym przepędził wszystkich nicponi z miasta. Nie dałbym się mieszać żadnym adwokatom. Przepędziłbym sukinsynów na zbitą mordę, a jakby stawiali opór, tobym strzelał. Tak mówię do gubernatora. Bo inaczej te sukinsyny i ich adwokaci zawsze oczy zamydlą nakazami aresztowania, sądami i różnymi takimi bredniami, byleby sprawę przeciągnąć. W dupie mam sądy.

- Dobra, dobra, Joe, powiesz im wszystko - wtrącił się uspokajająco właściciel.

Mac kupił cygaro i wolnym krokiem wyszedł na ulicę. Kiedy zamykał za sobą drzwi, zażywny jegomość wykrzykiwał znowu:

- A ja mówię, w dupie mam sądy.

¹⁰⁶ W oryginale gra słów oparta na złośliwym przekręceniu nazwy związku IWW jako skrótu zdania „I Won't Work” - „Nie będę pracował”.

Było już prawie ciemno. Lodowaty wiatr dął między dwoma szeregami drewnianych ruder. Potykając się w błocie głębokich kolein, Mac obszedł kilka ulic zaglądając w ciemne okna. Spenetrował tak całe miasteczko, ale nigdzie nie było śladu redakcji. Znalazłszy się po raz trzeci przed tą samą chińską garkuchnią, zwolnił kroku i stanął niezdecydowany na brzegu chodnika. W głębi ulicy wisiał nad miastem trzon wielkiej poszarpanej góry. Po drugiej stronie, na ciemnym tle sklepu żelaznego, przechadzał się młody mężczyzna z uszami i głową otuloną kołnierzem ciepłej kurtki. Mac zdecydował, że wygląda na równego faceta, i poszedł go zagadnąć.

- Powiedz, bracie, gdzie jest redakcja „Robotnika Newady”.

- Po kiego licha potrzebna ci ta wiadomość? Spojrzeli na siebie jednocześnie.

- Szukam Freda Hoffa. Przyjechałem z Frisco do pomocy, drukarz jestem.

- Masz czerwoną kartę?

Mac wyciągnął kartę członka IWW.

- Mam także legitymację związkową, jeśli chcesz zobaczyć.

- E, nie. Jesteś chyba czysty, ale jak to chłopcy mówią, gdybym był przypadkiem szpiclem, już byś siedział w ulu, bracie.

- Powiedziałem im, że jestem komiwojażerem i że handluję książkami, boby mnie nie wpuścili do miasta. Ostatnie dwadzieścia pięć centów wydałem na cygaro, żeby strugać burżuja. Tamten parsknął śmiechem.

- No, dobra, kolego. Zaprowadzę cię.

- Co tu się wyprawia, stan wyjątkowy? - spytał Mac, skręciwszy za tamtym w alejkę między dwiema zarośniętymi ruinami.

- Ściągnęli gwardię konną z calutkiej Newady, dranie jedne. Szczęście, jeśli nie będziesz zmykał stąd z bagnetem w brzuchu, jak to chłopcy mówią.

Na końcu alei stał domek jak pudło od butów, z jaskrawo oświetlonymi oknami. Młodzi mężczyźni w górniczych ubraniach i kombinezonach tłoczyli się przed wejściem i siedzieli w trzech rzędach na chwiejnych schodkach.

- Co to, sala bilardowa? - zapytał Mac.

- Nie, „Robotnik Newady”. Słuchaj, bracie, nazywam się Ben Evans. Zapoznam cię z resztą naszej bandy. Hej, chłopcy, to jest kolega McCreary, przyjechał z Frisco, będzie nam robił skład.

- Dawaj łapę, Mac - powiedział drażal o wyglądzie szwedzkiego drwala i ścisnął Macowi rękę, aż kości zatrzeszczały.

Fred, z zieloną umbrellką na czole, siedział za biurkiem zawalonym stosem szpalt. Wstał, wyciągnął rękę.

- No, chłopie, przyjechałeś w samą porę. Wszystko się wali. Zamknęli nam drukarza, a

pismo przecież musimy wydawać.

Mac zdjął kurtkę i poszedł obejrzyć prasę. Stał pochylony nad kamieniem zecerskim, kiedy zbliżył się Fred Hoff i pociągnął go w kąt.

- Słuchaj, Mac, muszę ci wytłumaczyć położenie. Sytuacja jest diablo głupia. ZGZ zaczyna dostawać cykorii. Mówię ci, cholerna draka... Święty¹⁰⁷ był tu w tych dniach i ten drań Mullany postrzelił go w obie ręce, leży teraz w szpitalu. Cięci są na nas jak osy, bo wbijamy w głowy zasadę rewolucyjnej solidarności, kapujesz? Personel restauracyjny strajkuje i część chłopców w kopalniach. Ci z AFL¹⁰⁸ poszli po rozum do głowy, wytrzasnęli jakiegoś bubka, który organizuje łamistrajków, i kumają się z właścicielami kopalni w klubie Montezuma.

- Hej, Fred, daj mi czas, żebym się mógł w tym wszystkim połapać - powiedział Mac.

- Nie tak dawno była mała strzelaninka przed restauracją parę kroków stąd, dostało się właścicielowi tej całej dziury i teraz kilku chłopców siedzi.

- Rany, co ty gadasz.

- A w przyszłym tygodniu przyjeżdża Wielki Bili Haywood. Tak to z grubsza wygląda, Mac. Muszę im wyrznąć artykuł... Jesteś teraz głównym drukarzem, będziemy ci płacili siedemnaście pięćdziesiąt, tak jak wszystkim. Pisałeś kiedy?

- Nie.

- W takich chwilach człowiek sobie dopiero pluje w brodę, że mu się nie chciało przysiedzieć fałdów w szkole. Jezuniu, żebym umiał pisać jak się patrzy!

- Spróbuję, może wysmażę artykuł, jak się nadarzy okazja.

- Wielki Bili nam napisze. Ten to klawo pisze. Ustawili Macowi łóżko polowe z tyłu za prasą i minął tydzień, nim miał czas zająć Pod Orła i odebrać walizkę. Nad redakcją i drukarnią był długi przygórek ze wstawionym piecem, gdzie spała większość chłopców. Ci, co mieli koce, zawijali się w koce, ci, co nie mieli, naciągali kurtki na głowę; ci, co nie mieli kurtek, kładli się, jak stali. W końcu przygórkę wisiał wielki arkusz papieru, na którym ktoś wydrukował preambułę statutu cieniowanymi wielkimi literami. Na tynkowanej ścianie pokoju redakcyjnego ktoś narysował robociarza z podpisem „IWW”, wymierzającego kopniaka w tyłek grubasowi w cylindrze opatrzonemu podpisem „Właściciel kopalni”. Nad tym zaczęli kaligrafować „Solidarność”, ale skończyło się na wypisaniu „SO LI DA”.

Ktoregoś wieczoru w listopadzie przemawiał w związku górników Wielki Bill Haywood. Mac i Fred Hoff poszli, żeby napisać sprawozdanie do gazety. Miasto leżało opuszczone jak stary

¹⁰⁷ Święty - to przezwisko jednego z przywódców IWW, który się nazywał St. John. Wraz z innymi działaczami został on w sierpniu 1918 roku skazany na długoletnie więzienie w głośnym procesie w Chicago.

¹⁰⁸ A F L - to American Federation of Labor (Amerykańska Federacja Pracy) powołana do życia w 1886 roku jako nadrzędna organizacja łącząca rozmaite związki branżowe. Różniła się od IWW przede wszystkim tym, że zrzeszała tylko robotników wykwalifikowanych i za cel stawiała sobie wyłącznie walkę o sprawy bytowe (ośmiogodzinny dzień i lepsze warunki pracy, wyższe wynagrodzenie), natomiast odżegnywała się od kampanii na rzecz zasadniczych reform politycznych i społecznych. Radykalni działacze IWW uważali ją w najlepszym razie za ugodową w stosunku

śmietnik w olbrzymiej dolinie, świszczący wiatr zaciął śniegiem. W sali było gorąco i duszno od wyziewów barczystych ciał, tytoniu do zucia i grubych roboczych ubrań, przesiąkniętych nędzarskim fetorem lamp naftowych, zwęglonych bierwion, tłustych patelni i podlej gorzałki. Z początku mężczyźni kręcili się niespokojnie, szurali nogami i odchrząkiwali flegmę w gardłach. Mac czuł się głupio. W kieszeni miał list od Maisie. Znał go na pamięć:

Najukochańszy Fainy!

Stało się to, czego się najbardziej bałam. Wiesz, o czym mówię, mój kochany mężusiu. To już dwa miesiące i tak się boję, że nie mogę nikomu powiedzieć. Najdroższy, musisz zaraz wracać. Umrę, jak nie wrócisz. Słowo daję, umrę i w ogóle tak mi bez ciebie pusto, i tak się strasznie boję, żeby ktoś nie zauważył. Będziemy musieli gdzieś wyjechać, jak się pobierzemy, i nie wracać, póki nie minie trochę czasu. Gdybym wiedziała, że dostanę pracę, przyjechałabym do ciebie do Goldfield. Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli pojechać do San Diego. Mam tam znajomych, mówią, że jest cudownie, moglibyśmy im wszystko powiedzieć, że jesteśmy dawno po ślubie. Błagam, przyjeżdżaj, mój słodki mężusiu. Tak mi bez ciebie pusto i w ogóle to takie okropne znosić wszystko samej. Te krzyżki to calusy. Twoja kochająca żona

MAISIE

Wielki Bili mówił o solidarności i potrzebie trzymania ze sobą w obliczu klasy panującej, a Mac zastanawiał się przez cały czas, jak by się zachował Wielki Bili, gdyby zrobił dziewczynie dziecko tak jak on. Wielki Bili oświadczył, że nadszedł dzień, w którym trzeba się zabrać do budowania nowego społeczeństwa w skorupie starego, i że robotnicy muszą się przygotować do przejścia wszystkich gałęzi przemysłu, które zbudowali własną krwawicą. Kiedy powiedział: „Jesteśmy za jednym wielkim związkim”, buchnęły okrzyki i oklaski wszystkich wobblisów na sali. Fred Hoff szturchnął klaszczącego Maca:

- Robimy szum, Mac.

Klasy wyzyskujące staną bezradne w obliczu solidarności całej klasy robotniczej. Gwardia i wojsko to też robociarze i gdy raz pojmą historyczne znaczenie solidarności, klasa panująca nie zmusi ich już więcej, żeby strzelali do swoich braci. Robotnicy muszą zrozumieć, że każda doraźna walka o wyższe zarobki, o wolność słowa, o przyzwoite warunki życia ma znaczenie tylko jako etap wielkiej walki rewolucyjnej o kooperatywną wspólnotę ludzi pracy. Mac zapomniał o Maisie. Kiedy Wielki Bili skończył mówić, jego myśl wybiegła naprzód i chociaż nie pamiętał dobrze słów Wielkiego Billa, z wypiekami na twarzy wiwatował jak opętany. Wiwatowali obydwaj z Fredem Hoffem, a obok nich bił brawo krępy czeski górnik, którego czuć było na odległość, bił brawo siedzący po drugiej stronie jednooki Polak, biła brawo grupka Włochów, bił brawo mały Japończyk, który był kelnerem w klubie Montezuma, i bił brawo postawny ranczer, który przyjechał, bo

spodziewał się zobaczyć bójkę.

- Ma skurczybyk gadane - powtarzał raz po raz. - Mówię wam, nie ma to jak chłopcy z Utah. Ja sam jestem z Ogden.

Po mityngu Wielki Bili zjawiał się w redakcji, pożartował ze wszystkimi, po czym usiadł i machnął artykuł do gazety. Wyciągnął flaszkę i popijali wszyscy po kolei, z wyjątkiem Freda Hoffa, który zżymał się na Wielkiego Billa i w ogóle na każdego, kto pił, a potem poszli wszyscy spać, zostawiając gotowy numer na maszynie, zmęczeni, podnieceni i w świetnych nastrojach.

Następnego dnia rano, ledwo Mac otworzył powieki, przypomniała mu się Maisie. Usiadłszy na brzegu łóżka, nim ktokolwiek się obudził, przeczytał jeszcze raz list i łzy napłynęły mu do oczu. Wsadził głowę w wiadro lodowatej wody prosto z pompy, do której rozmrożenia musiał zużyć cały kociołek wrzątku z piecyka, ale uczucie troski ściskającej mu kleszczami skronie nie ustąpiło. Jedząc z Fredem Hoffem śniadanie w chińskiej garkuchni, spróbował mu powiedzieć, że wraca do San Francisco wziąć ślub.

- Nie możesz tego zrobić, Mac. Potrzebny jesteś tutaj.

- Ale kiedy wrócę, słowo daję, wrócę, Fred.

- Pierwszym obowiązkiem jest wierność klasie robotniczej - powiedział Fred Hoff.

- Wrócę, jak tylko dzieciak się urodzi i Maisie będzie mogła iść z powrotem do pracy. Sam wiesz, jak to jest, Fred. Nie opłacę przecież szpitala z siedemnastu i pół dolara tygodniówki.

- Trzeba było uważać.

- Jasny gwint, Fred, jestem człowiekiem z krwi i kości, tak jak wszyscy. Co ty byś chciał, na miłość boską, żebyśmy byli drewnianymi świętkami?

- Wobblis nie powinien mieć żony ani dzieci, chyba że po rewolucji.

- Ależ ja nie mam najmniejszego zamiaru rezygnować z walki, Fred. Nie myślę się przecież zaprzedać, jak Boga kocham, nie myślę.

Fred Hoff zbladł okropnie. Przygryzając wargi wstał od stołu i wyszedł z garkuchni. Mac siedział długo sam, ponury jak diabli. Kiedy wrócił do redakcji, Fred Hoff tkwił za biurkiem, pisząc wściekle.

- Słuchaj, Fred - powiedział. - Zostanę jeszcze miesiąc. Zaraz napiszę do Maisie.

- Wiedziałem, że zostaniesz, Mac. Nie jesteś z tych, co dezerterują.

- Chryste Panie, chłopie, za dużo żądacie od człowieka.

- Za dużo to jeszcze diablo mało – powiedział Fred Hoff.

Mac zaczął przepuszczać numery przez prasę.

Przez następne kilka tygodni, ilekroć dostał list od Maisie, chował go nie czytany do kieszeni. Napisał jej jak najbardziej uspokajająco, że wróci, jak tylko chłopcy znajdą kogoś na jego

miejsce.

Wreszcie w Boże Narodzenie przeczytał hurtem listy Maisie. Były wszystkie jednakowe; popłakał się nad nimi. Nie miał ochoty się zenić, ale ta zima spędzona w Newadzie bez kobiety to było piekło, a mierziło go chodzenie na dziwki. Nie chciał, żeby chłopcy wiedzieli, że jest w takim ponurym nastroju, więc poszedł na jednego do knajpy, gdzie się zbierał personel restauracyjny. Ze środka buchały grzmiące opary pijackiego śpiewu. W drzwiach natknął się na Bena Evansa.

- Czołem, Ben. Gdzie idziesz?
- Na kielonka, jak to chłopcy mówią.
- Ja też.
- Co z tobą?
- Rozkleiłem się jak wszyscy diabli. Ben Evans się roześmiał.
- Rany, ja też. Dziś Boże Narodzenie, nie?

Wypili po trzy kieliszki, ale w barze było tłoczno i jakoś im nie mieli ochoty brać udziału w świątecznej zabawie, więc wzięli półlitrową butelkę, bo na większą nie było ich stać, i poszli do pokoju Bena. Ben Evans był przysadzistym młodym mężczyzną o bardzo czarnych oczach i włosach. Pochodził z Louisville, z Kentucky. Kształcił się trochę, był mechanikiem samochodowym. W pokoju panowało lodowate zimno. Usiedli na łóżku, każdy owinął się jednym z koców Bena.

- No, może nie pierwszorzędne Boże Narodzenie? - powiedział Mac. - Jezu Chryste, tylko szczęście, że Fred Hoff nas nie widzi.

Zarechotał.

- Fred jest dobry chłop, porządny do szpiku kości, tylko że nie da człowiekowi żyć.
- Żebyśmy wszyscy byli tacy jak Fred, tobyśmy prędzej do czegoś doszli.
- Może i prawda, jak tak pomyśleć. Wiesz, Mac, wzięła mnie cholernie ta cała historia, strzelanina, ci faceci z FGZ w Montezumie, konszachty z tym przeklętym delegatem z Waszyngtonu, co przyjechał złamać strajk.

- Och, zaden z naszych, wobblisów, palców w tym nie macza.
- No nie, ale cóż, kiedy nas za mało.
- Lepiej się napij, dobrze ci zrobi, Ben.
- Tak samo jest z tą przeklętą flaszką, jak to chłopcy mówią. Gdybyśmy mieli więcej takich flaszek, tobyśmy się ululali, ale nie mamy. Gdybyśmy mieli więcej takich chłopaków jak Fred Hoff, tobyśmy zrobili rewolucję, ale nie mamy.

Wychylili po łyku, po czym Mac powiedział:

- Słuchaj, Ben, zostawiłeś kiedy dziewczynę w kłopotcie, dziewczynę, którą lubiłeś jak jasna cholera?
- Pewnie, setki dziewczyn.

- I nie gnębiło cię to?

- Na miłość boską, Mac, jakby dziewczyna nie była kurwą, toby ci nie dała, no nie?

- Jezuniu, ja na to tak nie patrzę, Ben. Tylko że, jasny gwint, nie wiem sam, co robić. To dobra dziewczyna, wiesz...

- Ja tam żadnej nie wierze. Znałem jednego gościa, co się z taką ożenił. Na głowie stawała, spazmowała, udawała, że jej dziecko zrobił. W końcu się z nią ożenił, a potem się okazało, że to zwykła kurwa, jeszcze syfa od niej złapał. Bierz dziewczynę, a potem cześć, to jedyny sposób dla takich jak my.

Wysączyli butelkę do dna, po czym Mac wrócił do redakcji „Robotnika” i poszedł spać. Palilo go w żołądku. Śniło mu się, że jest ciepły dzień i idzie z dziewczyną przez pole. Wódka piekła go w ustach, bzycała jak pszczoła w uszach. Nie był pewien, czy dziewczyna to Maisie, czy też zwykła zdzira, ale ogarnęło go ciepło i czułość, a ona powtarzała ciepłosłodkim głosem: „Weź mnie, chłopczyku”, i przez sukienkę z cienkiego muślinu widział jej ciało, kiedy się nad nią pochylał, a ona gruchała: „Weź mnie, chłopczyku”, z ciepłosłodkim bzyczeniem.

- Hej, Mac, nie obudzisz się do śmierci? - Nad nim stał Fred Hoff, szorując ręcznikiem twarz i szyję. – Chcę tu zrobić trochę porządku, zanim się zleci cała banda.

Mac usiadł na łóżku.

- Dobra, o co ci chodzi?

Nie miał kaca, ale był w podłym nastroju - tyle wiedział od razu.

- Nieźle się wczoraj zaperfumowałeś.

- Ee tam, zaperfumowałem... No, wypilem parę kieliszków, Fred, ale, Jezuniu...

- Słyszałem, tłułeś się, nim trafiłeś do łóżka, jak pierwszy lepszy nieświadomiony ćwok.

- Co ty, Fred, nie jesteś moją niańką. Jeszcze sam wiem, co robię.

- A przydałyby się wam niańki. Nie możecie nawet poczekać jeden z drugim, aż wygramy strajk, tylko już musicie iść w gaz i na kurwy.

Mac, siedząc na brzegu łóżka, sznurował buty.

- Co ty sobie, na miłość boską, wyobrażasz? Że po cośmy tu przyjechali, na kurację?

- Właśnie nie wiem, po co większość z was tu licho przyniosło - powiedział Fred Hoff i wyszedł trzaskając drzwiami.

W parę dni później znalazł się jeszcze jeden towarzysz umiejący obsługiwać linotyp i Mac mógł wyjechać. Sprzedał walizkę i lepsze ubranie za pięć dolarów i złapał towarowy z rudą, którym dojechał do Ludlow. W Ludlow obmył alkaliczny pył z ust, zjadł coś i doprowadził się trochę do porządku. Okropnie spieszyło mu się z powrotem do Frisco, bo przez cały czas prześladowała go myśl, że Maisie może popełnić samobójstwo. Chciał ją jak najprędzej zobaczyć, usiąść koło niej i pozwolić się głaskać po rękę, kiedy tak będą koło siebie siedzieli i rozmawiali, jak lubiła. Po tych ponurych, pełnych pyłu

miesiącach spędzonych w Goldfield potrzebował kobiety. Bilet do Frisco kosztował jedenaście dolarów piętnaście, a on miał wszystkiego cztery dolary i parę centów. Zaryzykował i postawił dolara w partyjce kości za jakąś knajpą, ale z miejsca przegrał. Skrewił i wycofał się.

KRONIKA VIII

Profesor Ferrer, były dyrektor Szkoły Współczesnej w Barcelonie, oskarżony o to, że był głównym motorem niedawnych wystąpień rewolucyjnych, został skazany przez sąd na śmierć i będzie rozstrzelany w środę, chyba że Cook¹⁰⁹ nadal pokłada nadzieję w Eskimosach uważa wnętrze wyspy Luzon za najpiękniejszy zakątek świata

PRZESŁUCHANIA ROZPALAJĄ DYSKUSJĘ O BIEGUNIE

Nie chowajcie mnie na prerii, wierni towarzysze Wiatr świszcze tam posępnie, grzechotniki syczą A kojoty dzikim wyciem zakłócają ciszę

BOJOWNICY CYGANA SMITHA¹¹⁰ ATAKUJĄ BASTIONY GRZECHU

Wielcy tego kraju oczekują przejażdżki Członkinie klubu w Englewood przedsięwzięcia kroki dla podźwignięcia dramatu Wielotysięczna ciżba słucha ewangelisty Zniewala serce oniemiałego tłumu. Aresztowany z 3018 dolarami

PRZEZNACZYŁ MILION NA WALKĘ Z TĘGORYJCEM¹¹¹

Widmowa Parada Cygana przez Dzielnicę Czerwonych Świąteł na Południowej Stronie z odwagą, która wycisnęła łzy z oczu dwunastu żołnierzy plutonu egzekucyjnego, Francesco Ferrer pomaszerował dziś rano na skraj wykopu przygotowanego na przyjęcie jego ciała, gdy padnie śmiertelna salwa

AUTO STOCZYŁO SIĘ DO RZEKI; ŚMIERĆ W NURTACH

¹⁰⁹ Frederick Albert Cook (1865-1940) - to amerykański badacz polarny, lekarz amerykańskiej wyprawy arktycznej Roberta Peary'ego w latach 1891-1892 i belgijskiej wyprawy antarktycznej Adnena de Gerlache w latach 1897-1899. W roku 1909, po dwu latach pobytu w okolicach podbiegunowych, pojawił się w Skandynawii i ogłosił, że w kwietniu roku poprzedniego dotarł z kilkoma Eskimosami do bieguna północnego. Chodził w glorii do momentu, gdy powróciła ekspedycja Roberta Peary'ego, która zdobyła biegun 4 kwietnia 1909, i Peary oskarżył Cooka o oszustwo. Rozpoczęły się sensacyjne dochodzenia. Jakkolwiek Cook do końca życia upierał się przy swoim, nie przedstawił nigdy przekonujących dowodów swego wyczynu i dziś uważa go się na ogół za mistyfikatora. Pikanterii ówczesnej kontrowersji dodaje odkrycie ogłoszone w 1988 roku przez amerykańskie Narodowe Towarzystwo Geograficzne (National Geographic Society), że Peary prawdopodobnie pomylił się w swoich wyliczeniach o nie mniej niż 60 mil, czyli ponad 90 kilometrów. W rezultacie wielu historyków uważa obecnie, że żaden z dwu polarników nie dotarł w rzeczywistości do bieguna.

¹¹⁰ Rodney Smith (1860-1947), znany jako Cygan S m i t h ze względu na swoje pochodzenie, był brytyjskim kaznodzieją, który począwszy od 1883 roku przemierzał kraje anglosaskie od Stanów Zjednoczonych po Australię, prowadząc krucjaty religijne. Szczyt jego działalności przypada na lata 1897-1912, kiedy prowadził specjalne akcje ewangelizacyjne z ramienia Rady Niezależnego Kościoła Narodowego (National Free Church Council). Cytowany nagłówek pochodzi prawdopodobnie z roku 1908, kiedy Cygan Smith prowadził krucjatę w chicagowskiej dzielnicy prostytucji.

¹¹¹ Tęgoryjec dwunastniczy - to nicien pasożytujący w jelicie cienkim ludzi i zwierząt, wywołujący ancyllostomatozę, chorobę objawiającą się zaburzeniami trawiennymi, krwawieniami, niedokrwistością; choroba ta występuje szczególnie często wśród górników, gdyż larwy tęgoryjca, bytujące w ziemi, wnikają do organizmu przez skórę.

OKO KAMERY (1 1)

Pennypackerowie chodzili do kościoła prezbiteriańskiego panny Pennypackerówny śpiewały ostrymi chłodnymi głosikami na chórze i każdego pozdrawiano kiedy wchodził do kościoła a na dworze letnie listki kołysały się na drzewach zielononiebieskieżółte za oknami weszliśmy wszyscy po kolei do ławki i zapytałem pana Pennypackera on piastował godność diakona kto to byli Molly Maguires¹¹²?

na dębie fukała wiewiórka ale panny Pennypackerówny wszystko młode damy w odświętnych kapelusikach śpiewały hymn kto to byli Molly Maguires? myśli poprze-strzelane ściany starej stajni opuszczone kopalnie czarne szkielety nadszybi zarośnięte zielonym hałdy kto to byli Molly Maguires? ale już było za późno nie można rozmawiać w kościele wszystko młode damy odświętne kapelusiki i śliczne różowe zielone niebieskie żółte sukienki wiewiórka fuka na dębie kto to byli Molly Maguires?

ani się obejrzałem już była komunia chciałem powiedzieć że nie jestem chrzczony ale wszyscy zmierzli mnie karcącym wzrokiem że ciii kiedy zacząłem szeptać do Con

komunia to był sok owocowy w małych szklaneczkach i małe kostki czerstwego chleba chleb trzeba było połknąć zasłonić usta chusteczką i zrobić świątobliwą minę a szklaneczki wydawały śmieszny ssący odgłos cisza zaległa kościół pośród jaskrawosłonecznego błękitu niedzieli pośród kołysania dębów i zapachu pieczenia z białego domu i spokojnego błękitnego niedzielnego dymu spod kuchni na których skwierczały pieczone kurczaki paszteciki i brązowy sos odstawiony na tył kuchennej blachy żeby nie ostygł

pośród fukania wiewiórek i szybów kopalnianych pośród błękitnej letniej pensylwańskiej niedzieli wysączają ostatnią kroplę komunii z maleńkich szklaneczek

i ciarki mi chodziły po karku czy nie porazi mnie grom bo jem chleb i piję komunię ja który nie wierzę nie jestem ochrzczony nie jestem prezbiterianmem i kto to byli Molly Maguires? jeźdźcy w maskach po nocy strzelający w ściany stajni po nocy czego oni szukali dawno temu po nocy?

nabożeństwo się skończyło i wszyscy wychodzili jeden za drugim każdego pozdrawiano kiedy wychodził i wszyscy mieli świetne apetyty po komunii tylko ja nie mogłem jeść ciarki mi chodziły po karku drżałem przed jeźdźcami w maskach Molly Maguires

¹¹² Molly M a g u i r e s - to tajne sprzysiężenie irlandzkich górników w kopalniach antracytu w okolicach Scranton w Pensylwanii, powstałe około roku 1854. Jego celem była kampania indywidualnego terroru przeciw osobnikom, których górnicy uznali za swoich ciemieżycieli - właścicielom i nadzorcom kopalń oraz pozostającej na ich usługach policji. Nazwa i charakter sprzysiężenia wywodziły się od podobnego sprzysiężenia w Irlandii, wymierzonego przeciw dziedzicom i rządcom majątków, komornikom zajmującym z ich polecenia mienie dzierżawców oraz im podobnym osobom. Działalność Molly Maguires, której szczyt przypadł na lata po wojnie secesyjnej, została sparaliżowana przez detektywa z Agencji Pinkertona, któremu na zlecenie dyrektora jednego z towarzystw górniczych udało się infiltrować sprzysiężenie. W rezultacie jego zeznań na procesie w latach 1876-1877 dwudziestu aresztowanych górników zawisło na szubienicy, po czym sprzysiężenie się już nie odrodziło.

KRONIKA IX

WYPARŁ SIĘ GWIAZD PRZEZ PIJAŃSTWO

*„Nie chowajcie mnie na prerii
wierni towarzysze”.*

Przedśmiertnej jego prośby woleli nie słyszeć,

Pochowali go na prerii wierni towarzysze

REKTOR NIE PRZYZNAJE SIĘ DO CAŁOWANIA

wówczas wróciła nam odwaga, gdyż wiedzieliśmy, że pomoc jest blisko. Zaczęliśmy znowu krzyzczeć i nawoływać, ale nie wiedzieliśmy, czy nas słyszą. Wreszcie nadszedł moment odkopania i straciłem przytomność. Wszystkie noce i dni odeszły w niepamięć i zapadłem w sen

O PÓŁNOCY GŁOSOWANIE NAD LOSEM ALTMANA

Już czwarty dzień, odkąd jesteśmy zasypani. Tak mi się przynajmniej zdaje, bo nasze zegarki stanęły. Czekam w ciemności, bo zjedliśmy wosk z naszych lamp. Zjadłem także prymkę tytoniu, kawałek kory i kawałek buta. Skóra dała się tylko żuć. Mam nadzieję, że odczytasz te słowa. Nie boję się umierać. O, Panno Święta, zmiłuj się nade mną. Zdaje się, że nadeszła moja godzina. Wiesz, co do mnie należało. Pracowaliśmy na to razem i od dziś wszystko jest twoją własnością. To moja ostatnia wola, musisz ją spełnić. Byłaś zawsze dobrą żoną. Niechaj Najświętsza Panienska ma cię w swojej opiece. Mam nadzieję, że te słowa dotrą kiedyś do ciebie i że je odczytasz. Od dłuższego czasu panuje tutaj zupełna cisza, nie wiem, co się dzieje z innymi. Żegnaj, dopóki niebiosa nie połączą nas z powrotem.

Publiczna Chłosta za Napastowanie Dziewcząt HOŁUBI STRUSIE

Wiatr świszczę mu nad grobem, grzechotniki syczą

A kojoty dzikim wyciem rozdzierają ciszę

MAC

Mac podszedł do zbiornika wody na boczniczy, żeby poczekać na jakiś towarowy. Siedział tam starzec skulony we dwoje, z głową między kolanami; kapelusz i podarte buty miał zupełnie popielate od kurzu i poruszył się dopiero, kiedy Mac był tuż. Mac usiadł obok starego. Bił od niego kwaśny odór rozgorączkowanego ciała.

- Co jest, dziadku?

- Koniec ze mną i tyle. Przez całe życie słabowałem na piersi, a teraz to już mnie wzięło na dobre.

Usta wykrzywiły mu się kurczem bólu, głowa opadła pomiędzy kolana. Po chwili odniósł ją z powrotem, łapiąc powietrze jak ryba. Odzyskawszy dech, powiedział:

- Jakby mi kto brzytwą krajał płuca. Zostań ze mną, dobrze, synu?

- Jasne.

- Widzisz, chciałbym pojechać gdzieś na zachód... Gdzie rosną drzewa i jest zielono... Pomożesz mi wsiąść do pociągu? Za słaby już jestem, żeby jechać na buforach. Tylko nie daj mi się położyć. Dostanę zaraz krwotoku, jak się położę, kapujesz?

Zakrztusił się znowu.

- Mam parę dolarów, spróbuję, może dam w łapę brekowemu¹¹³.

- Coś mi nie gadasz jak tramp.

- Jestem drukarz. Chcę się jak najprędzej dostać do San Francisco.

- Robociarz, jak pragnę zdrowia. Słuchaj no, synu... Ja nie pracuję już siedemnaście lat.

Nadjechał towarowy, lokomotywa stanęła sycząc koło zbiornika. Mac pomógł staremu wstać i usadowił go w rogu lory z częściami maszyn przykrytymi brezentem. Palacz i maszynista przyglądali im się z lokomotywy, ale nic nie powiedzieli.

Pociąg ruszył i zaczął zacinać zimny wiatr. Mac zdjął kurtkę i położył staremu pod głowę, żeby nie podskakiwała przy każdym wstrząsie. Starzec siedział z zamkniętymi oczami i głową odrzuconą do tyłu. Mac nie wiedział, czy jeszcze żyje czy już nie. Zrobiła się noc. Mac zmarł przeokropnie. Cały drżący, zawiął się w zwój brezentu w drugim końcu lory.

O szarym świcie ocknął się z półsnu, szczękając zębami. Pociąg stał gdzieś na boczniczy. Nogi miał tak zdrętwiałe, że minęła dobra chwila, nim zdołał się podnieść. Poszedł popatrzeć na starego, ale nie umiał orzec, czy żyje czy też umarł. Zrobiło się nieco jaśniej, horyzont na wschodzie jał podchodzić czerwienią jak skraj żelaza obrabianego w kuźni. Mac zeskoczył na ziemię i ruszył wzdłuż pociągu w stronę służbowego.

Brekowy drzemał obok swojej latarni. Mac powiedział mu, że na jednej z lor umiera stary

¹¹³ Brekowy, inaczej: hamulcowy - to kolejarz jadący w breku, budce służbowej na początku pociągu towarowego, wyposażonej w urządzenie hamownicze.

tramp. Brekowsy miał płaską flaszkę whisky w mundurowej kurtce, która wisiała na gwoździu w wagonie. Ruszyli z powrotem wzdłuż toru. Zanim doszli do lory, zrobił się prawie dzień. Starzec osunął się na bok, jego twarz wyglądała blado i marsowo jak na posągach generałów z wojny domowej. Mac rozpiął mu kurtkę, brudną podartą koszulę i podkoszulki i położył dłoń na piersi. Była zimna i martwa jak deska. Kiedy wyjął rękę, lepiła się cała od krwi.

- Krwotok - powiedział brekowsy i cmoknął zdawkowo ustami.

Potem oświadczył, że muszą usunąć ciało z pociągu. Położyli je na wznak w rowie, na skraju szutru, z twarzą przykrytą kapeluszem. Mac spytał brekowego, czy nie ma szpadla, toby pochował starego, żeby sępy nie dobrały się do zwłok, ale brekowsy odparł, że nie, przyjdą robotnicy torowi, to go pogrzebią. Wziął Maca ze sobą do służbowego, dał mu się napić i jął ze szczegółami rozpytywać, jak umarł starzec.

W ten sposób Mac dojechał do San Francisco.

Maisie była z początku zimna i cierpka, ale kiedy się trochę rozgadali, powiedziała, że wychudł i wygląda jak włóczęga, po czym zalała się łzami i pocałowała go. Poszli podjąć z banku jej oszczędności i kupiwszy Macowi garnitur, pojechali prosto do magistratu i wzięli ślub, nic nie mówiąc jej rodzinie. Czuli się obydwójce bardzo szczęśliwi, wsiadłszy do pociągu do San Diego, gdzie wynajęli umeblowany pokój z używalnością kuchni. Powiedzieli gospodyni, że są rok po ślubie, a do domu Maisie zadepeszowała, że są w podróży poślubnej i że niedługo wrócą.

Wkrótce Mac dostał pracę w małej drukarni akcydensowej i wzięli na raty parterowy domek przy Pacific Beach. Praca nie była zła i Mac czuł się szczęśliwy w spokojnym życiu z Maisie. Prawdę mówiąc, miał na jakiś czas dość poniewierki. Kiedy Maisie poszła do szpitala rodzić, musiał wyżebrać u swego szefa, Eda Balderstona, zaliczkę w wysokości dwumiesięcznej pensji. Mimo to, żeby pokryć rachunek lekarza musieli zaciągnąć jeszcze dług na hipotekę nie spleaconego domku. Urodziła się dziewczynka o błękitnych oczach, której dali na imię Rose.

Życie w San Diego było słoneczne i spokojne. Rano Mac jeździł kolejką do pracy, wracał wieczorem kolejką, w niedzielę majsterkował coś w domu, czasami siedł z Maisie i dzieckiem na plażę. Przestrzegali milczącej zasady, że musi teraz robić wszystko, co chce Maisie, bo zalał jej tak za skórę przed ślubem. W następnym roku urodziło im się drugie dziecko i Maisie przez długi czas leżała chora w szpitalu. Tygodniówka ledwo starczała teraz Macowi na opłacenie odsetek od długów i z tygodnia na tydzień musiał zwodzić sklepikarza, mleczarza i piekarza, żeby im nie zamknęli kredytu. Maisie czytała stosy magazynów i ciągle chciała coś nowego do domu, to pianolę, to nową lodówkę, to znów dogotowywacz. Jej bracia dorabiali się na handlu nieruchomościami w Los Angeles i cała rodzina nabierała znaczenia w świecie. Ilekroć Maisie dostała od nich list, suszyła Macowi głowę, żeby przycisnął szefa o podwyżkę albo poszukał lepszej pracy.

Kiedy w mieście pojawiał się któryś z kolegów-wobblisów bez centa przy duszy albo kiedy urządzano zbiórki na fundusz strajkowy czy podobne cele, Mac zawsze pomagał, ale nigdy nie mógł dać więcej niż kilka dolarów z obawy, żeby Maisie nie wyniuchała. Ile razy znalazła „Apel do Rozumu” czy jakieś inne radykalne pismo, paliła je, po czym przez następne parę dni się kłócili, chodzili skwaszeni i w ogóle zatruli sobie nawzajem życie, aż wreszcie Mac doszedł do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu, i nie rozmawiał z nią więcej o takich sprawach. Ale stało to między nimi prawie jak podejrzenie o romans z inną kobietą.

Którejś soboty udało im się podrzucić dzieci sąsiadce i szli do music-hallu, kiedy na rogu przed drogerią Marshalla spostrzegli tłum. Mac utorował sobie drogę łokciami. Pod narożną latarnią, koło pożarowego aparatu alarmowego, stał chudy chłopak w granatowym drelichu i czytał „Deklarację Niepodległości”:

- Jeśli w toku spraw ludzkich... Zjawił się policjant i kazał mu odejść.
- ... niezaprzeczalne prawo... do życia, wolności i szczęścia...

Teraz już było dwóch policjantów. Jeden z nich chwycił chłopaka za ramiona i próbował go oderwać od latarni.

- Chodź, Fainy, spóźnimy się na przedstawienie - powtarzała Maisie.

- Hej, potrzebny będzie pilnik. Skurczybyk przykuł się łańcuchem do latarni - usłyszał jeszcze Mac rozmowę policjantów.

Maisie dowlekała go tymczasem do kasy teatru. No cóż, obiecał, że ją zabierze na przedstawienie, nie była nigdzie przez całą zimę. Ale zanim weszli do środka, zobaczył jeszcze, jak policjant się odwijają i wali młodego człowieka w szczękę.

Przez całe popołudnie siedział w ciemnym, dusznym teatrze, nie widząc numerów na scenie ani skeczów przed kurtyną. Nie odzywał się do Maisie. Siedział i czuł mdły ucisk w dołku. Chłopcy organizują widać kampanię w obronie wolności słowa. Tutaj, w San Diego. Od czasu do czasu w mętym blasku padającym ze sceny zerkał na Maisie. Była wciąż jeszcze przystojna, choć twarz zaczynała jej ostatnio nabrzmiewać samozadowoleniem jak grzbiet kotki puszącej się przy ciepłym piecu. Zapomniała już o wszystkim i najszcześniejsza pod słońcem patrzyła na scenę, z rozchylonymi wargami i błyszczącymi oczami, jak mała dziewczynka na kinderbalu.

- Zaprzedałem się, zaprzedałem się sukinsynom ze wszystkim - powtarzał sobie Mac.

Ostatnim numerem programu była Eva Tanguay¹¹⁴. Nosowy głos śpiewający: „Jestem Eva Tanguay i co mi tam” - wyrwał Maca z ponurego transu. Wszystko wydało mu się nagle błyszczące i promienne, ciężkie, pozłacane, żłobkowane proscenium, twarze w łożach, głowy siedzących przed nim, tandetna mieszanina kurzu i bursztynowoniebieskiego światła na scenie, mizerna kobieta

¹¹⁴ Eva Tanguay (1878-1947) - to może najslawniejsza gwiazda music-hallu amerykańskiego tej epoki. Jej sztandarowa piosenka *Co mi tam (I Don't Care)* i śmiała wersja tańca Salome stanowiły wyzwanie rzucane obyczajowości jej czasów.

rzucająca się tam i z powrotem w tęczowej obręczy reflektora.

Piszą, że bzika mam, Lecz co mi tam!

Mac wstał.

- Maisie, spotkamy się w domu. Zostań do końca. Jakoś podle się czuję.

Nim mogła odpowiedzieć, przepchnął się między siedzącymi do przejścia i wyszedł. Na ulicy nie działo się nic szczególnego, zwykły sobotni tłum. Mac krążył w kółko po śródmieściu. Nie wiedział nawet, gdzie mieści się komórka IWW. Musiał z kimś pogadać. Mijając hotel Brewster poczuł woń piwa. Oto czego mu potrzeba, czegoś do przepłukania gardła. Inaczej oszaleje.

Wszedł do knajpy na najbliższym rogu i wypił cztery żytniówki. Bar był oblężony przez mężczyzn, którzy pili, częstowali się nawzajem, rozprawiali głośno o baseballu, boksie, Ewie Tanguay i jej tańcu Salome. Obok Maca stał tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy, w szerokim pilśniowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Kiedy Mac sięgnął po piątą kieliszek, mężczyzna położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

- Jak się nie pogniewasz kolego, to ja ci postawię kolejkę. U mnie dzisiaj święto.

- Dziękuję, za pańskie zdrowie - odrzekł Mac.

- Jak się nie pogniewasz, to ci powiem, kolego, że pijesz tak, jakbyś chciał wysuszyć całą beczkę i nic dla nas nie zostawić... Rozcieńczyłbyś czymś.

- Dobra jest, bracie - zgodził się Mac. - Niech będzie piwo do przepłukania gardła.

- Nazywam się McCreary - powiedział tęgi mężczyzna. - Sprzedałem właśnie owoce. Sadownik jestem, spod San Jacinto.

- I ja się nazywam McCreary - odparł Mac. Uścisnęli sobie dłonie.

- Rany gorzkie, to ci historia. Musimy być krewniaka mi albo prawie. Skąd jesteś, kolego?

- Z Chicago, ale moi starzy pochodzili z Irlandii.

- Moi przyjechali ze Wschodu, z Delaware, ale to też dobra stara szkocko-irlandzka krew.

Wypili pod to jeszcze kilka kieliszków. Potem przenieśli się do innej knajpy i usiadłszy przy stoliku w kącie, zaczęli rozmawiać. Mężczyzna opowiadał o swoim ranczu, o zbiorze moreli, który sprzedał, i o żonie, która nie wstaje z łóżka od ostatniego porodu.

- Nie powiem, nawet lubię staruszkę, ale co mam robić? Przecież się nie każę owałaszyć, żeby kobiecie dotrzymać wiary.

- Ja też mam klawą żonę - powiedział Mac. - I klawe dzieciaki, Rose ma cztery lata i już zaczyna czytać, a Ed tylko patrzeć, jak zacznie chodzić... Ale jasny gwint, zanim się ożeniłem, myślałem zawsze, że dojdę do czegoś w świecie. Nie żebym się uważał za coś nadzwyczajnego... Ale wiesz, jak to jest.

- Ma się rozumieć, kolego, to samo zawsze myślałem, jak byłem młody.

- Maisie jest równa dziewczyna, lubię ją z każdym dniem bardziej - powiedział Mac i poczuł, że obejmuje go ciepła fala czułości, jak czasem w sobotę, kiedy pomagał jej wieczorem kąpać i kłaść dzieciaki, w pokoju wisiała jeszcze para po kąpieli i nagle jego oczy napotykały oczy Maisie i już nie miały się gdzie przesunąć, byli tylko oni we dwoje.

Mężczyzna spod San Jacinto zaczął śpiewać:

Moja żonka jedzie w świat,

Hura, hura! Kocham żonkę, alem rad,

Hura, hura!

- Niech to wszystko jasny gwint - powiedział Mac. - Człowiekowi nie starczy do szczęścia, że zapracuje na siebie i na dzieciaki.

- Zgadzam się z tobą abzzolutnie, kolego. Każdy sobie rzepkę skrobie, czort z innymi.

- A, cholera, powłóczyłby się człowiek znowu, posiedział z chłopakami w Goldfield.

Pili i pili, potem zjedli darmową zakąskę, potem znowu pili, przez cały czas żytniówkę i piwo. Mężczyzna spod San Jacinto miał telefon jakichś dziewczyn, więc zadzwonili, a potem kupili butelkę whisky i poszli do ich mieszkania, i sadownik spod San Jacinto, posadziwszy sobie na każdym kolanie dziewczynę, wyśpiewywał: „Moja żonka jedzie w świat, hura, hura!”. Mac siedział tępo w kącie, bekając co chwila, i głowa leciała mu na piersi; raptem ogarnęła go wściekła gorycz, porwał się na nogi, przewracając stolik z ozdobnym wazonem.

- McCreary - powiedział - to nie jest miejsce dla świadomego rewolucjonisty. Wobblis jestem, diabli z tobą. Idę, przyłączę się do tej kampanii o wolność słowa...

Ale tamten McCreary śpiewał dalej, nie zwracając najmniejszej uwagi. Mac wyszedł trzaskając drzwiami. Jedna z dziewczyn wybiegła za nim trąkając o zbitym wazonie, ale pchnęła ją w twarz i wyszedł na cichą ulicę. Świecił księżyc. Uciekła mu ostatnia kolejka i musiał wracać piechotą.

Kiedy doszedł do domu, zastał Maisie w szlafroku na werandzie. Siedziała i płakała.

- A ja ci zrobiłam taką pyszną kolację – powtarzała w kółko, mierząc go chłodnymi, gorzkimi oczami jak wówczas przed ślubem, kiedy wrócił z Goldfield.

Następnego dnia miał dudniący ból głowy i rozstrojony żołądek. Jak obliczył, przepuścił piętnaście dolarów, bez których nie mogli się obejść. Maisie nie odzywała się do niego. Leżał w łóżku, przewracając się z boku na bok; czuł się podle, pragnął zasnąć i więcej się nie obudzić. Tej niedzieli na kolację przyjechał brat Maisie, Bili. Gdy tylko się zjawił w domu, Maisie zaczęła rozmawiać z Makiem jak gdyby nigdy nic. Zirykowało go, że robi to tylko dla ukrycia przed Billem, że się pokłócili.

Bili był mocno zbudowanym mężczyzną o czerwonym karku i lnianych włosach, zaczynającym tyć. Siedział zjadając duszoną wołowinę z kukurydzianym chlebem, który Maisie

upiekła, i opowiadał cuda o koniunkturze gruntowej w Los Angeles. Był maszynistą na kolei, został poturbowany w katastrofie i poszczęściło mu się z prawem pierwokupu na kilka parceli, które nabył za otrzymane odszkodowanie. Próbował namawiać Maca, żeby rzucił pracę w San Diego i poszedł w jego ślady.

- Pomogę ci na początek, ze względu na Maisie - po wtarzał. - Za dziesięć lat będziesz bogatym człowiekiem, tak jak ja znacznie wcześniej. Najwyższa pora, Maisie. Musicie korzystać z okazji, póki jesteście młodzi, bo jeszcze trochę i będzie za późno. Nie chcesz chyba, żeby Mac był przez całe życie robociarzem?

Maisie błyszczały oczy. Podała tort czekoladowy i butelkę słodkiego wina. Dostała wypieków, co chwila wybuchwała śmiechem, pokazując perłowe ząbki. Nie wyglądała tak ładnie od urodzenia pierwszego dziecka. Upoiło ją opowiadanie Billa o dobrobycie.

- A jeśli ktoś nie chce być bogatym człowiekiem? - zapytał Mac. - Wiecie, co powiedział Gene Debs: „Ja chcę rosnać wraz z masami, nie wyrastać ponad masy”.

Maisie i Bili parsknęli śmiechem.

- Jak facet zaczyna wygadywać takie rzeczy, to znaczy, że mu brak piątej klepki. Już ja wiem, co mówię - powiedział Bili.

Mac poczerwieniał, ale nic nie odrzekł. Bili odsunął się od stołu, odchrząknął z powagą.

- Posłuchaj, Mac. Zostaję tutaj parę dni, chcę się rozejrzeć w sytuacji, chociaż tak na oko wygląda, że to zupełnie martwe miasto. Moja propozycja jest taka. Wiesz, co myślę o Maisie... Myślę, że to chyba najładniejsza dziewczyna na świecie. Chciałbym, żeby moja żona była chociaż trochę do niej podobna... Otóż moja propozycja jest taka: na Ocean View Avenue zostało mi jeszcze do sprzedania kilka wspaniałych willi w hiszpańskim stylu, parcela dziesięć metrów szerokości od ulicy, ekskluzywna dzielnica willowa, trzydzieści metrów w głąb. Mówię ci, dostawałem za nie pięć kawałków żywą gotówką. Za rok albo dwa faceci tacy jak my nosa tam nie wetkną. Niedługo to będzie ulica milionerów. Jeśli chcesz wziąć taki dom na nazwisko Maisie, to wiesz, co jestem gotów zrobić... Zamieniam się z tobą na tę chałupę, pokrywam koszty rejentalne, spłacam, co tam jest na hipotecę, tak żeby wszystkie długi zostały w rodzinie, i w ten sposób nie będziesz miał wiele większych zobowiązań niż tutaj, a droga do sukcesu stanie przed tobą otworem.

- Och, Bili, kochany! - wykrzyknęła Maisie. Podbiegłszy pocałowała go w czubek głowy, usiadła na poręczu fotela, zamachała nogami.

- Zobaczę, zastanowię się przez noc - powiedział Mac. - Diabło ładnie z twojej strony, żeś o tym pomyślał.

- Fajny, mógłbyś okazać Billowi trochę więcej wdzięczności - prychnęła Maisie. - Oczywiście, że się przeprowadzamy.

- Nie, Mac ma rację - powiedział Bili. - Taką propozycję trzeba przemyśleć. Ale pamiętaj, jakie ci to da korzyści: lepsze szkoły dla dzieciaków, elegancka dzielnica, miasto z przyszłością zamiast martwej dziury, szansa, żeby wypłynąć w świecie, nie tyrać do końca życia za psie pieniądze.

W miesiąc później McCreary'owie przenieśli się do Los Angeles. Przeprowadzka i urządzenie kosztowały tyle, że długi Maca wzrosły do pięciuset dolarów. Na domiar złego mała Rose zachorowała na odrę i doszły jeszcze rachunki za leczenie. A Mac nie mógł dostać pracy w żadnej gazecie. W miejscowej komórce związkowej, do której się przeniósł, ni mniej, ni więcej, tylko dziesięciu ludzi czekało na zajęcie.

Większość czasu spędzał włócząc się zgnębiony po mieście. Nie lubił teraz siedzieć w domu, nigdy nie mógł dojść z Maisie do ładu. Myślała tylko o tym, co się dzieje u Billa, jakie suknie nosi jego żona Wirginia, jak wychowują dzieci, jaki kupili wspianiały gramofon. Mac przesiadywał w parkach w różnych częściach miasta studiując „Apel do Rozumu”, „Robotnika Przemysłowego” i miejscową prasę.

Któregoś dnia zauważył, że z kieszeni mężczyzny siedzącego obok wystaje numer „Robotnika Przemysłowego”. Siedzieli od dłuższego czasu na jednej ławce, kiedy coś kazało mu się nagle odwrócić i przyjrzeć sąsiadowi.

- Hej, czy to nie Ben Evans?

- Rany, toż to Mac, niech mnie diabli! Co z tobą, chłopie, wyglądasz jakoś nietęgo?

- Och, nic mi nie jest. Bez przydziału jestem i tyle.

Rozmawiali długo. W końcu poszli na kawę do meksykańskiej restauracji, gdzie przesiadywali niektórzy chłopcy. Przyłączył się do nich młody blondynek, mówiący po angielsku z obcym akcentem. Mac dowiedział się ze zdumieniem, że jest Meksykaninem. Wszyscy rozprawiali o Meksyku. Madero¹¹⁵ rozpoczął rewolucję, lada dzień spodziewano się upadku Diaza. Peonowie wszędzie uciekali w góry, przepędzając z rancz bogatych *cientificos*¹¹⁶. Wśród robotników w miastach szerzyła się propaganda anarchistyczna. W restauracji wisiał ciepły zapach papryki izbyt

¹¹⁵ Francisco Madero (1873-1913), potomek ziemiańskiej rodziny meksykańskiej, wykształcony w Kalifornii, wydał w 1908 roku książkę *La sucesion presidencial en 1910 (Sukcesja prezydencka w roku 1910)*, która, mimo że konfiskowana przez władze, pozyskała ogromny posłuch. Głosił w niej potrzebę reform politycznych oraz agrarnych i atakował Porfirio Diaza (1830-1915), który rządził Meksykiem od zamachu stanu dokonanego w 1876, nominalnie jako prezydent, faktycznie sprawując władzę dyktatorską. Przed wyborami Diaz kazał aresztować Maderę, kontrkandydata do prezydentury, za rzekome podburzanie do buntu i rozstrzygnął wybory na swoją korzyść. Madero, zwolniony w listopadzie 1910, uciekł do Teksasu, gdzie proklamował powstanie przeciwko Diazowi. Wprawdzie Meksyk poczynił pod rządami tego ostatniego znaczny skok cywilizacyjny, dokonało się to jednak z korzyścią kapitału zagranicznego i posiadaczy wielkich latyfundiów, przy równoczesnej dotkliwej nędzy robotników i peonów, tak że Madero z łatwością porwał masy do walki. W maju 1911 Diaz został zmuszony do rezygnacji z prezydentury, a w październiku na prezydenta został wybrany Madero. Nie rozwiązał on jednak diazowskiego parlamentu i nie zdymisjonował diazowskich generałów, nie wdrożył także reform oczekiwanych przez siły społeczne, które go wyniosły do władzy, skutkiem czego w 1912 roku wybuchły nowe powstania peonów równocześnie na północy i południu kraju. W lutym 1913 zamieszki objęły stolicę, Madero został aresztowany przez dowódcę swoich własnych oddziałów, generała Victoriano Huertę, i prawdopodobnie z jego rozkazu zastrzelony, rzekomo podczas próby ucieczki.

¹¹⁶ *Cientificos* (hiszp.) - dosłownie: uczeni; tak nazywano członków partii popierającej Diaza, w znacznej części właścicieli wielkich latyfundiów.

mocno palonej kawy. Na stolikach stały ciemnoróżowe i cynobrowe papierowe kwiaty, od czasu do czasu błyskały białe zęby rozprawiających półgłosem mężczyzn o stalowych i brązowych twarzach. Niektórzy z obecnych Meksykanów należeli do IWW, większość jednak stanowili anarchiści. Rozmowa o rewolucji i nieznanach miejscach napełniła Maca na nowo szczęściem i duchem przygody, jak wówczas kiedy włóczył się z Ikem Hallem i miał cel w życiu.

- Chodź, Mac, pojedziemy do Meksyku, zobaczymy, czy coś jest w tym gadaniu o rewolucji - powtarzał Ben.

- Żeby nie dzieciaki... Rany, Fred Hoff miał rację, kiedy mnie objeżdżał, że rewolucjonista nie powinien się żenić.

W końcu Mac dostał pracę jako kłopotnik w „Los Angeles Times” i sytuacja w domu trochę się poprawiła, chociaż i tak nigdy nie miał centa, bo wszystko szło na spłatę długów i procentów hipotecznych. Pracował znowu w nocy i prawie wcale nie widywał Maisie ani dzieciaków. W niedzielę Maisie zabierała małego Eda do brata, a Mac i Rose szli na spacer albo jechali gdzieś tramwajem. To były najprzyjemniejsze chwile tygodnia. W sobotę wieczorem chodził czasami na odczyty albo pogawędki do lokalu IWW, ale bał się pokazywać za wiele w radykalnym towarzystwie, żeby nie stracić pracy. Chłopcy uważali, że cholernie trzęsie portkami, ale tolerowali go, bo był starym towarzyszem.

Niekiedy dostawał listy od Milly, która pisała o stanie zdrowia wuja Tima. Wyszła za męża za niejakiego Cohena, który był dyplomowanym buchalterem i pracował w biurze jednej z rzeźni. Wuj Tim mieszkał z nimi. Mac chętnie ściągnąłby go do siebie do Los Angeles, ale wiedział, że byłby to jeszcze jeden powód do niesnasek w domu. Listy Milly były okropnie przygnębiające. Czuje się głupio, pisała, jako żona Żyda. Wuj Tim ciągle zapada na zdrowiu. Doktor mówi, że to od picia, ale niech tylko dadzą mu jakieś pieniądze, natychmiast wszystko przepija. Żeby chociaż mogła mieć dzieci. Fainy jest szczęśliwy, uważała, ma takie wspaniałe dzieciaki. Przy tym bała się, że wuj Tim długo nie pociągnie.

W dniu kiedy gazety przyniosły wiadomość o zamordowaniu Madery w Mexico City, Mac dostał depezę od Milly, że wuj Tim nie żyje i żeby był taki dobry, przysłał telegraficznie pieniądze na pogrzeb. Poszedł do kasy oszczędnościowej i podniósł pięćdziesiąt trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów, zbierane na specjalnym rachunku na naukę dla dzieci. Zaniósł je do biura Western Union i wysłał Milly telegraficznie pięćdziesiąt dolarów. Maisie nic nie wiedziała, dopóki nie nadeszły urodziny małego i nie wybrała się do banku z pięcioma dolarami, które otrzymał w prezencie od wujka Billa.

Tego wieczoru, kiedy Mac otworzył zatrask, zaskoczyło go światło w hallu. Maisie siedziała owinięta pledem na kozetce i drzemała czekając na niego. Ucieszył się, że ją widzi, i podszedł chcąc ją pocałować.

- Co się stało, kochana? - zapytał. Odepchnęła go i porwała się na równe nogi.

- Ty złodzieju - krzyknęła. - Nie mogłam zasnąć, dopóki ci nie powiem, co o tobie myślę. Pewnie przepiłeś wszystko albo przepuściłeś na jakąś kobietę. To dlatego cię już w ogóle nie widuję.

- Maisie, uspokój się, staruszko. Co takiego się stało? Pomówmy spokojnie.

- Rozwodzę się z tobą, tak, rozwodzę się z tobą. Własne dzieci będzie okradał, żeby mieć pieniądze na hulanki z jakąś... Własne bezbronne dzieci...

Mac wyprostował się i zacisnął pięści. Mówił bardzo spokojnie, chociaż wargi mu drżały.

- Maisie, miałem święte prawo podnieść te pieniądze. Za tydzień lub dwa wpłacę z powrotem, a ciebie nie powinno to w ogóle obchodzić.

- Aha, już widzę, jak zaoszczędzisz pięćdziesiąt dolarów. Nie jesteś na tyle mężczyzną, żeby zarobić na przyzwoite życie dla żony i dla dzieci, musisz dopiero podnosić oszczędności swoich biednych maleństw, które nic nie zawiniły.

Maisie wybuchnęła suchym szlochem.

- Maisie, dość tego. Mam już po dziurki w nosie...

- Widzicie go, a ja to nie mam po dziurki w nosie tej twojej bezbożnej socjalistycznej gadaniny. To jeszcze nigdy nikogo do niczego nie doprowadziło, popatrz na tych wszystkich łobuzów, włóczęgów, z którymi się kumaszą... Bóg mi rozum odebrał, że w ogóle za ciebie wyszłam. Nigdy bym nie wyszła, możesz być pewny, nigdy bym nie wyszła, gdybym się tak nie urządziła.

- Maisie, nie mów tak.

Maisie podeszła tuż do niego, z szeroko otwartymi błyszczącymi oczami.

- A dom jest na moje nazwisko, pamiętaj.

- Dobra, koniec z nami.

Nim się opamiętał, zatrzasnął za sobą drzwi i szedł ulicą. Zaczęło padać. Krople zostawiały w pyłe ulicznym ślady wielkości srebrnej dolarówki. W świetle łukowych latarni wyglądało to jak deszcz na scenie. Mac nie wiedział, gdzie iść. Przemoknięty, szedł i szedł przed siebie. Na jakimś rogu zobaczył w podwórku kępę palm, pod którą można się było jako tako schronić. Stał pod nią długo, drżąc na całym ciele. Łzy zakręciły mu się w oczach na wspomnienie ciepłego, gładkiego ciała Maisie, kiedy wróciwszy po pracy w kwaśnej, pełnej stukotu drukarni unosił lekko kołdrę i wsuwał się do łóżka obok niej, uspionej, i czuł jej piersi, dotyk sutek przez cienką koszulkę; a dzieciaki spały w łóžeczkach na werandzie, pochylał się przechodząc, żeby pocałować ich ciepłe czołka.

- Koniec - powiedział na głos, jak gdyby mówił do kogoś drugiego. I dopiero w tej chwili wpadła mu myśl: „Jestem znowu wolny, zobaczę kraj, będę pracował dla innych, powłóczę się”.

W końcu poszedł do domu noclegowego, gdzie mieszkał Ben Evans. Minęło dużo czasu, zanim ktoś się zwrócił, żeby mu otworzyć. Kiedy wszedł do pokoju, Ben usiadł na łóżku, patrząc na

niego wzrokiem ogłupiałym od snu.

- Co, u diabła?

- Słuchaj, Ben, skończyłem z domem. Jadę do Meksyku.

- Gliny cię szukają? Rany boskie, to nie miejsce, nie powinieneś być tutaj przychodzić.

- Nie, z żoną się poprzytykałem. Ben parsknął śmiechem. - Rany gorzkie!

- Słuchaj, Ben, chcesz jechać do Meksyku? Obejrzymy sobie rewolucję?

- Co, u diabła, będziesz robił w Meksyku? Zresztą chłopcy wybrali mnie na sekretarza sekcji 257. Muszę tu siedzieć za te siedemnaście pięćdziesiąt. Ale słuchaj, jesteś cały mokry; zrzuć te łachy, weź mój drelach, wisi na drzwiach. Powinieneś się trochę przespać. Chodź, zrobię ci miejsce.

Mac siedział jeszcze dwa tygodnie w Los Angeles, zanim znaleźli na jego miejsce nowego linotypistę. Maisie napisał, że wyjeżdża i jak tylko będzie mógł, przyśle jej pieniądze na dzieci. Potem pewnego ranka wsiadł do pociągu z dwudziestoma pięcioma dolarami w kieszeni oraz biletem do Yumy w Arizonie. W Yumie był upał jak diabli. W kantine kolejarskiej jakiś facet powiedział mu, że prędzej umrze z pragnienia, niż zdoła stąd przejść do Meksyku; a w ogóle o rewolucji nikt tu nie słyszał. Wobec tego dobił się koleją Southern Pacific do El Paso. Po tamtej stronie granicy jest piekło, mówili wszyscy. Bandyci mogą w każdej chwili zająć Juarez. Amerykanów rozstrzelują na miejscu. W barach El Paso roiło się od ranczerów i właścicieli kopalń oplakujących dawne dobre czasy, kiedy u władzy był Porfirio Diaz i każdy biały mógł dojść w Meksyku do pieniędzy. Z bijącym sercem przekroczył Mac międzynarodowy most i zagłębił się w ruchliwe, pełne kurzu uliczki Juarez.

Chodził długo, patrząc na maleńkie tramwaje i muły, na ściany z niewypalanej cegły wyprawiane akwamaryną i kobiety peonów siedzące w kucki za stosami owoców na rynku, na walące się kościoły z zawijasami na frontonach i głębokie bary otwarte od ulicy. Wszystko było tu obce, korzenne powietrze wierceło w nozdrzach i Mac nie wiedział, co ze sobą począć. Było późne kwietniowe popołudnie. Pocił się w granatowej flanelowej koszuli, ciało zrobiło się szorstkie i swędziało. Marzył o kąpieli.

- Za stary jestem na takie historie - powiedział sobie. W końcu odszukał dom niejakiego Ricarda Pereza, do którego skierował go jeden z meksykańskich anarchistów w Los Angeles. Nie mógł go jednak *znaleźć* w wielkiej kamienicy o brudnym podwórku, na samym skraju miasta. Żadna z kobiet, które wieszały bieliznę, nie rozumiała jakoś jego łamanego języka. W końcu rozległ się z góry głos starannie modulujący angielskie słowa.

- Proszę na górę, kto tam szuka Ricarda Pereza. Proszę bardzo. Ja jestem Ricardo Perez.

Mac podniósł głowę i na najwyższym piętrze zobaczył wysokiego mężczyznę o brunatnej cerze i siwych włosach, w zniszczonym beżowym prochowcu, wychylającego się przez poręcz galerii. Wszedł po żelaznych schodach na górę. Mężczyzna uściśnął mu dłoń.

- Kolega McCreary. Pisali mi towarzysze, że macie przyjechać.

- Zgadza się, to ja. Cieszę się, że mówicie po angielsku.

- Mieszkałem przez wiele lat w Santa Fe i w Brockton w Massachusetts. Siadajcie, proszę bardzo. Cieszę się, że poznałem amerykańskiego robotnika-rewolucjonistę. Nasze poglądy nie są pewnie całkiem zgodne, ale wiele nas łączy. Jesteśmy sojusznikami w wielkiej walce. - Poklepał Maca po ramieniu, popchnął go na krzesło. - Proszę bardzo.

Po pokoju biegają bosko kilkoro śniadych dzieci w podartych koszulkach. Ricardo Perez usiadł i wziął najmłodsze na kolana, małą dziewczynkę o długich, ciasno splecionych warkoczyczkach i umazanej buzi. W mieszkaniu pachniało papryką, przypaloną oliwą, dziećmi i praniem.

- Co zamierzacie robić w Meksyku, towarzyszu? Mac się zaczerwienił.

- No, chciałbym się jakoś wciągnąć w wasze sprawy, w rewolucję...

- Sytuacja jest u nas dosyć zagmatwana. Robotnicy po miastach się organizują, są uświadomieni, ale peoni, chłopci, dają się sprowadzać na manowce nieuczciwym liderom.

- Chcę czuć, że coś się dzieje, Perez. Siedziałem w tym w Los Angeles i gardłowałem tylko jak wszyscy. Pracować mogę gdzieś w drukarni.

- Zapoznam was z towarzyszami. Proszę bardzo, pójdziemy już.

Kiedy wyszli, na ulice splotywał granatowy zmierzch. Zapalały się żółte światła. W barach brzdąkały tirlitirli mechaniczne pianina. W jakiejś bramie fałszowała lekko orkiestra. Rynek był cały oświetlony pochodniami, na straganach mieniły się kolorami wystawione na sprzedaż błyskotki. Na rogu stary Indianin i stara kobieta o szerokiej twarzy, obydwójce ślepi i okropnie ospowaci, zawodzili krzykliwą, nie kończącą się pieśń, otoczeni zwartym tłumem niskich, przysadzistych wieśniaków, kobiet w czarnych chustach na głowach i mężczyzn w białych bawełnianych strojach przypominających pizamy.

- Śpiewają o zamordowaniu Maderę. To bardzo ważne dla uświadomienia ludzi. Widzicie, nie umieją czytać, dowiadują się różnych rzeczy z tych pieśni. To wasz ambasador zamordował Maderę. Madera był burżuazyjnym idealistą, ale to wielki człowiek... Proszę bardzo, to nasza sala... Widzicie ten napis, znaczy: „Wiwat rewolucja rewindykująca, zapowiedź rewolucji socjalistycznej”. To sala Związku Anarchistów Przemysłu i Rolnictwa. Huerta¹¹⁷ ma tu trochę żołnierzy federales, ale są tacy słabi, że się boją nas ruszać. Ciudad Juarez jest duszą i ciałem za

¹¹⁷ Victoriano Huerta (1854-1916), mianowany w 1902 roku generałem przez Porfirio Diaza, został nierozważnie pozostawiony na stanowisku dowódcy przez Francisco Maderę po objęciu przez niego w 1911 prezydentury. Wysłany w celu stłumienia jednego z powstań peonów, Huerta obrócił się przeciwko prezydentowi i aresztował go w lutym 1913, a parę dni później, po zastrzeleniu Maderę podczas rzekomej próby ucieczki, ogłosił się tymczasowym prezydentem. Jednakże jego rządy trwały tylko do lipca 1914, gdyż z jednej strony występował przeciwko niemu jako uzurpatorowi prezydent USA, Woodrow Wilson, z drugiej nękały go nieustające w różnych częściach kraju powstania. Ostatecznie do upadku Huerty doprowadziły incydenty z amerykańską piechotą morską w kwietniu w portach Tampico i Veracruz. Głównym celem wysłania przez prezydenta Wilsona piechoty morskiej było niedopuszczenie do dobrojenia się wojsk Huerty ładunkiem broni niemieckiej, złożonym w Komorze Celnej w Veracruz. Doszło do walk, w których zginęło 126 Meksykanów i 19 Amerykanów. Konflikt załagodziła mediacja tzw. państw ABC (Argentyna, Brazylia, Chile), a wymuszone ustąpienie Huerty w trakcie negocjacji pozwoliło uznać cały incydent za niebyły.

rewolucją... Proszę bardzo... Powiecie parę słów do towarzyszy.

W zadymionej sali i na podium tłoczyli się smagli mężczyźni w granatowych drelichach, w tyle widać było kilku peonów ubranych na białą. Dłonie wyciągały się do Maca, oczy zaglądały mu badawczo w oczy, ten i ów z mężczyzn brał go w ramiona. Posadzono go na rozkładanym krześle w pierwszym rzędzie na podium. Okazało się, że Ricardo Perez jest przewodniczącym. Oklaski wybuchały, ilekroć uczynił pauzę w przemówieniu. W sali panowała atmosfera wielkich wydarzeń. Kiedy Mac wstał z miejsca, ktoś wzniósł po angielsku okrzyk: „Solidarność na wieki”. Mac wydukał kilka słów o tym, że nie jest oficjalnym przedstawicielem IWW, ale że wszyscy uświadomieni robotnicy z wielką nadzieją śledzą rozwój rewolucji w Meksyku, i zakończył sloganem wobblisów o budowie nowego społeczeństwa w skorupie starego. Przemówienie nabrało rumieńców, kiedy Perez je przełożył, i Mac poczuł się znacznie lepiej. Mityng włókł się i włókł, przemówienie następowało po przemówieniu, od czasu do czasu śpiewano pieśni. Mac złapał się kilka razy na tym, że głowa opada mu na piersi. Brzmienie obcego języka przyprawiało go o senność. Ledwie wytrzymał do chwili, gdy w otwartych drzwiach sali rozległy się dźwięki malej orkiestry i wszyscy zaczęli śpiewać. Mityng był skończony.

- *Cuatro Milpas*. To znaczy: *Cztery zagony kukurydzy*. To pieśń peonów, ale wszyscy ją teraz śpiewają - powiedział Perez.

- Głodny jestem jak diabli, chciałbym coś przegryźć - powiedział Mac. - Przez cały dzień nic nie miałem w ustach, tylko rano kawę z pączkiem w El Paso.

- Zjemy u jednego towarzysza - odrzekł Perez. - Proszę bardzo, to tutaj.

Z ulicy, ciemnej teraz i puste, weszli przez wysokie, zasłonięte firanką z paciorków drzwi do białej izby, jaskrawo oświetlonej acetylenowym palnikiem wydzielającym silny zapach karbidu. Usiedli przy końcu długiego stołu z poplamionym obrusem. Miejsca przy stole stopniowo zajmowali mężczyźni wychodzący z mityngu, po większej części młodzi, w granatowych ubraniach roboczych, o chudych ostrych twarzach. Na drugim końcu stołu usiadł smagły starzec z wielkim nosem i szerokimi płaskimi kośćmi policzkowymi Indianina. Perez nalał Macowi dwie szklaneczki białego napoju o dziwnym smaku, od którego zakręciło mu się w głowie. Jedzenie piekło od pieprzu i papryki i ledwie przechodziło przez gardło. Meksykańczycy hołubili go jak dziecko na przyjęciu urodzinowym. Musiał wypić wiele kolejek piwa i koniaku. Perez poszedł wcześniej do domu, zostawiając go pod opieką młodego towarzysza imieniem Pablo. Pablo nosił przewieszzonego przez ramię colta, z którego był bardzo dumny. Mówił trochę łamaną angielszczyzną. Siedział założywszy jedną rękę Macowi na szyję, drugą trzymając na zapięciu kabury.

- Gringo¹¹⁸ niedobry, zabijamy szybko... Towarzysz dobry international... niech żyje! -

¹¹⁸ G r i n g o - w krajach Ameryki Łacińskiej pogardliwe przezwisko nadawane cudzoziemcom, szczególnie Amerykanom i Brytyjczykom.

powtarzał w kółko.

Odśpiewali kilkakrotnie *Międzynarodówkę*, potem *Marsylianę* i *Karmaniolę*¹¹⁹. Mac unosił się w korzennym oparze. Śpiewał, pił i jadł, i wszystko zaczynało tracić powoli kontury.

- Towarzysz żeni porządna dziewczyna – powiedział Pablo. Stali przy jakimś barze. Uczynił gest spania, przykładając złożone palce do policzka. - Chodź.

Poszli do tancbudy. Przy wejściu każdy musiał zostawić broń na stoliku, którego pilnował żołnierz w czapce z daszkiem. Mac zauważył, że mężczyźni i dziewczęta odsuwają się od niego. Pablo się śmiał.

- Oni myślą, ty gringo. Ja im mówię, ty revolucionario internacional. To ta, porządna dziewczyna. Nie parszywa kurwa. Nie płaci, porządna dziewczyna, robotnica. Towarzyszka.

Przedstawił Maca brązowej dziewczynie imieniem Encarnacion. Była schludnie ubrana, miała bardzo połyskliwe czarne włosy i szeroką twarz. Błysnęła zębami w uśmiechu. Mac pogłaskał ją po policzku. Napili się piwa przy barze i wyszli. Pablo był także z dziewczyną. Inni zostali w tancbudzie. Pablo ze swoją dziewczyną odprowadził ich do domu Encarnacion. Miała pokoik w podwórku. W tyle, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się w świetle cienkiego księżycy rozległa przestrzeń bladej pustynnej krainy. W oddali błyszczały małe plamki ognia. Pablo wskazał je otwartą dłonią i szepnął:

- Revolucion.

Pożegnali się pod drzwiami pokoiku Encarnacion, w którym było łóżko, obraz Najświętszej Panny i nowa fotografia Madery przypięta do ściany pineską. Encarnacion zamknęła drzwi, zasunęła zasuwę i usiadła na łóżku, podnosząc do Maca uśmiechniętą twarz.

¹¹⁹ *Karmaniola* (fr. *Carmagnole*) - pieśń i taniec towarzyszące zwykle egzekucjom pod gilotyną w czasach wielkiej rewolucji francuskiej. Pierwotnie była to nazwa charakterystycznych kaftanów noszonych w okolicach miasta Carmagnola w Piemontcie, które Francuzi oblegali w 1792 roku; przywieźli je stamtąd rewolucjoniści marsylscy, którzy kaftany przyjęli za swój strój, a ich nazwę rozszerzyli na pieśń.

OKO KAMERY (1 2)

wszyscy pojechali na wycieczkę więc chodziliśmy codziennie z Jeanne bawić się na Farragut Square¹²⁰ i Jeanne opowiedziała ci jak w Jurze¹²¹ wilki schodzą w zimie z gór i wyją na ulicach miasteczka

kilka razy widzieliśmy prezydenta Roosevelta jak jedzie sam jeden na gniadym koniu a raz byliśmy bardzo dumni bo jak zdjęliśmy czapki byliśmy bardzo dumni kiedy się uśmiechnął pokazał zęby jak w gazecie i sięgnął ręką do kapelusza byliśmy bardzo dumni a on jechał z adiutantem

mieliśmy szmacianą kaczkę którą bawiliśmy się zawsze na schodkach dopóki nie zaczęło się ściemniać i wilki zaczynały wyć biegały po ulicach miasteczka z pyskami ociekającymi krwią małych dzieci tylko że to było lato i entre chien et loup¹²² kazano nam iść do łóżka a Jeanne była młodą Francuzką z Jury gdzie wyły wilki biegały po ulicach i kiedy wszyscy poszli spać brała cię do siebie do łóżka

to była długa przerażająca historia a najgorszy z wilków które wyły na ulicach o zmroku żeby mrozić małym dzieciom krew w żyłach był Loup Garou był w Jurze baliśmy się okropnie a Jeanne miała piersi pod koszulą Loup Garou był taki przerażający i czarne włosy ocierałeś się o nią na dworze wyły wilki na ulicach a w środku było mokro powiedziała że to nic że właśnie się myła

a Loup Garou to był naprawdę człowiek przytul mnie mocno cheri człowiek który był po ulicach krwawym pyskiem rozdierał brzuchy dziewczynom i małym dzieciom Loup Garou

i potem już wiedziałeś co mają dziewczyny a ona była taka głupia kazała ci przyrzec że nie powiesz ale i tak byś nie powiedział

¹²⁰ Farragut Square to niewielki park przy Siedemnastej Ulicy w Waszyngtonie, niedaleko domu na Dziewiętnastej Ulicy, gdzie od 1901 roku mieszkała matka Dos Passosa. Stoi tu posąg Davida Glasgowa Farraguta (1801-1870), oficera marynarki Unii, który się wslawił odnosząc dwa największe zwycięstwa morskie wojny secesyjnej - zdobycie Nowego Orleanu i rozgromienie floty Konfederacji w bitwie w zatoce Mobile w Alabamie.

¹²¹ Jura - średnio wysokie pasmo górskie na granicy Francji i Szwajcarii, oddzielone od Alp Wyżyną Szwajcarską.

¹²² Entre chien et loup - dosłownie: między psem a wilkiem; idiom ten używany jest w języku francuskim na oznaczenie zmierzchu; a więc: o szarej godzinie.

KRONIKA X

PATENT MOONA ZROBIŁ FIASKO

rozłamowcy¹²³ prowadzą w sondażach w Kansas bratnie dusze z Oak Park rozstają się
8000 weźmie udział w wyprawie automobilowej twierdzi, że dziewczyna wstawiała się za mężem

NA GIEŁDZIE NASTROJE ZWYŻKOWE

Och, śli-czna laleczko,

Śliczna słodka laleczko

świat nigdy nie pojmie wszystkiego, co się z tym łączy, powiedziała. Mogłoby się wydawać, że to zwykły światowy romans z wszystkimi pozorami niemoralności i wulgarności, ale nic podobnego. On jest uczciwy i szczerzy, znam go. Walczyłam z nim ramię w ramię. Jestem z nim teraz całym sercem.

Och, jaka radość szalona,

Chodź, niech cię wezmę w ramiona

Prawie bez Ruchu w Letniej Apatii na Falach Interesu Milion Siedzi Wyrzucanych Pijaków
ŁAWA PRZYSIĘGLYCH DOBIERA SIĘ DO SKÓRY KRÓLÓW WOŁOWINY¹²⁴

porównuje miłość do Wezuwiusza zdobne ulice oczekują tętentu paladynów

Chodź, niech cię wezmę w ramiona,

Och, śliczna laleczko,

Śliczna słodka laleczko

PRZEHANDLOWAŁ SIWKA ZA KASZTANA

oddziały Madery pokonały rebeliantów w bitwie pod Parral Roosevelt bierze szturmem
Illinois wielosłowie zamyka powieki Chicago domaga się więcej wody

ZAGORZALI ANARCHIŚCI NA KOLANACH CAŁUJĄ GWIAZDZISTY
SZTANDAR

Ruch Promyka Słońca Rozszerza się

BOMBA NR 4 W WOJNIE O DZIELNICĘ PORTOWĄ DEMOLUJE KNAJPE NA
ZACHODNIEJ STRONIE

podana w środę wiadomość, jakoby pacjentem, który w prywatnym pawilonie szpitala św.
Łukasza poddał się operacji usunięcia rakowatej narośli u nasady języka, był generał Grant¹²⁵, została

¹²³ Rozłamowcy- to nowa Partia Progresywna, utworzona z reformatorskiego skrzydła Partii Republikańskiej przed wyborami 1912 roku przez byłego prezydenta Theodore'a Roosevelta. Cytowane dwukrotnie w tej Kronice, pomyslnie dla tej partii sondaże przedwyborcze okazały się zwodnicze, gdyż kandydaci dwu podzielonych skrzydeł Partii Republikańskiej, Taft i Roosevelt, przegrali ostatecznie z kandydatem Partii Demokratycznej, Woodrowem Wilsonem.

¹²⁴ Głośny proces przeciwko królom wołowiny toczył się w roku 1910 przed sądem chicagowskim, któremu przewodniczył sędzia Landis. Chodziło o nieuzasadnioną zwyczajną cenę mięsa i w ogóle skandaliczne warunki panujące w przemyśle mięsny, na które w 1906 roku zwróciła uwagę powieść Uptona Sinclaira *Grzędawisko*.

¹²⁵ Nie chodzi tu o generała Ulyssesa Granta, bohatera wojny secesyjnej, a następnie prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1869-1877, gdyż ten zmarł w roku 1885, lecz o jego syna, Fredericka Denta Granta (1850-1912), również generała, który podczas wojny hiszpańskiej dowodził między innymi oddziałami

zdentowana zarówno przez dyrekcję szpitala, jak i przez por. Howze'a, który nazwał tę historyjkę rozmyślnym kłamstwem

OKO KAMERY (1 3)

był kapitanem holownika¹²⁶ i znalazł rzekę z zamkniętymi oczami od Indian Head do Virginia Capes a jeśli chodzi o ścisłość to i zatokę i cały Wschodni Brzeg aż do Baltimore mieszkał w domku z czerwonej cegły w Alexandrii a w sterówce pachniało setką wypalonych fajek

to jest *Mayflower* jacht prezydenta a tamto *Delfin* a ten to stary monitor *Tippecanoe* tamten to kuter celny a to co teraz mijamy to motorówka policyjna

kiedy kapitan Keen podnosi rękę żeby pociągnąć syrenę na dachu sterówki widać czerwono-zieloną bransoletkę wytatuowaną pod czarnymi włoskami na przegubie

niech mnie dunder świśnie jak nie byliśmy z kapitanem Giffordem starymi kompanami nie raz i nie dwa łowiliśmy razem ostrygi na Wschodnim Brzegu a w tamtych czasach dzicy ostrygarze porywali młodzieńców siłą na kuter i kazali im harować przez całą zimę drapnąć nie było jak chyba że który chciał uciekać wplaw ale woda była zimna jak skarcie boskie a stary zabierał chłopakom ubrania żeby nie mogli drapnąć na brzeg jak zarzucał kotwicę w odnodze czy koło jakiego domu czy gdzie tam synu to były nikczemne draby ci dzicy ostrygarze niech mnie dunder świśnie jednemu chłopakowi kazali harować a jak padł to go wywiesili za burtę z kleszczami na ostrygi albo żeby dragował jak to oni lubili najgorsze roboty kazali robić w zimie kiedy piana zamarzała na linach i cięła ręce na strzępy a w dragę coś się plątało co chwila i musieliśmy ją wyciągać i czyścić gołymi rękami w lodowatej wodzie wyciągnęliśmy raz jakiegoś mortusiaka Co to jest mortusiak? Niech mnie dunder no nieżywy facet synu młody jeszcze był chłopak jednego draśnięcia nie miał na skórze ale ciało wyglądało jakby go walili kołkiem do obkładania lin coś straszego albo może wiosłem nie chciał pewnie pracować albo może był chory czy co i stary tak długo go tłukł aż chłopak kipnął nikt inny nie mógł tego zrobić tylko jeden z tych dzikich ostrygarzy

¹²⁶ Kapitan holownika to oczywiście malowniczy typ starego wilka morskiego, poznanego przez młodego Dos Passosa podczas któregoś rejsu z ojcem. Indian Head znajduje się w górze rzeki Potomac, Virginia Capes to dwa przylądki u ujścia rzeki do środkowej części zatoki Chesapeake, w której górnym, północnym krańcu, jednakże nie na wschodnim, a na zachodnim brzegu, leży duże miasto Baltimore. Alexandria to miasto nad górnym Potomakiem, nieco powyżej Indian Head, stanowiące dziś południowe przedmieście Waszyngtonu. Jacht Dos Passosa seniora, *Gaivota*, miał być rzekomo bliźniaczą jednostką wspomnianego tu *Mayflower*, jachtu prezydenta Roosevelta.

JANEY

Kiedy Janey była mała, mieszkała w Georgetown¹²⁷, w starym płaskim ceglany domu o parę bram w górę od M Street. W pokojach od ulicy było zawsze ciemno, bo mamusia trzymała zasunięte ciężkie koronkowe firanki i spuszczone żółte płócienne rolety z koronkowymi wstawkami. W niedzielę po południu Janey, Joe, Ellen i Francie musieli siedzieć w salonie i oglądać obrazki albo czytać książki. Janey i Joe jako najstarsi czytali razem dodatek komiczny, bo tamte smarkate były za małe, i tak by nic nie rozumiały. Ale nie mogli się śmiać głośno, bo tatuś siedział z resztą „Sunday Star” na kolanach i zwykle zasypiał gniotąc artykuł wstępny w wielkiej niebieskożyłkowanej dłoni. Drobinę słońca, prószące przez koronkowe wstawki w roletach, migotały na jego łysej głowie, na wielkim czerwonym nozdrzu, na opadającym wąsie, na cętkowanej świątecznej kamizelce i na białych wykrochmalonych rękawach koszuli z błyszczącymi mankietami, ściśniętych gumkami powyżej łokci. Janey i Joe siedzieli na jednym krześle i każde czuło, jak drugiemu drgają zębra, kiedy chichotali z małych Katzenjammerów¹²⁸ podkładających wielką petardę pod stół kapitana. Maluchy widząc, że się śmieją, zaczynały się też śmiać i wówczas Joe syczał kącikiem ust:

- Zamknijcie się, dobrze? I tak nie wiecie, z czego się śmiejemy.

Czasami, jeśli żaden odgłos nie dochodził z góry, gdzie w sypialni od podwórka mamusia w spłowiej liliowej lizesce z riuszkami odprawiała niedzielną drzemkę, po dłuższym wsłuchiowaniu się w przeciągłe, sapiące, zakończone gwizdem chrapanie tatusia, Janey zsuwała się za Joem z krzesła i bez tchu wykradała się do hallu i na dwór. Zamykali bardzo ostrożnie frontowe drzwi, żeby nie stuknęła kołatka, po czym Joe uderzał ją w ramię i wrzasnąwszy: „Berek” - puszczał się biegiem w stronę M Street, a ona pędziła za nim z walącym sercem i zimnymi rękami, przerażona, że ucieknie i zostawi ją samą.

W zimie ceglane chodniki pokrywały się lodem i Murzynki wysypywały przed domami popiół, kiedy dzieci szły rano do szkoły. Joe nigdy nie chciał iść razem z nimi, bo były dziewczynkami, tylko włókł się z tyłu albo biegł przodem. Janey wolałaby iść z nim, ale nie mogła zostawić małych siostrzyczek, które trzymały ją kurczowo za ręce.

Którejś zimy zaczęły chodzić pod górę z małą brunatną dziewczynką, która mieszkała po drugiej stronie ulicy i miała na imię Pearl. Po południu Janey i Pearl wracały razem do domu. Pearl

¹²⁷ Georgetown, miasto u ujścia Rock Creek do Potomacu, stanowi od 1895 roku część Waszyngtonu. Niegdyś ekskluzywnie, przemieniło się pod koniec XIX stulecia w dzielnicę niezbyt zamożnej klasy średniej.

¹²⁸ *Mali Katzenjammerowie (The Katzenjammer Kids)* - to jeden z pierwszych i najsławniejszych amerykańskich seryjnych komiksów, zapoczątkowany w 1897 roku w „American Humorist”, ośmiostronicowym niedzielnym dodatku rysunkowym do nowojorskiej gazety Williama Randolpha Hearsta, „Journal”. Autor, Rudolph Dirks (1877-1968), wylansował schemat tego, co do dziś stanowi cechy wyróżniające komiksów - proste sytuacje anegdotyczne rozwijane do mniej czy bardziej wyraźne puenty w serii kilku rysunków o indywidualnym stylu; stała grupa bohaterów i stały zakres tematyczny; dialogi wypisywane w balonikach nad głowami postaci. *Katzenjammerowie*, wzorowani na tomie wierszy i ilustracji niemieckiego autora Wilhelma Buscha (1832-1908) *Max und Moritz* (1865), przedstawiali życie strasznej rodziny pochodzenia niemiecko-żydowskiego, mówiącej horrendalną angielszczyzną, a złożonej z mamy, pozostającej w dwuznacznych stosunkach z sublokatorom zwanym Kapitanem, oraz z jej dwóch niesfornych

miała często parę centów, za które kupowała karmelki albo cukrowe banany w małym sklepiku na Wisconsin Avenue; dzieliła się zawsze z Janey po połowie, więc Janey bardzo ją lubiła. Pewnego popołudnia zaprosiła Pearl do siebie i bawiły się razem lalkami pod rozłożystym krzakiem hibiskusa za domem. Kiedy Pearl poszła, z kuchni rozległo się wołanie mamusi. Mamusia, w kraciastym fartuchu, z rękawami podwiniętymi wysoko na białych, bezbarwnych ramionach, wałkowała ciasto na kolację; ręce miała całe ubielone mąką.

- Chodź no tutaj, Janey - powiedziała.

Po chłodnym drzeniu jej głosu Janey poznała, że coś jest nie w porządku.

Stała przed matką i kręciła głową, aż dwa sztywne płowe warkoczyki fruwały jej z boku na bok.

- Na miłość boską, stańże na chwilę spokojnie, dziecko. Chcę z tobą pomówić. Jane, ta mała Mulatka, którą tutaj przyprowadziłaś...

Serce podeszło Janey do gardła. Zrobiło jej się słabo i czuła, że się czerwieni, sama nie wiedziała dlaczego.

- Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała. Lubię i szanuję kolorowych, niektórzy to porządni, szanujący się ludzie na swoim miejscu... Ale nie powinnaś więcej sprowadzać tej dziewczynki do domu. Traktowanie kolorowych uprzejmie i z szacunkiem jest jedną z cech dobrego wychowania. Nie zapominaj, że rodzina mamusi to byli w każdym calu ludzie dobrze urodzeni. Georgetown wyglądało zupełnie inaczej w tamtych czasach. Mieszkaliśmy w wielkim domu ze wspaniałymi trawnikami... Ale nigdy nie powinnaś się zadawać z kolorowymi na równej stopie. Kiedy się mieszka w tej dzielnicy, tym bardziej trzeba uważać na takie rzeczy. Ani biali, ani kolorowi nie szanują ludzi, którzy się do tego nie stosują... To wszystko, Janey, rozumiesz? A teraz możesz iść pobawić się jeszcze trochę. Niedługo będzie kolacja.

Janey chciała odpowiedzieć, ale nie mogła. Stała sztywno pośrodku podwórka na kratownicy zakrywającej ściek i patrzyła tępo w parkan.

- Z czarnuchami się bawi - wrzasnął jej Joe w samo ucho. - Z czarnuchami się bawi, umpa-umpa. Z czarnuchami, umpa-umpa...

Janey się rozplakała.

Joe był milczącym chłopakiem o rudoblond włosach, który od małego umiał złośliwie podkręcać piłki w baseballu. Nauczył się pływać i nurkować w Rock Creek i mówił, że zostanie motorniczym, jak dorośnie. Przez kilka lat jego najbliższym przyjacielem był Alec McPherson, którego ojciec pracował jako maszynista na kolei Baltimore-Ohio. Od tej pory Joe chciał być także maszynistą. Janey biegała za nimi, jeśli jej nie odgonili, do remizy tramwajowej u wylotu Pennsylvania Avenue. Zaprzyjaźnili się tam z paroma konduktorami i motorniczymi, którzy

pozwalali im czasami podjechać kilka przystanków na pomoście, jeśli nie było kontrolera, wzdłuż kanału albo nad Rock Creek, gdzie łapali kijanki, skakali do wody i chlapali się nawzajem błotem.

W letnie wieczory, kiedy zmrok zapadał długo po kolacji, bawili się wraz z innymi dziećmi z sąsiedztwa w lwy i tygrysy w wysokiej trawie na nie zabudowanych parcelach koło cmentarza Oak Hill. Gdy w mieście panowała odra albo szkarlatyna, mamusia przez wiele dni nie puszczała ich nigdzie dalej. Przychodził wówczas Alec i we troje ćwiczyli za domem rzuty baseballowe. Janey najlepiej lubiła te chwile, bo chłopcy traktowali ją wówczas jak równą sobie. Letni mrok zaskakiwał ich parny i pełen robaczków świętojańskich. Jeśli tatuś był w dobrym humorze, posyłał ich do drogerii na N Street po lody. Po chodnikach spacerowali młodzi ludzie w koszulach i słomkowych kapeluszach, z pannami, które nosiły we włosach dymiącą pałeczkę kadzidła przeciw komarom. Gęsta woń tanich perfum bila od czarnych rodzin, które śmiały się i rozmawiały półgłosem, stłoczone na schodkach, błyskając od czasu do czasu zębami i wywracając białkami oczu. Duszny gorący wieczór był pełen strachów i szumów, odległego dudnienia grzmotów, brzęczenia chrabąszczów i łoskotu pojazdów na M Street, powietrze ulicy gęste i zapierające dech pod bujnymi drzewami, ale w towarzystwie chłopców Janey niczego się nie bała, nawet pijaków i wielkich, leniwie powłóczących nogami Murzynów. Kiedy wracali, tatuś palił cygaro i wszyscy siadali za domem, gdzie gryzły komary, i mamusia, ciocia Francine i dzieciaki, wszyscy zajadali lody, jeden tatuś nie jadł, tylko palił cygaro i opowiadał historie ze swojej młodości, kiedy był kapitanem holownika w zatoce Chesapeake i ocalił barkentynę *Nancy Q*, która znalazła się w niebezpieczeństwie podczas sztormu na mieliźnie Kettlebottoms. Potem robiło się późno i Aleca odprawiano do domu, a Janey musiała kłaść się w dusznym pokoiku na najwyższym piętrze od podwórka, razem z dwiema małymi siostrzyczkami, które spały w dzieciennych łóżeczkach pod drugą ścianą. Czasami nadciągała burza z piorunami i Janey leżała nie śpiąc, wpatrzona w sufit, skostniała ze strachu, nasłuchując, jak siostrzyczki kwilą przez sen, dopóki nie rozległy się uspokajające odgłosy krzątania mamusi, zamykanie okien, trzaśnięcie drzwi, zawroźnienie wiatru, grzechot ulewy i grzmot, który przetaczał się przeraźliwie głośno tuż nad głową, jakby tysiąc wozów z piwem dudniło na moście. W takich chwilach zawsze miała ochotę zejść na dół i schronić się do Joego do łóżka, ale czemuś się bała, chociaż czasem wychodziła już na schody. Śmiałyby się z niej i nazwał ją beksą.

Mniej więcej raz na tydzień Joe dostawał lanie. Zwykle zaczynało się tak, że tatuś wracał z Urzędu Patentowego, gdzie pracował, zły i bez humoru. Dziewczynki, wystraszone, chodziły po domu cicho jak myszki, ale Joe, jakby znajdując przyjemność w prowokowaniu, przelatywał przez przedpokój albo ganiał tam i z powrotem po schodach, potwornie tupiąc ciężkimi podkutymi buciorami. Kiedy tatuś zaczynał go besztać, Joe stał bez słowa, z niebieskimi oczami gorzko wlepionymi w podłogę. Janey ścisnął się żołądek i zamierało serce, kiedy tatuś ruszał po schodach

do łazienki, popychając Joego przed sobą. Wiedziała, co nastąpi. Zdejmie z drzwi pasek do ostrzenia brzytwy, weźmie głowę i ramiona chłopca pod pachę i będzie go bił. Joe zaciśnie zęby i poczerwienieje, ale nie pisnie słowa, a kiedy tatuś się zmęczy, wymienią spojrzenia i Joe zostanie odesłany do swojego pokoju, a tatuś zejdzie na dół cały drżący i będzie udawał, że nic się nie stało. Zawsze wtedy Janey wymykała się na podwórko z zaciśniętymi pięściami i szeptała do siebie:

- Nienawidzę go. Nienawidzę. Nienawidzę...

Pewnego dżdżystego sobotniego wieczoru stała w ciemności pod płotem i patrzyła w oświetlone okna. Słyszała podniesione głosy tatusia i Joego. Co by było, gdyby padła trupem przy święcie pierwszego uderzenia, pomyślała. Nie słyszała, co mówią. Aż nagle się zaczęło - skórzane razy paska i zdławione sapanie brata. Miała jedenaście lat. Coś się w niej przełamało. Wpadła do kuchni, z włosami całymi mokrymi od deszczu.

- Mamusiu, on zabije Joego. Każ mu przestać! Matka podniosła skurczoną, bezradną, zapadłą twarz znad rondla, który szorowała.

- Nic na to nie poradzimy - powiedziała.

Janey wbiegła po schodach i zaczęła walić w drzwi łazienki.

- Przestań, przestań - słyszała swój wrzask.

Bała się, ale coś silniejszego od strachu trzymało ją w swej mocy. Drzwi się otworzyły - w progu stał Joe z głupią miną i tatuś z czerwoną twarzą i paskiem w ręce.

- Zbij mnie. To ja jestem zła. Nie chcę, żebyś tak tłukł Joego.

Bała się. Nie wiedziała, co robić, lży piekły ją w oczy. Głos tatusia był niespodziewanie łagodny:

- Pójdiesz do łóżka bez kolacji. I pamiętaj, będziesz miała w życiu dość własnych spraw, żeby o nie toczyć boje, Janey.

Popędziła do swojego pokoiku i rzuciła się na łóżko rozdygotana. Zasypiała, kiedy poderwał ją głos brata, który stał w drzwiach w nocnej koszuli.

- Słuchaj, Janey - powiedział szeptem. - Nie rób nigdy więcej takich hec, rozumiesz. Już ja sobie dam radę. Dziewczyny nie powinny wścibiać nosa w męskie sprawy. Jak dostanę pracę, zarobię trochę forsy, to kupię rewolwer i niech ojciec spróbuje mnie bić... Zastrzelę go na miejscu!

Janey zaczęła pociągać nosem.

- Czego ty znowu beczysz? Uważaj, bo będziemy mieli nowe Johnstown¹²⁹.

Słyszała, jak na palcach schodzi po schodach.

W gimnazjum wybrała kurs handlowy, uczyła się stenografii i pisania na maszynie. Była niepozorną dziewczyną o szczupłej twarzy i burych włosach, spokojną i lubianą przez

¹²⁹ Johnstown w Pensylwanii, położone w głębokiej, wąskiej dolinie, zostało zalane 31 maja 1889 roku na skutek pęknięcia pod naporem wód deszczowych tamy na rzece Conemaugh, co pociągnęło za sobą śmierć około 2200 osób.

nauczycieli. Miała zręczne palce, stenografia i pisanie na maszynie szły jej łatwo. Lubiła czytać i wypożyczała z biblioteki książki, *Wnętrze pucharu*, *Bitwę ludzi silnych*, *Wygraną Barbary Worth*¹³⁰. Matka powtarzała jej ciągle, że popsuje sobie oczy, jak będzie tyle czytała. Czytając lubiła sobie wyobrażać, że jest bohaterką, że słaby brat, który zszedł na złą drogę, choć w głębi duszy pozostał dżentelmenem i zdolny jest do każdego poświęcenia jak Sidney Carton w *Opowieści o dwóch miastach*¹³¹, to Joe, a bohater to Alec.

Aleca uważała za najprzystojniejszego, a także najsilniejszego chłopca w Georgetown. Miał czarne, krótko ostrzyżone włosy, bardzo białą cerę z odrobiną piegów i mocny, sprężysty krok. Joe był po nim drugim najprzystojniejszym i najsilniejszym chłopcem, a w baseballu nie miał sobie równych. Wszyscy mówili, że jako świetny gracz powinien z łatwością przejść przez gimnazjum, ale kiedy skończył pierwszą klasę, tatuś oświadczył, że ma na utrzymaniu trzy córki i Joe będzie musiał iść do pracy - tak Joe został posłańcem w towarzystwie telegraficznym Western Union. Janey była bardzo dumna z jego uniformy, dopóki dziewczynki w szkole nie zaczęły się z niej wyśmiewać. Rodzice Aleca obiecali, że posła go na studia, jeżeli będzie się dobrze uczył w gimnazjum, więc Alec się bardzo starał. Nie rozbijał się i nie używał brzydkich słów jak większość kolegów Joego. Dla Janey był zawsze miły, ale nie wyglądało wcale, że chciałby z nią zostać sam na sam. Janey przyznawała w skrytości ducha, że jest w nim beznadziejnie zadurzona.

Najpiękniejszym dniem w jej życiu była upalna letnia niedziela, kiedy wszyscy troje wybrali się łodzią w górę rzeki do Wielkich Wodospadów. Poprzedniego dnia wieczorem przygotowała prowiant, rano dołożyła jeszcze befsztyki, które znalazła w lodówce. Błękitna mgiełka wisiała w perspektywie ulicy, pomiędzy ceglanyimi domkami a ciemną letnią zielenią drzew, kiedy koło siódmej rano, nim ktokolwiek wstał, wymknęli się we dwoje z Joem z domu. Aleca zastali już na rogu przed stacją. Stał czekając na nich, z szeroko rozstawionymi nogami i patelnią w ręce.

Rzucili się biegiem i złapali kolejkę, która właśnie odjeżdżała do Cabin John. Mieli całutki

¹³⁰ *Wnętrze pucharu* (The Inside of the Cup, 1913), *Bitwa ludzi silnych* (The Battle of the Strong, 1898) i *Wygrana Barbary Worth* (The Winning of Barbara Worth, 1911) - to popularne powieści poczytnych autorów przełomu XIX i XX stulecia, których twórczość poszła dziś mniej czy bardziej w zapomnienie. Autorem pierwszej z cytowanych powieści był Amerykanin nazwiskiem Winston Churchill (1871-1947), imiennik późniejszego premiera brytyjskiego, który zdobył początkowy rozgłos serią romansów historycznych z **dziesięciu** Stanów Zjednoczonych. *Wnętrze pucharu* należy do późniejszego religijnego okresu jego twórczości, kiedy za przedmiot zainteresowania obrał sprawę wiary w kontekście konfliktów społecznych epoki. Bohaterem jest małomiasteczkowy kapłan, który przeżywa wstrząs zetknąwszy się z szokującymi realiami życia biedoty jednego z wielkich miast Środkowego Zachodu. Autorem drugiej powieści był Gilbert Parker (1862-1932), Kanadyjczyk osiadły od 1898 roku w Anglii, gdzie został członkiem parlamentu i uzyskał tytuł baroneta. Pisał on romanse historyczne o fantazyjnej fabule, którą osadzał najczęściej na tle ukolorowanych dziejów kanadyjskich. *Bitwa ludzi silnych* jest jednak powieścią romasowo-przygodową rozgrywającą się w 1790 na wyspie Jersey na kanale La Manche, na której się chronią Francuzi uciekający przed rewolucją szalejącą w ich kraju. Trzecia powieść, romantyczna historia znalezionej dziewczynki i jej trudnej miłości, zakończonej szczęśliwym finałem, jest najgłośniejszym utworem amerykańskiego pastora, Harolda Bella Wrighta (1872-1944), który w wieku trzydziestu paru lat porzucił karierę duchownego i przedzierzgnął się w producenta romansów, wykpiwanych przez krytyków, a rozchwytywanych przez czytelników.

¹³¹ *Opowieść o dwóch miastach* (A Tale of Two Cities, 1859) - to powieść historyczna Charlesa Dickensa, o fabule nawiązującej do wielkiej rewolucji francuskiej i akcji toczącej się w dwu stolicach, Londynie i Paryżu. Anglik Sidney Carton, który „zszedł na złą drogę”, odkupuje w powieści swoje winy idąc na gilotynę zamiast przyjaciela, szlachetnego francuskiego arystokraty, Charles'a Darneya; motywem jego poświęcenia jest miłość do dziewczyny, która kocha Darneya.

wagon dla siebie, zupełnie jakby jechali salonką. Pociąg wystukiwał rytm po szynach, mijając pobielane domki i murzyńskie budy nad kanałem, okrążając zbocza wzgórz, na których wysoka, powiewna kukurydza maszerowała szeregami jak żołnierze. Na wznoszących się i opadających łanach kukurydzy, która właśnie zaczynała się kłosić, połyskiwało błękitnie słońce, w powietrzu wisiał żar i cykanie koników polnych, małe muszki wzbijały się upalnymi falami w blade niebo po obu stronach drżącej, dudniącej kolejki elektrycznej. Jedli słodkie letnie jabłka, które Joe kupił na stacji od czarnej handlarki, ganiali się po całym wagonie i zwalali jedno na drugie na ławkach w rogu; i śmieli się, chichotali do utraty sił. Potem pociąg wjechał w las, mignęły pomiędzy drzewami rusztowania diabelskiej kolejki w Glen Echo i już wysypywali się z wagonu w Cabin John, dokazując jak dzieci.

Popędzili na most popatrzeć w górę i w dół rzeki brunatnej i ciemnej w białym żarze poranka pomiędzy napęczniałymi listowiem brzegami, po czym odszukali w jednym z domków nad kanałem łódź, własność kolegi Aleca, kupili lody, piwo korzenne i parę paczek wafli i ruszyli w drogę. Alec i Joe wiosłowali, a Janey siedziała na dnie z okręconym dokoła poprzeczki swetrem zamiast poduszki. Alec wiosłował na dziobie. Z nieba lał się żar. Mokra od potu koszula przylepiła się do zagłębienia jego muskularnych pleców, które wyginały się za każdym uderzeniem wiosła. Po pewnym czasie chłopcy rozebrali się do kostiumów kąpielowych, które mieli pod ubraniami. Janey ścisnęła coś w gardle, kiedy patrzyła na prężące się mięśnie jego ramion i pleców; była szczęśliwa i wystraszona. Siedziała w białej muślinowej sukience, z ręką zanurzoną w pełnej wodorostów, brunatnozielonej wodzie. Zatrzymali się, żeby nazrywać lilii wodnych i białych kwiatów strzałki, które szklily się jak lód, i łódź wypełnił zgniły zapach zamulonych łodyg. Lody się rozpuściły i musieli je wypić ciepłe. Przekomarzali się przy tym i Alec wyciął kiksa wiosłem, ochlapał Janey sukienkę oślizgłymi, zielonymi bryzgami, ale Janey wcale się nie przejęła. Potem okrzyknęli Joego szyprem i Joe się rozpromienił, oznajmił, że wstąpi do Marynarki, a Alec powiedział, że zostanie inżynierem, zbuduje motorówkę i będzie ich brał na przejażdżki, i Janey była szczęśliwa, bo rozmawiając traktowali ją jak chłopca.

Poniżej wodospadów na rzece były śluzy i musieli łódkę dygować kawał drogi, żeby je ominąć. Janey niosła jedzenie, wiosła i patelnię, a chłopcy pocili się i klęli pod ciężarem łodzi. Potem przepłynęli na drugi brzeg, do Wirginii, i rozpalili ognisko w małym zagłębieniu pomiędzy rdzawoszarymi głazami. Joe usmażył befsztyki, Janey rozpakowała sandwicze i ciasteczka własnej roboty, a potem upiekła w żarze kartofle. Uprażyli również parę kolb kukurydzy, które świsnęły z jakiegoś pola nad kanałem. Wszystko udało się świetnie, wzięli tylko za mało masła. Siedzieli potem nad dogasającym ogniskiem, pogryzając ciasteczka, popijając piwo korzenne i spokojnie rozmawiając. Alec i Joe wyciągnęli fajki i Janey była dumna, że siedzi tak nad Wielkimi Wodospadami Potomacu z dwoma mężczyznami, którzy palą fajki.

- Jejku, Janey, Joe usmażył te befsztyki pierwsza klasa.
- Jak byliśmy mali, łapaliśmy żaby i gotowaliśmy... W Rock Creek, pamiętasz, Alec?
- Pewnie, że pamiętam. Raz Janey była z nami. Jejku, Janey, ale krzyku narobiłaś.
- Nie lubiłam patrzeć, jak je obdzieracie ze skóry.
- Wydawało nam się, że jesteśmy prawdziwymi traperami z Dzikiego Zachodu. To dopiero była zabawa!

- Ja wolę tak jak dzisiaj, Alec - powiedziała Janey z wahaniem.
- Ja też - odparł Alec. - Rany gorzkie, żebyśmy jeszcze mieli arbuza.
- Może zobaczymy gdzieś przy brzegu, jak będziemy płynęli z powrotem.
- Psiakręć, jak ja bym zjadł arbuza, Joe.
- Mamusia miała arbuza na lodzie - powiedziała Janey. - Może jeszcze zostanie, jak wrócimy do domu.

- Ja tam najchętniej plunąłbym na ten cały dom - powiedział Joe, nagle gorzko poważny.
- Nie powinienes tak mówić, Joe. Była przerażona jak mała dziewczynka.
- Będę mówił, co mi się żywnie podoba. Jezuniu, jak ja nienawidzę tej śmierdzącej dziury.
- Joe, nie powinienes tak mówić. Czują, że zaraz się rozplacze.
- Rany gorzkie - powiedział Alec. - Czas się zbierać. Co ty na to, bracie? Skoczmy sobie jeszcze raz do wody, a potem pakujemy manatki i jazda.

Kiedy chłopcy mieli dość pływania, poszli wszyscy popatrzeć na wodospady, po czym ruszyli w drogę powrotną. Płynęli szybko z wartkim prądem, w cieniu zwisających z wysokiego brzegu gałęzi. Popołudnie było duszne, natykali się na warstwy nagrzanego, parnego powietrza. Na północy piętrzyła się wielka ławica chmur. Dla Janey przestało to być zabawne. Bała się, że zaskoczy ich deszcz. Była słaba, jakby wydrążona, drżała, że dostanie menstruacji. Miała dopiero parę okresów w życiu i myśl o nich przerażała ją, wysysała z niej wszystkie siły; pragnęła się wtedy zaszyć gdzieś poza zasięgiem ludzkiego wzroku jak stary, chory, parszywy kot. Nie chciała, by Joe i Alec spostrzegli, że się źle czuje. Przyszło jej do głowy, co by było, gdyby przewróciła łódź. Chłopcy bez trudu dopłynęliby do brzegu, a ona by utonęła i później przeczysywano by rzekę w poszukiwaniu jej ciała, wszyscy by jej żalowali i płakali.

Fioletowoszary mrok coraz to gęstniał, aż w końcu pochłonął białe wierzchołki chmur. Wszystko było teraz sinobiałe i fioletowe. Chłopcy wiosłowali ile sił. Słysząc było zbliżający się pomruk grzmotów. Widzieli już doskonale most, kiedy zerwał się wichur, gorący powiew burzy, pełen pyłu, zeschniętych liści, paprochów i traw, i spienił wodę. Dobili do brzegu w samą porę.

- Rany gorzkie, ale burza - powiedział Alec. - Janey, włącz pod łódź.

Wyciągnęli łódź na kamienistą plażę i przewróciwszy do góry dnem pod osłoną wielkiego głazu, schowali się wszyscy troje. Janey siedziała pośrodku, ściskając w dłoni lilie, które zerwali rano,

zwarzone i lepkie od gorąca. Chłopcy leżeli w wilgotnych kostiumach kąpielowych po jej bokach, na policzku czuła zmierzwiłone włosy Aleca. Po drugiej stronie Joe schował głowę w sam koniec łódki, a chude brązowe stopy i łydki w podwiniętych spodniach wsunął jej pod sukienkę. Od woni potu, rzeki i ciepłego chłopczyńskiego zapachu włosów i ramion Aleca kręciło jej się w głowie. Kiedy deszcz zaczął bębnić o dno łodzi i przesłonił świat kurtyną zacinającej białej piany, objęła Aleca ramieniem i położyła trwożnie dłoń na jego nagim barku. Nie poruszył się.

Deszcz ustał po chwili.

- Jej, nie tak źle, jak myśleliśmy - powiedział Alec.

Byli porządnie przemoczeni i drżeli, lecz czuli się lepiej w rześkim, odświeżonym przez deszcz powietrzu. Spuścili łódź z powrotem na wodę i dopłynęli do mostu. Potem odnieśli ją, skąd wzięli, i weszli do niewielkiej budki na peronie, żeby poczekać na kolejkę elektryczną. Byli zmordowani, opaleni i lepcy. Pociąg przyjechał nabity przemoczonym tłumem niedzielnych wycieczkowiczów, których ulewa złapała nad Wielkimi Wodospadami i w Glen Echo. Janey myślała, że nie dojedzie do domu. Kurcz ścisnął jej trzewia. Kiedy wysiedli w Georgetown, chłopcy mieli jeszcze pięćdziesiąt centów i chcieli iść do kina, ale Janey pobiegła do domu, zostawiając ich bez słowa. Jedyłą jej myślą było znaleźć się jak najszybciej w łóżku, wtulić twarz w poduszkę i płakać.

Później już rzadko kiedy płakała; różne rzeczy wyprowadzały ją z równowagi, ale zamiast płakać robiła się tylko sztywna i chłodna. Okresy szkolne zlatywały szybko, przedzielane upalnymi burzliwymi waszyngtońskimi latami, od czasu do czasu urozmaicanymi piknikiem w Marshall Hall lub zabawą gdzieś w sąsiedztwie. Joe dostał pracę w Towarzystwie Spedycyjnym Adamsa i widywała go bardzo niewiele, gdyż me stołował się teraz w domu. Alec kupił sobie motocykl i chociaż chodził jeszcze do gimnazjum, rzadko o nim słyszała. Czasami nie szła długo spać, żeby zamienić parę słów z Joem, kiedy wróci wieczorem do domu. Pachniał tytoniem i alkoholem, chociaż nigdy me sprawiał wrażenia pijanego. Chodził do pracy na siódmą, a wyszedłszy wieczorem, włączył się z paczką kolegów, którzy przesiadywali w klubach bilardowych na Czwartej i Pół Ulicy albo grali w kości czy kręgle. W niedzielę grywał w baseball w Marylandzie.

Janey siedziała czekając na niego, ale kiedy wreszcie przyszedł i pytała go, co tam w pracy, odpowiadał tylko: „Dobrze”, i pytał z kolei, co tam w szkole, a ona odpowiadała: „Dobrze”, po czym obydwójce szli spać. Od czasu do czasu pytała jeszcze, czy przypadkiem nie widział Aleca, a on z błyskiem uśmiechu odpowiadał: „Owszem”, po czym pytała, jak się Alecowi powodzi, a on mówił: „Dobrze”.

W gimnazjum miała jedną przyjaciółkę, Alice Dick, ciemną przysadzistą dziewczynę, która nosiła szkła i chodziła dokładnie na te same przedmioty co ona. W sobotę po południu stroiły się, w co miały najlepszego, i szły oglądać wystawy na F Street. Kupowały jakieś drobiazgi, wstępowały na

lody i wracały tramwajem do domu w poczuciu, że miały wypełnione popołudnie. Raz na jakiś czas chodziły na popołudniówkę do Poliego, po czym Janey brała Alice Dick do domu na kolację. Alice lubiła Williamsów i oni ją lubili. Mówiła, że czuje się swobodniejsza spędziwszy kilka godzin w towarzystwie ludzi o szerokich horyzontach. Jej rodzice byli metodystami z Południa i mieli okropnie ciasne poglądy. Ojciec pracował jako urzędnik w Drukarni Rządowej i żył w ciągłym strachu, że jego biuro zostanie objęte przepisami o urzędach państwowych i będzie się musiał poddać egzaminowi. Był to tęgi dychawiczny mężczyzna, który lubił płatać żonie i córce głupie kawały i cierpiał na chroniczną niestrawność.

Alice Dick i Janey planowały, że gdy tylko skończą szkołę, znajdą sobie pracę i wyniosą się z domu. Wybrały nawet pensjonat, do którego się przeprowadzą, mieszczący się w kamienicy licowanej zielonym łupkiem niedaleko Thomas Circle a prowadzony przez niejaką panią Jenks, wdowę po oficerze Marynarki, bardzo dystyngowaną osobę, która uznawała tylko południową kuchnię i liczyła niezbyt wiele za pokój i życie.

Którejś niedzieli na wiosnę, w ostatnim okresie nauki w gimnazjum, Janey rozbierała się wieczorem w swoim pokoju. Francie i Ellen bawiły się jeszcze na podwórku. Przez otwarte okno dochodziły ich głosy wraz z aromatyczną wonią bzu kwitnącego w sąsiednim ogródku. Janey właśnie rozpuściła włosy i siedziała przed lustrem wyobrażając sobie, jak by wyglądała, gdyby była piękną dziewczyną o kasztanowatych puklach, kiedy rozległo się pukanie i głos Joego za drzwiami. Coś dziwnego było w jego brzmieniu.

- Proszę - zawołała. - Czeszę się.

Najpierw zobaczyła jego twarz w lustrze. Był okropnie blady, skórę na policzkach i dookoła ust miał kurczowo napiętą.

- Co się stało, Joe?

Porwała się na nogi, obróciła do niego.

- Widzisz, Janey - powiedział Joe, boleśnie przeciągając słowa - Alec nie żyje. Rozwalił się na motocyklu. Wracam właśnie ze szpitala. Zabił się i tyle.

Janey wydawało się, że pisze w myśli słowa na białej kartce papieru. Nie mogła wydobyć głosu

- Rozwalił się wracając z Chevy Chase. Przyjechał na mecz, chciał zobaczyć, jak gram. Żebyś go widziała: rozwalił się w drobny mak.

Janey wciąż próbowała coś wykrztusić.

- Był twoim najlepszym...

- Był najlepszym chłopakiem na świecie - podjął Joe miękko. - Drugiego takiego w życiu nie spotkam. Tak to bywa, Janey... Aha, chciałem ci powiedzieć, że nie mam zamiaru obijać się dłużej w tej parszywej dziurze, jak jego już nie ma. Zaciągam się do Marynarki. Powiesz starym,

dobra? Nie chcę z nimi gadać. To tyle. Zaciągnę się, obejrzę kawałek świata...

- Ależ, Joe...

- Napiszę do ciebie, Janey, słowo daję, napiszę. Będę do ciebie kupę pisał. My we dwoje... No to cześć, Janey.

Złapał ją za ramiona, pocałował niezdarnie w nos i policzek. Zdołała tylko szepnąć: „Uważaj na siebie, Joe” - i została sama przed toaletką, w pachnącej smudze bzu i krzykach dzieci dochodzących przez otwarte okno. Słyszała, jak zbiega szybkim, lekkim krokiem po schodach i zamyka za sobą drzwi wyjściowe. Zgasiła światło, rozebrała się po ciemku i położyła do łóżka. Leżała bez jednej łyzy.

Nadeszła matura, potem rozdanie świadectw. We dwie z Alice chodziły na zabawy, wybrały się kiedyś nawet całą paczką na jeden z tych księżycowych rejsów w dół Potomacu, do Indian Head, na parowcu *Charles McAlister*. Ale towarzystwo było na ich gust zbyt swobodne, część chłopców piła dużo, parki całowały się i ścisnęły w każdym skrawku cienia. Jednakże księżyc rzeczywiście błyszczał pięknie na falującej wodzie i Janey i Alice rozmawiały zestawiając sobie dwa krzesła. Była orkiestra i tańce, ale one nie tańczyły ze względu na nieokrzesanych mężczyzn, którzy stali dokoła parkietu i robili grubiańskie uwagi. Rozmawiały i w powrotnej drodze, płynąc w górę rzeki, Janey, stojąc przy poręczy tuż koło Alice, bardzo cichym głosem opowiedziała jej o Alecu. Alice czytała o nim w gazecie, ale nie śniło jej się, że Janey znała go tak dobrze i że się w nim kochała. Zaczęła płakać i Janey poczuła się bardzo silna pocieszając ją; obydwie czuły, że od tej chwili będą bliskimi przyjaciółkami. Janey wyznała szeptem, że już nigdy nikogo nie będzie w stanie pokochać, a Alice powiedziała, że nie myśli, by w ogóle mogła pokochać jakiegoś mężczyznę, wszyscy piją, palą, opowiadają sobie świństwa i mają tylko jedno w głowie.

W lipcu Alice i Janey dostały się do biura stenografii pani Robinson w Gmachu Riggsa na zastępstwo dziewcząt idących na urlop. Pani Robinson była małą siwą kobietą o kurzej piersi, z piskliwym akcentem z Kentucky, który Janey przywodził na myśl papugę. Odznaczała się wielką skrupulatnością i dbała o przestrzeganie w biurze wszelkich rygorów.

- Panno Williams - skrzeczała podnosząc głowę znad biurka - ten manuskrypt sędziego Roberta musi być bezwarunkowo dzisiaj skończony. Moja droga, dałyśmy słowo i dostarczymy go, choćbyśmy miały siedzieć do północy. Noblesse oblige¹³², droga panno Williams.

I maszyny brzęczały, postękiwały, a palce dziewcząt biegały jak szalone wystukując pozwy, teksty nie wygłoszonych mów parlamentarnych, niekiedy wybujałe płody jakiegoś dziennikarza czy uczonego, prospekty pośredników sprzedaży nieruchomości i biur patentowych, monity dentystów i lekarzy upominających się o swoje należności.

¹³² Noblesse oblige (fr.) -szlachectwo zobowiązuje.

w niedzielę wieczorem kiedy jedliśmy pulpety z ryby i zapiekaną fasolkę i pan Garfield czytał nam swoim pięknym scenicznym głosem wszyscy siedzieli tak cicho że słyhać by było upadającą szpilkę bo czytał *Człowieka bez Ojczyzny*¹³⁴ to była straszna historia Aaron Burr był niebezpiecznym człowiekiem a ten nieszczęśliwy młodzieniec powiedział „Niech licho weźmie Stany Zjednoczone, bodajbym nigdy więcej nie usłyszał ich nazwy” to straszna rzecz co powiedział siwy sędzia był taki życzliwy i dobry

sędzia wydał wyrok wsadzili mnie na fregatę i wywieźli do obcych krajów oficerowie byli tacy życzliwi i dobrzy przemawiali takimi życzliwymi poważnymi pełnymi współczucia scenicznymi głosami jak pan Garfield i wszystko było pełne życzliwości powagi i współczucia fregaty błękitne Morze Śródziemne i wyspy a kiedy umarłem zacząłem płakać i bałem się że wszyscy chłopcy zobaczą że mam łzy w oczach

Amerykanin nie powinien płakać powinien być życzliwy poważny i pełen współczucia kiedy mnie owijali w Gwiazdzysty Sztandar i wieźli do domu na fregacie żeby mnie pochować tak mi było żal że nigdy nie mogłem zapamiętać czy mnie zawieźli do domu czy pochowali na dnie morza ale w każdym razie owinęli mnie we flagę narodową.

¹³³ Oko kamery (14) jest świadectwem uderzającej identyfikacji uczuciowej młodego Dos Passosa z opowiadaniem czytany podczas niedzielnej kolacji w internacie — podkreśla ten fakt przejście z relacji w trzeciej osobie do relacji w pierwszej osobie. Biograf pisarza, Townsend Ludington, zwraca uwagę, że w jawnie autobiograficznej powieści z 1951 roku, *Chosen Country* (*Wybrany kraj*), Dos Passos określa swojego bohatera tytułem tego właśnie opowiadania jako Człowieka bez Ojczyzny. Niniejsze Oko kamery pozwala się domyślać, jak bardzo obco czuł się Dos Passos, gdy w wieku 10 lat znalazł się w amerykańskiej szkole z internatem jako chłopiec wychowany za granicą i na dobrą sprawę pozbawiony domu rodzinnego.

¹³⁴ *Człowiek bez Ojczyzny* (*The Man Without a Country*) - to głośne opowiadanie pióra pastora Edwarda Everetta Hale'a (1822-1909), napisane dla rozbudzenia ducha patriotycznego w obliczu secesji stanów południowych, opublikowane po raz pierwszy w „Atlantic Monthly” w 1863 roku. Bohaterem jest młody oficer marynarki, Philip Nolan, zaplątany w sprawę Aarona Burra (1756-1836), wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1801-1805, oskarżonego w 1806 o nie wyjaśniony do dziś, domniemany spisek w celu oderwania od Stanów Zjednoczonych części terytoriów na zachód od rzeki Missisipi, zakupionych w 1803 od Francji, i utworzenie tam samodzielnego państwa. Postawiony przed sądem, Nolan wyrzeka się ojczyzny i zostaje skazany na spędzenie reszty życia jako więzień przekazywany z okrętu na okręt. Pozbawiony jakiegokolwiek kontaktu z krajem, staje się żarliwym patriotą.

KRONIKA XI

rząd Stanów Zjednoczonych musi obstawać przy żądaniu, by wszyscy Amerykanie, którzy zostaną wzięci do niewoli przez którąkolwiek ze stron jako uczestnicy obecnych zamieszek powstańczych, byli traktowani zgodnie z ogólnymi zasadami prawa międzynarodowego

ZJAZD POD OCHRONĄ WOJSKA

*Titanic*¹³⁵ opuścił Southampton 10 kwietnia udając się w dziewiczy krok ten ma być przedsięwzięty wbrew życzeniom Nowojorskiego Towarzystwa Ubezpieczeń według „Kimmela”¹³⁶ Ależ wszyscy wiedzą, że jestem Kimmel w Niles jestem dla wszystkich George'em, nawet matka czy siostra, jak mnie spotkają na ulicy

Więc do Maxima mknę, Bo tam zabawa wre, Tam dziewcząt jest gromada, A każda kochać rada, Lolo, Dodo, Joujou, Cloclo, Margot, Froufrou

TITANIC, NAJWIĘKSZY STATEK ŚWIATA, TONIE

osobiście nie jestem pewien, czy dwunastogodzinny dzień pracy jest taki zły dla robotników, tym bardziej że sami chcą pracować długo, by więcej zarobić

Niech śpiew mój, Panie w niebie, Doleci bliżej Ciebie, Bliżej Ciebie

była już pierwsza nad ranem, piękna gwiazdzista bezksiężycowa noc. Morze było spokojne jak staw, tylko od czasu do czasu dawało się słyszeć delikatne plaśnięcie, kiedy łódź unosiła się i opadała na fali, wymarzona noc, gdyby nie przenikliwe zimno. *Titanic* w oddali wydawał się nadnaturalnej długości, jego wielki kadłub odbijał czernią od rozgwieżdżonego nieba, z wszystkich iluminatorów i pokładu spacerowego buchało światło

ŻĄDAJĄ, BY METODYŚCI ODRZUCILI WIARĘ W TRÓJCĘ

suknia panny młodej uszyta jest z atlasu charmeuse, z osłoniętym szyfonem

¹³⁵ Luksusowy brytyjski transatlantyk *Titanic*, reklamowany jako największy, najszybszy i najbezpieczniejszy statek świata, zatonął w nocy z 14 na 15 kwietnia 1912 roku, podczas dziewiczego rejsu z Southampton do Nowego Jorku, na skutek zderzenia z górą lodową około 150 kilometrów na południe od Nowej Fundlandii. Spośród 2220 osób na pokładzie, zginęło 1513, wśród nich wiele znanych osobistości Anglii i Ameryki. Wielkie oburzenie wywołały karygodne okoliczności, które wyszły na jaw w toku wdrożonego śledztwa. Statek w pogoni za rekordem szybkości na trasie transatlantycznej nie zwolnił mimo nadawanych drogą radiową ostrzeżeń o niebezpieczeństwie gór lodowych. Tonąc przez trzy godziny, statek nadawał sygnały SOS, lecz znajdujący się w pobliżu inny statek, *Californian*, nie przyszedł mu z pomocą, gdyż jego radiotelegrafista spał. *Titanic* był wyposażony w łodzie ratunkowe mogące pomieścić jedynie trzy czwarte pasażerów i członków załogi, która wykazała się ponadto oburzającą nieudolnością. Wszystko to przyczyniło się do opracowania bardziej rygorystycznych przepisów o warunkach bezpieczeństwa rejsów dalekomorskich.

¹³⁶ Tzw. sprawa K i m m e l a toczyła się najpierw w sądzie miasta Niles w stanie Michigan, a następnie w Federalnym Sądzie Okręgowym w Saint Louis w stanie Missouri od stycznia do listopada 1912 roku. Była na tyle sensacyjna, że relacjonował ją „New York Times”. George Kimmel, kasjer Stanowego Banku Farmerskiego w Arkansas City w stanie Kansas, zniknął 30 lipca 1898 roku, niedługo po wykupieniu dwu polis na życie po 10000 dolarów każda w nowojorskim towarzystwie ubezpieczeniowym New York Life Insurance Company. Jak zeznał na sprawie ranczer John Swinney, Kimmel wyprawiał się z nim i jeszcze dwoma mężczyznami na poszukiwanie złota w Oregonie, gdzie został 18 sierpnia zamordowany przez jednego z towarzyszy, niejakiego J.A. Johnsona. Świadek Swinney oświadczył, że zastrzelił chwilę później mordercę, po czym pogrzebał obu zabitych we wspólnym grobie. Kiedy jednak w 1904 roku siostra Kimmela, figurująca na polisach jako beneficjentka, wystąpiła o uznanie go za nieżyjącego i wypłacenie jej odszkodowania, towarzystwo ubezpieczeniowe odmówiło, twierdząc, że dysponuje oświadczeniem więźnia, odsiadującego wyrok w stanie Nowy Jork za fałszerstwo dokonane pod nazwiskiem Andrew White, że jest on naprawdę zaginionym Kimmelem. Po wyjściu White'a z więzienia we wrześniu 1911 roku, rozpoczęła się sprawa sądowa w celu ustalenia jego prawdziwej tożsamości. Matka i siostra Kimmela twierdziły, że jest on oszustem, on paradował po ich rodzinnym Niles jako zaginiony syn i brat, opinia miasta była podzielona. Ostatecznie sąd uznał White'a za oszusta, Kimmela za nieżyjącego i przegrane towarzystwo ubezpieczeniowe musiało wypłacić siostrze zamordowanego 20 000 dolarów plus odsetki. Jak znaczna to

koronkowym gorsem. Welon z crepe lisse jest obramowany wenecką koronką, co stanowi odstępstwo od przyjętych ślubnych welonów, bukiet zaś z konwalii i gardenii

Lolo, Dodo, Joujou, Cloclo, Margot, Froufrou, Bo tu zapomnę o tym, Co mnie spotkało tam

Titanic z wolna przechylał się do przodu, z rufą unoszącą się pionowo w górę, i w trakcie tego światła w kabinach i na pokładach, które nie mrugnęły na mgnienie oka, odkąd opuściliśmy statek, zgasły, mignęły jeszcze jednym krótkim błyskiem, po czym znikły na zawsze. Równocześnie wstrząsnął statkiem stukot i jęk maszyn, który słyhać było na milę wokoło. I wówczas spokojnym skośnym przechyłem

JANEY

- Kiedy to takie ciekawe, mamusi - mówiła Janey, gdy matka zaczynała opłakiwać fakt, że musi pracować.

- Za moich czasów uważano, że praca nie przystoi kobiecie, uważano, że to poniżające.

- Ale teraz nikt już tak nie uważa – odpowiadała z irytacją Janey.

Jakąż ulgą było wydostać się po takiej rozmowie z dusznego domu i dusznych, cienistych uliczek Georgetown i zabrawszy po drodze Alice Dick, pojechać do śródmieścia, oglądać obce kraje w kinematografie i tłum na F Street, po czym przed powrotem do Georgetown wstąpić na lody do drogerii i siedząc przed saturatorem rozmawiać o filmie, który widziały, o Charlie Chaplinie, Olive Thomas¹³⁷ i Johnie Bunnym¹³⁸. Zaczęła czytać codziennie gazety i interesować się polityką. Czowała teraz, że istnieje gdzieś wielki, pulsujący, rozjarzony łukowymi światłami świat, a ona nie może się do niego wyrwać tylko dlatego, że mieszka w Georgetown, gdzie wszystko jest takie pospolite i staroświeckie, nawet rodzice są tacy pospolici i staroświeccy.

O to samo uczucie przyprawiały ją widokówki od Joego, który był marynarzem na pancerniku *Connecticut*. Przedstawiały nabrzeże w Hawanie, port w Marsylii czy Villefranche albo dziewczynę w stroju ludowym ujętą w srebrną podkowę, a na odwrocie było zwykle parę wierszy, w których Joe wyrażał nadzieję, że Janey ma się dobrze i jest zadowolona z pracy, słowem natomiast nie wspominał o sobie. Pisała mu długie listy, dopytując się o niego i obce kraje, ale nigdy nie odpowiadał. Mimo to każda otrzymana kartka nappełniała ją uczuciem przygody. Ilekroć zobaczyła na ulicy marynarza albo żołnierza piechoty morskiej z Quantico, powracał jej na myśl Joe i zachodziła w głowę, jak mu się powodzi. Widok każdego majtka zataczającego się po chodniku, w granatowym mundurze i czapce na bakier, przyprawiał ją o dziwny skurcz serca.

Prawie co niedziela Alice przyjeżdżała do Georgetown. W domu zmieniło się bardzo. Joego nie było, rodzice postarzelisi i zrobili spokojniejsi, Francie i Ellen rozkwitły w ładne chichotliwe podlotki rozrywane przez chłopców z sąsiedztwa, chodziły na wieczorki i wciąż narzekały, że nie mają centa na swoje wydatki. Siedząc z nimi przy stole, pomagając mamusi rozlewać sos, przywożąc kartofle czy brukselkę na niedzielny obiad, Janey czuła się osobą dorosłą, prawie starą panną. Brała teraz stronę rodziców przeciwko siostrze. Tatuś wyglądał bardzo staro, jakby się skurczył.

¹³⁷ Olive Thomas (1884-1920) - to amantka filmu niemego. Uważana za jedną z najpiękniejszych dziewczyn tych lat, reprezentowała typ nowoczesnej urody wylansowany przez Florence'a Ziegfelda w wystawianych od 1907 niesłychanie popularnych dorocznych rewiach pod tytułem *Szaleństwa (Ziegfeld Follies)*, w których właśnie Olive debiutowała. Jeśli chodzi o jej krótką karierę filmową, Dos Passos nieco tu antycypuje każąc swojej bohaterce oglądać ją u progu wojny światowej, gdyż osiem filmów, w których Olive grała wyzwolone młode kobiety, pochodzi z lat 1916-1920. Popularność Olive Thomas wynikała być może także częściowo z faktu, że była ona żoną Jacka Pickforda, brata nieco wcześniej debiutującej, najsławniejszej bodajże gwiazdy filmu niemego, Mary Pickford. Olive Thomas zmarła w Paryżu mając zaledwie 36 lat, zatruty czy otruty się w niejasnych okolicznościach preparatem zawierającym dwuchlorek rtęci. Było to w owym czasie sensacją niemal taką jak późniejsza śmierć Marilyn Monroe.

¹³⁸ John Bunny (1863-1915) - to aktor uznawany na ogół za pierwszego wielkiego komika filmowego. Syn brytyjskich imigrantów, miał wygląd dobrodusznego, jowialnego, korpulentnego wilka morskiego. Wystąpił w około 200 jedno- i dwuaktowych komediach, niekiedy z nazwiskiem Bunny w tytule, zwykle w konflikcie z chudą żoną-sekutenką graną przez tę samą aktorkę, Florę Finch. Bunny zagrał oprócz tego role charakterystyczne w dwu adaptacjach arcydzieł

Mówił, że niedługo przestanie pracować, i nie mógł się doczekać emerytury.

Po ośmiu miesiącach pracy u pani Robinson dostała propozycję przeniesienia się do Dreyfusa i Carrola, biura porad patentowych na najwyższym piętrze Gmachu Riggsa. Dawali jej siedemnaście dolarów tygodniowo, pięć dolarów więcej niż u pani Robinson. Wprawiło ją to w świetny humor. Uświadomiła sobie, że jest dobrą stenotypistką i że cokolwiek by się stało, potrafi zarobić na swoje utrzymanie. Z tej okazji wybrała się z Alice Dick do Woodwarda i Lothrop'a sprawić sobie suknię. Chciała mieć dorosłą jedwabną suknię z haftem. Skończyła dwadzieścia jeden lat i będzie zarabiała siedemnaście dolarów tygodniowo, więc uważała, że ma prawo do jednej przyzwoitej sukienki. Alice była zdania, że powinna kupić coś w brązowożłotym odcieniu, żeby współgrało z kolorem jej włosów. Obeszły wszystkie magazyny na F Street, ale nie mogły znaleźć nic odpowiedniego, a przy tym niezbyt drogiego, tak że w końcu musiały kupić materiał i parę żurnali, które zawiozły do domu, żeby sukienkę uszyła Janey matka. Fakt, że wciąż jest od niej uzależniona, zwarzył Janey humor, ale cóż mogła poradzić. Pani Williams uszyła nową sukienkę tak, jak szyła sukienki wszystkim swoim dzieciom od momentu ich przyjścia na świat. Janey nigdy nie miała cierpliwości, żeby nauczyć się szyć choćby tak jak matka. Materiału kupiły tyle, że wystarczyło również dla Alice, i w rezultacie pani Williams musiała uszyć dwie sukienki.

U Dreyfusa i Carrola było zupełnie inaczej niż u pani Robinson. Przede wszystkim pracowali tu prawie sami mężczyźni. Pan Dreyfus był niskim jegomościem o szczupłej twarzy, malutkim czarnym wąsiku, malutkich, czarnych, błyskających oczkach i lekko cudzoziemskim akcencie, który nadawał mu dystynkcję zagranicznego dyplomaty. Nosił żółte irchowe rękawiczki, żółtą laseczkę i miał całą kolekcję bardzo wciętych palt. Był mózgiem firmy, jak twierdził Jerry Burnham. Pan Carroll był tęgim mężczyzną o czerwonej twarzy, palił mnóstwo cygar, ciągle chrząkał i miał staroświecki południowy „Panietego” sposób wyrażania się. Jerry Burnham twierdził, że jest fasadą firmy. Jerry Burnham był młodym człowiekiem o wymiętej twarzy i rozwiązanych oczach i zajmował w firmie stanowisko doradcy technicznego i inżynierskiego. Lubił się śmiać i ciągle się spóźniał do biura. Nie wiadomo dlaczego zapalał sympatią do Janey i dyktując jej stroił ustawiczne żarciki. Lubiła go, choć przerażały ją trochę rozwiązłe sińce pod jego oczami. Miała ochotę porozmawiać z nim kiedyś po siostrzanemu i przekonać go, żeby przestał trwonić siły na hulanki. W biurze pracował również podstarzały buchalter, pan Sills, zasuszony osobnik, który mieszkał w Anacostn i nigdy się do nikogo nie odzywał. W południe nie wychodził na lunch, tylko zjadał przy biurku sandwicz i jabłko zapakowane w woskowany papier, który starannie składał i chował z powrotem do kieszeni. Wreszcie było dwóch młodych chłopców na posyłki oraz drobna maszynistka o pospolitej twarzy, która nazywała się panna Simonds i dostawała tylko dwanaście dolarów tygodniowo.

W ciągu dnia przychodzili różni ludzie w najróżniejszych strojach, od czcigodnie wyświechtanych do gogusiowatych i wystawali w pokoju biurowym, nasłuchując głębokiego basu pana Carrolla dochodzącego zza matowych szklanych drzwi. Pan Dreyfus przemyczał się tam i z powrotem, rozdzielając blade uśmiechy znajomym, zawsze w wielkim tajemniczym pośpiechu. Podczas lunchu w małej kafeterii albo w drogerii Janey opowiadała o wszystkim Alice, a ta patrzyła na nią pełnym podziwu wzrokiem. Alice codziennie czekała na nią o pierwszej na dole w westybulu. Załatwiły sobie, że będą wychodziły o tej porze ze względu na mniejszy tłok. Nie wydawały nigdy więcej niż dwadzieścia centów każda, więc lunch nie zajmował im dużo czasu i przed powrotem do biura zdążały zwykle obejść Lafayette Square, a czasem nawet robiły spacer dokoła Białego Domu.

Pewnej soboty siedziała do późna w biurze, gdyż musiała skończyć opis przyczepnego motorka do łódki, który na poniedziałek miał być w Urzędzie Patentowym. Wszyscy już wyszli. Radziła sobie, jak umiała, wystukując skomplikowane techniczne sformułowania, ale myślą była wciąż przy widokówce przedstawiającej Chrystusa Andów¹³⁹, którą dostała tego dnia od Joego. Zawierała ona tylko dwa zdania:

Do diabła z pływającymi blaszankami Wujka Sama. Wracam niedługo do domu.

Kartka nie była podpisana, ale poznała charakter pisma. Zaniepokoiła ją. Przy centralce telefonicznej siedział Jerry Burnham i czytał stronicę za stronicą, w miarę jak przepisywała. Od czasu do czasu znikał w toalecie, a gdy wracał, po pokoju rozchodziła się ostra woń whisky. Janey była napięta. Waliła w maszynę, aż litery skakały jej przed oczami. Niepokoiła się o Joego. Jakże może wracać, skoro kontrakt jeszcze nie wygasł? Coś się musiało stać. W dodatku działał jej na nerwy Jerry Burnham kręcący się niespokojnie na obrotowym fotelu telefonistki. Nieraz rozmawiały z Alice o niebezpieczeństwach pozostawiania w biurze sam na sam z mężczyzną. Tak późnym wieczorem, gdy sobie w dodatku popijają, mężczyźni mają tylko jedno w głowie. Kiedy mu podawała przedostatnią stronicę, napotkała wzrokiem jego oczy, błyszczące i wilgotne.

- Pewnie pani zmęczona, panno Williams - powiedział. - To hańba, żeby pani musiała siedzieć tak długo w biurze, i to przy sobocie.

- Nic nie szkodzi, proszę pana - odparła lodowatym tonem i jęła klekotać palcami po klawiaturze.

- A wszystko przez tego przeklętego Carrolla. Cały dzień mełł językiem o polityce i nikt nic nie mógł zrobić.

¹³⁹ Chrystus Andów - to posąg Chrystusa, odsłonięty w 1904 roku na granicy Argentyny i Chile dla upamiętnienia traktatu kończącego długoletni spór graniczny między tymi państwami, zawartego dwa lata wcześniej przy mediacji Wielkiej Brytanii. Ustawiony na przełęczy Uspallata pod szczytem Bermejo w Andach, na wysokości bez mała 4 tysięcy metrów, w odległości 135 kilometrów od stolicy Chile, Santiago, posąg wyszedł spod dłuta argentyńskiego rzeźbiarza, Matea Alonzo. Odlany z brązu ze starego argentyńskiego działa, Chrystus ma ponaddwukrotną wielkość człowieka, lewą ręką podtrzymuje krzyż, prawą błogosławi światu. Na cokole widnieje napis: „Padną te góry, zanim Argentyńczycy i Chilijczycy złamią pokój zaprzysiężony u stóp Chrystusa Zbawiciela”.

- Och, teraz to już nie ma żadnego znaczenia - powiedziała.

- Teraz już nic nie ma znaczenia. Dochodzi ósma. Przeszła mi koło nosa randka z ukochaną... No, prawie ukochaną. O zakład, że pani też przeszła koło nosa randka, panno Williams.

- Miałam się zobaczyć z przyjaciółką, to wszystko.

- Dobry dowcip.

Roześmiała się tak swobodnie, że ani się spostrzegła, jak sama parsknęła śmiechem. Kiedy ostatnia stronica była gotowa i w kopercie, Janey wstała, żeby włożyć kapelusze.

- Wie pani co, panno Williams? Wrzucimy list do skrzynki, a później pójdzie pani ze mną coś przegryźć.

Zjeżdżając windą Janey miała zamiar znaleźć jakąś wymówkę i wrócić do domu. Ale nie zrobiła tego i wkrótce, choć cała drżała wewnątrz, siedziała z nim jakby nigdy nic przy stoliku we francuskiej restauracyjce na H Street.

- I co pani myśli o Nowej Wolności¹⁴⁰? - spytał Jerry Burnham ze śmiechem, ledwo zdążyli usiąść. Podał jej kartę. - Oto gryplan. Niech sumienie będzie twoim przewodnikiem.

- Sama nie wiem, proszę pana.

- Co do mnie, to szczerze mówiąc, jestem za. Uważam, że Wilson to wielki człowiek. W każdym razie nie ma to jak zmiany, najlepsza rzecz na świecie, nie uważa pani? Bryan może sobie być wrzaskliwym blaznem, ale i on coś reprezentuje, a nawet Josephus Daniels¹⁴¹, który

¹⁴⁰ Nowa Wolność (New Freedom) - to hasło, pod jakim w 1912 roku prowadził kampanię wyborczą kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta USA, Woodrow Wilson (1856-1924), oraz jego program liberalnych reform politycznych i społecznych, który sformułował w książce pod tym tytułem i po dojściu do władzy realizował od początku swojej pierwszej kadencji. Wilson, syn prezbiteriańskiego pastora, ukończył prawo, które jednak porzucił dla pracy naukowej i pisarskiej w dziedzinie nauk politycznych. W 1890 został profesorem, a w 1902 rektorem prestiżowego Uniwersytetu Princeton w New Jersey, który próbował bez powodzenia zreformować na wzór uczelni brytyjskich. Wybrany w 1910 na gubernatora stanu New Jersey, okazał się zdecydowanym administratorem, złamał wszechwładzę kacyków partyjnych i przeformował reformy wyborcze i handlowe. Na kandydata Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich 1912 roku został mianowany dopiero w 46. głosowaniu w znacznej mierze dzięki poparciu Bryana, a wygrał wybory dzięki rozłamowi w Partii Republikańskiej, zyskując wprawdzie tylko 42 procent głosów ogólnych, ale 435 z 531 głosów elektorskich, przy 88 - Roosevelta i 8 - Tafta, gdyż w amerykańskim systemie pośrednich wyborów prezydenckich wszyscy elektorzy danego stanu muszą głosować na kandydata, który w tym stanie otrzymał największą liczbę głosów. Głównym założeniem Wilsonowskiego programu Nowej Wolności było wzmoczenie dynamiki gospodarki amerykańskiej między innymi przez wydatne obniżenie ceł, zaostrzenie ustawodawstwa antytrustowego, reorganizację systemu bankowego i walutowego. Wybory na drugą kadencję wygrał w 1916 roku pod hasłem „Uchronił nas od wojny” („He kept us out of war”), jednakże wobec nieustających ataków niemieckich łodzi podwodnych na statki amerykańskie nie zdołał zachować neutralności i 6 kwietnia 1917 Stany wypowiedziały wojnę państwu centralnym. W styczniu 1918 Wilson ogłosił swoje stawne 14 punktów, które miały stanowić podstawę trwałego pokoju, wśród nich zasadę samostanowienia narodów (tu zapewnienie niepodległości Polski), zerwanie z kolonializmem, Ligę Narodów jako gwaranta pokoju. Na konferencji pokojowej w Wersalu uległ jednak w wielu sprawach naciskom buńczucznych przedstawicieli państw ententy, a następnie na zdecydowany opór wobec założeń swojej polityki zagranicznej napotkał w kongresie amerykańskim. W rezultacie Stany nigdy nie ratyfikowały traktatu wersalskiego ani nie przystąpiły do Ligi Narodów. Sam Wilson w trakcie objazdu kraju z wystąpieniami na rzecz ratyfikacji doznał wylewu krwi do mózgu i dotrwał do końca swojej kadencji schorowany i bezsilny, a wybory 1920 roku wygrał konserwatywny kandydat Partii Republikańskiej, Warren Harding, który odwrócił całą politykę Wilsona. Wilsonowi poświęcił Dos Passos długi sarkastyczny rozdział pt. „Mi-ister Wi-ilson” w drugim tomie trylogii, *Roku 1919*.

¹⁴¹ Josephus Daniels (1862-1948) był sekretarzem Marynarki przez obydwie kadencje prezydentury Woodrowa Wilsona (1913-1921), za podsekretarza mając przyszłego prezydenta Franklina Delano Roosevelta. Daniels, dobroduszny południowiec, był początkowo krytykowany za nieprzygotowywanie floty USA na wypadek wojny, ale po przystąpieniu do działań sprawnie pokierował budową nowych jednostek. Był gorliwym zwolennikiem prohibicji i dostał się na łamy prasy, na długo przed oficjalnym uchwaleniem ustawy prohibicyjnej w 1919 roku, obcinając marynarzom tradycyjny przydział grogu.

pakuje w marynarzy sok winogronowy. Myślę, że mamy szansę stać się na powrót demokracją. Może obejdzie się jakoś bez rewolucji, jak pani sądzi?

Nigdy nie czekał na odpowiedź, tylko mówił i śmiał się sam do siebie.

Kiedy Janey próbowała potem powtarzać Alice, żadna z rzeczy, które mówił, nie wydawała się już taka śmieszna ani jedzenie takie dobre, ani w ogóle wszystko takie zabawne. Alice była bardzo rozżalona.

- Och, Janey, jak ty mogłaś iść po nocy z pijanym mężczyzną w takie miejsce? A ja tutaj mało nie oszalałam ze strachu. Przecież wiesz, tacy mężczyźni mają tylko jedno w głowie. Słowo daję, jesteś lekkomyślna i bez serca. Nigdy nie przypuszczałam, że możesz być zdolna do czegoś takiego.

- Ależ, Alice, to wcale nie było tak, jak myślisz - powtarzała Janey.

Lecz Alice płakała i płakała, a potem przez tydzień chodziła z obrażoną miną; od tej pory Janey unikała z nią rozmów o Jerry Burnhamie. Było to pierwsze nieporozumienie między nimi i Janey wzięła sobie sprawę bardzo do serca.

Mimo to zaprzyjaźniła się z Jerryem. Przekonała się, że lubi ją zabierać do miasta i opowiadać rozmaite historie, podczas gdy ona słucha. Nawet kiedy rzucił pracę u Dreyfusa i Carrolla, wpadał czasami w sobotę po południu i zabierał ją na rewię do Keitha. Pewnego razu zaaranżowała spotkanie we trójkę, z Alice, w parku Rock Creek; ale nie bardzo się udało. Jerry wziął je na herbatę do starego młyna. Pracował teraz w jakimś piśmie inżynierskim i pisywał cotygodniowe korespondencje do „New York Sun”. Zgorszył Alice nazywając Waszyngton kloaką i trzęsawiskiem nudy i mówiąc, że gnije tutaj i że nikomu nie chce się w tym mieście ruszyć mózgowicą. Kiedy wsadził je do tramwaju do Georgetown, Alice oświadczyła, że ten Burnham to nie jest odpowiednia znajomość dla szanującej się panny. Janey siedziała szczęśliwa w otwartym wozie i patrzyła na przesuwające się drzewa, dziewczęta w letnich sukienkach, mężczyzn w słomkowych kapeluszach, skrzynki do listów, wystawy magazynów.

- Ale ma umysł żywy jak rtęć - powiedziała. - Mój Boże, lubię ludzi z otwartymi głowami, Alice, ty nie?

Alice spojrzała na nią, potrząsnęła smutno głową i więcej się nie odezwała.

Tego samego popołudnia poszły odwiedzić tatusia, który leżał w szpitalu w Georgetown. Było to okropne.

Mamusia, Janey, doktor, siostra oddziałowa, wszyscy wiedzieli, że ma raka pęcherza i nie pożyje długo, ale nie przyznawali się do tego jedno przed drugim. Przeniesiono go właśnie do separatki, żeby było wygodniej. Ale kosztowało to masę pieniędzy, trzeba było zaciągnąć dług na hipotekę nie spłaconego domu. Już przedtem poszły wszystkie oszczędności, które Janey zbierała na własnym koncie na czarną godzinę. Tego dnia musiały czekać dobrą chwilę. Kiedy siostra wyszła

ze szklanym basenem pod ręcznikiem, Janey wsunęła się do pokoju sama.

- Jak się masz, tatusiu? - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Zapach środków dezynfekcyjnych przyprawiał ją o mdłości. Przez otwarte okno dochodziła z dworu woń wędnących od upału drzew, senne niedzielne odgłosy, krakanie wrony, szum dalekiego ruchu ulicznego. Tatuś leżał z twarzą zapadniętą i przekrzywioną w bok, jego długie wąsy wydały jej się wzruszająco białe i jedwabiste. Zdała sobie sprawę, że kocha go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Głos miał słaby, ale względnie pewny, kiedy się odezwał.

- Janey, osiadłem na mieliźnie, dziewczyno, i coś mi się zdaje, że już nigdy... Zresztą wiesz lepiej ode mnie, te sukinsyny nie chcą mi nic powiedzieć. Słuchaj, co tam u Joego? Masz od niego wiadomości, prawda? Szkoda, że się zaciągnął do Marynarki Wojennej; żadna przyszłość dla chłopaka, który nie ma protekcji u góry. Ale cieszę się, że w ogóle poszedł na morze, wdał się w ojca. Trzy razy opłynąłem przylądek Horn za dawnych dobrych czasów, dwudziestu lat jeszcze nie miałem. To było, zanim za cząłem pływać na holownikach, rozumiesz. Tak sobie leżę w tym łóżku i myślę, że ja bym zrobił to samo na miejscu Joego; cieszę się, że niedaleko upadło jabłko od jabłoni. O niego się nie martwię, chciałbym tylko, żebyście wy, dziewczyny, powychodziły za męża. Kłopot by mi spadł z głowy. Nie mam zaufania do tych dzisiejszych panien, które pokazują kostki spod sukienek.

Zmierzył ją od stóp do głów z iskierką chłodnego humoru, od którego ścisnęło jej się gardło, kiedy spróbowała wydobyć głos.

- Chyba potrafię myśleć o sobie, tatusiu - powiedziała.

- Na razie to musisz myśleć o mnie. Robiłem dla was, co mogłem, dzieciaki. Nie wiecie, co to życie, żadna z was nie wie. Chroniłem was, a wy mnie teraz odstawiacie, żebym umarł w szpitalu.

- Ależ, tatusiu, przecież sam mówiłeś, że najlepiej będzie, jak pójdziesz do szpitala, że będziesz miał lepszą opiekę.

- Nie lubię tej nocnej pielęgniarki, tak mnie szarpie. Powiedz na dole, w biurze.

Ulżyło jej, kiedy trzeba było iść. Szły z Alice ulicą nie mówiąc słowa. W końcu Janey powiedziała:

- Na miłość boską, Alice, nie rób takiej ponurej miny. Gdybyś wiedziała, jak ja tego wszystkiego nienawidzę. Och, Boże, miałabym ochotę...

- Na co miałabyś ochotę, Janey?

- Sama nie wiem.

Lipiec był upalny tego lata, w biurze pracowali w bezustannym furkocie elektrycznych wiatraczków, mężczyznom miękkie kołnierzyki, dziewczęta wciąż na nowo pokrywały nosy grubą warstwą pudru; tylko pan Dreyfus był ciągle sztywny i świeży jak spod igły w swoim wciętym

garniturze. Ostatniego dnia miesiąca Janey przysiadła na minutkę przy biurku, żeby zebrać siły na powrót skwarnymi ulicami do domu, kiedy zjawił się Jerry Burnham. Miał białe płócienne spodnie, rękawy koszuli zawinięte powyżej łokci i marynarkę w ręce. Zapytał, jak się miewa jej ojciec, po czym oznajmił, że jest przejęty wieściami z Europy i chce ją zabrać na kolację, rozmowa z nią działała na niego zawsze tak kojąco.

- Pożyczyłem wóz od Bugsa Dolana. Nie mam jeszcze prawa jazdy, ale myślę, że uda nam się zrobić turkę. Ochłodziemy się trochę.

Próbowała protestować, gdyż miała wrócić na kolację do domu, w dodatku Alice krzywiła się zawsze na spotkania z Jerrym, ale on czuł, że ma ochotę, i namawiał tak długo, aż uległa. Usiedli obydwój na przednim siedzeniu forda, marynarkę i żakiet położyli z tyłu. Przejechali się kawałek, ale asfalt był rozpalony jak blacha kuchenna, drzewa i brunatna nieruchoma rzeka dusiły się w przedwieczornej szarówce jak mięso i jarzyny w garnku. Żar motoru zapierał dech. Jerry, z czerwoną twarzą, perorował bez przerwy o wojnie, która wisi nad Europą, i że to byłby koniec cywilizacji, sygnał do powszechnej rewolucji klasy robotniczej, ale że jemu to bez różnicy, dla niego gratką jest wszystko, co go może wyrwać z Waszyngtonu, gdzie się zapija do oglupienia, gdzie mu się mąci w głowie od upału i *Biuletynu Kongresowego*, i że w ogóle dosyć ma już kobiet, które nie myślą o niczym innym, tylko jak by go naciągnąć na pieniądze albo na zabawę, albo na małżeństwo, albo lichy wie na co jeszcze, i jakie to orzeźwiający i kojący rozmawiać z Janey, która jest inna.

Było za gorąco, więc zrezygnowali na razie z dalszej przejażdżki i poszli do Willardu coś zjeść. Jerry chciał koniecznie iść do Willardu, bo jak mówił, ma pełne kieszenie pieniędzy, które i tak przepuścił, ale Janey umierała ze strachu, bo nigdy jeszcze nie była w takim wielkim hotelu i uważała, że jest nieodpowiednio ubrana. Powiedziała, że boi się go skompromitować, ale on się roześmiał i odrzekł, że to się nie da zrobić. Kiedy usiedli w wielkiej, długiej, wyłączonej sali restauracyjnej, Jerry powiedział, że to trupiarnia dla milionerów. Kelner był bardzo grzeczny, lecz Janey nie mogła na długiej karcie znaleźć nic, na co by miała ochotę; w końcu wzięła sałatkę. Jerry namówił ją na gin fizz¹⁴², twierdząc, że to bardzo ochładza; po wypiciu poczuła się beztroska, wysoka i niezdarła. Bez tchu starała się nadążyć za jego paplaniną, tak jak w dzieciństwie co siłą pędziła za Joem i Alekiem, kiedy biegli do zajezdni tramwajowej.

Po kolacji pojechali na spacer. Jerry zrobił się nagle milczący a Janey, skrępowana, nie wiedziała, co mówić. Jechali Rhode Island Avenue, okrążyli Dom Weterana. Nie było czym oddychać, po obu stronach przesuwwały się jednakowe rozjarzone latarnie, oświetlając równe szeregi zamarłych w bezruchu drzew. Nawet dalej, na wzgórzach, nie zaszumił najbliższy powiew.

Dopiero w mroku szosy, gdy skończyły się latarnie, zrobiło się trochę lepiej. Janey straciła poczucie kierunku, siedziała przechylona do tyłu, wdychając świeższe poddmuchy dochodzące

¹⁴² Gin fi zz (ang.) - to cocktail z dżinu i wody sodowej z lodem, zaprawiony cukrem oraz sokiem cytrynowym.

czasami znad pola kukurydzy czy zagajnika. W pewnym miejscu na szosie zaleciało lekko bagienną, prawie chłodną wilgocią. Zatrzymawszy nagle wóz, Jerry pochylił się i pocałował ją. Serce zaczęło jej bić bardzo szybko. Chciała protestować, ale nie mogła wydobyć głosu.

- Nie miałem zamiaru, ale nie mogłem się powstrzymać - szepnął. - To życie w Waszyngtonie zupełnie paraliżuje wolę. Albo może się w tobie kocham, Janey, sam nie wiem... Chodź, usiądziemy z tyłu, tam jest chłodniej.

Słabość ścisnęła jej kurczem żołądek, rozlała się po całym ciele. Kiedy wysiadła, Jerry porwał ją w objęcia. Oparła głowę na jego ramieniu, wargami dotykała szyi. Gorące ręce parzyły jej plecy, przez koszulę czuła jego twarde żebra. Od oparów tytoniu, alkoholu i męskiego potu kręciło jej się w głowie. Czuła, jak Jerry przywiera nogami do jej nóg. Wyrwała się i wsunęła na tylne siedzenie. Dygotała na całym ciele. Jerry wsiadł za nią.

- Nie, nie - powiedziała. Usiadł obok i objął ją wpół.

- Zapalimy papierosa - powiedział drżącym głosem. Pałac miała zajęcie i zaraz poczuła się zdolna stawić mu czoło. Dwa ziarniste koniuszki papierosów żarzyły się czerwono jeden obok drugiego.

- Czy to znaczy, że mnie lubisz, Jerry?

- Szaleję za tobą, mała.

- To znaczy, że...?

- Chcę się z tobą ożenić? U diabła, czemuż by nie? Sam nie wiem... No, moglibyśmy się zaręczyć?

- Więc chcesz, żebym wyszła za ciebie?

- Jeśli chcesz... Czy ty nie rozumiesz, co mężczyzna czuje w taki wieczór jak dzisiaj... w tym zapachu ziemi... Boże, dałbym wszystko, żeby cię mieć.

Dopalili papierosy. Potem siedzieli bez słowa. Nagim ramieniem czuła włoski na jego nagiej ręce.

- Martwię się o Joego, o mojego brata. Jest w Marynarce Wojennej i boję się, żeby nie zdezerterował albo nie zrobił jakiegoś głupstwa. Na pewno byś go polubił. Cudownie gra w baseball.

- Dlaczego ci przyszedł na myśl? Podobne uczucia żywisz do mnie? Miłość to klawa rzecz. Rany boskie, czy ty nie rozumiesz, że to nie ma nic wspólnego z uczuciami, jakie się żywi w stosunku do brata?

Położył dłoń na jej kolanie. Czuła, że przygląda jej się w ciemności. Pochylił się i pocałował ją bardzo delikatnie. Miał przyjemne wargi, takie delikatne na jej wargach. Przywarła do nich. Zapadała się w bezmiar bagnistej nocy. Na piersiach czuła jego gorące przytłaczające ciało. Musi się trzymać tego ciała, które ją wtłacza w bezmiar bagnistej nocy. Nagle ogarnął ją chłodny skurcz

obrzydzenia; dusiła się z braku powietrza, jakby tonęła. Zaczęła go odpychać. Potem podniosła kolano i z całej siły kopnęła go między nogi.

Puścił ją i wysiadł z auta. Słyszała, jak spaceruje w ciemności za jej plecami. Trzęsa się, była wystraszona i chora. Po chwili wszedł z powrotem, włączył motor i ruszył, nawet na nią nie spojrzawszy. Palił papierosa, małe iskierki odrywały się i żeglowały w prądzie powietrza.

Dojechawszy do rogu M Street, poniżej domu Williamsów, stanął i wyszedł, żeby jej otworzyć drzwiczki. Wysiadła nie wiedząc, co powiedzieć, bała się podnieść na niego wzrok.

- Pewnie uważasz, że powinienem cię przeprosić, bo zachowałem się jak ostatnia świnia - powiedział.

- Przykro mi, Jerry.

- Ale niech mnie szlag trafi, jeśli cię przeproszę. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Powinienem był wiedzieć, że nie znajdę w tej śmierdzącej dziurze kobiety, która by miała odrobinę ludzkich uczuć w sercu. Ty sobie pewnie wyobrażasz, że musisz wytrwać w cnotce, póki ci nie uderzy ślubny dzwon. Rób, jak chcesz, twoja sprawa. Ostatecznie mogę dostać, czego chcę, od każdej czarnej prostytutki, nie muszę daleko szukać. Dobranoc.

Janey nie odpowiedziała. Kiedy odjechał, poszła do domu i położyła się do łóżka.

Przez cały sierpień tatuś, szpikowany morfiną, umierał w szpitalu w Georgetown. Gazety pełne były codziennie wielkich tytułów o wojnie w Europie - Liege, Louvain, Mons¹⁴³. Biuro Dreyfusa i Carrola ogarnęła gorączka. Szykowała się seria wielkich procesów o patenty zbrojeniowe. Zaczęły chodzić słuchy, że niepokalany pan Dreyfus jest agentem rządu niemieckiego. Któregoś dnia w południe przyszedł Jerry przeprosić, że się wtedy tak obcesowo zachował, i oznajmić, że podpisał kontrakt i wyjeżdża za tydzień na front jako korespondent wojenny. Zjedli razem dobry lunch. Jerry opowiadał o szpiegach, brytyjskich intrygach, panslawizmie¹⁴⁴, zabójstwie Jauresa¹⁴⁵, rewolucji socjalistycznej i śmiał się przez cały czas, powtarzając, że tylko patrzeć, jak wszystko weźmie w łeb. Wydawał jej się cudowny, chciała jakoś napomknąć, że są zaręczeni, była pełna tkliwości dla niego i obawy, że może zginąć, ale ani się spostrzegła, jak musiała wracać do biura i żadne nie poruszyło

¹⁴³ Liege (Leodium), Louvain i Mons - to miasta, o które toczyły się walki w toku krótkotrwałej kampanii belgijskiej, po pogwałceniu przez Niemców neutralności Belgii 4 sierpnia 1914. Liege pomimo silnych fortyfikacji padło po oblężeniu trwającym od 5 do 16 sierpnia. Louvain zostało przez Niemców częściowo spalone, przy czym zniszczeniu uległa Biblioteka Uniwersytecka z bezcennymi rękopisami i inkunabułami, jedna z najstarszych i największych w Europie. Pod Mons doszło 23 sierpnia do pierwszej w tej wojnie bitwy z Niemcami oddziałów brytyjskich, które po odniesieniu ciężkich strat zostały zmuszone do odwrotu (por. przypis do s. 410). Do końca listopada Niemcy zajęli prawie całą Belgię, w rękach obrońców pozostał tylko niewielki skrawek kraju koło Nieuport, z którego Belgowie włączyli się 28 września 1918 do wielkiej ofensywy alianckiej, która doprowadziła do oswobodzenia całej Belgii.

¹⁴⁴ Panslawizm - to ruch zapoczątkowany w XIX wieku w Czechach, stawiający sobie za cel wyzwolenie i zjednoczenie narodów słowiańskich w jednym państwie federacyjnym; w późniejszym okresie ruch ten został zaanektowany przez Rosję i był najczęściej szerzony jako idea zjednoczenia Słowian pod berłem carów.

¹⁴⁵ Jean Jaures (1859-1914), filozof, polityk i wielki orator, był od roku 1885 z dwiema przerwami socjalistycznym deputowanym do francuskiego Zgromadzenia Narodowego, nieco utopijnym w swojej ideologii. Jako żarliwy pacyfista, zwalczający nacjonalizm i militarizm, nawoływał w roku 1914 do rozstrzygnięcia narastającego konfliktu na drodze rokowań, ostrzegając, że Francja będzie współodpowiedzialna, jeśli dojdzie do konfliktu zbrojnego. Został zamordowany przez niezrównoważonego nacjonalistę Raoula Villaina 31 lipca, w trzy dni po wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austrię, a w przeddzień wypowiedzenia wojny Rosji przez Niemcy. Jest o tym zabójstwie wzmianka także w Kronice XV.

sprawy. Odprowadził ją pod Gmach Riggsa, powiedział: „Do zobaczenia” - pocałował ją przy wszystkich prosto w usta i pobiegł w swoją stronę zapewniając, że napisze z Nowego Jorku. W tym momencie nadeszła Alice, wracając do pani Robinson, i Janey niewiele myśląc powiedziała, że zaręczyła się z Jerrym Burnhamem, który jedzie do Europy jako korespondent wojenny.

Kiedy tatuś umarł na początku września, wszyscy odetchnęli z ulgą. Dopiero wracając z cmentarza Oak Hill, Janey przypomniała sobie różne dziewczęce marzenia i Aleca, i świat wydał jej się tak niesprawiedliwy, że nie mogła sobie dać rady. Mamusia była zupełnie spokojna, tylko oczy miała bardzo czerwone i w kółko powtarzała, jak się cieszy, że jest jeszcze miejsce w grobie i że ona też będzie pochowana w Oak Hill. Tak tam pięknie i wszyscy lepsi ludzie z Georgetown leżą w Oak Hill.

Za polisę ubezpieczeniową pani Williams przebudowała dom, przeznaczając dwa górne piętra na mieszkania do wynajęcia. Nadarzyła się wreszcie okazja wyniesienia na własne śmieci, na którą Janey tak długo czekała, więc do spółki z Alice wynajęła pokój z używalnością kuchni na Massachusetts Avenue niedaleko Biblioteki Carnegiego. W najbliższą sobotę po południu zadzwoniła z drogerii po taksówkę i odjechała z walizką, kufrem i stosem oprawnych obrazków ze swojego pokoju, ułożonych obok na siedzeniu. Wśród obrazków były dwie barwne reprodukcje Indian Remingtona¹⁴⁶, Gibsonowska dziewczyna, fotografia pancernika *Connecticut* w porcie Villefranche, którą jej przysłał Joe, oraz powiększona fotografia tatusia w mundurze przy sterze nie istniejącego statku na tle burzliwego nieba w atelier pewnego fotografa w Norfolk w Wirginii. Dalej szły dwa nie oprawione kolorowe sztychy Maxfielda Parrisha¹⁴⁷, które niedawno kupiła, oraz oprawiona amatorska fotografia Joego w stroju baseballowym. Małe zdjęcie Aleca schowała zawinięte między rzeczami w walizce. W taksówce pachniało stęchlizną, koła dudniły po ulicy. Był rześki jesienny dzień, w rynsztokach leżało pełno zeschniętych liści. Janey czuła się wylękniona i podniecona, jakby sama jedna wyruszała w podróż.

Przez całą jesień czytała mnóstwo gazet i pism oraz *Kochanego włóczykija* W.J. Locke'a¹⁴⁸. Znienawidziła Niemców, którzy niszczyli sztukę, kulturę, cywilizację, Louvain. Czekiła na list od Jerry'ego, ale list nie nadchodził. Pewnego popołudnia wyszła trochę później z biura i kogóż ujrziała w hallu przy windzie, jak nie Joego?

- Cześć, Janey - powiedział. - Kurczę blade, wyglądasz jak róża.

¹⁴⁶ Frederic Remington (1861-1909) - to sławny amerykański malarz, który na swoich obrazach przedstawiał życie Dzikiego Zachodu z jego charakterystycznymi postaciami i scenami. Jego pełne barwy i ruchu płótna stanowią nieoceniony dokument kończącego się rozdziału w dziejach USA. Podczas wojny hiszpańskiej nadsyłał z pola walki korespondencje z rysunkami, które pełniły wówczas rolę dzisiejszych fotografii.

¹⁴⁷ Maxfield Parrish (1870-1966) - to może najbardziej popularny malarz i rysownik amerykański pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Znany był głównie jako płodny i pomysłowy ilustrator książek, autor dowcipnych okładek pism, plakatów i reklam. W późniejszym okresie zasłynął jako twórca wspaniałych monumentalnych fresków.

¹⁴⁸ W(illiam) J(ohn) Locke (1863-1930) - to angielski autor lekkich powieści, ogromnie popularnych przed pierwszą wojną światową i po niej. Poczytność zyskiwały mu przede wszystkim dowcip, humor, bez troski urok. Wiele jego utworów tłumaczono na język polski w okresie międzywojennym. Bodajże najbardziej znaną z jego książek jest właśnie *Kochany włóczykij* (*The Beloved Vagabond*, 1906).

Była taka szczęśliwa ujrawszy go, że nie mogła wykrztusić słowa. Ścisnęła go tylko z całej siły za ramię.

- Wziąłem właśnie lon. Myślę sobie, machnę się, zobaczę z rodziną, póki jeszcze wszystkiego nie przepuściłem. Zabieram cię ze sobą, pójdziemy na byczą wyzerkę, a później na jakieś przedstawienie, jeśli będziesz chciała...

Był opalony, bary miał szersze niż przed wyjazdem. Wielkie łapy i sękaty kostki rąk sterczały z nowego granatowego garnituru, który był za ciasny w pasie. Zresztą rękawy też były za krótkie.

- Byłeś w Georgetown? - zapytała.

- No!

- A na cmentarzu?

- Mama ciągnęła mnie za głowę, ale co komu z tego?

- Biedna mamusia, jest taka wrażliwa na tym punkcie.

Szli ramię w ramię. Joe nic nie mówił. Dzień był gorący, wiatr niósł po ulicy tumany kurzu.

Janey powiedziała:

- Joe, kochany, musisz mi opowiedzieć wszystko o swoich przygodach. Na pewno widziałeś wiele cudownych miejsc. To taka frajda mieć brata w Marynarce.

- Janey, tylko skończ z tą Marynarką, dobrze? Żebym o tym więcej nie słyszał. Zdezerterowałem w Buenos Aires, kapujesz, i zamustrowałem się na wyspiarza, znaczy się, na angielską łajbę. Też psie życie, ale wszystko lepsze od Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

- Ależ, Joe...

- Nie ma się czym przejmować.

- Ale co się stało, Joe?

- Nie puścisz pary, Janey? Widzisz, zaprawiłem jednego podoficera. Za bardzo mi zalazł za skórę. Rąbnąłem go w zęby i trochę chłopca rozkwaśłem, kapujesz. Kiepska była sprawa, więc dałem nogę i przycałem się w jakiejś dziurze. Tyle tego.

- Och, Joe, a ja miałam nadzieję, że zostaniesz oficerem.

- Majtek oficerem? Długo bym mógł czekać.

Zaprowadziła go do Mabillion, gdzie ją zabierał Jerry.

Od drzwi Joe łypnął krytycznie.

- To najfajniejszy lokal, jaki znasz, Janey? Mam w kieszeni całe sto kółek.

- Och, tu jest okropnie drogo. To francuska restauracja. Zresztą nie powinieneś wydawać na mnie wszystkich pieniędzy.

- A na kogóż, u licha ciężkiego, mam wydawać?

Joe został przy stoliku, a ona poszła zadzwonić do Alice, że przyjdzie późno do domu. Kiedy wróciła, Joe wyciągnął z kieszeni parę małych paczuszek w bibułkach w czerwone i zielone paski.

- Och, co to jest?

- Rozwiń, zobaczysz. To dla ciebie, Janey.

Rozwinęła bibułki. Było w nich parę koronkowych kołnierzyków i haftowany obrus.

- Koronka jest irlandzka, a tamto to z Madery. Miałem jeszcze chiński wazon, ale jakiś skur... jakiś skurczybyk mi świsnął.

- To strasznie miło, żeś o mnie pamiętał. Bardzo ci jestem wdzięczna.

- Trzeba będzie zjeżdżać, Janey, bo nie zdążymy do teatru. Mam bilety na *Ogród Allacha*¹⁴⁹.

Kiedy wyszli z Belasco na Lafayette Square, było chłodno i cicho, tylko wiatr szeleścił w gałęziach. Joe powiedział: „Takie sobie. Raz to widziałem prawdziwą burzę piaskową!” - i Janey zrobiło się głupio, że jej brat jest taki nieokrzesany i niedouczony. Ją samą sztuka wprowadziła w nastrój dzieciennych lat, kiedy pełna była niejasnych tęsknot do obcych krajów i woni kadzidła, do mnichów i tajemniczego Wschodu, do czarnych oczu i książąt we frakach rzucających garściami pieniądze na stoły gry w Monte Carlo. Gdyby Joe był trochę bardziej wykształcony, na pewno potrafiłby docenić ciekawe porty, do których zawijał. Pożegnał ją na stopniach domu na Massachusetts Avenue.

- Gdzie się zatrzymasz, Joe? - zapytała.

- A, machnę się chyba z powrotem do Nowego Jorku, znajdę sobie jakąś łajbę. Ostatecznie i na morzu można się czegoś dochrapać, teraz jak wybuchła wojna.

- Dzisiaj chcesz jechać? Kiwnął głową.

- Szkoda, że nie mam wolnego łóżka. Ale i tak nie bardzo mogłabym cię przenocować ze względu na Alice.

- E, nie chcę gnić w tej dziurze. Wskoczyłem tylko, żeby ciebie zobaczyć.

- No, to dobranoc, Joe. Napisz koniecznie.

- Dobranoc, Janey. Na pewno napiszę.

Patrzyła, jak się oddala ulicą, póki nie znikł w cieniu drzew. Zrobiło jej się przykro, że odchodzi tak sam mroczną ulicą. Nie miał wcale posuwistego chodu majtka, wyglądał raczej na robociarza. Westchnęła i weszła do domu. Alice czekała na nią. Janey pokazała jej koronki. Zaraz zaczęły przymierzać kołnierzyki i orzekły, że są bardzo ładne i sporo warte.

¹⁴⁹ *Ogród Allacha* (*The Garden of Allah*) - to sztuka (1911) oparta na powieści pod tym samym tytułem (1904) brytyjskiego pisarza Roberta Hichensa (1864-1950), autora około 50 książek. Jest to rozgrywająca się na tle algierskiej pustyni, melodramatyczna historia kobiety, która po latach dziewczęcych poświęconych umierającemu ojcu poślubia tajemniczego mężczyznę, jak się okaże, skłóconego z Bogiem, zbiegłego z Tunisu mnicha-trapistę. Powieść została trzykrotnie sfilmowana, przy czym do historii przeszła ostatnia z adaptacji reżyserii Richarda Bolesławskiego (1936), z Marleną

Przyjemnie spędzały czas tej zimy. Zaczęły palić papierosy i w niedzielę po południu zapraszać znajomych na herbatkę. Czytały powieści Arnolda Bennetta¹⁵⁰ i uważały się za samodzielne panny. Nauczyły się grać w brydża, poskracały sukienki. Na Boże Narodzenie Janey dostała u Dreyfusa i Carrolla sto dolarów gratyfikacji i podwyżkę na dwadzieścia dolarów tygodniowo. Zaczęła wymawiać Alice, że ugrzęzła u pani Robinson. Ona sama miała teraz ambicję zrobienia kariery handlowej. Nie bała się już mężczyzn, często dowcipkowała w windzie z młodymi urzędnikami na tematy, które jeszcze rok temu przyprawiłyby ją o rumieńce. Kiedy Johnny Edwards czy Morris Byer zabierał ją wieczorem do kina, nie miała nic przeciwko temu, żeby ją objął czy pocałował raz i drugi, gdy szukała w torebce klucza. Umiała wziąć chłopca za przegub i odsunąć bez niepotrzebnych scen, kiedy zaczynał sobie za wiele pozwalać. Gdy Alice przestrzegała, że mężczyznom tylko jedno w głowie, ona śmiała się i mówiła: „Och, nie są znowu tacy groźni”. Odkryła, że jeśli doda trochę wody utlenionej myjąc głowę, włosy robią się jaśniejsze i tracą bury odcień. Czasami, gdy wychodziła wieczorem, brała ździebko rózu na mały palec i starannie rozcierała na wargach.

¹⁵⁰ Dietrich i Charles'em Boyerem w rolach głównych; był to jeden z pierwszych filmów w technicolorze. Arnold Bennett (1867-1931) - to angielski autor powieści z życia klasy średniej tak zwanego Zagłębia Ceramicznego (Potteries District) w okolicach miasta Stoke-on-Trent w środkowej Anglii. W realizmie opisów i przekonaniu o wpływie otoczenia na charakter hołdował naturalistycznej szkole Zoli, odżegnywał się jednak od jego drapieżności w malowaniu postaci i losów ludzkich. Najbardziej znaną jego powieścią jest *The Old Wives' Tale* (1908), tłumaczona na język polski jako *Opowieść o dwóch siostrach*. Czyta tę książkę bohaterka jednego z dalszych rozdziałów tego tomu, Janey Williams.

u ujścia Schuylkill na pokład wszedł pan Pierce miał dziewięćdziesiąt sześć lat i był zdrow jak rydz On był chłopcem na posyłki w biurze pana Pierce'a nim się zaciągnął i byłby wziął udział w bitwie nad Antietam¹⁵² gdyby nie dostał okropnej dyzenterii i córka pana Pierce'a pani Black mówiła do Niego Jack paliła małe brązowe cygaretki graliśmy *Fra Diavolo*¹⁵³ na fonografie i było bardzo wesoło pan Pierce szarpał swoje faworyty i pił żytniówkę z wodą cukrem i cytryną a pani Black jedną po drugiej paliła cygaretki i wszyscy mówili o dawnych czasach jak to Jego ojciec chciał żeby został księdzem a Jego biedna matka miała krzyż pański żeby nastarczyć jedzenia dla czeready nienazartych chłopaków Jego ojciec był mrukiem jeśli się odezwał to przeważnie po portugalsku a jak na stół wjechało danie które mu nie smakowało to je brał i wyrzucał przez okno a On chciał iść na morze ale zaczął studiować prawo na uniwersytecie a potem w biurze u pana Pierce'a i śpiewał

Och, któż wypowie radość, jaką czuje,

Gdy dziobem fale statek jego pruje

potem On mieszał żytniówkę z wodą zaprawiał cukrem i cytryną a pan Pierce szarpał swoje faworyty i było bardzo wesoło opowiadali o szkunerze *Mary Wentworth* i jak pułkownik Hodgeson i ksiądz Murphy patrzyli złym okiem na wesołą popijawę On mieszał żytniówkę z wodą zaprawiał cukrem i cytryną pan Pierce szarpał swoje faworyty a pani Black paliła jedną po drugiej

¹⁵¹ Oko kamery (15), jak również następne Oko kamery (16), są wspomnieniami z rejsu, jaki Dos Passos odbył z rodzicami podczas letnich wakacji 1909 roku. Wsiedli na doprowadzoną przez załogę *Gaivote* w Filadelfii, dokąd matka z trzynastoletnim Dos Passosem przybyła z wakacji w stanie Maine, a ojciec od interesów w Nowym Jorku, i wraz z gośćmi krążyli przez jakiś czas po rzece i zatoce Delaware, po czym już sami wypłynęli na Ocean Atlantycki i pożeglowali na północ aż w okolice Nowego Jorku. Gośćmi na pokładzie byli (według biografki Dos Passosa, Virginii Spencer Carr) pan William Price (nie jak w tekście tego Oka kamery: Pierce), w którego kancelarii ojciec Dos Passosa zaczynał swoją karierę jako chłopiec na posyłki, a później aplikant, i jego córka pani Mary Brown (nie Black). W *Najlepszych czasach* Dos Passos wspomina: „Oboje zwracali się do ojca per Jack. Zrobiło to na mnie wrażenie, bo do tej pory ja byłem jedynym Jackiem w rodzinie. Zaimponował mi ponadto fakt, że córka pana Price'a pali małe czarne [w książce: brązowe] cygaretki”. Znaczną część tego Oka kamery stanowią wspominki zebranego towarzystwa o młodości Dos Passosa seniora, który występuje tu jako „On”. W *Najlepszych czasach* jego syn pisze: „Po próbie ucieczki na morze, mój ojciec zaczął pracować jako chłopiec na posyłki w kancelarii adwokackiej i w krótkim czasie stał się głównym żywicielem rodziny. Kiedy wybuchła wojna secesyjna, zaciągnął się jako dobosz do któregoś z pułków pensylwańskich. Z tego, co wiem, nigdy nie powąchał prochu, gdyż został odesłany z rezerw nad Antietam do domu z ostrym przypadkiem dyzenterii. Wspinając się następnie po szczeblach ówczesnego systemu aptkankury, uczył się prawa w kancelarii adwokata nazwiskiem Price, a wieczorami uczęszczał na kursy przy Uniwersytecie Stanu Pensylwania”. Warto dodać, że zdał egzamin adwokacki w Filadelfii w 1865 roku, w wieku 21 lat. Dalszą wspomnianą tutaj osobą jest „Jego ojciec”, czyli dziadek pisarza, Manoel Dos Passos, który, zamieszany w 1830 roku jako osiemnastolatek w jakąś rozprawę nożową na rodzinnej Maderze, szukał schronienia na statku płynącym do Ameryki i wylądował w Baltimore. Wnuk tak o nim pisze w swojej „nieformalnej biografii”: „Pracował jako szewc latacz, potem zaczął szyc buty. Po jakimś czasie przeniósł się do Filadelfii, ożenił i dochrapał rodziny. Jego zarobki były skąpe. Moja babka musiała się dobrze nagłować, żeby odziać i nakarmić dzieciarnię. Mój dziadek, człowiek wybrednych gustów, szczególnie jeśli chodzi o kuchnię, miał choleryczny temperament. Ojciec opowiadał mi, że jeśli jego ojcu nie przypadł do smaku sposób, w jaki dana potrawa została przyrządzona, to odsuwał okno i wyrzucał ją na ulicę. Głodne dzieciaki siedziały przerażone przy stole, patrząc, jak przepada ich obiad”. O wymienionych dalej pułkownikowi Hodgesonowi i księdzu Murphym nie ma żadnej wzmianki we wspomnieniach Dos Passosa. Natomiast *Mary Wentworth*, na której rozgrywa się incydent z nimi, był to „szybki gloucesterski szkuner, przerobiony na jacht”, który Dos Passos senior miał przez kilka lat przed *Gawotą*.

¹⁵² Bitwa nad Antietam, niewielkim dopływem Potomacu, jedna z naj-krwawszych bitew wojny secesyjnej, miała miejsce 17 września 1862 roku. Nie została właściwie rozstrzygnięta, zmusiła jednak dowódcę wojsk Konfederacji, generała Lee, do przerwania marszu w głąb stanu Maryland i wycofania się z powrotem do Wirginii.

¹⁵³ *Fra Diavolo* (wł. Brat Diabeł) - to opera komiczna francuskiego kompozytora Daniela Aubera z librettem Eugene Scribe'a (1830). Tytułową postacią jest herszt rozbójników o takim przydomku, walczący przeciw panowaniu francuskiemu w Neapolu. Ujęty i powieszony przez Francuzów w 1806 roku, stał się opiewanym bohaterem legend ludowych.

małe brązowe cygaretki było bardzo wesoło grali *Fra Diavolo* na fonografie pachniało portem promy na srebrnomarszczonej tafli Delaware dawniej to wszystko były bagna i chodziliśmy strzelać kaczki a On śpiewał *Vittorio* do wtóru fonografowi

ksiądz Murphy dostał okropnego ataku podagry i musieli go znieść na okiennicy a pan Pierce dziewięćdziesiąt sześć lat i zdrowy jak rydz wychylił łyżeczek żytniówki z wodą cukrem i cytryną szarpnął swoje faworyty srebrnomarszczone świeży wietrzyk niósł zapach portu i dym ze stoczni w Camden i słodki cytrynowy żytniówkowy zapach szklaneczek było bardzo wesoło

KRONIKA XII

WALCZĄCY GRECY UCIEKAJĄ PRZED POLICJĄ¹⁵⁴

Pasażerowie Slipingu Budzą się pod Lufą Rewolweru

Płyn, rzeko, płyn

Do oceanu,

Nieś, nurcie, nieś

Mą ukochaną

WALKI W TORREON¹⁵⁵

pod koniec ostatniej kampanii, pisze Champ Clark¹⁵⁶, błyskotliwy kongresman z Missouri, byłem bliski załamania od nadmiaru pracy, napięcia nerwowego, bezsenności i braku apetytu oraz bezustannego mówienia, lecz trzy butelki Electric Bitters postawiły mnie na nogi

Roosevelt Mianowany Przywódcą Nowej Partii

CLARK PODRZYNA GARDŁO BRYANOWI; POPIERA PARKERA

Bądź, mój chłopcze, zdrów,

Z serca bym chciała przyjechać,

Ale wysłuchaj mych słów,

Przestań już na mnie czekać;

Bo droga nazbyt daleka

zbrodnią, za którą Richardson¹⁵⁷ został skazany na krzesło elektryczne, jest potwierdzone przez niego samego zabójstwo byłej kochanki, 19-letniej Avis Linnell z Hyannis, uczennicy Konserwatorium Muzycznego Nowej Anglii w Bostonie.

Dziewczyna stała pastorowi na drodze do małżeństwa z posażną panną z Brooklinu, a to

¹⁵⁴ Nagłówek ten odnosi się zapewne do jakiegoś epizodu poprzedzającego tak zwaną pierwszą wojnę bałkańską lat 1912-1913 bądź też rozgrywającego się podczas niej, kiedy to Grecy stanęli do walki przeciwko Turcji. W lecie 1912 roku uprzednio skłócone ze sobą państwa bałkańskie Grecja, Bułgaria, Serbia i Czarnogóra zawiązały przymierze i podjęły wspólną wojnę przeciwko Turcji, w której wyniku Turcja musiała się zrzec swoich europejskich posiadłości z wyjątkiem niewielkiej enklawy ze Stambułem, po północnej stronie morza Marmara i Bosforu.

¹⁵⁵ Torreon - to miasto w północnym Meksyku; jak wskazuje jeden z dalszych nagłówków tej Kroniki, walki, o których tu mowa, toczyły się między wojskami Diaza a powstańcami poderwanymi przez Maderę w 1911 roku.

¹⁵⁶ Champ (właściwie: James Beauchamp) Clark (1850-1921), od 1911 roku przewodniczący Izby Reprezentantów w Kongresie, należał w 1912 do czołowych osobistości zjazdu nominacyjnego Partii Demokratycznej w Baltimore. Początkowo wydawało się, że to on zostanie mianowany kandydatem tej partii na prezydenta USA. Kiedy się okazało, że brak mu poparcia dostatecznej liczby delegatów, na plan pierwszy wysunęły się kandydatury Bryana i Parkera, którzy już kandydowali z ramienia Partii Demokratycznej we wcześniejszych wyborach. Cytowany nieco dalej sensacyjny nagłówek o tym, że „Clark podrzyzna gardło Bryanowi”, odnosi się do wczesnego stadium zjazdu, kiedy Clark poparł kandydaturę Parkera zamiast kandydatury bardziej znanego Bryana. Ostatecznie jednak zwyciężyła popierana przez Bryana kandydatura Wilsona, którego wypowiedź po 15 turze głosowania (było ich w rezultacie aż 46) cytowana jest również w tej Kronice.

¹⁵⁷ Zabójcą był nie Richardson, jak błędnie pisze autor tej notatki prasowej, lecz Clarence Richeson, pastor Kościoła Baptistów w Cambridge w Massachusetts. Miał on romans z 19-letnią członkinią chóru kościelnego, Avis Linnell, która zaszła w ciążę, co mu stanęło na drodze do małżeństwa z córką wpływowego przewodniczącego Baptistycznego Towarzystwa Misyjnego Ameryki, Violet Edmands. Avis znaleziono 14 października 1911 roku umierającą w wannie bostońskiej Ymki, gdzie mieszkała. Pastora aresztowano w domu Edmandsów, gdy wyszło na jaw, że niedawno zakupił w pobliskim Newton cyjanek potasu, rzekomo dla uśmiercenia chorego psa. Avis zażyła truciznę, zapewnioną przez kochankę, że jest to środek na spędzenie płodu. W więzieniu, w przypiływie rozpacz, Richeson wykastrował się ostrym wieczkiem od puszek. Podczas rekonwalescencji sporządził pisemne przyznanie się do zbrodni. Zginął na krześle elektrycznym 20 maja 1912.

zarówno ze względu na nie zerwane narzeczeństwo tych dwojga, jak na stan, w którym znajdowała się panna Linnell.

Dziewczyna uległa podstępny namowom i przyjęła truciznę dostarczoną jej przez Richardsona, w przekonaniu, że jest to środek zaradczy na jej stan, po czym zmarła w swoim pokoju w Ymce.

ROOSEVELT PO RAZ PIERWSZY WYJAWIA, JAK STANY ZDOBYŁY PANAMĘ¹⁵⁸
STUTYSIĘCZNE TŁUMY, KTÓRE NIE POMIEŚCIŁY SIĘ W WIELKIEJ HALI,
WTÓRUJĄ WIWATOM

w porze obiadowej pan Wilson oświadczył, że nie miał przez cały dzień bezpośrednich wiadomości od pana Bryana. „Jeśli liczba głosów będzie rosła w dotychczasowym tempie, powiedział gubernator, to sądząc po rezultatach piętnastego głosowania, trzeba będzie jeszcze jakieś 175 głosowań, żebym przeszedł”.

Rudzielec Twierdzi, że do Zbrodni Doprowadziły Go Historyjki o Łatwych Zarobkach
zainteresowanie sprawą wzrosło 20 grudnia, kiedy do wiadomości publicznej doszło, że
ekspastor targnął się na swoje życie w więzieniu na Charles Street.

PIĘCIU BADACZY ZGINĘŁO DOTARŁSZY DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO¹⁵⁹
DIAZ KIERUJE CIĘŻKIE DZIAŁA NA DZIELNICĘ HANDLOWĄ

*Przestań już na mnie czekać, Bo droga nazbyt daleka, Długo by, długo płynąć trzeba Znad
Sekwany aż nad Saskatchewan*

¹⁵⁸ Panama stanowiła do roku 1903 część Kolumbii, z którą już od roku 1846 Stany Zjednoczone miały umowę gwarantującą im prawo tranzytu lądowego przez tzw. Przesmyk Panamski jako najkrótszą drogę komunikacyjną między Atlantykiem a Pacyfikiem, długości około 65 kilometrów. Ze wschodniego wybrzeża USA dopływało się statkiem do portu Cristobal nad Morzem Karaibskim, z zachodniego do portu Balboa nad Pacyfikiem, co oszczędzało konieczność wielotygodniowej żeglugi dookoła Ameryki Południowej albo równie długiej a jeszcze niebezpieczniejszej podróży lądowej przez szerokość kontynentu północnoamerykańskiego. O przekopaniu w tym miejscu kanału myśleli już w XVI wieku Hiszpanie, a w XIX podjęto pierwsze nieudane próby. W 1902 roku prawa do budowy kanału wykupiło amerykańskie towarzystwo finansowane przez bank Morgana, po czym rząd USA wynegocjował z rządem Kolumbii prawa do pasa gruntu szerokości 10 kilometrów między Atlantykiem a Pacyfikiem. Jednakże ratyfikacji umowy odmawiał senat kolumbijski, prawa towarzystwa zaś wygasły w 1904 roku. W tej sytuacji prezydent Theodore Roosevelt poparł rebelię antyrządową w Kolumbii, po czym wysłał do Panamy okręty amerykańskie, oficjalnie dla ochrony szlaku tranzytowego, faktycznie dla wyparcia z Panamy wojsk kolumbijskich. W ciągu dwu tygodni Stany Zjednoczone uznały Panamę za niepodległe państwo i zawarły z nią umowę o dzierżawę i kontrolę pasa szerokości 16 kilometrów, wzdłuż którego w latach 1905-1914 wybudowano Kanał Panamski.

¹⁵⁹ Chodzi o głośną wyprawę angielskiego badacza Roberta Scotta (1868-1912), który po przebyciu psimi zaprzęgami trasy bez mała 3 tysięcy kilometrów dotarł z czterema towarzyszami 18 stycznia 1912 do bieguna południowego, by stwierdzić, że o miesiąc i cztery dni wyprzedziła go norweska wyprawa Roalda Amundsena (1872-1928). W drodze powrotnej cała piątka zginęła na skutek wypadków, chorób, odmrożeń, głodu i fatalnych warunków atmosferycznych. Dwa tygodnie później ich ciała odnalazła ekspedycja ratunkowa w ich ostatnim obozie o 18 kilometrów od głównej bazy wyprawy. Jak się okazało, Scott niemal do ostatniej chwili prowadził bezcenne notatki, które opublikowano w następnym roku.

MŁODY KRASOMÓWCA ZNAD RZEKI PLATTE¹⁶⁰

Zdarzyło się w 96 na Ogólnokrajowym Zjeździe Nominacyjnym Partii Demokratycznej w Chicago, że usta otworzył nagradzany młody krasomówca, pastorski syn, którego wargi nigdy nie tknęły alkoholu, i jego srebrzysty głos wypełnił gigantyczną halę, wypełnił uszy prostych ludzi:

Panie przewodniczący, panowie uczestnicy zjazdu! Zaiste zarozumiałstwem z mojej strony byłoby się mierzyć z wybitnymi mówcami, których tu słyszeliście, gdyby to był tylko zwyczajny konkurs talentów; ale tutaj nie potykają się zawodnicy. Najskromniejszy obywatel kraju, gdy przywdzieje zbroję słusznej sprawy, okaże się silniejszy od całego zastępu tkwiących w błędzie. Przychodzę do was, żeby przemówić w obronie świętej sprawy Wolności...

Młody krasomówca w białej muszce, wędrowny agitator, egzorcysta, ewangelista, o głosie, który urzeka gnębionych długami farmerów z wielkich równin, dudni w drewnianych izbach szkolnych w dolinie Missouri, brzmi słodko w uszach drobnych sklepikarzy żądnych łatwego kredytu, roztapia ludziom serca jak śpiew słowika albo świergoty o cichym przedświcie, albo nagły trzepot w łanie pszenicy, albo trębacz grający capstrzyk i flaga powiewająca na maszcie; srebrny głos prostych ludzi:

...pracownik najemny jest takim samym człowiekiem interesu jak jego pracodawca; adwokat w prowincjonalnym miasteczku jest takim samym człowiekiem interesu jak radca prawny wielkiego towarzystwa w metropolii; właściciel sklepiku na skrzyżowaniu dróg jest takim samym człowiekiem interesu jak kupiec z Nowego Jorku; farmer, który wychodzi w pole o świcie i haruje przez cały dzień, który zaczyna na wiosnę i haruje przez całe lato, który wysiłkiem mózgu i mięśni z naturalnych zasobów kraju wytwarza bogactwo narodowe, jest takim samym człowiekiem interesu jak ten, co zasiada w Izbie Handlowej i spekuluje, na cenie ziarna; górnicy, którzy spuszczają się tysiąc stóp pod ziemię bądź wspinają się dwa tysiące stóp po skałach i wydobywają z miejsca ukrycia drogie kruszce, by nimi nasycić wszystkie rynki zbytu, są takimi samymi ludźmi interesu jak tych kilku finansowych potentatów, którzy w ustronnych gabinetach monopolizują kapitał świata.

Najemny pracownik i prowincjonalny adwokat siedzieli i słuchali; to były wielkie słowa dla farmera, który zaciągnął pożyczkę pod przyszłe zbiory, żeby kupić sztuczny nawóz, to były wielkie słowa dla prowincjonalnego kupca żelaznego i kolonialnego, handlarza paszy i ziarna, przedsiębiorcy pogrzebowego, hodowcy warzyw...

Mając za sobą masy pracujące naszego narodu i całego świata, popierani przez dobrze pojęty interes kupców, interes klasy robotniczej i ciężko pracujących ludzi wszystkich krajów, odpowiemy tymi słowy na żądanie parytetu złota:

Nie wciśnięcie na czoło ludu pracującego tej cierniowej korony, nie ukrzyżujecie rodzaju ludzkiego na złotym krzyżu.

¹⁶⁰ Młody krasomówca znad rzeki P l a t t e - to William Jennings Bryan.

Wykrzykiwali sobie płuca (*cierniowa korona i złoty krzyż*), nosili go na rękach po całej hali, ściskali go, kochali, chrzcili dzieci jego imieniem, mianowali kandydatem na prezydenta, młodego krasomówcę z nad rzeki Platte, srebrny głos prostych ludzi.

Lecz tymczasem McArthur i Forrest, dwaj Szkoci z Witwatersrandu, wynaleźli cyjankową metodę wyodrębniania złota z rudy i Południowa Afryka zalała rynek złotem; nikomu niepotrzebny był już prorok parytetu srebra.

Więc wymowny Bryan głosił srebrzystym głosem Pacyfizm, Prohibicję, Fundamentalizm¹⁶¹, chrupiąc rzodkiewki na mównicy, popijając sok winogronowy i wodę, zjadając obfite posiłki Pasa Kukurydzianego¹⁶²; aż osiwił w duchocie namiotów Chautauqua¹⁶³, w oklaskach, uściskach dłoni, klepaniu po plecach, zadymionych pokojach obrad komitetów Ogólnokrajowych Zjazdów Partii Demokratycznej, mówca o srebrnym głosie.

W Dayton łudził się, że zdoła powtórzyć sztuczkę, zawrócić prostym ludziom zegary, i piętnował, chłostał, ośmieszał darwinizm i niedowiarstwo wielkich miast, uczonych oraz brodatych cudzoziemców o małpiej moralności.

Na Florydzie mówił co dzień w południe z tratwy osłoniętej markizą, reklamując parcele w Coral Gables. Musiał mówić, słyszeć, jak milknie szmer głosów, widzieć nastawione ciekawie uszy, a potem huragan oklasków.

Czemuż by nie rozpocząć jeszcze jednej kampanii jak kraj długi i szeroki, by ugruntować chwiejne słowo w umysłach prostych ludzi, którzy chcą prostego słowa Bożego?

(*cierniowa korona i złoty krzyż*)

Prostego zasobnego wygodnego słowa Bożego dla prostych zasobnych wygodnych mieszkańców Środkowego Zachodu?

Lubił dobrze zjeść. Był upały. Dostał apopleksji.

W trzy dni później na Florydę dostarczono konia elektrycznego, którego zamówił do trenowania, zobaczywszy konia elektrycznego, na którym trenował prezydent w Białym Domu.

¹⁶¹ Fundamentalizm -to w Stanach Zjednoczonych ortodoksyjny protestancki ruch religijny, który nabrał szczególnego dynamizmu na przełomie XIX i XX stulecia. Jego podstawowym założeniem było uznanie nieomyślności *Pisma Świętego* pojmowanego dosłownie, a zwalczanie jego historyczno-literackiej interpretacji i prób godzenia doktryny chrześcijańskiej z odkryciami współczesnej nauki, zwłaszcza z teorią ewolucji. Punktem szczytowym kontrowersji wokół fundamentalizmu stał się w 1925 roku tak zwany „małpi proces”, oskarżenie nauczyciela z Dayton w stanie Tennessee, Johna Scopesa (1900-1970), o nauczanie w szkołę średniej darwinizmu (jest o tym mowa dalej). Bryan, który występował w procesie w charakterze oskarżyciela posiłkowego, został ośmieszony jako ciasny ignorant w pojedynku słownym ze wspaniałym obrońcą, Clarencem Darrowem. Proces ten posłużył za kanwę pamiętnego filmu Stanleya Kramera *Inherit the Wind* (1960) z Frederikiem Marchem w roli Bryana i Spencerem Tracym w roli Darrowa, wyświetlanego w Polsce pod tytułem *Kto sieje wiatr*.

¹⁶² Pas Kukurydziany (The Corn Belt) - to środkowozachodnie regiony Stanów Zjednoczonych, szczególnie stany Iowa, Illinois i Indiana, gdzie uprawia się głównie kukurydzę i hoduje wypasane kukurydzą bydło.

¹⁶³ W miejscowości Chautauqua nad jeziorem o tej samej nazwie, w stanie Nowy Jork, odbywały się doroczne obozy Kościoła Episkopalnego, od roku 1874 przekształcone w zjazdy dla nauki religii. Później program został rozszerzony o dziedziny kształcenia świeckiego i tzw. ruch Chautauqua pokrył cały kraj wakacyjnymi obozami dokształcającymi.

OKO KAMERY (16)

było gorąco jak w piecu płynęliśmy kanałem z Delaware City i żółwie grzejące się w słońcu uciekały w gęste ochrowe zmarszczki które zostawały za rufą On był bardzo wesoły a Ona przynajmniej raz czuła się dobrze więc On zrobił nam ponczu z herbaty z miętą i odrobiną rumu Saint Croix a gorąco było jak w czeluściach Delaware widzieliśmy szkarłatne tanagry i drozdy rdzawoboczne a zimorodki skrzeczały gniewnie kiedy żółta fala spod białej rufy zaszeleściła w trzcinie w rogoży w tataraku On mówił o reformie prawa i co to za typki ci politycy i gdzie są Porządni Ludzie w tym kraju powiedział No z moimi poglądami nie mógłbym zostać wybrany na notariusza w żadnym hrabstwie naszego stanu nawet gdybym chciał grubo zapłacić co mówię nie mógłbym zostać hyclem

J. WARD MOOREHOUSE

Urodził się w Wilmingtonie w stanie Delaware czwartego lipca¹⁶⁴. Przez cały czas, leżąc w bólach, biedna pani Moorehouse słyszała za oknami szpitala pękające z trzaskiem petardy, a kiedy przysłała trochę do siebie i przynieśli jej do zobaczenia dziecko, drżącym, chrapliwym szeptem zapytała, czy pielęgniarka nie sądzi, że to mogło małemu zaszkodzić, ten cały hałas, no, taki szok w chwili narodzin, rozumie przecież. Pielęgniarka odparła, że chłopak wyrośnie na wielkiego patriotę i pewnie zostanie prezydentem, skoro się urodził w dniu największego święta narodowego, po czym zaczęła się rozwodzić o jakiejś kobiecie, którą tuż przed rozwiązaniem tak nastraszył żebrak podtykając jej znieścacka rękę pod nos, że urodziła dziecko o sześciu palcach, ale pani Moorehouse, zbyt słaba, żeby słuchać, zasnęła w trakcie opowiadania. Później wpadł pan Moorehouse wracający ze stacji, gdzie był zawiadowcą, i wspólnie uradzili, że nazwą chłopca John Ward na cześć ojca pani Moorehouse, który miał farmę w stanie Iowa i któremu się dobrze powodziło. Potem pan Moorehouse poszedł do Healy'ego się upić, bo został ojcem, no i w ogóle, z okazji święta narodowego, a pani Moorehouse z powrotem zapadła w sen.

Johnny wychowywał się w Wilmingtonie. Miał dwu braci, Bena i Eda, oraz trzy siostry, Myrtle, Edytę i Hazel, ale wszyscy twierdzili, że jest nie tylko najstarszym, ale i najbystrzejszym dzieckiem w rodzinie. Ben i Ed byli więksi i silniejsi od niego, ale on był mistrzem szkoły w grze w kulki i zdobył w którymś okresie znaczną sławę, gdy z pomocą małego Żydka nazwiskiem Ike Goldberg póty manewrował, aż zgarnął wszyscyć kulki w całej szkole; potem wypożyczali je po cencie tygodniowo za dziesięć sztuk.

Kiedy wybuchła wojna hiszpańska, wszyscy w Wilmingtonie pełni byli marsowego zapału. Chłopcy zamęczali rodziców o uniformy Twardych Jeźdźców i bawili się w flibustierów¹⁶⁵, wojny Paunisów¹⁶⁶, pułkownika Roosevelta, „Pamiętajcie pancernik *Maine*”¹⁶⁷, Białą Flotę¹⁶⁸ i *Oregon*¹⁶⁹ dymiący w Cieśninie Magellana. Pewnego letniego wieczoru Johnny był na nabrzeżu, kiedy

¹⁶⁴ Czwarty lipca jest amerykańskim świętem narodowym, obchodzonym jako rocznica ogłoszenia Deklaracji Niepodległości w roku 1776.

¹⁶⁵ Flibustierzy - to zorganizowani w tajne stowarzyszenia piraci i kontrabandyści europejscy, głównie Anglicy, Francuzi i Holendrzy, grasujący w XVII i XVIII stuleciu na wodach hiszpańskiej Ameryki.

¹⁶⁶ Paunisi (Pawnees) - to plemię indiańskie z terenów dzisiejszego stanu Nebraska. Znani z wojowniczości, prowadzili częste walki z sąsiednimi plemionami, szczególnie ze swymi tradycyjnymi wrogami, Siuksami (Sioux). W XIX wieku przekazali swoje tereny rządowi Stanów Zjednoczonych i przenieśli się do rezerwatu w Oklahomie.

¹⁶⁷ „Pamiętajcie pancernik *Maine*” - to slogan, którym prasa amerykańska mobilizowała opinię publiczną w okresie wojny z Hiszpanią. Pancernik *Maine* wpłynął do portu w Hawanie w grudniu 1897 roku, oficjalnie z przyjacielską wizytą, faktycznie dla ochrony obywateli amerykańskich i ich mienia w związku z powstaniem, które wybuchło na Kubie przeciwko panowaniu hiszpańskiemu. Kiedy w trzy tygodnie później pancernik wyleciał w powietrze i poniosło śmierć 266 marynarzy, uznano to za akt sabotażu hiszpańskiego, chociaż przyczyna wybuchu była niejasna i nigdy nie została z pewnością ustalona (nowszy badacze skłaniają się do przyjęcia wersji hiszpańskiej, że wybuch został spowodowany pożarem w ładowni węgla). Stało się to jednym z powodów wypowiedzenia przez USA wojny Hiszpanii.

¹⁶⁸ Wielką Białą Flotę nazywano podczas wojny hiszpańskiej eskadrę floty amerykańskiej na Pacyfiku; później używano tego terminu na oznaczenie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w ogóle. Następnie określenie to dla celów propagandowych przejęło towarzystwo United Fruit Company, nazywając tym mianem swoją „flotyllę bananową” (por. rozdział „Władca Morza Karaibskiego”).

¹⁶⁹ Równocześnie głośna była historia innego pancernika, *Oregonu*, który wojna zastała u zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Ściągnięcie go na arenę działań wojennych, do Zatoki Meksykańskiej, dookoła Ameryki Południowej przez cieśninę Magellana, zajęło 67 dni i stało się czynnikiem, który przyspieszył zabiegi o budowę Kanału Panamskiego.

oddział milicji stanowej wypatrył przepływającą w bojowym szyku przez Delaware Capes eskadrę admirała Cervery¹⁷⁰ i natychmiast otworzył ogień prosto na starego Murzyna łowiącego kraby na rzece. Johnny popędził do domu jak drugi Paul Revere¹⁷¹ i pani Moorehouse, czym prędzej zebrawszy wszystkie sześcioro dzieci, dwoje wioząc w wózku, a pozostałe czworo ciągnąc za sobą, ruszyła na stację szukać męża. Nim mogli uciec najbliższym pociągiem do Filadelfii, nadeszła wiadomość, że to wcale nie była hiszpańska eskadra bojowa, tylko parę łodzi, które wypłynęły na połów śledzi, a cały oddział milicji siedzi już w koszarowym areszcie za pijaństwo. Stary Murzyn zdążył tymczasem ściągnąć zarzucone linki i dopłynawszy do brzegu, jął pokazywać kompanom kilka dziurek wyłupanych przez kule w burcie łodzi.

Johnny ukończył gimnazjum jako przewodniczący kółka dyskusyjnego, pierwszy mówca w klasie i autor nagrodzonego wypracowania pod tytułem *Roosevelt, człowiek dnia* - i wszyscy uważali, że powinien pójść na studia. Ale sytuacja finansowa rodziny nie przedstawia się różowo, oświadczył ojciec potrząsając głową. Biedna pani Moorehouse, która niedomagała od urodzenia ostatniego dziecka, poszła właśnie do szpitala na operację i będzie musiała poleżeć przez jakiś czas. Młodsze dzieci chorują na odrę, koklusz, szkarlatynę i świnkę jak rok długi. Zbliża się termin kolejnej spłaty za dom, a pan Moorehouse nie dostał na Nowy Rok spodziewanej podwyżki. W rezultacie, zamiast jak poprzednich ferii nająć się w charakterze pomocnika spedytora na stacji bagażowej czy do zbioru brzoskwiń w okolicach Dover, Johnny zjeździł całe Delaware, Maryland i Pensylwanię jako przedstawiciel pewnej firmy księgarskiej. We wrześniu otrzymał list z gratulacjami, że jest pierwszym agentem, który sprzedał sto kompletów *Historii Stanów Zjednoczonych* Bryanta¹⁷². Zachęcony tym, pojechał do Zachodniej Filadelfii i złożył podanie o stypendium na Uniwersytecie Pensylwańskim. Otrzymał je, zdał egzaminy i zapisał się na pierwszy rok, podając w ankiecie, że pragnie studiować nauki ścisłe. W pierwszym semestrze dojeżdżał z Wilmingtonu, żeby zaoszczędzić wydatków na stancję. W soboty i niedziele dorabiał trochę, zbierając subskrypcje na *Odczyty Stoddarda*¹⁷³.

¹⁷⁰ Admirał Pascual Cervera y Topete (1839-1909) był dowódcą floty hiszpańskiej na Atlantyku. Jego eskadra została zamknięta przez flotę amerykańską w porcie Santiago de Cuba i rozbita, gdy próbowała przełamać blokadę.

¹⁷¹ Paul Revere (1735-1818) - to złotnik z Bostonu, którego legenda uczyniła jednym z bohaterów amerykańskiej wojny o niepodległość. Do utrwalenia jego famy przyczyniła się ballada romantycznego poety amerykańskiego Henry'ego Wadswortha Longfellowa (1807-1882), *Paul Revere's Ride (Nocna jazda Paula Revere, 1863)*. Longfellow uczynił go tu posłańcem, który nocą z 18 na 19 kwietnia 1775 roku samotnie przebył konno 30-kilometrową drogę z Bostonu do Concord, żeby ostrzec amerykańskich ochotników przed zbliżaniem się oddziałów brytyjskich. W rzeczywistości posłańców było trzech, Paul Revere został zatrzymany przez Brytyjczyków, a ostrzeżenie dowiódł jeden z jego towarzyszy. Jednakże do historii przeszło nazwisko Paula Revere, gdyż on był znanym szacownym obywatelem Bostonu.

¹⁷² William Cullen Bryant (1794-1878) - to płodny, za życia bardzo ceniony romantyczny poeta amerykański; dziś pamiętane jest zaledwie kilka jego wczesnych wierszy. W latach 1876-1881 opublikował ponadto napisaną wspólnie z historykiem Sydneyem Howardem Gayem *Popularną historię Stanów Zjednoczonych od pierwszego odkrycia zachodniej hemisfery przez wikingów do końca pierwszego stulecia unii stanów (A Popular History of the United States from the First Discovery of the Western Hemisphere by the Northmen to the End of the First Century of the Union of the States)*.

¹⁷³ John L Stoddard (1850-1931), po ukończeniu college'u, dwuletnich studiach teologii i okresie nauczania języków, rozpoczął w 1874 realizowanie marzenia o podróżach. Odbył nie tylko zwyczajową turę po Europie, lecz zwiedził także Azję Mniejszą oraz Egipt, po czym rozpoczął objazd Ameryki z odczytami o obcych krajach, które ilustrował stereoskopowymi przezroczkami. Kontynuował tę działalność przez następne 20 lat, z przerwami jedynie na nowe

Wszystko byłoby dobrze, gdyby w drugim roku studiów Johnny'ego ojciec nie pośliznął się któregoś styczniowego poranka na oblodzonych schodkach stacyjnych i nie złamał kości udowej. Zabrano go do szpitala i jedna po drugiej zaczęły się komplikacje. Leżał z nogą na wyciągu, kiedy przyszedł pokątny adwokat, nie kto inny, tylko ojciec małego Ike'a Goldberga, i namówił go, żeby skarżyć kolej o sto tysięcy dolarów na podstawie przepisów o odpowiedzialności pracodawcy. Adwokaci kolejowi powołali świadków na okoliczność, że Moorehouse lubił sobie zdrowo popić, doktor, który zestawiał kość, potwierdził, że dostrzegł oznaki spożycia alkoholu w dniu wypadku, i rezultat był taki, że w połowie lata pan Moorehouse, kuszykając o kulach, opuścił szpital bez pracy i bez odszkodowania. Tak skończyły się studia Johnny'ego. Wypadek pozostawił w jego umyśle trwałą urazę do ojca i do alkoholu.

Żeby ratować dom, pani Moorehouse musiała napisać o pomoc do ojca, ale kiedy po dłuższym czasie dostała odpowiedź, było już za późno, gdyż bank wszedł na hipotekę, zresztą i tak by to niewiele pomogło, bo list polecony, który nadszedł, zawierał wszystkiego sto dolarów w dziesięciodolarowych banknotach, co akurat wystarczyło, by opłacić przeprowadzkę na jedno piętro czteropokojowego drewnianego domu w pobliżu bocznic towarowych Kolei Pensylwańskiej. Ben rzucił gimnazjum i zaczął pracować jako pomocnik spedytora na stacji bagażowej, Johnny zaś dostał się do biura Hillyarda i Millera, Handel Nieruchomościami. Myrtle wraz z matką piekła wieczorami placki i biszkopty, które posyłały do sklepu Samopomocy Pań, a pan Moorehouse siedział w saloniku od ulicy na wózku inwalidzkim i kłął pokątnych adwokatów, sądy oraz Kolej Pensylwańską.

Był to zły rok dla Johnny'ego Moorehouse'a. Miał dwadzieścia lat, nie pił, nie palił i żył w czystości, czekając na dziewczynę, którą poślubi, miłe złotowłose dziewczę w różowej organdyńskiej sukience i z parasolką od słońca w dłoni. Przesiadywał w zatęchłym ciasnym kantorku Hillyarda i Millera, spisując mieszkania do wynajęcia, pokoje umeblowane, rezydencje i atrakcyjne parcele na sprzedaż i rozmyślał o wojnie burskiej, życiu wytężonym¹⁷⁴ i gorączce złota. Zza swojego biurka widział przez brudną szybę kawałek ulicy zabudowanej drewnianymi domkami oraz kilka wiązków. Pod oknem stała w lecie stożkowata łapka z drucianej siatki, w której bzycały i skwierczały uwięzione muchy, a w zimie piecyk gazowy z otwartym palnikiem, który wydawał sobie tylko właściwe dziwne gwizdy. Z tyłu, za przepierzeniem z matowego szkła nie sięgającym sufitu, siedząc twarzą do siebie przy wielkim podwójnym biurku, panowie Hillyard i Miller palili cygara i przekładali papiery. Pan Hillyard, mężczyzna o żółtej twarzy i odrobinę za długich czarnych

podróże, które objęły niemal cały zamieszany świat. Jego *Odczyty (Lectures)* zostały zebrane w latach 1897-1901 w 15 tomów, ilustrowanych rozkosznymi fotografiami i sztychami; każdy tom jest poświęcony podrójom po innym regionie czy regionach globu. Pod koniec życia Stoddard osiedlił się nad jeziorem Como w północnych Włoszech, w miejscu, które uznał za jeden z nielicznych nie skażonych przez cywilizację zakątków Europy.

¹⁷⁴ *Życie wytężone (The Strenuous Life)* - to tytuł odczytu wygłoszonego 10 kwietnia 1899 w Chicago przez Theodore'a Roosevelta, wówczas gubernatora stanu Nowy Jork, a w następnym roku włączonego do tomu jego esejów pod takim samym tytułem. W haśle tym zawierało się credo życiowe Roosevelta, że „najwyższy rodzaj sukcesu przypada nie człowiekowi, który pragnie jedynie łatwego spokoju, lecz człowiekowi, który się nie cofa przed niebezpieczeństwem, przed trudnościami ani przed gorzkim mozołem”.

włosach, był swego czasu na najlepszej drodze do kariery obrońcy karnego, ale został wykluczony z palestry na skutek jakiegoś skandalu, o którym w Wilmingtonie nie wspomina się, gdyż wszyscy zgodnie uważali, że już dostatecznie to odpokutował. Pan Miller, mały osobnik o okrągłej twarzy, który mieszkał ze starą matką, zajął się handlem nieruchomościami z musu, bowiem, ojciec umierając nie zostawił mu żadnych środków do życia, prócz parcel rozsianych po całym Wilmingtonie oraz na przedmieściach Filadelfii. Do obowiązków Johnny'ego należało siedzieć w kantorku i przyjmować grzecznie potencjalnych klientów, sporządzać wykazy nieruchomości, dawać ogłoszenia, pisać na maszynie listy, wyrzucać śmieci z koszów i martwe muchy z łapki, jeździć z klientami, którzy chcieli obejrzeć mieszkania, domy i parcele, i w ogóle starać się być każdemu pomocnym i dla każdego uprzejmym. W trakcie tych zajęć przekonał się, że ma żywe błękitne oczy i że potrafi przybierać ujmujący wyraz twarzy, który się ludziom podoba. Starsze panie szukające domów często specjalnie prosiły, żeby je oprowadził ten sympatyczny młody człowiek, a biznesmeni, którzy wpadali na pogawędkę do pana Hillyarda albo pana Millera, kiwali głowami i robiąc mądre miny mówili: „Bystry chłopak”. Zarabiał osiem dolarów tygodniowo.

Oprócz życia wytężonego i miłego dziewczęcia, które się w nim zakocha, była jeszcze jedna rzecz, do której Johnny Moorehouse wracał myślą, kiedy siedział przy biurku spisując atrakcyjne domki pięcio- i siedmioizbowe z salonem, kuchnią i kredensem, trzema sypialniami, łazienką, pokojem służbowym, wodą, elektrycznością, gazem, położone na zdrowym suchym terenie w ekskluzywnej dzielnicy willowej - pragnął pisać piosenki. Miał ładny tenor i umiał zupełnie poprawnie wyciągnąć: *Ahoj, na lewą burtę patrz, Śniłem, że w marmurowych mieszkam salach i Wśród rozkoszy pałaców smutny się błąkam*, W niedzielę po południu brał lekcje muzyki u niejakiej panny Mary O'Higgins, trzydziestopięcioletniej drobnej zaszuszonej Irlandki, dotąd niezamężnej, która uczyła go podstaw gry na fortepianie i z zachwytem słuchała jego kompozycji. Zapisywała je własnoręcznie na papierze nutowym, który zawsze czekał poliniowany, kiedy przychodził. Jedną piosenkę, zaczynającą się od słów:

Pokaż mi stan, gdzie dojrzewają brzoskwinie, Gdzie dziewcząt rój, a każda urodą słygnie!
To Delaware...

uznała za godną wysłania do wydawcy muzycznego w Filadelfii. Przesyłka wróciła jednak, jak również następna jego kompozycja, nad którą panna O'Higgins - właściwie nazywał ją już wówczas Mary, a ona twierdziła, że nie może od niego brać za lekcje, przynajmniej do czasu, aż się wzbogaci i wyrobi sobie nazwisko - nad którą Mary płakała mówiąc, że jest równie piękna jak kompozycje MacDowella¹⁷⁵. Zaczynała się tak:

¹⁷⁵ Edward Alexander MacDowell (1861-1908) - to kompozytor i pianista wykształcony we Francji i Niemczech, uchodzący w swojej epoce za największego kompozytora amerykańskiego. W latach 1896-1904 był dziekanem Wydziału Muzyki Uniwersytetu Columbia. Zostawił kompozycje na fortepian i orkiestrę, wśród nich dwa koncerty, suitę, sonaty. Wdowa po nim ufundowała w Peterborough w stanie New Hampshire kolonię dla artystów, w której mogą oni mieszkać i tworzyć przez cały rok w sielskim otoczeniu.

W Delaware’u srebrnej fali Przeglądają się brzoskwinie, Kiedy serce pełne żali, Do tych brzegów myśl ma płynie.

Panna O’Higgins miała mały salonik ze złożonymi krzesłami, w którym udzielała lekcji. Salonik był cały obwieszony koronkowymi firankami i brokatowymi portierami koloru łososiowego, które kupiła na licytacji. Pośrodku stał ciemny orzechowy stół, zavalony stertą sfatygowanych albumów w czarnej skórze. Co niedziela, gdy lekcja dobiegła końca, panna O’Higgins podawała herbatę, ciasteczka i grzanki z cynamonem i Johnny, rozparty w fotelu z końskiego włosia, tak wytartym, że zimą i latem nie można było z niego zdjąć kwiecistego pokrowca, wywracał swoimi błękitnymi oczami, mówił o rzeczach, które chce w życiu robić, stroił żarty z panów Hillyarda i Millera, a potem ona opowiadała historie o wielkich kompozytorach i policzki jej pałały, czuła się prawie ładna i wydawało jej się, że w końcu nie dzieli ich taka szalona różnica wieku. Utrzymywała z lekcji muzyki chorą matkę i ojca, który za młodu był znanym w Dublinie barytonem i patriotą, ale potem się rozpił, i do szaleństwa kochała się w Johnnym Moorehouse.

A Johnny Moorehouse ślęczał w zatęchłym kantorku u Hillyarda i Millera, irytował się, kiedy nie było roboty, chwilami myślał, że nie wytrzyma, wpadnie w szal i zabije kogoś, posyłał do wydawców piosenki, które zawsze wracały, i kołysany mdlącymi marzeniami o przyszłości czytał „Magazyn Życiowych Sukcesów” - żeby się wreszcie wyrwać z Wilmingtonu, od zrzędzenia i fajki ojca, rejwachu młodszego rodzeństwa, zapachu peklowanej wołowiny i kapusty, spracowanych rąk, pomarszczonej twarzy i zgarbionej postaci matki.

Aż pewnego dnia został wysłany do Ocean City w stanie Maryland na lustrację parcel, które firma wciągnęła na swoją listę. Miał jechać sam pan Hillyard, ale zrobił mu się karbunkuł na szyi. Dał Johnny’emu bilet powrotny oraz dziesięć dolarów na drogę.

Było gorące lipcowe popołudnie. Johnny pognał do domu się przebrać i wziąć walizkę i wpadł na stację tuż przed odejściem pociągu. W upale i duchocie mijali sady brzoskwińowe i sosnowe nieużytki, piaszczyste golizny wśród pól kukurydzy, pobielane domki i bagniste rozlewiska odbijały blask rozjarzonego łupkowego nieba. Johnny zdjął marynarkę od szarego flanelowego garnituru i położył na siedzeniu koło siebie, żeby się nie pomięła, na niej umieścił kołnierzyk i krawat, żeby były świeże, kiedy dojedzie na miejsce, gdy nagle spostrzegł po drugiej stronie przejścia czarnooką dziewczynę w różowej sukni z riuszkami i szerokim białym słomkowym kapeluszu. Była od niego widocznie starsza i elegancko ubrana, jej miejsce było w wagonie klubowym, nie tutaj. Ale Johnny zaraz sobie przypomniał, że w pociągu nie ma wagonu klubowego. Gdy tylko odwracał od niej wzrok, czuł, że patrzy na niego.

Niebo zaciągnęło się, zaczął padać deszcz. Wielkie krople rozpryskiwały się na szybach. Dziewczyna w różowych riuszkach próbowała zamknąć okno. Podskoczył i pomógł jej.

- Pani pozwoli - powiedział.

- Dziękuję. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się patrząc mu w oczy. - Och, cóż za brud w tym okropnym pociągu.

Pokazała mu białe rękawiczki, powalane od uchwytych okna. Usiadł z powrotem na brzeżku ławki. Obróciła się do niego twarzą. Była to nieregularna smagła twarz o brzydkich liniach od nosa do kącików ust, ale jej oczy przyprawiły go o dreszcz.

- Nie będzie pan uważał, że to zbyt niekonwencjonalne, jeśli trochę porozmawiamy? - zapytała. - Zanudzę się na śmierć w tym okropnym pociągu. Nie ma w ogóle wagonu klubowego, chociaż ten jegomość w Nowym Jorku zaklinał się, że będzie.

- Pani cały dzień w podróży - powiedział Johnny onieśmielony jak chłopiec.

- Gorzej. Przyjechałam wczoraj wieczorem statkiem z Newport¹⁷⁶.

Niedbały sposób, w jaki wspomniała Newport, zupełnie go zaskoczył.

- Jadę do Ocean City - powiedział.

- Ja też. Czy to nie okropne miejsce? Nie pojechałabym tam na minutkę, żeby nie papo. Wmówił sobie, że mu się tam podoba.

- Ocean City ma podobno wielką przyszłość. To znaczy, jeśli chodzi o rozbudowę.

Zaległa chwila milczenia.

- Wsiadłem w Wilmingtonie - powiedział Johnny z uśmiechem.

- Okropne miasto, Wilmington. Nie znoszę go.

- Ja się tam urodziłem i wychowałem. Może dlatego je lubię.

- Och, nie chciałam przez to powiedzieć, że w Wilmingtonie nie ma miłych ludzi.

Mieszkają tam przyjemne stare rodziny... Zna pan może Rawlinsów?

- Ja się wcale nie gniewam. Nie zamierzam spędzić reszty życia w Wilmingtonie. Ojej, pani patrzy, jak leje.

Lało tak, że podmyło tory i pociąg przyjechał do Ocean City z czterogodzinnym opóźnieniem. Dojechali jako dobrzy przyjaciele. Grzmiało i błyskało się, ona była bardzo nerwowa, a Johnny bardzo męski i opiekuńczy; później do wagonu naleciało mnóstwo komarów i mało obojga nie zagryzły na śmierć; jeszcze później oboje zrobili się bardzo głodni. Na stacji było ciemno choć oko wykol i nie było tragarza, tak że Johnny musiał obrócić dwa razy, nim powynosił jej bagaże, po czym okazało się, że zapomnieli jeszcze torebki ze skóry aligatora, więc wrócił trzeci raz po nią i po swoją walizkę. Tymczasem zjawił się stary Murzyn z bryczką i oświadczył, że jest z hotelu Ocean.

- Mam nadzieję, że pan też tam jedzie - powiedziała. Odparł, że oczywiście, po czym

¹⁷⁶ Newport -to założony w XVII wieku port na wyspie Rhode Island nad Atlantykiem, w dwóch trzecich drogi z Nowego Jorku do Bostonu; pod koniec XIX stulecia przeobraził się w luksusowe kąpielisko ludzi bogatych.

wsiedli. W bryczce nie było gdzie postawić nóg, tyle miała bagaży. W Ocean City wyłączono światło z powodu burzy. Koła bryczki zapadały się głęboko w piasku, jego szmer oraz cmokanie woźnicy tonęły raz po raz w huku fal rozbijających się o brzeg. Jedynym światłem był blask księżyca przesłanianego co chwila przez pędzące chmury. Deszcz ustał, ale atmosfera pozostała naładowana, jakby lada chwila miała spaść nowa ulewa.

- Zginęłabym jak nic podczas tej burzy, gdyby nie pan - powiedziała i ni z tego, ni z owego wyciągnęła do niego rękę jak mężczyzna. - Nazywam się Strang. Annabelle Marie Strang. Prawda, że to śmieszne nazwisko?

Ujął jej dłoń.

- John Moorehouse jestem. Miło mi panią poznać, panno Strang.

Miała dłoń gorącą i suchą. Podąła ją jakoś znacząco, puszczając ją, miał uczucie, że oczekiwała dłuższego uścisku. Roześmiała się niskim gardłowym śmiechem.

- No, to przedstawiliśmy się sobie, panie Moorehouse, teraz wszystko jest w porządku. A swoją drogą powiem papie, co o nim myślę. Żeby nie pofatygować się po jedyną córkę na stację!

W ciemnym hallu hotelowym, oświetlonym przez parę zakopconych lamp naftowych, obserwował kąciakiem oka, jak panna Strang zarzuca ramiona na szyję wysokiego siwowłosego pana, ale nim zdążył nagryzmolić możliwie energicznym pismem „John W. Moorehouse” w księdze gości i wziąć klucz od portiera, zniknęli oboje. W sosnowym pokoiku na górze było bardzo gorąco. Kiedy podniósł okno, przez zardzewiałą siatkę wdarł się do pokoju huk fal pomieszany z grzechotem deszczu o dach. Zmienił kołnierzyk i umył się w letniej wodzie, którą nalał z obtłuczonego dzbanka na umywalce, po czym zszedł do jadalni rozejrzeć się za czymś do jedzenia. Kelnerka o kozich zębach podała mu akurat zupę, kiedy ukazała się panna Strang, a za nią wysoki pan. Ponieważ jedyna lampa stała na jego stoliku, skierowali się w tę stronę. Wstał z uśmiechem.

- Papo, to właśnie pan - powiedziała. - Musisz mu zwrócić za dorożkę. Pan pozwoli, panie Morris, to jest mój ojciec, doktor Strang. Pan się nazywa Morris, prawda?

- Moorehouse, ale to nieważne. Miło mi pana poznać.

Następnego dnia wstał wcześnie i poszedł prosto do biura Towarzystwa Rozbudowy i Sprzedaży w Ocean City, mieszczącego się przy świeżo wytyczonej nadmorskiej ulicy w nowym parterowym domku, pokrytym gontami i pomalowanym na zielono. Nie zastał nikogo, więc postanowił przejść się po miasteczku. Był parny szary dzień, małe domki, drewniane sklepiki i nie malowane budy wzdłuż torów kolejowych sprawiały dość oplakane wrażenie. Od czasu do czasu rozgniatą na szyi komara. Miał na sobie ostatni czysty kołnierzyk i był w strachu o jego świeżość. Gdy tylko zszedł z drewnianego chodnika, do butów sypał mu się piach, a kostki oblepiały ostre kulki ostu. W końcu zobaczył tęgiego mężczyznę w białym płóciennym ubraniu, siedzącego na

schodkach biura.

- Dzień dobry - powiedział. - Czy pan pułkownik Wedgewood?

Tęgi mężczyzna był zbyt zaspany, by odpowiedzieć, kiwnął tylko głową. Jedną wielką jedwabną chusteczkę miał zatknietą z tyłu za kołnierzyk, drugą ocierał twarz. Johnny podał mu list z firmy i stał czekając. Gruby pan przeczytał list ze zmarszczonymi brwiami, po czym wprowadził go do środka.

- To ta moja astma - sapał między jednym a drugim potężnym świszczącym oddechem. - Zaraz dostaję zadyszki, jak się tylko zaczynam spieszyć. Miło mi cię poznać, synu.

Resztę przedpołudnia spędził Johnny w towarzystwie starego pułkownika Wedgewooda. Przewracał swoimi błękitnymi chłopięcymi oczami, słuchał historyjek o wojnie secesyjnej, generale Lee¹⁷⁷, jego siwku Podróżniku i piknikach propagandowych organizowanych przed wojną na Wschodnim Brzegu, biegał po łód do sklepiku, wygłosił małą mówkę o przyszłości Ocean City jako miejscowości letniskowej („Pewnie, co takiego jest w Atlantic City albo Cape May, czego my byśmy tutaj nie mieli?” - huknął pułkownik miękkim południowym akcentem), skorzystał z zaproszenia do jego domu na lunch, przez co nie zdążył na pociąg, którym powinien był wrócić do Wilmingtonu, podziękował za koktajl miętowy - nie pije i nie pali - ale przyglądał się z podziwem, jak pułkownik miesza i wychyla dwa głębsze na tę swoją astmę, podbił uśmiechem, błękitnymi oczami i chłopięcą galanterią czarną kucharkę pułkownika Mamie i nim wybiła czwarta, zarykiwał się z gubernatorów Północnej i Południowej Karoliny, przyjąwszy uprzednio posadę w Towarzystwie Rozbudowy i Sprzedaży Nieruchomości w Ocean City z pensją piętnastu dolarów tygodniowo oraz umeblowanym domkiem letniskowym na mieszkanie. Potem wrócił do hotelu i napisał do pana Hillyarda, dołączając akta własności parceli oraz rozliczenie z kosztów podróży. W liście przeproszał, że odchodzi bez wypowiedzenia, ale, wyjaśniał, jego rodzina jest w ciężkich warunkach i nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby nie skorzystał z następującej się okazji. Następnie napisał do matki, że zostaje w Ocean City i żeby była taka dobra, przysłała mu rzeczy ekspresem. Zastanawiał się, czyby nie napisać jeszcze do panny O’Higgins, ale ostatecznie zdecydował, że nie warto. W końcu, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Zjadłszy kolację poszedł do portierni po rachunek, bardzo zdenerwowany, czy mu wystarczy pieniędzy. Wychodził z hotelu, z dwiema dwudziestopięciocentówkami w kieszeni i walizką w rękę, kiedy natknął się na pannę Strang w towarzystwie niskiego ciemnego mężczyzny w białym flanelowym garniturze, którego przedstawiła jako monsieur de la Rochevillaine. Był on Francuzem, ale mówił dobrze po angielsku.

¹⁷⁷ Generał Robert E. Lee (1807-1870) był podczas wojny secesyjnej głównodowodzącym wojsk Konfederacji. Jak pisze Dos Passos w *Najlepszych czasach*, siwka generała, Podróżnik (Traveller), stał się legendarny w jego rodzinie. Matka pisarza przeżyła jako mała dziewczynka oblężenie przez wojska Unii miasta Petersburg w stanie Wirginia. W późniejszych latach sprzeczała się niekiedy ze swoim bratem, które z nich generał przewiózł na swoim sławnym koniu. „Święcie wierzyłem, kiedy byłem mały - wspomina Dos Passos - że to moją matkę generał Lee wziął na swego siwka”.

- Mam nadzieję, że pan nie wyjeżdża - powiedziała.

- Nie, proszę pani, przeprowadzam się tylko do jednego z domków pułkownika Wedgewooda.

Francuz krępował go swoją obecnością, stał koło panny Strang z uśmiechem ugrzecznionego fryzjeryka.

- Ach, więc pan zna naszego grubasa? To wielki druh papy. Zęby tylko nie zanudzał wiecznie tym swoim siwkim Podróżnikiem.

Panna Strang i Francuz uśmiechnęli się równocześnie, jakby łączyła ich wspólna tajemnica. Francuz stał koło niej kołysząc się niedbale z pięt na palce, jakby była meblem, który stanowi jego własność i którym chce się pochwalić przed znajomym. Johnny miał ochotę poczęstować go prawym prostym w miejsce, gdzie okrągły brzusek wydymał białą flanelę.

- No, muszę iść - powiedział.

- A nie przyjdzie pan później? Mają być tańce. Bylibyśmy zachwyceni, gdyby pan przyszedł.

- Tak, niech pan przyjdzie koniecznie – powiedział Francuz.

- Przyjdę, jak będę mógł - odparł i wyszedł wściekły, z walizką w świerzbującej dłoni. - Pies tańczył z tym Francuzem - powiedział na głos.

A jednak było coś w spojrzeniu, jakim panna Strang go obrzuciła. Wydało mu się, że zaczyna się w niej durzyć.

Sierpień był upalny, o cichych rankach i parnych popołudniach, które kończyły się ulewą i piorunami. Wyjąwszy chwile, kiedy musiał oprowadzać klientów po spalonych słońcem piaszczystych działkach i sosnowych zagajnikach, między którymi powytoczano ulice, Johnny siedział sam jeden w biurze pod elektrycznym wiatrakiem o dwu łopatkach. Ubrany w białe flanelowe spodnie i różową koszulkę tenisową, z rękawami zawiniętymi do łokci, rzucał na papier liryczne opisy Ocean City (Maryland), które miały poprzedzać broszurkę reklamową stanowiącą idee fixe pułkownika: „Życiodajne fale bezkresnego Atlantyku rozbijają się na krystalicznych plażach Ocean City (Maryland). Żywiczna woń sosen przynosi ulgę chorym na astmę i płuca. W pobliżu raj dla sportowców, rozlewne ujście Indian River, w którym się roi od...”. Po południu przychodził pułkownik, spocony i zasapany, i Johnny czytał mu, co napisał. „Byczo, chłopcze, byczo” - mówił pułkownik, po czym polecał wszystko przerobić i Johnny, wyszukawszy nowy zapas wyrazów w *Słowniku stulecia* o pozaginanych kartkach, zabierał się na nowo do pracy.

Żyłoby mu się świetnie, gdyby nie był zakochany. Co wieczór nie mógł się powstrzymać, żeby nie pójść do hotelu. Codziennie, gdy wchodził po skrzypiących schodkach, mijał starsze panie, które się bujały w fotelach i wachlowały liśćmi palmowymi, i otwierał siatkowe drzwi do hallu, miał nadzieję że tym razem zastanie Annabelle Marie samą, ale zawsze była w towarzystwie Francuza z tym jego okrągłym brzuszkiem, nieodstępnym uśmiechem i chłodem. Oboje

rozpływali się nad Johnnym i hołubili go jak salonowego pieska albo genialne dziecko. Ona nauczyła go tańczyć bostona, a Francuz, który okazał się diukiem, baronem czy czymś takim, co chwila proponował mu kieliszczyk, cygaro albo perfumowanego papierosa. Johnny był śmiertelnie zgorzchnięty dowiedziawszy się, że i ona pali, ale jakoś uchodziło to w zestawieniu z arystokratami, Newportem, podrózkami za granicę i tym podobnymi rzeczami. Używała jakichś pizmowych perfum, które w połączeniu z lekkim zapachem dymu tytoniowego utrzymującym się we włosach przyprawiały go o gorączkę i zawrót głowy, kiedy z nią tańczył. Czasami wieczorem próbował zmęczyć Francuza grą w bilard, ale tymczasem ona szła do łóżka i musiał wracać do domu klnąc pod nosem. Rozbierając się, w nozdrzach miał jeszcze leciutki aromat pizma. Próbował napisać piosenkę:

W nocy i we dnie Wciąż o tobie śnię, Annabelle Marie...

ale nagle wydawało mu się to beznadziejnie głupie i zaczynał chodzić w pizamie tam i z powrotem po swoje; małej werandzie - z szumem morza, bzyczeniem komarów, naigrawaniem się muszek i pasikoników w uszach - klnąc, że jest młody, biedny i niewykształcony, i obiecując sobie, że zarobi furę pieniędzy, żeby móc kupić każdego parszywego Francuza; wtedy jego będzie kochała, jemu będzie patrzyła w oczy i niech sobie nawet trzyma nie jednego, lecz paru parszywych Francuzików jako maskotki, jeśli ma ochotę. Zaciskał pięści i biegając wielkimi krokami mruczał:

- Jak Boga kocham, doprowadzę do tego.

Wreszcie któregoś wieczoru zastał Annabelle Marie samą. Francuz odjechał południowym pociągami. Zdawała się uradowana widokiem Johnny'ego, ale widać było, że coś ją trapi. Miała za dużo pudru na twarzy i zaczerwienione oczy, może płakała. Świecił księżyc. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Moorehouse, niech pan się przejdzie ze mną po plażę - powiedziała. - Nie mogę patrzeć na te stare kwoki bujające się w fotelach.

Na drewnianym chodniku prowadzącym przez zaniedbany trawnik na plażę spotkali doktora Stranga.

- Co z Rochevillaine'em, Annie? - zapytał.

Był postawny, miał wysokie czoło. Stał z zaciśniętymi wargami i wyrazem troski na twarzy.

- Dostał list od matki. Nie chce mu pozwolić.

- Chyba jest pełnoletni, nie?

- Och, papo, ty zupełnie nie rozumiesz francuskiej arystokracji. Rada rodzinna się nie zgadza. Mogliby go pozbawić dochodów.

- Będziesz miała tyle, że starczy dla niego i dla ciebie. Przecież mu mówiłem.

- Skończ z tym wreszcie, dobrze?

Rozbeczała się nagle jak dziecko. Minęła Johnny'ego i popędziła z powrotem do hotelu, zostawiając go na chodniku, twarzą w twarz z doktorem Strangiem. Doktor Strang jakby dopiero teraz go zauważył.

- Hm... Pan wybaczy - powiedział.

Otarł się o niego i odszedł wielkimi krokami w stronę hotelu. Johnny'emu nie pozostało nic innego, jak pójść na plażę i podziwiać księżyc samemu.

Ale następnych wieczorów Annabelle Marie chodziła z nim na spacerów brzegiem morza i odnosił wrażenie, że może wcale nie kochała tak bardzo tego Francuza. Szli daleko za rozsypane bezładnie domki i rozpalwszy ognisko siedzieli obok siebie wpatrzeni w płomienie. Idąc ocierali się czasem dłonią o dłoń. Kiedy chciała wstać, brał ją za rękę i podnosił, i zawsze obiecywał sobie, że ją przyciągnie i pocałuje, ale jakoś nie miał odwagi. Któregoś wieczoru było bardzo ciepło i ni z tego, ni z owego zaproponowała, żeby się wykąpać.

- Kiedy nie mamy kostiumów.

- Nigdy się nie kąpałeś bez kostiumu? Znacznie przyjemniej. No, no, śmieszny z ciebie chłopak, nawet w świetle księżycy widać, jak się zaczerwieniłeś.

- Prowokujesz mnie?

- Jakbyś zgadł.

Pobiegł kawałek w głąb plaży, ściągnął ubranie i szybko wszedł do wody. Nie miał odwagi spojrzeć na nią, tylko kątem oka dostrzegł błysk białych nóg i piersi i falę spienioną białą u jej stóp. Ubierając się rozważał, czyby się ożenił z dziewczyną, która tak jak ona idzie się kąpać z mężczyzną zupełnie nago. Ciekaw był, czy to samo robiła z tym parszywym Francuzikiem.

- Wyglądałeś jak marmurowy faun - powiedziała, kiedy wrócił do ogniska, gdzie upinała swoje czarne sploty. Mówiła ustami pełnymi szpilek do włosów. - Bardzo niespokojny marmurowy faun... Zamoczyłam sobie całe włosy.

Niewiele myśląc, przyciągnął ją i pocałował. Nie wydawała się wcale zbита z tropu, skuliła się tylko w jego ramionach i podała usta do następnego pocałunku.

- Wyszłabyś za takiego faceta jak ja, całkiem bez pieniędzy?

- Nie myślałam o tym, kochanie. Może bym i wyszła.

- Jesteś chyba diabelnie bogata, a ja nie mam centa przy duszy i jeszcze muszę pomagać rodzinie. Ale mam widoki na przyszłość.

- Jakie widoki?

Pociągnęła mu głowę w dół, jęła burzyć włosy, całować go.

- Dorobię się na tej spekulacji nieruchomości. Słowo daję, dorobię się.

- Czy co z tego wyjdzie, dzieciaku?

- Nie jesteś znowu wiele stasza ode mnie. Ile ty właściwie masz lat, Annabelle?

- No, przyznaję się do dwudziestu czterech, ale nie mów tego nikomu. I nie mów o tym wieczorze, i w ogóle o niczym.

- Komu bym miał mówić, Annabelle Marie.

W drodze powrotnej coś jej widocznie nie schodziło z myśli, bo nie zwracała zupełnie uwagi, co do niej mówi. Przez cały czas nuciła półgłosem.

Pewnego wieczoru, kiedy siedzieli na werandzie jego domku paląc papierosy - palił teraz od czasu do czasu, żeby jej dotrzymać towarzystwa - zapytał, co ją gnębi. Położyła mu ręce na ramionach, potrząsnęła go.

- Och, Moorehouse, jaki z ciebie głuptas. Ale podoba mi się to.

- Coś cię na pewno gnębi, Annabelle. Nie byłaś taka w pociągu, kiedyśmy tu jechali.

- Gdybym ci powiedziała... Boże, wyobrażam sobie twoją minę.

Roześmiała się swoim ostrym, gardłowym śmiechem, który go zawsze wprawiał w zakłopotanie.

- Och, gdybym miał prawo domagać się od ciebie odpowiedzi... Powinnaś wreszcie zapomnieć tego przeklętego Francuza.

- Jaki ty jesteś niewinny - powiedziała, po czym wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem po werandzie.

- Czemu nie usiądziesz, Annabelle? Nie lubisz mnie ani trochę?

Przesunęła mu dłoń po włosach, po twarzy.

- Oczywiście, że cię lubię, mój ty mały modrooki głuptasku. Ale czy ty nie rozumiesz, że to wszystko doprowadza mnie do obłędu, te stare jędze w hotelu strzępiące sobie na mnie języki, jakbym była biblijną wszetecznicą, bo od czasu do czasu wypalę papierosa w swoim własnym pokoju? W Anglii palą, i to publicznie, najelegantsze panie z arystokracji i nikt im złego słowa nie powie. A poza tym martwię się o papę, pakuje za dużo pieniędzy w te nieruchomości. Stracił zupełnie głowę.

- Ależ zapowiada się wielka koniunktura gruntowa. Za jakiś czas to będzie drugie Atlantic City.

- No, no, powiedz lepiej prawdę: ile parceli sprzedaliście w tym miesiącu?

- No, nie tak dużo. Ale szykuje się kilka poważnych transakcji. Na przykład to towarzystwo, które ma przystąpić do budowy nowego hotelu.

- Papo będzie miał szczęście, jeśli wycofa pięćdziesiąt centów za dolara. A mnie powtarza w kółko, że jestem niemądra. Jest lekarzem, nie geniuszem finansowym, powinien sobie z tego zdawać sprawę. Takie spekulacje to dobre dla kogoś, kto tak jak ty nie ma nic do stracenia, a może

wypłynąć... A jeśli chodzi o tego grubego pułkownika, to sama nie wiem, czy to dureń czy hochsztapler.

- Jakim właściwie doktorem jest twój ojciec?

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie słyszałeś o doktorze Strangu? Jest najbardziej znanym laryngologiem w Filadelfii. Och, jakie to miłe - pocałowała go w policzek - i naiwne - pocałowała po raz drugi - i czyste.

- Nie jestem wcale taki czysty - rzucił spiesźnie i spojrzał jej śmiało w oczy.

Twarze im poczerwieniały, gdy tak na siebie patrzyli. Powolnym ruchem oparła mu głowę na ramieniu. Serce mu łomotało, w głowie się kręciło od zapachu jej włosów i perfum. Ujął ją pod ramiona, podniósł z siedzenia. Zataczając się lekko, czując jej udo na swoim, twarde fiszbiny gorsetu na żebrach, a włosy na twarzy, pociągnął ją przez mały salonik do sypialni i zamknął drzwi na klucz. Potem pocałował ją z całej siły w usta. Usiadła na łóżku i zaczęła zdejmować sukienkę, dość beznamiętnie, pomyślał, ale posunął się już za daleko, by się cofnąć. Zdjąwszy gorset, cisnęła go w kąt.

- Och - powiedziała - nienawidzę tego szkaradzieństwa.

Wstała, podeszła do niego w koszuli, wymacała w ciemności jego twarz.

- Co ci jest, kochanie? - szepnęła gorąco. – Boisz się mnie?

Wszystko było znacznie prostsze, niż Johnny sobie wyobrażał. Ubierając się chichotali wspólnie. Wracając potem plażą do hotelu Johnny powtarzał sobie w myśli: „Teraz będzie musiała za mnie wyjść”.

We wrześniu, tuż po Świącie Pracy¹⁷⁸, kilka dni zimnych północno-wschodnich wiatrów wymiotło hotel i domki wakacyjne. Pułkownik głądził coraz obsesyjniej o nadchodzącej koniunkturze i swojej kampanii reklamowej i pił coraz więcej. Johnny jadał teraz z nim zamiast w pensjonacie pani Ames. Broszurka, skończona, uzyskała jego aprobatę i Johnny jeździł kilkakrotnie z tekstem i fotografiami do Filadelfii po kosztorysy drukarni. Przejeżdżając przez Wilmington bez wysiadania z pociągu doznawał przyjemnego poczucia niezależności. Doktor Strang chodził coraz bardziej zgnębiony i rozwodził się o zabezpieczeniu swoich inwestycji. Nie wspominał o zaręczynach Johnny'ego ze swoją córką, ale sprawa wydawała się przesądzona. Natomiast niewytłumaczalne były humory Annabelle. Narzekała ciągle, że zanudzi się na śmierć. Bez przerwy sypała docinkami i gderała na Johnny'ego. Którejś nocy, obudziwszy się nagle, ujrzał ją koło swego łóżka.

- Przestraszyłam cię? - zapytała. - Nie mogłam spać. Słyszysz morze?

Wiatr zawodził koło domku, olbrzymia fala rozbijała się z hukiem na plaży. Był prawie świt,

¹⁷⁸ Świąto Pracy (Labor Day), od roku 1894 oficjalne święto na cześć ludzi pracy, obchodzone jest w Stanach Zjednoczonych w pierwszy poniedziałek września i stanowi tradycyjne zakończenie sezonu urlopowego i wakacyjnego. Zainicjowali je Rycerze Pracy, organizując w 1882 roku w Nowym Jorku pochód - 10 tysięcy ludzi porzuciło warsztaty pracy, aby wziąć

nim zdołał ją wyekspediować z powrotem do hotelu.

- A niech mnie widzą. Co mi tam - powtarzała. Innym razem, kiedy spacerowali po plaży, zrobiło jej się niedobrze i musiał czekać, aż skończy wymiotować za wydumą, a potem odprowadzić ją, bladą i drżącą, do hotelu. Był przybity i niespokojny. Podczas jednej z bytności w Filadelfii zaszedł do redakcji „Public Ledgera” zapytać, czyby go nie przyjęli do pracy.

Którejś soboty siedział po południu w hallu hotelowym czytając gazetę. Nikogo więcej nie było, większość gości się rozjechała. Piętnastego zamykano hotel. Nagle usłyszał czyjąś rozmowę. Byli to dwaj boje hotelowi, którzy niepostrzeżenie weszli i usiedli na ławeczce pod ścianą.

- No, tom sobie użył przez to lato, Joe. Niech mnie szlag, jakem sobie nie użył.

- Użyłbym i ja, żeby nie to choróbsko.

- A co, nie mówiłem, żebyś się nie gził z Lizzie. Chłopie, chyba każdy jeden skurczybyk w mieście spał z tą zdzirą, nie wyłączając czarnuchów.

- Słuchaj, a powiedz... No, z tą czarnooką? Mówiłeś, że się z nią prześpisz.

Johnny zamarł. Sztywnymi palcami trzymał przed sobą gazetę. Boy wydał niski gwizd.

- Gorąca sztuka - powiedział. - Rany, co te damulki z towarzystwa wyprawiają, to się człowiekowi w głowie nie mieści.

- Spałeś z nią, naprawdę?

- Ee, spać to nie spałem. Balem się co złapać. Ale ten Francuz to spał. Rany, bez przerwy siedział u niej w pokoju.

- To to wiem. Sam go raz nakryłem. – Parsknęli śmiechem. - Zapomnieli się zamknąć na klucz.

- I co, była całkiem goła?

- No, pewnie że goła. Szlafrok tylko miała na sobie. A ten, jakby nigdy nic, wodę mrożoną zamawia.

- Trzeba było posłać na górę pana Greeleya.

- Diabła tam, po co? Wcale niezły był chłop z tego Francuza. Całego piątką mi dał.

- Taka to może sobie robić, co jej się żywnie podoba. Jej ojciec to, gadają, trzyma w garści całą tę dziurę, on i ten stary pułkownik Wedgewood.

- Tak, a teraz to nic tylko daje temu młodziakowi od pułkownika. Wygląda, że się za niego machnie.

- Rany, sam bym się z nią ożenił. Dziewczyna ma tyle floty.

Na Johnny'ego były zimne poty. Pragnął wymknąć się z hallu tak, żeby go nie zauważyli. Rozległ się dzwonek i jeden z boyów wybiegł. Słyszał, jak drugi sadowi się wygodniej na ławeczce. Może zabiera się do czytania pisma czy czegoś. Johnny złożył po cichu gazetę i wy-

mknął się na werandę. Przez chwilę chciał rzucić wszystko w diabły, pójść na stację i odjechać pierwszym pociągiem, ale przypomniał sobie broszurkę, nadzieje, że jeśli parcele zaczną zwyżkować, to może coś zdobyć na początek, stosunki z finansjerą i ze Strangami; okazja tylko raz puka do drzwi młodego człowieka. Wrócił do swojego domku i zamknął się na klucz w sypialni. Stał przez chwilę, przeglądając się w lustrze komódki. Jasne włosy z równym przedziałkiem, regularny zarys nosa i brody; obraz się zamazał. Stwierdził, że ma łzy w oczach. Rzucił się twarzą na łóżko i rozplakał.

Jadąc następnym razem do Filadelfii, żeby zrobić korektę broszurki:

OCEAN CITY (Maryland)

LETNISKO DOSKONAŁE

wziął ze sobą do wydrukowania projekt zaproszeń ślubnych:

Dr Alonso B. Strang

zawiadamia, że ślub jego córki

Annabelle Marie

z

panem J. Ward Moorehouse'em

odbędzie się dnia piętnastego listopada roku tysiąc dziewięćset dziewiątego

o godzinie dwunastej w południe w Kościele Episkopalnym pod wezwaniem

Świętego Stefana w Germantown, Pensylwania

Dalej szło zaproszenie na przyjęcie weselne, które miało być rozsyłane według specjalnej listy. Zdecydowano, że wesele będzie huczne, gdyż doktor Strang miał mnóstwo zobowiązań towarzyskich. Annabelle orzekła, że J. Ward Moorehouse brzmi bardziej dystygowanie niż John W. Moorehouse, i zaczęła go nazywać Wardem. Kiedy go zapytano, co z jego rodziną, odparł, że oboje rodzice są przykuci do łóżka, a bracia i siostry za mali, żeby ich to mogło bawić. Do matki napisał, że musi zrozumieć, ale w obecnym stanie rzeczy, ze względu na usposobienie tatusia... No, musi to zrozumieć. W jakiś czas potem Annabelle powiedziała mu pewnego wieczoru, że będzie miała dziecko.

- Tak i myślałem.

Wbiła w niego oczy, raptem przerażająco zimne i czarne. Nienawidził jej w tej chwili, ale zaraz się uśmiechnął, błękitnooki i chłopięcy.

- No, bo taka jesteś ostatnio nerwowa i w ogóle. - Roześmiał się i ujął ją za rękę. - Ale nic, zrobię z ciebie z powrotem uczciwą kobietę.

Teraz on był górą. Pocałował ją. Wybuchnęła płaczem.

- Och, Ward, proszę cię, nie mów k o b i t a .

- Tylko się z tobą przekomarzałem, kochanie. Ale czy nie ma żadnego sposobu?

- Próbowałam wszystkiego. Papo by wiedział, ale nie mam odwagi się przyznać. Wie, że jestem dosyć swobodna, ale...

- Będziemy się musieli gdzieś usunąć na rok po ślubie. Paskudnie się składa, bo mam obiecaną pracę w „Public Ledger”.

- Wyjedziemy do Europy. Papo zaopatrzy nas na podróż poślubną. Będzie zadowolony, że się mnie pozbywa, zresztą mam własne pieniądze po matce.

- A może to w ogóle fałszywy alarm?

- Jak to fałszywy?

- No, jak dawno... to zauważyłaś?

Jej oczy znowu pociemniały, wpatrzone w niego badawczo. Mierzyli się wzrokiem, nienawidząc jedno drugiego.

- Wystarczająco dawno - powiedziała i pociągnawszy go za ucho jak dziecko, poszła szeleszcząc przebrać się na górę, gdyż pułkownik, podekscytowany wieścią o zaręczynach, zaprosił ich na kolację.

Ślub wypadł okazale. J. Ward Moorehouse we wciętych angielczyźnie i jedwabnym cylindrze skupiał na sobie wszystkie oczy. Ludzie uważali, że jest bardzo przystojny. Matce w Wilmingtonie stygło później żelazko za żelazkiem, gdy się zagłębiła w sprawozdaniach rubryk towarzyskich; w końcu zdjęła okulary, zwinęła starannie gazety i położyła je na desce do prasowania. Była bardzo szczęśliwa.

Następnego dnia młoda para odplynęła z Nowego Jorku na pokładzie *Teutonika*. Morze było burzliwe, dopiero w dwóch ostatnich dniach podróży można było wyjść na pokład. Ward chorował, doglądany przez życzliwego stewarda, który mówił cockneyem¹⁷⁹. Do Annabelle zwracał się per szanowna pani i brał ją za jego matkę. Annabelle była doświadczoną żeglarką, ale i ona czuła się podle z powodu dziecka i wyglądała tak mizernie, ilekroć przejrzała się w ręcznym lusterku, że wolała nie wstawać z koi. Stewardesa poradziła jej dzin z kropelkami i dobrze jej to robiło przez ostatnie dni podróży. Na wieczorze kapitańskim pojawiła się wreszcie w wieczorowej sukni z czarnych walansjenek i wszyscy uznali ją za najładniejszą kobietę na statku. Ward denerwował się trochę, żeby nie piła za dużo szampana, gdyż w trakcie ubierania wychyliła cztery kieliszki dzinu i koktajl Martini. Zaprzyjaźnił się ze starszym bankierem, panem Jarvisem Oppenheimerem, i jego żoną i bał się, że Annabelle może im się wydać zbyt swobodna. Jednakże wieczór kapitański przeszedł gładko.

Annabelle i Ward przekonali się, że stanowią zgraną parę. Po kolacji podszedł kapitan, który znalazł doktora Stranga, i siedział z nimi i z państwem Oppenheimerami w palarni, a nawet wypił w

¹⁷⁹ Cockney - to charakterystyczny dialekt niewykształconych londyńczyków, szczególnie mieszkańców robotniczej wschodniej części miasta; określa się tym mianem również ludzi, którzy mówią tym dialektem.

ich towarzystwie kieliszek szampana, i słyszeli, jak ludzie wypytują jedni drugich, kto to może być ta czarująca, promienna, błyskotliwa para, niewątpliwie ktoś interesujący. Poszli spać po obejrzeniu latarni na Morzu Irlandzkim, z przeświadczeniem, że warto było pocierpieć przez te wszystkie dni na chorobę morską.

Annabelle nie podobało się w Londynie, ciemne uliczki zasnute ustawicznie drobnym kapuśniaczkiem wywierały przygnębiające wrażenie, więc posiedzieli tydzień w hotelu Cecil, po czym pojechali do Paryża. Ward chorował znowu w czasie przeprawy z Folkestone do Boulogne i stracił z oczu Annabelle, by ją odnaleźć dopiero, gdy statek wpłynął na spokojne wody między długimi falochronami portu Boulogne, pijącą w barze koniak z wodą sodową w towarzystwie angielskiego oficera piechoty. Wbrew obawom okazało się, że to wcale nie takie straszne znaleźć się w kraju, którego języka człowiek nie rozumie. Zresztą Annabelle mówiła wcale nieźle po francusku i bez trudu znaleźli przedział pierwszej klasy, zaopatrzeni na drogę w kosz z zimnym kurczędem i kanapkami oraz trochę słodkiego wina, które Ward pił po raz pierwszy - kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one - i w ogóle zachowywali się jak typowa młoda para w podróży poślubnej do Paryża. Ze stacji jechali fiakrem do hotelu Wagram - zabrawszy tylko bagaż podręczny, bo resztą zaopiekował się posługacz hotelowy - przez ulice o mokrych jezdniach błyskających zielonymi refleksami latarni gazowych. Kopyta dźwięczały ostro na asfalcie, ogumione koła toczyły się gładko, ulice były zatłoczone pomimo dżdżystego zimowego wieczoru, ludzie siedzieli przed kawiarniami przy małych marmurowych stolikach ustawionych dokoła niewielkich piecyków, w powietrzu unosił się aromat kawy, wina, rumienionego masła i pieczonego chleba. Źrenice Annabelle odbijały światła; wyglądała ślicznie i co chwila szturchała go łokciem, żeby coś pokazać, albo klepała po udzie.

Annabelle napisała do hotelu, gdzie poprzednio mieszkała z ojcem, tak że zastali białą sypialnię z salonikiem czekającą na ich przyjazd oraz dyrektora o okrągłej twarzy, bardzo eleganckiego i bardzo uprzejmego, który odprowadził ich w lansadach do numeru, gdzie paliło się już w kominku. Wypili butelkę szampana, zjedli trochę pate de foie gras¹⁸⁰ przed pójściem do łóżka i Ward poczuł się jak król. Annabelle zmieniła strój podróży na dezabil, on zaś włożył bonzurkę, którą mu ofiarowała i której dotąd nie nosił, i cała gorycz ostatnich miesięcy roztopiła mu się w piersi. Siedzieli długo patrząc w ogień i paląc papierosy Muratti z blaszanego pudełka. Annabelle cały czas gładziła go po głowie i wodziła dłonią po jego szyi i ramionach.

- Dlaczego nie jesteś trochę bardziej czuły, Ward? - spytała swoim niskim gardłowym tonem. - Ja należę do kobiet, które lubią być adorowane. Miej się na baczności, możesz mnie stracić. Tutaj mężczyźni umiejają się zalecać do kobiet.

- Daj mi trochę czasu. Przed wszystkim postaram się o pracę w jakiejś amerykańskiej

¹⁸⁰ Pate de foie gras (fr.) - to pasztet z gęsich albo kaczych wątróbek z truflami.

firmie. Myślę, że pan Oppenheimer mi pomoże. Zacznę się od razu uczyć francuskiego. To dla mnie wielka szansa.

- Śmieszny z ciebie chłopak.

- Nie myślisz chyba, że będę chodził za tobą jak pudel, sam nic nie zarabiając? O, nie, to się po mnie nie pokaże. - Wstał, podniósł ją na nogi. - No, chodźmy do łóżka.

Ward uczęszczał regularnie na francuski do szkoły Berlitz, poszedł ze starym panem Oppenheimerem i jego żoną obejrzeć Notre Dame, grób Napoleona i Luwr. Natomiast Annabelle mówiła, że od chodzenia po muzeach dostaje migreny, i spędzała całe dni na zakupach i przymiarkach u krawcowych. W Paryżu było niewiele firm amerykańskich i pomimo protekcji pana Oppenheimera, który znał wszystkich, jedyne zajęcie trafiło się Wardowi w gazecie Gordona Bennetta¹⁸¹, paryskim wydaniu „New York Herald”. Polegało na śledzeniu przyjazdów amerykańskich biznesmenów i przeprowadzaniu z nimi wywiadów na temat uroków Paryża i stosunków międzynarodowych. Był to dla niego tłusty kąsek, umożliwiał bowiem nawiązanie wielu cennych znajomości. Natomiast Annabelle uważała, że to nudziarstwo, i nie chciała o tym słyszeć. Kazała mu się co wieczór wbić we frak i chodzić ze sobą do opery i teatrów, co zresztą robił wcale chętnie, gdyż pomagało mu to w nauce francuskiego.

Udała się do bardzo sławnego specjalisty chorób kobiecych, który potwierdził, że pod żadnym pozorem nie powinna mieć obecnie dziecka. Zachodziła konieczność niezwłocznej operacji, nieco niebezpiecznej, gdyż ciąża była już zaawansowana. Nie powiedziała nic Wardowi, przysłała mu dopiero wiadomość ze szpitala, kiedy było po wszystkim. Przypadło to w sam dzień Bożego Narodzenia. Pobiegł ją natychmiast odwiedzić. Z chłodną zgrozą wysłuchał szczegółów. Przywykł już do myśli o dziecku i ludził się, że wpłynie to na ustatkowanie się Annabelle. Leżała bardzo blada w separacie prywatnej kliniki, a on stał koło łóżka z zaciśniętymi pięściami, nic nie mówiąc. W końcu pielęgniarka powiedziała, żeby nie męczył dłużej madame, więc poszedł. Kiedy po czterech czy pięciu dniach Annabelle wróciwszy ze szpitala oznajmiła wesoło, że jest zdrowa jak ryba i jedzie na południe Francji, nie odezwał się słowem. Przygotowywała się do drogi, uważając za rzecz oczywistą, że pojedzie z nią, ale w dniu wyjazdu oznajmił, że zostaje w Paryżu. Zmierzyła go ostrym spojrzeniem, po czym powiedziała ze śmiechem:

- Puszczasz mnie samopas, tak?

- Ja mam swoje interesy, ty masz swoje przyjemności - odrzekł.

¹⁸¹ James Gordon Bennett junior (1841-1918) przejął w 1867 roku kierownictwo poczytnego nowojorskiego „Heralda”, założonego jako jednocemowy dziennik w 1835 przez jego ojca, imigranta ze Szkocji. Syn dzięki telegraficznej służbie reporterskiej uczynił słynący od początku z pomysłowości, niezależności i agresywności „Herald” jedną z najlepiej poinformowanych gazet. W roku 1887 założył europejską mutację „Heralda” w Paryżu, gdzie mieszkał prawie nieprzerwanie od 1877, kierując pracą nowojorskiej redakcji za pośrednictwem kabla transoceanicznego. Wsławił się także finansowaniem wypraw badawczych w Afryce i Arktyce, m.in. głośnej w latach 1869-1871 wyprawy Henry’ego Stanleya na poszukiwanie zaginionego w głębi Czarnego Łądu badacza Davida Livingstone’a. Był miłośnikiem jachtingu i lotnictwa, inicjatorem kilku dorocznych imprez w tych dziedzinach sportu. W Polsce wielkim rozgłosem cieszyły się zawody balonowe o ufundowany w 1906 puchar Gordona Bennetta, który polscy lotnicy zdobywali czterokrotnie w latach

- Dobrze, młody człowieku, niech będzie i tak.

Odwiózł ją na stację, wsadził do pociągu do Nicei i wetknął konduktorowi pięć franków, żeby się nią opiekował, wrócił na piechotę do hotelu. Miał na jakiś czas dosyć zapachu piżma i perfum.

Paryż odpowiadał mu bardziej od Wilmingtonu, ale w gruncie rzeczy Ward go nie lubił. Tyle marnotrawionego czasu i widok tylu ludzi, którzy siedzieli jedząc i pijąc, działały mu na nerwy. Ogarnęła go nostalgia, kiedy któregoś dnia nadeszła broszurka o Ocean City wraz z entuzjastycznym listem pułkownika Wedgewooda. Sprawy się wreszcie ruszają, pisał pułkownik; on sam każdego centa, którego może wskrobać, wyprosić czy pożyczyć, lokuje w parcelach. Proponował nawet, żeby Ward przysłał mu jakieś pieniądze, to zainwestuje w jego imieniu; jest przecież obecnie w stanie zaryzykować lokatę w przewidywaniu hossy; zresztą trudno nawet mówić o ryzyku, bo sprawa jest murowana; trzeba tylko wyciągnąć ręce i zbierać owoce. Ward zszedł po schodkach biura Morgana & Harjesa¹⁸², gdzie otrzymywał pocztę, i ruszył bulwarem Haussmanna. Przyjemnie było trzymać w palcach gruby kredowy papier. Schowawszy list do kieszeni, kroczył po bulwarze z uszami pełnymi sygnałów trąbek, stukotu kopyt końskich i szurania nóg, od czasu do czasu czytając jakieś zdanie. No, no, jego samego brała ochota, by jechać do Ocean City w stanie Maryland. Niskie rumiane słońce ogrzewało zimową szarość ulic. Skądś dochodził zapach palonej kawy. Ward przypomniał sobie rozjarzone słońcem wietrzne dni w domu, dni, które wzmagały w człowieku energię i nadzieję. Życie wyteżone.

Był umówiony na lunch z panem Oppenheimerem w bardzo renomowanej restauracyjce, która się nazywała Tour d'Argent¹⁸³ i mieściła gdzieś w starej dzielnicy. Kiedy wsiadł do samochodu z taksometrem i kołami malowanymi na czerwono, nappełniło go dumą, że szofer rozumie jego wskazówki. Taki pobyt za granicą to rzecz pouczająca, zastąpi mu brakujące lata studiów. Nim dojechali na miejsce, przeczytał broszurkę po raz trzeci. Wysiadł przed restauracją i płacił, kiedy spostrzegł pana Oppenheimera nadchodzącego bulwarem z drugim mężczyzną. Pan Oppenheimer

międzywojennych.

¹⁸² Biuro Morgana & Harjesa - to paryska filia banku Morgana, prowadzona pod tą firmą od roku 1895 kolejno przez ojca i syna Harjesów. Ojciec, John Henry Harjes (1830-1914), otworzył bank amerykański w Paryżu w 1868, nosił on jednak początkowo nazwę Drexel, Harjes & Company i był filią założonego w 1847 filadelfijskiego banku Drexel & Company, własności Anthony'ego Josepha Drexela. Po śmierci tego ostatniego jego udziały wykupił John Pierpont Morgan i nazwa została zmieniona na Morgan & Harjes. W 1909 prowadzenie banku przejął po ojcu urodzony w Paryżu, H(enry) Herman Harjes (1875-1926), który odegrał niepoślednią rolę podczas wojny światowej (podobnie jak jego ojciec podczas wojny francusko-pruskiej roku 1870), negocjując ogromne kredytowe pożyczki amerykańskie dla Francji i organizując dla niej dostawę zarówno sprzętu wojskowego, jak pomocy humanitarnej. Był przedstawicielem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża na Francję oraz współorganizatorem Amerykańskiego Ochotniczego Korpusu Sanitarnego, dla którego sfinansował zakup karetek i w którym sam służył. Zorganizował za linią frontu szpital polowy, w którym pierwszą pomoc otrzymało około 20 tysięcy rannych. Później został mianowany głównym oficerem łącznikowym Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych przy alianckim dowództwie. Po wojnie w 1924 wynegocjował dla Francji dalsze pożyczki, które umożliwiły stabilizację franka.

¹⁸³ Tour d'Argent (fr., właściwie: Restaurant de la Tour d'Argent) - to renomowana paryska restauracja Pod Srebrną Wieżą, mieszcząca się na quai de la Tournelle w pobliżu boulevard Saint-Germain i Sekwany. Założona już w roku 1582, stała się wkrótce miejscem spotkań luminarzy zarówno dworu Henryka IV i Henryka V, jak i miasta, a swoją reputację zachowała przez wszystkie epoki do dziś. Pierwsza wprowadziła używanie do jedzenia widelców zamiast rąk.

miał na sobie popielate palto i popielaty melonik w tym samym perłowym odcieniu co jego wąsy; towarzyszył mu stalowosiwy jegomość o spiczastym nosie i brodzie. Ujrzawszy ich, Ward postanowił, że w przyszłości będzie bardziej dbał o strój.

Lunch trwał długo i składał się z bardzo wielu dań, chociaż siwy pan, który nazywał się McGill i był dyrektorem jednej ze stalowni Jonesa i Laughlina w Pittsburghu, zapowiedział, że jego żołądek nie strawi nic prócz kotleta i jednego pieczonego kartofelka, do których będzie pił whisky z wodą sodową zamiast wina. Pan Oppenheimer delectował się jedzeniem i odbywał długie konsultacje z maitre d'hotel.

- Panowie, musicie mieć trochę wyrozumiałości. To jest moja rozpusta - powiedział. - Kiedy się wyrwę spod baczno oka żony, mogę sobie pozwolić na pewną swobodę w stosunku do swego żołądka. Moja żona udała się na uświęcony obrzęd miary u gorseciarki, nie należy jej przeszkadzać. Ty, Ward, jesteś jeszcze za młody, żeby pojąć rozkosze jedzenia.

Ward, z miną zakłopotaną i chłopcę, oświadczył, że bardzo mu smakuje kaczka.

- Jedzenie - podjął pan Oppenheimer - to ostatnia przyjemność starszego pana.

Kiedy paląc cygara siedzieli nad wielkimi kulistymi kieliszkami napoleona, Ward zdobył się na odwagę i wyciągnął broszurkę o Ocean City (Maryland), która parzyła go w kieszeni przez cały lunch. Położył ją skromnie na stole.

- Przyszło mi do głowy, że może miałby pan ochotę rzucić na to okiem jako... jako na coś odrobinę nowatorskiego w dziedzinie reklamy.

Pan Oppenheimer wyjął okulary, wsadził je na nos, pociągnął łyk koniaku, po czym przejrzał broszurę z łaskawym uśmiechem. Zamknawszy ją, wypuścił nosem wijący się niebieski dymek i rzekł:

- Ha, to Ocean City musi być istnym rajem na ziemi. Czy przypadkiem nie zachwalacie go... ee... trochę przesadnie?

- Ależ, proszę pana, chodzi o to, żeby każdy człowiek z ulicy po prostu dostał bzika na punkcie Ocean City. Każde słowo musi zniewalać.

Pan McGill, który do tej pory nawet nie spojrział na Warda, podniósł na niego zimne sępioszare oczy. Ciężką czerwoną ręką sięgnął po broszurkę. Z uwagą zaczął czytać kartkę po kartce, podczas gdy pan Oppenheimer rozprawiał o bukicie koniaku i o tym, jak to trzeba ogrzać trochę kieliszek w dłoni i pić małymi łydkami, raczej wdychać niż pić. Nagle pan McGill rąbnął pięścią w stół i parsknął suchym śmiechem, który nie poruszył ani jednego mięśnia w jego twarzy.

- Jak Boga, i wezmą się na to jak nic - rzekł. - To zdaje się Mark Twain powiedział, że frajerzy rodzą się na kamieniu. - Zwrócił się do Warda: - Przykro mi, ale nie zapamiętałem pańskiego nazwiska, młody człowieku. Nie chciałby pan powtórzyć?

- Ależ z przyjemnością. Moorehouse, J. Ward Moorehouse.

- I gdzie pan pracuje?

- Tymczasem w „Paris Herald” - odparł Ward czerwieniąc się.

- A gdzie pan mieszka w Stanach?

- Mieszkałem w Wilmingtonie, w Delaware, ale myślę, że już tam nie wrócę. Proponują mi pracę w redakcji „Public Ledger” w Filadelfii.

Pan McGill wyjął bilet wizytowy i napisał na nim adres.

- Gdyby się pan kiedy wybrał do Pittsburga, niech pan do mnie zajrzy.

- Z największą przyjemnością.

- Jego żona - wtrącił pan Oppenheimer - jest córką doktora Stranga, tego sławnego laryngologa z Filadelfii. A propos, Ward, jak się ma nasze drogie dziecko? Sądzę, że w Nicei wyleczyła się z tego zapalenia migdalków.

- Owszem, proszę pana - odrzekł Ward - pisze, że czuje się znacznie lepiej.

- Cóż to za miłe stworzenie. Czarująca – powiedział pan Oppenheimer podnosząc oczy, by wysuszyć ostatni łyk z kieliszka.

Następnego dnia Ward dostał depezę od Annabelle, że wraca do Paryża. Spotkał ją na peronie. Przedstawiła mu wysokiego Francuza ze szpicbródką, który pomagał jej wynosić walizki, kiedy Ward nadszedł.

- Monsieur Forelle, mój towarzysz podróży.

Nie mieli okazji porozmawiać, dopóki nie znaleźli się we dwoje w fiakrze, gdzie pachniało stęchlizną, gdyż nie mogli otworzyć okien z powodu zacinającego deszczu.

- No, jak tam, mój drogi - spytała Annabelle - przeszły ci humory, z którymi cię zostawiłam? Mam nadzieję, że tak, bo przywożę złe nowiny.

- Co się stało?

- Papo wpakował się w tarapaty finansowe. Wiedziałam, że do tego dojdzie. Zna się na interesach jak kura na pieprzu. Krótco mówiąc, wspaniała koniunktura w Ocean City wzięła w łeb, nim się w ogóle zaczęła, papo wpadł w panikę, próbował się pozbyć tych nieużytków, ale oczywiście nikt nie chce kupować. Następnie zbankrutowało Towarzystwo Rozbudowy i Sprzedaży Nieruchomości, ten twój nieoceniony pułkownik zniknął i okazało się, że papo w jakiś dziwny sposób ponosi osobistą odpowiedzialność za całą masę długów przedsiębiorstwa. Ot, i wszystko. Zadepeszowałam, że przyjeżdżamy pierwszym statkiem. Zobaczą, co się da zrobić. Papo jest bezradny jak dziecko, kiedy chodzi o interesy.

- To mnie nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Wcale bym tutaj nie przyjechał, gdyby nie ty.

- Jak ty się dla mnie poświęcasz!

- Proszę cię, nie kłóćmy się, Annabelle.

W ostatnich dniach Wardowi zaczęło się podobać w Paryżu. Wybrali się na *Cyganerie*¹⁸⁴ i obydwójce bardzo się nią entuzjasmowali. Potem poszli do kawiarni, gdzie zamówili kuropatkę na zimno i wino, i Ward opowiedział Annabelle, jak chciał zostać kompozytorem, jak chodził do panny O'Higgins, jak zaczął pisać piosenkę o niej, i w ogóle było im z sobą bardzo dobrze. Całował ją potem co chwila, gdy wracali fiakrem do hotelu, i wydawało im się, że winda wlecze się okropnie, gdy jechali na górę.

Mieli jeszcze tysiąc dolarów w liście kredytowym, który doktor Strang dał im w prezencie ślubnym, więc Annabelle nakupowała przeróżnych sukien, kapeluszy i perfum, a Ward poszedł do angielskiego krawca w pobliżu kościoła Madeleine i zamówił sobie cztery garnitury. Ostatniego dnia kupił jej z pensji redakcyjnej broszkę w kształcie koguta z limuzyjskiej emalii¹⁸⁵ wysadzanej granatami. Jedząc lunch, po wyekspediowaniu bagaży na pociąg, unosili się z czułością nad Paryżem, sobą i broszką. Odpłynęli z Hawru na pokładzie *Tourame* i mieli zupełnie spokojny rejs, przez całą drogę szklistoszarą jednostajną tafłę oceanu, choć był przecież luty. Ward ani razu nie chorował. Co dzień rano, nim Annabelle wstała, spacerował wkoło pokładu pierwszej klasy. Miał na sobie tweedowy szkocki paltot, tweedową szkocką czapkę do kompletu i lornetkę polową przewieszoną przez ramię. Głowił się nad jakimś planem na przyszłość. Wilmington pozostał w każdym razie za nim jak kadłub statku niknący na horyzoncie.

Wśród zawodzenia kryształowochłodnego północno-zachodniego wiatru parowiec, z dwoma holownikami sapiącymi po bokach, torował sobie drogę do portu nowojorskiego wśród barek i innych holowników, promów towarowych i czerwonych gwizdzących promów pasażerskich. Annabelle, naburmuszona, była zdania, że to okropny widok, ale Ward słuchał z entuzjazmem, kiedy pan w kraciastej czapce, wyglądający na Żyda, wskazywał Battery¹⁸⁶, Urząd Celny, Akwarium i kościół Świętej Trójcy.

Prosto z portu pojechali na prom i zjedli obiad w wyściełanej czerwonymi dywanami restauracji na Dworcu Pensylwańskim w Jersey City. Ward zamówił smażone ostrygi. Przyjazny czarny kelner w białej kurtce przypominał, że są w domu.

¹⁸⁴ *Cyganeria (La Boheme)* - to jedna z dwu oper pod tym tytułem, opartych na powieści Henri Murgera *Sceny z życia cyganerii (Scenes de la vie de boheme, 1848)*. Ward i Annabelle oglądali zapewne częściej wystawianą operę Giacomo Pucciniego (1896), nie o rok późniejszą operę innego włoskiego kompozytora, Rugiero Leoncavalla. Powieść i jej sceniczne przeróbki malują historię miłości suchotniczkiej kwiaciarki Mimi i poety Rudolfa, rozgrywającej się na tle ubogiej, lecz małowniczej i hulaszczęj egzystencji paryskiej cyganerii, do której należał sam Murger. Szczególnie sławna i wzruszająca jest końcowa scena śmierci Mimi.

¹⁸⁵ Limuzyjska emalia - to emalia malarska wynaleziona w mieście Limoges w środkowej Francji, od XI wieku ośrodku emalierstwa słynącym z wytwórczości pięknych i cennych przedmiotów ozdobnych.

¹⁸⁶ Battery - to park na południowym cyplu Manhattanu, przy którym łączą swoje wody dwie spływające do Atlantyku nowojorskie rzeki, Hudson i East River. Nazwa wywodzi się od stojącego tu niegdyś brytyjskiego fortu, wybudowanego w 1693 roku w miejsce wcześniejszych fortyfikacji holenderskich. Główną atrakcją parku było w latach 1896-1941 Akwarium, największe wówczas na świecie, rozebrane w związku z budową tunelu prowadzącego pod dnem East River do Brooklynu. Na północnym skraju parku znajdują się komendy policji portowej i portowej straży pożarnej ze swymi przystaniami, na południowym zaś przystanie promów kursujących między Manhattanem a pobliskimi wyspami, między innymi Bedloe Island, na której stoi Statua Wolności.

- No, wreszcie z powrotem w Ojczyźnie Pana Boga - powiedział Ward i postanowił wpaść do Wilmingtonu, przywitać się z rodziną, ale Annabelle go wyśmiała i potem, siedząc sztywno w wagonie klubowym pociągu filadelfijskiego, nie rozmawiali ze sobą.

Interesy doktora Stranga stały bardzo źle, a ponieważ po całych dniach był zajęty praktyką lekarską, przejęła je całkowicie Annabelle. Jej obrotność w sprawach finansowych zdumiała zarówno Warda, jak ojca. Zamieszkali w wielkim starym domu doktora Stranga na Spruce Street. Ward, przez jednego z przyjaciół doktora, dostał pracę w redakcji „Public Ledger” i rzadko bywał w domu. Kiedy miał trochę wolnego czasu, uczęszczał na wykłady ekonomii i handlowości do Instytutu Drexela¹⁸⁷. Annabelle zaczęła wieczorami wychodzić z młodym architektem nazwiskiem Joachim Beale, który był bardzo bogaty i miał automobil. Beale był szczupłym młodym człowiekiem, rozkochanym w majolice i bourbonie. Annabelle nazywał swoją Kleopatram.

Wróciwszy pewnego wieczoru do domu, Ward zastał ich obydwój pijanych, siedzących w nader skąpym stroju w pracowni Annabelle na poddaszu. Doktor Strang wyjechał na jakiś zjazd medyczny do Kansas City. Stojąc w progu z założonymi rękami, Ward oznajmił, że ma dość i że wystąpi o rozwód, po czym wyszedł z domu trzaskając drzwiami. Na noc poszedł do Ymki. Następnego dnia, przyszedłszy po południu do redakcji, zastał ekspres od Annabelle, w którym błagała, żeby był dyskretny, gdyż wszelki rozgłos mógłby się okazać katastrofalny dla praktyki ojca, i godziła się na wszelkie propozycje. Odpisał niezwłocznie:

Droga Annabelle!

Rozumiem teraz, że przez cały czas byłem ci potrzebny tylko jako parawan dla twoich haniebnych wybryków nie licujących z godnością kobiety. Wiem już, dlaczego wolisz towarzystwo cudzoziemców, cyganów i tym podobnych od towarzystwa szanujących się młodych Amerykanów. Nie mam zamiaru przysparzać Tobie ani Twojemu ojcu kłopotów ani nadawać sprawie rozgłosu, ale musisz się powstrzymać od szargania mojego nazwiska, dopóki je prawnie nosisz. Uważam również, że w momencie, gdy ku obopólnemu zadowoleniu poczynione zostaną kroki rozwodowe, będę miał prawo do odszkodowania za stratę czasu etc., jak również za uszczerbek w karierze doznany z Twojej winy. Wyjeżdżam jutro do Pittsburgha, gdzie czeka na mnie nowa posada, i mam nadzieję, że praca pozwoli mi zapomnieć o tobie i o wielkim bólu, jaki mi sprawiłaś swoją niewiernością.

Zastanawiał się przez chwilę, jak zakończyć list, wreszcie napisał:

Kreślę się JWM

¹⁸⁷ Instytut Drexela - to Instytut Sztuki, Nauki i Przemysłu imienia Drexela (Drexel Institute of Art, Science and Industry), przemianowany w 1936 roku na Instytut Techniki imienia Drexela (Drexel Institute of Technology). Ufundowany w 1891 a otwarty w roku następnym z trzymilionowego zapisu filadelfijskiego bankiera i filantropa Anthony'ego Josepha Drexela (1826-1893), Instytut oferował kursy inżynierii, ekonomii, handlowości, nauk ścisłych, humanistycznych i społecznych. Czesne było bardzo umiarkowane, Instytut udzielał stypendiów i prowadził kursy wieczorowe, umożliwiające łączenie nauki z pracą. Drexel był również współwłaścicielem filadelfijskiej gazety „Public Ledger”, w której pracuje powieściowy Ward.

I wysłał.

Przez całą noc leżał z otwartymi oczami na górnym łóżku slipingu do Pittsburgha. Oto ma dwadzieścia trzy lata i żadnego wykształcenia ani zawodu, porzucił nawet aspiracje zostania kompozytorem. Niech to diabli, w każdym razie nie zgodzi się już więcej być pieskiem pannicy z towarzystwa. W slipingu panował zaduch, poduszka wciąż zwijała się w kłębek, po głowie snuły mu się urywki przemów reklamujących historię Bancrofta czy Bryanta. „W Delaware’u srebrnej fali przeglądają się...”. Potem głos pana Hillyarda perorującego adwokackim tonem z głębi kantorku w Wilmingtonie: „Grunt, panowie, to jedyny pewny, niezmienny, wypróbowany rodzaj inwestycji, nie narażony na niebezpieczeństwo wody i ognia. Właściciel gruntów łączy się nierozwiązalnymi więzami z rozwojem swego miasta i kraju. Mehoruje czy nie, w zależności od woli i chęci, siedząc sobie w domu, spokojnie i pewnie czeka, aż same wpadną mu w ręce bogactwa wytwarzane przez nieunikniony i niezmienny wzrost dobrobytu potężnego narodu...”. „Dla młodego człowieka o właściwych koneksjach oraz, że tak powiem, ujmujących manierach i solidnym klasycznym wykształceniu - mówił pan Oppenheimer - bankowość powinna stać się cennym polem do kultywowania cnót energii i dyplomacji, a również pracowitości...”. Czyjaś ręka szarpała go za okrycie.

- Proszę pana, Pittsburgh za trzy kwadransy – doszedł go głos czarnego posługacza.

Ward wciągnął spodnie, stwierdził ze złością, że tracą kanty, zeskoczył z łóżka, wsunął nogi w buty, które się lepily od czyszczenia naprędce poślednią pastą, i mijając na korytarzu potarganych ludzi, którzy się wynurzali z przedziałów, ruszył chwiejnie w stronę męskiej umywalni. Powieki miał sklezione, tęsknił za kąpielą. W wagonie było nieznośnie duszno, w umywalni pachniało bielizną i obcym mydłem do golenia. Przez okno widział czarne wzgórza przyprószone śniegiem, tu i ówdzie szyb kopalniane, szeregi szarych bud podobnych jedna do drugiej, brzegi rzeki poroite hałdami i zwałami żużla, fioletową koronkę drzew na zboczu wyraźną na czerwonym tle słońca, a niżej na tle wzgórza jaskrawoczerwony jak słońce język ognia nad wielkim piecem. Ogolił się, wyczyścił zęby, wyszorował jak mógł twarz i szyję, zrobił przedziałek na głowie. Jego szczęki i kości policzkowe nabierały kanciastego wyglądu, który go napawał zadowoleniem.

- Czysto wygolony młody człowiek na stanowisku - powiedział sobie, zapinając kołnierzyk i zawiązując krawat.

To Annabelle nauczyła go nosić krawat koloru oczu. Na myśl o niej nawiedziło go ulotne dotykalne wspomnienie jej warg i piżmowych perfum, których używała. Odepchnął od siebie tę myśl i jął pogwizdywać, ale zaraz urwał w obawie, że mężczyznom przy umywalkach może się to wydać dziwne. Wyszedł na pomost. Słońce stało już dość wysoko, wzgórza były różowoczarne, zagłębienia pomiędzy nimi błękitne od dymu z domów, w których gotowano śniadania. Wszędzie widać było teraz rzędy biednych domków, huty, szyby kopalń. Od czasu do czasu na jakimś wzgórzu

wyrastało pod niebo zbiorowisko ruder albo kompleks pieców hutniczych. Na przejazdach stały w błocie ciemno odziane postacie o szarych twarzach. Potem poczerniałe od sadzy ściany przesłoniły niebo. Pociąg przelatywał przez tunele, pod plataniną mostów, pędził głębokimi wykopami.

- Pittsburgh, Union Station - krzyknął posługacz.

Ward wsunął Murzynowi w rękę dwadzieścia pięć centów, wydobyl ze stosu swoją walizkę i rażnym, mocnym krokiem ruszył wzdłuż peronu, wciągając w płuca chłodne, pełne dymu powietrze hali dworcowej.

tej wiosny kiedy z tylnych okien najwyższego piętra Górnego Budynku można było nad koronami wiązów zobaczyć kometę Halleya pan Greenleaf oznajmił że musisz się przygotować, bo przystąpisz do konfirmacji jak przyjedzie biskup ale ty powiedziałeś Chudemu jak się następnym razem wybraliście na łódkę że nie przystąpisz do konfirmacji bo wierzysz w obozowanie pływaniem łódką kometę Halleya Wszechświat i szmer deszczu na płótnie namiotu tej nocy kiedy we dwóch czytaliście *Psa Baskerville'ow*¹⁸⁹ na drzewie powiesiliście mięso i jakiś pies musiał je wywęszyć bo krążył wkoło i wył że coś okropnego a ty miałeś duszę na ramieniu (ale nie powiedziałeś tego sam nie wiesz, co powiedziałeś)

a nie Kościół i Chudy odrzekł że nie możesz przystąpić do konfirmacji jak nie byłeś chrzczony poszedłeś powiedzieć panu Greenleafowi a on popatrzył na ciebie chłodno i oświadczył żebyś wobec tego nie przychodził więcej na religię i od tej pory musiałeś chodzić w niedzielę do kościoła ale mogłeś chodzić do którego ci się podobało czasami chodziłeś do kongregacyjnego a czasami do episkopalnego w tę niedzielę kiedy przyjechał biskup nie było już na niebie komety Halleya i przyglądałeś się jak inni przystępują do konfirmacji ciągnęło się to godzinami bo przystępowała także gromada dziewczynek i nic nie słyszałeś tylko mruczenie mruczenie to twoje dziecko mruczenie mruczenie to twoje dziecko i zastanawiałeś się czy będziesz jeszcze żył kiedy następnym razem ukaże się kometa Halleya

¹⁸⁸ Oko kamery (17) odnosi się do roku 1910, kiedy to 18 maja minęła nasz układ słoneczny kometą Halleya. W *Najlepszych czasach* Dos Passos pisze: „Wiosną, kiedy się ukazała kometą Halleya, byłem w Choate School w Wallingford, w stanie Connecticut. Pamiętam, jak przez świetlik poddasza w budynku, w którym miałem swój pokój, wpatrywałem się nie bez nabożeństwa w wielką kometę, która zajmowała potężny kawał nieba i wyglądała jak świecący fragment Mlecznej Drogi. John R. [ojciec] napisał mi z Wirginii, że wstał przed świtem, żeby zobaczyć kometę, i stwierdził, że jest istotnie wspaniała. Zastanawia się, czy komety są rodzaju żeńskiego. Gazety były pełne panicznych przewidywań tego, co może spotkać ludzi na Ziemi, kiedy się znajdą w prawdopodobnie trujących gazach jej ogona. John R. skomentował, że zabawne by było, gdyby wszystkich pobudziły do kichania”. Nie trzeba dodawać, że nie wydarzyło się nic szczególniejszego ponad to, że wielu ludzi spędziło ten dzień w piwnicach lub przynajmniej nie wychodziło z domów. Ojciec Dos Passosa wywodził się z rodziny katolickiej, był jednak krytycznie nastawiony do instytucji Kościoła. Matka, choć pochodziła z rodziny należącej do któregoś z Kościołów protestanckich, również, jak widać z tego Oka kamery, nie zabiegała o religijne wychowanie syna. W Choate School najbliższym jego kolegą był starszy od niego chłopiec, Franklin Nordhoff o przydomku Chudy (Skinny). W drugim roku pobytu młodego Dos Passosa w amerykańskim internacie ojciec kupił mu canoe i dwaj chłopcy uzyskali przywilej pływania po pobliskiej rzeczce i jeziorze Quinipiatic, urządzania wycieczek i obozowania nocą w weekendy.

¹⁸⁹ *Pies Baskerville'ow* (*The Hound of the Baskervilles*, 1902) - to być może najslawniejsza z opowieści sir Arthura Conan Doyle'a (1859-1930) o genialnym detektywie-amatorze Sherlocku Holmesie i jego przyjacielu doktorze Watsonie.

KRONIKA XIII

Znajdowałem się akurat przed Pałacem Narodowym, kiedy rozpoczęła się strzelanina. Rzuciłem się przez plac wraz z tysiącami spłoszonych mężczyzn, kobiet i dzieci, spośród których wielu padło nie dobiegłszy do celu

ODKRYCIE NIEZNANYCH SZCZYTÓW

O, Jim O'Sbearn, rozbitek na indyjskim brzegu, Ujął serca krajowców swym uśmiechem szczerym, Swoją irlandzką gębą pełną piegów

DOM WARIATÓW W SZTUCE

RABUSIE ZADOMOWIENI NA BEZLUDZIU

Waszyngton uważa za niefortunny, nielogiczny i niezasadny wybór generała Huerty na tymczasowego prezydenta Meksyku w miejsce obalonego prezydenta

TRZECH ZBIEGŁO Z MIASTA W OBAWIE PRZED OBLAWĄ

Nasypał w hotelu piasku do cukru pisarz oświadczył, że przybył do Ameryki jako wygnaniec i napotkał tylko podłość

LUNG JU¹⁹⁰, BYŁA CESARZOWA CHIN, UMARŁA W ZAKAZANYM MIEŚCIE

La cucaracha, la cucaracha Ya no quiere cammar, Porque no tiene, porque no tiene Marijuana que fumar¹⁹¹

ignorowanie klas niższych przy tworzeniu republiki może wywołać nowe powstanie

600 AMERYKANÓW UCIEKA ZE STOLICY

Na palce ci kupię pierścieni dużo

Na nogi dzwoneczków wianek,

I słonia ci kupię, irlandzka różo,

Nababem jest twój kochanek,

Więc spiesz, by na Świętego Patryka¹⁹² zdążyć dzień

I zostać panią Mumbo Jumbo Jijibhoy O'Shearn

¹⁹⁰ Lungju-to cesarzowa matka, która zmarła niedługo po tym, jak 12 lutego 1912, pod naciskiem republikańskiej rewolucji Sun Jat-sena (1866-1925), późniejszego twórcy Kuomintangu, zmuszona była podpisać w imieniu swego małoletniego syna dokument abdykacyjny mandżurskiej dynastii Czing, która rządziła Chinami od 1644 roku. Synem owym był sześćioletni wówczas Piu Ji (1906-1967), którego dramatyczną historię opowiedział Bernardo Bertolucci w filmie *Ostatni cesarz* (*The Last Emperor*, 1987). Zakazane Miasto to wzniesiona w XV wieku, otoczona wysokim murem, niedostępna dla zwykłych śmiertelników część Pekinu, w której stał pałac cesarski i inne budowle cesarskiego rządu Chin.

¹⁹¹ La cucaracha... (hiszp.) - Karaluch, karaluch / Nie chce już więcej spacerować, / Bo nie ma, bo nie ma / Marihuany do palenia.

¹⁹² Święty Patryk (ok. 389-ok. 461) - to apostoł i patron Irlandii. Urodzony prawdopodobnie w południowo-zachodniej Anglii jako syn rzymskiego urzędnika i diakona, został w wieku 16 lat porwany przez Piktów i sprzedany jako niewolnik do Irlandii. Uciekł po sześciu latach do Galii, gdzie otrzymał święcenia kapłańskie, po czym powrócił do Irlandii i rozpoczął pracę misyjną, nawracając najpierw ludność dzisiejszego Ulsteru, później innych części wyspy. Około 432 został mianowany drugim kolejnym biskupem Irlandii. Dzień świętego Patryka, 17 marca, jest narodowym świętem Irlandczyków, obchodzonym uroczysto również w diasporze. Na przykład Amerykanie irlandzkiego pochodzenia urządzają w tym dniu uroczyste parady we wszystkich większych miastach USA.

ELEONORA STODDARD

Kiedy była mała, nienawidziła wszystkiego. Nienawidziła ojca, tęgiego rudego mężczyzny z bokobrodami pachnącymi fajką. Pracował w biurach rzeźni, wracał do domu w ubraniu przesiąkniętym fetorem i opowiadał ociekające krwią dowcipy o rżnięciu baranów, wołów, świń i ludzi. Eleonora nie znosiła brzydkich zapachów i widoku krwi. W nocy śniło się jej, że mieszka sama z mamusią w wielkim czystym białym domu w Oak Parku¹⁹³. Jest zima, śnieg w ogrodzie i ona nakrywa stół białą płócienną serwetą i biało lśniącymi srebrami, stawia białe kwiaty i białą pierś kurczęcia przed mamusią, która jest damą z towarzystwa ubraną w biały aksamit, aż tu nagle na stole pojawia się maciupęńka czerwona plamka, która rośnie i rośnie, i mamusia zaczyna bezradnie trzepotać rękami, a ona stara się zetrzeć plamę, ale plama rośnie, rozlewa się na cały obrus, w jedno wielkie krwawe jezioro, i w tym momencie budziła się z koszmaru, z krzykiem i zapachem rzeźni w nozdrzach.

Kiedy skończyła szesnaście lat i była w gimnazjum, wraz z przyjaciółką, która miała na imię Isabelle, przyrzekły sobie, że się zabiją, jeżeli kiedykolwiek tknie je jakiś chłopiec. Ale na jesieni Isabelle dostała szkarlatyny, potem zapalenia płuc i umarła.

Jedyną osobą, którą Eleonora lubiła, była nauczycielka angielskiego, panna Oliphant¹⁹⁴. Panna Oliphant urodziła się w Anglii, jej rodzice przyjechali do Chicago, kiedy miała kilkanaście lat. Była wielką miłośniczką języka angielskiego i starała się przyzwyczaić swoich uczniów do używania szerokiego angielskiego „a”. Uważała, że ma prawo do wyrokowania w sprawach literatury angielskiej, gdyż jest krewną niejakiej pani Oliphant, literatki z połowy dziewiętnastego wieku, która tak pięknie pisała o Florencji. Od czasu do czasu zapraszała bardziej obiecujących uczniów, którzy sprawiali wrażenie dzieci z lepszych domów, na herbatę do małego mieszkanka, które zajmowała sama z sennym granatowym perskim kotem oraz gilem, i opowiadała im o Goldsmisie¹⁹⁵, o jędrnych powiedzonkach doktora Johnsona¹⁹⁶, o Keatsie¹⁹⁷ i cor cordium¹⁹⁸ (jakie

¹⁹³ Oak Park - to miejscowość w stanie Illinois, na zachodnim obrzeżu Chicago, znana z rezydencji wielu najbogatszych rodzin miasta. Tutaj urodził się i wychowywał Ernest Hemingway, tutaj mieszkał w latach 1890-1910 i zaprojektował wiele śmiałych na owe czasy willi wielki architekt Frank Lloyd Wright.

¹⁹⁴ Margaret Oliphant (1828-1897) była pisarką popularną w Anglii drugiej połowy XIX wieku. Wielodzietna, wcześniej owdowiała, wychowująca dzieci brata wdowca, utrzymywała rodzinę z niestrudzonego pisania. Zostawiła około stu tomów powieści, romansów, biografii i szkiców, świadczących o znacznym talencie, darze obserwacji i poczuciu humoru, niestety noszących jednak znamiona pośpiesznego tworzenia pod stałą presją finansową. Do jej najpamiętniejszych utworów należy tom *Makers of Florence (Budowniczość Florencji, 1876)*, do którego nawiązuje Dos Passos.

¹⁹⁵ Oliver Goldsmith (1730-1774), z pochodzenia Irlandczyk, był jednym z wielkich pisarzy angielskich XVIII wieku. Prozaik, dramaturg, poeta i eseista, słynął z plastyki opisów, eleganckiego stylu i dowcipu. Rozgłos zdobył serią satyrycznych listów drukowanych w piśmie „The Public Ledger”, opisujących współczesny Londyn oczami rzekomego Chińczyka, zebranych następnie w powieść epistolarną *Obywatel świata (The Citizen of the World, 1762)*. Spośród jego dalszych utworów do kanonu klasyki angielskiej weszły przede wszystkim powieść *Pleban z Wakefield (The Vicar of Wakefield, 1766)*, poemat *Wieś opuszczona (The Deserted Village, 1770)* oraz komedia *Niższa się, by podbić (She Stoops to Conquer, 1773)*. Głosił, w duchu sentymentalizmu epoki, prostotę życia przeciwstawianą światowemu zepsuciu.

¹⁹⁶ Samuel Johnson (1709-1784), tytułowany zwykle honorowym mianem doktora przyznanym mu w 1765 roku przez Trinity College w Dublinie, a przez wybitnego pisarza epoki, Tobiasa Smolletta, opatrzony przydomkiem wielkiego chana literatury (The Great Cham of Literature), był niezwykłą indywidualnością, nadającą ton angielskiemu życiu literackiemu epoki oświecenia. Z jego własnej twórczości pamiętane są dziś głównie szkice, którymi prawie całkowicie wypełniał wydawany przez siebie półtygodnik „The Rambler” (1750-1752), a

to okropne, że tak młodo umarł), o Tennysonie¹⁹⁹, że był taki nieuprzejmy wobec kobiet, o zmianie warty przed Whitehall²⁰⁰, o winnej latorośli, którą Henryk VIII zasadził w Hampton Court²⁰¹, i o nieszczęsnej Marii Królowej Szkotów²⁰². Rodzice panny Oliphant byli katolikami i

następnie cotygodniowe szkice drukowane w latach 1758-1760 w dwu różnych pismach pod zbiorczym tytułem *The Idler* (Próżniak); oraz dydaktyczna powieść *Historia Rasselasa, księcia Abisynu* (*History of Rasselas, Prince of Abyssinia*, 1759) - we wszystkich tych utworach Johnson głosił racjonalistyczne idee epoki. Zapisał się jednak najtrwalej w historii kultury angielskiej jako autor pierwszego słownika języka angielskiego (*Dictionary of the English Language*, 1755), obejmującego około 40 000 haseł z komentarzami i przykładami użycia; jako pierwszy krytyczny wydawca dzieł W. Szekspira (1765); oraz jako autor dziesięcio-tomowych *Żywotów poetów angielskich* (*The Lives of the English Poets*, 1778-1781), łączących zresztą biografię z krytyką literacką. W pamięci potomnych sylwetkę Johnsona utrwalił jego znacznie młodszy przyjaciel, James Boswell (1740-1795), w swoim *Żywocie Samuela Johnsona, doktora praw* (*The Life of Samuel Johnson, LL. D.*, 1791), uważanym za jedną z najwspanialszych biografii w literaturze angielskiej. Boswell poznał Johnsona w 1763 i utrzymywał z nim nieprzerwany kontakt aż do jego śmierci, między innymi na spotkaniach Klubu Literackiego założonego przez Johnsona w 1764, a skupiającego wielu luminarzy epoki. Notował on na gorąco wspaniałe monologi, błyskotliwe wypowiedzenia i soczyste wypowiedzi swego bohatera, do których aluzję czyni fikcyjna panna Oliphant.

¹⁹⁷ John Keats (1795-1821), jeden z czołowych angielskich poetów romantycznych, zmarł na suchoty w wieku 26 lat. W ciągu pięciu krótkich lat gorączkowej twórczości napisał kilka poematów (*Endymion*, 1818; *Hyperion*, 1819) i wierszy (*Oda na grecką wazę* [*Ode on a Grecian Urn*, 1819], *Oda do słowika* [*Ode to a Nightingale*, 1819]), zaliczanych do szczytowych osiągnięć poezji angielskiej.

¹⁹⁸ Cor cordium (łac. serce serc) - to napis na nagrobku innego wielkiego romantycznego poety angielskiego, Percy Bysshe Shelleya (1792-1822), na cmentarzu protestanckim w Rzymie. Shelley zginął również młodo, w wieku niespełna 30 lat, gdy jego łódź zatoniła podczas burzy w drodze z Lerici do La Spezia na Morzu Liguryjskim. Z jego twórczości weszło na stałe do klasyki angielskiej, oprócz garści liryków, kilka dłuższych utworów poetyckich poświęconych sprawie walki o wolność, tragedia *Rodzina Cencich* (*The Cenci*, 1819), dramat liryczny *Prometeusz rozpięty* (*Prometheus Unbound*, 1820) oraz esej *Obrona poezji* (*Defence of Poetry*, 1821). Bardzo sławna jest też wspomniana dalej elegia, którą Shelley napisał na śmierć Keatsa, *Adonais* (1821). We wstępie przyrównuje on brutalny atak na poemat Keatsa *Endymion* w piśmie „Quarterly Review” do śmiertelnej napaści dzika na kochanka Afrodyty, Adonisa - stąd tytuł elegii.

¹⁹⁹ Alfred Tennyson (1809-1892), w 1884 mianowany przez królową Wiktorię baronem i odtąd znany jako lord Tennyson, był najbardziej popularnym i cenionym poetą angielskim XIX wieku, piastującym od 1850 oficjalną dworską godność poety laureata. Jego późnoromantyczna twórczość, deprecjonowana w pierwszej połowie naszego stulecia, wróciła ostatnio do łask. Szeroko znane są jego łatwo wpadające w ucho wiersze, wyrażające rozdarcie między romantycznym idealizmem a rzeczywistością epoki. Do najpamiętniejszych należy cykl refleksyjnych elegii pisanych przez 17 lat po śmierci dwudziestodwuletniego przyjaciela młodości, Arthura Hallama, *In Memoriam A. H. H.* (1850), oraz cykl dziesięciu narracyjnych poematów nawiązujących do legend o królu Arturze, *Idylle królewskie* (*Idylls of the King*), publikowanych w latach 1859-1885. Tennyson, jedno z dwanaścioro dzieci pastora alkoholika, z których dwaj synowie popadli w obłęd a trzeci cierpiał jak ojciec na chorobę alkoholową, był mimo ogromnych sukcesów swego dojrzałego życia osobowością niezrównoważoną, miotaną wątpliwościami i zmiennymi nastrojami, stąd być może wytknięta przez pannę Oliphant jego „nieuprzejmość wobec kobiet”. Skądinąd w trosce o równe prawa dla nich napisał w 1850 cały poemat *The Princess* (*Księżniczka*).

²⁰⁰ Whitehall - to ulica w centrum Londynu, niedaleko Parlamentu i Opactwa Westminsterkiego, przy której rozegrało się wiele wydarzeń historycznych i przy której mieści się obecnie kilka gmachów rządowych: Admiralicja, Ministerstwo Wojny, Skarb, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo do Spraw Szkolnictwa. Nazwa pochodzi od pałacu Whitehall, wybudowanego przez kardynała Thomasa Wolseya, lorda kanclerza złożonego w 1529 roku z urzędu przez Henryka VIII, kiedy na niczym spełzły jego zabiegi o uzyskanie od papieża dla króla rozwodu z Katarzyną Aragońską, co w rezultacie doprowadziło do schizmy i powstania Kościoła Anglikańskiego. Z pałacu skonfiskowanego przez króla pozostała obecnie tylko tak zwana Sala Bankietowa (Banqueting Hall), dobudowana później, w 1622. Na Whitehall mieszczą się również koszary Gwardii Królewskiej, przed którymi odbywa się codziennie półgodzinne widowisko zmiany warty, ściągające tłumy ciekawych.

²⁰¹ Hampton Court - to zamek nad Tamizą, około 20 kilometrów od Londynu, wybudowany w 1514 roku przez tego samego kardynała Wolseya i również skonfiskowany przez Henryka VIII. Do końca panowania Jerzego II (1760) stanowił główną rezydencję królewską. Mieści się tu obecnie galeria sztuki oraz ogrody ze sławną winnicą i żywopłotem uformowanym w labirynt.

²⁰² Maria królowa Szkotów (Mary Queen of Scots, 1542-1587), powszechnie znana jako Maria Stuart, była nominalnie królową Szkocji od chwili, gdy w kilka dni po jej narodzinach zmarł jej ojciec, król Jakub V. Famę „nieszczęsnej” ugruntowało jej w oczach potomnych ostatnie 19 lat życia, które spędziła formalnie jako gość, a faktycznie jako więźniarka na dworze angielskiej królowej Elżbiety I po tym, jak w 1567 roku, wobec rebelii poddanych, musiała abdykować na rzecz rocznego syna i salwować się ucieczką. Maria rościła pretensje do tronu angielskiego, uważając Elżbietę zrodzoną ze związku Henryka VIII Tudora z Anną Boleyn za uzurpatorkę. Została z wyroku sądu, podpisanego jakoby omyłkowo przez Elżbietę, skazana i ścięta za knuty faktycznie czy rzekomo spisek przeciwko niej. Dramatyczne życie nieszczęsnej Marii zostało wysoce uromantyzowane przez tradycję i literaturę - jest ona bohaterką utworów kilku spośród najwybitniejszych pisarzy różnych krajów, między innymi poematu epickiego Hiszpana Lope de Vega (1627), tragedii Włocha Vittoria Alfieri (1789), tragedii Niemca Friedricha Schillera (1800), dramatu Polaka Juliusza Słowackiego (1830), trzech tragedii Anglika Algernona Swinburne'a (1865, 1874, 1881). Sądząc Marię po godnym zachowaniu w ostatnim okresie życia, zapomina i wybacza jej się wiele nierozważnych i wstydliwych epizodów z okresu jej panowania w Szkocji - niefortunny wybór mężów i faworytów, który pociągnął katastrofalne skutki, czy drakońskie ustawy antykatolickie, na jakie przystąpiła pod naciskiem fanatycznego założyciela religii prezbiteriańskiej, Johna Knoxa. Sama Maria nie odstąpiła jednak od katolicyzmu, co zresztą przyczyniło się do jej upadku.

uważali Stuartów²⁰³ za prawowitych dziedziców brytyjskiego tronu, a nim wypili za zdrowie króla, przesuwali każdy kieliszek wina nad dzbankiem wody. Wszystko to bardzo ekscytowało chłopców i dziewczęta, a najbardziej Eleonorę i Isabelle, którym panna Oliphant stawiała dobre stopnie z wypracowań i które zachęcała do czytania. Eleonora bardzo ją lubiła i bardzo uważała na lekcjach. Ilekroć panna Oliphant wypowiedziała zdanie w rodzaju: „Arcydziela prozy angielskiej” lub „Książątka uwięzione w Tower”²⁰⁴, lub „Święty Jerzy²⁰⁵ i Wesola Anglia”²⁰⁶ - małe szpileczki przebiegały jej po krzyżu. Kiedy umarła Isabelle, panna Oliphant była dla niej taka kochana, zaprosiła ją samą jedną na herbatę i dźwięcznym kruchym głosem czytała *Lycidas*²⁰⁷, i powiedziała jej, żeby sobie przeczytała *Adonais*, jak wróci do domu, bo ona nie może tego czytać na głos, wie, że by się rozplakała. Potem opowiadała o swojej przyjaciółce z lat dziecińczych, małej Irlandce o rudych włosach i przejrzystej ciepłej białej skórze, zupełnie jak Koronne Darby, moja droga, i jak ta jej przyjaciółka pojechała do Indii i umarła na febrę, a panna Oliphant myślała, że nigdy

²⁰³ Po śmierci Elżbiety I w 1603 roku, Stuartowie zasiadali na tronie angielskim (z przerwą na lata republiki Cromwellowskiej, 1649-1660), poczynając od Jakuba I, syna Marii Stuart, do jej prawnuczki Anny, która zmarła bezdzietnie w 1714. W momencie jej śmierci istniała równoległa męska linia Stuartów, była ona jednak aktem parlamentu z 1701 roku wykluczona od dziedziczenia tronu jako katolicka. Już w 1689 zdeponowany jako katolik został Jakub II Stuart na rzecz jego protestanckiej córki Mary, a po protestance Annie tron objął protestant Jerzy II ze spokrewnionej po kądzieli niemieckiej dynastii hanowerskiej. Zwyczaj zwolenników dynastii Stuartów przesuwania kieliszków nad dzbankiem wody, gdy pili za zdrowie króla, wywodził się stąd, że kolejni pretendenci tej dynastii do tronu angielskiego rezydowali na wygnaniu „za wodą”, to jest na kontynencie europejskim, najczęściej we Francji. Wprawdzie główna linia Stuartów wygasła w 1807 ze śmiercią Henryka, kardynała Yorku, i żaden z pozostałych Stuartów nie wysuwał już później bezpośrednich roszczeń do tronu angielskiego, zwyczaj przetrwał jednak dłużej.

²⁰⁴ Małe książątka - to synowie króla Edwarda IV zmarłego w 1483 roku, trzynastoletni nie koronowany król Edward V i jego jedenastoletni brat Richard, uwięzieni w londyńskiej twierdzy Tower przez stryja i opiekuna, późniejszego króla Ryszarda III (1452-1485), który dążył do zapewnienia sobie sukcesji, dowodząc, że bratankowie zostali zrodzeni z nielegalnego związku jego starszego brata. Mali książęta zniknęli w czerwcu 1483, po miesięcznym uwięzieniu, a tradycja utrwaliła powszechne domniemanie, że zostali zgładzeni na polecenie Ryszarda, na co nie ma jednak dowodów. W Opatwie Westminsterskim przechowywano od 1674 roku kości wykopane podczas przebudowy najstarszej części Tower, które w 1933 poddano badaniom ekspertów - orzekli oni, iż są to szczątki dzieci w wieku odpowiadającym małym książętom. Co do Ryszarda III, to jest on tytułowym bohaterem jednego z najwspanialszych dramatów historycznych W. Szekspira (napisanego prawdopodobnie w 1593), który nie poskąpił mu fascynującej osobowości, uczynił z niego jednak wcielenie wszelkiego zła. Szekspir opierał się tu na kronice Holinsheda z 1578 roku, pisanej za panowania dynastii Tudorów, którzy stracili z tronu Ryszarda, trzeciego i ostatniego króla z dynastii Yorków, i którzy zadbali o utrwalenie w tradycji jak najczarniejszej jego podobizny. Historycy mają dzisiaj duże wątpliwości co do prawdziwości tego wizerunku, uległy jednak zniszczeniu wszelkie dokumenty, które mogłyby się przyczynić do wyjaśnienia sprawy.

²⁰⁵ Święty Jerzy (Saint George) - to patron Anglii, urodzony według tradycji w Kapadocji w Azji Mniejszej, a zamęczony w Lyddzie (terytorium dzisiejszego Izraela) około roku 303, za czasów rzymskich. Za panowania cesarza Dioklecjana (284-305) miał on rzekomo odwiedzić Anglię i przeciwstawiać się tam prześladowaniu chrześcijan. Za swego patrona wzięli go w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej Normanowie pod wodzą księcia Roberta Curthose'a, syna Wilhelma Zdobywcy, którym przyszedł on jakoby z pomocą podczas oblężenia Antiochii w 1098 roku. W 1222 roku synod w Oksfordzie nakazał świętowanie w całym kraju jego dnia, 23 kwietnia, a około 1384 oficjalnym patronem Anglii obwołał go król Edward III. Jednakże dzień świętego Jerzego obchodzony jest obecnie tylko w Anglii, gdyż Kościół katolicki, wobec braku dokumentacji jego istnienia, zdjął go z pocztu świętych. Ze świętym tym wiąże się wiele legend, z których najbardziej znane jest podanie o zabiciu przez niego smoka terroryzującego pewne pogańskie miasto w Libii. Smok pojawia się w ogóle często w chrześcijańskich legendach jako symbol zła pokonywanego przez bohatera obrońcę wiary. W ikonografii jako poskromiciele smoka występują obok świętego Jerzego również święci Michał, Małgorzata, Sylwester i Marta, a Chrystusa i Matkę Boską przedstawia się niekiedy depreczających smoka.

²⁰⁶ Wesola Anglia (Merry England) - to tradycyjne wyobrażenie dawnej Anglii jako spokojnej, sielankowej krainy. Słowo „merry” (pisane niegdyś: „merrie”) znaczyło w dawnej angielszczyźnie tyle, co „przyjemny”, dopiero później nabrało dzisiejszego znaczenia.

²⁰⁷ *Lycidas* (1637) - to druga (obok *Adonais* Shelleya) z najpiękniejszych angielskich elegii, pióra bodajże największego poety angielskiego XVII stulecia, Johna Milтона (1608-1674), autora *Raju utraconego*. Oplakując śmierć dwudziestopięcioletniego przyjaciela uniwersyteckiego Edwarda Kinga, który utonął w Morzu Irlandzkim, Milton snuje tu refleksje nad światem, w którym umierają obiecujący młodzi ludzie, a triumfują fałszywi poeci i kapłani. Pisana dźwięcznym wierszem i utrzymana w podniosłym stylu, elegia nawiązuje do obrazowania starogreckiej poezji pastoralnej. Tytuł pochodzi od imienia pasterza z trzeciej *Bukoliki* rzymskiego poety Wergiliusza.

nie przeżyje bólu, i w jaki sposób powstało Koronne Darby, jak jego wynalazca wydał ostatniego pensa opracowując formułę tej porcelany i potrzebował trochę złota jako ostatniego składnika, a w domu wszyscy głodowali, nie zostało już nic prócz obrączki żony i żeby utrzymać ogień w piecu garncarskim, palili krzesłami i stołami, aż w końcu wyprodukował tę cudowną porcelanę, której używa wyłącznie rodzina królewska.

To właśnie panna Oliphant nakłoniła Eleonorę do studiów w Instytucie Sztuki²⁰⁸. Na ścianach w swoim mieszkaniu miała reprodukcje obrazów Rossettiego i Burne-Jonesa i często mówiła Eleonorze o Bractwie Prerafaelitów²⁰⁹. Wpoila jej przekonanie, że Sztuka jest czymś białym jak kość słoniowa, bardzo czystym i szlachetnym, odległym i smutnym.

Kiedy jej matka umarła na złośliwą anemię, Eleonora była chudą osiemnastoletnią dziewczyną, w dzień pracującą w sklepie z koronkami przy linii obwodowej kolei nadziemnej, wieczorami studiującą sztukę stosowaną w Instytucie. Po pogrzebie wróciła do domu, spakowała manatki i wyprowadziła się do Domu Dziewcząt imienia Moody'ego²¹⁰. Rzadko kiedy odwiedzała ojca. Czasami dzwonił, żeby z nią porozmawiać, ale nie podchodziła do telefonu, jeśli tylko mogła. Najchętniej w ogóle by o nim zapomniała.

W sklepie lubili ją, bo była taka subtelną i, jak mówiła właścicielka pani Lang, dodawała firmie jakiegoś nieuchwytnego szyku, ale płacili jej tylko dziesięć dolarów tygodniowo, z czego pięć szło na komorne i wikt. Nie jadła dużo, lecz potrawy podawane w jadalni były takie nieapetyczne, a przy tym w ogóle nie lubiła siedzieć z innymi dziewczętami, tak że od czasu do czasu ku-

²⁰⁸ Instytut Sztuki (Art Institute) w Chicago nosi tę nazwę od roku 1882. Powstał trzy lata wcześniej jako Chicagowska Akademia Sztuk Pięknych (Chicago Academy of Fine Arts), wyrosła z istniejącej już od 1866 Chicagowskiej Akademii Rysunku (Chicago Academy of Drawing). Mieści się w budynku wzniesionym w stylu włoskiego renesansu w Parku Granta w związku z Kolumbijską Wystawą Światową. Dzisiaj jest to przede wszystkim jedno z najbogatszych muzeów świata, z afiliowaną szkołą sztuk pięknych i dramatycznych. Najślawniejsze są jego zbiory francuskich impresjonistów i post-impresjonistów, między innymi płócien Seurata, Renoira, Degasa, Moneta, Van Gogha, Cezanne'a i Toulouse-Lautreca. Muzeum posiada również wspaniałe obrazy mistrzów flamandzkich i holenderskich (wśród nich Rembrandta) oraz hiszpańskich (wśród nich El Greca). Z malarzy XX wieku reprezentowani są między innymi Picasso, Matisse, Modigliani, Kandinsky, Leger, Miro, Braque, Pollock i de Koonig. Oprócz malarstwa Instytut ma bogate galerie rzeźby, rycin, tkanin, mebli i sztuki orientalnej.

²⁰⁹ Bractwo Prerafaelitów (the Pre-Raphaelite Brotherhood) - to ugrupowanie malarzy i poetów założone w Anglii w 1848 roku. Odrzucając panujące w ówczesnej sztuce neoklasyczne, akademickie konwencje, których korzeni dopatrywali się w malarstwie Rafaela i późnego renesansu, prerafaelici nawiązywali do wyczulonego na szczegół, wyidealizowanego widzenia natury przez wczesne malarstwo włoskie. Odtrutki na materializm epoki gwałtownej wiktoriańskiej industrializacji szukali chętnie w tematyce średniowiecznej i quasi-religijnej, tworząc wysoce stylizowane, często manieryczne kompozycje, cenione i naśladowane później, na przełomie XIX i XX wieku, przez twórców okresu modernizmu. Jako grupa zapisali się trwale w malarstwie niż w literaturze, jakkolwiek ich czołowy przedstawiciel, Dante Gabriel Rossetti (1828-1882), celował również na polu poezji, w której kontynuował tradycje romantyczne, nawiązując szczególnie do spuścizny Keatsa. Grupa rozwiązała się formalnie w 1854 roku, jednakże w 1856 próbowało ją odrodzić w Oksfordzie kilku twórców nie należących do niej pierwotnie, wśród których jedną z największych indywidualności był malarz, witrażysta i drzeworytnik sir Edward Burne-Jones (1833-1898). Jego symboliczne kompozycje, czerpiące tematykę z wielkich dzieł literatury, z tradycji klasycznych i średniowiecznych, często przepojone duchem religijnym, niekiedy wręcz mistycznym, uważane są dziś za sztandarowe okazy sztuki prerafaelitów.

²¹⁰ Dwight Lyman Moody (1837-1899) porzucił w 1856 roku pracę sprzedawcy butów w Bostonie, by się całkowicie poświęcić pracy misyjnej w Chicago. Przeszedłszy z unitarianizmu na kongregacjonizm, założył szkołę niedzielną, przekształconą z czasem w Kościół, którego był świeckim pastorem. W 1870 wszedł w kontakt z kompozytorem i śpiewakiem hymnów Ira Sankey (1840-1908) i wespół z nim objeżdżał aż do śmierci Stany i Wielką Brytanię, ściągając tłumy swoimi wystąpieniami ewangelicznymi. W roku 1879 ufundował w Chicago zakład kształcenia religijnego dziewcząt, w 1881 - chłopców, a w 1889 założył Instytut Biblijny, obecnie jego imienia (Moody Bible Institute), kształcający działaczy religijnych.

powała sobie dodatkową butelkę mleka, które wypijała w pokoju, i w rezultacie zdarzało się, że zostawała bez pieniędzy na ołówki i brystol i musiała iść do ojca po parę dolarów. Dawał chętnie, ale jakoś tym bardziej go za to nienawidziła.

Wieczorami siedziała w swojej obskurnej klitce z ohydą kapą na ohydny żelazny łóżku i przy odgłosie hymnów śpiewanych w sali rekreacyjnej czytała Ruskina lub Patera²¹¹, których wypożyczała z Biblioteki Publicznej. Czasami książka osuwała jej się na kolana i przez cały wieczór siedziała z oczami utkwionymi w mdłej, czerwono jarzącej się żarówce elektrycznej, jedynej, na jaką pozwalała dyrekcja.

Ilekoć poprosiła o podwyżkę, pani Lang mówiła:

- Ty przecież wyjdiesz niedługo za mąż, rzucisz pracę, moja droga. Dziewczyna tej klasy, z takim szykiem jak ty, nie pozostanie długo samotna, a wtedy nie będzie ci potrzebna podwyżka.

W niedzielę wsiadała zwykle do pociągu i jechała do Pullman, gdzie siostra jej matki miała domek. Ciotka Betty była spokojną gospodarną kobietą, która wszystkie dziwactwa Eleonory kładła na karb panieńskich fochów i z niezmaconą pogodą próbowała wynaleźć dla niej odpowiedniego konkurenta. Jej mąż, wuj Joe, był majstrem w walcowni. Po latach pracy w huku ogłuchł całkowicie, utrzymywał jednak, że w walcowni doskonale słyszy, co się do niego mówi. W lecie spędzał całe niedziele z motyką w ogródku, gdzie hodował sałatę i astry. W zimie i przy niepogodzie siedział w pokoju od frontu, czytając „Magazyn Kolejarza”. Ciotka Betty robiła wymyślny obiad według przepisów „Dziennika Pani Domu”²¹², Eleonorę prosiła zaś, by ułożyła kwiaty na stół. Po obiedzie ciotka Betty zmywała statki, a Eleonora je wycierała, kiedy zaś starsi państwo udawali się na poobiednią drzemkę, siedziała we frontowym pokoju czytając kolumnę towarzyską „Chicago Tribune”. Po kolacji, jeżeli była ładna pogoda, starsi państwo odprowadzali ją na stację, wsadzali do pociągu i ciotka Betty żegnała ją westchnieniem, że to wstyd i hańba, żeby taka ładna dziewczyna mieszkała sama jedna w wielkim mieście. Eleonora uśmiechała się promiennie gorzkim uśmieszkiem i odpowiadała, że jej to nie przeraża.

W niedzielę wieczorem pociągi do miasta były zatłoczone młodymi mężczyznami i dziewczętami opalonymi, wygniecionymi i lepiącymi się po całodziennym obozowaniu na trawie

²¹¹ John Ruskin (1819-1900) i Walter Pater (1839-1894) - to angielscy pisarze znani głównie jako eseści i historycy sztuki, zblizeni do ruchu prerafaelitów. Jak oni upatrywali w pięknie odtrutkę na materializm epoki, z tym, że Ruskin głosił potrzebę szerzenia przez sztukę wielkich idei „dla zdrowia duchowego człowieka” i skłaniał się w późniejszym okresie życia ku socjalizmowi, Pater zaś, związany z Uniwersytetem Oksfordzkim i bardziej oddalony od rzeczywistości społecznej, formułował doktrynę estetyczną zblizoną do teorii sztuki dla sztuki. Obaj zostawili podstawowe opracowania z zakresu historii sztuki, w głównej mierze włoskiej, z tym, że Pater poświęcił większość życia studiom nad renesansem, Ruskin, znacznie wszechstronniejszy, pisał zarówno o sztuce bizantyjskiej, jak o malarstwie współczesnym, interesował się architekturą i kształtowaniem krajobrazu, przyczynił się walenie do rehabilitacji gotyku.

²¹² „Dziennik Pani Domu” („Ladies’ Home Journal”) - to najpopularniejsze pismo kobiece Ameryki. Powstałe w 1883 jako comiesięczny dodatek do filadelfijskiej gazety „Tribune and Farmer”, w 1903 stało się pierwszym miesięcznikiem adresowanym do lepiej sytuowanych czytelników, który przekroczył milion nakładu. W 1960 miało 6 milionów nakładu, a jednorazowe ogłoszenie reklamowe na tylną okładkę kosztowało 38 500 dolarów. W 1990 nakład spadł do 5 milionów, natomiast cena całostronicowej kolorowej reklamy wzrosła do 62 200. Pismo przyciągało czytelniczki swoimi gawędziarskimi intymnymi poradami w sprawach osobistych, rodzinnych i domowych, ale obok nich drukowało utwory znakomitych autorów, reprodukcje dzieł wybitnych artystów, artykuły głośnych popularyzatorów nauki i osobistości pub-

czy wydmach. Eleonora czuła do nich wstręt, tak samo jak do włoskich rodzin z rozwrzeszczanymi bachorami, które napępniały powietrze odorem wina i czosnku, do Niemców o twarzach czerwonych po długich godzinach spędzonych na picu piwa i do podchmielonych fińskich i szwedzkich robotników gapiących się na nią z niebieskim alkoholycznym błyskiem źrenic w drewnianych twarzach. Czasami któryś próbował ją zaczepiać i musiała przechodzić do innego wagonu.

Raz, gdy pociąg był szczególnie zatłoczony, jakiś kędzierzawy mężczyzna zaczął się o nią niedwuznacznie ocierać. Było tak ciasno, że nie mogła się odsunąć. Całą siłą woli powstrzymywała się, by nie narobić krzyku, a to tylko dlatego, że uważała awantury za rzecz wysoce wulgarną. Kiedy się wreszcie wydostała z dworca, ogarnęła ją nieprzezwyciężona słabość i musiała po drodze wstąpić do drogerii na łyk spirytusu aromatycznego. Jeszcze cała drżąca wpadła do Domu Moody'ego i pobiegła na górę. Zbierało jej się na torsje i jedna z dziewcząt, która ją potem zastała wymiotującą w łazience, zmierzyła ją dziwnym wzrokiem. Czuła się okropnie nieszczęśliwa i myślała w takich chwilach o samobójstwie. Miała paralizujące bóle podczas każdej menstruacji i musiała leżeć przynajmniej dzień w łóżku. Często czuła się podle przez cały tydzień.

Któregoś jesiennego dnia zadzwoniła do pani Lang, że jest chora i nie może wstać. Wróciła na górę i leżała czytając *Romolę*. Czytała tom po tomie *Pisma wszystkie* George Eliot²¹³, które były w miejscowej bibliotece. Kiedy stara sprzątaczką przyszła posłać łóżko, powiedziała:

- Chora jestem. Sama posprzątam, pani Koontz.

Ale po południu zaczął jej doskwierać głód i skotłowana pościel. Wstydziła się trochę, że myśli o wyjściu, chociaż powiedziała pani Lang, że jest chora i nie może wstać, ale nagle doznała uczucia, że się udusi, jeśli zostanie w pokoju choćby minutę. Ubrała się starannie i zeszła na dół, z duszą na ramieniu.

- Widzę, że nie jesteś taka chora - powiedziała zarządzająca, pani Biggs, kiedy przechodziła przez hali.

- Potrzebuję trochę powietrza.

- Bieda z tą dziewczyną - usłyszała jeszcze w drzwiach mamrotanie pani Biggs, która była wobec niej bardzo podejrzliwa, ponieważ Eleonora studiowała w Instytucie Sztuki.

Czując się słabo, wstąpiła do drogerii i poprosiła o trochę spirytusu aromatycznego z wodą.

licznych. Wychodzi do dzisiaj.

²¹³ George Eliot - to męski pseudonim, pod jakim publikowała jedna z wybitnych wiktoriańskich pisarek angielskich, Mary Ann Evans (1819-1880). Racjonalistka, zaprzyjaźniona z Herbertem Spencerem, żyjąca w wolnym związku z nie rozwiedzionym mężczyzną, George Eliot zaczęła pisać mając bez mała czterdzieści lat. Zostawiła sześć powieści zaliczanych dziś do kanonu realistycznej prozy angielskiej XIX wieku, cenionych za wnikliwe studia charakterologiczne bohaterów, których umieszcza w ostro zarysowanym kontekście społecznym i stawia przed trudnymi problemami życiowymi, wymagającymi dramatycznych wyborów moralnych. Za jej arcydzieło uważa się powieść *Middlemarch: studium z życia prowincji* (*Middlemarch: A Study of Provincial Life*, 1871-1872). *Romola* (1863) jest jej jedyną powieścią historyczną, zainspirowaną podróżą do Florencji i poprzedzoną szerokimi studiami nad XV-wieczną historią tego miasta. Tytułowa bohaterka, rozdarta między wynaturzeniami renesansowego hedonizmu męża i graniczącego z okrucieństwem ascetyzmu mnicha Savonaroli (ta historyczna postać jest jednym z głównych bohaterów powieści), próbuje odnaleźć

Dojechała tramwajem do Grant Parku. Porywisty północno-zachodni wiatr niósł wzdłuż jeziora wirujące tumany piasku i papierów. Weszła do Instytutu Sztuki i poszła na górę, do sali Stickneya, popatrzeć na obrazy Whistlera. Lubiła Instytut Sztuki bardziej niż cokolwiek w Chicago, cokolwiek w świecie, jego spokój, nieobecność natrętnych mężczyzn, gładki zapach werniksu bijący od obrazów. Tylko w niedzielę, kiedy przychodziły tłumy, robiło się tu okropnie. Dzisiaj nie było w sali Stickneya nikogo prócz niej i eleganckiej dziewczyny w popielatym lisie na szyi i w małym popielatym kapelusiku z piórkami. Dziewczyna nie odrywała wzroku od portretu Maneta, Eleonorę to zaciekawiło; bardziej udawała, niż patrzyła naprawdę na swoje Whistlery. Przy każdej sposobności zerkała na nieznajomą. W końcu znalazła się obok niej, również wpatrzona w portret Maneta. Nagle ich wzrok się spotkał. Dziewczyna miała piwne oczy o migdałowym wykroju, dość szeroko rozstawione.

- Moim zdaniem to najlepszy malarz świata - powiedziała wojowniczym tonem, jakby czekając, czy Eleonora odważy się zaprzeczyć.

- Tak, ja też uważam, że jest uroczy - odparła Eleonora, starając się opanować drżenie głosu. - Bardzo lubię ten obraz.

- Wie pani, że to nie jest obraz samego Maneta, tylko Fantin-Latoura*. - powiedziała tamta.

- Wiem, oczywiście - rzekła Eleonora.

Nastąpiła chwila milczenia. Eleonorę ogarnął lęk, że rozmowa na tym się urwie, ale tamta dziewczyna dodała:

- Jakie pani jeszcze lubi obrazy?

Eleonora popatrzyła uważnie na Whistlery, po czym powiedziała powoli:

- Lubię Whistlera, Corota...

- Ja też, ale najbardziej lubię Milleta. Jest taki okrągły, taki ciepły. Była pani kiedy w Barbizonie²¹⁴?

- Nie, ale marzę o tym. - Znowu nastąpiła pauza. - Ale nie uważa pani, że Millet jest trochę prymitywny? - zaryzykowała Eleonora.

własną drogę.

²¹⁴ Barbizon-to wieś na skraju Lasu Fontainebleau, około 40 kilometrów na południe od Paryża, gdzie w 1835 roku osiedlił się malarz francuski Theodore Rousseau (1812-1867), dookoła którego skupiła się wkrótce grupa malarzy pejzażystów, nazwana następnie szkołą barbizońską. Nowatorstwo barbizończyków, stanowiące reakcję przeciwko obowiązującemu wówczas klasycyzującemu akademizmowi, polegało na tym, że wyszli oni z atelier w plener i zamiast stylizowanych kompozycji mitologicznych czy historycznych malowali nastrojowe sceny z bezpośredniej obserwacji przyrody i ludzi. Wspomniani tutaj Jean Baptiste Camille Corot (1796-1875) oraz Jean-Francois Millet (1814-1875), którzy formalnie nie należeli do grupy barbizońskiej, uchodzą dzisiaj za najwybitniejszych obok Rousseau wyrazicieli reprezentowanych przez nią tendencji. Malarstwo barbizończyków, prekursorskie w stosunku do impresjonizmu, było niezmiernie cenione przez amerykańskich estetów na przełomie XIX i XX wieku, wzbudzając niemal taki sam zachwyt jak płótna wspomnianego tu impresjonisty Eduarda Maneta (1834-1883) czy nieco do impresjonistów zbliżonego malarza amerykańskiego osiadłego w Anglii, Jamesa Abbotta McNe-illa Whistlera (1834-1903), na którym pierwszy poznał się John Ruskin (por. przypis do s. 249). Wspomniany tutaj portrecista Maneta, Henri Jean Theodore Fantin-Latour (1836-1904), jakkolwiek współczesny barbizończykom i impresjonistom, miał swój odrębny, bardziej konserwatywny styl, który nadawał niemal fotograficzną wierność jego płótnom. Pozostawił wiele indywidualnych i grupowych portretów malarzy i pisarzy z paryskiego światka artystycznego, w którym się obracał.

- Ma pani na myśli te chromolitografie *Anioła Pańskiego*²¹⁵? Tak, ja wprost gardzę i brzydzę się uczuciem religijnym na obrazie, pani też?

Eleonora nie bardzo wiedziała, co odrzec, więc potrząsnęła głową i powiedziała:

- Tak przepadam za Whistlerem! Kiedy patrzę na jego obrazy, mogę potem wyjrzeć przez okno i wie pani, wszystko wydaje mi się takie pastelowe.

- Mam pomysł - powiedziała dziewczyna spojrzawszy na mały zegareczek, który nosiła w torebce. - Muszę być w domu dopiero o szóstej. Nie poszłaby pani ze mną na herbatę? Znam miejsce, gdzie można się napić świetnej herbaty, w takiej niemieckiej cukierni. W domu muszę być dopiero o szóstej, więc będziemy miały czas, żeby pogawędzić. Nie będzie pani uważała, że to bardzo nie na miejscu, to zaproszenie, prawda? Nie lubię konwenansów, pani też? Czy pani nienawidzi Chicago?

Tak, Eleonora nienawidziła Chicago, konwencjonalnych osób i w ogóle. Poszły do cukierni i zamówiły herbatę, do której dziewczyna w popielatym kapeluszu (nazywała się Ewelina Hutchins) zażądała cytryny. Eleonora mówiła dużo i doprowadziła do śmiechu swoją towarzyszkę. Jej ojciec, wyjaśniła niewiele się zastanawiając, jest malarzem i mieszka we Florencji, nie widziała go od czasu, gdy była małą dziewczynką. Rodzice rozwiedli się i mamusia wyszła drugi raz za mąż, za biznesmena związanego z firmą Armour i Spółka²¹⁶, ale teraz już nie żyje i Eleonorze pozostali tylko jacyś krewni w Lake Forest. Studiuje w Instytucie Sztuki, ale ma zamiar rzucić studia, bo wykładowcy jej nie odpowiadają. Uważa, że to okropne mieszkać w Chicago, i chce się przenieść na Wschód.

- Czemu nie pojedzie pani do Florencji i nie zamieszka z ojcem? - zapytała Ewelina Hutchins.

- Może i pojedę pewnego pięknego dnia, jeśli uśmiechnie się do mnie fortuna - odrzekła Eleonora.

- Och, ja nigdy nie będę bogata - powiedziała Ewelina. - Ojciec jest duchownym. Pojedźmy razem do Florencji, Eleonoro, zatrzymamy się u pani ojca. Gdy już się zjawimy, to przecież nas nie wyrzuci.

- Mogłybyśmy się wybrać.

- Powinnam być już w domu. A propos, gdzie pani mieszka? Umówmy się jutro po południu, obejrzymy razem wszystkie obrazy.

- Niestety, jutro będę zajęta.

²¹⁵ *Anioł Pański* (*L'Ange 'lus*, 1859) Milleta, powielany w niezliczonych tanich reprodukcjach, przedstawia parę zastygłych w skupieniu wieśniaków, którzy przerwali pracę w polu, żeby odmówić modlitwę na dźwięk dzwonów dochodzący z widocznego w dali kościoła. Millet znany jest z całej serii obrazów przedstawiających chłopów przy pracy, takich jak *Siewca* (1850), *Zbierający kłosa* (1857), *Sadzący ziemniaki* (1862).

²¹⁶ Armour i Spółka - to właściciele sławnych rzeźni i przetwórní mięsnych w Chicago. Założycielem tego przemysłu był Philip Danforth Armour (1832-1901), który się dorobił fortuny na dostawach mięsa dla wojska podczas wojny secesyjnej. W Kronice XIX, odnoszącej się do roku 1917, jest wzmianka o niebezinteresownych zapewne żądaniach któregoś z

- No, ale mogłaby pani na pewno przyjść któregoś dnia na kolację. Zapytam mamusi, kiedy mogę panią zaprosić. Tak rzadko spotyka się dziewczynę, z którą można porozmawiać. Mieszkamy na Drexel Boulevard. Dam pani swój bilet. Napiszę jeszcze, ale proszę przyrzec, że pani przyjdzie.

- Z największą przyjemnością, ale nie wcześniej niż o siódmej. Widzi pani, jestem zajęta codziennie po południu z wyjątkiem niedziel, a w niedzielę jadę zwykle do rodziny do...

- Do Lake Forest?

- Tak... W Chicago mieszkam w czymś w rodzaju Ymki, nazywa się to Dom Moody'ego. Dość plebejskie towarzystwo, ale wygodnie. Napiszę pani adres na tym bilecie.

Był to bilet pani Lang, Importowane Koronki i Hafty Ręczne. Zapisała adres, przekreśliła nadruk na odwrotnej stronie i podała Ewelinie.

- To cudownie - powiedziała Ewelina. - Jeszcze dziś napiszę kartkę, a pani obieca, że przyjdzie, dobrze?

Eleonora wsadziła ją do tramwaju i powoli ruszyła do domu. Zapomniała zupełnie, że jest chora, ale teraz, kiedy Ewelina odjechała, poczuła się samotna, nędznie ubrana i nieszczęśliwa, gdy szła wietrzną ulicą, zagubiona w ożywionym wieczornym tłumie.

Przez Ewelinę nawiązała sporo znajomości. Kiedy pierwszy raz poszła do Hutchinsów, była zbyt przejęta, by wiele zauważyć, ale później poczuła się swobodniej w ich towarzystwie, szczególnie odkąd się przekonała, że uważają ją wszyscy za osobę interesującą i subtelną. Rodzina składała się ze starszych państwa oraz dwóch córek i syna, który przebywał na studiach. Doktor Hutchins był pastorem unitanańskim o bardzo liberalnych poglądach, pani Hutchins malowała techniką akwarelową kompozycje kwiatowe, które - jak wszyscy twierdzili - świadczyły o wielkim talencie. Starsza córka, Grace, kształciła się na Wschodzie, w Vassar College²¹⁷, i uważano, że wykazuje zdolności literackie, syn odbywał podyplomowe studia greki na Uniwersytecie Harvarda²¹⁸, a Ewelina uczęszczała na miejscu na najbardziej interesujące wykłady Uniwersytetu Północno-Zachodniego²¹⁹. Doktor Hutchins miał łagodny głos, wielką, gładką, różowawą twarz i

kolejnych Armourów, „by Stany Zjednoczone ratowały świat od głodu”.

²¹⁷ Vassar College - to renomowana uczelnia żeńska w niewielkim mieście przemysłowym Poughkeepsie nad Hudsonem, około 100 kilometrów na północ od Nowego Jorku. Ufundował ją w 1861 roku bogaty miejscowy piwowar Matthew Vassar (1792-1869) z zamiarem utworzenia „college’u dla kobiet, który byłby dla nich tym, czym Yale i Harvard są dla młodych mężczyzn”. Zapoczątkowało to powstawanie na wschodnim wybrzeżu pod koniec XIX stulecia dalszych elitarnych uczelni żeńskich, które w 1915 roku utworzyły konsorcjum tak zwanych Siedmiu Sióstr (Seven Sisters) w celu wypracowania wspólnych programów i polityki przyjęć. Vassar College, który w 1970 został przemieniony na uczelnię koedukacyjną, oferował edukację głównie w zakresie nauk humanistycznych i ścisłych.

²¹⁸ Uniwersytet Harvarda (Harvard University), nazwany tak w trzy lata po założeniu (1636) na cześć kolonisty Johna Harvarda, który mu zapisał połowę swego majątku i bibliotekę złożoną z 400 woluminów, jest najstarszą uczelnią anglojęzyczną na kontynencie Ameryki Północnej. Jeden z najbardziej renomowanych i ekskluzywnych uniwersytetów amerykańskich, mieści się w Cambridge (stan Massachusetts), które już od drugiej połowy XIX wieku, kiedy to zaczął się prawdziwy rozkwit uczelni, stanowi część Bostonu. Studiowało tu wielu najwybitniejszych Amerykanów, wśród nich pięciu prezydentów (obaj Adamsonie, obaj Rooseveltowie i Kennedy). Uniwersytet Harvarda ukończył również sam Dos Passos, o czym jest mowa kilkakrotnie dalej.

²¹⁹ Uniwersytet Północno-Zachodni (Northwestern University) - to najstarszy i jeden z najwszechstronniejszych spośród dziewięciu uniwersytetów chicagowskich, założony w 1851 roku, a już od 1869 przyjmujący również kobiety.

wielkie, gładkie, trupio-białe ręce. Spodziewał się w przyszłym roku urlopu sabatowego²²⁰ i korzystając z tego Hutchinsowie wybierali się wszyscy razem za granicę. Eleonora nigdy w życiu nie słyszała takich rozmów i bardzo jej imponowały.

Potem Ewelina zabrała ją któregoś wieczoru do pani Shuster.

- Tylko nie wspominaj o pani Shuster przy rodzicach, dobrze? - powiedziała, kiedy schodziły z kolei nadziemnej. - Pan Shuster handluje dziełami sztuki i tatuś uważa, że mają trochę za bardzo cygańskie obyczaje. Wszystko dlatego, że Annie Shuster przyszła do nas kiedyś i paliła przez całą kolację. Powiedziałam, że idziemy na koncert do Audytorium²²¹.

Eleonora uszyła sobie na tę okazję nową suknię - prostą, z dyskretnym zielonym przybraniem, nie specjalnie wieczorową, ale stosowną na każdą porę - i Annie Shuster, przysadzista ruda kobieta o energicznym chodzie i mowie, odbierając od nich w hallu okrycia, wykrzyknęła, jaka to śliczna sukienka.

- Rzeczywiście urocza - powiedziała Ewelina. - Prawdę mówiąc, wyglądasz dziś w ogóle jak róża, Eleonoro.

- Założę się, że to nie jest suknia robiona w Chicago. Wygląda mi na Paryż - powiedziała pani Shuster.

Eleonora skwitowała to bagatelizującym uśmiechem, oblewając się lekkim rumieńcem; zrobiła się jeszcze ładniejsza.

W dwu małych pokoikach tłoczyło się mnóstwo osób. Było pełno dymu z papierosów, filiżanek po kawie i zapachu jakiegoś ponczu. Pan Shuster był siwym mężczyzną o ziemistej twarzy, głowie zbyt dużej w stosunku do ciała i zmęczonych ruchach. Mówił jak Anglik. Otaczało go kilku młodych ludzi, z których jednego Eleonora знаła przelotnie z Instytutu Sztuki. Nazywał się Eryk Egstrom i zawsze jej się podobał; miał płową czuprynę, niebieskie oczy i małe blond wąsiki. Spostrzegła, że pan Shuster odnosi się do niego z dużym szacunkiem. Ewelina oprowadzała ją, przedstawiając każdemu po kolei; zasypywała przy tym wszystkich pytaniami, które były zdaje się często dość kłopotliwe. Zarówno mężczyźni, jak kobiety palili i rozmawiali o książkach, obrazach i ludziach, o których Eleonora nigdy nie słyszała. Rozglądając się,

Zlokalizowany częściowo w samym Chicago, a częściowo w pobliskim Evanston, jest obok założonego w 1890 Uniwersytetu Chicagowskiego najbardziej renomowaną uczelnią miasta.

²²⁰ Urlop sabatowy (sabbatical) - to płatny roczny urlop, przysługujący co siedem lat profesorom wyższych uczelni, duchownym i niektórym innym osobom, przeznaczony na studia, pisanie, podróże i tym podobne.

²²¹ Audytorium (the Auditorium) - to jedna z najświetniejszych budowli Chicago, wzniesiona w latach 1887-1889 w sercu miasta, przy Congress Street między Michigan Avenue a Wabash Avenue, według projektu sławnych architektów Dankmara Adlera (1844-1900) i Louisa Sullivana (1856-1924). Ten potężny dziewięciopiętrowy gmach mieścił przede wszystkim hotel i operę, a w dwudziestopiętrowej części wieżowej także liczne biura. Był na owe czasy cudem inżynierii (dzieło Adlera), jak również wystroju zewnętrznego i wewnętrznego (dzieło Sullivana). Sala operowa, obliczona na 4 tysiące osób, słynęła z absolutnej widzialności i słyszalności z najdalszego miejsca wszystkiego, co się dzieje na scenie. Na inauguracji 9 grudnia 1889 roku, którą zaszczylił swoją obecnością nowo obrany prezydent Benjamin Harrison, śpiewała wielka Adelina Patti, otwierając długą listę sław, które tu występowały. Audytorium ze swymi restauracjami, cukierniami i salami wystawowymi stanowiło modne miejsce spotkań mieszkańców Chicago do roku 1929, kiedy to Chicagowska Opera Komunalna przeniosła się do nowej siedziby. W 1946 gmach Audytorium przeszedł na własność niedawno powstałego Uniwersytetu Roosevelta.

niewiele mówiąc, spostrzegła greckie sylwetki na pomarańczowych abażurach, dziwaczne obrazy na ścianach i dwa rzędy francuskich książek w żółtych okładkach na półkach. Stwierdziła, że może się tutaj wiele nauczyć.

Wyszły wcześniej, gdyż Ewelina musiała jeszcze wstąpić do Audytorium, zobaczyć, co było w programie koncertu, na wypadek gdyby ją pytali w domu. Odprowadzali je Eryk i jeszcze jeden młody człowiek. Pożegnawszy Ewelinę pod bramą, spytali, gdzie mieszka Eleonora, a ona, wstydząc się Domu Moody'ego, który znajdował się na takiej obskurnej ulicy, kazała się odprowadzić na stację kolei nadziemnej i wbiegła szybko po schodach, nie pozwalając im iść za sobą, mimo że bała się tak późno wracać sama do domu.

Z powodu ciemnych włosów, szczupłej owalnej twarzy i przejrzystej skóry wiele klientek pani Lang brało Eleonorę za Francuzkę. I kiedy pewnego dnia niejaka pani McCormick²²², którą pani Lang podejrzewała, że jest z t y c h McCormicków, zapytała o tę miłą Francuzeczkę, która ją obsługiwała poprzednio, pani Lang postanowiła, że odtąd Eleonora będzie Francuzką. Kupiła jej dwadzieścia bonów do szkoły Berlitz'a i obiecała zwalniać rano między dziewiątą a dziesiątą, jeżeli będzie chodziła na lekcje francuskiego. Dzięki temu przez cały grudzień i styczeń Eleonora brała trzy razy tygodniowo lekcje u staruszka w cuchnącym alpakowym surducie i rozmawiając z klientami zaczęła od niechcenia wtrącać francuskie zdania, pani Lang zaś, gdy ktoś był w sklepie, zwracała się do niej zawsze per mademoiselle.

Przykładała się do nauki, pożyczała od Shusterów książki w żółtych okładkach, które czytała wieczorami ze słownikiem, i wkrótce znała francuski lepiej od Eweliny, chociaż ta miała w dzieciństwie francuską guwernantkę. Pewnego dnia w szkole Berlitz'a przydzielono jej nowego nauczyciela. Staruszek dostał zapalenia płuc, zastępował go młody Francuz. Był to chudy młodzieniec o ostrym, wygolonym do niebieskości podbródki i wielkich piwnych oczach z długimi rzęsami. Eleonorze spodobał się od pierwszej chwili, ze swoimi szczupłymi arystokratycznymi rękami i wyniosłymi manierami. Po półgodzinie, zapomniawszy zupełnie o lekcji, rozmawiali już po angielsku. Francuz mówił ze śmiesznym akcentem, ale całkiem płynnie. Szczególnie podobał jej się gardłowy sposób, w jaki wymawiał „r”.

Następnym razem wchodząc po schodach drżała z niepewności, czy zastanie tego samego młodego człowieka. Zastała. Powiedział, że staruszek zmarł. Czuli, że powinna się tym przejąć, ale jakoś wcale się nie przejęła. Młody człowiek zauważył jej uczucia i wykrzywiwszy twarz w komiczny ni to rozbawiony, ni płaczliwy sposób, powiedział: „Vae victis”²²³. Potem ją się rozwodzić o swoim domu we Francji i o tym, jak nienawidzi konwencjonalnego burżuazyjnego życia, jak przyjechał do Ameryki, która jest krajem młodości, przyszłości, drapaczy chmur i Dwudziestego

²²² McCormickowie - to rodzina chicagowskich milionerów, potomków Cyrusa H. McCormicka (1809-1884), który w 1831 roku wynalazł żniwiarkę mechaniczną, a następnie dorobił się fortuny na produkcji maszyn rolniczych.

²²³ Vae victis (łac.) - Biada zwyciężonym.

Wiek z Ograniczoną Odpowiedzialnością²²⁴, i jakie piękne wydaje mu się Chicago. Eleonora, która nigdy nie słyszała takich opinii, odparła, że widocznie był w Irlandii i całował kamień na zamku w Blarney²²⁵. Na to on przybrał urażoną minę i powiedział: „Mademoiselle, c'est la pure vente²²⁶”, - więc Eleonora szybko odrzekła, że wierzy mu bezwzględnie, i jakie to interesujące poznać takiego człowieka jak on, musi go koniecznie przedstawić swojej przyjaciółce Ewelinie Hutchins. Wobec tego opowiedział jej, jak mieszkał w Nowym Orleanie, jak przyjechał do Ameryki w charakterze stewarda na statku Linii Francuskiej, jak był pomywaczem i kelnerczykiem, jak grał na pianinie w nocnych lokalach i różnych spelunkach i że bardzo lubi Murzynów, że właściwie jest malarzem i tak chciałby mieć atelier i malować, ale jeszcze nie ma na to pieniędzy. Opowieść o pomywaniu naczyń, spelunkach i czarnych ostudziła nieco Eleonorę, ale usłyszawszy, że interesuje się sztuką, postanowiła go naprawdę przedstawić Ewelinie i upajając się własną śmiałością i pogardą dla konwenansów zaproponowała spotkanie w niedzielę po południu w Instytucie Sztuki. Ostatecznie, jeśli się rozmyślą, mogą przecież nie przyjść.

Ewelina zapaliła się ogromnie, ale na wszelki wypadek wzięły ze sobą Eryka Egstroma, bo przecież Francuzi mają taką złą opinię. Francuz bardzo się spóźnił, już były w strachu, że w ogóle nie przyjdzie albo że przegapiły go gdzieś w tłumie, ale w końcu Eleonora spostrzegła, jak wchodzi na górę wielkimi schodami. Nazywał się Maurice Millet - nie, nie jest krewnym tego malarza - i ku ogólnemu zgorszeniu nie chciał oglądać obrazów w Instytucie, oświadczywszy, że powinno się wszystkie spalić; używał przy tym mnóstwa słów, takich jak kubizm i futurizm, których Eleonora nigdy przedtem nie słyszała. Od razu się jednak zorientowała, że podbił bez reszty Ewelinę i Eryka, którzy chłonęli każde jego słowo, i prawdę mówiąc, w cukierni przy herbacie nie zwracali w ogóle uwagi na Eleonorę. Ewelina zaprosiła Maurice'a do domu i wszyscy poszli na kolację na Drexel Boulevard, gdzie Maurice był uprzedzająco grzeczny wobec państwa Hutchinsów, a po kolacji wybrali się do Shusterów. Od Shusterów wyszli wszyscy razem i Maurice oświadczył, że są niemożliwi i mają bardzo złe obrazy na ścianach.

- Tout ca c'est affreusement pompier²²⁷ - powiedział.

Eleonorę wprawiło to w zakłopotanie, lecz Ewelina i Eryk odparli, że sprawa jest zupełnie jasna, chce im w ten sposób dać do zrozumienia, że znają się na sztuce jak kura na pieprzu. Wszyscy się okropnie śmiali.

Przy następnym spotkaniu Ewelina zwierzyła się Eleonorze, że zupełnie straciła głowę dla Maurice'a. Długo płakały, w końcu doszły jednak do przekonania, że ich piękna przyjaźń przetrwa

²²⁴ Dwudziesty Wiek z Ograniczoną Odpowiedzialnością (Twentieth Century Ltd) - to ekspres wprowadzony w 1905 roku na linii Nowy Jork-Chicago i reklamowany jako „najszybszy pociąg świata”. Przebywał trasę długości 850 mil (ponad 1300 kilometrów) w czasie 18 godzin, a więc z przeciętną szybkością około 73 kilometrów na godzinę. Pociągiem tym bohaterki jadą do Nowego Jorku.

²²⁵ Jest to aluzja do legendy, która głosi, że ktokolwiek zdoła pocałować niedostępny kamień u szczytu zamku w Blarney w Irlandii, zyskuje cudowny dar przekonywającego schlebiania.

²²⁶ Mademoiselle... (fr.) - To szczerza prawda, panienko.

wszystko. Było to w pokoiku Eweliny na Drexel Boulevard. Na kominku stał portret Maurice'a, który Ewelina próbowała narysować pastelami z pamięci. Siedziały obok siebie na łóżku, objęte ciasno ramionami, i poważnie rozmawiały o swoich sprawach. Eleonora powiedziała, co myśli o mężczyznach; Ewelina niezupełnie się z nią zgadzała, ale były pewne, że nic nie podważy nigdy ich pięknej przyjaźni i zawsze będą sobie wszystko mówiły.

Jakoś w tym czasie Eryk Egstrom dostał pracę w dziale dekoracji wnętrz u Marshalla Fielda z pensją pięćdziesięciu dolarów tygodniowo. Wynajął eleganckie atelier z północnym oświetleniem niedaleko North Street i Maurice zamieszkał razem z nim. Dziewczęta często u nich bywały, zapraszały dużo znajomych, podawały herbatę po rosyjsku w szklankach, czasami piły trochę wina Virginia Dare; nie musiały już chodzić do Shusterów. Eleonora co chwila miała coś do powiedzenia na osobności Ewelinie. Ewelina była bardzo nieszczęśliwa, bo Maurice nie lubił jej tak jak ona jego, natomiast Maurice i Eryk sprawiali wrażenie absolutnie szczęśliwych. Spali w jednym łóżku i byli nierozłączni. Eleonorę czasami to zastanawiało, ale jakże przyjemnie było znać chłopców, którzy nie zachowują się okropnie w stosunku do kobiet. Chodzili wszyscy razem do opery, na koncerty i wystawy – bilety zwykle kupowali i płacili za wszystkich w restauracjach Ewelina albo Eryk - i Eleonora nigdy w życiu nie bawiła się tak jak w ciągu tych kilku miesięcy. Przestała zupełnie jeździć do Pullman i często mówiły z Ewelina, że wynajmą sobie do spółki atelier po powrocie Hutchinsów z Europy. Chwilami ogarniało ją przygnębienie na myśl, że z każdym dniem zbliża się czerwiec, że wkrótce utraci Ewelinę i sama jedna będzie musiała stawić czoło nieznośnemu, pełnemu kurzu i pyłu upalnemu chicagowskiemu latu. Szczęśliwie Eryk starał się dla niej o pracę w swoim dziale u Marshalla Fielda, a wieczorami uczęszczały obie z Ewelina na uniwersytecki cykl wykładów o dekoracji wnętrz, więc miała o czym myśleć i czego oczekiwać.

Maurice malował prześliczne obrazy w bursztynowej i fioletowej tonacji, wyobrażające chłopców o długich twarzach, wielkich świetlistych oczach i długich rzęsach, dziewczęta o długich twarzach i wyglądzie chłopców oraz charty rosyjskie o wielkich świetlistych oczach, z jakimś belkowaniem albo białym drapaczem chmur i wzdętymi białymi obłokami w tle, i zarówno Ewelina, jak Eleonora uważały za rzecz haniebną, że w dalszym ciągu musi uczyć w szkole Berlitz.

W przeddzień wyjazdu Eweliny do Europy urządzili wieczorek pożegnalny u Eryka. Na ścianach wisiały płótna Maurice'a, wszyscy byli weseli, zmartwieni i podnieceni i bez przerwy chichotali. Egstrom przyszedł trochę spóźniony z wiadomością, że rozmawiał ze swoim szefem o Eleonorze - że zna francuski, że studiowała sztukę, że jest taka przystojna i w ogóle - i pan Spotmann kazał jej przyjść jutro w południe i, jeśli się nada, będzie miała co najmniej dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo. Tego samego dnia jakaś starsza pani oglądała obrazy Maurice'a i wybrała jeden, który miała kupić, tak że wszyscy byli w świetnych humorach i pili morze wina, a

²²⁷ Tout ca... (fr.) - Wszystko to strasznie napuszone.

kiedy wreszcie nadszedł czas pożegnania, to wcale nie Eleonorze zrobiło się żal, że zostaje, tak jak się spodziewała, tylko Ewelinie, że się z nimi musi rozstać.

Następnego wieczoru Hutchinsowie odjeżdżali do Nowego Jorku, z walizami adresowanymi na parowiec *Baltic* i oczami błyszczącymi z podniecenia, że jadą na Wschód i za granicę, wśród dymu, bicia dzwonu na lokomotywie i dreptania wielu nóg za ruszającym pociągiem. Wracając wzdłuż peronu, z zaciśniętymi pięściami i ostrymi paznokciami wbitymi w dłonie, Eleonora powtarzała sobie:

- Ja też pojedę, to tylko kwestia czasu. Ja też pojedę!

była bardzo modną damą ubóstwiała bullteriery i miała przyjaciela pana z towarzystwa który słynął z podobieństwa do króla Edwarda

była bardzo modną damą zawsze miała białe lilie w hallu Nie mój drogi nie znoszę zapachu lilii w pokoju a bullteriery gryzły posłańców i gazeciarzy Nie mój drogi nigdy nie gryzą lepszych ludzi za Billem i jego kolegami wprost przepadają

pojechaliśmy wszyscy czterokonką na spacer i człowiek z tyłu dał w długi róg to właśnie tutaj stał Dick Whittington²²⁹ ze swoim kotem i dzwonami wzięliśmy kosze z walówką a ona miała szare oczy i była bardzo dobra dla synka przyjaciółki chociaż nie znosiła organicznie nie znosiła dzieci jej przyjaciel pan z towarzystwa który słynął z podobieństwa do króla Edwarda też ich nie cierpiał i nie cierpiał bullterierów, a ona raz po raz pytała Dlaczego tak go nazywasz?

myślałeś o Dicku Whittingtonie i wielkich dzwonach w Bow trzykrotnym lordzie majorze Londynu spojrzawsz w jej szare oczy i powiedziałeś Może dlatego że tak go nazwałem za pierwszym razem nie lubiłem jej nie lubiłem bullterierów nie lubiłem jeździć czterokonką chciałem tylko żeby Dick Whittington trzykrotny lord major Londynu bił w wielkie dzwony z Bow chciałem żeby Dick Whittington chciałem być w domu ale nie miałem domu człowiek z tyłu dał w długi róg

²²⁸ Oko kamery (18) jest wspomnieniem ze znacznie wcześniejszego okresu, gdy mały Dos Passos przebywał w internacie w Anglii, a ojciec tam przyjechał z jedną ze swoich częstych wizyt. Być może odnosi się do lata 1903 roku, kiedy to Dos Passos senior opublikował dość głośną książkę *The Anglo-Saxon Century (Anglosaski wiek)*, w której głosił potrzebę jedności narodów anglosaskich, ich unii celnej i wspólnej polityki, zwłaszcza dla przeciwdziałania (już wtedy!) ekspansji rosyjskiej, stanowiącej zagrożenie dla wolnych instytucji. Uczyniło to sześć-dziesięciodziewięcioletniego wówczas adwokata postacią tak znaczącą na Wyspach Brytyjskich, że przyjął go na audiencji król Edward VII (1841-1910), który w 1901 roku objął tron po swojej matce, królowej Wiktorii. Dos Passos senior cenił kulturę brytyjską wyżej niż amerykańską, chciał, by syn się uczył i studiował w Anglii, przeciwko czemu ten się buntował. W *Najlepszych czasach* Dos Passos tak wspomina epizod opisany w tym Oku kamery: „Co naprawdę, z litograficzną żywością, pamiętam z przeżyć z ojcem w Anglii, to dzień, gdy siedziałem na dachu powozu unoszonego z brzękiem uprząży po zielonych wiejskich drogach przez czwórkę koni, ze służącym w liberii dmącym w mosiężny róg; i ogromny kosz z wiktuałami otwierany potem na pikniku pod królewskim dębem w parku pełnym pasących się jeleni. Jest tam pan przypominający bardzo króla Edwarda, nosi taką samą krótką bródkę; wszyscy mu to mówią. Odpowiada, że jego nazwisko jest znacznie starsze w Anglii niż nazwisko królewskie. Nawet ja rozróżniam jego normandzkie brzmienie: sir William [w książce zdrobniale: Bill] Vavasour. Nie podobał mi się. Jest tam także bardzo ładna pani w kapeluszu jak kosz z owocami i sukni z bufiastymi rękawami, która się nazywa pani Bonheur, ale nikogo więcej nie pamiętam. Wydawała mi się sympatyczna, dopóki nie zaczęła mnie zasypywać pytaniami. Strzelały korki małych flaszeczek szampana, a ja tak się objadłem ciasteczkami z serem, że zrobiło mi się trochę niedobrze”.

²²⁹ Dick (a właściwie: sir Richard) Whittington (1358-1423), lord major, czyli burmistrz, Londynu w latach 1397, 1406 i 1419, jest bohaterem wielu legend i popularnych opowieści. Jedna z nich łączy go ze znaną baśnią o kocie w butach, dzięki któremu miał się dorobić majątku; inna głosi, że dzwony z Bow (to jest kościoła St. Mary-le-Bow) wezwały go do powrotu na urząd lorda majora.

ELEONORA STODDARD

U Marshalla Fielda było zupełnie inaczej niż u pani Lang. U pani Lang miała tylko jedną szefową, tutaj, w wielkim magazynie, zdawało się, że ma nad sobą wszystkich w dziale. Była jednak taka dystygowana i chłodna, miała taki jasny, zdecydowany sposób mówienia, że chociaż ludzie nie bardzo ją lubili, świetnie sobie ze wszystkimi radziła. Nawet pani Potter i pan Spotmann, którzy kierowali działem, trochę jej się bali. Rozeszła się plotka, że jest panną z towarzystwa i że na dobrą sprawę nie musi wcale zarabiać na życie. Wykazywała pełne zrozumienie dla problemów klientów, którzy sobie urządzali mieszkania, i miała ten swój pokornie protekcyjny stosunek wobec pani Potter, zachwycała się jej strojami, tak że pod koniec miesiąca pani Potter powiedziała do pana Spotmanna:

- Zdaje mi się, że to pierwszorzędny nabytek, ta mała Stoddard.

A pan Spotmann, nie otwierając swoich białych warg starej baby, odrzekł:

- Od początku tak myślałem.

Wyszedłszy pewnego słonecznego popołudnia na Randolph Street, z kopertą zawierającą pierwszą tygodniówkę w ręce, Eleonora była bardzo szczęśliwa. Na wąskich wargach miała taki ostry uśmiezek, że kilka osób obejrzało się za nią, gdy szła z pochyloną głową, żeby porywy wiatru nie zerwały jej kapelusza. Skręciła w Michigan Avenue, w stronę Audytorium, wodząc wzrokiem po jasnych witrynach sklepów, bardzo błękitnym niebie, warstwach gołębioszarych puszystych obłoków nad jeziorem i białych kłębach pary z lokomotyw. Wszedłszy do głębokiego, pogrążonego w bursztynowym świetle Aneksu Audytorium, usiadła przy plecionym stoliku w rogu hallu i siedziała długo sama jedna, pijąc herbatę z filiżanki, pogryzając grzanki z masłem i musztrując kelnerkę cierpkim, dystygowanym głosem osoby dobrze sytuowanej.

Potem poszła do Domu Moody'ego, spakowała rzeczy i przeniosła się do klubu Eleonora, gdzie dostała pokój z utrzymaniem za siedem pięćdziesiąt. Ale pokój był niewiele lepszy, wszystko miało wciąż ten sam szary zapach instytucji dobroczynnej, tak że po tygodniu przeprowadziła się do obliczonego na stałych lokatorów hoteliku na Północnej Stronie, gdzie za pokój z utrzymaniem płaciła piętnaście dolarów tygodniowo. Na wszystko inne pozostawało jej tylko trzy pięćdziesiąt - jak się okazało, pensja wynosiła zaledwie dwadzieścia dolarów, co w praktyce oznaczało osiemnaście pięćdziesiąt po odtruceniu ubezpieczeń - więc musiała znowu zwrócić się do ojca. Zaimponowała mu tak swoim powodzeniem w świecie i nadziejami na podwyżkę, że obiecał jej pięć dolarów tygodniowo, choć sam zarabiał wszystkiego dwadzieścia i miał zamiar żenić się ponownie z jakąś panią O'Toole, wdową z pięciorgiem dzieci, która prowadziła pensjonat gdzieś pod Elsdon. Odmówiła poznania swojej przyszłej macochy i wymogła na ojcu przyrzeczenie, że będzie jej co tydzień przysyłał pieniądze przekazem pocztowym, bo nie przypuszcza chyba, że będzie po nie jeździła aż do Elsdon. Wychodząc pocałowała go w czoło, tak że poczuł się prawie

szczęśliwy. Przez całą drogę powtarzała sobie, że to już na pewno ostatni raz.

Wróciwszy do hotelu Ivanhoe, weszła na górę i leżąc na wznak na wygodnym mosiężnym łóżku rozejrzała się po małym pokoiku z białą stolarką, jasnożółtymi tapetami w ciemniejsze satynowe prążki, koronkowymi firankami w oknie i ciężkimi draperiami. Tynk na suficie pękał, dywan się przecierał, lecz hotelik był mimo wszystko elegancki - widziało się to od razu - pełen starszych małżeństw żyjących z niewielkich dochodów, z obsługą również starszą i bardzo grzeczną. Po raz pierwszy w życiu czuła, że ma dom.

Następnego roku na wiosnę, kiedy Ewelina wróciła z Europy, w wielkim kapeluszu z piórem, pełna opowieści o Salonie Tuileryjskim, Rue de la Paix, muzeach, wystawach i operze, znalazła Eleonorę zupełnie odmienioną. Wyglądała na starszą niż w rzeczywistości, nosiła się modnie, choć dyskretnie i nabrała ostrego, cierpkiego sposobu mówienia. Była zadomowiona w dziale dekoracji wnętrz u Marshalla Fielda i lada dzień spodziewała się podwyżki, nie chciała jednak o tym mówić. Przestała chodzić na wykłady i przesiadywać w Instytucie Sztuki, natomiast spędzała dużo czasu w towarzystwie niejakiej panny Elizy Perkins, niezamężnej starej damy, która mieszkała w tym samym co ona hotelu Ivanhoe i cieszyła się opinią bardzo bogatej i bardzo skąpej.

Najbliższej niedzieli Eleonora zaprosiła Ewehnę na herbatę do hotelu i siedząc w dusznym hallu rozmawiały dystygowanym szeptem ze starą panną. Kiedy Ewelina zapytała o Eryka i Maurice'a, Eleonora odparła, że mają się chyba dobrze, ale nie widuje ich zbyt często, odkąd Eryk stracił posadę u Marshalla Fielda. Nie spisywał się tak dobrze, jak sądziły, wyjaśniła. A poza tym obaj z Maurice'em zaczęli pić i obracać się w wątpliwym towarzystwie, więc Eleonora rzadko się z nimi spotyka.

Jadała teraz codziennie obiad z panną Perkins, która ją bardzo ceniła, kupowała jej stroje i zabierała na przejażdżki do parku, a czasami do teatru, kiedy było coś naprawdę godnego uwagi, Minnie Maddern Fiske²³⁰ czy Guy Bates Post²³¹ w jakiejś interesującej sztuce. Panna Perkins była córką zamożnego szynkarza i padła w młodości ofiarą pewnego początkującego adwokata, w którym się zakochała i któremu powierzyła pieniądze do ulokowania. Adwokat jednak uciekł z inną dziewczyną oraz pewną ilością papierów wartościowych. Ile dokładnie jej zostało, tego Eleonora nie mogła dociec, ale ponieważ panna Perkins wybierała najlepsze miejsca w teatrze, lubiła chodzić na obiady do drogich hoteli i restauracji, a kiedy chciała gdzieś jechać, zamawiała powóz na pół dnia, więc można było sądzić, że jest wciąż zamożna.

²³⁰ Minnie Maddern Fiske (1865-1932) była jedną z wielkich artystek teatru amerykańskiego końca XIX i początku XX stulecia. Pochodząca z rodziny aktorskiej, po raz pierwszy wystąpiła na scenie w wieku 3 lat. Sławę przyniosły jej przede wszystkim główne role w sztukach H. Ibsena, od *Nory* w 1894 roku, aż po *Upiory* w 1927. Ibsena wprowadzał na sceny amerykańskie jej mąż, dramaturg i krytyk teatralny Harrison Grey Fiske (1861-1942). Jak było wówczas w zwyczaju, pani Fiske objeżdżała ze swoją trupą wielkie miasta Stanów.

²³¹ Guy Bates Post (1875-1968), który grywał główne role w wielu przebojach teatralnych na Broadwayu a występował

Kiedy pożegnały pannę Perkins, żeby zdążyć do Hutchinsów na kolację, Ewelina powiedziała:

- No, wiesz. Nie rozumiem, co ty widzisz w tej... tej starej pannicy. A ja tutaj pękam, żeby ci opowiedzieć milion rzeczy i zadać milion pytań. To było niegodziwe z twojej strony.

- Bardzo jestem do niej przywiązana, Ewelino, uważałam, że będziesz chciała poznać osobę, z którą się zaprzyjaźniłam.

- Oczywiście, że chciałam poznać, ale, na miłość boską, nic a nic cię nie rozumiem.

- Ostatecznie nie musisz się z nią widywać, chociaż sądząc po jej zachowaniu, uznała cię za bardzo miłą osobę.

Idąc od stacji kolei nadziemnej do Hutchinsów poczuły się jak za dawnych czasów. Eleonora opowiedziała o rosnącym antagonizmie między panem Spotmannem a panią Potter, jak każde chce ją przeciągnąć na swoją stronę, i Ewelina się śmiała, a potem wyznała, że w drodze powrotnej na *Kroonlandzie* zakochała się po uszy w panu z Salt Lake City - cóż to za ulga po tych wszystkich cudzoziemcach. Eleonora zażartowała, że on na pewno jest mormonem, na co Ewelina odparła ze śmiechem, że nie, jest sędzią, ale musiała przyznać, że faktycznie jest żonaty.

- A widzisz - powiedziała Eleonora. - Oczywiście, że jest mormonem.

Lecz Ewelina oświadczyła, że nie jest, wie na pewno, i że jeśli się tylko rozwiedzie z żoną, wyjdzie za niego bez chwili namysłu. Na to Eleonora odrzekła, że nie uznaje rozwodów, i gdyby nie doszły właśnie do domu Hutchinsów, pewno by się pokłóciły.

Tej zimy rzadko widywała Ewelinę. Ewelina miała wielu adoratorów, ciągle chodziła na przyjęcia i w niedzielę rano Eleonora często czytała o niej w kronice towarzyskiej. Sama była bardzo zajęta i wieczorami zwykle zbyt zmęczona, by iść z panną Perkins do teatru. Antagonizm między panią Potter a panem Spotmannem dojrzał do jawnej kłótni i dyrekcja postanowiła przenieść panią Potter do innego działu. Na wieść o tym pani Potter runęła prosto na stylowy hiszpański fotel i zupełnie tracąc panowanie dostała spazmów w obecności klientów. Eleonora musiała wyprowadzić ją do garderoby, pożyczyć dla niej sole trzeźwiące, pomagać jej przy czesaniu tlenionych włosów w okazałe nioby i pocieszać ją mówiąc, że na pewno będzie jej się znacznie bardziej podobało w drugim budynku. Pan Spotmann był potem bardzo dla niej łaskawy przez kilka miesięcy. Od czasu do czasu zabierał Eleonorę na lunch i zaśmiewali się na wspomnienie zburzonej koafiury pani Potter, kiedy szlochała w obecności klientów. Pan Spotmann posyłał ją również do bogatych domów z różnymi drobnymi zleceniami, gdyż była taka dystygowana i uprzejma i klienci ją lubili; za to koledzy z działu nienawidzili jej i nazywali ją pieskiem pana kierownika. Kiedyś pan Spotmann wspomniał nawet, że postara jej się o prowizję od sprzedaży, a często mówił o tej podwyżce na dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo.

Aż któregoś dnia, kiedy Eleonora wróciła późno na kolację do hotelu, wiekowy recepcjonista oznajmił jej, że panna Perkins dostała ataku serca podczas lunchu i umarła w jadalni nad stekiem z zapiekаныmi cynaderkami, i że ciało zostało już wyprowadzone do Kaplicy Pogrzebowej Irvinga, po czym zapytał, czy Eleonora przypadkiem nie wie o jakichś krewnych, których należałoby zawiadomić.

Eleonora wiedziała tylko, że jej sprawy finansowe załatwiał Bank Giełdy Zbożowej; słyszała wprawdzie o jakichś siostrzenicach w Mound City, ale nie знаła ich nazwiska. Recepcjonista był bardzo zatroskany, kto pokryje koszty wyprowadzenia, lekarza i nie zapłacony rachunek za ostatni tydzień, i powiedział, że wszystkie rzeczy zmarłej zostaną opieczętuwane i zatrzymane, dopóki nie zgłosi się jakaś osoba uprawniona do odbioru. Zachowywał się, jakby uważał, że panna Perkins umarła specjalnie po to, by zrobić na złość dyrekcji hotelu.

Eleonora poszła do swego pokoju, zamknęła się na klucz i upadłszy na łóżko popłakała sobie trochę, bo lubiła pannę Perkins. Ale wkrótce do głowy zakradła jej się myśl, od której serce żywiej zabiło. A jeśli panna Perkins zapisała jej w testamencie majątek? Takie rzeczy się zdarzają. Posługacze, którzy otwierają prywatne ławki w kościołach, stangret, który znalazł torebkę - starsze panie zawsze zapisują majątki takim ludziom. Już widziała nagłówki w gazetach:

PANNA OD MARSHALLA FIELDA DZIEDZICZY MILION

Przez całą noc nie spała, a rano odszukała dyrektora hotelu i ofiarowała się, że załatwi wszystko, co trzeba. Zadzwoiła do pana Spotmanna i wymogła na nim wolny dzień tłumacząc, że jest wprost złamana śmiercią panny Perkins. Potem zadzwoniła do Banku Giełdy Zbożowej i rozmawiała z jakimś panem Smithem, który administrował majątkiem panny Perkins. Zapewnił ją, że bank uczyni wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby zabezpieczyć interesy spadkobierców i legatariuszy, i powiedział, że testament znajduje się w safesie panny Perkins i na pewno jest w całkowitej zgodzie ze wszystkimi wymogami prawa.

Nie miała co robić przez cały dzień, więc ściągnęła Ewelinę na lunch, a potem poszły we dwie na popołudniówkę do Keitha²³². Zdawała sobie sprawę, że nie bardzo wypada iść do teatru, gdy jej stara przyjaciółka leży w zakładzie pogrzebowym, ale była taka zdenerwowana i roztrzęsiona, że musiała się czymś zająć dla oderwania myśli od tej okropnej historii. Ewelina okazywała jej dużo zrozumienia i poczuły się bliższe sobie niż kiedykolwiek od wyjazdu

²³² Benjamin Franklin Keith (1846-1914), wszedłszy w 1885 roku w spółkę z Edwardem Franklinem Albee (1857-1930), stworzył tak zwaną sieć teatrów Keitha (Keith theater circuit), która objęła niemal wszystkie większe miasta Stanów. Teatry Keitha, które oferowały widowiska typu varietes (znane w Ameryce pod nazwą vaudeville), były do końca lat dwudziestych, kiedy wyparł je kinematograf, najpopularniejszą formą rozrywki scenicznej w Stanach. Ocenia się, że w roku 1928, szczytowym w rozwoju tego rodzaju widowisk (nie tylko w sieci Keitha), w skali kraju działało około 1000 teatrów varietes, przez które przewijało się około 2 milionów widzów dziennie. Przedstawienie składało się z „numerów” solowych i grupowych, muzycznych i słownych, popisów komików, tancerzy, akrobatów, żonglerów, magików, treserów i tym podobnych. Teatry Keitha oferowały rozrywkę lekką, lecz „godziwą”, odmienną od tak zwanych teatrów burleski (burlesque theaters), nastawionych na niewybredną publiczność męską, oferujących głównie występy roznieglizowanych do granic dopuszczalności dziewcząt oraz rubaszne skecze i piosenki, pieprzne dowcipy, sceny ślapstickowe.

Hutchinsów za granicę. Ale o swoich nadziejach Eleonora nic jej nie wspomiała.

Na pogrzebie była tylko Eleonora, stara irlandzka pokojówka z hotelu, która bez przerwy siałła nosem i żegnała się, oraz pan Smith i niejaki pan Sullivan z firmy adwokackiej prowadzącej interesy krewniaków z Mound City. Eleonora ubrała się na czarno i przedsiębiorca pogrzebowy aż podszedł do niej, żeby powiedzieć:

- Przepraszam, panienko, ale nie mogę się powstrzymać od stwierdzenia, że ślicznie pani wygląda. Zupełnie jak lilia.

W ogóle nie było tak strasznie, jak sobie wyobrażała, i wszyscy, Eleonora, pan Smith i pan Sullivan, wyszli z krematorium w całkiem wesołych humorach. Był roziskrzony październikowy dzień i wszyscy uznali, że kto wie, czy październik nie jest najpiękniejszym miesiącem roku, i że nabożeństwo żałobne było bardzo ładne. Pan Smith spytał Eleonorę, czyby nie zjadła z nimi lunchu, gdyż jest wzmiankowana w testamencie, i Eleonorze zamarło serce, ale tylko spuściła oczy i powiedziała, że bardzo chętnie.

Wsiadli wszyscy do taksówki. Pan Sullivan zauważył, jak to przyjemnie znaleźć się z dala od kaplicy pogrzebowej i takich ponurych spraw. Pojechali na lunch do Yonghe'a i Eleonora rozbawiła ich opowiadaniem o zamieszaniu w hotelu, jak wszyscy kręcili się bezradnie w kółko, ale gdy jej podali kartę, oświadczyła, że nie jest w stanie nic przelknąć. Jednakże na widok smażonej siei powiedziała, że weźmie ździebko, podłubie trochę na talerzu. Okazało się, że po ostrym październikowym powietrzu i długiej jeździe taksówką wszyscy są przy apetytach. W rezultacie lunch bardzo jej smakował i po rybie zjadła jeszcze trochę sałatki a la Waldorf oraz melbę z brzoskwiniami. Potem panowie zapytali, czy nie będzie miała nic przeciwko temu, że wypalą po cygarze, i pan Smith z łobuzerską miną zaproponował, że może ona chciałaby także zapalić, oczywiście papierosa, a ona zaczerwieniła się i odparła, że nie, nigdy nie pali. Na to pan Sullivan oświadczył, że nie miałby cienia szacunku dla kobiety, która pali papierosy, a pan Smith powiedział, że w Chicago palą panny z najlepszych rodzin i jeśli o niego chodzi, to nie widzi w tym nic zdrożnego, naturalnie jeżeli nie robią z buzi komina.

Po lunchu przeszli na drugą stronę ulicy i wjechali windą do biura pana Sullivana, gdzie rozsiedli się w wielkich skórzanych fotelach, po czym panowie przybrali uroczyste miny i pan Smith odchrząknąwszy zaczął czytać testament. Eleonora nic z tego nie rozumiała i dopiero pan Smith musiał jej wyjaśnić, że lwia część trzymilionowej fortuny została zapisana domowi dla wykolejonych dziewcząt imienia Florence Crittenton²³³, że jednak trzy siostrzenice z Mound City otrzymały po tysiąc dolarów każda, jej zaś, Eleonorze Stoddard, przypadła w udziale piękna brylantowa broszka w kształcie lokomotywy.

²³³ Florence Crittenton była córką fabrykanta medykamentów, Charlesa Nelsona Crittentona (1833-1909), który po jej śmierci, w roku 1882, stworzył fundację dobroczynną pod nazwą Narodowej Misji imienia Florence Crittenton.

- Niech pani wpadnie do mnie jutro w ciągu dnia do Banku Giełdy Zbożowej, panno Stoddard - powiedział pan Smith. - Miło mi będzie przekazać ją pani.

Eleonora wybuchnęła płaczem.

Obaj panowie byli pełni współczucia i bardzo przejęci, że panna Stoddard do łez się wzruszyła na wspomnienie starej przyjaciółki. Kiedy wychodziła z pokoju, zapewniwszy, że wpadnie jutro po broszkę, pan Sullivan mówił właśnie najprzyjaźniej w świecie:

- Sam pan rozumie, panie Smith, że będę próbował obalić ten testament w interesie Perkinsów z Mound City.

Na co pan Smith nie mniej przyjaznym tonem:

- Tak sędzę, panie Sullivan, ale nie wydaje mi się, żeby im z tego wiele przyszło. Testament jest zapięty na ostatni guzik, choć może nie powinienem tego mówić, ponieważ sam go sporządziłem.

Tak więc następnego ranka Eleonora maszerowała jak co dzień o ósmej do Marshalla Fielda i pozostało tak przez kilka lat. Dostała podwyżkę i prowizję od sprzedaży i dosyć zbliżyła się z panem Spotmannem, który jednak nigdy nie próbował się do niej umizgać, tak że ich wzajemne stosunki do końca utrzymały się na formalnej stopie. Przynajmniej to było ulgą, bo wciąż obijały jej się o uszy historie o nadzorcach i kierownikach, którzy narzucali swoje względy młodym niezamężnym pracownikom, a pan Elwood z działu mebli został nawet zwolniony, kiedy wyszło na jaw, że mała Lizzie Dukes spodziewa się dziecka, chociaż to może i nie była wyłączna wina pana Elwooda, bo Lizzie Dukes nie wyglądała wcale na taką, co się każe długo prosić. W każdym razie Eleonorze już się wydawało, że spędzi resztę życia na urządzaniu obcym ludziom salonów i jadalni, na dobieraniu firanek, próbek obić i tapet i na ugłaskiwaniu klientek oburzonych, że zamiast inkrustowanego tekowego stolika do herbaty dostarczono im orientalnego pieska z porcelany, bądź też niezadowolonych z wzoru na kretonie, który same wybrały.

Wychodząc pewnego wieczoru po zamknięciu magazynu zastała czekającą Ewelinę Hutchins. Ewelina nie płakała, ale była śmiertelnie blada. Powiedziała, że nie jadła od dwóch dni i czy Eleonora nie poszłyby z nią na herbatę naprzeciwko do hotelu Shermana albo zresztą gdziekolwiek. Poszły do Aneksu Audytorium, usiadły w westybulu, zamówiły herbatę i grzanki z cynamonem, po czym Ewelina oznajmiła, że zerwała zaręczyny z Dirkiem McArthurem, ale postanowiła nie popełniać samobójstwa, tylko wziąć się do pracy.

- Nigdy się już w nikim nie zakocham, ale przecież muszę coś robić. Ty też się marnujesz, Eleonoro, sama najlepiej wiesz. W tym zatęchłym dziale dekoracji nigdy nie będziesz miała możliwości pokazać, co naprawdę umiesz. Po prostu marnujesz zdolności.

Eleonora odrzekła, że nienawidzi tego całą duszą, ale cóż ma robić?

- Czemuż nie miałybyśmy zrobić tego, o czym mówimy od lat. Och, ludzie

doprowadzają mnie do szału, nikt nie ma odwagi wziąć się do tego, co zabawne albo interesujące. Głowę dam, że gdybyśmy założyły firmę dekoratorską, miałybyśmy mnóstwo zamówień. Sally Emerson powierzy nam na pewno urządzenie nowego domu, a potem to już wszyscy będą się do nas zwracać, żeby nie zostać w tyle. Nie wierzę, żeby ludzie naprawdę chcieli mieszkać w takich strasznych zagraconych mieszkaniach jak obecnie. Po prostu nie przychodzi im do głowy, że można inaczej.

Eleonora podniosła filiżankę do ust, wypila kilka łyčzków. Oczy miała utkwione w malej, białej, wypiełęgnowanej dłoni o długich paznokciach, w której trzymała filiżankę. W końcu powiedziała:

- Ale skąd weźmiemy pieniądze? Musiałybyśmy mieć na początek jakiś niewielki kapitał zakładowy.

- Myślę, że tatuś by nam coś dał, a może i Sally Emerson. Mówię ci, jest taka morowa... A potem pierwsze zamówienie postawi nas na nogi. Och, zgódź się, Eleonoro, to będzie pyszna zabawa.

- „Hutchins i Stoddard, Dekoracja Wnętrz” - powiedziała Eleonora stawiając filiżankę.

- A może „Panny Hutchins i Stoddard”. Ależ, moja droga, to wspaniały pomysł!

- Nie uważasz, że „Eleonora Stoddard i Ewelina Hutchins” brzmi najlepiej?

- Och, nazwę ustalimy, jak już będziemy miały atelier i przyjdzie do zakładania telefonu. Postawmy sprawę tak, droga Ewelino. Jeśli uda się namówić tę twoją znajomą, panią Emerson, żeby nam powierzyła urządzenie nowego domu, spróbujemy szczęścia zaraz. A jeśli nie, to poczekamy, dopóki nie dostaniemy porządnego zamówienia na początek.

- Dobrze. Jestem przekonana, że się zgodzi. Zaraz do niej pędzę. - Ewelina miała teraz wypieki. Wstała i pochyliwszy się pocałowała Eleonorę. - Och, jaka jesteś kochana, Eleonoro.

- Poczekaj chwilę, nie zapłaciłyśmy jeszcze za herbatę - powiedziała Eleonora.

Przez cały następny miesiąc praca u Marshalla Fielda była nie do zniesienia. Skargi klientek, codzienny ranny pośpiech, żeby wyjść w porę z hotelu, silenie się na uprzejmość wobec pana Spotmanna i wymyślanie dowcipów, żeby go rozśmieszyć. Pokój w Ivanhoe wydawał jej się teraz mały, nędzny, pełen śwądów kuchennych dostających się przez okno i zapachu smarów ze starej windy. Przez parę dni dzwoniła, że jest chora, a następnie dochodziła do wniosku, że nie usiedzi w pokoju, i szła do miasta włóczyć się po sklepach i kinematografach, po czym ogarniało ją raptownie śmiertelne zmęczenie i musiała wracać do domu taksówką, na którą nie było ją stać. Od czasu do czasu wpadała nawet do Instytutu Sztuki, chociaż znała wszystkie obrazy na pamięć i nie miała cierpliwości jeszcze raz ich oglądać. W końcu jednak Ewelinie udało się przekonać panią Filipową Paine Emerson, że jej nowy dom nie może się obejść bez nowatorskiej nutki w jadalni. Przedłożyły jej kosztorys na sumę znacznie niższą niż renomowani dekoratorzy i Eleonora miała

przyjemność zobaczenia zdumionej miny pana Spotmanna, kiedy odmówiła pozostania mimo podwyżki na czterdzieści dolarów tygodniowo i oświadczyła, że podjęła się wraz z przyjaciółką urządzenia nowej rezydencji Paine Emersonów w Lake Forest.

- No, moja droga - powiedział, szybko poruszając białą kwadratową szczęką - jeśli chcesz koniecznie zaprzepaścić karierę i popełnić samobójstwo, to ja cię nie będę powstrzymywał. Możesz odejść choćby w tej chwili, jeśli sobie życzysz. Oczywiście tracąc prawo do gratyfikacji gwiazdkowej.

Eleonorze biło szybko serce. Patrzyła na szare światło padające z pokoju biurowego, na żółtą kartotekę, na kartki z małymi próbkami wiszące na drucie. W drugim pokoju maszynistka, Ela Bowen, przestała stukać - prawdopodobnie nasłuchiwała. Eleonora wciągnęła martwe powietrze nasiąknięte zapachem perkalu, politory, gorącej pary i oddechów ludzkich.

- I owszem, proszę pana, życzę sobie – powiedziała w końcu.

Straciła cały dzień, nim otrzymała pobory i podjęła wpłaty asekuracyjne, długo musiała się wyklócać z kasjerem o sumę, tak że było późne popołudnie, kiedy wreszcie wyszła w zacinający śnieg i skierowała się w stronę najbliższej drogerii, żeby zadzwonić do Eweliny.

Ewelina zdążyła już wynająć dwie kondygnacje starego wiktoriańskiego domu w pobliżu Chicago Avenue i przez całą zimę zajęte były urządzeniem biura i salonów pokazowych na parterze oraz lokalu na piętrze, gdzie miały mieszkać, oraz dekorowaniem jadalni Sally Emerson. Zgodziły czarną służącą imieniem Amelia, która okazała się bardzo dobrą kucharką, chociaż trochę piła, zaczęły palić papierosy i mieszać koktajle na zakończenie dnia pracy, urządzały kolacyjki z winem, wynalazły zubożałą francuską krawcową i zrobiły sobie wieczorowe suknie, które zakładały wychodząc z Sally Emerson i jej paczką, jeździły taksówkami i poznały mnóstwo naprawdę ciekawych ludzi. Kiedy wreszcie na wiosnę wydebiły od Filipa Paine Emersona czek na pięćset dolarów, były zadłużone na tysiąc, ale żyły tak, jak chciały. Jadalnię uznano za trochę ekstrawagancką, ale niektórym ludziom się podobała i otrzymały kilka zamówień. Nawiązały nowe przyjaźnie, zaczęły się znowu obracać wśród plastyków i dziennikarzy z „Chicago Daily News” i „Chicago American”, którzy zabierali je na obiady do cudzoziemskich restauracji, gdzie było masę dymu i gdzie się mówiło o nowoczesnym malarstwie francuskim, Środkowym Zachodzie i wyjeździe do Nowego Jorku. Zwiedziły wystawę z Arsenалу²³⁴ i nad biurkiem w pokoju biurowym

²³⁴ Mianem Wystawy w Arsenale (Armory Show) przyjęto nazywać Międzynarodową Wystawę Sztuki Nowoczesnej (International Exposition of Modern Art) czynną od 15 lutego do 15 marca 1913 roku w arsenale 69 pułku piechoty w Nowym Jorku, a następnie przeniesioną w części do Chicago oraz do Bostonu (gdzie oglądał ją Dos Passos). Zorganizowana przez Stowarzyszenie Amerykańskich Malarzy i Rzeźbiarzy (Association of American Painters and Sculptors), wystawa ta była wielką sensacją, gdyż po raz pierwszy ukazywała amerykańskiej publiczności dzieła między innymi fowistów, kubistów, futurystów i ekspresjonistów, wywołując z jednej strony oburzone protesty znacznej części publiczności, z drugiej powodując gwałtowny ferment w sztuce i krytyce amerykańskiej. Obok prac około 1000 awangardowych twórców amerykańskich, ignorowanych dotąd przez oficjalny establishment artystyczny, zaprezentowano na niej dzieła około 500 Europejczyków, wśród nich po raz pierwszy oglądane w Ameryce płótna takich malarzy, jak Cezanne, Matisse, Picasso, Leger, Rouault, Vlaminck, Kandinsky, Munch czy Braque.

miały fotografię *Złotego ptaka* Brancusiego²³⁵, a egzemplarze „The Little Review”²³⁶ i „Poetry”²³⁷ pomiędzy teczkami, w których trzymały listy klientów i nie zapłacone rachunki dostawców.

Eleonora często wychodziła wieczorem z Tomem Custisem, starszym panem o czerwonej twarzy, który lubił muzykę, chórzystki i kieliszek, należał do wszystkich klubów i od lat był wielbicielem Mary Garden²³⁸. Miał lożę w operze, automobil Stevens-Duryea²³⁹ i jedynym jego zajęciem były wizyty u krawców i lekarzy specjalistów oraz od czasu do czasu utracenie jakiegoś Żyda lub parweniusza, który ubiegał się o przyjęcie do któregoś z klubów. Armourowie wykupili koncern mięsny jego ojca, kiedy jeszcze zajmował się sportem na uczelni, i od tej pory nie zhańbił się żadną pracą. Utrzymywał, że do mdłości doprowadzają go obowiązki towarzyskie, i interesował się firmą dekoratorską dziewcząt. Miał kontakty na Wall Street i czasami przekazywał Eleonorze kilka akcji, którymi spekulował. Jeżeli szły w górę, to jej zysk, jeżeli spadały, jego strata. Miał żonę w prywatnym sanatorium a z Eleonorą umówił się, że pozostaną przyjaciółmi. Jednakże czasami zbierało mu się na czułości, gdy wieczorem wracali taksówką do domu, a skarcony przez Eleonorę, następnego dnia w dowód skruchy przesyłał jej wielkie pudła białych kwiatów.

Ewelina miała kilku adoratorów, pisarzy, grafików i tym podobnych, którzy zawsze byli

²³⁵ Constantin Brancusi (1876-1957) - to rzeźbiarz rumuński, którego prace wpłynęły zasadniczo na ukształtowanie się nowoczesnego podejścia do problemu formy w sztukach plastycznych. Chłop z pochodzenia, po studiach w Krajowej, Bukareszcie, Wiedniu i Monachium, Brancusi osiadł w 1904 roku w Paryżu, gdzie długo cierpiał nędzę. Mimo to w 1906 odrzucił propozycję asystentury w pracowni wielkiego Augusta Rodina, tłumacząc odmowę sławnym później zdaniem: „Żadne inne drzewo nie może wyrosnąć w cieniu takiego dębu”. Odwracając się od tradycyjnego rzeźbiarstwa realistycznego, stworzył własny charakterystyczny styl, zrywający z posługiwaniem się żywym modelem i ograniczający do prezentacji podstawowych kształtów rzeczy, w dążeniu do uchwycenia ich istoty. W jego rzeźbach powtarzają się dwa podstawowe kształty świata organicznego - owal jajka i wydłużony cylinder. Do tego drugiego kształtu nawiązuje cała seria wysoce stylizowanych ptaków, zwykle rzeźbionych w brązie lub polerowanym metalu, sugerujących zarys skrzydeł, seria, którą rozpoczął w 1910 roku i która przyniosła mu sławę. *Złoty ptak* jest jednym z dzieł tego cyklu, kontynuowanego do 1940 roku i liczącego około 30 rzeźb. Koncentrując się na czystej formie, Brancusi uwolnił rzeźbę od XIX-wiecznej obrazowości i przetaił drogę XX-wiecznej rzeźbie abstrakcyjnej. O wpływie, jaki na nich wywarł, mówią otwarcie tacy wielcy rzeźbiarze, jak Jacob Epstein czy Henry Moore. Replikę pracowni Brancusiego, wzorowanej na rumuńskiej chacie chłopskiej, można obecnie oglądać w paryskim Centre Pompidou.

²³⁶ „The Little Review” („Mały Przegląd”) wydawany był od marca 1914 do maja 1929 przez niekonwencjonalną kobietę, Margaret Anderson, najpierw w Chicago, następnie w Nowym Jorku i Paryżu. Było to obrazoburcze pismo, głoszące wiarę w „Życie dla Sztuki”, adresowane do „ludzi inteligentnych, których filozofią życiową jest stosowany anarchizm”. Odważna redaktorka prezentowała w nim kontrowersyjne indywidualności, takie jak Nietzsche czy Bergson, bulwersujące ideologie, takie jak anarchizm czy feminizm, dyskusyjne teorie naukowe, takie jak psychoanaliza, nowatorskie prądy, takie jak dadaizm czy kubizm. Przybliżyła publiczności amerykańskiej całą plejadę najwybitniejszych awangardowych pisarzy i malarzy rodzimych i zagranicznych, przy czym najłośniejsza była publikacja w latach 1918-1921 fragmentów *Uliksesa* Joyce’a, która doprowadziła do konfiskaty przez pocztę amerykańską 4 numerów pisma i postawienie jego redaktorki przed sądem.

²³⁷ „Poetry: A Magazine of Verse” („Poezja: Magazyn Wierszy”) - to pismo założone w październiku 1912 roku w Chicago przez poetkę Harriet Monroe (1860-1936), która je redagowała aż do śmierci. Walczyła ona niestrudzenie, żeby mimo trudności finansowych utrzymać przy życiu pismo, któremu za cel postawiła „udostępnianie łamów wszelkim utworom eksperymentalnym i niekonwencjonalnym, bez zaniechywania wszakże form tradycyjnych”. Jako poetka w znacznej mierze zapomniana, Monroe oddała poezji amerykańskiej nieocenione usługi jako redaktorka, publikując utwory plejady najwybitniejszych twórców, zarówno uznanych, jak debiutujących. „Poetry” pod redakcją kilkakrotnie zmieniających się od jej śmierci osób, ukazuje się do dzisiaj.

²³⁸ Mary Garden (1874-1967) - to jedna z najslawniejszych gwiazd operowych Ameryki. Urodzona w Szkocji, wychowana w Chicago, debiutowała w paryskiej Opera Comique, kiedy w dniu premiery zaniemogła śpiewaczka kreująca tytułową rolę w operze Gustave’a Charpentiera *Louise*, przygotowywanej jako wydarzenie roku wielkiej wystawy paryskiej, 1900. W 1902 roku na tej samej scenie kreowała tytułową rolę Melizandy w światowej premierze dramatu muzycznego Claude’a Debussy’ego *Pelleas i Melizanda*, w 1907 w Nowym Jorku - rolę Salome w „skandalicznej” operze Straussa. W latach 1907-1910 była pierwszym sopranem nowojorskiego Manhattan Opera House, w latach 1910-1930 primadonną Opery Chicagowskiej. Obok wyżej wspomnianych największy rozgłos przyniosły jej tytułowe role w operach Julesa Masseneta *Manon* i *Thais*.

²³⁹ Stevens-Duryea (w odróżnieniu od tanich modeli T Forda, obliczonych na masowego odbiorcę) był w tym czasie jednym z drogich, luksusowych samochodów.

bez pieniędzy i zjadali i wypijali wszystko, co znaleźli w domu, ilekroć przyszli na obiad. Jednym z nich był Freddy Seargeant, aktor i producent, którego los rzucił do Chicago. Miał znajomości w agencji Shubertów²⁴⁰ i jego wielką ambicją było wystawienie pantomimy w rodzaju *Sumurun* Reinhardta²⁴¹, tyle że opartej na podaniach Majów. Zgromadził masę fotografii ruin Majów, a Eleonora z Eweliną zaczęły projektować kostiumy i dekoracje. Liczyły, że namówią Toma Custisa albo Paine Emersonów na wystawienie pantomimy w Chicago.

Największy kłopot był z muzyką. Zaczął ją pisać młody pianista, którego Tom Custis wysłał na studia do Paryża. Po powrocie młodzian ów przyszedł ją zagrać. Urządziły dla niego całe przyjęcie. Zjawiała się Sally Emerson i mnóstwo modnych osób, ale Tom Custis wypił za dużo, żeby słuchać czegokolwiek, kucharka Amelia ululała się i spaskudziła kolację, Ewelina zaś powiedziała pianiście na zakończenie, że jego muzyka brzmi jak ilustracja do filmu, i młody twórca wybiegł prychając ze złości. Wszyscy się rozeszli, został tylko Freddy Seargeant, który wraz z Eweliną i Eleonorą objął się po spustoszonemu mieszkaniu. Byli w podłych nastrojach. Freddy długimi dłońmi kręcił czarne włosy, lekko przyprószone siwizną, i mówił, że się zabije, a Eleonora i Ewelina kłóciły się zawzięcie.

- Bo brzmiała jak muzyka filmowa, a zresztą dlaczego nie miałyby brzmieć? - powtarzała Ewelina w kółko.

W końcu Freddy Seargeant wziął kapelusz i wyszedł mówiąc:

- To wy, kobiety, zrobiłyście z mojego życia piekło. Ewelina wybuchnęła na to płaczem i dostała ataku hysterii, aż Eleonora musiała wezwać lekarza. Następnego dnia wyskrobały pięćdziesiąt dolarów i wysłały Freddy'ego z powrotem do Nowego Jorku, po czym Ewelina

²⁴⁰ Agencja Shubertów-to zapewne najślawniejsza agencja w dziejach teatru amerykańskiego, prowadzona przez trzech braci Shubertów, Lee (naprawdę Leviego, 1872-1953), Samuela (1875-1905) i Jacoba (znanego powszechnie jako J.J., 1880-1963). Jakkolwiek później podawali, że się urodzili w Syracuse w stanie Nowy Jork, naprawdę przybyli do Ameryki z matką w 1882 roku z rosyjskiej wówczas Litwy, w ślad za ojcem, który wyjechał rok wcześniej na fali wielkiego exodusu Żydów, uciekających przed falą pogromów prowokowanych przez carską ochranę po śmierci w zamachu bombowym cara Aleksandra II. Prawdziwe nazwisko ojca, Szemański, zniekształcone przez urzędnika imigracyjnego, przybrało po kilku kolejnych transformacjach formę Shubert. Dwaj starsi bracia rozpoczęli samodzielne życie jako gazeciarze i chłopcy na posyłki w Syracuse, po czym zaczęli w tym mieście i w pobliskim Rochester wynajmować teatry i aranżować przedstawienia. W 1900 roku przenieśli się do Nowego Jorku, gdzie już we trzech wydzierżawili Herald Square Theater. Po śmierci Sama w 1905, Lee i J.J. zaczęli budować wielkie imperium teatralne rozciągające się na całe Stany, które w szczytowym okresie obejmowało 61 teatrów, nie licząc scen nowojorskich. Rozpocząwszy działalność jako właściciele i dyrektorzy teatrów, Shubertowie stopniowo stali się również producentami oraz agentami artystów, wśród których było wiele sław sceny, estrady i filmu. W sumie wystawili w ciągu swojej kariery ponad tysiąc widowisk, w większości o charakterze lekkiej rozrywki - rewie, operetki, składanki kabaretowe - zdarzało im się jednak finansować ambitne inscenizacje operowe i teatralne, jeśli rokowały zyski. Jako biznesmeni słynęli z bezwzględności, przyczyniając się walcnie do konsolidacji załżkowych stowarzyszeń artystycznych, występujących w obronie przed wyzyskiem. W 1950 rząd wytoczył im proces o monopolizowanie rynku teatralnego i w 1956 agencja, z jedyntym pozostałym przy życiu J.J. na czele, musiała się wyzbyć większości teatrów, pozostawiając sobie jedynie prestiżowe sceny w różnych miastach. W sercu nowojorskiego dystryktu teatralnego (por. przypis do s. 324) istnieje obecnie uliczka ich imienia, Shubert Alley, usytuowana nieco na zachód od Broadwayu, nieopodal dawnego Shubert Theater, w którym mieściły się ich biura.

²⁴¹ Max Reinhardt (właściwe nazwisko: Goldmann, 1873-1943), reżyser i dyrektor teatralny pochodzenia austriackiego, był jedną z najwybitniejszych indywidualności teatru pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Zasłynął szczególnie jako twórca monumentalnych widowisk o wspaniałej oprawie i scenach masowych. Był dyrektorem teatrów w Berlinie i Wiedniu, w 1920 zainicjował wznowienie po wojnie głośnych festiwali w Salzburgu, na których wystawiał co roku XV-wieczny moralitet *Jedermann* (*Każdy*) w nowoczesnej adaptacji austriackiego dramaturga Hugo von Hofmannstahla, często reżyserował gościnnie w Londynie i Nowym Jorku. W 1933, po dojściu Hitlera do władzy, nie wrócił do Niemiec i w 1938 osiadł na stałe w Stanach Zjednoczonych. Oparta na motywach arabskich *Opowieści z 1001 nocy* pantomima *Sumurun*, którą wystawił w 1912 roku w Nowym Jorku, była pierwszym widowiskiem, które rozślawiło jego nazwisko w Ameryce.

wyprowadziła się na Drexel Boulevard, pozostawiając Eleonorze dalsze prowadzenie firmy.

Na wiosnę następnego roku sprzedały za pięćset dolarów kilka żyrandoli, za które zapłaciły dwadzieścia pięć w sklepie ze starzyzną na Zachodniej Stronie, i akurat wypisywały czeki na najbardziej naglące długi, kiedy nadszedł telegram:

PODPISAŁEM KONTRAKT Z AGENCJĄ SHUBERTÓW STOP *POWRÓT NA RODZINNĄ GLEBĘ*²⁴² STOP CHCECIE PROJEKTOWAĆ DEKORACJE KOSTIUMY STOP STO PIĘCDZIESIĄT TYGODNIOWO KAŻDA STOP NATYCHMIASTOWY PRZYJAZD DO NOWEGO JORKU STOP TELEGRA-FUJCIE NATYCHMIAST HOTEL DES ARTISTES CENTRAL PARK SOUTH

FREDDY

- Jedziemy, Eleonoro - powiedziała Ewelina. Wyjęła z torebki papierosa i zaczęła chodzić wkoło pokoju paląc nerwowo. - Gdybyśmy się pospieszyły, mogłybyśmy złapać Dwudziesty Wiek.

- Jest południe - powiedziała Eleonora drżącym głosem.

Ewelina bez słowa podeszła do telefonu i zadzwoniła do biura Pullmana. Wieczorem siedziały w przedziale wagonu sypialnego i patrzyły przez okno na niknące w skłębionych dymach zimowego zmierzchu stalownie w Indiana Harbor, wielkie cementownie buchające burym jak kit dymem i gorejące piece w Gary. Żadna nie mogła wykrztusić słowa.

²⁴² *Powrót na rodzinną glebę* (*The Return of the Native*) - to przeróbka sceniczna jednej z najbardziej znanych powieści angielskiego pisarza, Thomasa Hardy'ego (1840-1928), opublikowanej w 1878. *Powrót*, rozgrywający się jak większość powieści Hardy'ego w wiejskiej scenerii południowo-zachodniej Anglii, przesycony jest charakterystycznym dla tego pisarza fatalizmem, który nieuchronnie prowadzi bohaterów do zguby.

żona pastora metodystów była wysoką chudą kobietą smutnym wiotkim głosikiem śpiewała piosenki przy pianinie słyszała że lubisz książki hodujesz kwiaty i warzywa bardzo ją to zaciekawiło bo należała kiedyś do kościoła Episkopalnego i sama przepadała za rzeczami pięknymi pisała opowiadania które jej drukowano w pewnym magazynie była młodsza od swego męża milkiwego czarnego mężczyzny z ustami jak łapka na myszy i sokiem tytoniowym ciekącym po brodzie nosiła cienkie białe suknie używała perfum i mówiła perlistym głosikiem że świat jest piękny jak lilia a na niebie za wielką sosną stał księżyc przejrzysty i nabrzmiały jak bańka która zaraz pęknie

kiedy wracaliśmy brzegiem wiedziałeś że powinieneś ją objąć i pocałować ale nie miałeś ochoty zresztą i tak byś się nie zdobył na odwagę brnąć krok za krokiem w piachu i sosnowym igliwiu pod banią księżycy nabrzmiała do niemożliwości jak olbrzymia kropla rtęci a ona mówiła takie okropnie smutne rzeczy o swoich nie spełnionych marzeniach i myślałeś jak to niedobrze

lubieś czytać książki *Zmierzch i upadek Cesarstwa Rzymskiego* ²⁴⁴ powieści kapitana Marryata ²⁴⁵ i chciaeś zaciągnąć się na morze pojechać w świat i do obcych miast do Carcassonne Marrakeszu Isfahanu lubieś żeby wszystko było ładne i chciaeś się zdobyć na odwagę objąć i pocałować Martę tę Murzyneczkę o której mówili że jest półkrwi Indianką córkę starej Emmy albo tę małą Mary którą uczyłem pływać i gdybym tylko miał odwagę noce bez jednego powiewu księżyc w pełni o Boże ale nie lilie

²⁴³ Oko kamery (19) jest według biografą Dos Passosa, Townsenda Ludingtona, wspomnieniem z którychś jego młodzięcych wakacji w posiadłościach ojca na Północnym Cyplu Wirginii.

²⁴⁴ *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego* (*The History of Decline and Fall of the Roman Empire*, 1776-1788) - to jedno z klasycznych dzieł historiografii światowej. Autor, Edward Gibbon (1737-1794), którego reputacja zasadza się głównie na tej monumentalnej pracy, daje tu szeroką panoramę dziejów Rzymu od roku 180 aż do upadku Bizancjum w 1453, malowaną z racjonalistycznym krytycyzmem człowieka oświecenia. Jakkolwiek nowsze badania nieco zdezaktualizowały niektóre sądy Gibbona, jego przenikliwość, talent narracyjny, swada i wspaniały styl sprawiają, że *Zmierzch i upadek* jest do dziś szeroko czytywany.

²⁴⁵ Frederick Marryat (1792-1848), podpisujący swoje książki jako kapitan, był twórcą angielskiej powieści marynistycznej. W wieku 14 lat wypłynął na morze w charakterze chłopca okrętowego, by ostatecznie dosłużyć się stopnia komandora w Marynarce Królewskiej, w której służył do 1830 roku. Brał udział w kilku kampaniach wojennych, między innymi walczył przeciwko flocie Napoleona. Pisać zaczął jeszcze w okresie służby na okręcie, a sukces osiągnął w 1829 powieścią *Naval Officer, or Scenes and Adventures in the Life of Trank Mildmay (Trank Mildmay, czyli sceny i przygody z życia oficera marynarki)*. Zostawił około 30 powieści awanturnych, o akcji rozgrywającej się w większości na morzu. Drukowane w odcinkach w prasie, cieszyły się one ogromnym powodzeniem, jakkolwiek krytycy wytykali Marryatowi niekonsekwencje treściowe oraz niechlujstwo stylistyczne, wynikające zapewne po części ze sposobu pisania. Powieści Marryata zachowały do dzisiaj znaczną wartość, głównie dzięki realizmowi w malowaniu XIX-wiecznego życia na morzu, galerii barwnych zindywidualizowanych postaci i oczywiście wartkiej narracji. Do drugiej wojny światowej wznawiano je w Polsce wielokrotnie, zwykle w skrótych tłumaczeniach, jako powieści dla młodzieży. W ostatnich dziesięcioleciach ukazały się nakładem Wydawnictwa Morskiego nowe, pełne przekłady najlepszych z nich, między innymi *Petera Simple* (wydanie oryginalne 1834) i *Okrętu widma* (*The Phantom Ship*, 1839).

KRONIKA XIV

BOMBARDIER POWSTRZYMUJE AUSTRALIJCZYKA

pułkownik powiedział, że demokraci doprowadzili naród do krytycznego położenia
Ustąpię, jak mnie zabijecie, rzucił Huerta w ponurym upo i pół Meksyku zginie wraz ze mną
nie widać było płomieni, tylko szeroki pióropusz czarnej pary wzniósł się z krateru na milę w niebo i
popiół wulkaniczny spadł na odległe o trzynaście mil Macomber Flats Jaja się Zaśmierdły? To
Wysiadka.

W naszym porcie w Alabamie Czeka tato przy mamie, Czeka Efram przy Samie, Kiedy
księżyc lśni

KSIĘŻYCOWE WRÓŻKI PŁASAJĄ W RAVINIA GREENS²⁴⁶

WILSON PRZYJMIE RADY BANKIERÓW

przyznaje, że rzucił bombę policjantka kupuje alkohol gdy się traci na pszenicy zamordowany
jako włamywacz

*Oczekują wszyscy razem, Czas skracając sobie jazzem, Na bandzolach synkopują, Rytm
nogami wystukują I do taktu przyklaskują, I do wtóru przyśpiewują*

rozpoznawszy gryzmoły Jamesa, prezydent wziął papierową petardę i pociągnął. Na biurko
wysypał się strumień złotych ciągutków. Spoglądając na kartkę Pierwszy Obywatel przeczytał:
„Tylko za bardzo się nie objeżdż, bo Mamusia mówi, że mogą ci zaszkodzić”.

PRZEJAŻDŻKA WILKIEM MORSKIM PO MEKSYKAŃSKICH WODACH

*Kołyszą się i swingują, Wszyscy razem oczekują Na Roberta E. Lee, Bo to łajba pocziwa, Po
bawelnę przyływa*

NOWE SZCZĘŚCIE ISADORY DUNCAN²⁴⁷

dziś po południu awanturnicy z IWW zakłócili uroczystości z okazji rocznicy urodzin
Garibaldiego w Rosebank na Staten Island, zbezczęścili flagę włoską, pobili pięściami i pałkami
członków Włoskiego Towarzystwa Kurkowego i byliby wdeptali flagę amerykańską w błoto, gdyby

²⁴⁶ Ravinia Greens -to park w miejscowości Highland Park, przedmieściu Chicago nad jeziorem Michigan. Znajduje się tam scena na otwartym powietrzu, na której w lecie koncertuje Chicagowska Orkiestra Symfoniczna oraz odbywają się gościnne występy różnego typu objazdowych zespołów teatralnych.

²⁴⁷ Isadora Duncan (1878-1927) - to światowej sławy amerykańska tancerka, krzewicielka tańca wzorowanego na domniemanych tradycjach starożytnej Grecji, wyzwolonego z dławiących konwencji baletu XIX wieku. Szczytowe lata swej kariery artystycznej spędziła na nie kończących się tournees, głównie po Europie, od Wielkiej Brytanii po Rosję i od Grecji po Skandynawię (w roku 1906 występowała min. w Warszawie i Łodzi); odwiedziła również Egipt, objechała Amerykę Południową, natomiast w USA tańczyła rzadziej, niezbyt entuzjastycznie przyjmowana. Przedmiotem bezustannego zainteresowania prasy była również dlatego, że prowadziła życie bulwersujące opinię publiczną. Spośród jej niezliczonych romansów do najgłośniejszych należały związki w latach 1904-1908 z wielkim angielskim scenografem, reżyserem i teoretykiem teatru, Gordonem Craigiem (1872-1966); związek w latach 1909-1918 z amerykańskim milionerem, dziedzicem fortuny wynalazcy maszyny do szycia, Parisem Singerem (1867-1932); oraz tragikomiczne małżeństwo w latach 1922-1923 z młodszym od niej o 17 lat rosyjskim poetą Siergiejem Jesieninem (1895-1925). Z pierwszego związku miała córeczkę Deirdre, z drugiego synka Patricka, a śmierć obojga dzieci w nurtach Sekwany, gdy wiozący je automobil spadł w 1913 roku w Paryżu z mostu, stała się wielką tragedią jej życia, z której Isadora nie otrząsnęła się właściwie nigdy. Sama zginęła równie dramatycznie, gdy długi szal, którym miała owiniętą szyję, wkręcił się w szprychy otwartego auta, którym wybierała się w Nicei na przejażdżkę, i złamał jej kręgosłup. Trudno ustalić bez kwerendy źródłowej, o czym mógł pisać autor sensacyjnego nagłówka o „nowym szczęściu Isadory” w latach bezpośrednio poprzedzających pierwszą wojnę światową, do których odnosi się ta kronika.

nie

SZEŚĆ ROZNEGLIŻOWANYCH DZIEWCZĄT W KĄPIELI PODBIŁO OCZY NATREŃTOWI

Indiańscy nurkowie poszukują ciała chłopca, który utonął. Niektórzy świadkowie twierdzą, że widzieli w ciżbie kobietę. Została ugodzona cegłą. Mężczyzna w szarym ubraniu ukrył się za jej spódnicą i stamtąd zaczął strzelać. Górne pokłady i ustronne miejsca statku są wymarzoneym miejscem do amorów, a ofiarą padają często upojone młode dziewczęta, których matki nie powinny puszczać bez opieki na publiczne przejażdżki.

ŚRODKOWY ZACHÓD MOŻE ZADECYDOWAĆ O ZWYCIĘSTWIE WILSONA WYJAŚNIAJĄ POWODY NIEPOKOJU WŚRÓD ROBOTNIKÓW

„Jestem szwajcarskim admirałem przybywającym do Ameryki”, wobec czego policjant sprowadził taksówkę

*To jest, bracie, rzecz klawa, Taka w porcie zabawa, Gdy muzyka grzmi. Wszyscy tańczą,
śpiewają, Wszyscy razem czekają Na*

Roberta

E.

Lee.

WŁADCA MORZA KARAIBSKIEGO

Kiedy umarł Minor C. Keith²⁴⁸, wszystkie gazety zamieściły jego zdjęcie - bystrooki mężczyzna z orlim nosem, szacownym brzuszkiem i spłoszonym spojrzeniem spode łba.

Minor C. Keith był synem bogatego człowieka, urodził się w rodzinie, która lubiła brzęk pieniądza; umieli w tej rodzinie zwietrzyć pieniądz na drugim krańcu globu.

Jego wujem był Henry Meiggs²⁴⁹, znany jako Don Enrique na Zachodnim Wybrzeżu. Jego ojciec miał wielkie tartaki i handlował nieruchomościami w Brooklynie; młody Keith wrodził się w ojca.

(Jeszcze w czterdziestym dziewiątym gorączka złota zwabiła Don Enrique do San Francisco. Ale nie wyruszył na poszukiwania w góry, nie umierał z pragnienia przesiewając alkaliczny pył w Dolinie Śmierci. Sprzedawał innym ekwipunek. Pozostał w San Francisco i bawił się w politykę i wielkie spekulacje, aż zabrnął tak, że musiał wsiąść na pierwszy lepszy statek.

Statek zawiózł go do Chile. Meiggs w lot zwietrzył w Chile pieniądze.

Czyż nie jest capitalista yanqui²⁵⁰? Wybuduje kolej z Santiago do Valparaiso. Na wyspach Chinchu były złoża guana. Meiggs zwietrzył pieniądze w guanie. Wygrzebał sobie fortunę z guana i stał się potęgą na Zachodnim Wybrzeżu. Żonglował liczbami, liniami kolejowymi, armiami, machinacjami miejscowych caciques i politicos; wszystko to były sztony w olbrzymiej partii pokera. Z pokerowych rozdań rosły stosy dolarów.

Finansował nieprawdopodobne koleje andyjskie.

Tomas Guardia, zostawszy dyktatorem Kostaryki, napisał do Don Enrique, żeby mu

²⁴⁸ Minor C(ooper) Keith (1848-1929) rozpoczął samodzielne życie jako 16-letni subiekt w sklepie na nowojorskim Broadwayu z płacą 3 dolarów tygodniowo. Wkrótce, idąc w ślady ojca, zajął się handlem drewnem i w pierwszym roku zarobił na czysto 3 tysiące dolarów. W 1869 sprzedał swój interes drzewny i przez dwa lata prowadził hodowlę w Teksasie. We wrześniu 1871 przybył ze starszym o 9 lat bratem Henrym po raz pierwszy do Kostaryki, z którą miała być związana znaczna część jego dalszych losów. Ściągnął ich tam wuj, Henry Meiggs (patrz dalej), by ich uczynić wykonawcami podpisanej z rządem umowy na budowę ponad 200-kilometrowej linii kolejowej z centralnie położonej miejscowości Alajuela, 20 kilometrów na zachód od stolicy San Jose, do portu Limon nad Morzem Karaibskim. Inicjatorem budowy kolei był Tomas Guardia (1831-1882), od 1870 dynamiczny prezydent (nie dyktator, jak pisze Dos Passos, choć niekiedy sprawował władzę po dyktatorsku) Kostaryki. Do tej pory stolica miała połączenie ze światem jedynie przez odległy bez mała o 100 kilometrów port Puntarenas nad Pacyfikiem, a do Limon i Morza Karaibskiego nie prowadziła nawet droga, trzeba się było przedzierać przez dżunglę, bagna i góry konno, czasem pieszo. Jak podaje autor monograficznej książki *Keith and Costa Rica*, Watt Stewart, cały kontrakt opiewał na milion 600 tysięcy funtów szterlingów (suma 75 tysięcy dolarów, którą wymienia Dos Passos, stanowiła być może początkową wpłatę), budowa miała być ukończona w 3 lata. Henry Keith rozpoczął prace od zachodu i rzeczywiście wybudował szybko pierwszy odcinek, po czym przekazał całe przedsięwzięcie Minorowi, który miał prowadzić budowę od wschodu. Zamiast przewidzianych 3 lat, budowa ciągnęła się z przerwami niemal 20, do grudnia 1890, nie tylko z powodu szalonych trudności klimatycznych, terenowych i z siłą roboczą, ale także ze względu na kłopoty finansowe (Minor spędził w tym okresie m.in. 3 lata w Wielkiej Brytanii, zabiegając o kredyty). Najistotniejsze elementy jego zawrotnej późniejszej kariery zostały dość wiernie wypunktowane przez Dos Passosa w dalszej części tego rozdziału, z tym uzupełnieniem, że Minor prowadził oczywiście mnóstwo innych nie wymienionych wielomilionowych przedsięwzięć.

²⁴⁹ Henry Meiggs (1811-1877) zapisał się przede wszystkim jako budowniczy kolei w Południowej Ameryce. Urodzony w stanie Nowy Jork, w roku 1848 (jeszcze przed wielką gorączką złota) wyemigrował do Kalifornii, gdzie dorobił się fortuny na handlu drewnem. Popadłszy w blisko milionowe długi, uciekł w 1854 do Ameryki Południowej, gdzie początkowo pracował jako inspektor kolei w Chile, a w 1861 otrzymał kontrakt na dokończenie budowy linii z portu Valparaiso do stolicy Santiago, co mu przyniosło dochód ponad miliona dolarów. W latach 1868-1873 wybudował ponad 1600 kilometrów linii kolejowych dla rządu peruwiańskiego, przy czym jego najambitniejszym przedsięwzięciem była linia Callao-Lima-La Oroja, która pokonywała Andy na wysokości 4600 metrów. Budowa ta doprowadziła jednak Meiggsa do bankructwa, tak że umarł bliski ubóstwa.

²⁵⁰ Capitalista yanqui (hiszp.)- kapitalista jankeski, a więc amerykański.

wybudował kolej; Meiggs był zajęty w Andach, nie chciał sobie zawracać głowy kontraktem na głupie 75 000 dolarów, posłał po swego siostrzeńca, Minora Keitha).

Nikt w tej rodzinie nie zasypiał gruszek w popiele: w wieku szesnastu lat Minor Keith był samodzielny, sprzedawał kołnierzyki i krawaty w sklepie konfekcyjnym. Potem był inspektorem w tartaku i handlował tarcicą. Kiedy jego ojciec kupił wyspę Padre koło Corpus Christi w Teksasie, posłał Minora, żeby z niej wydusił pieniądze. Minor założył na wyspie hodowlę bydła, zastawił sieci na ryby, ale bydło i ryby nie zapewniały dostatecznie szybkiego obrotu kapitału; więc kupił świnię i rznął woły, gotował mięso i karmił nim świnię, siekał ryby i karmił nimi świnię, ale świnię też nie zapewniały dostatecznie szybkiego obrotu kapitału; więc Minor rad był, że może wyjechać do Limon.

Limon było jednym z najgorszych siedlisk zarazy nad Morzem Karaibskim, nawet Indianie marli tutaj na malarię, żółtą febrę i dyzenterię.

Keith wrócił do Nowego Orleanu na parowcu John G. Meiggs²⁵¹, żeby nająć robotników do budowy kolei. Dawał dolara dziennie i wikt, zwerbował siedmiuset ludzi. Niektórzy znali te okolice z flibustierskich czasów Williama Walkera²⁵². Z całej gromady może dwudziestu pięciu uszło z życiem. Po reszcie zostały tylko przeżarte gorzałką ścierwa, gnijące w bagnach.

Następnym razem załadował w Nowym Orleanie tysiąc pięciuset robotników; z tych wszyscy wymarli na dowód, że tylko Murzyni z Jamajki mogą się utrzymać przy życiu w Limon. Minor Keith nie umarł.

W roku 1882 miał wybudowane dwadzieścia mil linii kolejowej oraz milion dolarów długu; bo kolej nie miała co wozić. Keith kazał zakładać plantacje bananów, żeby kolej miała co wozić; chcąc dostarczać banany na rynki światowe, musiał zostać armatorem; taki był początek karaibskiego imperium owocowego. A robotnicy cały czas marli od gorzałki, malarii, żółtej febry i dyzenterii.

Umarli trzej bracia Minora Keitha.

Minor Keith nie umarł.

²⁵¹ *John G. Meiggs* - to statek zakupiony przez Henry'ego Keitha, a eksploatowany przez Minora w niezliczonych rejach po Morzu Karaibskim, Zatoce Meksykańskiej i Atlantyku, najpierw w poszukiwaniu robotników i w celu dostarczania materiałów do budowy kolei, później także do eksportu bananów i innych produktów. Nazwany imieniem innego wuja, brata Henry'ego Meiggsa, któremu prowadził finanse i administrację, statek ten stał się załącznikiem późniejszej Wielkiej Białej Floty bananowej.

²⁵² *William Walker* (1824-1860) - to amerykański poszukiwacz przygód, który próbował podbojów w Ameryce Środkowej. Urodzony i wychowany w Nashville w stanie Tennessee, ukończył w 1843 roku medycynę na Uniwersytecie Pensylwańskim, wkrótce przerwając ją jednak na prawo i na wydawanie gazety, czym się parał przez kilka lat, najpierw w Nowym Orleanie, później w Kalifornii. W 1853 zorganizował zbrojną ekspedycję, zajął meksykański półwysep Dolna Kalifornia (Baja California) i proklamował jego niepodległość ze sobą jako prezydentem. Wobec meksykańskich protestów Amerykanie odcięli mu dostawy z Kalifornii i Walker musiał się wycofać, poddać siłom amerykańskim stacjonującym na granicy i stanąć w San Francisco przed sądem, który go jednak uniewinnił. W 1856 zorganizował następną wyprawę, zajął bez trudu Nikaraguę i ogłosił się z kolei jej prezydentem. Miał za sobą poparcie znacznej części ekspansjonistycznej opinii publicznej w Stanach, szczególnie zaś zaskarbił sobie sympatię południowych plantatorów, gdy ogłosił przywrócenie zniesionego wcześniej w Nikaragui niewolnictwa. Stanął jednak w poprzek interesów brytyjskich i francuskich w tym rejonie, co więcej, naraził się amerykańskiemu potentatowi Cornhusowi Vanderbiltowi, który zorganizował przez Nikaraguę przewozy między Morzem Karaibskim a Pacyfikiem, i w rezultacie wkrótce wyreżyserowano rewoltę, która Walkera obaliła. Spróbował jeszcze raz, lądując w sierpniu 1860 roku w Hondurasie, żeby dotrzeć lądem do Nikaragui, wpadł jednak w ręce Brytyjczyków, którzy go przekazali władzom Hondurasu, te zaś postawiły go przed plutonem egzekucyjnym.

Budował koleje, zakładał sklepy detaliczne wzdłuż całego wybrzeża, w Bluefields, Belize²⁵³, Limon, kupował i sprzedawał kaczuk, wanilię, szylkret²⁵⁴, sarsaparylę²⁵⁵; wszystko, co mógł kupić tanio, kupował; wszystko, co mógł sprzedać drogo, sprzedawał.

W 1898, wspólnie z Boston Fruit Company, założył United Fruit Company²⁵⁶, które się stało jedną z najpotężniejszych organizacji przemysłowych świata.

W 1912 stworzył Towarzystwo Międzynarodowych Kolei Ameryki Środkowej; wszystkie one zostały wybudowane za banany; w Europie i w Stanach ludzie zaczęli jeść banany, więc w całej Środkowej Ameryce karczowano dżungle i zakładano plantacje, budowano koleje, żeby je wozić, i z każdym rokiem coraz więcej parowców Wielkiej Białej Floty płynęło na północ z ładowniami pełnymi bananów.

Oto historia amerykańskiego imperium nad Morzem Karaibskim, historia Kanału Panamskiego, przyszłego Kanału Nikaraguańskiego²⁵⁷, piechoty morskiej, pancerników i bagnetów.

Skąd to spłoszone spojrzenie spoza łba na zdjęciu Minora C. Keitha, pioniera imperium owocowego, budowniczego kolei, na wszystkich zdjęciach, które gazety zamieściły po jego śmierci?

²⁵³ Bluefields i Belize - to tak jak Limon porty za zachodnim wybrzeżem Morza Karaibskiego. O ile jednak Bluefields leży stosunkowo niedaleko od Limon, w sąsiadującej z Kostaryką od północy Nikaragui, Belize znajduje się o dobre 1200 kilometrów drogą morską na północ, za Nikaraguą, Hondurasem i krótkim wybrzeżem karaibskim Gwatemali, w sąsiadującym z Meksykiem ówczesnym Hondurasem Brytyjskim, dzisiejszym państwie o tej samej co miasto nazwie Belize, przemienionym w 1981 z kolonii w niepodległego członka Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Obrazuje to już wczesną rozległość interesów Minora Keitha.

²⁵⁴ Szylkret (z niem. Schildkröte - żółw) - to masa rogowa z pancerzy żółwi morskich, używana dawniej do wyrobu przedmiotów takich, jak guziki, grzebienie czy oprawki okularów.

²⁵⁵ Sarsaparyla (z hiszp. zarzaparilla) - to pnąca się lub zwisająca roślina z rodziny liliowatych, rosnąca w tropikalnych krajach Ameryki; z jej korzenia wytwarza się farmaceutyki (m.in. środek przeciwko łuszczycy) oraz napój orzeźwiający znany w USA pod nazwą piwa korzennego, dawniej nazywany również sarsaparylą (pije ją powieściowca Janey w jednym z dalszych rozdziałów).

²⁵⁶ United Fruit Company powstało faktycznie w 1899 roku, głównie z wkładu Minora Keitha, który jeszcze w 1884 zawarł z rządem kostarykańskim umowę, której mocą w zamian za pokrycie długu narodowego i sfinansowanie budowy brakujących około 80 kilometrów linii kolejowej otrzymał na 99 lat wyłączne prawa do tej linii oraz 325 tysięcy hektarów dziewiczych gruntów pod uprawę bananów, wszystko zwolnione na 20 lat od podatków. W momencie swego powstania United Fruit miało kapitał zakładowy ponad 11 milionów dolarów, do 1930 przez wchłonięcie ponad 20 konkurencyjnych firm zwiększyło kapitał do 215 milionów. Obok karczowania dżungli pod uprawy, Towarzystwo finansowało rozbudowę na wielką skalę kolei i portów, stworzyło największą prywatną flotę handlową świata. Prowadziło uprawy głównie w krajach Ameryki Środkowej, w Kolumbii oraz na wyspach Morza Karaibskiego. Oprócz bananów uprawiało m.in. trzcinę cukrową, kakao, abakę (roślinę stanowiącą surowiec do wyrobu lin i tkanin). Określane w krajach Ameryki Łacińskiej epitetem ośmiornicy (el pulpo) i gwałtownie atakowane w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku za eksploatację robotników, przekupywanie urzędników i szantażowanie rządów, Towarzystwo złagodziło później swoje gangsterskie metody postępowania.

²⁵⁷ Projektowany Kanał Nikaraguański nigdy nie powstał, choć Stany Zjednoczone posiadają nadal prawo do jego budowy na mocy ugody międzyrządowej z 1916 roku. Projekt jego budowy ostatecznie upadł po otwarciu w 1914 roku Kanału Panamskiego, wcześniej jednakże, poczynając od 1820, był wielokrotnie rozważany jako alternatywny wobec szlaku przez Panamę. Droga przez Nikaraguę jest wprawdzie wielokrotnie dłuższa, ale gdyby dla poprowadzenia szlaku dla statków wykorzystać wpadającą do Morza Karaibskiego rzekę San Juan, następnie wielkie jezioro Nikaragua, przekopania wymagałyby tylko wąski przesmyk między jeziorem a Pacyfikiem. Tędy właśnie w okresie kalifornijskiej gorączki złota 1849 roku zorganizował szlak przewozowy dla śpieszących na pola złotodajne poszukiwaczy nowojorski potentat Cornelius Vanderbilt.

OKO KAMERY (20)²⁵⁸

kiedy tramwajarze w Lawrence zastrajkowali na znak solidarności cóż u licha przecież to tylko banda Italiańców Pepiczków Madziarów którzy nie myją szyi jedzą czosnek mają chmary rozwrzeszczanych bachorów i grube ociekające tłuszczem żony i przeklętych makaroniarzy ogłosili że szukają ochotników przyzwoitych czystych młodych

żeby uruchomić tramwaje i pokazać tym zagranicznym agitatorom że to jeszcze ciągle kraj białego

więc ten facet mieszkał w Matthews i przez całe życie chciał być motorniczym w tramwajach ludzie mówili pan Grover był kiedyś motorniczym w Albany zaczął pić i pokazywał się na ulicy z różnymi zdzirami

więc ten facet mieszkał w Matthews pojechał do Lawrence razem ze swoim współlokatorem i zgłosili się w Lawrence ludzie krzyczeli za nimi Łamistrajki Fagasy ale jak który nie był makaromazem to już na pewno był chamem w ogóle parszywy element a ci dwaj lubili się bardzo ten facet z Matthews ze swoim kumplem więc wsiadł na pomost zakręcił błyszczącą mosiężną korbą zadyndał dzwonkiem

stało się to w remizie jego współlokator coś tam majstrował między zderzakami a ten facet zakręcił połyskliwą mosiężną korbą wóz ruszył i jak nic zmiażdżył tamtemu głowę między zderzakami zabił go jak nic na miejscu w tej remizie i jak ten facet się teraz pokaże rodzicom przyjaciela

²⁵⁸ Oko kamery (20) jest zapisem historii, którą Dos Passos zapewne zasłyszał, kiedy zaczynał we wrześniu 1912 roku studia na renomowanym Uniwersytecie Harvarda w Cambridge pod Bostonem w stanie Massachusetts. Niewątpliwie żywe były tam echa niedawnego strajku, który wstrząsnął pobliskim miastem fabryk włókienniczych, Lawrence. Spontaniczny strajk wybuchł 12 stycznia, kiedy fabrykanci ogłosili obniżkę stawek dla około 30 tysięcy tkaczy, z których niewielka część należała do różnych związków, reszta była nie zorganizowana. Po aresztowaniu pod zarzutem morderstwa początkowych przywódców, J.J. Ettore i Arturo Giovanniego, kierownictwo przejął „Wielki Bill” Haywood, który doprowadził 12 marca do zwycięskiego zakończenia strajku. Fabrykanci zostali zmuszeni do przyznania włókniarzom pewnych podwyżek i świadczeń.

J. WARD MOOREHOUSE

W Pittsburghu Ward Moorehouse dostał pracę jako reporter w „Times Dispatch” i przez pół roku opisywał włoskie śluby, miejscowe zjazdy Łosi²⁵⁹, mało ważne zgony, zabójstwa i samobójstwa wśród Litwinów, Albańczyków, Kroatów i Polaków, trudności greckich restauratorów z uzyskaniem naturalizacji, obiady Synów Italii. Mieszkał w wielkim, czerwonym drewnianym domu na końcu Highland Avenue, należącym do niejakiej pani Cook, zdziwaczałej staruszki z Belfastu, zmuszonej do odnajmowania pokoi od czasu, gdy jej męża, majstra w jednej z hut w Homestead, zmiażdżył ładunek surówki, który spadł na niego z dźwigu. Pani Cook robiła Wardowi śniadania i niedzielne obiady i stojąc nad nim, gdy jadł, sam jeden w dusznej zagraconej jadalni, opowiadała mu o swojej młodości w Północnej Irlandii, o przewrotności papistów oraz cnotach nieboszczyka pana Cooka.

Były to złe czasy dla Warda. Nie miał w Pittsburghu żadnej przyjaznej duszy i przez całą zimną, brudną, moką zimę chodził przeziębiony i z bólem gardła. Nienawidził redakcji, stromych ulic, wiecznie zaciągniętego nieba, karkołomnych drewnianych schodów, po których biegał tam i z powrotem, smrodu nędzy, kapusty, dzieci i prania w obskurnych kamienicach czynszowych, gdzie wiecznie szukał jakiejś pani Piretti, której mąż został zabity podczas bójki w knajpie na Locust Street, to znów Sama Burkbvicha wybranego na prezesa Ukraińskiego Towarzystwa Śpiewaczego albo kobiety z pomarszczonymi od mydlin rękami, której dziecko porznął nożem jakiś zwyrodnialec. Nigdy nie mógł wrócić do domu wcześniej niż o trzeciej, czwartej nad ranem i nigdy nie miał czasu nic zrobić, bo kiedy zjadł koło południa śniadanie, już trzeba było dzwonić do redakcji po nowe zlecenia.

Bezpośrednio po przyjeździe do Pittsburgha zgłosił się do pana McGilla, którego poznał przez Jarvisa Oppenheimera w Paryżu. Pan McGill go pamiętał, zapisał sobie jego adres i kazał czekać. Obiecał, że postara go się na początek umieścić w nowym biurze prasowym organizowanym właśnie przez Izbę Handlową, ale potem mijał tydzień za tygodniem, a wiadomości od pana McGilla nie było. Natomiast przychodziły od czasu do czasu suche notki od Annabelle Marie w sprawie formalności rozwodowych. Jako powód miała podać niełożenie na jej utrzymanie, porzucenie i okrucieństwo; od niego chciała tylko, żeby odmówił przyjazdu do Filadelfii, kiedy dostanie wezwanie na rozprawę. Zapach perfum, którymi przesiąknięty był jej niebieski papier listowy, budził w nim jęczącą potrzebę kobiety. Ale musiał zachować czystość i myśleć o karierze.

Najgorszy był cotygodniowy dzień wolny. Często leżał do wieczora na łóżku, zbyt przygnębiony, by wyjść w czarną bryję ulic. Napisał do szkół korespondencyjnych o materiały z zakresu dziennikarstwa i reklamy, potem pod wpływem nagłego impulsu, by rzucić wszystko,

²⁵⁹ Dobroczynny i Opiekuńczy Zakon Łosi (the Benevolent and Protective Order of Elks) - to założone w 1868 roku stowarzyszenie „białych obywateli Stanów Zjednoczonych”, o rytuale zbliżonym do masonerii (rasowa restrykcja przynależności została zniesiona dopiero w 1973), prowadzące działalność filantropijną i samopomocową. Udziela stypendiów wyróżniającym się studentom, finansuje leczenie chorych dzieci i kombatantów, prowadzi domy dla starszych i potrzebujących opieki członków zakonu.

wyjechać na Zachód i nająć się do pracy na ranchu poprosił jeszcze o kurs hodowli drzew owocowych. Ale był zbyt apatyczny, by się uczyć, i broszurki gromadziły się tydzień po tygodniu na stole w pokoju. Wydawało mu się, że wszystko to do niczego nie prowadzi. Raz po raz przebiegał myślą cały ciąg wydarzeń od dnia wyjazdu z Wilmingtonu do Ocean City. Musiał gdzieś popełnić błąd, ale nie mógł dociec gdzie. Próbował układać pasjansa, ale nawet na tym nie mógł skupić myśli. Zapominał o kartach i siedząc przy stole przykrytym pluszowym obrusem piernikowego koloru, przez zakurzoną sztuczną paproć w doniczce owiniętej bibułą i ozdobionej zakurzoną różową kokardą z pudełka po czekoladkach gapił się na szeroką ulicę, którą bez przerwy jeździły tramwaje zgrzytające na zakręcie i na której lekko połyskiwał w rynsztokach czarny lód, kiedy po południu zapalały się w półmroku łukowe latarnie. Myślał dużo o dawnych dniach w Wilmingtonie, o Mary O'Higgins i lekcjach gry na fortepianie, o wyprawach na ryby starą łódką wzdłuż brzegów Delaware, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Doprowadzało go to do stanu takiego podenerwowania, że nie mógł dłużej wysiedzieć i szedł na filiżankę gorącej czekolady do drogerii na rogu, a potem do miasta do taniego kinematografu albo teatryku rewiewego. Nauczył się wypalać trzy cygara dziennie, jedno po każdym posiłku. Stało się to czymś, czego niejasno oczekiwał.

Raz czy dwa próbował złapać pana McGilla w jego biurze w Gmachu Fricka, ale za każdym razem okazywało się, że jest on w rozjazdach. Czekał gawędząc z recepcjonistką, po czym odchodził niechętnie ze słowami: „Ach, prawda, uprzedzał, że wyjeżdża” albo: „Widać zapomniał, że się ze mną umówił” - by pokryć zakłopotanie, że odchodzi z kwitkiem. Ociągał się z opuszczeniem jasno oświetlonego westybulu z wielkimi, błyszczącymi mahoniowymi fotelami o poręczach w kształcie lwich głów i stołami o nogach w kształcie lwich łap, z świergotem maszyn do pisania za przepierzeniem, z dzwonieniem telefonów i dobrze ubranymi kancelistami i urzędnikami kręcącymi się tam i z powrotem. W redakcji było zupełnie inaczej, głośny szczeł pras, kwaśny zapach farby drukarskiej, mokre bele papieru i spoceni praktykanci uwijający się w zielonych umbrellkach na czole. Nigdy nie mieć do czynienia z interesującymi ludźmi, nigdy nie dostać zlecenia nie związanego z robotnikami, imigrantami albo kryminalistami - już mu to zupełnie zbrzydło. Któregoś dnia na wiosnę poszedł do hotelu Schenley przeprowadzić wywiad z prelegentem objeżdżającym kraj. Był w świetnym humorze, bo liczył, że redaktor miejski, odpowiednio ugłaskany, umieści mu to jako artykuł sygnowany. Przepychał się przez hali pełen przyjezdnych na stanowy zjazd Kiwanisów²⁶⁰, kiedy wpadł twarzą w twarz na pana McGilla.

²⁶⁰ Kiwanisi - to członkowie tak zwanych Kiwanis Clubs, rozsianych po całych Stanach i Kanadzie klubów biznesmenów i przedstawicieli wolnych zawodów, statutowo stawiających sobie za cel popieranie interesów komunalnych, podnoszenie etyki zawodowej, pomoc koleżeńską. Mottem kiwanisów jest „Budujemy” („We build”). Poszczególne kluby działają niezależnie na rzecz lokalnych społeczności, głosząc ducha obywatelskiego, wspierając wymiar sprawiedliwości i agencje pomocy społecznej, organizując wakacje dla biednych dzieci. Nazwa, zaczerpnięta z jednego z języków indiańskich, jest różnie tłumaczona, najczęściej jako znacząca: „Dajemy się poznać” („We make ourselves known”). Wprowadzając w tym punkcie historii powieściowego Warda na zjazd kiwanisów, Dos Passos wybiega jednak nieco w przyszłość, gdyż pierwszy klub kiwanisów powstał w rzeczywistości parę lat później, w 1915, w Detroit w stanie Michigan, a ich pierwszy stanowy zjazd w Pittsburghu, a więc w Pensylwanii, musiał oczywiście przypaść jeszcze później.

- No, jak się pan ma, Moorehouse - powiedział pan McGill od niechcienia, jakby go stale widywał. – Cieszę się, że pana spotykam. Ci idioci w biurze zapodziali gdzieś pański adres. Ma pan chwilkę czasu?

- Ależ oczywiście - odrzekł Ward. - Jestem umówiony, ale ten jegomość może poczekać.

- Niech pan nigdy nie każe nikomu czekać, jeśli pan jest umówiony.

- Och, to nie jest sprawa zawodowa - powiedział Ward spoglądając panu McGillowi w twarz, z wesołym błyskiem w błękitnych chłopięcych oczach. - Nie weźmie mi za złe, jak chwilę zaczeka.

Weszli do pokoju korespondencyjnego i usiedli na wyściełanej kanapce. Pan McGill wyjaśnił, że właśnie został mianowany tymczasowym pełnomocnikiem generalnym do sprawy reorganizacji Bessemerowskiego Towarzystwa Wytworów i Wyposażzeń Metalowych, które prowadzi szeroki asortyment produktów ubocznych hut w Homestead. W związku z tym szuka ambitnego i energicznego człowieka, który by pokierował reklamą i sprzedażą.

- Przypominam sobie tę broszurkę, którą mi pan pokazywał w Paryżu. Myślę, że byłby pan odpowiednim człowiekiem, Moorehouse.

Ward patrzył w podłogę.

- Oczywiście musiałbym rzucić obecną pracę.

- Co to za praca?

- Dziennikarstwo.

- Och, niech pan to rzuci, to żadna przyszłość. Z powodów, w które nie będziemy obecnie wchodzić, musielibyśmy nominalnie mianować kogoś innego kierownikiem reklamy. Ale faktycznie pan by wszystkim kierował. Jakiego by pan oczekiwał uposażenia?

Ward spojrział panu McGillowi w oczy i krew mu przestała pulsować w uszach, kiedy usłyszał swój niedbały głos:

- Co by pan powiedział na setkę tygodniowo? Pan McGill pogłaskał się po wąsach, uśmiechnął.

- No, jeszcze o tym pogadamy - powiedział wstając.

- Myślę, że mogę panu zdecydowanie doradzić rzucenie obecnej pracy. Zadzwoń jeszcze w tej sprawie do pana Batemana. Chciałbym, żeby dobrze zrozumiał, dlaczego pana do nas ściągamy. Po co ma mieć żal, że pan tak nagle odchodzi? Trzeba zawsze unikać zadrażnień. Niech pan przyjdzie do mnie jutro o dziesiątej. Zna pan moje biuro w Gmachu Fricka²⁶¹.

²⁶¹ Henry Clay Frick (1849-1919) - to jeden z najpotężniejszych przemysłowców amerykańskich końca XIX wieku. Jako młody subiekt zaczął inwestować w pensylwańskie kopalnie węgla, które okazały się tak bogate, że w wieku 30 lat stał się milionerem, „królem koksu”, w który zaopatrywał pittsburghski przemysł hutniczy, bujnie rozwijający się od lat siedemdziesiątych. W 1889 wszedł w spółkę z Andrew Carnegiem i przez 11 lat był prezesem rady nadzorczej jego towarzystwa stalowego. W 1892 roku, podczas głośniego strajku w Homestead, to Frick był tym, który ściągnął detektywów z Agencji Pinkertona, doprowadzając do rozlewu krwi. Oburzenie na niego zostało jednakże nieco rozładowane, kiedy stał się on wkrótce celem nieudanego zamachu anarchisty Alexandra Berkmana, późniejszego towarzysza życia Emmy Goldman. Drogi Carnegiego i Fricka rozeszły się, gdy ten ostatni odmówił sprzedaży koksu hutom pierwszego po preferencyjnych cenach. W 1901 Frick był jednym

- Zdaje się, że mam parę cennych pomysłów reklamowych. W ogóle bardzo mnie ten rodzaj pracy interesuje - powiedział Ward.

Ale pan McGill już na niego nie patrzył. Kiwnął głową i oddalił się. Ward poszedł na górę przeprowadzić wywiad z prelegentem, bojąc się zbyt unosić radością.

Następny dzień był jego ostatnim w redakcji. Zgodził się na siedemdziesiąt pięć dolarów z obietnicą podwyżki, gdy tylko rezultaty dadzą do tego podstawę, po czym wynajął pokój z łazienką w hotelu Schenley. W biurze dostał gabinet do spółki z młodym człowiekiem nazwiskiem Oliver Taylor, który był bratankiem jednego z dyrektorów i zaznajamiał się z coraz to wyższymi szczeblami organizacji. Oliver Taylor był pierwszorzędnym tenisistą, należał do wszystkich możliwych klubów i z miłą chęcią pozwalał Moorehouse'owi wykonywać za siebie całą pracę. Kiedy się dowiedział, że Moorehouse był za granicą i ma ubrania szyte w Anglii, wprowadził go do Klubu Ziemskiego w Sewickley i zaczął po pracy zabierać ze sobą na jednego. Po trochu Moorehouse nawiązał znajomości i jako samotny młody mężczyzna jął otrzymywać zaproszenia. Grywał również z instruktorem w golfa na małym polu za Allegheny, gdzie nie było obawy spotkania nikogo znajomego. Dopiero opanowawszy jako tako arkana gry, pojechał do Sewickley spróbować swoich sił.

Którejś niedzieli po południu Oliver Taylor wybrał się razem z nim i pokazał mu na polu golfowym różne grube ryby z kopalni, stalowni i rafinerii. Mężczyźni przerzucali się rubasznymi uwagami, z których Ward lekko chichotał, chociaż wydawały mu się nad wyraz niesmaczne. Było słoneczne majowe popołudnie, znad żywnych pól nad Ohio zalaływał zapach akacji, dobiegał ostry świst kijów golfowych, trzepot jasnych sukienek na trawniku koło klubu, strzępy śmiechów i urywki basowych rozmów pewnych siebie przemysłowców w słonecznych powiewach, w których czuło się jeszcze posmak piekących dymów z wielkich pieców. Ward z wysiłkiem panował nad sobą, żeby mężczyźni, którym został przedstawiony, nie zauważyli rozpierającej go radości.

Poza tym cały czas spędzał na pracy. Poleciał swojej sekretarce pannie Rodgers, starej pannie o pospolitej twarzy, która po piętnastu latach w pittsburskich biurach znała na wylot całą branżę metalową, żeby się wystarała o fachowe książki, które studiował wieczorami w hotelu, zdumiewając potem wszystkich na konferencjach znajomością procesów i produktów przemysłu metalowego. W głowie roilo mu się od wiertel, haków, młotów, pił, siekier, toporków, kluczy. Czasami w przerwie obiadowej, pod pozorem zakupu paru gwoździ czy pinesek, zachodził do sklepu żelaznego, żeby pogadać z właścicielem. Studiował *Crowds Junior*²⁶² i różne książki z zakresu psychologii, starał się

z organizatorów Amerykańskiej Korporacji Stali, która wykupiła huty Carnegiego. W 1935 roku, po śmierci wdowy po Fricku, otwarto w ich nowojorskiej rezydencji na rogu Siedemdziesiątej Ulicy Wschodniej i Piątej Alei muzeum, udostępniające publiczności zgodnie z wolą Fricka, gromadzoną przez niego przez 40 lat wspaniałą kolekcję sztuki europejskiej od XIV do XIX wieku. Znajduje się tu między innymi sławne polonicum - portret *Lisowczyka* pędzla Rembrandta.

²⁶² *Crowds Junior. A Little Introductory Run Through „Crowds”* (Tłumy młodsze: mały wstępny marsz przez „Tłumy”, 1914) - to skrócone wydanie książki *Crowds: A Moving Picture of Democracy* (Tłumy: film demokracji, 1913), przygotowane przez autora dla ludzi, którzy nie mają czasu, żeby przeczytać 561 stron tekstu oryginalnego. Książka wyszła spod pióra pastora Kościoła Kongregacjonalistycznego, Geralda Stanleya

postawić w sytuacji kupca żelaznego lub szefa zaopatrzenia Hammachera Schlemmera czy też innego wielkiego magazynu towarów żelaznych, łamał sobie głowę, jakiego rodzaju prospekty fabryczne najbardziej by do niego przemawiały. Rano, goląc się, podczas gdy do wanny ciekła woda na kąpiel, widział przed lustrem długie procesje rusztów, krat, okuć do pieców, pomp, maszynek do mielenia mięsa, świdrów, cyrkli, imadeł, kółek nastawnych i uchwytów do szuflad i zastanawiał się, w jaki sposób można je uczynić bardziej atrakcyjnymi dla detalisty. Goli się maszynką Gillette; dlaczego goli się Gillette, a nie jakąś inną maszynką? Bessemer to dobra nazwa, pachnie z daleka pieniędzmi, olbrzymimi walcownikami i potentatami w limuzynach. Trzeba nią zainteresować nabywcę, dać mu odczuć, że jest częścią czegoś wielkiego i potężnego, myślał dobierając krawat. Bessemer, powtarzał sobie przy śniadaniu. Dlaczego nasze zawlecзки mają się podobać bardziej od innych zawleczek, zadawał sobie pytanie wsiadając do tramwaju. Uwieszony chwiejnej rączki w tłumie jadącym do śródmieścia, patrząc niewidzącymi oczyma na tytuły w gazecie, przez cały czas miał w głowie łańcuchy, ankry, żelazne nakrętki, żeliwne kolanka, złącza, tulejki, nasadki. Bessemer.

Kiedy poprosił o podwyżkę, dostał od razu sto dwadzieścia pięć dolarów.

Na zabawie w Klubie Ziemijskim poznał młodą blondynkę, która bardzo dobrze tańczyła. Nazywała się Gertruda Staple i była jedynaczką starego Horace'a Staple'a, dyrektora kilku towarzystw i domniemanego posiadacza sporej części akcji Standard Oil²⁶³. Gertruda była narzeczoną Olivera Taylora, ale bez przerwy się kłócili, jak wyznała Wardowi, gdy odpoczywali przez jeden taniec. Frak leżał na nim dobrze i Ward wyglądał znacznie młodziej od większości mężczyzn na zabawie. Gdy Gertruda oświadczyła, że w Pittsburghu nie ma zupełnie atrakcyjnych mężczyzn, zaczął mówić o Paryżu. Powiedziała na to, że jest już tak znudzona, płakać jej się chce, i że wolałyby mieszkać w Nome na Alasce niż w Pittsburghu. Strasznie jej się podobało, że zna Paryż, więc opowiedział jej o Tour d'Argent, hotelu Wagram i barze u Ritza. Żałował tylko, że nie ma auta, gdyż wyraźnie starała się ułatwić mu pytanie, czy pozwoli się odwiedzić do domu. Ale następnego dnia posłał jej kwiaty z pisaniem po francusku bilecikiem, który, jak sądził, powinien ją ubawić. W najbliższą sobotę poszedł się zapisać do szkoły automobilowej, po czym wstąpił do przedstawicielstwa

Lee (1863-1944), który się specjalizował w popularyzowaniu reguł godziwego i efektywnego życia w „epoce tłumów i maszyn”. Głosił etykę sukcesu osiąganego przez usilne starania i wyteżoną pracę, wychwalał znaczenie nauki i czytania, lansował higienę, analizował drogę życiową milionerów takich, jak Andrew Carnegie, John Pierpont Morgan czy Alfred Nobel. Obok Tłumów może najbardziej poczytną z około 15 jego książek był tom pt. *Inspired Millionaires: A Study of the Men of Genius in Business* (Natchnieni milionerzy: studium ludzi genialnych w interesach, 1908).

²⁶³ Standard Oil Company, założone w 1870 roku przez Johna D. Rockefellera, w ciągu niespełna dekady dzięki zręcznym machinacjom, rozlicznym fuzjom i bezwzględnym metodom utracania konkurencji zdobyło kontrolę nad przeszło 90 procentami amerykańskiego przemysłu naftowego. Już od 1892 roku zapadały przeciwko Standard Oil wyroki sądowe na mocy ustawy antytrustowej uchwalonej dwa lata wcześniej na wniosek republikańskiego senatora Johna Shermana (tak zwany Sherman Antitrust Act). Równocześnie Rockefeller i jego trust należeli do głównych celów ataków gnojo-dłubów (por. przypis w części dotyczącej Uptona Sinclaira) i już w 1904 jedna z autorek tego ruchu, Ida Tarbell, opublikowała demaskatorską *The History of the Standard Oil Company*. Trust różnymi machinacjami prawno-organizacyjnymi bronił zaciekle swego stanu posiadania tak, że jego towarzystwo holdingowe, Standard Oil Company of New Jersey, zostało ostatecznie rozwiązane wyrokiem Sądu Najwyższego dopiero w roku 1911. Wchodzące w skład trustu towarzystwa naftowe stały się niezależnymi firmami (z których najważniejszymi były Mobil Oil Company, Standard Oil of California, Standard Oil of Ohio i Standard Oil of Indiana), jednakże posiadacze akcji rozczłonkowanego Standard Oil mogli

Stutza dowiedzieć się, na jakich warunkach mógłby nabyć dwuosobowy kabriolet.

Któregoś dnia Oliver Taylor przyszedł do biura z dziwnym uśmiechem na wargach i oznajmił:

- Ward, Gertruda zadurzyła się w tobie. Nie mówi o nikim innym. Bierz się do roboty, chłopie, diabła mi na niej zależy. Trzeba by cholernego zachodu, żeby sobie dać z nią radę. Mam jej dość po półgodzinie.

- To pewnie dlatego, że mnie nie zna – powiedział Ward, lekko się czerwieniąc.

- Szkoda tylko, że stary nie da jej wyjść za nikogo, kto nie jest milionerem. Ale miłości możesz sobie trochę użyć.

- Nie mam czasu na takie głupstwa - powiedział Ward.

- A mnie nie starcza czasu na nic innego – odparł Taylor. - No, to na razie. Pilnuj twierdzy, bo ja się umówiłem na lunch z taką dziewczynką. Mówię ci, gorąca dzidzia, tańczy w Czerwonym Młynie²⁶⁴, pierwszy szereg, trzecia od lewej.

Mrugnął, trzepnął Warda w plecy i wyszedł.

Wybierając się następnym razem z wizytą do rezydencji Staple'ow, ukrytej dyskretnie wśród drzew, Ward wziął na próbę czerwonego sportowego stutza. Radził sobie zupełnie nieźle, chociaż za szybko zakręcił na podjeździe i ściął z grządki kilka tulipanów. Gertruda zobaczyła to z okna biblioteki i potem się z niego śmiała. Odparł, że jest kiepskim kierowcą, zawsze był i zawsze będzie. Dała mu herbatę i koktajl na małym stolczku pod jabłonią za domem i Ward zastanawiał się przez cały czas rozmowy, czy nie powinien wspomnieć o rozwodzie. W końcu opowiedział jej o swoim nieszczęśliwym pożyciu z Annabelle Strang. Gertruda bardzo mu współczuła. Słyszała o doktorze Strangu.

- A ja myślałam, że pan jest zwykłym karierowiczem. Z parobka na prezydenta, rozumie pan. Coś w tym guście.

- Bo i jestem - odrzekł i obydwójce wybuchnęli śmiechem. Czuł, że naprawdę za nim przepada.

Wieczorem spotkali się na zabawie i poszli we dwoje na sam koniec oranżerii, gdzie było bardzo parno wśród orchidei. Pocałował ją i powiedział, że wygląda jak blade-żółta orchidea. Odtąd wymykali się przy każdej sposobności. Kiedy ją brał w ramiona i obsypywał pocałunkami, robiła się cała bezwładna. Upewniało go to, że jest w nim zakochana, ale wróciwszy po takim wieczorze do domu, był zbyt niespokojny i podniecony, żeby zasnąć. Chodził tam i z powrotem, marząc o przespaniu się z kobietą i klnąc siebie za te chęci. Często brał zimną kąpiel i mówił sobie, że musi pilnować interesów; nie stać go na zaprzętanie sobie głowy takimi sprawami, nie może dopuścić,

oczywiście nadal liczyć na wysokie dywidendy z nowych towarzystw.

²⁶⁴ *Czerwony młyn* (*The Red Mill*, 1906) - to komedia muzyczna z librettem i piosenkami Henry'ego Blossoma do muzyki Victora Herberta.

żeby znowu znalazła mu za skórę kobieta. Ulice w dolnych częściach miasta były pełne prostytutek, ale bał się coś złapać albo paść ofiarą szantażu. Wreszcie którejś nocy Taylor zabrał go po przyjęciu do domu, który, jak twierdził, był absolutnie bezpieczny. Tutaj Ward poznał ładniutką czarną Poleczkę, która mogła mieć najwyżej osiemnaście lat, ale nie chodził do niej zbyt często, bo kosztowało to pięćdziesiąt dolarów, przy tym denerwował się przez cały czas, że trafi na obławę policyjną i narazi się na płacenie okupu.

Pewnego niedzielnego popołudnia Gertruda powiedziała mu o pretensjach matki, że się z nim afiszuje - przecież wszyscy wiedzą, że Ward ma żonę w Filadelfii. Poprzedniego dnia rano nadeszło akurat orzeczenie rozwodu i Ward był w wyśmienitym humorze. Powiedział jej o tym i poprosił, żeby za niego wyszła. Byli na bezpłatnym recitalu organowym w Instytucie Carnegiego²⁶⁵, świetnym miejscu spotkań, bo nikt, kto się liczył, nigdy tu nie przychodził.

- Chodź do mnie do hotelu, to ci pokażę - powiedział.

Rozpoczął się koncert. Potrząsnęła głową, ale poklepała go po dłoni leżącej na pluszowym siedzeniu koło jej kolan. Wyszli w połowie numeru. Muzyka działała im na nerwy. Stali rozmawiając długo w westybulu. Gertruda wyglądała biednie i mizernie. Powiedziała, że się podle czuje, że rodzice nigdy jej nie pozwolą wyjść za mężczyznę, który nie ma takich dochodów jak ona, że wolałaby być biedną stenotypistką albo telefonistką, przynajmniej mogłaby robić, co chce, że go kocha do szaleństwa, zawsze go będzie kochała, ale nie pozostaje jej nic prócz alkoholu albo narkotyków, bo życie jest wprost okropne.

Ward był bardzo chłodny, miał twardo zaciśnięte szczęki. Odparł, że widocznie tak bardzo go nie kocha, i co do niego, zdecydowany jest zerwać, a jeśli się kiedyś spotkają, to tylko na stopie przyjacielskiej. Zawiózł ją stutzem, którego jeszcze nie spłacił, na Highland Avenue i pokazał dom, gdzie mieszkał po przyjeździe do Pittsburgha. Przez całą drogę opowiadał, że wyniesie się na Zachód i założy własną agencję reklamową, i w końcu zostawił ją przed domem przyjaciółki w Highland Parku, dokąd kazała szoferowi podjechać po siebie o szóstej.

Wrócił do hotelu rozgoryczony i zamówiwszy do pokoju filiżankę czarnej kawy, zabrał się do materiałów, które miał przygotować do druku. Pracując mamrotał przez cały czas pod nosem:

- Niech ją diabli, sukę jedną.

Przez następne miesiące nie zaprzętał sobie głowy Gertrudą, gdyż w Homestead wybuchł strajk²⁶⁶, straż kopalniana zabiła kilku górników i jacyś pismacy z Nowego Jorku i Chicago, którym

²⁶⁵ Instytut Carnegiego (Carnegie Institute) - to zespół muzeów i sal koncertowych o łącznej powierzchni ponad 50 tysięcy metrów kwadratowych, ufundowany w 1895 roku w Pittsburghu przez Andrew Carnegiego. Muzea posiadają wspaniałe zbiory okazów świata naturalnego i historii człowieka, jak również sztuki od XV wieku poczynając. Główna sala koncertowa, mieszcząca 2 tysiące słuchaczy, słynie z organów zaliczanych do największych i najświetniejszych w świecie. Wiele mówiąca o tak zwanych wyższych sferach tego czasu jest uwaga Dos Passosa, że było to świetne miejsce spotkań, „bo nikt, kto się liczył, nigdy tu nie przychodził”.

²⁶⁶ Dos Passos pozwala sobie tu na znaczną dowolność, gdyż głośny strajk w Homestead, jeden z najkrwawszych w historii Stanów Zjednoczonych, miał miejsce w 1892 roku, dwadzieścia lat wcześniej od innych opisywanych tu wydarzeń, odnoszących się do lat przed pierwszą wojną światową. W Homestead,

się zebrało na sentymenty, zaczęli zamieszczać w prasie artykuły chłoszczące przemysł stalowy i feudalne stosunki panujące w Pittsburghu, jak to określali, a progresywiści narobili krzyku w Kongresie i w rezultacie rozeszły się pogłoski, że pewne osobistości pragnąc wyciągnąć z tego korzyści polityczne zażądają powołania komisji kongresowej do zbadania sprawy. Pan McGill i Ward umówili się na obiad w hotelu Schenley, żeby w cztery oczy omówić sytuację, i Ward powiedział, że potrzebne są zupełnie nowe założenia propagandowe. Jest rzeczą przemysłu wychowanie sobie klienteli za pomocą kampanii prasowej, starannie zaplanowanej na wiele lat z góry. Pan McGill bardzo się do tego zapalił i oświadczył, że będzie mówił na zebraniu dyrektorów o potrzebie utworzenia wspólnego biura prasowego dla całego przemysłu. Ward dał do zrozumienia, że to on powinien stanąć na czele takiego biura, bo praca w Towarzystwie Bessemerowskim jest zwykłą stratą czasu; w tej chwili ogranicza się już do stereotypowych czynności, które każdy może wykonywać. Wspomniał również o wyjeździe do Chicago i założeniu własnej agencji reklamowej. Pan McGill uśmiechnął się i gładząc stalowosiwe wąsy powiedział:

- Nie tak prędko, młody człowieku. Niech pan tu jeszcze trochę posiedzi, a na honor, nie pożałuje pan tego.

Ward odparł, że chętnie, ale siedzi w Pittsburghu już pięć lat i do czego doszedł?

Biuro prasowe zostało rzeczywiście powołane do życia i Ward objął faktyczne kierownictwo za dziesięć tysięcy dolarów rocznie, tak że mógł z nadwyżki zacząć trochę grać na giełdzie, ale nad sobą miał kilku figurantów, którzy brali pensje większe i nic nie robili, tylko włązili mu w drogę, co go niezmiernie drażniło. Czuł, że powinien się ożenić i założyć dom. Miał szerokie stosunki w różnych gałęziach przemysłu odlewniczego, stalowego i naftowego i powinien przyjmować, ale wydawanie obiadów w hotelach Schenley czy Fort Pitt łączyło się z wielkimi kosztami, a w dodatku nie robiło solidnego wrażenia.

Aż któregoś dnia, otworzywszy rano gazetę, przeczytał, że wczoraj w windzie Gmachu Carnegiego zmarł na atak angina pectoris Horace Staple i że Gertruda z matką, pogrążone w smutku, pozostają w swojej rezydencji w Sewickley. Bezwłocznie zasiadł w pokoju korespondencyjnym, chociaż oznaczało to, że się spóźni do biura, i napisał do Gertrudy bilecik:

Najdroższa Gertrudo!

W tej okropnej chwili żałoby pozwól mi przypomnieć, że myślę o Tobie bezustannie. Daj mi znać niezwłocznie, jeśli mogę być w czymkolwiek pomocny. Na tym padole śmierci musimy sobie zdawać sprawę, że Wielki Dawca, któremu zawdzięczamy miłość, dobrobyt i wszelkie wzruszenia

leżącym na przeciwnym brzegu rzeki Monongaheli od południowo-wschodniego Pittsburgha, mieściła się jedna z hut Towarzystwa Stalowego Carnegiego (Carnegie Steel Company). Strajk ogłosiło tu Połączone Zrzeszenie Pracowników Żelaza, Stali i Cyny (Amalgamated Association of Iron, Steel and Tin Workers), gdy zawiodły negocjacje z dyrekcją po zarządzeniu przez nią obniżki płac. Po bez mała czteromiesięcznym strajku, do rozpędzenia pikietujących hutników dyrekcja sprowadziła setki detektywów z Agencji Pinkertona, którym 6 lipca wydano rozkaz otwarcia ognia. Zginęło 10 hutników. W tydzień później gubernator stanu Pensylwania przysłał gwardię narodową, pod której osłoną hutę uruchomiono z pomocą łamistrajków. Po tej klęsce związkom zawodowym udało się wznowić działalność w przemyśle

przy wesółym kominku, jest również Bezlitosnym Żniwiarzem...

Po minucie wpatrywania się w słowa i zucia koniuszka pióra doszedł do wniosku, że to lekka przesada z tym Bezlitosnym Żniwiarzem. Przepisał bilecik bez ostatniego zdania, podpisał: „Twój oddany Ward” - i wyekspediował przez umyślnego do Sewickley.

Wychodził w południe na lunch, kiedy goniec zawiadomił go, że przy telefonie czeka jakaś pani. Była to Gertruda. Głos jej drżał, ale nie wydawała się zbyt wytrącona z równowagi. Błaga go, powiedziała, żeby ją zabrał wieczorem na kolację gdzieś, gdzie ich nikt nie zobaczy, bo na myśl o siedzeniu w domu ciarki ją przechodzą i w ogóle oszaleje, jeśli będzie musiała dłużej wysłuchiwać kondolencji. Odparł, że będzie czekał w hallu hotelu Fort Pitt i że zawiezie ją w jakieś ustronne miejsce, żeby spokojnie pogadać.

Wieczorem zaciął lodowaty wiatr. Przez cały dzień niebo było ołowiane i z północnego zachodu ciągnęły atramentowe chmury. Gertruda zjawiała się tak zakutana w futra, że jej nie poznał, gdy weszła do westybulu. Wyciągnęła do niego rękę i powiedziała: „Chodźmy stąd” - ledwo zdążyła się zbliżyć. Odparł, że zna małą restauracyjkę przy szosie do McKeesport, tylko czy Gertruda nie zmarznie jadąc otwartym wozem.

- Ależ jedźmy, koniecznie - powiedziała. - Uwielbiam zadymkę. - A wsiadłszy do auta, zapytała drżącym głosem: - Co, Ward, cieszysz się, że widzisz dawną flamę?

On zaś odrzekł:

- Mój Boże, Gertrudo, pewnie, że się cieszę. A ty się nie cieszysz?

- Nie widać tego po mnie?

Wówczas mruknął coś o jej ojcu, ale mu przerwała:

- Proszę cię, nie mówmy o tym.

Wiatr wył im za plecami przez cały czas jazdy doliną Monongaheli, chwilami zaciął śnieg. Szyby, piece bessemerowskie i wysokie rzędy kominów stały atramentowo-czarne na tle niskiego wełnistego nieba, które pochłaniało wszystek blask rozpalonego metalu i czerwonego żuźla, biel luków i reflektory lokomotyw. Na którymś przejeździe o mało nie wpadli pod pociąg z węglem. Ścisnęła go za ramię, kiedy wóz zarzucił, raptownie zahamowany.

- O mały włos byłoby nieszczęście - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Wszystko mi jedno, wszystko mi dzisiaj jedno - odparła.

Musiał wysiąść z korbą, bo motor zgasł.

- Dobrze będzie, jeśli nie zamarzniemy na śmierć - rzekł.

Kiedy wgramolił się z powrotem do auta, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Chcesz się jeszcze ze mną ożenić? Kocham cię, Ward.

Motor zawarczał jak wściekły, gdy się obrócił i pocałował ją mocno w usta, tak jak Annabelle

tamtego wieczoru w swoim domku w Ocean City.

- Pewnie, że chcę, kochanie - odpowiedział.

Przydrożną restauracyjkę prowadziła para Francuzów, z którymi Ward rozmawiał po francusku zamawiając kurczaki, czerwone wino i whisky z gorącą wodą i cukrem na rozgrzewkę, zanim się doczekają kolacji. W lokalu nie było nikogo i Ward kazał ustawić stolik tuż koło sztucznych bierwion na gazowym kominku w najdalszym kącie różowo-żółtej sali o przyćmionych światłach, z długą widmową perspektywą pustych stolików i długich okien zasypanych śniegiem. Podczas kolacji opowiadał Gertrudzie o planach założenia własnej agencji; musi tylko znaleźć odpowiedniego wspólnika, oświadczył, a z całą pewnością wkrótce będzie stał na czele największej agencji w kraju, jeśli zajmie się tą nową, nie wyzyskaną dziedziną stosunków między kapitałem a pracą.

- Będę ci mogła wiele pomóc, gdy się pobierzemy - powiedziała spoglądając na niego, z zaróżowionymi policzkami i roziskrzonymi oczami. - Kapitałem, radą i w ogóle.

- Oczywiście, Gertrudo.

Piła wiele przy kolacji, potem zażądała jeszcze grzanej whisky, a Ward całował ją co chwila i błędził ręką po jej udzie. Zdawała się nie zważać na nic i całowała go w obecności restauratora. Kiedy wyszli z powrotem do auta, wiatr wiał z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę, a szosa była zupełnie zasypana. Ward powiedział, że to czyste samobójstwo wracać w taką noc autem do Pittsburgha, a gospodarz oznajmił, że ma dla nich przygotowany pokój i że monsieur i madame byliby szaleni, gdyby wyruszyli teraz w drogę, tym bardziej że przez cały czas musieliby jechać pod wiatr. Słyszając to, Gertruda wpadła w chwilową panikę i oświadczyła, że raczej się zabije, niż zostanie. Potem nagle rzuciła się Wardowi w ramiona, łkając histerycznie:

- Zostanę, chcę zostać, tak cię kocham.

Zadzwonili do rezydencji Staple'ow i rozmawiali z pielęgniarką, która ich poinformowała, że pani Staple jest trochę spokojniejsza, dostała na sen i śpi jak małe dziecko. Gertruda kazała powiedzieć matce jak się obudzi, że zostaje na noc u przyjaciółki, Jane English, i że wróci, jak tylko zawieja ucichnie i będą ją mogli odesłać autem. Potem zadzwoniła do Jane English i powiedziała, że nie posiada się z rozpaczy i wzięła pokój w Fort Pitt, gdyż chce być zupełnie sama. I gdyby matka dzwoniła, niech jej powiedzą, że Gertruda śpi. Potem zadzwonili do Fort Pitt i zarezerwowali pokój na jej nazwisko. Potem poszli do łóżka. Ward był bardzo szczęśliwy i zdecydował, że ją kocha, chociaż robiła już zdaje się takie rzeczy, bo z miejsca powiedziała:

- Tylko uważaj, kochanie, żebyśmy nie musieli galopem brać ślubu.

W pół roku później się pobrali i Ward zrezygnował ze swego stanowiska w biurze prasowym. Miał dobrą passę na Wall Street, więc postanowił zrobić sobie wolny rok na podróż po Europie. Okazało się wprawdzie, że fortuna Staple'ow pozostaje pod zarządem pani Staple, a Gertruda aż do

jej śmierci będzie miała tylko rentę w wysokości piętnastu tysięcy rocznie, postanowili jednak odwiedzić starszą panią w Karlsbadzie i mieli nadzieję namówić ją na sfinansowanie projektowanej agencji reklamowej. Popłynęli do Plymouth w apartamencie dla nowożeńców parowca Deutschland i mieli bardzo spokojny rejs, tak że Ward chorował tylko przez jeden dzień.

OKO KAMERY (21)²⁶⁷

przez cały sierpień nie spadła ani jedna kropla w lipcu też prawie nie padało i ogród warzywny był w opłakanym stanie w ogóle na całym Północnym Cyplu Wirginii nie opłacało się zbierać kukurydzy nawet na paszę bo dolne liście były zupełnie zwiędłe i zwinięte na brzegach jedne pomidory jako tako obrodziły

kiedy na farmie nie potrzebowali Morowca dosiadałeś go (był to cisawy wałach trzylatek który się potykał) i jechałeś przez wysokopienny las sosen piaszczyste ławice dróg płomienne od wiciokrzewu i bagna wyschnięte i popękane jak skóra aligatora

koło obejścia Morrisów gdzie wszystkie dzieci były chude ogorzale i zakurzone

i naokoło brzegiem rzeki koło Harmony Hall gdzie powłócząc bosymi nogami kręcił się Sydnor wielki chłop bez mała dwa metry wzrostu o długiej twarzy i długim nosie z brodawką na czubku łamał sobie głowę co z tym wszystkim począć bo to i susza i żona chora i tylko patrzeć jak znowu zlegnie a tu dzieciaki mają koklusz on sam słabuje na żołądek

i koło Sandy Point znowu koło wielkiej sosny gdzie zza płotu wyglądała panna Emilia stała koło krzaka urokliny (panna Emilia nosiła staromodne czepki z rondem okalającym twarz zawsze miała trochę kwiatów i parę kuraków na sprzedaż w jej żyłach płynęła najlepsza południowa krew nasze nazwisko pisze się Tancheford ale wymawiać należy Tofford żeby tylko chłopaki nie były takie nicponie piją po całych dniach łajdaczą się nad rzeką szmuglują bimber z Marylandu zamiast łowić a jak się w końcu wybiorą na połów to pijani ze świata Bożego nie widzą na pewno porwą sieci albo w ogóle pogubią panna Emilia też lubiła zajrzeć do kieliszka ale zawsze umiała trzymać fason stała koło krzaka urokliny za płotem i przez drewniane sztachety plotkowała z każdym kto przechodził drogą)

i dalej koło Lynch's Point gdzie mieszkał stary Bowie Franklin (też niewiele był wart ten cały Bowie Franklin wyglądał jak karłowaty kogucik ze swoją chudą szyją i utykającym chodem bo miał

²⁶⁷ Oko kamery (21) jest najbarwniejszym wspomnieniem dorastającego Dos Passosa z Wirginii, bodajże z wakacji przed jego wyjazdem na uniwersytet w 1912 roku, z pewnymi danymi dotyczącymi topografii posiadłości Dos Passosa seniora, w których skład wchodziła niewielka farma, oraz z sylwetkami kilkorga jego sąsiadów. W *Najlepszych czasach* syn pisze o ojcu: „Ponieważ tak często go tu nie było, wszystko na farmie szło źle. Ojciec przyjmował z niezachwianym dobrym humorem takie przypadłości, jak nieurodzaj lub tajemnicze znikanie indyków ze stada czy świń z chlewu. Bawiły go chytre wykręty wieśniaków, kochał murzyńskich parobków za to, że zawsze może ich rozśmieszyć. Farmerzy Północnego Cypla żyli w owych czasach w izolacji z powodu złych dróg. Łączność ze światem była utrzymywana głównie wodą. Żeby dotrzeć z Sandy Point do stolicy stanu, trzeba było jechać dzień po ławicach piasku i jeziorach błota do rzeki Rappahannock, czekać na parostatek, płynąć całą noc do Fredericksburga, a stamtąd tłuc się cztery godziny pociągiem do Richmond. Commodore [ojciec Dos Passosa] przyczynił się do zainstalowania tu pierwszych linii telefonicznych. Zastanawiał się potem czasami, czy nie było to błędem. Nowiny i plotki rozchodziły się teraz aż za szybko. Mawiał, że znajoma pani Griffith w oddalonej o pięć mil Hague wie, co będzie u nich na lunch, nim on zdąży ułożyć menu”. Było tak oczywiście dlatego, że prymitywna ówczesna linia telefoniczna pozwalała każdemu abonentowi słuchać tego, co mówi każdy z pozostałych abonentów na całej długości linii łączącej pobliskie miejscowości Północnego Cypla, Hague, Warsaw i Pekatone. Spośród wspomnianych w tym Oku Kamery sąsiadów Dos Passos opisuje w swoim „nieformalnym pamiętniku”, pod jej prawdziwym nazwiskiem, książkową pannę Emilię Tancheford. „... dalej przy plaży, w nie malowanej drewnianej budowli, mieszkala rodzina Taliafero. Bracia byli wodniakami, którzy nas zaopatrywali w codzienną porcję ryb, ich siostra Mary byta starą panią. Panna Mary widziała wszystko i słyszała wszystko, nigdy nie opuszczając obejścia. Jakkolwiek na rodzinę przyszły ciężkie dni, panna Mary miała jeszcze piękne stare meble i przejawiała niemałą dumę ze swego chlubnego nazwiska. [...] Commodore był jej bliskim kompanem, lubił podczas swoich przechadzek gęsto zalesioną drogą do Lynch's Point przystawać i przez nie malowany płot z palików, grodzący jej nie plewiony ogródek, gawędzić z tą kościstą osobką w perkalowej sukience i czepku wiązany pod brodą. Rozmawiali zwykle o koronowanych głowach Europy”.

rupturę nie bardzo mógł pracować i nie miał pieniędzy na wódkę więc tylko karmił ten swój bury drób tak samo niewydarzony jak on z wyglądu też do niego zupełnie podobny no i objął się na przystani czasami jak zawinął statek albo rybacy łowili na rzece bo w zatoce za bardzo wiało ktoś mu dał pociągnąć i potem Bowie spał przez resztę dnia)

Morowiec pocił się że okropność karmili go na ten gorąc kukurydzą cuchnęło stare siodło bzycały baki koło kłębów był czas na kolację ale jechałeś powoli pełen nienawiści do tej przeklętej jałowej ziemi do suszy przez którą w ogrodzie nic nie rosło do pasikoników do muszek naigrawających się w zagajniku drzew gumowych do widmowych powleczonych warstwą pyłu per-symon przy drodze do wygiętej w sierp plaży gdzie parzyły wodne pokrzywy gdy człowiek chciał się wykąpać do molików wżerających się pod skórę do strzępów plotek o tym co się dzieje w Hague Warsaw i Pekatone i do telefonu w domu który dzwonił gdy tylko żona któregoś farmera podniosła słuchawkę by porozmawiać z żoną drugiego farmera i jak linia długa słyhać było podnoszenie słuchawek bo wszyscy się zbiegali do telefonów posłuchać co mówią

od rzeki do rzeki ziemia całego Północnego Cypla została do cna wyszana przez tytoń za dawnych dni Waltera Raleigha²⁶⁸ kapitana Johna Smitha i Pocahontas²⁶⁹ ale co przed wojną wysysało soki z kobiet i mężczyzn?

jechałem na Morowcu cisawym wałachu trzylatku który wciąż się potykał i w sercu miałem nienawiść do spieczonej na kamień ziemi o podłym gliniastym podłożu do szumiących sosen niewydarzonych drzew gumowych persymon i jeżyn

jedna zatoka dała się lubić cała roziskrzona aż po horyzont i południowo-wschodni wietrzyk który chłodził codziennie po południu i białe żagle kutrów wypływających na połów ostryg

²⁶⁸ Sir Walter Raleigh (1554-1618) - to faworyt królowej Elżbiety I i jedna z najbardziej wpływowych osobistości czasów jej panowania. Pierwszą wyprawę do Ameryki odbył w roku 1578, później, w 1585 i 1587, założył tam pierwsze osady angielskie, które nie przetrwały długo. Mieściły się one jednak na wyspie Roanoke u wybrzeży Południowej Karoliny, trzysta kilkadziesiąt kilometrów na południe od Dos Passowskiego wybrzeża Wirginii. Raleigh popadł w 1603 w niełaskę następcy Elżbiety, Jakuba I, był przez kilkanaście lat więźniem londyńskiej Tower i w końcu został z rozkazu króla ścięty.

²⁶⁹ Pocahontas (ok. 1595-1617) - to córka wodza Powhatana, twórcy konfederacji szczepów Indian Algonquin żyjących na terenie dzisiejszej Wirginii. Według niepewnych przekazów Pocahontas uratowała w 1608 roku od śmierci kapitana Johna Smitha (ok. 1579-1631), założyciela i naczelnika pierwszej stałej osady angielskiej w Ameryce, Jamestown, jakieś 100 kilometrów na południe od terenów Dos Passosów. Uprowadzona do tej osady w 1613 przez kapitana Samuela Argalla, Pocahontas przyjęła chrześcijaństwo i wyszła za osadnika Johna Rolfa. W 1616 zaproszona do Anglii, przyjmowana była z honorami jako księżniczka, przedstawiona została parze królewskiej, rozchorowała się jednak i zmarła w przeddzień planowanego odpłynięcia w drogę powrotną do Ameryki. Przywołanie przez Dos Passosa w tym Oku kamery nazwisk Waltera Raleigha, Johna Smitha i Pocahontas jest oczywiście licencją poetycką, gdyż odniesione do ich czasów wyjałowienie ziem Północnego Cypla przez uprawy tytoniu dokonało się faktycznie blisko trzy wieki później.

KRONIKA XV

gasną światła, gdy orkiestra gra Domu, słodki domu

niskie zarobki powodem niepokojów, twierdzi kobieta

Jest w Marylandzie dziewczyna, Co sercem do mnie należy

CHCĄ WIELKIEJ WOJNY ALBO ŻADNEJ

modelki, stanowiące taką atrakcję paryskich wyścigów, prześcigają się w lansowaniu nowości. Najbardziej zdumiewające stroje obnoszą z doskonałą sang-froid²⁷⁰. Ich hasłem jest niestosowność

Trzej przechodzący oficerowie niemieckiego sztabu o mało nie zostali stratowani przez tłum entuzjastów, którzy koniecznie chcieli im uścisnąć dłonie

Stąpnęła na Zapałkę; Suknia w Płomieniach; Spłonęła

Och, Maryland

będzie rajem, Kiedy resztę mi zawierzy

DUNAJ DAJE SYGNAŁ DO PRZEDWCZESNEGO KONFLIKTU

Jestem przeciwna karze śmierci jak wszystkie rozsądne kobiety. Nie mieści mi się w głowie, że jakakolwiek niewiasta mogłaby być świadkiem powieszenia. Strach pomyśleć, że w imieniu państwa popełnia się morderstwo

CAR TRACI CIERPLIWOŚĆ DO AUSTRII

paniczna ucieczka z Karlsbadu po zniknięciu majora wychodzi na jaw cała seria morderstw dekolt

w biały dzień powiewne suknie, których nie sposób wyobrazić sobie w balii Co będziemy nosić dalej? Paryż we łzach chłopcy z chóru wybierają się na obóz profesor obchodzi lasy Belgrad padł

SPODZIEWANA WOJNA POWSZECHNA

DEPUTOWANY JAURES GINIE Z RĘKI SKRYTOBÓJCZY

ŻYWY W DWIE GODZINY PO ŚMIERCI

straciłem kolegę i przyjaciela w chwili, gdy Garros²⁷¹ oddał swoje życie, ale obawiam się, że stracę więcej kolegów po fachu, nim skończy się ta wojna

ZAGINIONE KUFRY ODNALEZIONE W LONDYNIE

jest rzeczą nieuniknioną omijanie lub deptanie takich czy innych konwenansów podczas gnuśnych i beczynnych dni lata, i z powodu rozluźnienia już w chwili obecnej można wskazać kilka członkiń młodszej generacji, wprowadzonych do towarzystwa dwa lub trzy sezony temu, które

²⁷⁰ Sang-froid (fr.) - zimna krew.

²⁷¹ Chodzi tu zapewne o Rolanda Garrosa (1888-1918), jednego z pionierów lotnictwa francuskiego, który między innymi ustanowił w latach 1910-1912 trzy kolejne rekordy wysokości wlotu na aeroplanie (kolejno 3910, 4900 i 5616 metrów), a w roku 1913 dokonał pierwszego przelotu przez Morze Śródziemne z Francji do Tunisu. Zginął on jednak w walce powietrznej dopiero pod sam koniec wojny, nie na jej początku, którego dotyczy większość nagłówek tej kroniki.

zażywają sławy

CZARNY PAPIEŻ NIE ŻYJE TAKŻE²⁷²

duże ilości wirgińskiego tytoniu mają być sprowadzone do Anglii na wyłączny użytek oddziałów brytyjskich na kontynencie

Jest w Marylandzie dziewczyna, Co sercem do mnie należy

²⁷² Czarny papież to generał zakonu jezuitów. „Nie żyje także”, gdyż w tymże 1914 roku zmarł już siedemdziesięciodziewięcioletni papież Pius X.

KSIĄŻĘ POKOJU

Andrew Carnegie

urodził się w Dumferline w Szkocji,

przyjechał do Stanów na statku

imigranckim, pracował jako szpularz w fabryce włókienniczej,

palił w kotłach,

był urzędnikiem w fabryce szpulek za dwa i pół dolara tygodniowo,

biegał po Filadelfii jako posłaniec towarzystwa telegraficznego Western Union,

nauczył się alfabetu Morse'a i został telegrafistą na Kolei Pensylwańskiej,

był telegrafistą wojskowym podczas wojny secesyjnej

i stale oszczędzał;

ilekroć miał dolara, inwestował.

Andrew Carnegie zaczął wykupywać akcje Towarzystwa Spedycyjnego Adamsa i Towarzystwa Pullmanowskiego, kiedy spadały;

miał zaufanie do kolei,

miał zaufanie do łączności,

miał zaufanie do transportu,

wierzył w żelazo.

Andrew Carnegie wierzył w żelazo, budował mosty, wielkie piece, bessemerownie, walcownie;

Andrew Carnegie wierzył w naftę;

Andrew Carnegie wierzył w stal;

i stale oszczędzał,

ilekroć zebrał milion, inwestował.

Andrew Carnegie stał się najbogatszym człowiekiem świata i umarł.

Bessemer, Duquesne, Rankin, Pittsburgh, Bethlehem, Gary²⁷³.

Andrew Carnegie dawał miliony na sprawę pokoju,

na biblioteki, instytuty naukowe, fundacje, propagandę oszczędzania;

²⁷³ Bessemer, Duquesne... - to ośrodki hutnicze, w których miał swoje zakłady lub z którymi był jakoś związany Andrew Carnegie. Duquesne i Rankin, tak jak Homestead, to miejscowości na obrzeżach Pittsburgha w Pensylwanii, głównego ośrodka imperium hutniczego Carnegiego. Również w Pensylwanii leży Bethlehem, założone w 1741 roku przez szukających w Ameryce schronienia przed prześladowaniami religijnymi niemieckich wyznawców sekty braci morawskich, którzy nazwali tak nowe miejsce osiedlenia na cześć biblijnego Betlejem; miasto stało się z czasem ośrodkiem Bethlehem Steel Corporation, jednego z największych towarzystw hutniczych Ameryki. Bessemer, założone znacznie później, w latach 1886-1887, w Alabamie, a więc na południu Stanów, zostało nazwane imieniem sir Henry'ego Bessemera (1813-1898), brytyjskiego wynalazcy nowego, znacznie wydajniejszego sposobu wytopu stali, znanego jako bessemerowski. Gary nad jeziorem Michigan w Indianie, a więc dalej na zachód, zostało założone dopiero w 1905 roku przez Amerykańską Korporację Stali w miejscu specjalnie wybranym jako leżącym nad dogodną drogą wodną w połowie odległości między wielkimi złożami rud żelaza na północy a wielkimi złożami węgla na południu i wschodzie. Nazwane zostało imieniem Elberta Harry'ego Gary'ego (1846-1927), przewodniczącego rady dyrektorów korporacji od 1903 aż do śmierci.

ilekroć zarobił miliard, wyposażał jakąś instytucję, by działała na rzecz powszechnego pokoju;

zawsze

z wyjątkiem czasu wojny.²⁷⁴

²⁷⁴ Ironia, z jaką Dos Passos pisze o działalności filantropijnej Carnegiego, wynika niewątpliwie ze świadomości bezwzględnych sposobów, w jaki zarówno on, jak inni potentaci przemysłowi tego okresu dochodzili do krociowych majątków. Przedmiotem szczególnego sarkazmu jest tu jednak powołana do życia w 1910 roku Fundacja Carnegiego na rzecz Międzynarodowego Pokoju (Carnegie Endowment for International Peace). Jakby mało było tego, że jej działalność sparaliżował wybuch wojny światowej w ledwie cztery lata później, wiadomo było nadto, że wielki przemysł, z którego dochodów pochodził zapis Carnegiego, czerpie z wojny miliardowe zyski. Fundacja pokojowa Carnegiego (jak i inne powołane przez niego instytucje) istnieje do dzisiaj, koncentrując się często na popieraniu mało efektywnych instytucji międzynarodowych oraz nieskutecznej kontroli zbrojeń.

OKO KAMERY (22)²⁷⁵

przez cały tydzień na morzu i na skałach leżała mgła w południe z ledwością przebijało dosyć słonecznego ciepła by solone dorsze schły na kratownicach szare kratownice zielone morze szare domy biała mgła w południe z ledwością przebijało dość słońca by na wrzosowisku dojrzewały moroszki i arony by woskownice i osłodzice miały odrobinę ciepła w porze posiłków wszyscy czekali w kantine na radiotelegrafistów radiotelegrafści ledwo mieli czas zjeść tak to była wojna

Czy i my przystąpimy? a Wielka Brytania przystąpi?

Zobowiązania wynikające z układów wręczył ambasadorowi paszport codziennie rano wynosili dorsze rozkładali je równo na kratownicach w słabym blasku słońca przebijającego przez mgłę

syrena dalekiego parowca chlupot fal o pale wzdłuż obrośniętych wodorostami kamieni krzyki mew brzęk naczyń w kantine

Wypowiedzenie wojny nastą... Wielka bitwa na Morzu Północnym Flota Niemiecka Rozbita FLOTA BRYTYJSKA ROZBIŁA NIEMIECKĄ ESKADRĘ KOŁO CAPE RACE lojalni Nowofundlandczycy pod sztandary port w St. John's zamknięty Port aux Basques

codziennie wieczorem zbierali dorsze z kratownic brzęczały naczynia w kantine wszyscy czekali na radiotelegrafistów

chlupot fal o pale przystani krzyki krążących i nurkujących mew białych w białej mgle syrena dalekiego parowca codziennie rano rozkładali dorsze na kratownicach

²⁷⁵ Oko kamery (22) jest wspomnieniem z wakacji 1914 roku, które Dos Passos spędzał w pensjonacie prowadzonym przez rybaków nad zatoką Placentia w Nowej Fundlandii, kiedy w początkach sierpnia zaczęły nadchodzić wieści o rozszerzającym się konflikcie w Europie, który z początkowo lokalnej wojny między Austro-Węgrami a Serbią miał się przerodzić w pierwszą wojnę światową. Obecność radiotelegrafistów tłumaczy się tutaj tym, że na pobliskim przylądku, Cape Race, mieściła się wówczas główna stacja przesyłowa radiotelegrafu transoceanicznej na kontynencie północnoamerykańskim. Nieopodal w St. John's, stolicy Nowej Fundlandii, odebrał Guglielmo Marconi w 1901 roku pierwszy międzykontynentalny telegram radiowy, nadany w Kornwalii. Oczywiście sensacyjne wiadomości, cytowane w tym Oku kamery, są przedwczesne, mocno przesadzone albo wręcz nieprawdziwe.

J. WARD MOOREHOUSE

Wróciwszy z drugiej podróży poślubnej za granicę Ward miał trzydzieści dwa lata, ale wyglądał na więcej. Dysponował kapitałem i znajomościami, czuł, że nadszedł decydujący moment. Pogłoski o wojnie, które zaczęły krążyć w lipcu, skłoniły go do skrócenia podróży. W Londynie poznał młodego człowieka nazwiskiem Edgar Robbins, który przebywał w Europie z ramienia International News. Robbins pił dużo i uganiał się za spółniczkami. Chcąc go sprowadzić na prostą drogę, Ward i Gertruda zabierali go ze sobą, gdziekolwiek szli. Pewnego dnia Robbins odciągnął Warda na stronę i wyznał, że ma syfisy i będzie musiał wziąć się w garść. Przemyślawszy trochę sprawę, Ward zaproponował mu pracę w biurze, które miał zamiar otworzyć w Nowym Jorku po powrocie. Gertrudzie powiedzieli, że to wątrobą, i łajała go później jak małe dziecko, ilekroć zajrzał do kieliszka. Na statku, w drodze powrotnej do Ameryki, upewnili się, że jest im oddany duszą i ciałem. Od tej pory Ward nie musiał pisać żadnych tekstów i mógł cały czas poświęcić na organizację firmy. Udało im się nakłonić starą panią Staple do zainwestowania pięćdziesięciu tysięcy dolarów, tak że Ward mógł wynająć lokal pod numerem setnym na Piątej Alei. Udekorował biuro wazonami z chińskiej porcelany i emaliowanymi mozaikowymi popielniczkami od Vantine'a²⁷⁶, a w swoim gabinecie kazał położyć tygrysią skórę. Po południu podawał herbatę po angielsku i figurował w książce telefonicznej jako J. Ward Moorehouse, radca prasowy. Zostawił Robbinsa nad brulionami tekstów reklamowych do rozesłania, a sam pojechał do Pittsburga, Chicago, Bethlehem i Filadelfii odnowić kontakty.

W Filadelfii, wchodząc do hotelu Bellevue Stratford, wpadł na Annabelle Marie. Przywitała go przyjaźnie i oznajmiła, że słyszała dużo o nim i jego biurze prasowym. Zjedli razem obiad, wspominając dawne czasy.

- No, ale się wybiłeś - powtarzała Annabelle.

Widać było, że żałuje trochę rozwodu, czego Ward nie mógłby powiedzieć o sobie. Zmarszczki pogłębiły jej się na twarzy, nie kończyła rozpoczętych zdań i miała skrzypiący papuzi głos. Była okropnie wypacykowana i Ward zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie używa narkotyków. Przeprowadzała właśnie rozwód z Beale'em, który, jak oświadczyła, zaczął zdradzać skłonności homoseksualne. Ward odrzekł sucho, że się ożenił po raz drugi i jest bardzo szczęśliwy.

- Kto by nie był mając za sobą całą fortunę Staple'ów - powiedziała.

Zirytował go jej insynuatorski ton, więc przeprosił ją zaraz po obiedzie mówiąc, że ma robotę. Przekrzywiwszy głowę zmierzyła go spod półprzymkniętych powiek, powiedziała: „Życzę

²⁷⁶ Vantine - to nowojorska firma A.A. Vantine & Co., która otworzyła swój pierwszy sklep na Broadwayu około roku 1865. Firma powstała w Jokohamie, jako jedyny wówczas w zamkniętej dla cudzoziemców Japonii eksporter wytworów japońskiego rękodziela. Po wykupieniu w 1887 przez niejakiego Jamesa Irvinga Raymonda (1843-1905) Vantine & Co. stało się czołowym amerykańskim importerem dywanów, jedwabi i innych tkanin, jak również porcelany, brązów i tym podobnych przedmiotów sztuki użytkowej z Chin, Japonii, Turcji, Indii i innych krajów Orientu. Ze sklepu detalicznego firma rozwinęła się w wielkie przedsiębiorstwo hurtowe, prowadzące filie i przedstawicielstwa w całych Stanach. Miała w Nagoi w Japonii własną fabrykę porcelany. W pierwszych dekadach XX wieku do szyku należało

powodzenia” - i zniknęła w hotelowej windzie, zanosząc się gdaczącym śmiechem.

Następnego dnia pojechał Koleją Pensylwańską do Chicago. Podróżował w oddzielnym przedziale, wioząc ze sobą sekretarkę, pannę Rosenthal, i angielskiego lokaja, Mortona. Obiad zjadł w przedziale z panną Rosenthal, bystrą nieefektywną dziewczyną o ziemistej twarzy, całkowicie - wiedział - oddaną jego sprawom. Pracowała z nim jeszcze w Towarzystwie Bessemerowskim w Pittsburgu. Kiedy Morton sprzątnął po kawie i nalał im po kieliszku koniaku, nad którym panna Rosenthal długo chichotała powtarzając, że na pewno uderzy jej do głowy, Ward zaczął dyktować. Pociąg dudnił i kołysał, od czasu do czasu dochodził zapach dymu i gorącego, parującego smarami cielska lokomotywy, rozgrzanej połyskliwej stali pędzącej przez mroczne Appalachy. Głos wibrował mu w łoscocie pociągu. Zapamiętał się we własnych słowach... Przemysł amerykański jest jak machina parowa, jak wysokoprężna lokomotywa potężnego ekspresu pędzącego przez mrok dawnych indywidualistycznych metod. Czego wymaga taka machina parowa? Koordynacji, współdziałania, myśli wynalazcy i myśli przedsiębiorcy, który umożliwił powstanie tych wysokoprężnych tworów. Współdziałania kapitału, tej energii rasy, zmagazynowanej w postaci inteligentnie sterowanego kredytu, i siły roboczej, zamożnej, zadowolonej amerykańskiej klasy robotniczej, której bezprzykładne możliwości kapitału zgromadzonego w rękach wielkich korporacji zapewniły pełną menażkę, tanią komunikację motorową, ubezpieczenia, skrócone godziny pracy - wygody i dobrobyt nie mające sobie równych dawniej ani obecnie, w całym spisany procesie dziejów i w żadnych znanych i zamieszkanym rejonach globu ziemskiego. Musiał jednak przerwać dyktowanie, gdyż zaczynał tracić głos. Posłał pannę Rosenthal do łóżka, po czym położył się sam. Ale nie mógł zasnąć - słowa, pomysły, plany, notowania giełdowe przewijały mu się przez głowę jak niestrudzona taśma telegrafu automatycznego.

Następnego dnia po południu wydzwonił go w hotelu La Salle sędzia Bowie C. Planet. Czekając, aż sędzia wjedzie na górę, Ward siedział ze wzrokiem utkwionym za oknami, w bardzo błękitnym niebie nad jeziorem Michigan. W ręce trzymał fiszkę z wpisem PLANET, Bowie C. - sędzia z Tennessee, ożeniony z Eisie Wilson Denver. Niewielkie udziały w ołowiu i miedzi. Anaconda²⁷⁷? Niefortunne spekulacje naftowe. Współwłaściciel podrzędnej kancelarii adwokackiej Planet & Wilson w Springfield, Illinois.

- Dziękuję, panno Rosenthal - powiedział, gdy rozległo się pukanie.

Panna Rosenthal wyszła z fiszką do drugiego pokoju, a Morton otworzył drzwi, wpuszczając

²⁷⁷ w Ameryce dekorowanie mieszkań i biur przedmiotami od Vantine'a.
Anaconda - to Anaconda Copper Mining Company (Towarzystwo Górnictwa Miedziowego Anaconda) powstała w 1883 roku w miejscowości, której w pięć lat później nadano również nazwę Anaconda, położonej w zagłębiu metali nieżelaznych w okolicach miasta Butte w stanie Montana. Upřednio mieściła się tam mało wydajna kopalnia srebra. Wysłany przez właścicieli w celu zbadania jej w 1876 roku ekspert Marcus Daly (1841-1900) odkrył na większej głębokości olbrzymie pokłady miedzi i wkrótce zaczął dla swoich mocodawców skupować okoliczne tereny. Tak zrodził się potężny koncern miedziowy Anaconda, a założone przez Daly'ego miasto Anaconda urosło wkrótce do rangi ważnego ośrodka górniczo-hutniczego. Operacji hutniczych zaniechano tu w 1980 roku wobec wyczerpania się zasobów kopalni. Jednym z twórców i głównych udziałowców Anacondy był kalifornijski potentat George Hearst, ojciec

okrągłego mężczyznę w czarnym pilśniowym kapeluszu i z cygarem w ustach.

- Witam, panie sędzio - powiedział Ward, podnosząc się i wyciągając dłoń. - Jak tam sprawy? Proszę, niech pan siada.

Sędzia Planet wsunął się ostrożnie do pokoju. Miał dziwny kołyszący chód, jakby go bolały nogi. Wymienili uścisk dłoni i wkrótce sędzia siedział w fotelu, twarzą do stalowego blasku wpadającego przez wielkie okna za biurkiem Moorehouse'a.

- Pozwoli pan herbaty? - spytał Morton, podchodząc wolno ze srebrną zastawą połyskującą na tacy.

Zaskoczony sędzia upuścił na opiętą kamizelkę długi popiół, który starał się utrzymać na cygarze, by dowieść samemu sobie, że jest trzeźwy. Tylko twarz pozostała okrągła i zadowolona. Była to twarz prowincjusza, z której starannie wymasowano prowincjonalny wyraz. Nim się spostrzegł, popijał letnią herbatę z mlekiem.

- Rozjaśnia umysł, panie sędzio, rozjaśnia umysł - powiedział Ward, przed którym stygła nie tknięta filiżanka.

Zamiast odpowiedzi sędzia Planet zaciągnął się cygarem.

- Cieszę się, że pana widzę - odezwał się w końcu.

W tym momencie Morton zaanonsował pana Barrowa, kościstego mężczyznę o wylupiastych oczach i wystającym jabłku Adama nad postronkowatym krawatem. Pan Barrow miał nerwowy sposób mówienia i palił papierosa za papierosem. Wyglądał, jakby był cały poplamiony nikotyną - twarz, palce, zęby, wszystko miał żółte. Na biurku Warda leżała fiszka następującej treści: BARROW, G.H. - stosunki w związkach zawodowych, typ reformatora. Były sekretarz Bractwa Maszynistów Kolejowych. Niepewny.

Wstając zza biurka, Ward odwrócił fiszkę. Wymieniwszy z panem Barrowem uścisk dłoni, usadowił go twarzą do światła i unieruchomił przy pomocy filiżanki herbaty, po czym przystąpił do rzeczy.

- Kapitał i praca - rozpoczął wolnym odmierzonym głosem, jakby dyktował - jak z pewnością panowie zauważyliście, w toku waszych różnorodnych i tak użytecznych karier, kapitał i praca, te dwie potężne siły napędowe naszego narodu, z których żadna nie może egzystować bez drugiej, coraz bardziej oddalają się od siebie; wystarczy wziąć do ręki gazetę, żeby się o tym przekonać. Otóż przyszło mi do głowy, że jedną z przyczyn tego niefortunnego stanu rzeczy jest brak prywatnego czynnika, który by rzetelnie oświetlał sytuację. Brak właściwie podanej informacji jest powodem większości nieporozumień na tym świecie. Wielcy przywódcy amerykańskiego kapitału, jak pan zapewnię wie, panie Barrow, święcie przestrzegają zasad uczciwej gry i demokracji i sami myślą o tym, by zapewnić robotnikowi udział w dochodach z przemysłu, jeśli to możliwe bez krzywdy

społeczeństwa i inwestora. W końcu to właśnie społeczeństwo jest inwestorem, któremu wszyscy chcemy służyć.

- No, może czasami - powiedział pan Barrow - ale na pewno...

- Może napiliby się panowie whisky?

Między nimi stał przylizany Morton z karafkami, wysokimi szklaneczkami pełnymi lodu oraz paroma otwartymi butelkami wody Apolinans na tacy.

- Ja bym się napił - powiedział sędzia Planet.

Morton wyszedł cicho, zostawiając ich z pobrzękującymi szklaneczkami. Niebo za oknami zaczynało podchodzić lekką wieczorową czerwień, zabarwiając pokój na kolor wina. Kieliszki rozwiązały języki. Sędzia żuł koniuszek nowego cygara.

- Chciałbym się upewnić, czy dobrze pana rozumiem, panie Moorehouse. Uważa pan, że ze swoimi znajomościami w agencjach reklamowych i świecie wielkich interesów mógłby pan zainicjować działalność w nowej dziedzinie pokojowego i polubownego rozstrzygania sporów między pracownikami a pracodawcami. Jak pan zamierza do tego przystąpić?

- Jestem przekonany, że pracownicy zrzeszeni w związkach poparliby taką inicjatywę - powiedział G.H. Barrow, pochylając się na brzeжку fotela. - Oczywiście jeśli mieliby pewność, że... no, że...

- ... że nie chodzi o zamydlenie oczu - dokończył sędzia ze śmiechem.

- Otóż to.

- Moi panowie, właśnie zamierzałem wyłożyć karty na stół. Dewizą, na której opierałem wszystkie swoje przedsięwzięcia, było zawsze współdziałanie.

- Co do tego jesteśmy zgodni - powiedział sędzia i znowu się roześmiał uderzając dłonią w kolano. - Trudność polega na tym, jak doprowadzić do takiej fortunnej sytuacji.

- No, pierwszym krokiem jest nawiązanie kontaktu... W tej chwili, na naszych oczach, nawiązuje się właśnie taki przyjazny kontakt.

- Muszę przyznać - powiedział G.H. Barrow z niepewnym uśmiechem - że nigdy nie spodziewałem się pić whisky ze współwłaścicielem firmy Planet i Wilson.

Sędzia trzepnął się po tłustym udzie.

- Myśli pan o tych nieporozumieniach w Kolorado? Może się pan nie obawiać, nie zjem pana, panie Barrow... Ale szczerze mówiąc, panie Moorehouse, nie wydaje mi się, żeby to był odpowiedni moment do realizacji pańskiego projektu.

- Ta wojna w Europie... - zaczął G.H. Barrow.

- ... to wielka okazja dla Ameryki. Pamiętaj panowie przysłowie: gdzie dwóch się kłóci... Przyznaję, przeżywamy obecnie moment niepewności i załamania, ale z chwilą gdy amerykański przemysł ochłonie po pierwszym wstrząsie i zbierze się w sobie... Zresztą, cóż będę panom

tłumaczył. Dopiero co wróciłem z Europy, przyплыliśmy z żoną w dniu, w którym Wielka Brytania wypowiedziała wojnę. Mogę panów zapewnić, że był to ostatni dzwonek. I jeśli czegoś można być pewnym, to tego, że ktokolwiek zwycięży, Europa wyjdzie zrujnowana gospodarczo. Ta wojna to wielka okazja dla Ameryki. Sam fakt naszej neutralności...

- Nie widzę, kto z tego może wynieść korzyści prócz fabrykantów broni - powiedział G.H. Barrow.

Ward perorował długo, po czym spojrział na zegarek leżący na biurku i wstał.

- Panowie, przykro mi, ale będę was musiał przeprosić. Mam akurat czas na przebranie się do kolacji.

Morton stał już z kapeluszami koło biurka. W pokoju zrobiło się ciemno.

- Morton, światło - rzucił Ward sucho. Na wychodnym sędzia Planet powiedział:

- Przyjemnie było z panem pogawędzić, panie Moorehouse, ale obawiam się, że pańskie projekty są trochę idealistyczne.

- Rzadko zdarza się słyszeć biznesmena mówiącego z taką sympatią i zrozumieniem o sytuacji robotników - rzekł G.H. Barrow.

- Wyrażam jedynie zdanie moich klientów – odparł Ward, odprowadzając ich z ukłonem do drzwi.

Następnego dnia miał mówić na lunchu Rotary Clubu²⁷⁸ na temat: „Jak uniknąć konfliktów z robotnikami?”. Siedział przy długim stole w sali bankietowej wielkiego hotelu, pełnej zapachów kuchennych, dymu papierosowego i krzątający kelnerów. Dłubał trochę widelcem na talerzu, odpowiadał, kiedy go ktoś zagadnął, żartował z siedzącym naprzeciw sędzią Planetem, równocześnie starając się powiązać w zdania płataninę fraz, które mu się kłębiły w głowie. W końcu nadeszła pora i Ward podniósł się z krzesła. Stanął przy końcu długiego stołu z cygarem w ręce, przed sobą miał dwa szeregi twarzy o wydatnych podbródkach i podniesionych oczach.

- Kiedy byłem chłopcem i mieszkalem nad Delaware... Przerwał. Zza wahadłowych drzwi, przez które raz po raz drobnymi kroczkami wybiegali kelnerzy, dochodził ogłuszający brzęk naczyń. Mężczyzna, który poszedł ich uciszyć, wracał na palcach do stołu; słychać było skrzypienie bucików na parkiecie. Siedzący przy stole pochylili się do przodu. Ward podjął na nowo. Mówił teraz płynnie, sam nie bardzo wiedząc co. W każdym razie udało mu się pobudzić ich do śmiechu. Napięcie było rozładowane.

²⁷⁸ Pierwszy Rotary Club, zrzeszający biznesmenów i przedstawicieli wolnych zawodów, został założony w roku 1905 w Chicago przez adwokata Paula Percy Harrisa (1868-1947). Wkrótce sieć podobnych klubów pokryła całe Stany, a następnie rozszerzyła się na inne kraje, co znalazło najpierw wyraz w powołaniu do życia w roku 1910 Narodowego Stowarzyszenia Rotary Clubów, a następnie w zmianie nazwy organizacji w roku 1912 na Rotary International. Nazwa wywodzi się od przestrzeganej początkowo zwyczajowo odbywania zebrań rotacyjnie w biurze, kancelarii czy gabinecie przyjąć każdego członka po kolei. W skład każdego klubu wchodzi jeden przedstawiciel każdej branży czy zawodu na danym terenie. Statutowo kluby miały na celu pilnowanie zasad przyjaznej współpracy i przestrzeganie etyki zawodowej oraz działalność samopomocową i dobroczynną, w praktyce koncentrują się bardziej na chronieniu wspólnych interesów swoich członków.

- Przemysł amerykański nie wykorzystuje należycie możliwości współczesnej reklamy... Wychowanie społeczeństwa, tak pracowników jak i pracodawców, bo zarówno jedni jak drudzy są sługami społeczeństwa... Współdziałanie... Kapitał zapewni pracownikom udział w zyskach... Pozwoli to uniknąć groźnych niebezpieczeństw, socjalizmu, demagogii, ba, gorszych... W każdej takiej sytuacji mógłby wkroczyć radca prasowy i spokojnie, po męsku powiedzieć: „Ależ, ludzie, pogadajmy rozsądnie”... Jednakże główne jego zadanie przypadnie na okres spokoju w przemyśle... Gdy dwóch się kłóci i już, już mają sobie skoczyć do oczu, nie pora głosić interes społeczny... Dzisiaj, obecnie jest pora na kampanię wychowawczą i krucjatę słowną, która dotrze do każdego szeregowego pracownika gigantycznego, nowoczesnego przemysłu amerykańskiego.

Oklaski trwały dość długo. Ward usiadł i uśmiechniętymi błękitnymi oczami poszukał twarzy sędziego Planeta. Widać było, że wywarł na nim wrażenie.

KRONIKA XVI

filadelfijczyk ukończył trzynaste okrążenie i przebył dwie mile czternastego. Jego szybkość oceniana była na sto do stu dwudziestu mil na godzinę, gdy automobil zawahał się na mgnienie oka i potoczył w lewo. Trafiwszy na lekkie wzniesienie, wyleciał w górę, by opaść wszystkimi czterema kołami na wysokim nasypie. Szybkość nie uległa przy tym widocznemu zmniejszeniu. Wishart skierował auto z powrotem w stronę drogi, próbując zjechać z nasypu, jednakże nieznaczny skręt, jaki był potrzebny, okazał się w tym pędzie niemożliwy i automobil wpadł na podwórko przydrożnej farmy. Ominął jedno drzewo, uderzył jednak bokiem w drugie i nogi Wisharta, unieruchomione przez mechanizm kierowniczy, zostały wewnątrz auta, podczas gdy tułów wyleciał przez

A ja chciałbym do Meksyku Maszerować w karnym szyku Pod Gwiazdzistym Sztandarem
PSTRYKNAŁ KAMERĄ I WYZIONAŁ DUCHA

wesołe krzeselka i stoliki stoją puste na chodniku, bo niewiele osób może sobie pozwolić
nawet na skromny napitek

HYDRAULIK MIAŁ STO KOCHANEK

PRZYWOZI DO DOMU MAŁPY

odnalazł się zaginiony proboszcz sprawozdania

wykazują spadek plonów w Stanach jeśli chcecie, by dziecko było zdrowe, pozwólcie mu
biegać nago jeżeli zagadka zostanie kiedykolwiek wyjaśniona, z całą pewnością stwierdzicie, że
kryje się za nią kobieta, oświadczył posterunkowy E.B. Garfinkle wypadki, które doprowadziły do
obecnej wojny, korzeniami sięgają bezpośrednio rewolucji francuskiej

GUMA WYKŁĘTA NA UNIWERSYTECIE

zachwiali się jak pijacy uderzeni niespodzianie między oczy, ale zaraz rzucili się na nas z
jakimś cudzoziemskim okrzykiem, którego nie zrozumieliśmy

Nawet damy z haremu Nosily je dawno temu W egzotycznym Bagdadzie

OKO KAMERY (23)

ta przyjaciółka mamy była śliczną panią o ślicznych blond włosach miała dwie śliczne córki blondynka wyszła za nafciarza który był łysy jak kolano i wyjechała z nim na Sumatrę brunetka wyszła za jegomościa z Bogoty to była bardzo długa podróż jechało się wydrążonym czółnem w górę rzeki Magdaleny gdzie mieszkali dzicy Indianie spali w hamakach chorowali na okropne choroby kiedy kobieta miała rodzić to mężczyzna kładł się do łóżka strzelali zatrutymi strzałami i jak się skaleczyłeś to rana się wcale nie goiła w tym kraju jątrzyła się bielą ropiała a czółno było takie wywrotne w ciepłej parującej wodzie roiło się od żarłocznych rybek jak miałeś najmniejsze draśnięcie albo nie zagojoną ranę zwabiał je zapach krwi czasami rozdzierały ludzi na strzępy

osiem tygodni trzeba było jechać wydrążonym czółnem w górę Magdaleny żeby dotrzeć do Bogoty

biedny Jonasz Fenimore wrócił z Bogoty bardzo schorowany powiedzieli że to elephantiasis pocziwina był z niego opowiadał o parnej dżungli o burzach tropikalnych krokodylach o różnych okropnych chorobach o żarłocznych rybkach i wypijał całą wódkę z kredensu a jak szedł pływać widziałeś że ma twarde brązowe zgrubienia na nogach zupełnie jak naroślą na jabłku przepadał za wódką mówił że Kolumbia będzie niedługo należała do najbogatszych krajów świata ze swoją naftą rzadkimi drzewami na forniry i tropikalnymi motylami

tylko że podróż w górę Magdaleny była taka długa taka upalna taka niebezpieczna no i umarł powiedzieli że to wina wódki elephantiasis

i rzeki Magdaleny

ELEONORA STODDARD

Przyjechawszy do Nowego Jorku, Eleonora, która nie była nigdy na Wschodzie, musiała z początku korzystać we wszystkim z pomocy Eweliny. Freddy czekał na nie na stacji i poradził, żeby wzięły pokoje u Brevoorta²⁷⁹. Wprawdzie to trochę daleko od teatru, ale za to znacznie ciekawiej niż w innych hotelach, bardzo po francusku, pełno artystów i radykałów, w ogóle wszyscy naprawdę interesujący ludzie zatrzymują się u Brevoorta. Jadąc taksówką na dolny Manhattan paplał przez cały czas, że sztuka jest cudowna, wspaniała, że ma wielką rolę, że co to za idiota ten reżyser Ben Freelby, że jeden z inwestorów wyasygnował tylko połowę obiecanej sumy, ale Josephine Gilchrist, kierowniczka administracyjna, ma już na dobrą sprawę zapewnione pokrycie, że interesują się Shubertowie i premiera wyznaczona jest dokładnie od dziś za miesiąc, ale nie w Nowym Jorku, tylko w Greenwich. Eleonora wyglądała przez okno na Piątą Aleję: zimny wiosenny wiatr rozwiewający kobietom spódnice, jakiś mężczyzna goniący melonik, zielone autobusy, taksówki, błyszczące wystawy - w końcu nie różni się to tak bardzo od Chicago. Ale przy lunchu u Brevoorta wszystko było nowe, Freddy znał masę ludzi i wszystkim je przedstawiał, jakby był z nich dumny. Wszyscy nosili nazwiska, które słyszała lub czytała w dodatku recenzyjnym „Chicago Daily News”, i wszyscy byli tacy mili. Freddy rozmawiał z kelnerem po francusku, a sos hollandaise był najwspanialszy, jaki jadła w życiu.

Jadąc po południu na próbę, Eleonora z okna taksówki widziała po raz pierwszy Times Square²⁸⁰. W ciemnym teatrze zastały całą trupę czekającą na pana Freelby'ego. Wyglądało to bardzo tajemniczo, z jedną żarówką elektryczną wiszącą nad sceną i wyblakłymi zakurzonymi dekoracjami do jakiejś innej sztuki.

W końcu zjawił się siwy mężczyzna o smutnej szerokiej twarzy i wielkich sińcach pod oczami. Był to sławny Benjamin Freelby. Miał zmęczony ojcowski sposób bycia i z miejsca zaprosił Ewelinę i Eleonorę wraz z Freddyem do siebie na wieczór, żeby przy kolacji porozmawiać spokojnie o

²⁷⁹ Brevoort - to wybudowany w 1854 roku hotel na rogu Piątej Alei i Ósmej Ulicy, nazwany na cześć zmarłego w 1841 kolonisty pochodzenia holenderskiego, Henry'ego Brevoorta, do którego należały kiedyś olbrzymie tereny w tej części dolnego Manhattanu, znanej później pod nazwą Greenwich Village, dzielnicy, w której od przełomu XIX i XX wieku koncentrowała się znaczna część nowojorskiego życia intelektualnego. Hotel miał w suterenie sławną, wzorowaną na paryskich kawiarnię, w której się spotykali ludzie teatru, sztuki i pióra, bohema i radykałowie. [Jest o niej mowa w Oku Kamery (26).] Europejski i cyganeryjny charakter nadał hotelowi Francuz Raymond Orteig (1871-1939), który go kupił w 1902 i prowadził do 1933. On to ufundował w 1919 nagrodę 25 tysięcy dolarów dla pilota, który pierwszy dokona solowego przelotu z Nowego Jorku do Paryża, zdobytą w maju 1927 przez Charlesa Lindbergha. Hotel zburzono w 1954, po stu latach jego istnienia.

²⁸⁰ Times Square - to rozległy plac pomiędzy Czterdziestą Drugą a Czterdziestą Siódmą Ulicą, na którym ukośnie przecinają się Siódma Aleja i Broadway, nazywany często „Wielką Białą Drogą” („Great White Way”) ze względu na swoją iluminację, czyniącą dzień z nocy. Times Square stanowi od dawna centrum nowojorskiego i amerykańskiego przemysłu rozrywkowego. Na początku XX wieku na okolicznych ulicach mieściły się dziesiątki teatrów, z których wiele zostało później przemienionych na kina. W tym rejonie miało także swoje biura wiele agencji artystycznych oraz wydawnictw muzycznych i teatralnych. Obecnie rozpleniły się tu również sklepy z wydawnictwami pornograficznymi, jednakże rejon Times Square zachował w zasadzie swój szacowny charakter i pozostaje rojny w dzień i w nocy. Tłumy nowojorczyków i przyjezdnych ściągają tutaj na doroczne witanie Nowego Roku, transmitowane obecnie przez telewizję na całe Stany. Times Square nosił do 1904 roku nazwę Longacre Square, zmienioną, kiedy redakcja „New York Timesa” wybudowała na tworzącej jeden z jego boków Czterdziestej Drugiej Ulicy drapacz chmur zajmujący całą przestrzeń od Broadwayu do Siódmej Alei.

dekoracjach i kostiumach. Eleonora doznała ulgi, że jest taki miły i zmęczony, i z zadowoleniem stwierdziła, że są obie z Ewelina znacznie lepiej ubrane od tych wszystkich nowojorskich aktorek. Pan Freelby narobił szumu, że nie ma światła; chyba nie przypuszczają, że będzie prowadził próbę po ciemku? Inspicjent z egzemplarzem sztuki w ręku biegał po całym teatrze szukając elektryka, w końcu posłał kogoś, żeby zadzwonił do dyrekcji. Tymczasem pan Freelby biegał po scenie, złościł się, zżymał i powtarzał: „To potworne”. Kiedy wreszcie, ocierając usta wierzchem dłoni, zjawił się elektryk i zapalił światła na sali oraz parę reflektorów, pan Freelby zażądał krzesła i pulpitu z lampką. Nigdzie nie można było znaleźć krzesła odpowiedniej wysokości, więc pan Freelby wciąż się zżymał, szarpał niechlujne siwe włosy i powtarzał w kółko: „To potworne”. Usadowiwszy się w końcu, zwrócił się do pana Steina, długonogiego inspicjenta, który usiadł koło niego na drugim krześle.

- Zaczniemy od pierwszego aktu, panie Stein. Czy wszyscy mają swoje role?

Kilkoro aktorów ustawiło się na scenie, reszta rozmawiała półgłosem. Pan Freelby uciszył ich głośnym „Ciii”, po czym dodał:

- Proszę was, dzieci, musimy zachować spokój.

I zaczęła się próba.

Odtąd był jeden wielki dom wariatów i Eleonora nie mogła w żaden sposób dotrzeć wieczorem do łóżka. Pan Bridgeman, w którego atelier malowano dekoracje, miał do wszystkiego zastrzeżenia. Okazało się, że dekoracje wykona według ich projektu kto inny, błąd młodzienc w okularach zatrudniony u pana Bridgemana, i że ich nazwiska mogą być w ogóle umieszczone na afiszu tylko jako projektantek kostiumów, a to dlatego że nie należą do związku dekoratorów teatralnych. Po całych dniach jeżeli nie użerały się w atelier Bridgemana, to uganiały taksówkami po mieście z próbkami materiałów. Nigdy nie mogły się jakoś położyć wcześniej niż o czwartej, piątej nad ranem. Wszyscy chodzili okropnie podminowani, a Eleonora musiała co tydzień przeprowadzać formalne obłężenie, żeby wydębic czek od panny Gilchrist.

Wreszcie kostiumy były gotowe, wszystkie w stylu wczesnowiktoriańskim. Wyglądały naprawdę ślicznie, kiedy Eleonora poszła z Freddy i panem Freelbym obejrzeć je w pracowni, ale kostiumer nie chciał ich odesłać, dopóki nie dostanie czeku, a nigdzie nie można było znaleźć panny Gilchrist i wszyscy uganiaли się za nią taksówkami, aż wreszcie późnym wieczorem pan Freelby powiedział, że wystawi prywatny czek. Przed teatrem stał wóz z dekoracjami, ale spedytorzy odmawiali wniesienia do środka kulis, dopóki nie dostaną czeku. Zjawił się również pan Bridgeman, gdyż jego czek wrócił z adnotacją: „Bez pokrycia” - i doszło w kasie do ostrej wymiany słów między nim a panem Freelbym. W końcu nadjechała taksówką panna Gilchrist z pięciuset dolarami gotówką a conto dla pana Bridgemana i towarzystwa przewozowego. Uśmiechy pojawiły się na wszystkich twarzach na widok mięsistych pomarańczowych banknotów. Nastąpiło ogólne odprężenie.

Upewniwszy się, że dekoracje powędrują do teatru, Eleonora, Ewelina, Freddy Seargeant,

Josephine Gilchrist i pan Freelby pojechali wszyscy przegryźć coś u Bustanoby'ego i pan Freelby postawił im kilka butelek poi rogera. Josephine Gilchrist oświadczyła, iż czuje przez skórę, że sztuka zrobi furorę, a to jej się nieczęsto zdarza, na co Freddy powiedział, że podoba się również maszynistom, a to jest zawsze dobry znak, pan Freelby zaś dorzucił, że Ike Gold, goniec od Shubertów, siedział kamieniem przez całą próbę i łyzy ciekły mu po policzkach. Nikt tylko nie wiedział, w którym teatrze odbędzie się premiera po tygodniu próbnym w Greenwich i tygodniu w Hartford, i pan Freelby zdecydował w końcu, że pójdzie jutro z samego rana pogadać osobiście z J.J. Shubertem.

Z Chicago dzwonili znajomi, którzy chcieli się dostać na próbę generalną. Łechtało to mile ambicję Eleonory, szczególnie kiedy zadzwoniła Sally Emerson. Próba generalna wlokła się przeokropnie, połowa dekoracji nie nadeszła, wieśniacy z Wessexu nie mieli kostiumów, ale wszyscy mówili, że nieudana próba generalna to dobry znak.

W dniu premiery Eleonora nie zdążyła zjeść kolacji i miała tylko pół godziny na przebranie się. Była zupełnie sztywna ze zdenerwowania. Nie wiedziała, czy dobrze wygląda w seledynowej tiulowej sukni, którą wzięła na rachunek u Tappego, ale nie miała czasu się martwić. Przełknęła filiżankę czarnej kawy i wydawało jej się, że taksówka nigdy nie dojedzie do centrum. Kiedy weszła do teatru, foyer było całe w światłach i pełne cylindrów, nagich wypudrowanych pleców, brylantów i etol. Premierowa publiczność lustrowała się nawzajem, pozdrawiała skinieniem dłoni, rozprawiała, kto jest, i do połowy pierwszego aktu wchodziła grupkami na salę. Eleonora i Ewelina stały sztywno przy wejściu, z tyłu widowni, szturchały się łokciami, gdy jakiś kostium korzystnie wypadł, i zgodnie stwierdzały, że aktorzy są okropni, a Freddy Seargeant najgorszy ze wszystkich. Na przyjęciu, które Sally Emerson urządziła dla nich po przedstawieniu w dwupiętrowym mieszkaniu swoich przyjaciół Careyów, wszyscy powtarzali, że dekoracje i kostiumy były urocze i że sztuka na pewno odniesie wielki sukces. Eleonora i Ewelina stanowiły centrum zainteresowania i Eleonora była wściekła, bo Ewelina wypięła trochę za dużo i zachowywała się hałaśliwie. Ale poznała mnóstwo interesujących osób i postanowiła bez względu na wszystko pozostać na stałe w Nowym Jorku.

Po dwu tygodniach sztuka zrobiła klapę i Eleonora z Ewelina nigdy nie zobaczyły siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, które dyrekcja pozostała im winna. Ewelina wróciła do Chicago, a Eleonora wynajęła mieszkanie na Ósmej Ulicy. Sally Emerson doszła do przekonania, że Eleonora ma wielki talent, i namówiła męża, żeby wyłożył tysiąc dolarów na rozkręcenie jej firmy dekoratorskiej w Nowym Jorku. Ojciec Eweliny Hutchins chorował, ale Ewelina pisała, że przyjedzie, jak tylko będzie mogła.

W lecie, kiedy Sally Emerson była w Nowym Jorku, Eleonora chodziła z nią wszędzie i poznała dzięki temu mnóstwo bogatych ludzi. Z poręki Aleksandra Parsonsa powierzono jej urządzenie domu, który państwo J. Ward Moorehouse'owie budowali koło Great Neck. Pani

Moorehouse oprowadzała ją sama po nie wykończonym budynku. Była to wyblakła blondyna, która w kółko powtarzała, że sama zajęłaby się urządzeniem, tylko nie ma zupełnie sił po odbytej operacji, nie wstaje prawie z łóżka od urodzenia drugiego dziecka. Opowiedziała Eleonorze wszystko ze szczegółami, a Eleonora, która nie znosiła opowieści o babskich dolegliwościach, kiwała od czasu do czasu chłodno głową i robiła rzeczowe uwagi o meblach i draperiach, notując to i tamto na kawałku papieru. Pani Moorehouse zaproponowała, żeby zjadła z nimi lunch w małym domku, w którym mieszkają, dopóki budowa nie zostanie skończona. Mały domek okazał się wielkim domostwem w holenderskim stylu kolonialnym, pełnym pekińczyków i pokojówek w fartuszkach z falbankami; był nawet lokaj. Wchodząc z panią Moorehouse do jadalni, Eleonora usłyszała w sąsiednim pokoju męski głos i poczuła zapach cygar. Przy lunchu poznała pana Moorehouse'a i niejakiego pana Perry'ego. Panowie, którzy właśnie skończyli grać w golfa, rozprawiali o Tampico i szybach naftowych. Po lunchu pan Moorehouse zaofiarował się, że ją odwiezie autem do miasta, i Eleonora z ulgą pożegnała panią Moorehouse. Nie miała dotąd okazji przedyskutować projektów urządzenia nowego domu, ale teraz, po drodze, pan Moorehouse rozpytywał ją o wszystko i śmiali się oboje, że ludzie mają przeważnie tak szkaradnie urządzone mieszkania. Jak to miło, myślała Eleonora, spotkać człowieka interesu, którego obchodzą takie sprawy. Pan Moorehouse zaproponował, żeby zrobiła kosztorys i przyniosła mu do biura. Czy odpowiadałby mu czwartek? I owszem, nie przewiduje na czwartek żadnego spotkania, więc mogliby razem zjeść skromniutki lunch, jeśli Eleonora nie ma nic przeciwko temu.

- Posiłki to jedyny czas, który mogę poświęcić sprawom ducha - powiedział z błękitnym błyskiem w oku.

Powtórzyli jeszcze raz „Do czwartku”, kiedy wysiadła na rogu Ósmej Ulicy i Piątej Alei, pod wrażeniem jego poczucia humoru. Podobał jej się znacznie bardziej od Toma Custisa.

Wieczorem Eleonora stwierdziła, że postęp prac wymaga dalszych konsultacji z Wardem Moorehouse'em. Zaprosiła go na obiad do swego mieszkania na Ósmej Ulicy i kazała służącej z Martyniki, Augustynie, zrobić pieczone kurczaki z papryką i pomidorami. Pili koktajle z absyntem, potem wypili butelkę bardzo dobrego burgunda i obydwójce świetnie się bawili. Ward siedział rozparty na sofie i mówił, a ona z przyjemnością słuchała. Zaczęła go nazywać J.W. i od tej pory uważali się za przyjaciół niezależnie od prac nad urządzeniem domu w Great Neck.

Opowiedział Eleonorze o swoim dzieciństwie w Wilmmgtonie, w Delaware, o dniu, w którym milicja ostrzelała starego Murzyna, myśląc, że to flota hiszpańska, o swoim nieszczęśliwym pierwszym małżeństwie, o tym, że jego druga żona właściwie stale choruje, o swojej pracy w gazecie i w agencjach reklamowych, a potem Eleonora, w popielatej sukni z delikatnym diamentowym akcentem na jednym ramieniu, grająca rolę dyskretnej powiernicy, sprowokowała go do wyjaśnień na temat jego działalności - informowania społeczeństwa o aktualnym stanie stosunków między

kapitałem a pracą, ukrócania propagandy sentymentalistów i reformatorów, popierania amerykańskiej ideologii i przeciwstawiania się pomyłonym pomysłom niemieckich socjalistów i uniwersalnym środkom zaradczym niezadowolonych drobnych farmerów z Północnego Zachodu. Uważała, że to bardzo interesujące, wołała jednak słuchać o giełdzie, powstaniu Korporacji Stali²⁸¹, kłopotach spółek naftowych w Meksyku, o Hearście i wielkich fortunach. Gdy zasięgnęła jego opinii w sprawie pewnych drobnych lokat, które poczyniła, spojrzął na nią z niebieskim błyskiem oka w blade) kanciaste) twarzy, na której dobrobyt zaczynał właśnie zaokrąglać kanciastość szczęki, i powiedział:

- Panno Stoddard, czy mogę prosić o zaszczyt zostania pani doradcą finansowym?

Jego lekko południowy akcent i staromodna galanteria wydawały się Eleonorze bardzo pociągające. Żałowała, że nie ma bardziej reprezentacyjnego apartamentu i że sprzedawała wszystkie kryształowe żyrandole zamiast część zatrzymać. Była dwunasta, kiedy zaczął się żegnać, mówiąc, że spędził bardzo przyjemny wieczór, ale musi już iść, bo spodziewa się zamiejscowych telefonów. Eleonora usiadła przed toaletą, przy świetle dwu świec, i zaczęła nacierać twarz cold creamem. Nie podobało jej się, że ma taką zylastą szyję, i zastanawiała się, czyby od czasu do czasu nie zacząć przy myciu płukać włosów henną.

²⁸¹ Amerykańska Korporacja Stali (United States Steel Corporation) została utworzona w roku 1901 przez Johna Pierponta Morgana seniora, który przejął kontrolę nad hutami Carnegiego, płacąc mu 480 milionów dolarów w akcjach nowego towarzystwa. Korporacja wypuściła akcje na miliard 400 milionów dolarów, jakkolwiek jej faktyczny majątek wyceniany był zaledwie na 682 miliony. Jednakże koniunktura oraz fakt, że Korporacja zapewniła sobie całkowitą kontrolę nad przemysłem hutniczym Ameryki, sprawiły, że nie doszło do bankructwa i towarzystwo było w stanie płacić dywidendy od nie mających początkowo pokrycia akcji nominalnej wartości 718 milionów. Korporacja Stali była pierwszym towarzystwem na świecie, którego kapitał zakładowy przekroczył miliard dolarów.

OKO KAMERY (24)²⁸²

deszcz w historycznym Quebecu deszcz za oknami Chateau w historycznym Quebecu gdzie rycerski Wolfe w trójgramastym kapeluszu siedzi na litografii w łódce i czyta swoim ludziom Elegię Graya²⁸³ rycerski Wolfe drapie się po skalach na spotkanie z rycerskim Montcalmem w trójgramastym kapeluszu na płaskowyżu Abrahama wytworne kokardy koronkowe kryzy na uniformach żołnierze uszykowani w czworoboki galanteria i komenda Ognia koronkowe kryzy unurzane w błocie na płaskowyżu Abrahama²⁸⁴

Chateau to jest Chateau Frontenac światowej sławy hotel zabytek historyczny w szarym deszczu w szarym historycznym Quebecu wspinaliśmy się w górę po schodach od przystani Statek Spacerowy Przejazdki do Ujścia Saguenay Najpiękniejsza Trasa Spacerowa Świata²⁸⁵ wykładowca z kursów Chautauqua jego żona i baryton z Aten²⁸⁶ w stanie Kentucky gdzie jest wzgórze które się nazywa Akropol zupełnie jak w Atenach w Grecji i kultura i Partenon zupełnie jak w Atenach w Grecji

kamienny deszcz na kamiennych uliczkach taras i Rzeka Świętego Wawrzyńca ludzie spacerują pod parasolami tam i z powrotem po szerokim drewnianym mokrym od deszczu tarasie patrzą na spiczaste łupkowe dachy Quebecu na nabrzeża węglowe na elewatory zbożowe na promy na Cesarzową Irlandii która bucha kłębamii dymu z kremowych kominów płynie z Tamtej Strony z Levis na zielone wzgórza za rzeką na Ile d'Orleans zieloną na tle zieleni i na kamienny deszcz na polyskliwoszarych spiczastych łupkowych dachach Quebecu

ale wykładowca z kursów Chautauqua chce iść na obiad klóci się z żoną robi scenę w

²⁸² Oko kamery (24) jest wspomnieniem z podróży, jaką Dos Passos odbył w sierpniu 1913 roku. Pierwszą część wakacji po pierwszym roku studiów uniwersyteckich przyszedł pisarz spędził z matką w Wirginii, po czym ojciec, widząc, że siedemnastoletni młodzieniec dusi się na odludziu, zafundował mu wycieczkę na północ. Dos Passos pojechał pociągiem do Kingston nad jeziorem Ontario, skąd w towarzystwie kolegi z Choate i Harvardu, Johna Walcott'a, parowcem rzeczny popłynął kanałem Rideau do Ottawy, a stamtąd rzekami Ottawa i Świętego Wawrzyńca do Montrealu i Quebecu. Miasto Quebec, stolica kanadyjskiej prowincji Quebec, należy na młodym kontynencie północnoamerykańskim do najbogatszych w pamiątki historyczne.

²⁸³ *Elegia* Graya - to sławna *Elegia pisana na wiejskim cmentarzu* (*Elegy Written in a Country Churchyard*, 1751) Thomasa Graya (1716-1771), uważana przez niektórych za najwspanialszy angielski utwór poetycki XVIII wieku. Pisana jambicznym pentametrem, regularnie rymowanym czterowerszem, elegia łączy subtelne rozważania nad godnością i losem człowieczym z opisem sielankowego bytowania wiejskiego; obfituje w wiele sformułowań, które uzyskały na trwałe obywatelstwo w literackiej przeszłości.

²⁸⁴ Płaskowyż Abrahama (The Plains of Abraham) - to płaskie wzniesienie przylegające do górnej części Quebecu, nazwane od imienia pilota rzeczno-Abrahama Martina (1587-1664), do którego teren ten należał w XVII stuleciu. 13 września 1759 roku rozegrała się tu bitwa między broniącymi miasta wojskami francuskimi pod wodzą generała Louisa Montcalma de Saint-Verana a nacierającymi wojskami angielskimi pod wodzą Jamesa Wolfe'a, która ostatecznie zdecydowała o klęsce Francji w wojnie o hegemonię nad tą częścią kontynentu północnoamerykańskiego. Trzydziestodwuletni generał Wolfe poległ na polu bitwy, czterdziestosiedmioletni generał Montcalm zmarł następnego dnia z ran.

²⁸⁵ Spośród zabytkowych budowli Quebecu najbardziej eksponowany jest górujący nad miastem Chateau Frontenac, hotel w stylu francuskiego zamku, otwarty uroczysto w 1893 roku. Został on wzniesiony na miejscu XVII-wiecznej siedziby gubernatorów najpierw francuskich, później brytyjskich, Chateau St. Louis, która spłonęła w 1834. Rzeka Saguenay, do której wiodzie „Najpiękniejsza Trasa Spacerowa Świata”, uchodzi do Rzeki Świętego Wawrzyńca jakieś 250 kilometrów poniżej Quebecu. Miejscowość Levis leży na prawym brzegu rzeki naprzeciwko Quebecu; Ile d'Orleans, wyspa długości około 50 kilometrów, dzieli nurty rzeki nieco poniżej miasta.

²⁸⁶ W stanie Kentucky nie ma miasta Ateny (ang. Athens). Dos Passos miał niewątpliwie na myśli Athens w stanie Georgia, miasto założone w 1806 roku na siedzibę Uniwersytetu Stanu Georgia. Słynie ono z wielu budowli w stylu tzw. Greek Revival, modnego w USA w pierwszej połowie XIX wieku stylu naśladownictwa antycznych greckich pierwowzorów w architekturze i ornamentyce.

historycznej jadalni w historycznym Chateau Frontenac zjawia się maitre d'hotel wykładowca jest wielkim tęgim kędzierzawym mężczyzną o gniewnym głosie ochrypłym od wykrzykiwania po namiotach o Akropolu zupełnie jak w Atenach w Grecji o Partenonie zupełnie jak w Atenach w Grecji o Uskrzydłonym Zwycięstwie²⁸⁷ a baryton nadskakuje małemu chłopcu który pragnie uciec żałuje że się zgodził pojechać na wycieczkę chciałby się odczepić od całego towarzystwa

deszcz pada w historycznym Quebecu idę ulicą sam z barytonem który mówi i mówi że w takim mieście jak Quebec pełno jest złych dziewczyn że chłopcy nie powinni się zadawać z takimi dziewczynami że Akropol że belcanto²⁸⁸ że Partenon że kultura śpiewu że posągi greckich chłopców że Uskrzydłone Zwycięstwo że piękne posągi

ale w końcu odczepiłem się od niego i jeździłem tramwajami obejrzałem wodospady w Montmorency²⁸⁹ sławne z pieśni i opowieści i kościół pełen kuł po uzdrowionych w Sainte Anne de Beaupre²⁹⁰

i szare od deszczu ulice pełne dziewcząt

²⁸⁷ *Uskrzydłone Zwycięstwo* - to sławny hellenistyczny (ok. 200 p.n.e.) posąg greckiej bogini zwycięstwa, Nike, wyobrażanej tradycyjnie ze skrzydłami, znaleziony w 1863 roku w ruinach starożytnej świątyni na greckiej wyspie Samotraka na Morzu Egejskim. Znany również jako *Nike z Samotraki*, pozbawiony głowy, rąk i stopy, posąg znajduje się obecnie w paryskim Luwrze.

²⁸⁸ Belcanto (wł. dosłownie: piękny śpiew) - to operowa technika śpiewu powstała w XVII wieku we Włoszech; eksponuje szczególnie piękno brzmienia głosu i wirtuozerię w posługiwaniu się nim.

²⁸⁹ Montmorency - to rzeka uchodząca do Rzeki Świętego Wawrzyńca około 10 kilometrów poniżej Quebecu; wodospady wysokości 84 metrów znajdują się niedaleko jej ujścia.

²⁹⁰ Sainte-Anne-de-Beaupre - to miejscowość nad Rzeką Świętego Wawrzyńca około 40 kilometrów poniżej Quebecu; znajduje się tu sanktuarium świętej Anny, stanowiące od 1658 roku cel pielgrzymek i obfitujące w świadectwa oraz pamiątki domniemanych uzdrowień.

JANEY

W drugim roku wojny europejskiej pan Carroll odsprzedał panu Dreyfusowi swój udział w firmie Dreyfus i Carroll i wrócił do rodzinnego Baltimore. Miał nadzieję, że zjazd stanowy Partii Demokratycznej mianuje go kandydatem na gubernatora. Janey dotkliwie odczuwała jego nieobecność w biurze i z wielką ciekawością śledziła sprawozdania prasowe z Marylandu. Kiedy pan Carroll nie otrzymał nominacji, szczerze mu współczuła. W biurze kręciło się coraz to więcej cudzoziemców, a rozmowy przybierały wyraźnie proniemieckie tendencje, które jej zupełnie nie odpowiadały. Wprawdzie pan Dreyfus był bardzo uprzejmy i hojny dla pracowników, ale Janey nie mogła zapomnieć o brutalnej inwazji Belgu i o wszystkich potwornych okrucieństwach i w końcu, nie chcąc pracować u Szwaba, zaczęła szukać innego zajęcia. W Waszyngtonie panował zastój i doskonale zdawała sobie sprawę, że to szaleństwo rzucać pana Dreyfusa, ale nie mogła już wytrzymać i w końcu zgodziła się do Smedleya Richardsa, pośrednika sprzedaży nieruchomości na Connecticut Avenue, za dolara mniej tygodniowo. Pan Richards był tęgim mężczyzną mówiącym ciągle o dżentelmenerii, co mu nie przeszkadzało zalecać się do niej. Przez dwa tygodnie trzymała go na dystans, ale w trzecim zaczął pić i podsuwać się do niej z wielkimi mięsistymi łapami, a któregoś dnia pożyczył dolara i w sobotę powiedział, że będzie musiała poczekać parę dni na tygodniówkę, tak że w poniedziałek nie poszła po prostu do biura i została bez pracy.

Strasznie było zostać bez pracy; najbardziej się bała, że będzie musiała wrócić do domu, mieszkać z lokatorami mamusi i znosić hałaśliwe zachowanie sióstr. Czytała codziennie ogłoszenia w „Washington Star” i „Washington Post” i zgłaszała się, gdy tylko natrafiła na coś odpowiedniego, ale zawsze ktoś ją uprzedzał, mimo że biegła raniutko pod wskazany adres. Zarejestrowała się nawet w biurze pośrednictwa pracy. Siedząca za biurkiem tęga kobieta o zepsutych zębach i ironicznym uśmiešku kazała jej najpierw zapłacić dwa dolary wpisowego, po czym pokazała listę rutynowanych stenotypistek szukających posady i powiedziała, że dziewczęta powinny wychodzić za mąż, nie próbować się utrzymywać z własnej pracy, bo to wierutna bzdura i w dodatku nic z tego nie będzie. Odór potu i skrzywione twarze dziewcząt czekających na ławkach przyprawiły ją o mdłości, więc poszła na Lafayette Square posiedzieć chwilę na słońcu i zebrać się na odwagę powiedzenia Alice, która w dalszym ciągu pracowała u pani Robinson, że jeszcze nie znalazła posady. Po chwili przysiadł się do niej młody człowiek z czerwoną twarzą i próbował nawiązać rozmowę, więc musiała wstać i iść dalej. Weszła do drogerii i zamówiła filiżankę czekolady, ale subiekt zaczął się z nią przekomarzać, tak że wybuchnęła płaczem. Subiekt, śmiertelnie przerażony, wykrztusił:

- Przepraszam, panienko. Nie chciałem panienki urazić.

Miała czerwone oczy, kiedy spotkała się z Alice przy wyjściu z Gmachu Riggsa. Alice uparła się, że zafunduje jej trzydziestopięciocentowy lunch w Brązowym Czajniku, chociaż Janey nie była w stanie nic przełknąć. Na twarzy miała wypisane „A nie mówiłam”, czym doprowadzała Janey do

pasji, i wciąż powtarzała, że teraz już za późno na powrót do pani Robinson, bo tak jak sprawy stoją, pani Robinson ma pracę dla swoich własnych dziewcząt. Po południu Janey, zbyt przygnębiona na dalsze poszukiwania, snuła się po Instytucie Smithsonowskim²⁹¹, usiłując w sobie wzbudzić zainteresowanie okazami indiańskich ornamentów paciorkowych, wojennych canoe i słupów totemicznych, ale wszystko ją drażniło i w końcu wróciła do domu porządnie się wypłakać. Rozmyślała o Joem i Jerry Burnhamie, łamała sobie głowę, dlaczego nie dostaje od nich listów, dumiała nad losem biednych żołnierzy w okopach i w ogóle czuła się bardzo samotna. Po pewnym czasie umyła twarz, upudrowała się i uróżowała i nim Alice wróciła do domu, krzątała się już żwawo po pokoju. Zaczęła dowcipkować z zastoju gospodarczego i powiedziała, że jeśli nie dostanie pracy w Waszyngtonie, to pojedzie do Baltimore albo do Nowego Jorku, albo do Chicago i na pewno coś sobie znajdzie. Alice odrzekła, że takie gadanie przygnębia. Potem wyszły i dla oszczędności zjadły na kolację po sandwiczu z szynką i wypity po szklance mleka.

Przez całą jesień Janey szukała pracy. Doszło do tego, że pierwszym uczuciem ogarniającym ją, gdy się budziła rano, była czarna rozpacz, co ze sobą począć. W dniu Bożego Narodzenia zjadła świąteczny obiad z mamusią i siostrami i żeby się nie zaczęły nad nią litować, naopowiadała im, że od Nowego Roku ma obiecaną posadę za dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo. Tej satysfakcji im nie da.

Na Gwiazdkę dostała pocztą od Joego porozdzieraną paczkę z wyszywanym kimonem. Przeszukała paczkę kilka razy w nadziei, że znajdzie jakiś list, ale znalazła tylko świstek papieru z nagryzmołonymi słowami: „Wesołych Świąt”. Paczka była nadana w St. Nazaire we Francji i nosiła stempel: OUVERT PAR LA CENSURE²⁹². Wojna wydała jej się nagle bardzo bliska i ogarnął ją lęk, czy Joe nie jest przypadkiem w niebezpieczeństwie.

Pewnego lodowatego styczniowego popołudnia Janey leżała na łóżku czytając *Opowieść o dwóch siostrach*²⁹³, gdy usłyszała wołający ją głos gospodyni, pani Baghot. Bała się, że chodzi o komorne, którego nie zapłaciły jeszcze w tym miesiącu, ale okazało się, że to tylko dzwoni Alice. Kazała Janey prędko się ubrać i biec, bo dzwonił jakiś jegomość, że potrzebuje na parę dni stenotypistki, a w biurze nie ma akurat żadnej z dziewcząt, więc Alice pomyślała sobie, że może by Janey poszła zobaczyć, co to za praca.

- Podaj mi adres. Już lecę.

²⁹¹ Instytut Smithsonowski (Smithsonian Institute) w Waszyngtonie został powołany do życia aktem Kongresu w roku 1846. Fundatorem był James Smithson (1765-1829), angielski arystokrata osiadły w Ameryce, który zapisał swój majątek rządowi Stanów „dla pomnażania i szerzenia wiedzy wśród ludzi”. W skład rady nadzorczej Instytutu wchodzi m.in. wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, przewodniczący Sądu Najwyższego, trzech senatorów oraz trzech członków Izby Reprezentantów. Działalność Instytutu obejmuje „wszystkie gałęzie wiedzy w odniesieniu do życia Stanów Zjednoczonych”. Instytut wydaje kilka czasopism, przechowuje zbiory Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego, eksponuje zbiory muzealne z różnych dziedzin nauki, techniki i sztuki, administruje Muzeum Narodowym Stanów Zjednoczonych, Narodowymi Zbiorami Dzieł Sztuki, Narodowym Parkiem Zoologicznym, Obserwatorium Astrofizycznym i innymi Instytutami.

²⁹² O uvert par la c e n s u r e (fr.) - Otwierane przez cenzurę.

²⁹³ *Opowieść o dwóch siostrach* - to powieść Arnolda Bennetta

Alice podała adres. Głos jej łamał się ze zdenerwowania po drugiej stronie linii.

- Mam duszę na ramieniu. Jak pani Robinson się dowie, to będzie wściekła.

- Nic się nie martw, wytłumaczę temu panu - powiedziała Janey.

Jegomość, który potrzebował stenotypistki, mieszkał w hotelu Continental na Pennsylvania Avenue. Zajmował sypialnię i salonik cały zasłany kartkami maszynopisu i broszurami. Nosił okulary w rogowej oprawie, które ciągle zdejmował i nakładał, jakby nie mogąc się zdecydować, czy widzi lepiej w nich czy bez nich. Nie patrząc na Janey zaczął dyktować, ledwo zdjęła kapelusz i wyciągnęła z torebki notes i ołówek. Mówił urywanymi kadencjami, jak gdyby wygłaszał mowę, przez cały czas spacerując przy tym na długich cienkich nogach. Był to rodzaj artykułu opatrzonego adnotacją: „Do niezwłocznego rozpowszechniania” i poświęconego w całości problemom kapitału i siły roboczej, ośmiogodzinnego dnia pracy i Bractwa Maszynistów Kolejowych. Janey ogarnęło uczucie lekkiego niepokoju, kiedy się zorientowała, że nieznajomy musi być przywódcą związkowym. Skończywszy dyktować, wyszedł nagle z pokoju, mówiąc, żeby była łaskawa przepisać to jak najszybciej, on za minutkę wraca. Na stoliku stał remington, ale musiała zmienić taśmę i później spieszyła się okropnie w obawie, że gotów wrócić i zastać robotę nie skończoną. Potem siedziała i czekała, z artykułem i kopiami porozkładanymi równo, schludnie na stoliku. Minęła godzina, a jego nie było. Janey zaczęła się niecierpliwić, spacerować po pokoju, przeglądać broszury. Ale wszystkie dotyczyły związków zawodowych i gospodarki i absolutnie jej nie interesowały. W końcu wychyliła się przez okno, próbując z wykręconą szyją zobaczyć godzinę na wieży poczty. Ale nie mogła dojrzeć zegara, więc podeszła do telefonu i poprosiła, że jeśli pan Barrow jest w hotelu, może będą uprzejmi go zawiadomić, że maszynopis jest gotów. Recepcja odpowiedziała, że jest piąta, ale pana Barrowa jeszcze nie ma, chociaż zostawił wiadomość, że zaraz wraca. Odkładając słuchawkę, rzuciła z półeczki list na lawendowym papierze. Podniosła go i nie mając co robić, zmęczona już graniem sama z sobą w kółko i krzyżyk, przeczytała. Wstyd jej było za siebie, ale raz zacząwszy, nie mogła się już oderwać od lektury.

Drogi G.H.

Cholernie mi przykro, ale słowo daję, znalazłam się w kropce i potrzebuję na gwałt pieniędzy. Musisz mi odpalić dwa kawałki (2000 dolarów). Jak tego nie zrobisz, to przysięgam, przestanę się zachowywać jak dama i narobię ci bigosu. Cholernie mi przykro, ale wiem, że masz forszę, inaczej bym cię nie cisnęła. Tym razem nie żartuję

- mala dziewczynka, którą kiedyś kochałeś,

Queenie

Janey oblała się rumieńcem i położyła list na półeczce dokładnie tak, jak leżał. Czyż nie okropni są ci mężczyźni, zawsze wylizie jakieś szydło z worka. Zrobiło się ciemno i Janey była głodna i zniecierpliwiona, kiedy wreszcie zadzwonił telefon. Był to pan Barrow. Przeprosił, że kazał

jej tak długo czekać, i powiedział, że jest w hotelu Shoreham u pana Moorehouse'a i czy mogłaby tam zaraz przyjść - nie, maszynopis niech zostawi - mają dla niej robotę, to znaczy, pan J. Ward Moorehouse ma dla niej robotę, musi znać nazwisko ze słyszenia. Janey nigdy nie słyszała nazwiska pana Moorehouse'a, ale myśli, że będzie stenografować w hotelu Shoreham przejęła ją dreszczykiem, a w dodatku jeszcze ten list i w ogóle. Nareszcie znowu coś emocjonującego, jak wówczas gdy obracała się w towarzystwie Jerry'ego Burnhama. Poprawiła się trochę w lustrze nad kominkiem, włożyła płaszcz i kapelusz i w dotkliwym chłodzie styczniowego wieczoru doszła do rogu Ulicy F i Czternastej, gdzie długo czekała na tramwaj. Żałowała, że nie ma muffki, bo zerwał się porywisty wiatr, który szczypał jej dłonie w cienkich rękawiczkach i nogi nad cholewkami bucików. Pragnęła teraz być zamożną mężatką mieszkającą w Chevy Chase i czekającą na limuzynę, która ją zabierze do męża, dzieci i ognia buzującego na kominku. Przyszedł jej na myśl Jerry Burnham i jęła się zastanawiać, czyby się z nią ożenił, gdyby inaczej rozegrała sprawę. Albo Johnny Edwards; pojechał do Nowego Jorku, kiedy mu dała kosza, i zbija ciężką forszę w biurze maklerskim. Albo Morris Byer. No, Morris Byer był Żydem. Ale faktem jest, że od roku nie ma adoratora. Została, zdaje się, na lodzie.

Wysiadła na rogu przed hotelem Shoreham. W westybulu było ciepło. Tu i ówdzie stały grupki dystyngowanych osób i rozmawiały dystyngowanymi głosami. Pachniało cieplarnianą roślinnością. W recepcji polecono jej się zaraz zgłosić w apartamencie numer osiem na pierwszym piętrze. Drzwi otworzył mężczyzna o białej pomarszczonej twarzy i czarnych włosach gładko przylizanych na płaskiej czaszce. Miał na sobie nieskazitelne czarne ubranie i dyskretny posuwisty krok lokaja. Kiedy powiedziała, że jest stenotypistką wezwaną przez pana Barrowa, wskazał jej następny pokój. Zatrzymała się w drzwiach, czekając, aż ktoś zwróci na nią uwagę. W drugim końcu pokoju znajdował się kominek, na którym buzowały dwa polana, a przed nim szeroki stół zawalony magazynami, gazetami i maszynopisami. Na jednym jego końcu stał srebrny serwis do herbaty, na drugim taca z karafkami, mikserem i kieliszkami do koktajlów. Wszystko miało wypolerowany srebrny połysk - krzesła, stół, serwis, nawet dewizka i zęby mężczyzny o gładkich, przedwcześnie szpakowatych włosach, który stał plecami do kominka. Ujrawszy go, Janey od razu pomyślała, że musi być prawdziwym dżentelmenem. Pan Barrow oraz niski łysy mężczyzna siedzieli w głębokich fotelach po dwu stronach kominka i słuchali z wielką uwagą jego słów.

- To sprawa niezwyklej wagi dla przyszłości naszego kraju - mówił cichym, poważnym głosem. - Zapewniam panów, że wysoko postawione oficjalne osobistości, jak również wielcy udziałowcy z kół przemysłowych i finansowych, śledzą z głębokim zainteresowaniem rozwój wypadków. Proszę o niepowoływanie się na mnie, ale mogę panom w zaufaniu zdradzić, że sam prezydent... - Jego wzrok padł na Janey. - A, to pewnie stenotypistka. Proszę, niech pani wejdzie, panno...

- Williams - powiedziała Janey.

Miał oczy błękitne jak płomień palnika spirytusowego, roziskrzzone chłopciami błyskami. To musi być ten J. Ward Moorehouse, którego nazwisko powinna znać.

- Ma pani papier i ołówek? Świetnie, niech pani od razu siada przy stole. Morton, możesz już zabrać te rzeczy.

Morton bezszelestnie zebrał naczynia. Janey usiadła przy końcu stołu, wyjęła notes i ołówek.

- Czy nie lepiej, żeby pani zdjęła płaszcz i kapelusz? Będzie się pani wydawało, że nie grzeją, kiedy pani stąd wyjdzie.

W jego głosie było coś ciepłego, mówił do niej zupełnie innym tonem niż do mężczyzn. Gdyby mogła u niego pracować... W każdym razie dobrze zrobiła, że przysłała.

- Więc, jak mówiliśmy, panie Barrow, potrzebne jest oświadczenie, które usmierzy niepokoje. Musimy zrobić wszystko, żeby obydwie strony pojęły wartość porozumienia w spornych kwestiach. To wielkie słowo, porozumienie. Najpierw napiszemy sobie to na brudno. Panie Barrow, pan będzie łaskaw poddawać sugestie z punktu widzenia organizacji związkowych, a pan, panie Jonas, z punktu widzenia prawnego. Gotowa pani, panno Williams? Oświadczenie J. Warda Moorehouse'a, Rady Prasowego, Hotel Shoreham, Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, 15 stycznia 1916 roku...

Od tej chwili Janey zbyt była pochłonięta stenografowaniem, by zastanawiać się nad sensem tego, co słyszy.

Wróciwszy wieczorem do domu, zastała Alice w łóżku. Alice chciała spać, ale Janey ją paplać jak najęta o panu Barrowie, o zatargach związkowych, o panu Moorehouse'ie - że to prawdziwy dżentelmen, że taki ludzki, taki uprzejmy, ma takie ciekawe koncepcje współpracy między kapitałem a pracą, że wypowiada się tak autorytatywnie, co sądzi prezydent, co Andrew Carnegie, co zamierza grupa Rockefellera²⁹⁴, co pan Schick²⁹⁵, co senator La Follette²⁹⁶, że ma takie

²⁹⁴ Grupa Rockefellera - to grupa kapitałowa związana ze Standard Oil Company, której czołową osobistością był John D(avison) Rockefeller (1839-1937). Syn wędrownego sprzedawcy patentowanych leków, kształcony w szkołach publicznych w Cleveland w stanie Ohio, pracował już w wieku 16 lat jako buchalter. W 1862 wszedł w spółkę z wynalazcą taniej metody rafinowania ropy naftowej, Samuelem Andrew-sem, i w 1870, wspólnie z paroma jeszcze udziałowcami, przekształcił szybko rozwijającą się firmę w legendarne później Standard Oil. Dwa lata później uzyskał ulgi na przewozy kolejowe dla członków stowarzyszenia rafinerów ropy w Cleveland, którego był współzałożycielem, i chociaż ulgi zostały na skutek powszechnego oburzenia po trzech miesiącach cofnięte, stało się to pierwszym etapem wypierania z rynku konkurentów, zmuszanych do sprzedaży swoich firm członkom Rockefellerowskiej zmywy. W rezultacie takich machinacji, w 1878 Rockefeller sprawował kontrolę nad przeszło 90 procentami przemysłu rafinacji ropy w Stanach i w 1882 mógł przekształcić Standard Oil w pierwszy amerykański monopolistyczny trust. Trust został wprawdzie zdelegalizowany przez Sąd Najwyższy Stanu Ohio już w 1892 roku, ale rozwiązany faktycznie dopiero siedem lat później. Rockefeller założył wówczas Standard Oil Company of New Jersey, które się broniło przed ustawodawstwem antytrustowym aż do roku 1911. Rockefeller uważany był długo za najbogatszego człowieka świata, pierwszego, którego majątek osobisty szacowano na blisko miliard dolarów, a jego nazwisko stało się w odczuciu wielu synonimem drapieżnego kapitalisty. Dzisiaj jest często kojarzone raczej z różnymi instytucjami publicznymi, na których wyposażenie wyasygnował już za życia w sumie około 550 milionów, przede wszystkim z Uniwersytem Rockefellerowskim (Rockefeller University) w Nowym Jorku, założonym w 1901 jako Rockefellerowski Instytut Badań Medycznych (Rockefeller Institute for Medical Research), oraz założoną w 1913 Fundacją Rockefellera (Rockefeller Foundation), która corocznie rozdziela około 60 milionów dolarów w stypendiach dla naukowców i artystów z całego świata.

²⁹⁵ Pan Schick - to prawie na pewno pomyłka Dos Passosa lub nie dostrzeżony błąd zecerski. Jedynym panem Schickiem, o którego mogłoby tu ewentualnie chodzić, był oficer armii amerykańskiej, poszukiwacz kruszców i wynalazca elektrycznej maszyny do golenia, Jacob Schick (1877-1937), po przystąpieniu USA do wojny przydzielony do ambasady w Londynie, gdzie kierował 11-osobowym zespołem, który zorganizował przetransportowanie 680 000 żołnierzy

ładne błękitne chłopięce oczy, że tak młodo wygląda pomimo przedwcześnie siwiejących włosów, że w ogóle jest taki miły, że ma srebrny serwis do herbaty, kominek, srebrny mikser i kryształowe kieliszki.

- Słowo daję, Janey - przerwała Alice ziewając - musiałaś się chyba zadurzyć. Jeszcze nie słyszałam, żebyś się tak wyrażała o mężczyźnie.

Janey oblała się rumieńcem. Była wściekła na Alice.

- Niemądra jesteś, Alice. Nie można ci nic powiedzieć.

Rozebrała się i zgasiła światło. Dopiero w łóżku przypomniała sobie, że nie jadła kolacji. Ale nie zdradziła się z tym, bo Alice na pewno zrobiłaby jeszcze jedną niemądrą uwagę.

Następnego dnia od rana kończyła robotę dla pana Barrowa. Przez cały dzień chciała go zapytać o pana Moorehouse'a - gdzie mieszka, czy jest żonaty, skąd przyjechał - ale doszła do wniosku, że nic jej to nie da. Po południu, odebrawszy pieniądze, nie wiedząc jak znalazła się na Ulicy H przed hotelem Shoreham. Udawała przed sobą, że ogląda wystawy. Nie spotkała go, ale zobaczyła wielką, czarną błyszczącą limuzynę z monogramem, którego nie mogła odcyfrować bez schylania się, co by dziwnie wyglądało. Lecz była przekonana, że to jego auto.

Doszła do rogu naprzeciwko wielkiej wyrwy w zabudowie, gdzie rozbierano hotel Arlington. Było jasne słoneczne popołudnie. Obeszła Lafayette Square, przyglądając się pomnikowi Andrew Jacksona²⁹⁷ na stojącym dęba koniu, pośród gołych drzew. Na ławkach siedziały grupkami niańki z

amerykańskich przez Anglię do Francji. Jednakże miało to miejsce co najmniej półtora roku później, a ponadto pan Schick nie był w żaden sposób związany z wielkimi finansami ani polityką. Można więc bezpiecznie przyjąć, że Dos Passos miał tu na myśli wpływowego finansistę J a c o b a Henry'ego Schiffa (1847-1920). Urodzony w żydowskiej rodzinie we Frankfurcie nad Menem, przybył on w 1865 do Ameryki, gdzie rozpoczął karierę w bankowości i po dwudziestu latach stanął na czele potężnego domu bankowego Kuhn, Loeb & Company, mającego wielorakie powiązania z wielkimi domami bankowymi Europy; trząśł nim aż do śmierci. Jego fortuna pochodziła w znacznej mierze z finansowania budowy kolei, przy czym najbardziej sensacyjnym momentem jego kariery była w 1901 walka o kontrolę transkontynentalnych szlaków do Pacyfiku, w której wszedł w sojusz z Harrimanem przeciwko Hillowi i Morganowi. Interesy Schiffa oczywiście kolidowały często z interesami Rockefellera czy Morgana, ale niekiedy mogły się z nimi także pokrywać, szczególnie w dziedzinie kredytowych pożyczek dla państw ententy w czasie wojny. Schiff, tak jak inni wielcy kapitaliści tej epoki, dorobiwszy się rozpoczął rozległą działalność charytatywną, finansując szczególnie hojnie rozmaite fundacje żydowskie. Paradoksalnie był również zwolennikiem liberalnych reform prezydenta Woodrowa Wilsona, rzecznikiem praw obywatelskich i prawa robotników do zrzeszania się, sympatykiem emancypacji Murzynów.

²⁹⁶ Senator La Follette - to Robert Marlon La Follette (1855-1925), któremu Dos Passos poświęcił dalej rozdział biograficzny pt. „Bob bojownik” (Bob jest zdrobnieniem od imienia Robert). Jeden z czołowych przedstawicieli liberalnego skrzydła Partii Republikańskiej, La Follette był z jej ramienia członkiem Izby Reprezentantów z rodzinnego Wisconsinu (1885-1891), gubernatorem tego stanu (1900-1906), wreszcie senatorem (1906-1925). W 1924, nie godząc się z linią swojej partii, utworzył ugrupowanie, które przeszło do historii pod skrótową nazwą Partii Progresywnej, i z jego ramienia kandydował na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Oddało na niego głos bez mała 5 milionów wyborców, ale w dwustopniowym amerykańskim systemie wyborczym, w którym wszyscy elektorzy stanu muszą głosować na tego kandydata, który uzyskał w nim większość, przypadło mu tylko 13 głosów elektorów z rodzinnego Wisconsinu. Przez całą swoją karierę La Follette walczył o liberalne reformy polityczne i społeczne, często, szczególnie w pierwszym reformatorskim okresie prezydentury Woodrowa Wilsona, głosując wraz z demokratami przeciwko konserwatywnej polityce własnej partii. Był jednak konsekwentnym izolacjonistą i opierał się nie tylko przystąpieniu USA do wojny, ale po jej zakończeniu także przystąpieniu do Ligi Narodów i do Trybunatu Międzynarodowego.

²⁹⁷ Andrew Jackson (1767-1845) był siódmym prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki w latach 1829-1837. Nazwisko jego opromieniały dwie legendy, przez nowszych historyków poddawane w wielu punktach w wątpliwość - wodza i reformatora. Podczas wojny z Brytyjczykami rozgromił w 1814 sprzymierzonych z nimi Indian Creek w Alabamie, a w następnym roku pokonał pod Nowym Orleanem silną armię brytyjską i uchronił miasto przed zdobyciem. Na prezydenta kandydował pod hasłami obrony interesów prostych ludzi przed samowolą arystokratów i bogaczy. Przy bliższej analizie okazuje się, że jako prezydent działał nie tyle na rzecz demokracji, co na rzecz swojej Partii Demokratycznej przeciw rządzącej uprzednio Partii Wigów, sam był wielkim posiadaczem niewolników i zwalczał wszystko, co mogło podważyć ten stan rzeczy, w niegodziwy sposób postępował z Indianami łamiąc wszelkie zawarte z nimi przez rząd umowy, na urzędy mianował często ludzi niekompetentnych lub skorumpowanych, zawetował wiele uchwalonych przez

dziećmi. Na chwilę przysiadł mężczyzna o szpakowatej szpiczastej bródce, z czarną teczką pod pachą, ale zaraz wstał i poszedł dalej. Zagraniczny dyplomata, pomyślała Janey; jak to przyjemnie mieszkać w stolicy, gdzie się spotyka zagranicznych dyplomatów i ludzi pokroju pana J. Warda Moorehouse'a.

Obeszła jeszcze raz pomnik Andrew Jacksona, dumny i zielony na dumnozielonym koniu, stojącym dęba w rdzawym popołudniowym zimowym słońcu, i rażnym krokiem, jak gdyby spiesząc się na umówione spotkanie, pomaszzerowała z powrotem w kierunku hotelu Shoreham. Zapytała boya, gdzie mieści się pokój stenotypistek, i została skierowana na pierwsze piętro. Znalazła się przed kobietą o długiej szczęce i chłodnych oczach, która pisała na maszynie, zwrócona twarzą do skrawka zielonego wyściełanego hallu, widocznego przez uchylone drzwi. Zapytała, czy przypadkiem nie wiedzą o kimś, kto potrzebuje stenotypistki. Chłodnooka zmierzyła ją przenikliwie.

- To nie jest biuro pośrednictwa, sama pani rozumie.

- Rozumiem. Tak spytałam - powiedziała Janey czując, że siły ją opuszczają. - Pozwoli pani usiąść na chwilę.

Chłodnooka świdrowała ją spojrzeniem.

- Gdzie ja panią widziałam? Nie, proszę mi nie przypominać... Pani... pani pracowała u pani Robinson. Tak, kiedyś tam przychodziłam, jak miała nadmiar zleceń. No, widzi pani, doskonale sobie przypominam.

Uśmiechnęła się blado.

- I ja bym panią poznała - powiedziała Janey – tylko jestem już taka zmęczona tym szukaniem pracy.

- Bo to ja nie wiem? - westchnęła kobieta.

- Nie słyszała pani o czymś dla mnie?

- Wie pani, co? Dzwonili, żeby przysłać stenotypistkę pod ósemkę. Potrzebują ich tam... na pęczki. Zakładają jakiś kartel czy co? Niech pani słucha, moja droga. Wejdzie pani, zdejmie kapelusz i zacznie stenografować jakby nigdy nic. Nie wyrzucą pani, moja droga, nawet gdyby zjawiała się tamta druga, potrzebują co chwila nowej.

Janey, niewiele się zastanawiając, cmoknęła chłodnooką w brodę i już maszerowała korytarzem do numeru ósmego. Przylizany lokaj poznał ją i zapytał:

- Stenotypistka?

- Tak - odparła Janey i po chwili, zdjawszy płaszcz i kapelusz, siedziała koło ciemnopółskliwego mahoniowego stołu przed trzaskającym kominkiem, który wzniecał gorące refleksy na srebrnych karafkach, dzbankach z gorącą wodą i czajniczkach, na czarnych wyczyszczonych do glansu butach i w spirytusowobłękitnych żrenicach pana Moorehouse'a.

Siedziała z notesem i ołówkiem i stenografowała pod dyktando pana J. Warda Moorehouse'a. Pod wieczór wszedł przylizany lokaj i oznajmił:

- Czas się przebierać do kolacji, proszę pana.

Pan J. Ward Moorehouse chrząknął i powiedział: „Do licha!”. Przylizany lokaj zbliżył się sunąc bezszelestnie po grubym dywanie.

- Przepraszam pana. Panna Rosenthal przewróciła się i złamała nogę. Pośliznęła się na lodzie przed Departamentem Skarbu, proszę pana.

- A niech to diabli... Przepraszam, panno Williams. Uśmiechnął się, więc Janey podniosła wzrok i również uśmiechnęła się z pobłażliwą wyrozumiałością.

- Zajął się nią ktoś?

- Pan Mulligan odwiózł ją do szpitala, proszę pana.

- To dobrze. Skocz na dół i poślij jej kwiaty. Tylko wybierz ładne.

- Tak jest, proszę pana. Za jakieś pięć dolarów?

- Najwyżej za dwa i pół, Morton. I dołącz mój bilet.

Morton zniknął. J. Ward Moorehouse przechadzał się chwilę przed kominkiem, jakby miał podjąć dyktowanie. Janey siedziała z ołówkiem na papierze. Nagle zatrzymał się i zmierzył ją wzrokiem.

- Czy nie zna pani kogoś, panno Williams? Potrzebuję rutynowanej stenotypistki i sekretarki, sympatycznej, bystrej osoby, do której mógłbym mieć całkowite zaufanie. Że też ta kobieta musiała złamać nogę.

Janey zakręciło się w głowie.

- Sama szukam takiej posady.

J. Ward Moorehouse nie odrywał od niej rozbawionego błękitnego spojrzenia.

- A mogłaby mi pani powiedzieć, panno Williams, dlaczego straciła pani poprzednią pracę?

- Oczywiście. Wymówiłam u Dreyfusa i Carrolla, może pan o nich słyszał? Nie odpowiadały mi stosunki, jakie się wytworzyły. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby stary pan Carroll się nie wycofał. Pan Dreyfus jest wprawdzie bardzo miły...

- Jest na usługach rządu niemieckiego.

- Właśnie to miałam na myśli. Nie chciałam pracować u niego po proklamacji prezydenta.

- No, tutaj wszyscy jesteśmy po stronie aliantów, tak że nic nie stoi na przeszkodzie. Zdaje się, że jest pani osobą, o jaką mi chodzi... Oczywiście, trudno powiedzieć na pewno, ale wszystkie moje najlepsze decyzje były podejmowane na gorąco. Co by pani powiedziała o dwudziestu pięciu dolarach tygodniowo na początek?

- Zgoda, proszę pana. Praca będzie na pewno bardzo interesująca.

- Proszę jutro o dziewiątej. I pani będzie łaskawa wychodząc wysłać telegramy.

PANI GERTRUDA WARD MOOREHOUSE GREAT NECK LONG ISLAND N.Y.
PRAWDOPODOBNY WYJAZD DO MEXICO CITY STOP PRZEPROŚ SALTWORTHÓW ŻE
NIE BĘDĘ NA KOLACJI STOP CZY WSZYSTKO W PORZĄDKU STOP CAŁUJĘ

WARD

PANNA ELEONORA STODDARD

45 JEDENASTA WSCHODNIA ULICA NOWY JORK

NAPISZ CO PRZYWIEŹĆ Z MEKSYKU STOP JAK ZAWSZE J.W.

- Czy pani lubi podróżować, panno Williams?

- Nigdy nie podróżowałam, ale na pewno.

- Niewykluczone, że będę musiał zabrać ze sobą parę osób. Sprawy nafty. Zawiadomię panią
w ciągu najbliższych dni.

JAMES FRUNZE Z LISTAMI J. WARDA MOOREHOUSE'A 100 PIĄTA ALEJA NOWY
JORK

NATYCHMIAST ZAWIADOMIĆ SHOREHAM O ROZWOJU SYTUACJI A I B STOP
BARROW NIESPOKOJNY STOP OGŁOSIĆ OŚWIADCZENIE O WSPÓLNOCIE INTERESÓW
STOP AMERYKANIZM KONTRA CUDZOZIEMSKIE BREDNIE SOCJALISTYCZNE

JWM

- Dziękuję pani. To będzie wszystko na dzisiaj. Gdy pani przepisze te materiały i wyśle
depesze, będzie pani wolna.

Wyszedł drzwiami w głębi, zdejmując po drodze marynarkę. Kiedy Janey skończyła
przepisywanie i wychodziła nadać depesze w biurze Western Union, mignął jej w westybulu, we
fraku, w popielatym pilśniowym kapeluszu, z tabaczkowym płaszczem na ręce. Spieszył do
taksówki, nie widział jej. Było bardzo późno, kiedy wróciła do domu. Miała wypieki, ale nie czuła
wcale zmęczenia. Alice siedziała czytając na brzegu łóżka.

- Och, tak się o ciebie... - zaczęła, ale Janey zarzuciła jej ramiona na szyję, oznajmiając, że
dostała posadę prywatnej sekretarki J. Warda Moorehouse'a i że jedzie z nim do Meksyku.

Alice wybuchnęła płaczem, lecz Janey, zbyt szczęśliwa, by na to zważać, paplała dalej o
popołudniu spędzonym w hotelu Shoreham.

TWÓRCA ELEKTRYCZNYCH CUDÓW

Edison urodził się w Milan, w stanie Ohio, w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym; Milan było miasteczkiem nad rzeką Huron i przez pewien czas pełniło rolę portu zbożowego całego Zachodniego Rezerwatu²⁹⁸; koleje odebrały mu rolę węzła transportowego, więc Edisonowie przenieśli się do Port Huron w stanie Michigan, by rosnąć wraz z krajem.

Ojciec był gonciarzem, który bawił się drobnymi spekulacjami; handlował ziarnem, paszą i tarcicą, wybudował drewnianą wieżę wysokości trzydziestu metrów; turyści i wycieczkowicze płacili po dwadzieścia pięć centów za wejście na szczyt i obejrzenie widoku na jezioro Huron i rzekę Saint Clair; sam Edison stał się solidnym, poważanym obywatelem Port Huron.

Thomas Edison uczęszczał do szkoły zaledwie trzy miesiące, bo nauczycielka uważała, że jest nie bardzo rozgarnięty. Matka uczyła go, czego mogła, czytała z nim osiemnastowiecznych pisarzy, Gibbona²⁹⁹, Hume'a³⁰⁰ i Newtona³⁰¹, i pozwoliła mu urządzić laboratorium w piwnicy.

Ileokroć wyczytał coś nowego, schodził do piwnicy i eksperymentował.

Mając dwanaście lat, potrzebował pieniędzy na książki i chemikalia; uzyskał koncesję na sprzedaż gazet w codziennym pociągu z Detroit do Port Huron. W Detroit była biblioteka publiczna; przeczytał ją.

Urządził w pociągu laboratorium i ileokroć wyczytał coś nowego, eksperymentował. Zmontował prasę drukarską i wydawał gazetę pod nazwą „Herald”, a kiedy wybuchła wojna secesyjna, zorganizował służbę informacyjną i zarabiał na wielkich bitwach. Aż upuścił pałeczkę fosforu, podpalił wagon i został przepędzony z pociągu.

Cieszył się już wówczas znacznym rozgłosem jako młodociany redaktor pierwszej gazety wydawanej w kursującym pociągu. Opisano go w londyńskim „Timesie”.

Nauczył się obsługiwać telegraf i dostał nocną pracę na stacji węzłowej Stratford w Kanadzie,

²⁹⁸ Zachodni Rezerwat (WesternReserve) – to północno-wschodnia część (około półtora miliona hektarów) stanu Ohio między miastami Youngstown a Sandusky, do której prawo zastrzegła sobie dawna kolonia Connecticut zrzekając się w 1786 roku na rzecz rządu nowo powstałych Stanów Zjednoczonych swoich roszczeń do części tzw. Terytorium Północno-Zachodniego (Northwest Territory), terenów powierzchni prawie 700 tysięcy kilometrów kwadratowych nad Wielkimi Jeziorami między rzekami Missisipi a Ohio (dzisiejsze stany Ohio, Indiana, Illinois, Michigan i Wisconsin), przekazanych w 1783 roku przez Wielką Brytanię Stanom. Do terenów tych na podstawie wcześniejszych nadań prawa miały oprócz Connecticut również dawne kolonie Wirginia, Nowy Jork i Massachusetts.

²⁹⁹ G i b b o n - to autor *Zmierzchu t upadku cesarstwa rzymskiego*.

³⁰⁰ Hume - to David Hume (1711-1776), szkocki filozof i historyk, czołowy przedstawiciel subiektywizmu, sceptycyzmu i agnostycyzmu w filozofii XVIII wieku. Jego najważniejszym dziełem filozoficznym jest *Traktat o naturze ludzkiej (A Treatise of Human Nature, 1737-1740)*. Jednakże, jak podają biografowie Edisona, tym, co matka czytała przyszłemu wynalazcy, było monumentalne dzieło historyczne Hume'a, *History of England (1754-1762)*.

³⁰¹ N e w t o n - to oczywiście sir Isaac Newton (1642-1727), wielki angielski fizyk i matematyk, odkrywca m.in. prawa ciężenia powszechnego i widma świetlnego, współtwórca rachunku różniczkowego i całkowego. Głównym jego dziełem są *Philosophiae naturalis principia mathematica (Pryncypia matematyczne filozofii naturalnej, 1687)*. Jakkolwiek matka Edisona miała za sobą roczny epizod pracy jako nauczycielka i wiadomo, że rozbudziła w dziesięcioletnim chłopcu zainteresowanie m.in. naukami ścisłymi, Dos Passos pozwala sobie na pewną dowolność każąc jej czytać synowi także Newtona. W rzeczywistości Edison odkrył *Pryncypia* jako piętnastolatek w Bibliotece Publicznej w Detroit. Był jednak całkowicie nie przygotowany do brnięcia przez „knieje matematyki”, jak to określił, i po zmuszonym ślęczeniu odrzucił książkę. „Pozostawiła mi ona niesmak do matematyki, z którego się nigdy nie otrząsnąłem” - oświadczył później. Był z usposobienia empirykiem i do końca życia zachował niechęć do

ale pewnego razu nie przestawił przed pociągiem towarowym zwrotnicy i musiał ruszać w świat.

(Podczas wojny secesyjnej każdy, kto umiał obsługiwać telegraf, mógł dostać pracę wszędzie).

Edison zjeździł pół kraju przyjmując i rzucając posady; zapuszczał się coraz dalej, pochłaniając wszystkie książki, jakie mu wpadły w ręce; ilekroć wyczytał o jakimś eksperymencie naukowym, powtarzał go; ilekroć dorwał się do jakiegoś mechanizmu, majstrował przy nim; ilekroć został sam przy telegrafie, próbował sztuczek z aparatem. Dlatego często tracił pracę i musiał ruszać w dalszą drogę.

Przewędrował jako telegrafista cały Środkowy Zachód: Detroit, Cincinnati, Indianapolis, Louisville, Nowy Orlean. I zawsze był bez centa, ubranie miał stale poplamione chemikaliami, wciąż próbował sztuczek z telegrafem.

Pracował w towarzystwie telegraficznym Western Union w Bostonie. Tutaj obmyślił swój pierwszy patent, automat do obliczania głosów w Kongresie; ale w Kongresie nie potrzebowali automatu do obliczania głosów; Edison pojechał do Waszyngtonu, pozaciągał długi i tyle mu z tego przyszło. Zaprojektował automat do zapisywania notowań na giełdzie, aparat alarmowy przeciw włamywaczom i spalił sobie całą skórę na twarzy kwasem azotowym.

Ale był jeszcze Nowy Jork, wielkie targowisko akcji, pomysłów, złota i dolarów.

(Ten fragment napisał Horatio Alger³⁰²):

Gdy Edison przybył do Nowego Jorku, nie miał centa przy duszy, tylko długi w Bostonie i Rochester. Było to w czasie, gdy za złoto płacono rekordowe ceny i Jay Gould³⁰³ próbował zmonopolizować rynek. Wall Street oszalała. Niejaki Law skonstruował elektryczny aparat pomysłu Callahana, podający ceny złota w biurach maklerskich. Edison w poszukiwaniu pracy, bez centa i bez

nauk abstrakcyjnych.

³⁰² Horatio Alger (1834-1899) - to autor 119 niesłychanie popularnych, moralizatorskich powieści dla chłopców. Syn unitariańskiego pastora z Massachusetts, Alger rzucił studia teologii na Uniwersytecie Harvarda i uciekł do Paryża, gdzie prowadził życie cygana. Skłoniony do powrotu, ukończył teologię i w 1866 został w Nowym Jorku kapelanem bursy dla gazeciarzy, której poświęcił resztę życia. Pierwszą książeczkę, *Ragged Dick (Dick szmaciarz)*, opublikował w 1867. Zapoczątkowała ona całą serię powiastek z imieniem Dick w tytule, po której nastąpiły liczne dalsze serie, takie jak *Luck and Pluck* (co można by przetłumaczyć *Fart i hart*), *Brave and Bold (Odważni i śmiali)* czy *Dare and Do Right (Waż się na to, co słuszne)*. W książeczkach tych opowiada Alger historie pucybutów czy gazeciarzy, którzy dzięki cnocie i wytrwałości, a także nieodmiennemu łutowi szczęścia osiągają powodzenie i zadowolenie w życiu. Alger pisał również dla młodzieży biografie historycznych bohaterów i modelowych ludzi sukcesu. Niektóre elementy biografii Edisona, które nadawały się do kreowania jego legendy, wykorzystał w kilku tomikach zapoczątkowanej w 1871 serii *Tattered Tom (Tom obdartus)*, noszących często imię wielkiego wynalazcy w tytule.

³⁰³ Jay (właściwie: Jason) Gould (1836-1893) - to jeden z najbezwzględniejszych i najbardziej zniechęconych rekinów finansowych drugiej połowy XIX wieku. Urodzony w biednej rodzinie farmerskiej w stanie Nowy Jork, pracował w młodości jako subiekt, kowal i geometra, później założył garbarnię i handlował skórą w Nowym Jorku. Jego wielka fortuna rozpoczęła się od skupywania akcji linii kolejowych a pomnażała na przemysłnych i oszukańczych spekulacjach nimi. W roku 1868, w zмовie z dwoma innymi nieuczciwymi spekulantami, Danielem Drew i Jamesem Fiskem, wszedł w posiadanie ważnej wschodniej linii kolejowej, Erie Railroad. Rozbudowywał następnie swoje imperium kolejowe, szczególnie przez opanowanie jednej z głównych linii transkontynentalnych, Union Pacific Railroad, i w rezultacie w 1881 władał większym kilometrażem połączeń kolejowych niż jakakolwiek inna osoba czy grupa osób. W tymże roku 1881 wszedł w posiadanie ogóln amerykańskiego towarzystwa telegraficznego, Western Union Telegraph Company, a w 1887 głównego nowojorskiego systemu kolei nadziemnych, Manhattan Elevated Railroad. Jego spekulacyjna taktyka, która mu przynosiła krociowe zyski, polegała w największym uproszczeniu na sztucznym wymuszaniu obniżki cen akcji i wykupywaniu ich, lub odwrotnie, na wymuszaniu ich zwyczajki i sprzedawaniu. Miał oczywiście również niepowodzenia, jednakże w spadku zostawił majątek, który szacowano na 77 milionów dolarów.

dachu nad głową, kręcił się koło techników w centralnym biurze, gdy w środku ruchliwego dnia, pośród gorączki nerwowych transakcji, z trzaskiem zepsuł się główny nadajnik; wszyscy potracili głowy. Edison podszedł, naprawił mechanizm i otrzymał posadę za trzysta dolarów miesięcznie.

W sześćdziesiątym dziewiątym, roku Czarnego Piątku³⁰⁴, założył do spółki z niejakim Pope'em firmę elektrotechniczną.

Odtąd pracował na swoim; skonstruował aparat do notowań giełdowych i wynalazek chwycił. Miał warsztat i laboratorium; ilekroć przyszedł mu do głowy pomysł jakiegoś urządzenia, eksperymentował. Na uniwersalnym Aparacie do Notowań Giełdowych zarobił czterdzieści tysięcy dolarów.

Wynajął warsztat w Newark i pracował nad telegrafem automatycznym i sposobami przekazywania jednocześnie dwu i czterech depesz po jednej linii.

W Newark majstrował z Sholesem³⁰⁵ przy pierwszej maszynie do pisania, wynalazł mimeograf, opornik węglowy, mikrotasymetr, pierwszy robił papier parafinowany.

Niepokoilo go coś, co nazywał siłą eteryczną; łamał sobie nad nią głowę, ale na falach Hertza zarobił nie on, lecz Marcom. Radio miało rozbić w puch dawny wszechświat. Radio miało uśmiercić Euklideskiego Bożka³⁰⁶, ale Edison nigdy nie był człowiekiem, który sobie zawracał głowę koncepcjami filozoficznymi; pracował dzień i noc, manewrując kółkami zębatymi, kawałkami drutu miedzianego i buteleczkami chemikaliów; ilekroć przyszedł mu do głowy pomysł jakiegoś urządzenia, eksperymentował. Mechanizmy zaczynały działać w jego rękach. Nie był matematykiem. Zawsze mogą zatrudnić matematyków, mawiał; natomiast matematycy nie mogą zatrudnić mnie.

³⁰⁴ Czarny Piątek (Black Friday) - to 24 września 1869 roku, dzień paniki na giełdzie nowojorskiej. Była ona wynikiem spekulacji Jaya Goulda i jego współnika Jamesa Fiska (1834-1872), którzy próbowali zmonopolizować handel złotem wykupując jego rezerwy. Złoto stanowiło wówczas, obok pieniędzy papierowych, środek płatniczy nieodzowny handlowcom do wywiązywania się ze zobowiązań. Wykupując rezerwy złota, spekulanci wywindowali jego cenę w ciągu kilku dni ze 137 punktów do 163,5 punkta. Równocześnie przez szwagra nowo wybranego prezydenta Ulyssesa Granta próbowali zapobiec uruchomieniu rządowych rezerw złota, argumentując obłudnie, że ich gra na zwyżkę jest w interesie farmerów zachodnich stanów, gdyż podniesie ceny uzyskiwane przez nich za płody rolne. Jednakże na zlecenie prezydenta sekretarz skarbu rzucił owego piątku na rynek złoto wartości 4 milionów, wskutek czego jego cena spadła gwałtownie, powodując ruinę wielu drobnych biznesmenów, którzy zakupili złoto lub podjęli zobowiązania jego zakupu po horrendalnych cenach. Gould, uprzedzony o akcji skarbu federalnego, nie informując współnika, zdążył po cichu wyprzedać w porę swoje zasoby złota i zarobił na spekulacji 11 milionów. Oszukany przez niego Fisk wyszedł na swoje nie wywiązując się z podjętych zobowiązań. Cała spekulacja była następnie przedmiotem dochodzeń kongresowych, które oczywiście do niczego konkretnego nie doprowadziły.

³⁰⁵ Christopher Latham Sholes (1819-1890) - to drukarz i wydawca gazet w stanie Wisconsin, a następnie poborca federalny portu Milwaukee nad jeziorem Michigan. Obdarzony zdolnościami konstruktorskimi, uzyskał w 1864 roku wraz ze współnikiem Samuelem Soule patent na maszynę do numerowania stron, a w 1868 wraz z tymże Soule i Carlosem Giddensem patent na maszynę do pisania. Nie mając pieniędzy na wdrożenie produkcji, sprzedali oni w 1871 za 12 tysięcy dolarów patent Towarzystwu Zbrojeniowemu Remingtona (Remington Arms Company), które wprowadziło maszyny do pisania na rynek pod swoją firmą. Sholes odwiedził ze swoim wynalazkiem Edisona w jego laboratorium w Newark i Edison przelotnie maszyną do pisania się zajmował.

³⁰⁶ Euklideskim Bożkiem nazywa Dos Passos przenośnie tradycyjną geometrię, opracowaną przez greckiego matematyka działającego w Aleksandrii, Euklidesa (ok. 365-ok. 300 p.n.e.), i służącą za podstawę nauczania w szkołach zachodniego świata przez przeszło dwa tysiące lat. Sygnały radiowe, wysłane po raz pierwszy w 1895 roku przez Wiocha Guglielmo Marconiego (1874-1937), które zapoczątkowały erę komunikacji radiowej, „rozbiły w puch dawny wszechświat”, a więc podważyły wyłączność istnienia widzialnego, namacalnego świata euklidesowej geometrii, gdyż wykorzystywały niewidzialne fale elektromagnetyczne, których istnienia dowiódł w 1886 niemiecki uczoney Heinrich Rudolf Hertz (1857-1894).

W tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym przeniósł się do Menlo Parku, gdzie skonstruował mikrofon węglowy, który umożliwił szersze zastosowanie telefonu; pracował dzień i noc i wynalazł fonograf, elektryczną lampę żarową i metody wytwarzania, rozrządu, regulacji i mierzenia prądu elektrycznego, kontakty, wyłączniki, izolatory, studzienki kablowe. Opracował pierwsze systemy oświetleniowe na prąd stały, lampy do małych pomieszczeń i szeregowo łąki świetlne, które instalowano w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku i w Sunbury w Pensylwanii, układ trójprzewodowy, magnetyczny separator rudy, kolej elektryczną.

W Urzędzie Patentowym mieli pełne ręce roboty z rejestrowaniem patentów i zastrzeżeń.

Chcąc znaleźć włókno, które by się żarzyło w lampie elektrycznej i nadawało do wykorzystania na skalę przemysłową, wypróbował różne gatunki papieru i tkanin, nici, żyłkę rybacką, fibrę, celulooid, bukszpan, łuskę orzechów kokosowych, świerk, hikorę, laur, wióry klonowe, drzewo różane, próchno, korek, len, bambus i włos z brody rudego Szkota; ilekroć przyszedł mu do głowy jakiś pomysł, eksperymentował.

W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym przeniósł się do olbrzymich laboratoriów w West Orange.

Skonstruował kruszarkę kamienia, fluoroskop, nawijaną taśmę do kamer filmowych, akumulator zasadowy, długi piec do wypalania cementu portlandzkiego, kinetofon, który był pierwszym kinem dźwiękowym, i domek z odlewów cementowych, które miały zapewnić tanie, estetyczne, znormalizowane, skanalizowane mieszkania robotnikom wieku elektryczności.

Thomas Alva Edison w wieku osiemdziesięciu dwu lat pracował szesnaście godzin na dobę; nigdy nie zaprzątał sobie głowy matematyką, ustrojem społecznym ani koncepcjami filozoficznymi; w porozumieniu z Henry Fordem i Harveyem Firestone'em³⁰⁷, którzy nigdy nie zaprząтали sobie głowy matematyką, ustrojem społecznym ani koncepcjami filozoficznymi, pracował szesnaście godzin na dobę szukając namiastki kauczuku; ilekroć wyczytał coś nowego, eksperymentował; ilekroć wpadł mu do głowy jakiś pomysł, szedł do laboratorium i rozpoczynał doświadczenia.

³⁰⁷ Harvey Samuel Firestone (1868-1938) - to przemysłowiec, jeden z twórców amerykańskiego przemysłu gumowego. Zaczynał karierę jako sprzedawca firmy produkującej powozy w Columbus w stanie Ohio i ich ogumione koła zwróciły jego uwagę na olbrzymie możliwości przemysłu gumowego. W 1896 założył fabrykę w Chicago, w 1900 przeniósł ją do Akron w stanie Ohio i już w 1906 Firestone Tire and Rubber Company (Towarzystwo Opon i Gumy Firestone'a) zaopatrywało w koła pełne i pneumatyczne znaczną część dynamicznie rozwijającego się przemysłu automobilowego. W 1923 Firestone wprowadził na rynek opony balonowe, które się wkrótce upowszechniły. W roku 1926 wydzierżawił ogromne tereny w Liberii i w ciągu następnego dziesięciolecia obsadził ponad 24 tysiące hektarów własnymi plantacjami kauczuku. Podczas pierwszej wojny światowej kierował z ramienia rządu przedstawieniem amerykańskiego przemysłu gumowego na potrzeby zbrojeniowe. Przyjaźnił się zarówno z pionierem przemysłu automobilowego Henrym Fordem (1863-1947), jak z Edisonem i prasa często opisywała wspólne wyprawy wypoczynkowe i krajoznawcze tej trójki.

OKO KAMERY (25)³⁰⁸

w owe wiosenne noce koła tramwajów skrzypią zgrzytają o szyny rozklekotane wozy łomocą zakręcają na Harvard Square pył wisi w miałkim blasku łukowych latarni przez całą noc do białego rana nie mogę zmrużyć oka

nie mam odwagi wyrwać się spod klosza

cztery lata pod narkozą oddychaj głęboko spokojnie

o właśnie tak bądź grzecznym chłopcem raz dwa trzy cztery pięć sześć możesz mieć celująco z niektórych przedmiotów ale nie bądź kujonem interesuj się literaturą ale pozostań dżentelmenem nie zadawaj się z Żydami ani socjalistami

przyjazne stosunki przydadzą ci się w Późniejszym Życiu więc mów wszystkim przyjaźnie Dzień dobry kiedy będziesz przechodził przez dziedziniec

ślęcz zapatrzonej w zmierzch czterech najpiękniejszych lat swego życia

stygnij od nadmiaru kultury jak filiżanka herbaty zapomniana między kadzielnicą a tomem Oscara Wilde'a letni i słabosilny jak czerwone wino rozcieńczone lemoniadą na koncercie popularnym w Filharmonii

przez cztery lata nie wiedziałem że mogę Michał Anioł robić co chcę rzucić

Marks

wszystkim

profesorom z małym Swiftem pobić Greenoughów³⁰⁹ na strzelnicy

lecz szamotałem się z piekącymi oczami przez całą wiosenną noc czytając Tragiczną historię doktora Faustusa³¹⁰ i odchodziłem od zmysłów nasłuchując skrzypienia zgrzytania kół tramwajowych łomotu rozklekotanych wozów zakręcających na Harvard Square dudnienia pociągów przemierzających słone bagna zawodzenia syren statków wypływających z błękitną flagą³¹¹ na maszynie i spiżowych orkiestr włókniarzy maszerujących ulicami Lawrence w stanie Massachusetts

byłem jak magdeburskie półkule³¹² ciśnienie zewnętrzne utrzymywało próżnię wewnątrz nie

³⁰⁸ Oko kamery (25) stanowi niejako podsumowanie czasu od września 1912 do czerwca 1916, kiedy Dos Passos studiował na Uniwersytecie Harvarda w Cambridge pod Bostonem. Obok studiów języków europejskich i literatury, był to w jego życiu okres wczesnych estetyzujących prób pisarskich. Z perspektywy czasu oceniał to jako nieautentyczne „życie pod kloszem”, wyrzucając sobie, że nie rozumiał, iż może pójść w ślady wielkich buntowników literackich jak Swift czy Rimbaud, artystycznych jak Michał Anioł czy społecznych jak Marks.

³⁰⁹ Chester Noyes Greenough (1874-1938) wykładał od roku 1910 na Uniwersytecie Harvarda gramatykę angielską. Był wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie, jednakże Dos Passos uważał go w okresie studiów za okropnego nudziarza i posłużył się jego nazwiskiem jako symbolem skostniałej, dogmatycznej nauki.

³¹⁰ *Tragiczna historia doktora Faustusa* (*The Tragical History of Doctor Faustus*) - to sztuka Christophera Marlowe'a (1564-1593), najwybitniejszego dramaturga elżbietańskiego przed W. Szekspirem. Wydana w 1604 roku, ale wystawiona według wszelkiego prawdopodobieństwa już w 1588, sztuka stanowi pierwszą artystycznie dojrzałą i psychologicznie pogłębioną wersję wielokrotnie potem powracającej w literaturze historii uczonego, który w pogoni za nieograniczoną potęgą zaprzedał duszę szatanowi.

³¹¹ Błękitna flaga z białym kwadratem pośrodku (po angielsku: blue peter), w zgodzie z Międzynarodowym Kodem Sygnałowym, wywieszana jest przez statek, który chce zasygnalizować gotowość do wyjścia z portu.

³¹² Magdeburskie półkule (niem. Magdeburger Halbkugeln) - to przyrząd skonstruowany przez niemieckiego fizyka, Ottona von Guericke (1602-1686), który w 1654 zapoczątkował historyczne pokazy przed cesarskim zgromadzeniem stanów w Regensburgu. Parę lat później przeprowadził swoją najbardziej sensacyjną demonstrację; zestawiając dwie szczelne mosiężne półkule i wypompowując z nich powietrze. Siła powstałej próżni była tak wielka, że 8 par koni nie zdołało półkul rozerwać; natomiast po wypuszczeniu do nich z powrotem powietrza, same się rozdzieliły. Podobnego

miałem odwagi

poderwać się wyjść na świeże powietrze powiedzieć im pocałujcie mnie wszyscy

Rimbaud

na księżycu

KRONIKA XVII

przed północą doszło do ataku pewnej liczby nieprzyjacielskich aeroplanów, które zrzuciły bomby trochę bez sensu na miejscowości pozbawione znaczenia wojskowego

KOLEJE NIE USTĄPIĄ O KROK

Będziemy zmuszeni odbyć tej rejs w niezbyt sprzyjających warunkach, oświadczył kapitan Deutschland Koenig po przebyciu dziewięćdziesięciu mil, mijając o 2.30 Wyspę Salomona. Wszystkie mijane parowce pozdrawiały statek rykiem syren.

Zrobiłeś ze mnie to, co chciałeś.

Możesz być z dzieła swego rad,

Coraz to niżej mnie spychałeś,

Aż duszę moja zatrzał jad

Sir Roger Casement³¹³ został powieszony dzisiaj o dziewiątej rano w więzieniu Pentonville.

U-BOOT³¹⁴ MIJA BEZ PRZESZKÓD PRZYŁĄDKI

dziewczęta kąpiące się w samych koszulkach sieją zgorzenie mleczarnia zamiast pierwszorzędnej kawiarni znajdzie pomieszczenie na molo sprawozdania wykazały poważny spadek plonów w Stanach wśród wiwatów Włosi znajdują gorące bułeczki pozostawione przez uciekających w pośpiechu Austriaków gigantyczna ściana wody runęła w dolinę profesor oświadczył, że Beethoven sprawia na nim wrażenie soczystego befsztyka

WIĘZIENNE CZARY ZMIENIAJĄ MIEJSKI ZŁOM W KOPALNIĘ ZŁOTA

DZIŚ WIECZOREM KSIĘŻYC PRZESŁONI SATURNA

BRACIA WALCZĄ W CIEMNOŚCIACH

³¹³ Sir Roger Casement (1864-1916) - to irlandzki patriota, bojownik o wyzwolenie Irlandii spod panowania angielskiego. W latach 1892-1903 był konsulem brytyjskim w kilku rejonach Afryki, po czym opracował dla Foreign Office raport o straszliwym traktowaniu ludności tubylczej w tzw. Wolnym Państwie Kongijskim, raport, który po udostępnieniu go prasie odbił srę szerokim echem na całym świecie. Poczynając od 1906 pełnił funkcje konsularne w kilku miastach Brazylii, gdzie z kolei wykrył brutalną eksploatację Indian w dorzeczu Putumayo, co doprowadziło do likwidacji winnego nieludzkim praktykom towarzystwa brytyjskiego, a Casementowi przyniosło w 1911 tytuł szlachecki. W 1913 wystąpił ze służby konsularnej i poświęcił się działalności na rzecz niepodległości Irlandii, zabiegając o poparcie najpierw w Ameryce, a po wybuchu wojny światowej w Niemczech, gdzie pozostał do roku 1916. Za jego staraniem Niemcy wysłali do Irlandii transport 20 tysięcy karabinów w celu uzbrojenia bojowników irlandzkich w przygotowywanej tzw. Rebelii Wielkanocnej (Easter Rebellion), Brytyjczycy jednak przechwycili transport, samego Casementa zaś ujęli 24 kwietnia, na trzy dni przed planowanym wybuchem rebelii, w momencie, gdy niemiecka łódź podwodna wysadziła go u wybrzeży Irlandii. Oskarżony o zdradę stanu, został pozbawiony szlachestwa, skazany na karę śmierci i niebawem powieszony.

³¹⁴ U-Boot (niem. skrót od: Unterseeboot) - łódź podwodna.

MAC

Rebelianci zajęli Juarez, Huerta zbiegł, parowce do Europy pełne były científicos kierujących się do Paryża, Venustiano Carranza³¹⁵ został prezydentem w Mexico City. Ktoś wystarał się Macowi o przepustkę do stolicy. Encarnacion płakała, gdy wyjeżdżał, anarchiści jak jeden mąż odprowadzili go na stację kolei Mexican Central. Mac chciał się przyłączyć do Zapaty³¹⁶. Nauczył się trochę hiszpańskiego od Encarnacion, nabrał mętnego pojęcia o polityce rewolucji. Pociąg włókł się pięć dni. Pięciokrotnie zatrzymywano go po drodze, bo brygady robocze reperowały zerwane tory. Niekiedy nocami przez okna wpadały kule. Koło Caballos wzdłuż całego pociągu przejechał konny oddział, wymachując wielkimi kapeluszami i strzelając. Obudzeni żołnierze, którzy jechali w wagonie służbowym, odpowiedzieli ogniem i konni odjechali w tumanie kurzu. Pasażerowie powłazili pod ławki, kiedy się rozpoczęła strzelanina, albo padli plackiem w przejściu. Po odparciu ataku jakaś starsza kobieta podniosła krzyk i okazało się, że jej dziecko ma przestrzeloną główkę. Matka była tęgą czarną kobietą w kwiecistej sukni. Chodziła tam i z powrotem po pociągu z małym zakrwawionym ciałkiem owiniętym w szal i szukała doktora, ale każdy od pierwszego rzutu oka widział, że dziecko nie żyje.

Mac myślał, że podróż nigdy się nie skończy. Kupował piekące potrawy i letnie piwo od starych Indianek na stacjach, próbował pić pulque³¹⁷ i prowadzić rozmowy z towarzyszami podróży. W końcu minęli Queretaro i pociąg jął się toczyć szybko w dół po długich zboczach, w chłodnym, czystym powietrzu. Potem z błękitu, za bezkresną płataniną pól agawowych, zaczęły się wyłaniać zarysy wielkich wulkanów i po chwili pociąg dudnił między parkanami ogrodów, wśród pierzastych drzew. W końcu zatrzymał się ze stukotem dobijających buforów i to było Mexico City.

Mac poczuł się zagubiony wędrując jaskrawymi ulicami, wśród cichego tłumu mężczyzn ubranych na biało i kobiet ubranych na czarno lub granatowo. Miasto sprawiało wrażenie spokojnego, pełnego pyłu, skąpanego w blasku słońca. Sklepy były otwarte, na ulicach dorożki, tramwaje, błyszczące limuzyny. Maca ogarnął niepokój. Zostało mu wszystkiego dwa dolary, po tylu dniach podróży nie bardzo pamiętał, co miał zamiar zrobić, gdy dojedzie do celu. Tęsknił do czystego

³¹⁵ Venustiano Carranza (1859-1920) - to liberalny polityk, który popierał Maderę. Po jego zamordowaniu w 1913 roku stanął na czele sił zwalczających uzurpatora Huertę w obronie konstytucyjnej praworządności, daleki był jednak od rewolucyjnego radykalizmu przywódców powstań ludowych, Zapaty i Villi. Po ustąpieniu Huerty stanął w sierpniu 1914 na czele rządu tymczasowego, jednakże już w listopadzie musiał uciekać ze stolicy. Powrócił rok później, po kilkakrotnym przechodzeniu Mexico City z rąk Zapaty i Villi w ręce popierającego go Obregona, jednakże na prezydenta został formalnie wybrany dopiero w roku 1917. Ogłosił pod naciskiem konstytucję przewidującą daleko idące reformy (częściową parcelację latyfundiów, nacjonalizację złóż ropy i kopaliny), która go postawiła w ostrym konflikcie z posiadaczami zarówno rodzimymi, jak zagranicznymi i w rezultacie nigdy nie została zrealizowana. Doprowadziło to do nowej rewolty, na czele której stanął mianowany dowódcą sił zbrojnych generał Obregon, i Carranza musiał się salwować ucieczką. Został zamordowany w okolicznościach podobnych do tych, o których wspomina dalej Dos Passos, jednakże miało to miejsce dopiero w roku 1920.

³¹⁶ Emiliano Zapata (ok. 1877-1919) - to niepiśmienny dzierżawca rolny niemal czystej krwi indiańskiej, który w 1910 roku pod hasłem „Ziemia i Wolność” poderwał do walki przeciwko dyktaturze Diaza armię Indian w stanie Morelos. Popierał Maderę, dopóki ten nie odstąpił od programu parcelacji latyfundiów i oddania ziemi peonom, następnie walczył przeciwko rządowi Huerty i Carranzy. Od roku 1911 pod jego faktyczną kontrolą pozostawała większa część południowego Meksyku, w latach 1914-1915 wspólnie z Villa trzykrotnie zajmował stolicę Mexico City. Po umocnieniu się przy władzy Carranzy wycofał się do rodzinnego stanu Morelos, gdzie stawiał opór, aż został zamordowany przez skrytobójcę na usługach rządu.

ubrania i kąpieli. Wałęsał się długo, aż spostrzegł lokal z szyldem Bar Amerykański. Nogi go bolały, usiadł przy stoliku. Zbliżył się kelner i zapytał po angielsku, co podać. Nic innego nie przyszło mu na myśl, więc zamówił kieliszek whisky. Wypił i siedział z głową opartą na rękach. Przy barze grała w kości o następną kolejkę gromada Amerykanów i kilku Meksykanów w olbrzymich kapeluszach. Mac zamówił jeszcze jedną whisky.

Koło baru kręcił się niezdecydowanie czerwonooki mężczyzna o byczym karku, w wymiętoszonej koszuli khaki. Jego wzrok padł na Maca i po chwili mężczyzna przysiadł się do stolika.

- Nie będziesz miał nic przeciw temu, kolego, jak się przysiądę? - zapytał. - Sukinsyny za bardzo hałasują. Te, sombrero! Gdzie jest ten cholerny kelner? Kufelek piwa. No, tom dzisiaj wyprawili starą z dzieciakami. A ty kiedy pryskasz z miasta?

- Ja? Właśnie przyjechałem - odrzekł Mac.

- Co ty? To nie miejsce dla białego. Te bandziory będą lada dzień w mieście. Zrobi się piekło, ja ci to mówię. Ani jeden biały nie zostanie przy życiu. No, ale ja tam paru załatwię, nim mnie stukną. Niech mnie szlag, jeśli nie będę miał na koncie dwudziestu pięciu, nie, dwudziestu czterech... - Wyciągnął z tylnej kieszeni colta, opróżnił magazynek w otwartą dłoń i zaczął liczyć naboje. - Osiem. - Zaczął z kolei przeszukiwać kieszenie i układać naboje jeden obok drugiego na stoliku z sosnowych desek. Znalazł tylko dwadzieścia. - Jakiś sukinsyn musiał mi rąbnąć.

Od baru podszedł wysoki długonogi mężczyzna i położył rękę czerwonookiemu na ramieniu.

- Schowaj to lepiej, Eustace, póki niepotrzebne. Wiesz, co robić, nie? - Zwrócił się do Maca: - Jak tylko się zacznie strzelanina, wszyscy obywatele amerykańscy zbierają się koło ambasady. Będziemy się bronić do ostatniego człowieka.

- Hej, duży, chodź, bo cię ominie kolejka - zawołał ktoś od baru i długonogi odszedł.

- Widzę, chłopcy, że się spodziewacie draki - powiedział Mac.

- Draki? Mój Boże! Ty zupełnie nie znasz kraju. Przyjechałeś niedawno?

- Dopiero co. Z Juarez.

- Zalewasz. Linia kolejowa jest zerwana pod Queretaro.

- Ano, widocznie ją zreperowali - odparł Mac. - Słuchaj, co tutaj mówią o Zapacie?

- Mój Boże, toż to najkrwawszy łotr z całej bandy. Upiekli jednego faceta, był majstrem w cukrowni w Morelos... Upiekli go na wolnym ogniu, żonę i córki zgwałcili na jego oczach. Mój Boże, kolego, ty nie masz pojęcia, co to za kraj! Wiesz, co powinniśmy zrobić... co byśmy zrobili, gdybyśmy mieli w Białym Domu mężczyznę, a nie trzęsącego portkami, mielącego językiem reformatora? Przysłałibyśmy stutysięczną armię i zaprowadzili porządek w tym kraju. To całkiem klawy kraj, ale co za element! Niewarci prochu i kul, żeby ich wystrzelać. Mówię ci, trzeba by ich

³¹⁷ Pulque (hiszp.) - sfermentowany napój z soku agaw meksykańskich, o lekkich właściwościach odurzających.

wykurzyć wszystkich jak robactwo. Każdy jeden sukinsyn Zapatę ma za skórą.

- A ty, bracie, czym się zajmujesz?

- Wiercę naftę. Siedzę w tej śmierdzącej dziurze od piętnastu lat, ale mam już dosyć. Mogłem się zabrać dzisiaj pociągiem do Veracruz, ale mam tu jeszcze koncesje i meble do opylenia. Człowiek nie wie, kiedy przerwą linię kolejową i nie będzie można się już stąd wydostać. Ten cały prezydent Wilson pozwoli nas tu wystrzelać jak kaczki. Gdyby w kraju wiedzieli, jakie tu panują stosunki... Mój Boże, staliśmy się pośmiewiskiem narodów... A ty, kolego, czym jesteś z zawodu?

- Drukarzem. Linotypistą.

- Szukasz zajęcia?

Mac wyjął z kieszeni dolara, żeby zapłacić.

- Ano, będę się musiał za czymś rozejrzeć - powiedział. - To mój przedostatni dolar.

- Idź do „Mexican Herald”. Oni tam stale potrzebują drukarzy z angielskim. Nie mogą nikogo dłużej utrzymać. To nie jest zdrowy kraj dla białego człowieka. Słuchaj, kolego, za te wódki ja zapłacę.

- No, to napijmy się jeszcze po jednym na mój koszt.

- Racja, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Wszystko i tak diabli wezmą, to niech się człowiek przynajmniej napije, póki może.

Wieczorem, zjadłszy skromną kolację w małej amerykańskiej jadłodajni, Mac postanowił się przejść dokoła alamedy³¹⁸. Chciał, żeby alkohol wywietrzał mu z głowy, nim pójdzie do redakcji „Mexican Herald” dowiedzieć się o posadę. Popracuje parę tygodni, mówił sobie, dopóki się nie zorientuje w sytuacji. Wysokie drzewa przy promenadzie, białe posągi, fontanny, wystrojone pary spacerujące w półmroku, dorożki turkoczące po bruku - wszystko to sprawiało wrażenie zupełnego spokoju. Tak samo szereg kamiennookich Indianek sprzedających owoce, orzechy oraz różowe, żółte i zielone cukierki na straganach wzdłuż chodnika. Mac zaczął podejrzewać, że mężczyzna w barze, zwiertzywszy frajera, zabawił się jego kosztem.

W „Heraldzie” rzeczywiście dostał pracę za trzydzieści dolarów meksykańskich tygodniowo, przekonał się jednak, że w drukarni panują takie same nastroje jak w barze. Późną nocą stary Polak amerykański, który był korektorem, wystarał mu się o kąt w małym hoteliku i pożyczył parę kółek do wypłaty.

- Bierz, ile się da, a conto - poradził. – Pewnego pięknego dnia wybuchnie rewolucja i diabli wezmą „Heralda”. Chyba że Wilson zdecyduje się na interwencję, i to diablo szybko.

- Ja tam się nie boję. Przyjechałem, żeby zobaczyć rewolucję - oświadczył Mac.

Stary Polak przyłożył palec do ust, potrząsnął jakoś dziwnie głową i odszedł.

³¹⁸ Alameda (hiszp., dosłownie: zagajnik topolowy) - zadrzewiony bulwar, promenada lub skwer.

Rano Mac obudził się w małym pokoiku o ścianach malowanych jaskrawożółtą farbą wapienną. Meble były niebieskie, firanki w oknie czerwone. Spoza firanek wyglądały długie żaluzje poliniowane żywym fioletem słońca, które znaczyło ciepłą ścieżkę na pościeli. Skądś dochodził śpiew kanarka i głośne pac-klap, pac-klap kobiety robiącej ciasto na tortille³¹⁹. Mac wstał i otworzył żaluzje. Niebo nad czerwonymi dachówkami domów było bez chmurki, ulica pusta i zalana słońcem. Wciągnął w płuca rzadkie chłodne powietrze. Stojąc w oknie czuł, jak słońce grzeje mu twarz, ramiona, szyję. Musi być wcześnie, pomyślał. Wrócił do łóżka i zasnął ponownie.

Kiedy kilka miesięcy później Wilson polecił Amerykanom opuścić Meksyk, Mac zajmował z dziewczyną imieniem Concha i dwoma białymi perskimi kotami mieszkanie na Plaza del Carmen. Concha była do niedawna stenotypistką i tłumaczką w amerykańskiej firmie, a ponadto przez trzy lata kochanką pewnego nafcjarza, tak że mówiła niezłe po angielsku. Nafcjarz wsiadł do pociągu do Veracruz podczas paniki po ucieczce Huerty, zostawiając Conchę na lodzie. Zapalała do Maca sympatią od chwili, gdy go ujrzała pewnego dnia, wchodzącego na pocztę. Dbała o niego bardzo, a kiedy wspominał o wstąpieniu do oddziałów Zapaty, śmiała się i mówiła, że peoni to ciemne dzikusy, którym jedynie bat może przemówić do rozumu. Jej matka, starsza kobieta w czarnym szalu wiecznie zarzuconym na głowę, przychodziła im gotować i Mac polubił meksykańską kuchnię, indyki w gęstym czekoladowobrunatnym sosie i enchilady³²⁰ z serem. Koty, Porfirio i Venustiano, spały zawsze w nogach ich łóżka. Concha była bardzo oszczędna, gospodarowała tygodniówką Maca znacznie lepiej niż on i nigdy nie robiła mu wymówek, jeśli sobie popił na mieście i wracał późno do domu, z bólem głowy od tequili³²¹. Zamiast pchać się do przeładowanych pociągów do Veracruz Mac wziął trochę zaoszczędzonych pieniędzy i nakupił mebli biurowych, które wyprzedawali za bezcen amerykańscy biznesmeni z obłądnym strachem w oczach. Ustawiał je w wielki stos na podwórku domu, w którym mieszkali. Na pomysł kupienia mebli pierwsza wpadła Concha i potem Mac dokuczał jej, że nigdy się nie pozbędą tych gratów, ale ona tylko kiwała głową i mówiła:

- Poczekaj trochę.

Concha bardzo lubiła, gdy w niedzielę zapraszał na obiad kolegów. Z gracją im usługiwała, posyłała swojego małego braciszka Antonia po piwo i koniak i zawsze miała w domu ciasteczka, jeśli ktoś wpadł niespodziewanie. Mac myślał sobie czasami, o ile to przyjemniejsze od pożycia z Maisie w San Diego, i coraz rzadziej przebąkiwał o wstąpieniu do oddziałów Zapaty.

Polski korektor, który się nazywał Korski, okazał się uchodźcą politycznym, socjalistą i człowiekiem dobrze poinformowanym. Mógł siedzieć przez całe popołudnie nad pół szklaneczką koniaku i rozprawiać o polityce europejskiej. Od załamania europejskich partii socjalistycznych na

³¹⁹Tortilla (hiszp.) - placek z mąki kukurydzianej.

³²⁰Enchilada (hiszp.) - zawijana tortilla z papryką.

³²¹Tequila (hiszp.) - wódka z soku agaw o tej samej nazwie.

początku wojny nie mieszał się już do niczego - odtąd będzie tylko widzem. Miał własną teorię, że cywilizacja i niezrównoważona dieta powodują upadek rasy ludzkiej.

Dalej był Ben Stowell, niezależny przedsiębiorca naftowy, który usiłował dobić interesu z rządem Carranzy i podjąć legalną eksploatację pewnych szybów. Był przeważnie golusieńki i Mac musiał mu często pożyczać pieniędzy, ale w rozmowach zawsze operował milionami. Uważał się za postępowca w sprawach politycznych i twierdził, że Zapata i Villa³²² to uczciwi ludzie. W dyskusji brał zawsze stronę przeciwną Korskemu i doprowadzał starego do szału swoją antyspołeczną postawą.

Mac chciał uzbierać trochę pieniędzy, żeby posłać Maisie na naukę dla dzieci. Czuł się jakoś lepiej, jeśli od czasu do czasu wysłał Rose paczkę z zabawkami. Często prowadzili we dwóch z Benem długie rozmowy na temat możliwości dorobienia się w Meksyku. Niekiedy Ben przyprawdzał grupkę młodych radykałów, którzy zawsze skłonni byli spędzić popołudnie na rozmowach o socjalizmie, na popijaniu i nauce angielskiego. Mac rzadko się odzywał, chyba że go rozeźlili - wówczas robił im wykład radykalnej doktryny wobblisowskiej. Dyskusje przecinała Concha, która wnosząc kolację kiwała głową i mówiła:

- Każdy biedak socjalista, a como no³²³? Ale niech się tylko wzbogaci, zaraz każdy bardzo capitalista.

Pewnej niedzieli Mac, Concha, kilku meksykańskich dziennikarzy oraz Ben Stowell ze swoją dziewczyną, Angustias, która była girlsą w Lirico, wybrali się tramwajem do Xochimilco³²⁴. Wynajęli łódź ze stołem osłoniętym markizą oraz Indianina, który woził ich na pych po ocienionych topolami kanałach, wśród bujnych pól kwiatowych i ogrodów warzywnych. Popijali pulque, mieli również butelkę whisky, a dziewczętom kupili naręcza kalii. Jeden z Meksykanów grał na gitarze i śpiewał.

³²² Francisco Villa (1877-1923), znany pod przydomkiem Pancho (z hiszp. pancho - brzuch, kałdun) z powodu swej charakterystycznej, pękatej sylwetki, to radykalny przywódca powstań peonów w ich walce o ziemię, który odegrał w północnym Meksyku podobną rolę jak Zapata w południowym. W latach 1910-1911 walczył na czele chłopskiej armii przeciwko dyktaturze Diaza na rzecz Madery, za rządów tego ostatniego służył pod generałem Huertą, który go skazał na śmierć za niesubordynację. Villa zbiegł, a po uzurpacyjnym przejęciu władzy przez Huertę walczył przeciwko niemu pod rozkazami Carranzy. W latach 1914-1915 wspólnie z Zapata trzykrotnie zajmował stolicę Mexico City. Gdy z kolei władzę objął Carranza, Villa stanął na czele rebelii przeciwko niemu i musiał walczyć z siłami rządowymi pod dowództwem generała Obregona. Licząc na wciągnięcie USA w wojnę z rządem Carranzy i skonsolidowanie sił powstańczych w ogólnonarodowym oporze, prowadził kampanię terroru przeciwko zniechęconym Amerykanom, której szczytowym punktem był napad w dniach 8 i 9 marca 1916 roku na przygraniczne amerykańskie miasteczko Columbus w stanie Nowy Meksyk, co pociągnęło za sobą śmierć 17 osób. Prezydent Wilson wysłał niezwłocznie 6 tysięcy żołnierzy pod dowództwem generała Johna Pershinga, późniejszego głównodowodzącego Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych w Europie, z zadaniem rozbicia oddziałów Villi. Wojska amerykańskie zapuściły się 600 kilometrów w głąb Meksyku, ale nieuchwytny Villa wciąż im się wymykał i wreszcie po 11 miesiącach Wilson zarządził odwrót. Rząd Carranzy protestował przeciwko interwencji, jednakże nie wypowiedział Stanom wojny, na którą liczył Villa. Po objęciu w 1920 roku władzy przez Obregona, Villa zaprzestał działalności rewolucyjnej, lecz mimo że żył spokojnie na rancho w stanie Durango, został w trzy lata później, tak jak Zapata, skrytobójczo zamordowany.

³²³ A como no? (hiszp.) - Czemuż by nie?

³²⁴ Xochimilco - to miejscowość w Dystrykcie Federalnym, niedaleko Mexico City. Tysiące turystów przyciąga tu XVI-wieczny kościół San Bernardino, malownicze kanały, a przede wszystkim sławne ogrody pływające na jeziorze Xochimilco. Urządzili je Aztekowie i inni Indianie, którzy umieścili na jeziorze wielkie tratwy, nawieźli na nie ziemię, obsadzili je kwiatami i warzywami. Z czasem tratwy zakorzeniły się w płytkim jeziorze i przeobraziły w wyspy, zamieniając jezioro w labirynt kanałów.

Po południu, wioząc ich z powrotem, Indianin przybił do ustronnej przystani i wszyscy rozeszli się parami po lesie. Mac, w przystępie nostalgii, jął się rozwodzić przed Conchą o dzieciach, które zostawił w Stanach, szczególnie o Rose, a Concha zalewając się łzami odrzekła, że przepada za dziećmi, ale mając siedemnaście lat bardzo, bardzo chorowała, wszyscy myśleli, że umrze, i już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, tylko Porfina i Venustiana. Mac począł ją całować i obiecał, że może zawsze liczyć na jego opiekę.

Kiedy wysiedli z tramwaju, obładowani kwiatami, Mac i Ben kazali dziewczętom wracać do domu, a sami wstąpili do knajpy na jednego. Ben oznajmił, że ma już tego wszystkiego po dziurki w nosie, że chciałby się dorobić, wrócić do Stanów, ożenić się, założyć dom i rodzinę.

- Nie rozumiesz, Mac? Mam już czterdziestkę na karku. Chryste, człowiek nie może przez całe życie objąć się po świecie.

- I mnie już niewiele brakuje do czterdziestki - powiedział Mac.

Potem prawie się nie odzywali, ale Ben odprowadził Maca aż do redakcji „Heralda”, po czym zawrócił do miasta, bo miał się spotkać z paroma przyjezdnymi nafcierzami w hotelu Iturbide.

- Prawdę mówiąc, wcale nie najgorzej się człowiekowi żyje - powiedział podnosząc dłoń na pożegnanie. – Tylko nie można się rozklejać.

Odwrócił się i odszedł, krępy, o byczym karku i pałkowatych nogach. Parę dni później zjawił się na Plaza del Carmen, nim Mac zdążył wstać z łóżka.

- Mac, przyjdź, zjemy razem lunch - powiedział. - Przyjechał jeden gość, G.H. Barrow się nazywa. Trzeba mu trochę pokazać miasto, może nam się przydać. W każdym razie chciałbym wybadać, czego facet szuka.

G.H. Barrow zamierzał pisać artykuły o sytuacji w Meksyku i podobno miał powiązania z AFL. Przy lunchu wypytywał trwożnie, czy można bez obawy pić wodę i czy bezpiecznie jest wychodzić po zapadnięciu zmroku na ulicę. Ben Stowell zadrwił z niego, opowiadając historyjkę o generałach, którzy wpadli całą paczką do baru i zaczęli strzelać w podłogę, zmuszając klientów do tańczenia, a później urządzili z lokalu strzelnicę.

- W ogóle to strzelnicą nazywają tutaj parlament - dorzucił Mac.

Barrow powiedział, że wybiera się na mityng Union Nacional de Trabajadores³²⁵ i czyby nie poszli z nim tłumaczyć. Mac miał akurat wolny dzień, więc się zgodził. Barrow wyjaśnił, że polecono mu nawiązać kontakty z godnymi zaufania elementami robotniczymi w Meksyku, w nadziei wciągnięcia ich do Panamerykańskiej Federacji Pracy. Jeśli coś się zacznie wykluwać, przyjedzie sam Gompers³²⁶, oznajmił. Opowiedział im, że był konduktorem wagonów sypialnych, działaczem

³²⁵ Union Nacional de Trabajadores (hiszp.) - Narodowy Związek Robotników.

³²⁶ Samuel Gompers (1850-1924) - to jeden z twórców i długoletni przewodniczący AFL. Urodzony w Londynie, przyjechał z rodzicami do USA w wieku 13 lat. Przerwał formalną naukę po czterech latach szkoły podstawowej, by zostać czeladnikiem w wytwórni cygar w robotniczej dzielnicy Londynu, i po przybyciu do Nowego Jorku uprawiał przez ćwierć wieku zawód cygarownika. Karierę związkową rozpoczął w 1864 roku od wstąpienia do Międzynarodowego Związku

Bractwa Kolarzy, a obecnie pracuje w AFL. Wyraził ubolewanie, że robotnicy amerykańscy nie mają pojęcia o sztuce życia. Był na zjazdach Drugiej Międzynarodówki³²⁷ w Amsterdamie i uważał, że gdzie jak gdzie, ale w Europie robotnicy rozumieją się na sztuce życia. Na pytanie Maca, czemu, u licha, Druga Międzynarodówka nie zrobiła czegoś w celu zapobieżenia wojnie światowej, odrzekł, że nie czas jeszcze na to, i zaczął się rozwódzić o niemieckich okrucieństwach.

- Niemieckie okrucieństwa to historyjki ze szkółki niedzielnej w porównaniu z tym, co jest na porządku dziennym w Meksyku - powiedział Ben.

Teraz Barrow zapytał, czy to prawda, że Meksykanie są tacy niemoralni, jak się mówi. Piwo, które pili po lunchu, było mocne i wszyscy się już trochę rozkrochmalili. Barrow chciał wiedzieć, czy bardzo niebezpiecznie jest się tutaj wypuścić na dziewczynki, rozumieją, że względu na wysoki procent zarażenia syfilisem. Mac powiedział, że faktycznie, nie najbezpieczniej, ale że mogą z Benem zaprowadzić go w pewne miejsce, jeśli będzie chciał. Barrow chichotał i widać było, że jest zakłopotany, ale odparł, że i owszem, chętnie się wybierze.

- Kiedy się bada warunki, trzeba poznawać życie od wszystkich stron - oświadczył.

Na to Ben Stowell trzepnął dłonią o brzeg stołu i powiedział, że Mac jest właśnie człowiekiem, który może mu pokazać miasto od tej odwrotnej strony.

Poszli na mityng, gdzie zastali tłum szczupłych czarnych mężczyzn w granatowych drelichach. Z początku nie mogli się w ogóle dostać do sali z powodu ciżby blokującej przejścia i drzwi, ale Mac spotkał znajomego działacza, który usadowił ich w łoży. Sala była duszna, grała orkiestra, śpiewano i mowy wlokły się w nieskończoność. W końcu Barrow powiedział, że słuchanie obcej mowy działa na niego usypiająco, i zaproponował spacer po mieście; słyszał, że dzielnica

Cygarników (Cigar Makers' International Union) i stopniowo stawał się jednym z czołowych bojowników o ogólnokrajową organizację zrzeszającą branżowe związki zawodowe. Pierwsza taka organizacja z nim jako przewodniczącym powstała w 1881, a w 1886 została przemianowana na AFL, której przewodniczącym Gompers był wybierany corocznie aż do śmierci (z wyjątkiem roku 1895). Przez całe życie prowadził politykę ograniczania działalności AFL do polubownych zabiegów o ustępstwa pracodawców oraz wywierania pokojowych nacisków na Kongres USA i legislatury stanowe o wdrażanie ustawodawstwa pracy, natomiast zwalczał związki zawodowe optujące za radykalniejszymi metodami walki o prawa robotników. Po przystąpieniu USA do wojny europejskiej został przez prezydenta Wilsona powołany na przewodniczącego Wojennego Komitetu Pracy (War Committee of Labor) oraz członka Komisji Doradczej przy Radzie Obrony Narodowej (Advisory Commission to the Council of National Defense) i prowadził agitację w celu mobilizowania robotników do udziału w wysiłku wojennym. W 1918 objeżdżał Europę jako przywódca związkowy przyjmowany z honorami przez przedstawicieli rządów, a z jawną wrogością przez masy robotnicze. Na konferencji pokojowej w Wersalu pełnił funkcję przewodniczącego Komisji do spraw Międzynarodowego Ustawodawstwa Pracy (Commission of International Labor Legislation).

³²⁷ Druga Międzynarodówka (The Second International) została powołana do życia w Paryżu w roku 1889, w setną rocznicę Wielkiej Rewolucji Francuskiej, przez radykalne partie Austrii, Belgii, Danii, Francji, Hiszpanii, Niemiec, Szwajcarii i Szwecji. Zajął miejsce Pierwszej Międzynarodówki, która się ostatecznie rozpadła w 1876 wskutek konfliktu co do metod działania między koncepcjami socjalisty Karola Marksa a anarchistów Josephs Proudhona i Michaila Bakunina. Druga Międzynarodówka powołała w 1900 w Brukseli ciało koordynacyjne pod nazwą Międzynarodowe Biuro Socjalistyczne (International Socialist Bureau) i odbyła do wybuchu pierwszej wojny światowej dziewięć zjazdów w nieregularnych odstępach czasu. W 1896 na zjeździe w Londynie usunięto z Międzynarodówki anarchistów i odtąd głos decydujący mieli w organizacji marksiści, głównie niemieccy. Jakkolwiek część z nich (pod przewodnictwem Karla Kautsky'ego) wyznawała nadal rewolucyjne teorie Marksa, druga część (także w innych krajach) przeszła na pozycje zabiegania o ewolucyjne reformy społeczne w ramach istniejących instytucji państwowych i we współpracy z partiami niemarksistowskimi. Socjaliści prowadzili konsekwentną działalność dla zapobieżenia wojnie, jednakże okazali się bezsilni wobec narastających nacjonalizmów. Po wybuchu wojny, która oznaczała koniec Drugiej Międzynarodówki, przynależność narodowa okazywała się zwykle silniejsza niż zaangażowanie klasowe i większość socjalistów zaczęła popierać wysiłek wojenny swoich rządów.

czerwonych świateł jest... Rozumieją, interesuje się warunkami.

Wychodząc z sali natknęli się na Enrique Salvadora, dziennikarza, znajomego Bena. Salvador miał automobil z szoferem. Ścisnął im dłonie, śmiał się. Powiedział, że auto jest własnością jego przyjaciela, komendanta policji, i czyby się nie chcieli przejechać do San Angel? Pojechali długą aleją przez Chapultepec, Pola Elizejskie Meksyku, jak się wyraził Salvador. Koło Tacubaya pokazał im miejsce, gdzie oddziały Carranzy stoczyły przed tygodniem potyczkę z zapatystami, oraz róg, na którym bandyci zamordowali bogatego kupca tekstylnego. G.H. Barrow pytał co chwila, czy to aby bezpiecznie wyjeżdżać tak daleko za miasto, na co Salvador mówił:

- Jestem dziennikarzem. Dziennikarz jest ze wszystkimi w przyjaźni.

W San Angel wypili parę kieliszków i wrócili do miasta obejrzeć dzielnicę Pajantos. G.H. Barrow przycichł i oczy mu się zaszklily, kiedy zobaczył małe oświetlone celki, każdą z łóżkiem, kilkoma papierowymi kwiatami i krucyfiksem widocznym przez otwarte drzwi ozdobione czerwoną lub niebieską firaneczką, i apatyczne śniade dziewczyny indiańskie w krótkich koszulkach stojące przed drzwiami lub siedzące na progu.

- Widzisz - powiedział Ben Stowell - to proste jak drut. Ale radziłbym tutaj uważać. Salvador pokaże nam po kolacji lepszą melinę. Powinien je znać jako przyjaciel komendanta policji. Bo komendant policji prowadzi większość domów w mieście.

Ale Barrow chciał koniecznie wejść do środka, więc wysiedli porozmawiać z którąś z dziewczyn. Salvador posłał tymczasem szofera po parę butelek piwa. Dziewczyna przyjęła ich bardzo uprzejmie. Barrow usiłował zadawać jej przez Maca pytania, Macowi nie podobała się jednak ta indagacja, więc musiał tłumaczyć Salvador.

Dziewczyna się oburzyła, kiedy Barrow położył jej rękę na ramieniu i zaczął ściągać koszulkę, pytając, ile chce za pokazanie mu się nago. Wyrwała się, zaczęła krzyczeć, wymyślać i Salvador nie chciał przetłumaczyć, co mówi.

- Zabierajmy tego sukinsyna, póki czas - powiedział Ben po cichu do Maca. - Wpakuje nas jeszcze w jaką kabałę.

Przed kolacją wstąpili na jednego do małego baru, gdzie nie podawano nic prócz tequili z pokostowanych beczulek. Salvador pokazał G.H. Barrowowi, jak się pije tequile - nasypuje się szczyptę soli w zagłębienie między kciukiem a palcem wskazującym, wychyla kieliszek, zlizuje sól i na zakończenie zagryza sosem paprykowym - ale Barrow nie wypił tak jak trzeba i zakrztusił się.

Przy kolacji byli już pod dobrą datą i G.H. Barrow powtarzał w kółko, że kto jak kto, ale Meksykanie znają się na sztuce życia. Była to woda na młyn Salvadora, który zaczął się rozwodzić o geniuszu indiańskim i geniuszu łacińskim i powiedział, że Mac i Ben to jedyni gringos, z którymi można dojść do ładu. Uparł się, żeby nie płacili za kolację - każe ją zapisać na rachunek swojego przyjaciela, komendanta policji. Następnie pojechali do knajpy koło jakiegoś teatrzyku, gdzie miały

być francuskie dziewczynki, których jednak nie zastali. Było natomiast trzech starych muzykantów grających na wiolonczeli, skrzypcach i pikulmie. Salvador kazał im grać La Adelitę, potem La Cucaracbę i wszyscy śpiewali. Jakiś starszy jegomość w szerokoskrzydłym kapeluszu i z wielką wyglansowaną kaburą na siedzeniu dopił na ich widok szklankę i czym prędzej wyniósł się z knajpy. Salvador szepnął Macowi, że to generał Gonzales i że wyszedł, żeby go kto nie zobaczył pijącego w towarzystwie gringos.

Ben i Barrow, usiadłszy przy stoliku w kącie, rozmawiali z pochylonymi głowami o interesach naftowych. Barrow oznajmił, że niedługo przyjedzie ktoś reprezentujący pewne spółki naftowe; lada dzień powinien być w hotelu Regis. Ben odparł, że bardzo chciałby go poznać, na co Barrow objął go ramieniem i powiedział, że może być spokojny, jest człowiekiem, z którym ten pan na pewno będzie chciał nawiązać kontakt, bo bardzo mu zależy na uzyskaniu z pierwszej ręki wiadomości o miejscowych stosunkach. Tymczasem Mac i Salvador tańczyli z dziewczętami kubański danzon³²⁸. W końcu Barrow podniósł się trochę niepewnie i powiedział, że ani myśli czekać dłużej na te Francuzki, mogą przecież wrócić tam, gdzie byli, i spróbować ciemnego mięska. Ale Salvador uparł się, że ich zaprowadzi do domu Remedios koło ambasady amerykańskiej.

- Quelque cosa de chic³²⁹ - powtarzał łamaną francuszczyzną.

Był to wielki dom z marmurowymi schodami, pełen kryształowych kandelabrow, łośosiowych brokatowych draperii, koronkowych firanek i luster.

- Personne que les generales vieng aqui³³⁰ - powiedział przedstawiając ich burdelmamie, czarnookiej, siwowłosej kobiecie w czarnej sukni i czarnym szalu, która wyglądała bardziej na zakonnice.

Tylko jedna dziewczyna była wolna, więc zostawili ją Barrowowi, uzgodnili cenę i poszli.

- Uff, co za ulga - powiedział Ben na ulicy.

Powietrze było chłodne, niebo całe rozgwieżdżone.

Salvador, który wychodząc z knajpy wpakował na tylne siedzenie auta trzech starych muzykantów, oświadczył, że jest w romantycznym nastroju i chce urządzić swojej novia³³¹ serenadę. Jak szaleńcy popędzili po szerokiej grobli w stronę Guadalupe. Instrumenty pobrzękiwały fałszywie, a Mac, szofer, Ben, Salvador, nawet trzej starzy muzykanci, wszyscy zawodzili La Adelitę. W Guadalupe zatrzymali się pod kępą platanów koło domu z zakratowanymi oknami i odśpiewali Cielito Undo³³², La Adelitę i Cuatro milpas³³³. Potem Ben i Mac zaśpiewali *Nie puszczaj niebogi w mglistą, rosistą noc* i właśnie zaczęli *Nie chowajcie mnie na prerii, wierni towarzysze*, kiedy w

³²⁸ Danzon (hiszp.) - taniec ludowy wywodzący się z Kuby.

³²⁹ Quelque... (mieszanka francuskiego i hiszpańskiego) - Coś szykownego.

³³⁰ Personne... (mieszanka francuskiego i hiszpańskiego) - Tylko generałowie tu przychodzą.

³³¹ Novia (hiszp.) - ukochana, narzeczona.

³³² Cielito Undo (hiszp.) - *Śliczny taniec*. Cielito to taniec z okolic Rio de la Plata, pochodzący od angielskiej wersji kontredansa.

³³³ Cuatro milpas (hiszp.) - *Cztery zagony kukurydzy*.

oknie ukazała się dziewczyna i długo, szeptem tłumaczyła coś po hiszpańsku Salvadorowi.

- Elle dit que nous robimy escandalo i mamy sobie iść. Tres chic³³⁴.

Równocześnie nadciągnął patrol wojskowy i byłby ich aresztował, gdyby nie pojawienie się oficera, który znał Salvadora i auto komendanta policji, i zaprosił ich do swojej kwatery na kieliszek. Wrócili do domu Maca bardzo pijani. Concha, z twarzą poszarzałą od długiego czekania, rozłożyła Benowi materac w jadalni i nim poszli spać, Ben powiedział:

- Słowo daję, Concha, jesteś równa dziewczyna. Jak się dorobię, kupię ci najpiękniejsze kolczyki z brylantami w całym Dystrykcie Federalnym.

Po raz ostatni tego wieczoru widzieli Salvadora, jak stał na przednim siedzeniu zakręcającego na dwu kołach auta i zamaszystymi ruchami kapelmistrza dyrygował La Adelitą w wykonaniu trzech starych muzykantów.

Przed Bożym Narodzeniem Ben Stowell wrócił podniesiony na duchu z wyprawy do Tamaulipas. Jego sprawy zaczynały się układać. Wszedł w porozumienie z pewnym generałem z okolic Tampico co do eksploatacji szybu na zasadzie równego podziału zysków. Przez Salvadora zaprzyjaźnił się z kilkoma członkami gabinetu Carranzy i liczył, że dobije interesu z wielkimi koncesjonariuszami ze Stanów. Miał pod dostatkiem pieniędzy, mieszkał w hotelu Regis. Pewnego dnia odszukał Maca w drukarni i wywołał go na ulicę.

- Słuchaj, Mac - powiedział - mam dla ciebie propozycję. Znasz księgarnię starego Worthingtona? Otóż upiłem się wczoraj wieczorem i kupiłem ją za dwa tysiące pesos... Bo stary zwija żagle i wraca do swojego kochanego Albionu.

- Rany, co ty gadasz!

- Prawdę mówiąc, to mi nawet na rękę, że się go pozbędę.

- Ty dziwkarzu jeden! Ostrzysz sobie zęby na Lisę.

- Och, może ona też jest zadowolona, że się go pozbędzie.

- W każdym razie klasa dziewczyna.

- Mam kupę wiadomości, ale to na później. Może zdrowiej będzie trzymać się z daleka od „Heralda”... Chcę ci coś zaproponować, Mac. Bóg mi świadkiem, diablo dużo ci zawdzięczam. Pamiętasz ten stos mebli biurowych, które Concha kazała ci wtedy kupić?

Mac kiwnął głową.

- Wziąłbym je od ciebie, a dał ci połowę udziału w księgarni. Otwieram biuro. Znasz się przecież na księgarstwie, sam mi kiedyś mówiłeś. Przez pierwszy rok zyski będą twoje, a potem dzielimy się pół na pół, kapujesz? Będziesz miał z tego niezły zarobek, zobaczysz. Jak ten stary idiota Worthington żył z tego i utrzymywał Lisę na dodatek... Co, umowa stoi?

- Rany Jezusa, daj mi się namyślić, Ben... Muszę już wracać do mojego szmatławca.

³³⁴ Elie dit... (mieszanka francuskiego i hiszpańskiego) - Ona mówi, że robimy skandal... Bardzo szykowna.

W ten sposób Mac został współwłaścicielem księgarni na Calle Independencia, z dodatkowym działem piśmiennym i kilkoma maszynami do pisania na składzie. Czuł się byczo, po raz pierwszy w życiu na swoim. Concha, córka sklepikarza, była równie zachwycona. Prowadziła księgi, załatwiała klientów, tak że Macowi nie pozostawało nic innego jak siedzieć za sklepem, czytać, rozmawiać z przyjaciółmi. Przed Bożym Narodzeniem Ben i Lisa, wysoka Hiszpanka o cerze białej jak kamelia i hebanowych włosach, która podobno była kiedyś tancerką w Maladze, urządzali jedno po drugim przyjęcia w mieszkaniu z łazienką i kuchnią w stylu amerykańskim, które Ben wynajął w nowej dzielnicy koło Chapultepec. W dniu, kiedy Asociacion de Publicistas³³⁵ wydawała doroczny bankiet, Ben wpadł do księgarni w świetnym humorze i powiedział, żeby Mac przyszedł z Conchą na kolację i czyby Concha nie mogła przyprowadzić paru przyjaciółek, ładnych dziewcząt o dobrych manierach, tylko nie za bardzo nietykalnych, już ona będzie wiedziała. Urządzają przyjęcie dla G.H. Barrowa, który właśnie wrócił z Veracruz, i pewnego ważnego jegomościa z Nowego Jorku, który coś montuje, Ben jeszcze nie wie co. Dość że facet był wczoraj u Carranzy, a dziś na bankiecie wszyscy leżeli przed nim plackiem.

- Jezuniu, Mac, szkoda, że cię nie było na tym bankiecie. Wzięli tramwaj, wstawili stół na całą długość, posadzili orkiestrę i wozili nas do San Angel i z powrotem, a potem po mieście.

- Widziałem, jak wyjeżdżaliście - powiedział Mac. - Jak na mój gust, za bardzo to przypominało pogrzeb.

- Ale było fajnie. Był Salvador i w ogóle wszyscy. Tylko Moorehouse, ten ważniak z Nowego Jorku, siedział jak na rozżarzonych węglach. Miał taką minę, jakby się spodziewał, że za chwilę cały wóz wyleci w powietrze. I jak się tak zastanowić, cholernie by się przysłużyła Meksykowi taka bombka gdzieś pod ławką. Diabli by wzięli najgorszych drani w całym mieście.

Przyjęcie u Bena nie bardzo się udało. J. Ward Moorehouse, wbrew przewidywaniom Bena, wcale się nie palił do dziewcząt. Przyprowadził ze sobą sekretarkę, zmęczoną blondynkę, i obydwójce wyglądali, jakby mieli duszę na ramieniu. Zjedli meksykańską kolację z szampanem i dużą ilością koniaku, gramofon grał melodie Victora Herberta i Irvinga Berlina, a potem uliczna orkiestra zwabiona zbiegowiskiem grała przed domem meksykańskie melodie. Po kolacji w mieszkaniu zaczęło się robić hałaśliwie, więc Ben i Moorehouse wynieśli krzesła na taras i przy cygarach rozmawiali długo o sytuacji w przemyśle naftowym. J. Ward Moorehouse wyjaśnił, że przyjechał najzupełniej nieoficjalnie, chyba Ben rozumie, żeby nawiązać kontakty, zorientować się w sytuacji i wy badać, co się kryje za upartą niechęcią Carranzy do amerykańskich inwestorów, bo przecież ludziom wielkiego interesu, z którymi utrzymuje stosunki w Stanach, na niczym tak nie zależy jak na uczciwej grze i że gdyby tylko można dokładniej przedstawić ich punkt widzenia przez jakiś ośrodek informacyjny albo dzięki życzliwej współpracy meksykańskich dziennikarzy...

³³⁵ Asociacion de Publicistas (hiszp.) - Stowarzyszenie Dziennikarzy.

Ben poszedł do jadalni i wywołał Enrique Salvadora i Maca. Zaczęli rozważać sprawę i J. Ward Moorehouse powiedział, że jako dawny dziennikarz w pełni rozumie położenie prasy, które w Mexico City jest bez wątpienia dość podobne jak w Chicago czy Pittsburghu, że wszędzie dziennikarze pragną uczciwie i w duchu przyjaznej współpracy nadawać właściwe znaczenie każdemu nowemu aspektowi sytuacji, ale że jego zdaniem meksykańska prasa jest mylnie informowana o stanowisku amerykańskich biznesmenów, tak samo jak amerykańska prasa jest mylnie informowana o stanowisku meksykańskich polityków. Jeśli pan Enrique zechciałby kiedyś wpaść do hotelu Regis, to on, Moorehouse, byłby zachwycony mogąc z nim omówić sprawę bardziej wyczerpująco, zresztą z każdym z panów, a gdyby go przypadkiem nie było, bo rozumieją, ma nawal rozmaitych spotkań, a może zostać tylko parę dni w stolicy Meksyku, to jego sekretarka, panna Williams, jest w każdej chwili gotowa udzielić im potrzebnych informacji i udostępnić specjalnie opracowane, ściśle poufne komunikaty dotyczące zapatrywań kilku wielkich amerykańskich korporacji, z którymi utrzymuje absolutnie nieformalne kontakty. Następnie oświadczył, że bardzo mu przykro, ale czekają na niego telegramy, wobec czego Salvador wsadził go wraz z sekretarką, panną Williams, do auta komendanta policji i odwiózł do hotelu.

- Rany, Ben, ale to gładki bubek - powiedział Mac do Bena, kiedy J. Ward Moorehouse wyszedł.

- Mac - odrzekł Ben - ten chłoptaş pływa w milionach jak pączek w maśle. Jezuniu, żeby to człowiek mógł nawiązać chociaż część tych kontaktów, o których opowiada... Jak Boga kocham, jeszcze do tego doprowadzę. Miej na oku swojego kumpla, Mac. Od tej pory zaczynam kombinować z grubymi rybami.

Potem zabawa nie była już taka dystygowana. Ben wyciągnął jeszcze dużo koniaku i mężczyźni zaczęli wychodzić z dziewczętami do sypialni, do hallu, nawet do kuchni i do spiżarni. Barrow przypiął się do blondynki imieniem Nadia, która była pół-Angielką, i opowiadał jej przez cały wieczór o sztuce życia. Kiedy wszyscy się rozeszli, Ben znalazł ich zamkniętych w swojej sypialni.

Z czasem Mac polubił żywot właściciela sklepu. Wstawał, kiedy miał chęć, i szedł spacerkiem zalany słońcem ulicami, koło katedry i frontonu Pałacu Narodowego, a potem w górę Calle Independencia, gdzie chodniki były świeżo skropione wodą i gdzie wiał poranny wietrzyk, niosąc słodką woń kwiatów i palonej kawy. Doszedłszy zastawał już żaluzje odsunięte przez małego braciszka Conchy, Antonia, który z kolei zamykał sklep. Siadał z tyłu i czytał albo objął się po sklepie gawędząc z klientami po angielsku i po hiszpańsku. Nie sprzedawał dużo książek, ale trzymał wszystkie możliwe gazety i pisma amerykańskie i europejskie, które szły dobrze, szczególnie „Police Gazette” i „La Vie Parisienne”. Otworzył konto w banku i miał zamiar wziąć przedstawicielstwo jakichś maszyn do pisania. Salvador ciągle obiecywał, że wystara mu się o kontrakt na zaopatrzenie

w materiały piśmienne któregoś z ministerstw, co go uczyni bogatym człowiekiem.

Pewnego ranka zobaczył gęsty tłum na placu przed Pałacem Narodowym. Wszedł do jednego z barów pod arkadami i zamówił piwo. Kelner poinformował go, że oddziały Carranzy oddały Torreon i że Villa i Zapata zbliżają się do Dystryktu Federalnego. Nim doszedł do księgarni, po ulicach krążyła wieść, że rząd Carranzy uciekł, a rewolucjoniści będą przed wieczorem w mieście. Kupcy zaczęli zamykać sklepy. Przybiegła Concha i jej matka z płaczem, że to będzie gorsze niż ten straszny tydzień po upadku Madery, że rewolucjoniści poprzysięgli spalić i złupić całe miasto. Potem przyleciał Antonio z wiadomością, że zapatyści bombardują Tacubę. Mac złapał dorożkę i pojechał do Izby Deputowanych zobaczyć, czy zastanie kogoś znajomego. Ale wszystkie drzwi stały otworem, na korytarzach walały się papiery. W całym amfiteatrze nie było nikogo prócz starego Indianina i jego żony, którzy chodzili z miejsca na miejsce i z nabożeństwem oglądali złożone sufity, malowidła i stoły kryte zielonym pluszem. Indianin jak w kościele przez cały czas trzymał kapelusz w ręce.

Mac kazał dorożkarzowi jechać do redakcji, gdzie pracował Salvador, ale w redakcji portier powiedział z porozumiewawczym mrugnięciem, że Salvador zabrał się z komendantem policji do Veracruz. Wobec tego pojechał do ambasady, w której nikt nie chciał z nim rozmawiać. Poczekalnie pełne były Amerykanów, którzy ściągali z rancz i koncesji, klęli prezydenta Wilsona i opowiadali mrozące krew w żyłach historie o rewolucjonistach. W konsultacie Mac spotkał Syryjczyka, który wyraził gotowość kupienia od niego całego zapasu książek.

- Nie sprzedaję - odparł Mac i pojechał z powrotem na Calle Independencia.

Kiedy dotarł do sklepu, po ulicy biegali już gazeciarze wykrzykując: „Viva la revolucion revmdicadora!”³³⁶ „. Concha i jej matka, ogarnięte paniką, powtarzały, że muszą złapać pociąg do Veracruz, jeśli nie chcą zginąć. Rewolucjoniści plądrują klasztory, zabijają księży i zakonnice. Stara kobieta padła w kącie na kolana i jęła wyśpiewywać Ave Marie.

- A, do diabła! - powiedział Mac. - Wyprzedajemy się i wracamy do Stanów. Chcesz jechać do Stanów, Concha?

Concha kiwnęła energicznie głową i zaczęła się uśmiechać przez łzy.

- Ale co, u licha, zrobimy z matką i Antoniem?

Concha odparła, że ma zameżną siostrę w Veracruz. Mogą ich tam zostawić, jeżeli w ogóle dostaną się do Veracruz. Wobec tego Mac, ociekający potem, pognął jeszcze raz do konsulatu szukać Syryjczyka. Długo nie mogli ustalić ceny. Mac miał nóż na gardle, gdyż banki były zamknięte i nie mógł podjąć pieniędzy. Syryjczyk powiedział, że pochodzi z Libanu, ale jest obywatelem amerykańskim i chrześcijaninem i że pożyczy Macowi sto dolarów pod zastaw udziału w księgarni, z prawem wykupu za dwieście dolarów w terminie dwumiesięcznym. Jest obywatelem amerykańskim

³³⁶ Viva la revolucion r e v i n d i c a d o r a (hiszp.) - Niech żyje rewolucja rewindykatorka.

i chrześcijaninem, powtarzał, i ryzykuje życie, żeby ratować żonę i dzieci Maca. Mac był taki zaaferowany, że dopiero w ostatnim momencie zauważył, iż Syryjczyk daje mu sto dolarów meksykańskich, podczas gdy kwit wypisał na amerykańskie. Syryjczyk jął się zaklinać na Boga - oby ich miał w swojej opiece - że to zwyczajna pomyłka, i w rezultacie Mac odszedł z dwustoma pesos w złocie.

Zastał Conchę już spakowaną. Czekala na chodniku przed zamkniętym sklepem, a obok niej kilka tobołków, dwa koty w koszyku oraz Antonio i matka, oboje owinięci w koce.

Stacja okazała się tak zatłoczona ludźmi i bagażami, że nie mogli się precyzyjnie przesuwać przez drzwi. Mac obszedł dookoła i spotkał na bocznicach znajomka, niejakiego McGratha, który pracował na kolei. McGrath powiedział, żeby się pospieszyli, to ich jakoś urządzi. Wsadził ich na bocznicę do wagonu drugiej klasy i poszedł kupić bilety, ale oświadczył, że prawdopodobnie będzie musiał zapłacić podwójną cenę. Pot ciekł Macowi spod kapelusza, kiedy wreszcie usadowił obydwie kobiety i poupychał jakoś kosz z kotami, tobołki i Antonia. Pociąg był już pełen, chociaż nie został jeszcze podstawiony na stację. W parę godzin później, gdy odjeżdżał, kordon zakurzonych żołnierzy musiał powstrzymać na peronie szturmujący tłum. Wszystkie miejsca były zajęte, w przejściach stali księża i zakonnice, elegancko ubrani ludzie wisieli na pomostach.

Mac siedział obok Conchy w gęstym upale wlokącego się pociągu. Nie miał jej wiele do powiedzenia. Concha wzdychała co chwila, matka postękiwała: „Ay de mi dios”³³⁷ „.. Obgryzały obie skrzydełka kurczęcia, jadły masę migdałową. Pociąg stawał często, zatrzymywany przez oddziały patrolujące linię. Na bocznicach widać było wagony towarowe z wojskiem, ale nikt nie umiał powiedzieć, co to za oddziały i po czyjej są stronie. Mac patrzył na sunące bez końca szeregi agaw, na kościoły w ruinie, śledził, jak na horyzoncie przesuwały się dwa olbrzymie ośnieżone wulkany, Popocatepetl i Ixtaccihatl. Potem przed pociągiem zaczął się obracać jeszcze jeden brunatnozłoty stożek wygasłego wulkanu, w końcu z oddali wychynął błękitnobiały szczyt Orizaby i rósł coraz wyżej i wyżej w bezchmurne niebo.

Za Huamantlą zaczęli się spuszczać w dół wśród chmur. Szyny dźwięczały pod wesołym stukotem kół, wiły się zakosami po stromych zboczach krętej zamglonej doliny, wśród wilgotnego drzewostanu. Wszyscy poczuli się lepiej. Za każdą serpentyną toru powietrze robiło się cieplejsze i parniejsze. Zaczęły się pokazywać drzewa pomarańczowe i cytrynowe. Wszystkie okna były otwarte. Na stacjach chodziły po wagonach kobiety sprzedające piwo, pulque, kurczaki i tortille.

W Orizabie pokazało się znowu słońce. Pociąg miał dłuższy postój. Mac siedział sam jeden pijąc piwo w restauracji dworcowej. Obok pasażerowie śmiali się i rozmawiali, ale on był rozdrażniony. Kiedy rozległ się dzwon, nie miał ochoty wracać do Conchy i jej matki, ich westchnień, tłustych palców i kurcząt. Wsiadł do innego wagonu. Nadchodziła noc pełna zapachu

kwiatów i rozgrzanej ziemi.

Było późno, kiedy następnego dnia dojechali do Veracruz. Miasto powitało ich flagami i wielkimi czerwonymi transparentami poprzeciąganymi od ściany do ściany przez całą szerokość pomarańczowych, cytrynowych i bananowych ulic z zielonymi żaluzjami w oknach i kłoniącymi się w morskich podmuchach palmami. Na transparentach widniały napisy: „VIVA OBREGON”³³⁸, „VIVA LA REVOLUCION REVINDICADORA”, „VIVA EL PARTIDO LABORISTA”³³⁹. Na głównym placu grała orkiestra i ludzie tańczyli. Wystraszone kawki krążyły kracząc wśród ciemnych drzew o koronach rozpiętych na kształt parasoli.

Mac zostawił Conchę z tobołkami, staruszką i Antoniem na ławce, a sam poszedł do biura Ward Line dowiedzieć się o najbliższy rejs do Stanów. W biurze wszyscy mówili o atakach łodzi podwodnych, przystąpieniu Ameryki do wielkiej wojny i niemieckich okrucieństwach. Okazało się, że najbliższy statek odpływa dopiero za tydzień i że nie starczy mu pieniędzy na dwa bilety, nawet gdyby mieli płynąć na międzypokładziu. Wobec tego kupił jeden dla siebie. Zresztą w ogóle zaczynał podejrzewać, że robi z siebie nieliczego durnia, i postanowił jechać bez Conchy.

Wróciwszy, stwierdził, że Concha kupiła owoców annona i mango. Była sama, matka i Antonio poszli z tłumoczkami szukać domu siostry. Białe koty, wypuszczone z koszyka, leżały koło niej zwinięte w kłębek na ławce. Spojrzała na Maca z ufnym błyskiem w oczach i śmiejąc się oznajmiła, że Porfirio i Venustiano nie posiadają się ze szczęścia, bo czują ryby. Wyciągnął obie ręce, żeby jej pomóc wstać. Nie mógł jej w tej chwili powiedzieć, że postanowił wracać do Stanów bez niej. Zresztą zaraz nadbiegł Antonio z wiadomością, że znaleźli ciotkę, która zgadza się ich przyjąć, i że wszyscy w Veracruz są za rewolucją.

Przechodząc przez główny plac Concha stwierdziła, że ma pragnienie i chce się czegoś napić. Rozglądali się za wolnym stolikiem przed jedną z kawiarni, gdy ujrzeli Salvadora. Porwał się na równe nogi i uścisnął Maca z okrzykiem: „Viva Obregon!”. Popijając koktajl miętowy doprawiony na amerykańską modłę, Salvador poinformował ich, że Carranza został zamordowany w górach przez oficerów własnego sztabu i że jednoręki Obregon wjechał do Mexico City na czele Indian Yaqui, w białym bawełnianym odzieniu peona i w peońskim kapeluszu na głowie. Powiedział, że nie było żadnych zamieszek, że mają być przywrócone zasady Madery i Juareza³⁴⁰ i że świta nowa era. Wypili

³³⁷ Ay de mi dios (hiszp.) - Pomóż mi, Boże.

³³⁸ Alvaro Obregon (1880-1928) zorganizował w 1912 roku oddział około 400 Indian, z których pomocą zdławił próbę rewolty przeciwko prezydenturze Madery. Po zamordowaniu go w rok później, popierał Carranzę, walcząc zarówno przeciwko wojskom Huerty, jak i peonom Zapaty i Villi. W bitwie z oddziałami Villi utracił prawą rękę. W styczniu 1915 wyparł z Mexico City siły dwóch przywódców chłopskich i wkrótce został przez Carranzę, któremu umożliwił objęcie rządów, mianowany wodzem naczelnym armii meksykańskiej. Stał jednak na czele buntu przeciwko temu ostatniemu w 1920, gdy Carranza próbował po dyktatorsku utrwalić swoją władzę, i w tymże roku został sam wybrany na prezydenta, którym pozostał do 1924. Przeprowadził serię reform pracowniczych, agrarnych i edukacyjnych. Wybrany ponownie na prezydenta w 1928, padł ofiarą zamachu, nim zdążył objąć urząd.

³³⁹ Viva El Partido Laborista (hiszp.) -Niech żyje Partia Robotnicza.

³⁴⁰ Benito Juarez (1806-1872) - to meksykański bohater narodowy, dwukrotny prezydent Meksyku. Indianin z

jeszcze parę koktajli i Mac nic nie wspominał o wyjeździe do Ameryki. Zapytał Salvadora, gdzie jest jego przyjaciel, komendant policji, ale Salvador jakby nie słyszał. Wobec tego zapytał Conchy, co by zrobiła, gdyby wrócił sam do Stanów, ale ona odparła, że zawsze trzymają go się żarty. Powiedziała, że podoba jej się Veracruz i że chciałyby tutaj mieszkać. Na to Salvador oświadczył, że nadchodzą wielkie dni dla Meksyku i że on wraca jutro do stolicy. Wieczorem zjedli wszyscy razem kolację w domu rodziny Conchy. Mac postarał się o koniak i pili za robotników i za agrarystów, za związki zawodowe, za Partido Laborista i za rewolucję socjalną.

Następnego dnia Mac obudził się wcześniej rano z lekkim bólem głowy. Wymknął się z domu i błądził sam po falochronie. Zaczynała mu świtać myśl, że to głupota wyzbywać się w ten sposób księgarń. Poszedł do biura Ward Line zwrócić bilet i urzędnik wypłacił mu bez trudu pieniądze. Zdążył do domu w samą porę, by zjeść z Conchą i jej rodziną śniadanie złożone z gorącej czekolady i ciasta.

urodzenia, prawnik z wykształcenia, został on w 1847 roku wybrany na gubernatora stanu Oaxaca, ale w 1853 musiał się ratować ucieczką do Nowego Orleanu, gdy władzę w Meksyku przechwycił generał Antonio de Santa Anna. Juarez powrócił po dwu latach, by wziąć udział w rewolucji, która obaliła dyktatorskie rządy Santa Anny, został ministrem sprawiedliwości w nowym rządzie i przeprowadził serię liberalnych reform, zapisanych wkrótce w konstytucji 1857. W obliczu rebelii sił zachowawczych został mianowany tymczasowym prezydentem, musiał jednak przenieść siedzibę rządu z Mexico City do Veracruz, gdzie ogłosił dalsze daleko idące reformy, między innymi konfiskatę wielkich latyfundiów kościelnych. W latach 1860 i 1861 pokonał buntowników, po czym powrócił z rządem do Mexico City i został wybrany konstytucyjnym prezydentem. Wobec kryzysu finansowego spowodowanego pięcioletnią wojną domową ogłosił wstrzymanie spłat długów zagranicznych, co wywołało interwencję Francji, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Z dwiema ostatnimi Juarez zawarł ugodę, natomiast wojska francuskie pozostały w Meksyku, zdobyły stolicę i osadziły na tronie, z nominacji Napoleona III, austriackiego arcyksięcia Maksymiliana, który został w 1864 koronowany na cesarza. Juarez przeniósł siedzibę swego rządu na północ, skąd kontynuował walkę. Po obaleniu Maksymiliana powrócił w 1867 do Mexico City i został ponownie obrany prezydentem. W 1871 rebelię przeciwko niemu podniósł jego kontrkandydat do prezydentury, Porfirio Diaz. Rebelia została zdławiona, jednakże Juarez zmarł na apopleksję w lipcu następnego roku, a jego następcą, Sebastian Lerdo de Trejada (1827-1889), został w cztery lata później obalony przez Diaza, który z czteroletnią przerwą rządził po dyktatorsku Meksykiem do 1911.

PROTEUSZ³⁴¹

Steinmetz był garbusem,
synem garbatego litografa.

Urodził się we Wrocławiu w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym, w wieku siedemnastu lat ukończył z najwyższymi odznaczeniami gimnazjum i wstąpił na Uniwersytet Wrocławski, żeby studiować matematykę; matematyka zastępowała Steinmetzowi siłę mięśni, dalekie wędrówki po wzgórzach, pocałunek kochającej dziewczyny i długie wieczory spędzane z przyjaciółmi nad kuflem piwa; jego krzywy grzbiet uginał się pod przemożnym brzemieniem społeczeństwa, tak samo jak uginały się proste grzbiety robotników i biednych studentów, więc został członkiem socjalistycznego klubu i redaktorem pisma zwanego „Głos Ludu”.

W Berlinie przydykował Bismarck, wielki głaz utrzymujący nowe Niemcy w feudalizmie, strzegący całości imperium dla jego mocodawców Hohenzollernów.

W obawie przed uwięzieniem Steinmetz musiał uciekać do Zurychu; jego matematyka postawiła na równe nogi wszystkich profesorów tamtejszej politechniki; ale Europa lat osiemdziesiątych nie była miejscem dla gołego niemieckiego studenta z krzywym grzbietem i wielką głową pełną matematycznych symboli i podziwu dla elektryczności, która jest matematyką obroconą w moc, a na dodatek socjalisty.

Więc z przyjacielem Duńczykiem pozełgował do Ameryki na międzypokładziu starej łajby Linii Francuskiej, La Champagne; z początku mieszkał w Brooklynie i dojeżdżał do Yonkers, gdzie pracował za dwanaście dolarów tygodniowo u Rudolfa Eickemeyera, niemieckiego uchodźcy z czterdziestego ósmego, wynalazcy, elektryka i właściciela fabryki maszyn kapelusznich i generatorów elektrycznych.

W Yonkers opracował teorie Trzeciej Harmonicznej³⁴² i prawo histerezy³⁴³, które ujmuje w

³⁴¹ Charles Proteus (właściwie: Carl August Rudolf) Steinmetz (1865-1923) - to uczonego, którego badania odegrały ważną rolę we wprowadzaniu na szeroką skalę aparatury elektrycznej na prąd zmienny. Urodzony w pruskim wówczas Wrocławiu, ułomny, obdarzony niezwykle zdolnościami w dziedzinie matematyki i fizyki, ukończył w 1883 z odznaczeniem gimnazjum. Podczas studiów na Uniwersytecie Wrocławskim związał się z socjalistycznym klubem studenckim, który stał się przedmiotem zainteresowania policji tępiącej wszelką niesankcjonowaną działalność pod represyjnymi rządami Ottona von Bismarcka (był premierem, później kanclerzem w latach 1862-1890) i jego mocodawców, królów z dynastii Hohenzollernów. Po aresztowaniu i procesie kilku kolegów, sam zagrożony aresztowaniem, musiał w 1888, tuż przed uzyskaniem doktoratu, uciekać z Wrocławia. Przebywał rok w Zurychu, po czym emigrował w 1889 do USA, gdzie zanglicyzował swoje pierwsze imię Carl na Charles, a na drugie przybrał swój uniwersytecki przydomek Proteus. (Proteusz to w mitologii greckiej bożek morski, pasterz fok Posejdona, mający moc wieszczenia i przeobrażania się w różne postaci. Koledzy z klubu matematyków nadali Steinmetzowi taki przydomek dla uhonorowania jego umiejętności błyskotliwego wypowiadania się we wszelkich dziedzinach.) Podjąwszy pracę w niewielkim zakładzie elektrycznym Rudolfa Eickemeyera (nie, jak pisze Dos Passos, Eickemeyera, 1831-1895) w Yonkers w stanie Nowy Jork, skoncentrował się na badaniach nad praktycznymi aspektami inżynierii elektrycznej i stopniowo formułował zasady rządzące prądem zmiennym, które pozwoliły konstruować efektywniejszą aparaturę. (Edison i inni konstruktorzy stosowali początkowo prąd stały.) Ponieważ, jak się okazało, inżynierowie elektrycy nie rozumieli formuł matematycznych, w jakie ujmował odkryte prawidłowości, napisał w ciągu paru lat serię podręczników, a począwszy od 1902 uczył elektrofizyki w Union College w Schenectady w stanie Nowy Jork. Miasto to obrała na swoją siedzibę w 1894 General Electric Company, która kupiła rok wcześniej firmę Eickemeyera, głównie dla jej patentów, i w której Steinmetz został ostatecznie szefem działu konsultacyjnego. W późniejszym okresie prowadził sensacyjne badania nad wyładowaniami elektrycznymi, produkując w laboratorium pioruny. Zasłużony głównie w dziedzinie teorii, Steinmetz pozostawił jednak również około 200 patentów.

³⁴² Teoria Trzeciej Harmonicznej (Third Harmonics) dotyczy częstotliwości drgania fal, tutaj fal elektromagnetycznych. W tzw. trzecim modzie harmonicznym fale drgają z częstotliwością trzykrotną w stosunku do częstotliwości podstawowej,

jednej formule stokrotne wzajemne uwarunkowanie ciepła, gęstości i częstotliwości w metalicznym rdzeniu elektromagnesu pod działaniem przemieszczającego bieguny prądu zmiennego.

Bez Steinmetzowskiego prawa histerezy nie mógłby istnieć żaden z transformatorów ukrytych w małych skrzynkach i w szczytach domów, przy wszystkich liniach wysokiego napięcia całego świata. To symbole matematyczne prawa Steinmetza wyznaczają zasadę, na której oparte są wszystkie transformatory świata.

W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim, gdy Eiche Meyer wyprzedawał się korporacji, z której miało powstać General Electric³⁴⁴, Steinmetz został objęty kontraktem wraz z całym wyposażeniem. Do końca życia pozostał wartościowym aparatem w posiadaniu General Electric.

Początkowo jego laboratorium mieściło się w Lynn, potem wraz z małym garbusem zostało przeniesione do Schenectady, miasta elektrycznego. General Electric pobiłażalo mu, pozwalało być socjalistą, oświetlać lampami rtęciowymi oranżerię pełną kaktusów, hodować aligatory, gadające wrony, jadowitego jaszczura, a Dział Reklamy rozplýwał się nad nim jak nad czarnoksiężnikiem, cudotwórcą, który zna zaklęcia otwierające skarbiec Ali Baby.

Steinmetz notował na mankiecie wzór i następnego ranka wyrastało tysiąc nowych elektrowni, śpiew dynam mnożył dolary i milczenie transformatorów mnożyło dolary, a Dział Reklamy co niedziela karmił amerykańską publiczke ckliwymi historyjkami, aż zrobił ze Steinmetza salonowego kuglarza, który urządza miniaturową burzę w laboratorium, kieruje z precyzją ruchem miniaturowych pociągów, zamraża mięso w lodówce, konstruuje lampy do salonu, wielkie latarnie morskie, reflektory i obrotowe wiązki światła wskazujące aeroplanom nocą drogę do Chicago, Nowego Jorku, Saint Louis i Los Angeles.

Pozwalali mu być socjalistą i wierzyć, że społeczeństwo ludzkie da się ulepszyć jak dynamo, pozwalali głosić poglądy proniemieckie i napisać list do Lenina, w którym ofiarowywał swoje usługi, bo wiadomo, jacy pomyleni są matematycy; układają wzory, na których podstawie można budować elektrownie, fabryki, linie metra, przekształcać światło, ciepło, powietrze, promienie słoneczne, lecz nie stosunki społeczne decydujące o dywidendach akcjonariuszy i pensjach dyrektorów.

Steinmetz stal się sławnym kuglarzem, rozmawiał z Edisonem, wystukując na jego kolanie alfabetem Morse'a, bo Edison był głuchy jak pień, pojechał na Zachód wygłaszać odczyty, których

czyli pierwszej harmonicznej. Ustalenie tego miało znaczenie dla obliczania oporu magnetycznego w aparaturze elektrycznej.

³⁴³ Prawo histerezy, pozwalające obliczać utratę mocy w aparaturze elektrycznej, powodowaną oporem magnetycznym, było pierwszym ważnym sformułowaniem Steinmetza, które przyniosło mu sławę w wieku 27 lat. Do tej pory ustalano utratę mocy motorów, transformatorów, generatorów i innych urządzeń elektrycznych dopiero po ich zbudowaniu. Na podstawie sformułowanego przez Steinmetza prawa tzw. strat histerezowych inżynierowie mogli odtąd zawczasu obliczać i minimalizować utratę mocy elektrycznej w projektowanych aparatach.

³⁴⁴ General Electric Company powstało w 1892 roku z wykupu Edison Electric Company i dwu pomniejszych firm elektrycznych. Pierwotne Towarzystwo Edisonowskie zostało założone przez Thomasa Alva Edisona w 1878 jako Edison Electric Light Company (Edisonowskie Towarzystwo Światła Elektrycznego), początkowo głównie w celu produkcji żarówek, później także innych wynalazków Edisona, który pozostał do końca życia związany z General Electric jako właściciel patentów i konsultant. General Electric stało się wkrótce jednym z największych w świecie producentów wszelkich urządzeń elektrycznych i pozostaje nim do dzisiaj.

nikt nie rozumiał, w pociągu dyskutował z Bryanem o Bogu, a kiedy się spotkał twarzą w twarz z Einsteinem, dziennikarze nie mogli się ani rusz połapać, o czym mówią, choć otoczyli ich zwartym kołem; był najcenniejszym aparatem w posiadaniu General Electric, aż się zużył i zmarł.

JANEY

Podróż do Meksyku i powrót salonką, którą rząd meksykański oddał do dyspozycji J. Warda Moorehouse'a do granicy, były bardzo przyjemne, ale trochę męczące. Szczególnie dawał się we znaki pył podczas jazdy przez pustynię. Janey kupiła za bezcen kilka ślicznych rzeczy, trochę biżuterii z turkusami i różowymi onyksami na prezenty dla Alice, dla matki i dla sióstr. Przez całą drogę powrotną stenografowała J. Wardowi. Salonka była pełna mężczyzn, którzy bez przerwy pili, ćmili cygara i zarykiwali się z tłustych kawałów w palarni i na pomoście obserwacyjnym. Znajdował się wśród nich i pan Barrow, któremu stenografowała trochę w Waszyngtonie. Zatrzymywał się teraz przy każdej okazji, żeby z nią pogawędzić. Nie podobało jej się spojrzenie, z jakim pochylał się nad stolikiem, musiała jednak przyznać, że jest interesującym mężczyzną i niczym nie przypomina jej wyobrażeń o przywódcach związkowych. Bawiła ją myśl, że wie o Queenie i jaką by miał minę, gdyby mu to powiedziała. Dokuczała mu często i zastanawiała się, czy przypadkiem się w niej nie durzy, ale doszła do przekonania, że to jeden z tych mężczyzn, którzy w podobny sposób nadskakują każdej kobiecie.

Od Laredo nie mieli już salonki i podróż nie była taka przyjemna. Jechali prosto do Nowego Jorku. Janey miała dolne łóżko w mnym wagonie niż J. Ward z towarzyszącymi mu panami, a łóżko nad nią zajmował młody osobnik, którego dosyć polubiła. Nazywał się Buck Saunders, pochodził z północnego krańca Teksasu i mówił przekomicznie przeciągając słowa. Zaoszczędził trochę pieniędzy pasąc bydło i pracując na polach naftowych Oklahomy i teraz jechał zwiedzić Waszyngton. Ogromnie się pod ekscytował, gdy mu powiedziała, że pochodzi z Waszyngtonu i co powinien bezwarunkowo zobaczyć – Kapitol i Biały Dom, mauzoleum Lincolna i pomnik Waszyngtona, Dom Weterana i Mount Vernon³⁴⁵. Poradziła mu też, żeby się koniecznie wybrał nad Wielkie Wodospady, i opowiedziała o przejażdżkach łódką po kanale i jak kiedyś złapała ją okropna burza z piorunami koło mostu w Cabin John. Jedli kilkakrotnie razem w wagonie restauracyjnym i Buck Saunders oświadczył, że klasa z niej dziewczyna i pierwszorzędnie się z nią rozmawia, po czym wyznał, że on też miał do niedawna dziewczynę w Tulsie w stanie Oklahoma, ale teraz zgodzi się chyba do pracy na polach naftowych w Maracaibo, w Wenezueli, bo go rzuciła, żeby wyjść za bogatego farmera, który odkrył naftę na swoim pastwisku. G.H. Barrow dokuczał jej, że znalazła sobie takiego adoratora, a ona pytała, jak to było z tą rudą panią, która wysiadła w Saint Louis, i obydwójce się zaśmiewali. Po każdej takiej rozmowie Janey czuła się bardzo swawolnie i dochodziła do wniosku, że G.H. Barrow nie jest w końcu taki najgorszy. Wysiadając w Waszyngtonie Buck dał jej swoje zdjęcie na tle szybu naftowego i obiecał, że będzie do niej pisał codziennie i przyjedzie odwiedzić ją w Nowym Jorku,

³⁴⁵ Mount Vernon - to miejscowość położona 24 kilometry na południe od Waszyngtonu, z pięknie usytuowanym na wzgórzu nad Potomakiem dwupiętrowym drewnianym dworem w stylu georgiańskim, który stanowił własność pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, George'a Washingtona (1732-1799), i obok którego w obrośniętym bluszczem mauzoleum pochowany jest zarówno on sam, jak jego żona Martha. Wybudował dwór w 1743 starszy brat przyrodni Washingtona, Lawrence, i nazwał go na cześć admirała Edwarda Vernona, pod którym służył we flocie

jeśli Janey nie ma nic przeciwko temu. Ale nigdy więcej o nim nie słyszała.

Polubiła również Mortona, mówiącego cockneyem lokaja, który odnosił się do niej z takim respektem. Przychodził co dzień rano z wiadomościami o samopoczuciu J. Warda.

- Wstał dzisiaj z okropnie ponurą miną, panno Williams - mówił. Albo: - Gwizdał przy goleniu. Chyba jest w dobrym humorze.

Kiedy wysiedli na Dworcu Pensylwańskim w Nowym Jorku, Janey musiała zostać z Mortonem i przypilnować, żeby skrzynka z fiskkami trafiła do biura pod numerem setnym na Piątej Alei, a nie do domu J. Warda na Long Island. Poczekała, aż Morton odjedzie pierce arrowem przysłanym aż z Great Neck po bagaże, po czym sama pojechała taksówką do biura, z maszyną do pisania, papierami i fiskkami. Była wylężniona i podniecona wyglądając oknem na wielkie białe budynki, okrągłe cysterny z wodą na tle nieba, kłęby pary wysoko w górze, zatłoczone chodniki, ulice pełne taksówek i furgonów, blasku, ruchu i turkotu. Zastanawiała się, jak znajdzie tutaj pokój, czy się z kimś zaprzyjaźni, gdzie będzie jadła. Strach ją ogarniał na myśl, że znalazła się sama w takim wielkim mieście, i dziwiła się sobie, że miała odwagę tu przyjechać. Postanowiła poszukać dla Alice jakiejś pracy i wynająć do spółki z nią mieszkanie. Ale gdzie będzie spała dzisiaj?

Jednakże w biurze wszystko okazało się bardzo zwykłe i nappełniło ją trochę otuchą. Meble były takie ładne, podłogi błyszcząły, maszyny furkotały i w ogóle panował znacznie większy ruch i pośpiech niż u Dreyfusa i Carrolla. Tylko że wszyscy wyglądali na Żydów i miała obawy, czy ją polubią i czy się utrzyma na tej posadzie.

Dziewczyna nazwiskiem Gladys Compton wskazała jej biurko, które, jak powiedziała, należało do panny Rosenthal. Stało ono za przepierzeniem przy wejściu do gabinetu J. Warda, a naprzeciwko drzwi do gabinetu niejakiego pana Robbinsa. Gladys Compton była Żydówką, stenotypistką pana Robbinsa. Zaczęła opowiadać, jaką miłą osobą była panna Rosenthal i jak jej wszyscy współczują z powodu tego wypadku, i Janey zrozumiała, że zajmuje cudzy stołek i będzie miała twardy orzech do zgryzienia. Gladys Compton zmierzyła ją niechętnym spojrzeniem piwnych oczu, które lekko zezowały, gdy się w coś usilnie wpatrywała, wyraziła nadzieję, że Janey da sobie radę, bo niekiedy wszyscy padają na nosy od nawału pracy, po czym zostawiła ją własnemu losowi.

Kiedy wszyscy składali robotę o piątej, wyszedł ze swojego gabinetu J. Ward. Janey ogromnie się ucieszyła, gdy stanął koło jej biurka. Oznajmił, że rozmawiał z panną Compton, prosił ją o zaopiekowanie się trochę Janey w pierwszym okresie, bo dobrze wie, jak trudno jest młodej dziewczynie urządzić się w obcym mieście, znaleźć odpowiednie mieszkanie i w ogóle, ale panna Compton jest bardzo miła, obiecała jej pomóc i na pewno wszystko się dobrze ułoży. Posłał jej uśmiech i błękitny błysk oka, po czym wręczył plik gęsto zapisanych kartek i zapytał, czyby nie mogła przyjść jutro trochę wcześniej, bo chciałby to wszystko mieć o dziewiątej przepisane na

biurku. Nie będzie jej normalnie prosił o takie rzeczy, ale maszynistki są takie głupie, a w ogóle zrobił się okropny bałagan podczas jego nieobecności. Janey była szczęśliwa, że może mu się przysłużyć. Czuła, jak pod wpływem jego uśmiechu ogarnia ją miłe ciepło.

Wyszła z biura z Gladys Compton, która zaproponowała, że ponieważ Janey nie zna miasta, może najlepiej by było, gdyby pojechała z nią do domu. Mieszka w Flatbush z rodzicami, naturalnie to nie będą warunki, do jakich panna Williams przywykła, ale mają wolny pokój, który chętnie jej odstąpią, dopóki się nie rozejrzy za czymś lepszym, a jest u nich przynajmniej czysto, czego o wielu domach nie można powiedzieć. Wstąpiły na dworzec odebrać walizkę Janey. Janey czuła ulgę, że nie musi sobie sama radzić w takim tłumie. Potem zeszły do metra i wsiadły do zatłoczonego ekspresu. Janey myślała, że nie zniesie naporu tylu ludzkich ciał i że nigdy nie dojedzie na miejsce. Pociąg tak huczał w tunelu, że nie słyszała, co tamta dziewczyna do niej mówi.

W końcu wyszły na szeroką ulicę z rusztowaniem kolei nadziemnej. Wszystkie domy były parterowe lub jednopiętrowe, sklepy wyłącznie spożywcze, warzywnicze lub owocowe. Gladys Compton powiedziała:

- U nas jest kuchnia koszerna, panno Williams, mam nadzieję, że to pani nie zrobi różnicy. Rozumie pani, to ze względu na rodziców, bo ja z Bennym, moim bratem, nie mamy oczywiście przesądów.

Janey nie wiedziała, co to jest kuchnia koszerna, ale odparła, że naturalnie, nie zrobi jej to najmniejszej różnicy, po czym zaczęła opowiadać, jakie śmieszne jedzenie jest w Meksyku, wszystko tak ostre, że ledwo można przełknąć.

W domu Gladys Compton zaczęła się wysławiać mniej starannie, ale była bardzo serdeczna i troskliwa. Jej ojciec okazał się niskim starszym mężczyzną w okularach na czubku nosa, matka zaś tęgą kobietą o gruszkowatej figurze i w peruce na głowie. Rozmawiali między sobą po żydowsku. Robili, co mogli, żeby Janey było wygodnie, dali jej przyjemny pokój i powiedzieli, że za dziesięć dolarów tygodniowo może u nich mieszkać i stołować się, jak długo będzie chciała, a jeśli się zechce wyprowadzić, może to uczynić w każdej chwili, nie będą mieli do niej żalu. Żółty dom stał w długim szeregu identycznych drewnianych domków dwurodzinnych, ale miał dobre ogrzewanie, a łóżko okazało się wygodne. Starszy pan był zegarmistrzem i pracował u jubilera na Piątej Alei. W swoim kraju nazywał się Kompczeski, ale w Nowym Jorku - powiedzieli - nikt nie mógł tego wymówić. Starszy pan chciał zmienić nazwisko na Freedman, ale jego żona uważała, że Compton brzmi bardziej dystyngowanie. Dali jej dobrą kolację z herbatą w szklankach, zupą z kluskami, czerwonym kawiozem i rybą faszzerowaną i Janey musiała w duchu przyznać, że przyjemnie jest poznać takich ludzi. Ich syn, Benny, chodził jeszcze do gimnazjum. Był to chudy wyrostek w grubych szklach, który jadł z nosem w talerzu i miał zwyczaj impertynenckiego przeciwstawiania się wszystkiemu, co ktokolwiek powiedział. Gladys uważała, że nie należy na to zwracać uwagi, przecież chłopak uczy

się znakomicie i ma iść na prawo. Gdy uczucie obcości nieco się zatarło, Janey polubiła Comptonów, szczególnie starego pana Comptona, który był człowiekiem gołębiego serca i do wszystkiego podchodził z dobrodusznym, bołęściwym humorem.

Praca w biurze okazała się bardzo interesująca. J. Ward zaczął polegać na mej w różnych sprawach i Janey czuła, że będzie to dobry rok w jej życiu.

Najgorsze były trzy kwadransy porannej jazdy metrem do Union Square. Janey próbowała czytać gazetę zaszyta w jakimś kącie z dala od naporu ludzkich ciał. Lubiła przychodzić do biura pogodna i rześka, w świeżej sukni i z nienaganną fryzurą, a tymczasem długa jazda trzęsącym się pociągiem nużyła ją i przyprawiała o uczucie, że powinna się ponownie wykąpać i przebrać. Natomiast przyjemny był krótki spacer Czternastą Ulicą, taką pstrokatą i błyszczącą w słonecznym pyłe wczesnego poranka, a potem w górę Piątą Aleją. Obie z Gladys przychodziły do biura jedne z pierwszych. Janey trzymała zawsze na biurku kwiaty, a czasami wślizgiwała się do gabinetu J. Warda i wkładała także parę róż do srebrnego wazonu na jego wielkim mahoniowym biurku. Potem sortowała pocztę, prywatne listy układała równo w rogu bibularza oprawnego w coś na kształt ramki z czerwonej wytłaczanej włoskiej skóry, resztę czytała, po czym zaglądała do terminarza i sporządzała na maszynie listę interesantów, spotkań, pism do przygotowania i tekstów dla prasy. Kładła listę pośrodku bibularza pod przyciskiem z surowej miedzi, pamiątką z Górnego Cypla Michiganu, zaznaczywszy zgrabną literką W sprawy, które mogła załatwić bez jego pomocy.

Wróciwszy do swego biurka, żeby poprawić błędy ortograficzne w tekście, który wyszedł poprzedniego dnia z gabinetu pana Robbinsa, doznawała śmiesznego dreszczyku w całym ciele - zaraz zjawi się J. Ward. Mówiła sobie, że to niemądre, ale za każdym razem gdy otwierały się drzwi wejściowe, podnosiła z nadzieją głowę. Zaczynała się trochę niepokoić - mógł mieć jakiś wypadek jadąc autem z Great Neck. Wreszcie, kiedy przestawała go wyglądać, wchodził spiesznie, witał wszystkich przelotnym uśmiechem i zniknął za szklanymi drzwiami swego gabinetu. Gdy ją mijał, Janey zawsze zdążyła spostrzec, czy jest w ciemnym czy w jasnym garniturze, jakiego koloru ma krawat i czy się ostrzygł czy też nie. Któregoś dnia miał kroplę błota na nogawce granatowego szarszowego ubrania i Janey myślała o tym przez całe rano, szukając jakiegoś pretekstu, żeby wejść i powiedzieć mu. Czasem w przelocie spoglądał na nią z błękitnym błyskiem w oku albo zatrzymywał się, żeby o coś zapytać. Czuła się wówczas wniebowzięta.

Praca w biurze była taka interesująca. Wciągała ją w samo sedno nagłówków gazetowych, tak jak rozmowy z Jerryem Burnhamem, kiedy pracowała u Dreyfusa i Carrolla. Było więc Towarzystwo Przetworów Solnych Onondaga z literaturą dotyczącą soli kąpielowych i chemikaliów, pracowniczej drużyny baseballowej, kafeterii, emerytur pracowniczych; Towarzystwo Miedziane Nagietek i zwalczanie tendencji wywrotowych wśród górników, po większej części cudzoziemców, którym należało wpoić zasady amerykańizmu; kampania Izby Handlowej Ośrodka Cytrusowego na rzecz

przekonania drobnych inwestorów z Północy o trwałych podstawach rozwojowych przemysłu owocowego Florydy; oraz slogan do wylansowania dla Kooperatywy Sadowniczej Awokado: „Gruszka Awokado na Każdym Stole”. Ta ostatnia firma przysyłała od czasu do czasu skrzynkę i wszyscy brali śmieszne gruszki do domu, z wyjątkiem pana Robbinsa, który krzywił się i mówił, że dziękuje za owoce, które mają smak mydła. Jednakże najpoważniejsza ze wszystkich była kampania prowadzona na zlecenie Południowo-Zachodniego Towarzystwa Naftowego przeciwko przewrotnej antyamerykańskiej propagandzie brytyjskich spółek naftowych w Meksyku i akcji interwencyjnej grupy Hearsta w Waszyngtonie.

W czerwcu Janey pojechała na ślub swojej siostry, Ellen. Dziwnie było znaleźć się znowu w Waszyngtonie. Przez cały czas w pociągu cieszyła się, że zobaczy Alice, ale spotkawszy się, nie bardzo miały o czym rozmawiać. W domu również czuła się obco. Ellen wychodziła za studenta prawa uniwersytetu w Georgetown, który był lokatorem pani Williams, i po ślubie w domu zaroilo się od studentów i dziewcząt. Wszyscy się śmiali i chichotali, a pani Williams i Francie zdawały się tym zachwycone, Janey jednak rada była, gdy wreszcie nadszedł czas odjazdu i musiała się spieszyć na pociąg. Żegnając się na stacji z Alice nie wspomniała jej słówkiem o przyjeździe do Nowego Jorku i wynajęciu wspólnego mieszkania.

Przez całą drogę, siedząc w dusznym wagonie klubowym i patrząc przez okno na miasteczka, pola i szylidy, czuła się nieswojo. Dopiero rano w biurze poczuła się jak w domu.

Życie w Nowym Jorku było podniecające. Od zatopienia *Lusitanii*³⁴⁶ wszyscy uważali, że przystąpienie Ameryki do wojny jest sprawą miesięcy. Na Piątej Alei wisiały flagi. Janey myślała teraz często o wojnie. Dostała list od Joego ze Szkocji, że został storpedowany na parowcu *Marchioness* i spędził dziesięć godzin w łodzi ratunkowej podczas śnieżycy koło cieśniny *Pentland Firth*, zmagając się z prądem, który ich znosił na morze, ale że w końcu wylądowali i czuje się dobrze, że załoga otrzymała gratyfikacje i że w ogóle zarabia kupę forsy. Skończyła akurat czytać list, kiedy nadeszła depesza z Kolorado, więc podając ją powiedziała J. Wardowi, że jej brat został storpedowany. Ward bardzo się zainteresował i jął perorować o potrzebie patriotyzmu, ratowaniu

³⁴⁶ *Lusitania* - to luksusowy brytyjski parowiec pasażerski Linii Cunarda z 1924 osobami na pokładzie, storpedowany bez ostrzeżenia przez niemiecki U-Boot u południowych wybrzeży Irlandii 7 maja 1915 roku. Statek zatonął w niespełna 20 minut, 726 osób tak czy inaczej się uratowało, życie utraciło 1198, w tym 128 Amerykanów. Morze długo wyrzucało potem na brzeg ciała potopionych. *Lusitania* była nie uzbrojona, jednakże Niemcy twierdzili, że wiozła broń dla aliantów, i powoływali się na fakt, że w dniu, w którym wypływała z Nowego Jorku do Liverpoolu, Amerykanie zostali ostrzeżeni ogłoszeniem w porannych gazetach, żeby nie pływali na statkach brytyjskich. Incydent wywołał olbrzymie poruszenie w USA, nasilając żądania przystąpienia do wojny, jednakże prezydent Wilson wybrał drogę dyplomatyczną. Skończyło się na wymianie trzech not między prezydentem a ambasadorem niemieckim w Waszyngtonie w latach 1908-1917, hrabią Johannem Heinrichem von Bernstorffem, w wyniku czego Niemcy zgodzili się ostatecznie wypłacić odszkodowanie rodzinom ofiar i zobowiązali nie zatapiać więcej statków pasażerskich bez ostrzeżenia. Oczywiście nie załatwiała to meritum sprawy, gdyż Stanom Zjednoczonym chodziło o bezpieczeństwo żeglugi handlowej w ogóle, a stanowisko Niemiec w tej sprawie było zmienne i wykrętne, incydenty z łodziami podwodnymi zaś nie ustawały. Wreszcie w styczniu 1917 Niemcy oficjalnie obwieścili wznowienie działalności łodzi podwodnych, tym razem przeciwko wszystkim statkom, zarówno alianckim, jak neutralnym. Wojna podmorska była jednym z decydujących czynników, które zmobilizowały amerykańską opinię przeciwko Niemcom, przy czym *Lusitania*, jako pierwszy zatopiony statek aliancki, nabrała rangi symbolu.

cywilizacji i historycznym pięknie katedry w Rheims³⁴⁷. Oświadczył, że co do niego, to gotów jest spełnić swój obowiązek, gdy nadejdzie po temu pora, a jego zdaniem przystąpienie Ameryki do wojny jest kwestią miesięcy.

Często odwiedzała go w biurze elegancko ubrana kobieta. Janey patrzyła z zazdrością na jej delikatną cerę, zgrabne suknie, nie rzucające się w oczy a szykowne, starannie wymanikiowane paznokcie, małe stopy. Któregoś dnia drzwi do gabinetu zostały uchylone i słyszała, jak poufale rozmawia z J. Wardem.

- Ależ J.W. - mówiła - to twoje biuro jest wprost okropne. Wierz mi, kochany, jest urządzone dokładnie tak jak biura w Chicago na początku lat osiemdziesiątych.

Ward się śmiał.

- No, Eleonoro, to może byś je urządziła nowocześniej? Tylko wszystkie roboty musiałyby być zorganizowane tak, żeby nam nie przeszkadzały w pracy. Nie ma mowy o żadnych przeprowadzkach przy tym nawale interesów.

Janey nie posiadała się z oburzenia. Biuro jest bardzo przyjemne, urządzone z wyjątkowym smakiem, wszyscy to mówią. Ciekawa była, kim jest ta kobieta, która nabija Wardowi głowę takimi pomysłami. Następnego dnia, zmuszona wypisać czek na dwieście pięćdziesiąt dolarów dla firmy Stoddard i Hutchins, Dekoracja Wnętrz, o mały włos nie wygarnęła, co o tym sądzi. Ale ostatecznie to nie jej sprawa. Od tej pory panna Stoddard zdawała się nie opuszczać biura. Właściwe prace wykonywano w nocy, tak że codziennie rano Janey zastawała jakieś zmiany. Nowe wyposażenie było całe białe i czarne, z wyjątkiem zasłon i obić w zabawnym kolorze czerwonego wina. Janey wcale się to nie podobało, ale Gladys orzekła, że jest w bardzo nowoczesnym stylu i bardzo interesujące. Tylko pan Robbins nie dał tknąć swojego kąta i o mało się nie pokłócili o to z J. Wardem, ale w końcu postawił na swoim, a nawet rozeszła się plotka, że Ward musiał dać mu podwyżkę, bo pan Robbins zagroził przejściem do innej agencji.

W dniu Święta Pracy Janey się przeprowadziła. Żal jej było rozstania z Comptonami, ale poznała Elizę Tingley, osobę w średnim wieku, pracującą u adwokata na tym samym piętrze co biuro J. Warda. Eliza Tingley pochodziła z Baltimore, miała sama uprawnienia adwokackie i Janey uważała ją za kobietę światową. Do spółki z bratem bliźniakiem, który był dyplomowanym buchalterem, wynajęła całe piętro domu na Dwudziestej Trzeciej Zachodniej Ulicy, w rejonie Chelsea, i zaproponowała, żeby Janey zamieszkała wspólnie z nimi. Oznaczało to uwolnienie jej od dojazdów metrem, przy tym Janey czuła, że dobrze jej zrobi poranny spacer do Piątej Alei.

³⁴⁷ XIII-wieczna katedra Notre Dame w Reims, pamiętającym czasy rzymskie mieście Szampanii, to jeden z najwspanialszych zabytków gotyckiej architektury sakralnej. Niemcy zajęli Reims na tydzień w toku wrześniowej ofensywy 1914 roku, po czym musieli się wycofać, ale do końca wojny ostrzeliwali miasto z dział ustawionych na pobliskich wzgórzach. Zniszczeniu uległa znaczna część zabudowań, a katedra została poważnie uszkodzona, co było szeroko komentowane jako przejaw niemieckiego barbarzyństwa. Katedra, która była w dawnych wiekach tradycyjnym miejscem koronacji królów francuskich, została po wojnie orestaurowana (odtworzono nawet bezcenne witraże), w znacznej mierze dzięki hojnej dotacji Johna D. Rockefellera.

Zapałała sympatią do Elizy Tingley, gdy tylko ją pierwszy raz ujrzała w kafeterii na dole. Tingleyowie byli swobodni i nieskrępowani i Janey od razu poczuła się u nich jak w domu. Czasami wieczorem wypijali po kieliszku. Eliza dobrze gotowała i zwykle długo siedzieli przy obiedzie, a potem, przed pójściem do łóżka, grali we trójkę w brydża z dziadkiem. W sobotę prawie zawsze chodzili do teatru za zniżkowymi biletami, które Eddy Tingley dostawał ze znajomej agencji. Prenumerowali „Literary Digest”³⁴⁸, „Century”³⁴⁹ i „Dziennik Pani Domu”, a w niedzielę piekli na obiad kurczęta albo kaczkę i czytali dodatki „New York Timesa”.

Tingleyowie mieli szerokie znajomości, a że lubili Janey i nie zapominali o niej przy żadnej okazji towarzyskiej, nareszcie czuła, że prowadzi życie, jakiego pragnęła. Tej zimy krążyły bez przerwy elektryzujące pogłoski o wojnie. Zawiesili w salonie wielką mapę Europy i oznaczali codziennie małymi chorągiewkami pozycje wojsk alianckich. Byli duszą i sercem po stronie aliantów, na dźwięk takich nazw jak Verdun³⁵⁰ czy Chemin des Dames* ciarki przebiegały im po krzyżu. Eliza marzyła o podróżach i kazała sobie w kółko opowiadać o wyprawie Janey do Meksyku. Planowali, że po wojnie wybiorą się wspólnie za granicę, i Janey zaczęła nawet odkładać z tą myślą pieniądze. Kiedy Alice napisała, że się zastanawia, czyby nie zlikwidować swoich spraw w Waszyngtonie i nie przenieść się do Nowego Jorku, Janey odpisała, że kobiecie bardzo trudno jest w obecnej chwili znaleźć pracę w Nowym Jorku i nie wydaje jej się to najszcześniejszym pomysłem.

Przez całą jesień J. Ward chodził z bladą i zgnębiającą twarzą. Nabral zwyczaju spędzania niedzielnych popołudni w biurze i Janey z miłą chęcią biegała mu pomagać po obiedzie. Omawiali wydarzenia biurowe minionego tygodnia, po czym J. Ward dyktował jej mnóstwo prywatnych listów, mówił, że jest skarbem, i zostawiał ją uszczęśliwioną przy maszynie. Janey martwiła się wraz z mm. Bo chociaż ciągle napływały nowe zlecenia, sytuacja finansowa firmy była nie najlepsza. J. Ward poczynił kilka niefortunnych spekulacji na Wall Street i z trudem wiązał koniec z końcem. Zależało mu na spłaceniu wciąż jeszcze pokaźnego udziału starej pani Staple, wspominał również o jakichś

³⁴⁸ „Literary Digest” - to pismo założone w 1890 roku w Nowym Jorku, które cieszyło się dużą poczytnością pod redakcją Wilhama Seavera Woodsa w latach 1905-1933. Prezentowało aktualne wydarzenia i ludzi chwili, korzystając w znacznej mierze z przedruków z gazet i innych czasopism. W szczytowym okresie miało nakład 2 milionów egzemplarzy i było chętnie używane w szkołach do przybliżenia zagadnień współczesnych. W 1938 zostało kupione przez tygodnik „Times”.

³⁴⁹ „Century” („Wiek”) - to pismo ukazujące się w Nowym Jorku od roku 1874, w pewnych okresach pod rozszerzonym tytułem „The Century Illustrated Monthly Magazine” („Ilustrowany Magazyn Miesięczny Wiek”). Okres jego największej poczytności przypada na koniec XIX stulecia (200 tysięcy nakładu w 1890), kiedy było magazynem drukującym utwory najbardziej wziętych autorów wszelkich gatunków piśmiennictwa, zdobionym przez najbardziej renomowanych artystów. Później przybrało bardziej publicystyczny charakter, chociaż nie przestało prezentować również dobrej literatury. Ukazywało się do 1930.

³⁵⁰ Verdun - to miasteczko w północno-wschodniej Francji nad rzeką Meuse, stanowiące kluczowy punkt fortyfikacji wybudowanych na pograniczu z Niemcami po klęsce poniesionej przez Francję w wojnie 1871 roku. 21 lutego 1916 Niemcy przypuścili na miasto i fortecę zmasowany atak, który rozpoczął największą i najdłuższą, bo trwającą do grudnia, bitwę pierwszej wojny światowej. Po początkowych sukcesach, zdobyciu kilku okolicznych fortów, ale nie samego Verdun, Niemcy zmuszeni zostali do wycofania się ostatecznie na pozycje wyjściowe. Francuzi przyznali się oficjalnie do straty w bitwie o Verdun 350 tysięcy żołnierzy, Niemcy - 330 tysięcy, prawdopodobnie jednak straty były znacznie większe. Pomniejsze walki pozycyjne toczyły się później pod Verdun do końca wojny i szacuje się, że wzięło w nich po obu stronach udział ogółem 2 miliony żołnierzy, a milion poległo lub zostało rannych. Sam Dos Passos, służąc w Ochotniczym Korpusie Sanitarnym, jeździł pod Verdun po rannych podczas ofensywy alianckiej w sierpniu 1917 roku tak zwaną Voie Sacree (Świątą Drogą), ostrzeliwaną drogą długości ponad 50 kilometrów, stanowiącą jedyne połączenie fortu z

wekslach, które wpadły w ręce jego żony i które, obawiał się, mogą zostać użyte w nieodpowiedzialny sposób. Janey domyślała się, że jego żona musi być niemłą, zrędną kobietą, która wykorzystuje majątek matki jako sposób na utrzymanie Warda w szachu. Nigdy nie mówiła Tingleyom o jego osobistych sprawach, ale opowiadała dużo o firmie i obydwójce przyznawali, że ma bardzo ciekawą pracę. Nie mogła się doczekać Bożego Narodzenia, bo J. Ward napomknął, że da jej podwyżkę.

Pewnej deszczowej niedzieli pisała po południu pod dyktando poufny list do sędziego Planeta, do którego miała załączyć sprawozdanie agencji detektywistycznej o działalności agitatorów związkowych wśród górników stanu Kolorado, kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

- Kto to może być? - zapytał J. Ward, który spacerował ze zmarszczonymi brwiami przed biurkiem, wpatrzony w wyglansowane czubki swoich butów.

W jego głosie było zaskoczenie i jakby zdenerwowanie.

- Może pan Robbins zapomniał klucza - odparła Janey.

Poszła zobaczyć. Kiedy jednak otworzyła, do biura wsunęła się pani Moorehouse. Była w mokrym płaszczu nieprzemakalnym, z parasolką w ręku, miała bladą twarz i drgające nozdrza. Janey zamknęła delikatnie drzwi i wróciła do swego biurka. Wytrąciło ją to z równowagi. Wzięła ołówek i zaczęła rysować spirale dokoła arkusza papieru maszynowego. Chcąc nie chcąc słyszała, co się dzieje w gabinecie J. Warda, dokąd pani Moorehouse wpadła trzaskając oszklonymi drzwiami.

- Ward, nie zniosę tego, nie zniosę tego ani chwili dłużej! - krzyczała na cały głos.

Serce biło Janey bardzo szybko. Usłyszała głos J. Warda, cichy i pojednawczy, potem znowu panią Moorehouse:

- Nie pozwolę się tak traktować, oświadczam ci. Nie jestem dzieckiem, żeby mnie tak traktować. Wykorzystujesz mój stan. Moje zdrowie nie pozwala na takie traktowanie.

- Ależ posłuchaj, Gertrudo - mówił J. Ward. - Na honor dżentelmena, nie ma w tym absolutnie nic, Gertrudo. Leżysz w łóżku i różne myśli przychodzą ci do głowy. Nie powinnaś tu tak wpadać. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, mam na głowie poważne transakcje, które wymagają całkowitego spokoju.

To faktycznie oburzające, powtarzała w duchu Janey.

- Do dziś siedziałbyś w Pittsburghu i pracował w Towarzystwie Bessemerowskim, Ward, gdyby nie ja. Doskonale wiesz. Możesz gardzić mną, ale pieniędzmi ojca nie gardzisz. Mam już tego dosyć, mówię ci, występuję o rozwód.

- Ależ, Gertrudo, dobrze wiesz, że nie ma żadnej innej kobiety w moim życiu.

- A ta osóbką, z którą się wszędzie afiszujesz, ta... jak jej tam., panna Stoddard? Widzisz, wiem więcej, niż przypuszczasz. Nie jestem kobietą, za jaką mnie uważasz, Ward. Nie pozwolę z

siebie robić idiotki, słyszysz?

Głos pani Moorehouse przeszedł w chrypiący pisk. Widocznie nerwy odmówiły jej posłuszeństwa, bo Janey usłyszała szloch.

- Ależ, Gertrudo - rozległ się uspokajający głos Warda - unosisz się zupełnie bez powodu. Z Eleonorą Stoddard załatwiałem kilka interesów. Jest inteligentna, uważam ją za interesującą osobę... intelektualnie, jeśli mnie dobrze rozumiesz... Zjedliśmy kilka razy wspólnie obiad, zwykle w większym towarzystwie, i absolutnie nic...

W tym miejscu zniżył głos, tak że Janey nie słyszała dalszych słów. Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna wyjść po cichu. Nie wiedziała, co robić. Już miała wstać, gdy rozległ się znowu histeryczny krzyk pani Moorehouse:

- Och, jesteś zimny jak ryba. Tak, jesteś zimną rybą. Wolałabym już, żeby to była prawda, żebyś miał z nią romans. Zresztą to obojętne, tak czy inaczej nie pozwolę się dłużej używać do wyłudzenia pieniędzy ojca.

Drzwi gabinetu się otworzyły i stanęła w nich pani Moorehouse. Zmierzyła Janey gorzkim wzrokiem, jakby i ją podejrzewała o intymne stosunki z Wardem, po czym wyszła. Janey siedziała dalej przy biurku, starając się przybrać obojętny wyraz twarzy. Słyszała, jak Ward spaceruje ciężkim krokiem po gabinecie. W końcu zawołał słabym głosem:

- Panno Williams.

Wstała i weszła do gabinetu, z ołówkiem i notesem w ręce. J. Ward zaczął dyktować, jak gdyby nigdy nic, ale w połowie listu do prezesa Towarzystwa Karbidowego Ansonia zaklął nagle: - Niech to wszyscy diabli! - i kopnął kosz do śmieci tak, że ten poleciał pod ścianę.

- Przepraszam, panno Williams, wytrąciło mnie to z równowagi. Mogę chyba liczyć, że nie wspomni pani o tym nikomu? Rozumie pani, moja żona jest niezupełnie zdrowa, choruje od czasu urodzenia ostatniego dziecka... Wie pani, to się zdarza u kobiet.

Janey podniosła oczy. Zbierało jej się na płacz.

- Och, proszę pana. Jak pan mógł pomyśleć, że nie zrozumieć? To musi być dla pana okropne... Ta praca jest taka przyjemna i taka interesująca...

Nie mogła wykrztusić słowa więcej. Wargi odmawiały jej posłuszeństwa.

- Panno Williams - podjął J. Ward - doceniam, ee, w pełni doceniam pani...

Podniósł z ziemi kosz. Janey rzuciła się i zaczęła wraz z nim zbierać rozsypane papiery i śmieci. Od schylania się krew nabiegła Wardowi do twarzy.

- Wielka odpowiedzialność... Taka jedna nieodpowiedzialna kobieta może narobić cholerniej szkody, rozumie pani.

Janey kiwała głową.

- No, to na czym stanęliśmy? Skończmy z tym i chodźmy do domu.

Postawili kosz pod biurkiem i wrócili do listów. Przez całą drogę do Chelsea, omijając rozmokłe błoto i kałuże, Janey rozmyślała, w jaki sposób należało dać Wardowi do zrozumienia, że cokolwiek się stanie, całe biuro będzie po jego stronie. W domu Eliza poinformowała ją, że dzwonił jakiś mężczyzna.

- To jakiś nieokrzesany typ. Nie chciał powiedzieć, kto mówi, kazał ci tylko powtórzyć, że dzwonił Joe i że zadzwoni jeszcze raz.

Janey czuła na sobie badawcze spojrzenie Elizy.

- To pewnie mój brat Joe. Jest... pływa na statkach handlowych.

Wieczorem przyszli znajomi Tmgleyów, były dwa stoliki brydża i wszyscy świetnie się bawili, kiedy zadzwieczał znowu telefon. Dzwonił Joe. Rozmawiając z nim, Janey czuła, że stoi cała w pąsach. Nie mogła go zaprosić do domu, a chciała się z nim zobaczyć. Partnerzy wołali, żeby wracała do gry. Joe oznajmił, że właśnie przyjechał, że był w Flatbush i Żydki powiedziały mu, że Janey mieszka teraz w Chelsea, że przywiózł dla niej prezenty i że dzwoni ze sklepu tytoniowego na rogu Ósmej Alei. Partnerzy znowu wołali. Niewiele się zastanawiając, Janey powiedziała, że jest bardzo zajęta, ma pilną pracę i czy Joe nie mógłby przyjść po nią jutro o piątej pod biuro. Zapytała jeszcze raz, jak się miewa, on zaś odparł, że świetnie, ale w jego głosie dzwieczał żal. Kiedy wróciła do stolika, wszyscy zaczęli jej dokuczać, że ma chłopca, a ona śmiała się i płoniła, ale w głębi duszy czuła się podle, że go nie zaprosiła do domu.

Następnego dnia padał śnieg. Wsiadłszy o piątej z zatłoczonej windy, rozejrzała się niecierpliwie po westybulu. Joego nie było. Dopiero żegnając się z Gladys ujrzała go przez drzwi. Stał na ulicy, z rękami ukrytymi głęboko w kieszeniach granatowej marynarskiej kurtki. Grube płaty śniegu wirowały dokoła jego twarzy, która była ogorzała, pobrużdżona i czerwona.

- Czołem, Joe - powiedziała.

- Czołem, Janey.

- Dawno przyjechałeś?

- Będzie już parę dni.

- Zdrów jesteś, Joe? Jak się czujesz?

- Głowa mi pęka. Zaperfumowałem się wczoraj.

- Joe, tak mi przykro za wczoraj, ale było akurat mnóstwo ludzi, a chciałam się z tobą zobaczyć sam na sam, żebyśmy mogli porozmawiać.

Joe chrząknął.

- Dobra, dobra, Janey. Rany, ale morowo wyglądasz. Jakby mnie chłopaki zobaczyli, toby pomyśleli, że przygruchałem klasa dzidzię.

Janey czuła się nieswojo. Joe miał na nogach ciężkie buty robocze, spodnie poplamione szarą farbą. Pod pachą ścisnął paczkę zawiniętą w gazetę.

- Chodźmy gdzieś na dobrą wyzerkę. Jezuniu, przykro mi, że się nie wystafirowałem, ale, kapujesz, diabli wzięli cały majdan, jak zostaliśmy storpedowani.

- Znowu zostaliście storpedowani? Joe się roześmiał.

- Jasne. Koło Cape Race. To ci życie, co? Drugi raz nas przyuważyli. Ale szal dla ciebie przywiozłem, jak Boga kocham, przywiozłem... Już wiem, gdzie pójdziemy, do Liichowa.

- Na Czternastą Ulicę? Czy to trochę...

- Nie, jest sala dla pań. Janey, nie przypuszczasz chyba, że bym cię targał do jakiejś zakazanej speluny?

Kiedy przechodzili przez Union Square, jakiś obdarty młody mężczyzna w czerwonym swetrze zawołał: „Hey, Joe!”. Joe zostawił Janey i rozmawiali chwilę głowa przy głowie. W końcu Joe wsunął młodemu człowiekowi banknot i powiedział: „To na razie, Teks” i dogonił Janey, która szła niepewnie naprzód. Nie podobała jej się Czternasta Ulica po zapadnięciu zmroku.

- Kto to był, Joe?

- Taki jeden. Marynarz, poznałem go kiedyś w Nowym Orleanie. Wołało się na niego Teks, nawet nie wiem, jak się nazywa. Bryndza u chłopaka.

- Byłeś w Nowym Orleanie? Joe kiwnął głową.

- No, po ładunek melasy. Łajba się nazywała Henry B. Higginbotham, ale myśmy to przekreślić na Pigginbottom. I przejechała się tym świńskim tyłkiem po dnie Grand Banks³⁵¹.

Gdy weszli do restauracji, maitre d'hotel zmierzył ich ostrym wzrokiem i posadził przy narożnym stoliku w małej bocznej salce. Joe zamówił obfitą kolację z piwem, którego Janey nie lubiła, tak że Joe musiał wypić za nią i za siebie. Kiedy Janey opowiedziała mu wszystko o rodzinie, swojej pracy, którą tak lubi, o podwyżce, której oczekuje na Boże Narodzenie, o Tingleyach, którzy są dla niej tacy mili i z którymi tak dobrze jej się mieszka, nie bardzo mieli o czym rozmawiać. Joe kupił bilety do Hipodromu³⁵², ale było jeszcze dużo czasu do przedstawienia. Siedzieli milcząc nad kawą i Joe ćmił cygaro. W końcu Janey powiedziała, że to klęska z tą pogodą, okropnie musi być biednym żołnierzom w okopach, i co to za barbarzyńcy z tych Szwabów, zatopili Lusitanię, i jaki niemądry był ten pomysł Henry Forda z Okrętem Pokoju³⁵³. Joe parsknął na to dziwnym, urywanym

³⁵¹ Grand Banks (ang. Wielkie Ławice) - to płytki rejon Atlantyku u południowych wybrzeży Nowej Fundlandii.

³⁵² Hipodrom (Hippodrome) - to największy wówczas teatr Nowego Jorku (mogący pomieścić 5 tysięcy osób), otwarty w 1905 roku na Manhattanie, na Szóstej Alei między Czterdziestą Trzecią a Czterdziestą Czwartą Ulicą; słynął z wielkich widowisk o bogatej wystawie.

³⁵³ Tak zwany Okręt Pokoju (Peace Ship), wynajęty parowiec *Oscar II*, wypłynął z Hoboken w stanie New Jersey 5 grudnia 1915. Organizatorem i fundatorem propagandowego rejsu był magnat przemysłu automobilowego Henry Ford (1863-1947), pozyskany przez pacyfistkę pochodzenia węgierskiego, Rosikę Schwimmer (1877-1948), na rzecz międzynarodowej akcji zmierzającej do pogodzenia walczących stron, tak by „chłopcy wyszli na Boże Narodzenie z okopów”. Rejs nawiązywał do cieszącego się niejakim poparciem w Stanach planu nieustającej mediacji pokojowej, zainicjowanego przez głośną działaczkę społeczną Jane Addams (1860-1935), późniejszą (w 1931) laureatkę Pokojowej Nagrody Nobla, która niedawno powróciła z Hagi, gdzie przewodniczyła zjazdowi Międzynarodowej Kobiecej Ligi Pokoju. Głównym założeniem planu było utworzenie w neutralnym kraju stałego komitetu grupującego wybitne osobistości, który by tak długo wysuwał inicjatywy pokojowe, aż wreszcie któraś z nich zostałaby przyjęta przez walczące strony. Z myślą o tym na pokładzie statku wypłynęło 83 delegatów do przyszłego komitetu oraz 50-osobowy sekretariat. Jednakże całe przedsięwzięcie, bezlitośnie ośmieszona przez prasę, nie pozyskało poparcia wpływowych osobistości, na jakie liczył Ford, i w rezultacie skończyło się kompletnym fiaskiem. On sam usunął się w cień, gdy

śmiechem, który gdzieś nabył, i powiedział:

- Pomyśl lepiej o biednych marynarzach, którzy są na morzu w taką noc.

Wstał i poszedł po nowe cygaro. Że też pozwolił sobie tak wygolić kark, pomyślała Janey. Szyję miał całą czerwoną i pełną drobniutkich zmarszczek. Uświadomiła sobie, jakie ciężkie życie prowadzi, i kiedy wrócił, spytała, dlaczego nie poszuka innej pracy.

- W stoczni, myślisz? Chłopaki teraz zbijają ciężką forszę w stoczni. Ale forsa frajer, Janey, ja tam wolę się powłóczyć. Czego nie robi się dla doświadczenia, jak powiedział jeden facet, któremu urwało głowę.

- Nie o tym myślałam. W moim własnym biurze są chłopcy bez porównania mniej inteligentni od ciebie, a mają przyjemną, czystą pracę, no, i jakąś przyszłość przed sobą.

- Och, moją przyszłość już dawno diabli wzięli - po wiedział Joe ze śmiechem. - Mógłbym pojechać do Perth Amboy, do fabryki zbrojeniowej, ale jak już mam wylecieć w powietrze, to wolę na morzu, no nie?

Janey zaczęła się rozwodzić o wojnie i oświadczyła, że Ameryka powinna do niej przystąpić, że jej obowiązkiem jest ratować cywilizację i pomóc biednej, malej, bezradnej Belgii.

- Skończ te brednie, Janey - powiedział Joe, ucinając dyskusję gestem czerwonej dłoni.

- Wy tu nic nie rozumiecie, kapujesz? Ta cała cholerna wojna to jedna wielka granda od początku do końca. Dlaczego na przykład nie torpedują statków francuskich? Bo Żabojady dogadały się z Frycami, że jak Fryce zostawią w spokoju ich łajby, to oni nie będą im ostrzeliwali fabryk za frontem. Co nas to wszystko obchodzi? Albo nam to źle siedzieć na tyłkach, sprzedawać broń i patrzeć, jak się jedni z drugimi biorą za łby? Myślisz, że w Bordeaux, w Tuluzie, w Marsylii różne bubki me robią grubej forsy na tym, że ich własni bracia wypruwają sobie flaki na froncie? Anglicy też nie lepsi. Mówię ci, Janey, ta cała wojna to jedna wielka granda, tak jak wszystko na tym cholernym świecie.

Janey się rozplakała.

- Przepraszam, siostrzyczko - powiedział Joe potulnie. - Faktycznie, lump jestem i tyle. Nie pasuję do takiej szykownej dziewczyny jak ty.

- Co ty, Joe, nie to miałam na myśli - odrzekła Janey ocierając oczy.

- O rany! Zapomniałem ci pokazać szale. Rozwinął paczkę i na stół wypadły dwa hiszpańskie szale, jeden czarny koronkowy, drugi zielony jedwabny, haftowany w wielkie kwiaty.

- Och, Joe, nie powinienes mi dawać obydwu. Powinienes jeden schować dla swojej dziewczyny.

- To nie są rzeczy dla dziewczyn, z którymi się włóczę, Janey. Kupiłem je dla ciebie.

Janey musiała przyznać, że szale są prześliczne, i postanowiła jeden dać Elizie Tingley.

Poszli do Hipodromu, ale bawili się nieszczególnie. Janey nie przepadała za tego rodzaju

widowiskami, Joe zaś przez cały czas zasypiał. Kiedy wyszli z teatru, był trzaskający mróz. Na Szóstej Alei zaczął ziarnisty śnieg, niemal przesłaniając wiadukt kolei nadziemnej. Joe odwiózł ją do domu taksówką i pożegnał pod drzwiami krótkim: „To na razie, Janey”. Stała przez chwilę na schodach, z kluczem w ręce, i patrzyła, jak się oddala w stronę Dziesiątej Alei i zachodnich nabrzeży, z głową schowaną w kołnierz kurtki.

Tej zimy na Piątej Alei dzień w dzień powiewały flagi. Janey pilnie czytała gazetę przy śniadaniu. W biurze mówiło się o niemieckich szpiegach, łodziach podwodnych, okrucieństwach i propagandzie. Któregoś dnia rano do J. Warda przyszła francuska delegacja wojskowa, przystojni bladzi oficerowie w niebieskich frenczach z odznaczeniami i w czerwonych spodniach. Najmłodszy był o kulach. Wszyscy odnieśli ciężkie rany na froncie. Kiedy wyszli, Janey o mało nie przemówiła się z Gladys, która oświadczyła, że oficerowie to banda próżniaków i dekonników i że chciałaby zobaczyć delegację prostych żołnierzy. Janey zastanawiała się, czy nie powinna powiedzieć J. Wardowi o progermańskim nastawieniu Gladys, czy nie wymaga tego od niej patriotyzm. Comptonowie mogą być szpiegami, czyż nie występują pod przybranym nazwiskiem? Ten cały Benny jest socjalistą albo czymś jeszcze gorszym, dobrze o tym wiedziała. Postanowiła mieć oczy otwarte.

Tego samego dnia przyjechał G.H. Barrow i Janey siedziała przez cały czas jego wizyty w gabinecie J. Warda. Panowie rozmawiali o prezydencie Wilsonie, neutralności, kursach giełdowych i opóźnionym doręczeniu noty w sprawie Lusitanii. G.H. Barrow był na audiencji u prezydenta jako członek komisji prowadzącej mediacje między kolejami a bractwami grożącymi strajkiem. Janey podobał się teraz bardziej niż w drodze powrotnej z Meksyku. Spotkawszy go w hallu, kiedy wychodził z biura, nie wzbraniała się przed rozmową i przyjęła zaproszenie na obiad. Czuła się bardzo frywolnie.

Odtąd, przez cały czas swego pobytu w Nowym Jorku, G.H. Barrow zabierał ją na obiady i do teatrów. Janey świetnie się bawiła, a jeśli odwoząc ją do domu zaczynał sobie pozwalać w taksówce na zbytne poufałości, osadzała go uwagą o Queenie. Nie mógł się połapać, skąd o niej wie, ale opowiedział jej historię całego romansu i jak ta bezwstydną kobietą próbowała potem wymuszać od niego pieniądze. Ale teraz nic mu już nie robi, oświadczył, bo się rozwiódł z żoną. Następnie, zażądawszy od Janey przysięgi, że nie piśnie nikomu słówka, wyjaśnił, że dzięki pewnemu kruczkowi prawnemu miał jednocześnie dwie żony, Queenie była jedną z nich, ale rozwiódł się już z obydwoma i Queenie nie mogłaby mu absolutnie nic zaszkodzić, gdyby nie musiał się liczyć z prasą, która tylko czyha na jakiś skandal, szczególnie gdy chodzi o liberała tak jak on oddanego sprawie robotniczej. Potem zaczął perorować o sztuce życia i wyraził pogląd, że kobiety w Ameryce nie mają o mej pojęcia, przynajmniej kobiety pokroju Queenie. Janey mu współczuła, lecz kiedy jej zaproponował małżeństwo, prychnęła śmiechem i powiedziała, że musi

najpierw zasięgnąć porady adwokata. Opowiedział jej całe swoje życie, jak cierpiał nędzę w dzieciństwie, jak potem był zawiadowcą, spedytorem i konduktorem na kolei, z jakim zapałem pracował dla sprawy Bractwa Kolejarzy i jak artykułami demaskującymi warunki na kolei dorobił się rozgłosu i pieniędzy, a jego dawni towarzysze uznali, że ich sprzedał, co, Bóg mu świadkiem, jest wierutnym kłamstwem.

Wróciwszy do domu, Janey nie omieszkała poinformować Tingleyów o oświadczeniach, nie wspomniała jednak przezornie o Queenie i o bigamii. Śmiali się razem i żartowali z tego, i Janey promieniała zadowoleniem, że oświadczył jej się człowiek tak ustosunkowany. Zastanawiała się, dlaczego tracą dla niej głowę tacy interesujący mężczyźni, musiała jednak w duchu przyznać, że wszyscy jakoś mają ten rozwiąły wygląd. Ale nie wiedziała sama, czyby chciała wyjść za G.H. Barrowa. Następnego dnia zajrzała rano w biurze do Who Is Who i znalazła jego nazwisko: „BARROW, George Henry - publicysta...”. Nie wydawało jej się jednak, by mogła go kiedykolwiek pokochać.

Tego dnia J. Ward przyszedł do biura przygnębiony. Sprawiał wrażenie chorego i Janey tak się go zrobiło żal, że zapomniała zupełnie o G.H. Barrowie. Została poproszona do gabinetu na poufną konferencję Warda z panem Robbinsem oraz irlandzkim adwokatem nazwiskiem O'Grady i panowie zapytali, czyby nie miała nic przeciwko wynajęciu na jej nazwisko sejfu w celu przechowania pewnych walorów oraz otworzeniu jej prywatnego konta w Truście Bankowym. Zakładają nową spółkę, wyjaśnili, a Janey chyba rozumie, zaszły pewne okoliczności, w których tego rodzaju kroki mogą się okazać nieodzowne. Pan Robbins i J. Ward zostaną posiadaczami większej części akcji nowej firmy, ale będą zatrudnieni na pensji. Pan Robbins, przejęty i lekko wstawiony, zapalał jeden po drugim papierosy, które odkładał na brzeg biurka, i raz po raz powtarzał:

- Wiesz dobrze, J.W., że cokolwiek postanowisz, ja się na wszystko zgodzę.

J. Ward wyjaśnił, że Janey wejdzie do zarządu nowej spółki, ale oczywiście nie będzie za nic osobiście odpowiedzialna. Jak się okazało, stara pani Staple wystąpiła przeciw niemu z powództwem o zwrot większej sumy, żona zaś rozpoczęła kroki rozwodowe w Pensylwanii i nie pozwala mu przyjeżdżać do domu ani widywać się z dziećmi, tak że Ward był zmuszony zamieszkać w hotelu McAlpin.

- Gertruda upadła na głowę - orzekł pan Robbins jowialnie i trzepnął J. Warda po plecach. - Wygląda, że kości zostały rzucone - huknął - ale to nie powód, żeby rezygnować z lunchu. Człowiek musi jeść, no i pić, nawet jeśli mu grozi bankructwo.

J. Ward popatrzył na niego krzywym okiem, ale się nie odezwał, Janey zaś stwierdziła w duchu, że to okropny brak taktu wykrzykiwać takie rzeczy na cały głos.

Wracając wieczorem do domu zaszła do urzędu telegraficznego na Dwudziestej Trzeciej Ulicy i zadeszowała do G.H. Barrowa, który wyjechał do Waszyngtonu: „POZOSTAŃMY

PRZYJACIÓŁMI”. W domu oznajmiła Tingleyom, że będzie jednym z dyrektorów nowej spółki, a Tingleyowie orzekli, że to cudownie, awansuje tak szybko, i że stanowczo powinna zażądać podwyżki, chociaż interesy stoją chwilowo nie najlepiej. Janey uśmiechnęła się i powiedziała:

- Na wszystko przyjdzie czas.

Eddy Tingley wyciągnął butelkę sherry i przy kolacji wzniesli z Elizą toast: „Za nowo upieczonego dyrektora!”. Janey stanęła w pąsach, ale była bardzo zadowolona. Potem grali w brydża z dziadkiem.

hala³⁵⁵ była zatłoczona przed nią na Madison Square pełno policji wołali rozchodzić się rozchodzić specjalne ekipy przetrząsały miasto w poszukiwaniu bomb

nie mogliśmy znaleźć miejsca więc wbiegliśmy po schodach na jaskółkę patrzyliśmy w dół w niebieską przestrzeń na głowy zbite jak żwir i nad nimi na trybunie małe czarne figurki przemawiał jakiś mężczyzna ilekroć powiedział wojna rozlegały się gwizdy ilekroć powiedział Rosja buchały oklaski na cześć rewolucji nie wiedziałem kto to jest ktoś powiedział że Max Eastman³⁵⁶ ktoś inny że jakiś inny facet ale klaskaliśmy i wiwatowaliśmy na cześć rewolucji wygwizdywaliśmy Morgana i kapitalistyczną wojnę aż znalazł się szpicel zaglądał nam w twarze jakby nas chciał zapamiętać

potem pojechaliśmy do Bronx Casino posłuchać Emmy Goldman³⁵⁷ ale policja nie dopuściła do mitingu wszystkie okoliczne ulice były pełne ludzi krążyły karetki krążyły wśród tłumu ludzie mówili że są pełne glin z karabinami maszynowymi potem nadjechały małe fordysy policyjne z reflektorami natarli fordami na tłum świecili reflektorami wszyscy mówili o karabinach maszynowych rewolucji swobodach obywatelskich wolności słowa ale coraz to ktoś wlażył glinie w drogę i obrywał pałką a potem wpychali go do wozu policyjnego policjanci mieli dusze na ramieniu wołali że sprowadzą straż pożarną żeby rozprędziła tłum i wszyscy mówili że to hańba co by

³⁵⁴ Oko kamery (26) jest wspomnieniem z okresu między lutym a czerwcem 1917 roku, kiedy Dos Passos, na wieść o śmierci ojca, wrócił do USA z Hiszpanii, a potem czekał na ponowny wyjazd do Europy, tym razem z Amerykańskim Ochotniczym Korpusem Sanitarnym. Po latach studenckiego „życia pod kloszem”, początkujący pisarz przeżywał okres młodzieńczego buntu przeciw uświęconym autorytetom, instytucjom publicznym i niesprawiedliwości społecznej, tym ostrzejszy że przypadł na czas, gdy Nowy Jork kipiał protestami przeciwko udziałowi Stanów w wojnie europejskiej, do której przystąpiły 6 kwietnia, i przeciwko związanemu z tym ograniczaniu swobód obywatelskich. Jednakże jego bunt nie był pozbawiony ducha chłopięcej przekory, miał w sobie coś z szukania przygody i zabawy przez dwudziestolatka, który się wyrwał spod kurateli. Świadczy o tym chociażby taki fragment listu do przyjaciela, Rumseya Marvina, z 5 czerwca: „... moją jedyną rozrywką jest ostatnio chodzenie na mityngi anarchistów i pacyfistów - Emmy Goldman itp. Kupa śmiechu, zapewniam cię. Noszę się z myślą zostania rewolucjonistą”.

³⁵⁵ Hala, o której tu mowa, to Madison Square Garden, ogromny kompleks sportowo-widowiskowy, wybudowany według projektu Stanforda White'a, otwarty w 1890 roku i zajmujący cały kwartał miejski między Madison Avenue a Czwartą Aleją i Dwudziestą Szóstą a Dwudziestą Siódmą Ulicą. Wynajmowany był na wielkie zawody sportowe, widowiska cyrkowe, wiece i rozmaite inne imprezy. Główny amfiteatr kompleksu mógł mieć od 8 do 17 tysięcy miejsc siedzących zależnie od tego, czy organizowano widowisko w rodzaju konkursu hippicznego lub pokazu ekwipaży, czy meczu bokserskiego, oprócz tego kompleks zawierał dwa teatry, największą restaurację w mieście, pasaż handlowe, teatr letni na dachu, wieżę o kilku kondygnacjach atelier artystycznych.

³⁵⁶ Max Eastman (1883-1969) - to poeta, krytyk i eseista, wykładowca filozofii i psychologii na Uniwersytecie Columbia, który po wybuchu wojny zaangażował się w radykalną działalność polityczną. Od roku 1912 redagował błyskotliwy lewicujący magazyn społeczno-literacki, „The Masses” („Masy”), który został w 1917 roku zawieszony za propagandę antywojenną. Eastman, postawiony wraz ze współpracownikami przed sądem, lecz niewinny, założył w 1918 już zdecydowanie marksistowskie pismo, „The Liberator” („Wyzwoliciel”), które redagował do 1922. Lata 1922-1924 spędził w Związku Sowieckim, skąd wrócił rozczarowany, czemu poświęcił kilka krytycznych książek. Zerwał odtąd z ruchem lewicowym i poświęcił się działalności literackiej.

³⁵⁷ Emma Goldman (1869-1940) - to anarchistka urodzona w Kownie, która imigrowała do Ameryki w 1886 roku i po paru latach zasłynęła jako radykalna agitatorka. Po raz pierwszy została aresztowana w Nowym Jorku i skazana na rok więzienia w 1893 pod zarzutem podżegania do rozruchów. Po zwolnieniu podjęła tury odczytowe po Europie i Stanach. W latach 1906-1917 redagowała i wydawała wspólnie z anarchistą urodzonym w Wilnie, Alexandrem Berkmanem (1870-1936), miesięcznik anarchistyczny „Mother Earth” („Matka Ziemia”). W 1916 została aresztowana za propagowanie świadomego macierzyństwa, w 1917, wraz z Berkmanem, za nawoływanie do oporu przeciwko mobilizacji. Po dwuletnim więzieniu zostali oboje w 1919 deportowani do Związku Sowieckiego. Początkowo gorąca zwolenniczka reżimu komunistycznego, Emma Goldman wkrótce przeobraziła się w gwałtownego krytyka jego polityki i została z kolei deportowana z ZSRR. W 1923 opublikowała książkę pt. *My Disillusionment in Russia (Moje rozczarowanie w Rosji)*. W latach 1936-1939, podczas wojny hiszpańskiej, prowadziła w Londynie i Madrycie działalność na rzecz rządu republikańskiego. Dos Passos wspomina spotkanie z nią w innym liście do Rumseya Marvina z czerwca tegoż 1917 roku: „Czy Ci pisałem, że jakiś czas temu siedziałem obok stolika Emmy Goldman w kawiarni u Brevoorta? Było to cudowne - ludzie, z którymi byłem, znali wiele osób z jej otoczenia i stanowiliśmy niejako zewnętrzny krąg jej sławy. Jest niską, tęgawą kobietą w typie matrony z Bronxu, wygląda, jakby umiała dobrze gotować. Ma czarujący

powiedział Waszyngton, Jefferson albo Patrick Henry³⁵⁸?

potem pojechaliśmy do Brevoorta gdzie było znacznie przyjemniej przychodził każdy kto był kimś była Emma Goldman jadła kielbaski i kapustę kwaszoną wszyscy patrzyli na nią i na każdego kto był kimś wszyscy byli za pokojem kooperatywną wspólnotą i rewolucją rosyjską rozmawialiśmy o czerwonych sztandarach barykadach i odpowiednich stanowiskach dla karabinów maszynowych

wypiliśmy parę kieliszków zjedliśmy parę grzanek z topionym serem zapłaciliśmy i poszliśmy do domu otworzyliśmy zatrask w drzwiach włożyliśmy piżamę i wsunęliśmy się do łóżka w łóżku było wygodnie

³⁵⁸ sposób chrupania kanapek, a swoich giermków głaszcze po głowie i całuje po matczyemu”. Patrick Henry (1736-1799) należał - obok bardziej znanych George’a Washingtona (1732-1799) i Thomasa Jeffersona (1742-1826) - do głównych bojowników o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Pamiętany jest szczególnie jako płomienny orędownik swobód obywatelskich. Sławne są jego słowa: „I know not what course others may take, but as for me, give me liberty or give me death!” („Nie wiem, jaką drogę mogą obrać inni, lecz co do mnie, dajcie mi wolność lub dajcie mi śmierć!”). Sprawował urząd gubernatora Wirginii w latach 1776-1779 i 1784-1786, odmawiał jednak objęcia urzędu federalnego, argumentując, że konstytucja Zjednoczonych Stanów, przeciwko której przyjęciu zresztą głosował, ogranicza prawa poszczególnych kolonii. Inaczej Washington, który był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych w latach 1789-1797, i Jefferson, który był wiceprezydentem w latach 1797-1801 i trzecim prezydentem w latach 1801-1809.

KRONIKA XVIII

Do widzenia, Piccadilly, do zobaczenia, Leicester

Square,

Daleka dro-oga do Tipperary

ŻONA PRZYŁAPAŁA MĘŻA Z DZIEWCZYNKĄ W HOTELU

takiemu zadaniu poświęcimy nasze życie, i nasze majątki, wszystko, czym jesteśmy, i wszystko, co posiadamy, z dumą ludzi, którzy rozumieją, że nadszedł dzień, gdy Ameryka dostąpi zaszczytu złożenia ofiary ze swojej krwi i swojej potęgi za zasady, które jej dały początek, szczęście i pokój strzeżony jak największy skarb. Bóg nam świadkiem, że nie możemy uczynić nic

Daleka dro-oga do Tipperary, Kiedy tam wrócę, któż to wie. Daleka dro-oga do Tipperary, Tam moja miła czeka mnie

STRZEŻCIE SIĘ, ZDRAJCY

CZTEREJ UKARANI GRZYWNĄ W EVANSTON ZA ZABIJANIE PTAKÓW

WILSON CHCE PRZEFORSOWAĆ POBÓR³⁵⁹

spekulanci podbijają ceny konserw wniosek o prohibicję³⁶⁰ w całych Stanach na czas wojny wnosi skargę przeciwko ludziom, którzy ignorują hymn narodowy

JOFFRE³⁶¹ DOMAGA SIĘ NIEZWŁOCZNIE WOJSKA

SPRAWA MOONEYA³⁶² PORUSZYŁA OPINIĘ

Do widzenia, Picadilly, do zobaczenia, Leicester Square, Daleka dro-oga do Tipperary, Tam serce moje wciąż się rwie

³⁵⁹ Prezydent Woodrow Wilson przeforsował ustawę o przymusowym poborze do wojska 17 maja 1917 roku. Stany Zjednoczone opierały się w całej swojej historii na zaciągu ochotniczym, a przymusowy pobór wprowadziły uprzednio tylko raz, podczas wojny secesyjnej lat 1861-1865. W Kongresie napotkał na ostry sprzeciw m.in. Bryana, który liczył na milion ochotników, oraz zwolenników byłego prezydenta Roosevelta, który chciał jak podczas wojny hiszpańskiej sformować pod swoim dowództwem ochotniczą dywizję kawalerii (o jego akcji w tej sprawie jest dalej wzmianka w tej samej Kronice XVIII). Obowiązek rejestracji nałożono na wszystkich mężczyzn między 21 a 30 rokiem życia (później rozszerzono go na mężczyzn między 18 a 45 rokiem). Z 24 milionów zarejestrowanych w ten sposób, drogą losowania powołano do służby 2 i pół miliona. Przyjmowano również ochotników.

³⁶⁰ Prohibicja, czyli zakaz produkcji i sprzedaży napojów alkoholowych, obowiązywała w niektórych stanach USA już od połowy XIX wieku. Ruch prohibicyjny, wzmagający się od początku XX stulecia, nabrał impetu podczas wojny i doprowadził do przegłosowania przez Kongres 22 grudnia 1917 ustawy prohibicyjnej. Ustawa ta, w formie 18-tej poprawki do konstytucji, zabraniającej „produkcowania, sprzedaży i transportu napojów wysokowych”, została jednak ratyfikowana przez wszystkie stany i nabrała ogólnie obowiązującej mocy dopiero w styczniu 1919. Prohibicja obowiązywała w Stanach Zjednoczonych do grudnia 1933, kiedy to została zniesiona na mocy 21-szej poprawki do konstytucji, anulującej poprawkę 18-tą. Powodem zniesienia była faktyczna niemożność egzekwowania ustawy prohibicyjnej w praktyce oraz fala zorganizowanej przestępczości, jaką ona niosła.

³⁶¹ Generał (później marszałek) Joseph Jacques Cesaire Joffre (1852-1931) był od roku 1911 głównodowodzącym armii francuskiej. Stał się bohaterem narodowym, gdy we wrześniu 1914 roku, podczas tak zwanej pierwszej bitwy nad Marną, skuteczną kontrofensywą odepchnął wojska niemieckie zbliżające się do Paryża. Został zastąpiony na stanowisku głównodowodzącego przez generała Roberta Nivelle (1856-1924) 13 grudnia 1916, po tym jak armia francuska na skutek jego XIX-wiecznej strategii omal nie poniosła całkowitej klęski w bitwie o Verdun. Do końca wojny stał jednak na czele Alianckiej Rady Wojennej i w tym charakterze odwiedził w 1917 roku USA, żeby apelować o przyspieszenie ekspedycji wojsk amerykańskich do Europy, którą prezydent Wilson planował początkowo dopiero na marzec 1918. W wyniku jego interwencji pierwsze oddziały amerykańskie przybyły do Francji już w czerwcu, a weszły do walki w październiku 1917. Pod koniec wojny znajdowało się w Europie ponad 2 miliony żołnierzy amerykańskich.

³⁶² Thomas J. Mooney (1883-1942) - to kalifornijski działacz robotniczy skazany na karę śmierci za domniemany udział w zamachu bombowym, w którym 22 lipca 1916 zginęła grupa uczestników Parady Gotowości Wojennej w San Francisco. Nacisk opinii publicznej, przekonanej o jego niewinności, oraz ujawnienie kłamliwości niektórych świadków zeznających na procesie zmusiły gubernatora stanu do zamiany kary śmierci na dożywocie, jednakże późniejsze wieloletnie starania o wznowienie przewodu sądowego spełzły na niczym. Ostatecznie dopiero w 1939 doczekał się Mooney

IZBA ODMÓWIŁA THEODORE'OWI ROOSEVELTOWI ZGODY NA FORMOWANIE
ODDZIAŁÓW OCHOTNICZYCH

ambasadzie amerykańskiej groził dzisiaj atak tłumu radykalnych socjalistów pod przewodem
Nicolai Lenina³⁶³, emigranta, który niedawno powrócił ze Szwajcarii przez Niemcy

ALIANCI OPLATAJĄ SZTANDARAMI GROBOWIEC WASZYNGTONA

bezwarunkowego ułaskawienia.

³⁶³ Nicolai Lenin - to oczywiście mylnie tu ochrzczony przez jakiegoś korespondenta Vladimir (czyli Włodzimierz) Lenin (1870-1924), którego wraz z innymi bolszewikami, w zaplombowanym wagonie, ze Szwajcarii do Rosji przetransportowali Niemcy po obaleniu cara przez rewolucję lutową 1917 roku. Wkrótce miał on wespół z Lwem Trockim wyreżyserować rewolucję październikową, która z kolei obaliła tak zwany Rząd Tymczasowy Aleksandra Kiereńskiego, dając początek 74-letnim rządów komunistycznym w Rosji.

ELEONORA STODDARD

Tej zimy Eleonora nie mogła się uskarżać na brak wrażeń. Bywała dużo z J.W., na wszystkich francuskich operach, na premierach w teatrach. Na Pięćdziesiątej Szóstej Wschodniej Ulicy wynaleźli małą francuską restauracyjkę, gdzie chodzili na hors d'oeuvres. Oglądali francuskie obrazy w galeriach na Madison Avenue. J.W. zaczął się interesować sztuką i Eleonora lubiła jego towarzystwo, bo miał takie romantyczne podejście do wszystkiego i mówił, że Eleonora jest jego natchnieniem, że po spotkaniu z nią zawsze przychodzą mu najlepsze pomysły. Często rozmawiali o ciasnocie umysłowej ludzi, którzy uważają, że mężczyzny z kobietą nie może łączyć platoniczna przyjaźń. Co dzień pisywali do siebie po francusku bileciki. Eleonora często powtarzała w duchu, jaka to niesprawiedliwość, że J.W. ma taką głupią żonę, a do tego taką schorowaną. Uważała jednak, że dzieci są urocze i jak to miło, że obydwójce mają po ojcu te śliczne błękitne oczy. Prowadziła teraz samodzielnie firmę, zatrudniała dwie panny, które uczyły się u niej rzemiosła, i miała mnóstwo roboty. Zakład mieścił się na Madison Avenue tuż powyżej Madison Square i był tylko na jej nazwisko. Ewelina Hutchins nie miała z tym już nic wspólnego, gdyż doktor Hutchins przeszedł na emeryturę i przeniósł się z całą rodziną do Santa Fe. Ewelina przysyłała jej od czasu do czasu skrzynkę indiańskich osobliwości albo ceramiki oraz akwarele malowane przez dzieci indiańskie w szkole i Eleonora musiała przyznać, że wszystko to idzie nadspodziewanie dobrze. Po południu, jadąc taksówką do domu, patrzyła na drapacz Metropolitalnego Towarzystwa Ubezpieczeń, na żelazobetonowy Gmach Fullera, na rozjarzone światłami stalowe niebo Manhattanu i myślała o kryształach, sztucznych kwiatach i złożonych wzorach na brokacie koloru bordo i indygo.

W domu dziewczyna miała już przygotowaną herbatę i często czekali jacyś znajomi młodzi architekci albo malarze. Zawsze były kwiaty, kalie o delikatnej fakturze lodów albo wazon frezji. Rozmawiała chwilę, po czym szła się przebrać. Czuła się bardzo zawiedziona, kiedy J.W. dzwonił, że nie może przyjść. Jeśli był jeszcze ktoś z gości, którzy wpadli na herbatę, prosiła, żeby został i zjadł z nią improwizowaną kolację.

Wzruszała się zawsze, gdy zobaczyła francuską flagę albo gdy orkiestra zagrała Tipperary. Pewnego wieczoru szli po raz trzeci na *Żółty kaftan*³⁶⁴ i Eleonora miała na sobie nowe futro, które nie wiedziała, z czego spłaci, i głowę pełną myśli o nie zapłaconych rachunkach w firmie i o domu na Sutton Place, który zaczęła urządzać w nadziei korzystnej sprzedaży. Czekwała odpowiedniej chwili, by spytać J.W., czy nic się jeszcze nie wyjaśniło z tym tysiącem, który obiecał zainwestować na jej rzecz. Rozmawiali o nalotach, gazach trujących, wpływie komunikatów wojennych na koniunkturę, Łucznikach z Mons³⁶⁵ i Dziewicy Orleańskiej i Eleonora wyznała, że wierzy w zjawiska

³⁶⁴ *Żółty kaftan* {*The Yellow Jacket*, 1912) - to szlagier teatralny pióra zapomnianych dziś dramaturgów George'a C. Hazeltona i J. Harry'ego Benrimo, który swój sukces zawdzięczał udatnemu wprowadzeniu na scenę amerykańską egzotycznej chińskiej tematyki wraz z niektórymi konwencjami teatru chińskiego.

³⁶⁵ Łucznicy z Mons (the Bowmen of Mons) - to postaci z głośnego w tym czasie opowiadania walijskiego autora Arthura Machena (1863-1947), „*The Bowmen*”, ogłoszonego we wrześniu 1914 w londyńskich „*Evening News*”, a następnie

nadprzyrodzone, J.W. zaś, z troską na zapadłej twarzy, przebąkiwał coś o niepowodzeniach na Wall Street. Przepychali się przez wieczorny tłum na Times Square, na niebie zapalały się i gasły błyski neonów, na reklamie gumy do żucia Wrigleya gimnastykowały się zręczne trójkątne ludziki, kiedy nagle rozległy się dźwięki katarzynki grającej Marsyliankę. Było to takie piękne, że Eleonora zalała się łzami. Zaczęli mówić o Ofiarności i Poświęceniu i J.W. ścisnął jej ramię przez futro, a katarzyniarzowi dał dolara. Kiedy doszli do teatru, Eleonora pobiegła do toalety zobaczyć, czy nie ma czerwonych oczu. Ale przejrząwszy się w lustrze, stwierdziła, że nie są wcale czerwone, błyszczą tylko serdecznym wzruszeniem, więc poprawiła trochę twarz i wróciła do westybulu, gdzie czekał J.W. z biletami w ręce. Jej szare źrenice szklily się od łez i mieniły blaskiem.

Któregoś wieczoru J.W. miał bardzo strapioną minę i odwożąc ją do domu z opery po przedstawieniu *Manon* powiedział, że jego żona nie rozumie ich przyjaźni, robi mu sceny i grozi rozwodem. Eleonora odparła z oburzeniem, że widocznie ma bardzo pospolitą naturę, skoro nie rozumie, że ich stosunki są czyste jak śnieg. Istotnie, przyznał J.W., bardzo się tym martwi. Lwia część kapitałów agencji, wyjaśnił, stanowi własność jego teściowej, która może go zrujnować, jeśli zechce, co byłoby znacznie gorsze od rozwodu. Eleonora, czując ogarniający ją chłód i sztywność, oświadczyła, że wolałaby się całkowicie usunąć z jego życia niż rozbić mu dom, i że powinien pamiętać o swoich uroczych dzieciach, ale J.W. odrzekł, że Eleonora jest jego natchnieniem i że nie wyobraża sobie bez niej życia. Dojechawszy na Ósmą Ulicę, snuli się obydwoje po rozjarzonym białym salonie Eleonory, w ciężkiej woni kalii, zachodząc w głowę, jak z tego wybrnąć. Wypalili mnóstwo papierosów, ale jakoś nic nie postanowili. J.W. wyszedł bardzo przygnębiony. Żegnając się powiedział z westchnieniem:

- No cóż, nie wiadomo, czy i w tej chwili nie jestem śledzony.

Zostawszy sama, Eleonora zaczęła spacerować przed długim weneckim lustrem między oknami. Nie wiedziała, co robić. Firma dekoracyjna ledwo wychodzi na swoje, a tu trzeba płacić za dom na Sutton Place, z komornym za mieszkanie zalega od dwóch miesięcy, teraz jeszcze raty za futro. Liczyła na ten tysiąc dolarów, który jej obiecał J.W., jeśli mu się powiedzie spekulacja akcjami Wenezuelskiego Towarzystwa Naftowego. Widocznie nic z tego nie wyszło, bo dawno by coś wspomniał. Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Czowała się samotna i nieszczęśliwa. Nie pozostało jej nic innego jak wrócić do kieratu domu towarowego. Traci powoli urodę, przyjaciół, jeśli będzie się jeszcze musiała wyrzec J.W., to będzie straszne.

Przyszła jej na myśl czarna służąca Augustine z jej niefortunnymi romansami, o których zawsze opowiadała Eleonorze. Zaczynała żałować, że sama nie jest taka. Może od początku nie miała racji pragnąc, by wszystko było nieskazitelne i piękne. Nie płakała, ale leżała przez całą noc z szeroko

przedrukowanego w tomie *The Angels of Mons, the Bowmen, and Other Legends of the War (Anioły z Mons, łucznicy i inne legendy wojenne, 1915)*. Wstrząśnięty śmiercią 5 tysięcy Brytyjczyków 23 sierpnia 1914 w bitwie pod Mons w Belgii, Machen ukuł legendę o świętym Jerzym z oddziałem łuczników osłaniających odwrót wojsk angielskich przed

otwartymi piekącymi oczami, wpatrzona w okalający sufit kwiatowy ornament, który widziała w świetle sączącym się z ulicy przez lawendowe tiulowe firanki.

Parę dni później oglądała w firmie stylowe hiszpańskie krzesła, które jej proponował pewien handlarz antyków, kiedy nadszedł telegram:

SPRAWY WZIEŁY NIEPOŻĄDANY OBRÓT STOP TELEFONOWANIE
NIEWSKAZANE STOP MUSZĘ SIĘ Z TOBĄ ZOBACZYĆ STOP BĄDŹ O PIĄTEJ NA
HERBACIE W HOTELU PRINCE GEORGE

Telegram był bez podpisu. Powiedziała handlarzowi, żeby zostawił krzesła, a po jego wyjściu stała długo przy biurku, wpatrzona w doniczkę liliowych krokusów o żółtych słupkach. Zastanawiała się, co by było, gdyby pojechała do Great Neck porozmawiać z Gertrudą Moorehouse. W końcu zawołała pannę Lee, która szła firanki w sąsiednim pokoju, i powiedziała, że zostawia firmę pod jej opieką, zadzwoni po południu.

Wsiadła do taksówki i pojechała na Dworzec Pensylwański. Był przedwczesny dzień wiosenny. Ludzie chodzili w porozpinanych paltach, niebo było koloru farbkowego z obłoczkami zwiewnymi jak pył dmuchawca. Zapach futer, zimowych palt, spalin i okutanych ciał mieszał się z nieoczekiwaną wonią kory brzoźowej. Eleonora siedziała wyprostowana jak struna na tylnym siedzeniu taksówki, z ostrymi paznokciami wbitymi w dłonie przez popielate rękawiczki. Nie znosiła tych zdradliwych dni, kiedy zima przybiera pozory wiosny. Zmarszczki uwydatniają się wówczas na twarzy, wszystko zdaje się rozsypywać w palcach, ziemia osuwa się pod nogami. Pojedzie porozmawiać z Gertrudą Moorehouse jak kobieta z kobietą. Skandal popsułby wszystko. Jeśli rozmówi się z nią w porę, Gertruda powinna zrozumieć, że nigdy nic nie było między nią a J.W. Skandal rozwodowy popsułby wszystko. Straciłaby klientelę, zbankrutowała, nie pozostałoby jej nic innego, jak wrócić do Pullman i zamieszkać u wujostwa.

Zapłaciła taksówkarzowi i zeszła po schodach na peron kolei Long Island. Nogi się pod nią ugiwały, czuła beznadziejne zmęczenie, przepychając się przez tłum do informacji. Nie, nie ma pociągu wcześniejszego do Great Neck niż o 14.13. Stała długo w ogonku po bilet. Jakiś mężczyzna nadepnął jej na nogę. Ogonek posuwał się irytująco powoli. Doszedłszy do okienka, przez parę sekund nie mogła sobie przypomnieć, do jakiej miejscowości chce bilet. Kasjer obserwował ją przez szybę złośliwymi guzkami oczu. Miał na czole umbrelkę i wargi zbyt czerwone do bladej twarzy. Stojący za nią zaczęli się niecierpliwić, jakiś mężczyzna w tweedowym palcie i z ciężką walizką przepychał się już do kasy.

- Great Neck, powrotny - powiedziała.

Kupiwszy bilet, uświadomiła sobie zaraz, że w żaden sposób nie zdąży zajechać na miejsce i wrócić przed piątą. Schowała bilet do popielatej jedwabnej torebki z dyskretnym, wyszywanym

dżetami wzorkiem. Zabiła się, pomyślała. Pojedzie metrem na dolny Manhattan, każe windziarzowi zawieźć się na najwyższe piętro Gmachu Woolwortha i wyskoczy oknem.

Zamiast tego skierowała się w stronę postoju taksówek. Rdzawe słońce oświecało szarą kolumnadę, niebieski dym spalin mienił się w jego promieniach jak mora. Wsiadła do taksówki i kazała się przewieźć po Central Parku. Niektóre gałązki już się różowiły, połyskiwały długie pączki buków, ale trawa była jeszcze brunatna, w rynsztokach leżały zwały brudnego śniegu. Nad stawami wiał przejmujący ostry wiatr. Taksówkarz bez przerwy mówił, ale nie mogła się połapać, o co mu chodzi. W końcu, zmęczona odpowiadaniem na chybił trafił, kazała się wysadzić przed Metropolitalnym Muzeum Sztuki³⁶⁶. Płaciła, kiedy nadbiegł gazeciarz wykrzykując: „Dodatek nadzwycza-ajny!”. Kupiła za piątkę, taksówkarz również.

- Niech mnie szlag! - usłyszała jeszcze jego okrzyk, wbiegając szybko po schodach w obawie, że będzie musiała wdać się z nim w rozmowę.

W nieruchomym srebrzystym świetle muzeum rozwinęła dodatek. Bił od niego kwaśny zapach, farba drukarska jeszcze się lepiała, brudziła rękawiczki.

WYPOWIEDZENIE WOJNY

SPRAWĄ GODZIN, TWIERDZĄ OBSERWATORZY W WASZYNGTONIE. NOTA NIEMIECKA ZUPEŁNIE NIEZADOWALAJĄCA.

Zostawiła gazetę na ławce i przystąpiła do oglądania Rodmów. Napatrzywszy się przeszła do skrzydła chińskiego. Kiedy potem wsiadła do autobusu na Piątej Alei - stanowczo za dużo wydaje na taksówki - czuła rozpierające ją uniesienie. Przez całą drogę rozpamiętywała *Wiek brązu*³⁶⁷. Wypatrzywszy J.W. w dusznym różowawym świetle westybulu hotelowego, ruszyła sprężystym krokiem w jego stronę. Miał zaciśnięte szczęki, w błękitnych oczach ogień. Wyglądał młodziej niż ostatnio, kiedy go widziała.

- No, wreszcie się doczekaliśmy - powiedział. - Wystosowałem już telegram do Waszyngtonu, oferując rządowi swoje usługi. Mogą sobie teraz kolejarzy próbować strajków.

- To cudowne i okropne - powiedziała Eleonora.

- Drzę jak listek.

Podeszli do małego stolika w kącie za ciężkimi draperiami, żeby wypić herbatę, ale ledwo zdążyli usiąść, orkiestra zaczęła grać *Gwiazdzisty sztandar* i musieli wstać. W hotelu panowało

³⁶⁶ Metropolitalne Muzeum Sztuki (Metropolitan Museum of Art) - to jedno z największych i najbogatszych muzeów świata, porównywalne z londyńskim British Museum, paryskim Luwrem czy petersburskim Ermitażem. Otwarte w 1880 roku na Piątej Alei koło Central Parku na nowojorskim Manhattanie, a następnie wielokrotnie rozbudowywane i wzbogacane, przyciąga corocznie około 3 milionów zwiedzających. Posiada zbiory sztuki i kultury materialnej wszystkich czasów i wszystkich kontynentów tak nieprzebrane, że dokładne zwiedzenie całości wymagałoby tygodni. Utrzymuje się z funduszy publicznych i dotacji prywatnych. Do jego założycieli należeli tacy osławieni baronowie amerykańskiego kapitalizmu, przeobrażeni następnie w filantropów, jak William H. Vanderbilt, John D. Rockefeller junior czy J.P. Morgan.

³⁶⁷ *Wiek brązu* (L'Age d'Airain) - to pierwsza rzeźba, która przyniosła w 1877 roku rozgłos wielkiemu rzeźbiarzowi francuskiemu, Auguste'owi Rodinowi (1840-1917). Przedstawiająca nagiego mężczyznę, rzeźba swoim realizmem wywołała szeroką kontrowersję oraz oskarżenia, że autor posłużył się do jej wykonania gipsowymi odlewami z żywego

poruszenie, biegano tam i z powrotem ze świeżymi wydaniami gazet, śmiano się i rozmawiano głośno. Zupełnie obcy ludzie pożyczali sobie gazety, rozprawiali o wojnie, zapalali jedni drugim papierosy.

- Przyszło mi do głowy - powiedziała Eleonora, wążąc w spiczastych palcach kawałek grzanki z cynamonem – że jeśli bym pojechała i porozmawiała z twoją żoną jak kobieta z kobietą, na pewno by zrozumiała sytuację. Kiedy urządzałam dom, była dla mnie taka miła, zgadzałyśmy się wyśmienicie.

- Zaoferowałam rządowi swoje usługi - rzekł Ward. - Niedługo powinna nadejść do biura odpowiedź z Waszyngtonu. Gertruda na pewno zrozumie, że to jej święty obowiązek.

- Ja też chcę jechać, J.W. - oznajmiła Eleonora. - Muszę pojechać.

- Dokąd?

- Do Francji.

- Nie rób nic pochopnie, Eleonoro.

- Nie, muszę pojechać. Byłabym świetną pielęgniarką. Nie boję się niczego, powinieneś to wiedzieć, J.W.

Orkiestra zaczęła znowu grać *Gwiazdzisty sztandar* i Eleonora wysokim, cienkim sopranem odśpiewała część refrenu. Ale byli zbyt podekscytowani, by długo usiedzieć na miejscu, więc złapali taksówkę i pojechali do Warda do biura. W biurze panowało podniecenie. Panna Williams kazała osadzić w środkowym oknie drzewce i właśnie wciągała flagę. Eleonora podeszła do niej i wymieniły ciepły uścisk dłoni. Chłodny wiatr szeleścił papierami na biurku, stronicie maszynopisu fruwały po pokoju, ale nikt nie zwracał uwagi. Piątą Aleją zbliżała się orkiestra grając: *Hej, hej, całą paczką się stawili*. Wszystkie biura były jaskrawo oświetlone, flagi trzepotały na drzewcach, urzędnicy i stenotypistki wiwatowali w oknach, wyrzucali kartki, które zeglowały w ostrych porywach wiatru.

- To siódmy pułk - powiedział ktoś i wszyscy zaczęli klaskać i krzyżeć.

Orkiestra grzmiała głośno pod oknami. Słysząc było stukot maszerujących. Trąbiły automobile czekające na otwarcie ruchu. Na platformach piętrowych autobusów pasażerowie wywijali chorągiewkami. Panna Williams pochyliła się i pocałowała Eleonorę w policzek. Obok stał J.W. wyglądając nad ich głowami, z dumnym uśmiechem na twarzy.

Kiedy orkiestra przeszła i ulicę otwarto z powrotem dla ruchu, zamknęli okno i panna Williams zabrała się do podnoszenia i porządkowania porozwiewanych papierów. Z Waszyngtonu nadszedł telegram przyjmujący usługi pana J. Warda Moorehouse'a w Komitecie Informacji Publicznej, który powołał prezydent Wilson, i Ward oznajmił, że jutro rano wyjeżdża. Zadzwoił do Great Neck zapytać Gertrudę, czy może przyjechać na kolację i przywieźć kogoś ze sobą. Gertruda powiedziała, że owszem, może, i wyraziła nadzieję, że będzie się dość dobrze czuła, by im dotrzymać

towarzystwa. Jest podekscytowana wiadomością o wojnie, oświadczyła, i zaczyna ją zaraz łupać w tyle głowy, kiedy sobie pomyśli o tych wszystkich cierpieniach i krwawych ofiarach.

- Mam przeczucie, że wszystko będzie dobrze, jak cię zabiorę na kolację do Gertrudy - powiedział Ward Eleonorze. - Rzadko się myślę w swoich przeczuciach.

- Och, ona na pewno zrozumie - odrzekła Eleonora.

Wychodząc spotkali w drzwiach pana Robbinsa. Nie zdjął kapelusza ani nie wyjął z ust cygara. Wyglądał na pijanego.

- Co to wszystko, u diabła, znaczy, Ward? - zapytał.

- Mamy wojnę czy nie?

- Jeśli dotąd nie mamy, to do rana będziemy mieli - odparł J.W.

- To najhaniebniejsza zdrada w historii – powiedział pan Robbins. - Dlaczego wybraliśmy Wilsona zamiast Starego Wąsacza³⁶⁸, jeśli nie dlatego, żeby się wykręcić od tej całej draki?

- Robbins, absolutnie się z tobą nie zgadzam - oświadczył J.W. - Uważam, że naszym obowiązkiem jest ratowanie...

Ale pan Robbins znikł już w drzwiach biura, zostawiając za sobą ostry odór whisky.

- Powiedziałabym mu parę słów do słuchu – rzekła Eleonora - ale trudno się wdawać w dyskusję z... kimś w takim stanie.

Jazda pierce arrowem do Great Neck była emocjonująca. Na niebie stała jeszcze czerwona zorza zachodzącego słońca. Jadąc przez Queensboro Bridge, z chłodnym wiatrem za plecami, mieli wrażenie, że unoszą się nad światłami, kwartałami domów, masywem Wyspy Blackwella, parowcami, wysokimi kominami i niebieską luną elektrowni. Rozmawiali jakiś czas o Edith Cavell³⁶⁹, rajdach powietrznych, flagach, reflektorach przeszukujących niebo, łoskocie nacierających armii i Joannie d'Arc. Potem Eleonora wtuliła brodę w kołnierz futra i zastanawiała się, co powie Gertrudzie Moorehouse.

Kiedy znaleźli się na miejscu, ogarnęła ją lekka obawa przed jakąś przykrą sceną. Zatrzymała się w hallu, żeby poprawić twarz w lusterku wyjętym z torebki.

Gertruda Moorehouse siedziała na szeszlunku koło trzaskającego kominka. Eleonora rozejrzała się po pokoju, zadowolona, że jest taki śliczny. Gertruda zbladła okropnie na jej widok.

- Chciałam z panią porozmawiać - powiedziała Eleonora.

Gertruda Moorehouse wyciągnęła rękę nie wstając.

³⁶⁸ Stary Wąsacz (Old Fuzzywhiskers) - to przezwisko sędziego Sądu Najwyższego, Charlesa **Evansa** Hughesa (1862-1948), republikańskiego kontrkandydata Woodrowa Wilsona w wyborach prezydenckich 1916 roku. Przegrał on do Wilsona niewiele ponad pół milionem głosów wyborców oraz zaledwie 23 głosami elektorскими.

³⁶⁹ Edith Louisa Cavell (1865-1915) - to brytyjska pielęgniarka, przełożona szpitala Czerwonego Krzyża w Brukseli, aresztowana przez Niemców 5 sierpnia 1915 za ukrywanie w swoim domu blisko 200 brytyjskich, francuskich i belgijskich żołnierzy, a następnie organizowanie im ucieczki spod niemieckiej okupacji. Ku międzynarodowemu oburzeniu została rozstrzelana 12 października mimo interwencji na rzecz wstrzymania jej egzekucji ambasadorów amerykańskiego i hiszpańskiego w Berlinie. Pochowano ją przy asyście tłumów w londyńskim Opactwie Westminsterkim, a na londyńskim Trafalgar Square wystawiono jej pomnik.

- Przepraszam, że nie wstaję, panno Stoddard - powiedziała - ale jestem zupełnie załamana tymi okropnymi wiadomościami.

- Cywilizacja wymaga ofiar... od nas wszystkich - oświadczyła Eleonora.

- Oczywiście, to okropne, co ci Niemcy wyprawiają, obcinają ręce belgijskim dzieciom i w ogóle – rzekła Gertruda Moorehouse.

- Proszę pani - powiedziała Eleonora - chciałam z panią porozmawiać o tym nieszczęsnym nieporozumieniu co do moich stosunków z pani mężem. Nie uważa mnie pani chyba za osobę, która potrafiłaby tutaj przyjechać i spojrzeć pani w oczy, gdyby był chociaż cień prawdy w tych okropnych plotkach? Nasze stosunki są czyste jak świeży śnieg.

- Proszę, niech pani już o tym nie mówi, panno Stoddard. Wierzę pani.

Kiedy J.W. wszedł do pokoju, siedziały po dwu stronach kominka rozmawiając o operacji Gertrudy. Eleonora wstała.

- Och, chciałam ci powiedzieć, że to wspaniale z twojej strony, J.W.

J.W. odchrząknął i powiódł wzrokiem od jednej do drugiej.

- To mój święty obowiązek - powiedział.

- Co jest twoim obowiązkiem? - spytała Gertruda.

- Zaofiarowałem rządowi swoje usługi na czas wojny, w jakimkolwiek charakterze uznają za stosowne mnie wykorzystać.

- Chyba nie pójdziesz na front? - powiedziała Gertruda z błyskiem zdziwienia w oczach.

- Jadę jutro do Waszyngtonu. Oczywiście, będę służył bez wynagrodzenia.

- To szlachetnie z twojej strony, Ward – powiedziała Gertruda.

Zbliżył się powoli do szezlonga i schyliwszy się pocałował ją w czoło.

- Wszystkich nas czekają poświęcenia. Spodziewam się, moja droga, że ty i twoja matka...

- Ależ oczywiście, Ward, oczywiście. To było głupie nieporozumienie. - Gertruda oblała się rumieńcem. Wstała z szezlonga. - Byłam podejrzliwą idiotką. Ale nie pójdziesz na front, Ward... Przekonam matkę...

Podeszła i położyła mu dłonie na ramionach. Eleonora stała pod ścianą patrząc na nich. J.W. przebrał się w dopasowany smoking, łososiowa popołudniowa suknia Gertrudy odcinała się od czerni materiału. W blasku kryształowego żyrandola jasne włosy Warda wydawały się popielate na tle wysokich ścian koloru kości słoniowej. Twarz pozostawała w cieniu, była bardzo smutna. Eleonora pomyślała, jak niewiele osób potrafi zrozumieć takiego człowieka i jaki piękny jest ten pokój, jak przedstawienie w teatrze, jak Whistler, jak Sara Bernhardt. Wzruszenie zamgliło jej źrenice.

- Wstąpię do Czerwonego Krzyża - powiedziała. - Och, nie będę się mogła doczekać, kiedy wreszcie wyląduję we Francji.

KRONIKA XIX

STANY ZJEDNOCZONE PRZYSTĄPIŁY DO WOJNY

WYSIŁEK NARODU HASŁEM MIASTA

Przybyli

na

wojen-kę

na dorocznym zebraniu akcjonariuszy Wytwórni Broni Palnej Systemu Colta dokonano podziału dodatkowej dywidendy w wysokości dwu i pół miliona dolarów. Dotychczasowy kapitał zakładowy został powiększony. Zyski za rok ubiegły wyniosły 259 procent.

PRZYJEMNA NIESPODZIANKA DLA BRYTYJCZYKÓW

Przybyli Jankesi

Przybyli na wojen-kę

W PRZYGOTOWANIU USTAWA ZABRANIAJĄCA KOLOROWYM ZAMIESZKIWANIU W DZIELNICACH BIAŁYCH

wielomilionowe wydatki na golfa w Chicago hinduscy agitatorzy rzucili popłoch na cały kraj
Armour domaga się, by Stany Zjednoczone ratowały świat od głodu

OBRAZA SZTANDARU BĘDZIE KARANA

Deputowani robotniczy groźbą dla Rosji poczynania te mają wszelkie pozory haniebnego
pokoju, mówi się w Londynie

MILIARDY DLA ALIANTÓW

Powrócą Jankesi,

Powrócą po wojen-ce

OKO KAMERY (27) ³⁷⁰

na *Espagne*³⁷¹ płynęli księża i zakonnice Atlantyk był koloru butelkowego bardzo wzburzony na iluminatory założono kłapy światła pokładowe zaciemniono nie wolno było zapalić zapalki na pokładzie

stewardzi byli bardzo dzielni mówili że bosze nigdy nie zatopią statku Compagnie Generale bo księża bo zakonnice bo Jezuici bo Comité des Forges³⁷² który zobowiązał się nie bombardować Basenu Briey³⁷³ gdzie są wielkie huty bo akcjonariuszem Compagnie jest książę Burbonu Jezuici księża i zakonnice

w ogóle wszyscy byli bardzo dzielni z wyjątkiem pułkownika Knowltona z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i jego żony którzy mieli wodoodporne chłoodporne kuloodporne kombinezony jak ubrania Eskimosów chodzili siedzieli na pokładzie w nadmuchianych kombinezonach widać im było tylko twarze mieli w kieszeniach podręczne apteczki w pasach wodoszczelne pojemniki z mleczną czekoladą sucharami i słodowaną kaszką na mleczku w pastylkach

codziennie rano kiedy się wyszło na pokład można było zobaczyć jak pułkownik Knowlton nadmuchiwa pułkownikową Knowlton albo pułkownikowa Knowlton nadmuchiwa pułkownika Knowltona

chłopcy Roosevelta³⁷⁴ byli bardzo dzielni w nowych amerykańskich czapkach wojskowych

³⁷⁰ Oko kamery (27) jest wspomnieniem z rejsu Dos Passosa do Europy parowcem *Espagne*, rozpoczętego 14 października 1916. Po ukończeniu studiów Dos Passos próbował się dostać do Komisji Pomocy dla Belgii zorganizowanej przez późniejszego prezydenta Herberta Hoovera, ale został odrzucony ze względu na zbyt młody wiek. Ojciec sprzeciwił się jego wstąpieniu do Amerykańskiego Ochotniczego Korpusu Sanitarnego i zaproponował mu wyjazd na roczne studia architektury do Hiszpanii, na czym stanęło. Pięć dni przed odpłynięciem Dos Passosa niemiecki U-Boot, który dopiero co gościł w neutralnym amerykańskim porcie Newport w stanie Rhode Island, storpedował koło pobliskiej wyspy Nantucket sześć frachtowców nie tylko flagi brytyjskiej, lecz również neutralnych flag holenderskiej i duńskiej. To złamanie wcześniejszego przyrzeczenia cesarza Wilhelma niezatapiania neutralnych statków wywołało panikę, w rezultacie czego 80 pasażerów odwołało rezerwacje i *Espagne*, statek bandery kraju pozostającego w stanie wojny z Niemcami, odpłynęła w połowie pusta. Jednakże rejs minął bez ewenementów i po 10 dniach statek dotarł estuarium Żyromy i korytem Garonny do śródlądowego portu Bordeaux, odległego o bez mała 100 kilometrów od Zatoki Biskajskiej. Po dniu spędzonym w Bordeaux Dos Passos pojechał 25 października dalej, do Hiszpanii.

³⁷¹ *Espagne* była jednym z reprezentacyjnych statków francuskiego towarzystwa okrętowego Compagnie Generale Transatlantique (w skrócie CGT), utrzymującego od 1855 roku (do 1861 pod nazwą Compagnie Generale Maritime) żeglugę pasażerską i frachtową między portami atlantyckimi Francji a Ameryką Północną oraz Indiami Zachodnimi.

³⁷² Comité des Forges (fr. Komisja Hut) - to powołana do życia w 1864 roku organizacja nadzorująca francuski przemysł metalurgiczny.

³⁷³ Basen Briey (fr. le Bassin du Briey) - to zagłębie górniczo-hutnicze w północnej Lotaryngii, w okolicy miasta Briey nad rzeką Orne, w pobliżu Metz. Lotaryngia, prowincja na pograniczu Francji i Niemiec, była od wieków przedmiotem sporu między tymi państwami - przeszła do Prus po wojnie francusko-pruskiej 1871, wróciła do Francji w 1919 po pierwszej wojnie światowej. Jest rzeczą oczywistą, że w przemyśle na pogranicznym terenie musiały być zaangażowane kapitały obydwu walczących stron, i panowało dość rozpowszechnione przekonanie, że między grupami kapitałowymi we wrogich krajach istnieją tajne porozumienia o oszczędzaniu pewnych własności drugiej strony. Francuska encyklopedia Larousse'a uważa za konieczne podkreślenie, że Komisji Hut „przypisywano szerokie wpływy sekretne”. Stanowi to dodatkowe uprawdopodobnienie zawartego w tym Oku kamery domniemania, że w zamian za francuskie zobowiązanie niebombardowania Basenu Briey, Niemcy zobowiązały się nie torpedować statków CGT.

³⁷⁴ Chłopcy Roosevelta - to synowie byłego prezydenta Theodore'a Roosevelta. Dos Passos, zapewne dla wzmocnienia ironicznego charakteru tego Oka kamery, nagina tutaj nieco fakty, gdyż najstarszy i trzeci z synów Roosevelta płynęli z nim nie na *Espagne*, lecz w maju następnego 1917 roku na pokładzie parowca *Chicago*, kiedy Dos Passos wracał do Europy z Korpusem Sanitarnym. Roosevelt miał czterech synów i w swoim patriotyzmie zabiegał o to, by wszystkim pozwolono wziąć udział w wojnie w stopniach oficerskich, mimo że przeszli jedynie przeszkolenie oficerów rezerwy. Trzej zostali ranni, w tym jeden również zagazowany, a najmłodszy, dwudziestoletni Quentin, został zestrzelony jako pilot myśliwski w pojedynku z niemieckimi lotnikami. (Jako syna byłego prezydenta, z którym cesarz Wilhelm miał przyjazne stosunki, Niemcy pochowali go z honorami.) Na *Chicago* płynęli z Dos Passosem dwudziestodwuletni

ze sztywnymi daszkami z odznakami strzelców wyborowych na mundurach khaki po całych dniach powtarzali Musimy przystąpić Musimy

jak gdyby chodziło o zawody pływackie nie o wojnę

i barman był dzielny i stewardzi wszyscy odnieśli rany cieszyli się że są stewardami zamiast siedzieć w okopach

robili pyszne wypieki

w końcu znaleźliśmy się w strefie działań statek szedł zygzakiem siedzieliśmy milcząc w barze aż wpłynął w ujście Żyrondy w miękkim perłowym blasku świtu krążył dookoła francuski torpedowiec parowce trzymały się śladu małej łodzi patrolowej wskazującej przejście przez pola minowe słońce wschodziło czerwono nad krainą rumianych winnic Żyronda roiła się od frachtowców aeroplanów w słońcu i pancerników

Garonna była czerwona była jesień na nabrzeżach stały beczki młodego wina i skrzynki z amunicją przed frontami szarych domów zbiły się na tle wielkiego czerwonego żelaznego mostu maszty krępych żaglówek

w hotelu Pod Siedmioma Siostrami wszyscy nosili żałobę ale ruch był jak rzadko bo to i wojna i lada chwila spodziewali się przyjazdu rządu z Paryża

na północy ludzie ginęli w błocie i w okopach ale w Bordeaux był ruch w interesach właściciele winnic spedytorzy i fabrykanci broni tłoczyli się w Chapon Fin³⁷⁵ jedli ortolany³⁷⁶ pieczarki i trufle a na ścianie widniał wielki napis

MEFIEZ-VOUS les oreilles ennemies vous ecoutent³⁷⁷

zmierzch czerwony jak wino skwery wysypane żółtym żwirem naokoło beczki z winem woń czekolady w parku szare posągi i nazwy ulic

Ulica Straconych Złudzeń Ulica Ducha Praw Ulica Zapomnianych Kroków

zapach palonych liści szare burbońskie domy rozplywające się w zmierzchu czerwonym jak wino

położyłeś się późno do łóżka w hotelu Pod Siedmioma Siostrami i nagle w nocy obudziłeś się w pokoju był tajniak przetrząsał walizkę

marszczył brwi nad twoim paszportem zaglądał w twoje książki powiedział Monsieur c'est la petite visite³⁷⁸

Theodore Roosevelt junior w stopniu majora i dwudziestotrzyletni Archibald w stopniu kapitana. Umieszczając ich w rejsie 1916, Dos Passos każe im mówić: „Musimy przystąpić, musimy”. W rzeczywistości płynęli oni już po przystąpieniu Stanów do wojny jako członkowie Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych i Dos Passos postyszał, jak jeden z nich mówi: „Kiedy to się skończy, Stany Zjednoczone będą największą potęgą militarną świata”. Pycha tej wypowiedzi bardzo go wzburzyła w jego ówczesnym buntowniczym nastroju.

³⁷⁵ Chapon fin (fr.) znaczy: delikatny kapłon (czyli młody kogucik, kastrowany dla uzyskania delikatniejszego mięsa).

³⁷⁶ Ortolan - to gatunek trznadla, stanowiący przysmak.

³⁷⁷ Mefiez-vous... (fr.) - Miejcie się na baczności, wróg słucha.

³⁷⁸ Monsieur, c'est... (fr.) - To tylko taka mała wizyta, proszę pana.

BOB BOJOWNIK

La Follette urodził się na peryferiach miasteczka Primrose; do dziewiętnastego roku życia pracował na farmie w hrabstwie Dane w stanie Wisconsin.

O własnych siłach ukończył uniwersytet stanowy. Chciał zostać aktorem, studiował wymowę, dzieła Roberta Ingersolla³⁷⁹, Szekspira i Burke'a³⁸⁰; (czy kto zdoła kiedy wytłumaczyć wpływ Szekspira³⁸¹ w ubiegłym stuleciu, Marek Antoniusz nad katafalkiem Cezara, Otello przed weneckim senatem i Poloniusz, wszędzie Poloniusz?); wracając bryczką do domu po uzyskaniu promocji był Boothem³⁸², Wilkesem piszącym *Listy Juniusa*³⁸³, Danielem Websterem³⁸⁴, Ingersollem wyzywającym Boga i wszystkimi olbrzymami w togach, poważnymi i nieprzekupnymi jak posągi deklamujące wzniosie na kapitole wieków; był pierwszym mówcą w klasie, mową o charakterze Jagona zwyciężył na międzystanowym turnieju krasomówczym.

Zaczął pracować u adwokata, kandydował na prokuratora okręgowego. Koledzy uniwersyteccy kaptowali mu wyborców, objeżdżając wieczorami hrabstwo. Rozgromił machinę wyborczą i wygrał wybory.

³⁷⁹ Robert Ingersoll (1833-1899), adwokat, polityk i publicysta, wywarł duży wpływ na amerykańskie życie intelektualne ostatnich dziesięcioleci XX wieku głośnymi, obrazoburczymi odczytami, z którymi objeżdżał kraj, a które mu zyskały przydomek Wielkiego Agnostyka. W swojej wieloletniej kampanii o wolność myśli szczególnie ostro, z pozycji racjonalizmu, atakował *Biblię* i dogmaty teologu chrześcijańskiej. Głosił świecką moralność opartą na założeniu, że jedynym dobrem jest szczęście, a drogą do szczęścia jest uszczęśliwianie innych.

³⁸⁰ Edmund Burke (1729-1797) - to brytyjski polityk i pisarz pochodzenia irlandzkiego, który się wspaniałymi mowami w Izbie Gmin. Występował przeciwko polityce rządu króla Jerzego III (panował 1760-1820), w obronie amerykańskich kolonistów, irlandzkich katolików i ludności tubylczej Indii, straszliwie eksploatowanej przez Towarzystwo Wschodnioindyjskie (East India Company). Obrońca praw ludzkich, był zarazem zwolennikiem oświeconego porządku feudalnego w Europie i w ostatnim okresie życia prowadził kampanię przeciw Rewolucji Francuskiej, którą potępiał za terror, gwałty i nadużycia, głosząc potrzebę reform bez burzenia tradycji. Najślawniejszym jego dziełem jest traktat *Reflections on the French Revolution (Myśli o Rewolucji Francuskiej, 1790)*.

³⁸¹ Jako przykłady wpływów W. Szekspira w XIX stuleciu Dos Passos przywołuje tu głośne, często recytowane przez jego ojca monolog z **dramatów** *Juliusz Cezar* (ok. 1599) i *Otello* (1604). Poloniusz, tragicomiczny ojciec Ofelii i Laertes z *Hamleta* (ok. 1601), pojawia się tu jako postać słynąca z kwiecistych, sentencyjnych wypowiedzi. Wspomniany dalej Jago lub Jagon to czarny charakter z *Otella*, doprowadzający swoją intrygą tytułowego bohatera do zabójstwa z zazdrości.

³⁸² Było trzech głośnych w XIX-wiecznej Ameryce aktorów szekspirowskich o nazwisku Booth: przybyli w 1821 z Anglii Julius Brutus (1796-1852), który zmarł przed narodzeniem La Follette'a, oraz dwóch synów Juliusa, Edwin Thomas (1833-1893) i John Wilkes (1835-1865). Dos Passos nie ma z pewnością na myśli ostatniego, który się zhańbił zabójstwem prezydenta Abrahama Lincolna i również nie żył, kiedy La Follette kończył studia w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Sławą był wówczas Edwin, który debiutował w 1849 w Bostonie i błyszczał przez następne czterdzieści parę lat na scenach USA, Wielkiej Brytanii i Australii. Uważany jest za jednego z największych tragiców w dziejach teatru anglosaskiego.

³⁸³ *Listy Juniusa (Junius Letters)* - to seria 69 listów drukowanych w londyńskim dzienniku „Public Advertiser” w latach 1769-1772, atakujących z pozycji partii wigów skorumpowany rząd króla Jerzego III, szczególnie jego premiera, diuka Augustusa Graftona (1735-1811), **który** musiał się w rezultacie podać do dymisji. Pseudonim Junius zaczerpnął anonimowy autor z postaci Luciusa Juniusa Brutusa, który według tradycji obalił w 509 roku p.n.e. tyrańskie rządy ostatniego króla Rzymu, Tarkwiniusza Pysznego, i proklamował republikę. Autorstwo listów pozostawało przez lata przedmiotem domysłów, przypisywano je ponad 40 różnym osobom. Jednym z domniemyanych autorów był John Wilkes (1727-1797), radykalny publicysta, polityk i osławiony libertyn, w którego obronie listy m.in. występują. Obecnie większość badaczy przychyliła się jednak do zdania, że autorem był inny publicysta i polityk epoki, sir Philip Francis (1740-1818).

³⁸⁴ Daniel Webster (1782-1852) - to amerykański prawnik, polityk i sławny orator. Członek Izby Reprezentantów i Senatu w różnych okresach, sekretarz stanu w latach 1841-1843, wskutek swoich niezależnych poglądów znajdował się wielokrotnie w centrum kontrowersji politycznych. Lękając się o całość unii, zagrożonej rozbieżnością opinii stanów północnych i południowych w sprawie niewolnictwa, opowiedział się pod koniec kariery za ustępstwami wobec tych ostatnich, których ekonomia opierała się na pracy niewolniczej, co nadwerżyło jego renomę liberała i naraziło go na ataki obu stron. Jego pisma, mowy i listy złożyły się na kilkanaście tomów.

Był to bunt młodzieży przeciwko republikańskiej machinie politycznej stanu Wisconsin; kacyk Keyes, pocztmistrz z Madison, który trząśł hrabstwem, był tak zdumiony, że o mało nie spadł z krzesła.

Z pensją prokuratora, La Follette mógł się ożenić. Miał dwadzieścia pięć lat.

W cztery lata później kandydował do Kongresu; uniwersytet poparł go znowu; był kandydatem młodzieży. Został wybrany, był najmłodszym kongresmenem w całej Izbie.

W Waszyngtonie przedstawiał go Filetus Sawyer, wiskonsiński król drzewny, który przywykł do ociosywania i sprzedawania polityków, tak jak ociosywał i sprzedawał kłody.

La Follette był republikaninem, który rozgromił republikańską machinę. Teraz cieszyli się, że go mają w garści. Nikomu nie uda się pozostać uczciwym w Waszyngtonie.

Tej zimy Booth grywał Szekspira w Baltimore. Booth nigdy nie przyjeżdżał do Waszyngtonu ze względu na gorzką pamięć swego brata.³⁸⁵ Bob La Follette jeździł z żoną na każde przedstawienie.

W salonach hotelu Plankinton w Milwaukee, podczas targów stanowych, kacyk Sawyer, król drzewny, próbował go przekupić, aby wywarł nacisk na swego szwagra, który był przewodniczącym kompletu sędziowskiego w sprawie przeciwko skarbnikowi partii republikańskiej; Bob La Follette opuścił hotel w szewskiej pasji. Od tej chwili poszła walka na noże, aż został gubernatorem Wisconsinu i rozbił w puch republikańską machinę stanową; była to dziesięcioletnia wojna, która uczyniła z Wisconsinu wzorowy stan, gdzie wyborcy, miłujący porządek Niemcy i Finowie, Skandynawowie o niezależnych poglądach, nauczyli się korzystać ze świeżo zdobytych wpływów, bezpośrednich wyborów wstępnych, referendum i prawa odwoływania obieralnych urzędników. La Follette opodatkował koleje.

John C. Payne oświadczył wobec grupy zgromadzonej w hallu hotelu Ebbitta w Waszyngtonie: „La Follette jest skończonym głupcem, jeśli przypuszcza, że może zadzierać z koleją o pięciu tysiącach mil nieprzerwanej linii; przekona się, że jest w błędzie. Już my się nim zaopiekujemy, kiedy nadejdzie pora”. Ale kiedy nadeszła pora, zaopiekowali się nim farmerzy z Wisconsinu, młodzi adwokaci, lekarze i biznesmeni tuż po studiach, wybierając go trzykrotnie gubernatorem, a potem członkiem senatu Stanów Zjednoczonych, gdzie trzymał się do końca życia, wygłaszając długie mowy pełne danych statystycznych, wojując o zachowanie demokratycznych rządów, o zbudowanie rzeczypospolitej farmerów i drobnych kupców, samotny, przypierany do muru, zwalczający korupcję, wielkie interesy, wysokie finanse, trusty, piętrowe kombinacje i letargiczne miazmaty Waszyngtonu.

Był jednym z „grupki upartych wyrażającej tylko własne poglądy”, która się przeciwstawiała

³⁸⁵ Edwin Booth nie przyjeżdżał do Waszyngtonu, lecz występował dla publiczności stolicy w odległym o 63 kilometry Baltimore, gdyż to w Waszyngtonie, podczas przedstawienia w Teatrze Forda, jego brat John strzałem w głowę zamordował 14 kwietnia 1865 siedzącego w łożu prezydenta Lincolna. John Booth był fanatycznym zwolennikiem Południa w toczącej się wówczas wojnie secesyjnej. Po zamachu zeskoczył na scenę, łamiąc nogę, lecz mimo to zdołał zbiec. 12 dni później został osaczony w pewnej stodole w Wirginii i zginął od kuli cudzej lub własnej.

forsowanemu przez Woodrowa Wilsona projektowi uzbrajania statków handlowych³⁸⁶, przesądzającemu o wybuchu wojny z Niemcami; nazywano ich obstrukcjonistami, ale było to sześciu odważnych, którzy wyczerpali wszystkie siły, by gołymi rękami powstrzymać nierozumną lawinę; prasa wpajała w czytelników nienawiść do La Follette'a, zdrajcy; w Illinois spalono jego kukłę; w Wheeling nie pozwolono mu przemawiać.

W tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym kandydował na prezydenta i bez funduszków ani machiny wyborczej zgarnął cztery i pół miliona głosów, ale był już chorym człowiekiem, męczyła go bezustanna praca, zaduch pokojów posiedzeń i izb ustawodawczych, śmierdzące brudy polityków i umarł, orator piorunujący z kapitolu zaprzepaszczonyj republiki.

Lecz nie zapomnimy, jak w marcu tysiąc dziewięćset siedemnastego siedział niezłomnie podczas drugiej inauguracji Woodrowa Wilsona, na trzy dni unieruchamiając potężną maszynę. Nie pozwolono mu mówić, galeria sztyletowała go nienawistnymi spojrzeniami; senat dyszał linczem; a on siedział, krępy starzec o poranej twarzy, z jedną nogą wyciągniętą w przejściu, ze splecionymi ramionami, z pogryzionym cygarem w kąciu ust i z nie wygłoszoną mową na pulpicie, uparty człowiek wyrażający tylko własne poglądy.

³⁸⁶ Projekt ustawy o u z b r a j a n i u s t a t k ó w handlowych (Armed Ship Bill) był odpowiedzią prezydenta Woodrowa Wilsona na notę niemiecką z 31 stycznia 1917 zapowiadającą, że z dniem 1 lutego niemieckie łodzie podwodne wznowią zawieszono uprzednio zatapiające amerykańskich i innych statków handlowych z dostawami dla państw ententy, i na faktyczne wprowadzanie tej groźby w czyn. Skądinąd sprawa wolności żeglugi i zagrażającej jej wojny podwodnej ślimaczyła się od czasu zatopienia *Lusitani*. W rozumieniu Wilsona uzbrajanie statków handlowych, by się mogły bronić przed pirackimi napaściami, było manifestacją „zbrojnej neutralności”, nawiązaniem do precedensu polityki stosowanej przez kraje skandynawskie w czasie wojen napoleońskich. Jednakże La Follette widział w tym pułapkę, która nieuchronnie wciągnie USA w wojnę, i chociaż ustawa została 28 lutego przyjęta przez Izbę Reprezentantów, zastosował przeciwko niej w Senacie taktykę obstrukcji (tak zwane: filibustering), polegającą na przewlekaniu dyskusji w nieskończoność, tak by nie dopuścić do głosowania. W swoim historycznym opracowaniu *Mr. Wilson's War (Wojna pana Wilsona, 1962)* Dos Passos podaje liczbę 12, nie jak tutaj 6 senatorów, którzy akcją obstrukcyjną prowadzili. Cytowanym przez Dos Passosa określeniem „grupki samowolnych wyrażających tylko własne poglądy” („a little group of wilful men representing no opinion but their own”) napiętnował ich nie kto inny, jak sam prezydent Wilson. Akcja trwała aż do zamknięcia sesji 4 marca, w przeddzień inauguracji prezydenta Wilsona na drugą kadencję, i Senat ostatecznie ustawy nie uchwalił. Wobec tego 9 marca Wilson obwieścił z powołaniem się na orzeczenie prokuratora generalnego, że ma prawo zarządzić uzbrajanie statków handlowych bez zgody Kongresu na mocy nigdy nie zniesionej ustawy z 1794 roku, a w niespełna miesiąc potem (6 kwietnia) czuł się zmuszony wystąpić do Kongresu o wypowiedzenie wojny państwu centralnym. Tak więc akcja La Follette'a odegrała rolę jedynie symboliczną. Rzecz inna, że przystąpienie Stanów do wojny było zapewne nieuniknione wobec różnych wcześniejszych i późniejszych wydarzeń, bez względu na to, czy statki byłyby uzbrajane czy nie.

CHARLIE ANDERSON

Matka Charliego Andersona prowadziła dom noclegowy dla kolejarzy koło stacji kolei Northern Pacific w Fargo w Północnej Dakocie. Była to drewniana buda z wielospadowym dachem i werandami ze wszystkich stron, pomalowana na kolor musztardowy z czekoladowymi obramowaniami. Z tyłu suszyła się zawsze bielizna na opadających sznurach, przeciągniętych od słupa koło drzwi kuchennych do rzędu walących się kurników. Pani Anderson była siwowłosa kobietą w okularach; pensjonariusze bali się jej, chociaż nigdy nie podnosiła głosu, i ze skargami na łóżka, wikt, czy że jajka były nieświeże, woleli się zwracać do Lizzie Green, dziewczyny z północnej Irlandii, która pełniła funkcje pomocy domowej, kucharzyła, robiła w ogóle wszystko. Gdy któryś z kolejarzy wracał do domu pijany, to właśnie Lizzie o wielkich rękach i kaczym chodzie, naciągnawszy na nocną koszulę wyszarzałe męskie palto, szła go uciszać. Brekowsy, który próbował się do niej pewnej nocy dobierać, dostał takiego sierpowego w szczękę, że spadł z werandy. To właśnie Lizzie szorowała i opierała Charliego, kiedy był mały, pilnowała, żeby się nie spóźnił do szkoły, smarowała mu arniką otarte kolana, a szarym mydłem odmrożenia i łątała podarte ubrania. Pani Anderson wychowała już troje dzieci, które dorosły i opuściły dom, nim Charlie przyszedł na świat, i jakoś nie miała teraz głowy do jeszcze jednego dziecka. Pan Anderson także rzucił dom niedługo po urodzeniu się Charliego; musiał wyjechać na Zachód ze względu na słabe płuca, nie wytrzymał ciężkich zim, jak tłumaczyła żona. Pani Anderson prowadziła rachunki i robiła konfitury, weki i przeciera z truskawek, groszku, brzoskwiń, fasoli, pomidorów, gruszek, śliwek i jabłek w zależności od pory roku, pilnowała, żeby Charlie czytał codziennie rozdział z Biblii, i poświęcała dużo czasu dobroczynności.

Charlie był krępy młody chłopiec o niesfornej płowej czuprynie i szarych oczach. Pensjonariusze rozpieszczali go i Charlie nie mógł się uskarżać na los, z wyjątkiem niedziel, kiedy musiał chodzić dwukrotnie do kościoła i do szkoły niedzielnej, a po obiedzie słuchać, jak matka czyta mu ulubione urywki z Mateusza, Estery lub Rut, a potem odpowiadać z rozdziałów zadanych na miniony tydzień. Lekcja odbywała się przy stole z czerwoną serwetą, pod oknem, które pani Anderson latem i zimą trzymała zastawione doniczkami rdestu, trzykrotki, begonii i paproci. Charliemu cierpły nogi, po obfitym obiedzie morzył go sen i bał się okropnie popełnić grzech przeciw Duchowi Świętemu, jakim - wspomniała kiedyś matka - jest nieuwaga w kościele, w szkółce niedzielnej lub podczas słuchania Biblii. Zimą w kuchni panowała kompletna cisza, jeśli nie liczyć słabego dudnienia pod blachą i ciężkich kroków oraz sapania Lizzie chowającej do kredensu pomyte naczynia. Latem było znacznie gorzej. Wiedział, że inne dzieci kąpią się w Rzece Czerwonej, łowią ryby albo bawią się w ojca Wirgiliusza w składach drewna czy na zwałach węgla za parowozownią, złapane muchy brzęczały cienko na girlandach lepów, słychać było manewrowanie lokomotywy przetaczającej wagony towarowe na bocznicach albo gwizd wjeżdżającego na stację dalekobieżnego do Winnipegu i dzwonienie

dzwonu i Charlie, w świerzbującym i klejącym się do szyi sztywnym kołnierzyku, zerkał co chwila na głośno cykający porcelanowy zegar na ścianie. Czas dłużył się bardziej, gdy patrzył za często, więc pozwalał sobie na podniesienie głowy dopiero gdy uznał, że minęło piętnaście minut, ale podniósłszy stwierdzał, że minęło wszystkiego pięć, i ogarniała go rozpacz. Może już lepiej byłoby popełnić grzech przeciwko Duchowi Świętemu, zostać raz na zawsze potępionym bez ratunku i uciec w świat z jakimś trampem tak jak Dophy Olsen. Ale nie miał odwagi.

Jakoś w czasie gdy przeszedł do gimnazjum zaczął odkrywać w Biblii dziwne rzeczy, jakby żywcem wzięte z rozmów chłopców, kiedy się zmęczeni zabawą w piłkę do dołka w wysokiej trawie za płotem składów drewna - fragmenty o Onanie³⁸⁷, o lewicie i jego konkubinie³⁸⁸, Pieśń nad pieśniami króla Salomona. Serce mu biło i działo się z nim coś dziwnego, kiedy je czytał; o to samo uczucie przyprawiały go zasłyszane strzępy kolejarskich rozmów w domu. Wiedział już, co to są kurwy i dlaczego kobietom rosną takie wielkie brzuchy; niepokoiło go to i uważał rozmawiając z matką, żeby się nie zdradzić, że wie podobne rzeczy.

Brat Charliego, Jim, był ożeniony z córką właściciela stajni w Minneapolis i na wiosnę, kiedy Charlie kończył ósmą klasę, przyjechał z żoną w odwiedziny do pani Anderson. Jim palił w domu cygara, pokpiwał sobie z matki i przez cały czas jego pobytu nie było mowy o czytaniu Biblii. Pewnej niedzieli wziął Charliego na ryby nad rzekę Sheyenne i powiedział, że gdyby Charlie chciał przyjechać do Dwójmiasta³⁸⁹ po skończeniu roku szkolnego, toby go przyjął do pomocy w garażu, który otwiera przy stajni teścia. W głosie Charliego brzmiała duma, kiedy oznajmiał chłopcom w szkole, że ma na lato pracę w Minneapolis. Rad był z wyjazdu, bo właśnie wróciła z kursu pielęgniarstwa jego siostra, Esther, i bez przerwy gderiała, że mówi slangiem, że nie dba o ubranie i że się zapycha ciastem.

Radość go rozpierała, kiedy pewnego ranka, z walizką, którą mu pożyczyła Esther, wyruszył sam jeden do Moorhead, gdzie miał wsiąść do pociągu do Dwójmiasta. Na stacji chciał kupić paczkę papierosów, ale sprzedawca w kiosku wyśmiał go mówiąc, że jest na to za młody. Kiedy wychodził z domu, był piękny wiosenny dzień, odrobinę za gorący. Klęby rosłych koni, ciągnących przez most długi sznur furgonów z mąką, błyszczały od potu. Kiedy czekał na stacji, powietrze zrobiło się

³⁸⁷ Onan - to syn Judy, opisany w Księdze Rodzaju *Starego Testamentu* (rozdział 38, wersy 4-10); po śmierci brata pokaranego przez Boga, nie chcąc w myśl przykazań ojca zapłodnić wdowy po nim, Onan wylewa swoje nasienie na ziemię, za co z kolei jego dosięgnie kara Boża. Od jego imienia pochodzi oczywiście słowo „onanizm”, które pierwotnie oznaczało stosunek przerywany (*coitus interruptus*), to jest taki, w którym członek męski zostaje wysunięty z kobiecej pochwy przed wytryskiem. Obecnie termin ten jest zwykle używany jako synonim samogwałtu.

³⁸⁸ Historii lewity i jego konkubiny poświęcony jest cały rozdział 19 Księgi Sędziów. Lewici to według *Biblii* członkowie plemienia Lewi (a więc potomkowie Lewiego, trzeciego syna Jakuba), używani do niższych posług religijnych. Lewita z tej przypowieści wyprawia się ze swoją konkubiną w podróż, żeby odwiedzić jej ojca, podróż jednak kończy się tragicznie, gdyż w drodze powrotnej kobieta pada ofiarą wielokrotnego gwałtu bandy rzeźmieszków, a jako zhańbiona, w myśl okrutnej logiki *Starego Testamentu*, zostanie po dotarciu do domu zgładzona przez swego konkubenta.

³⁸⁹ Dwójmiasto (Twin Cities) - to dwa przyległe do siebie miasta w stanie Minnesota-Minneapolis i Saint Paul,

duszne, a niebo zasnuło parującą mgiełką. Słońce połyskiwało czerwono na szerokich grzbietach elewatorów zbożowych przy torach. Usłyszał, jak jakiś mężczyzna mówi do drugiego:

- Wygląda mi to na tornado.

Wsiadłszy do pociągu, wychylił się do połowy przez otwarte okno, żeby widzieć fioletowe czoło burzy, która sunęła z północnego zachodu nad jaskrawozielonymi łanami pszenicy rozpościerającej się aż do chmur. Miał niejasną nadzieję, że to rzeczywiście tornado, którego nigdy nie widział, kiedy jednak z ławicy chmur jęły trzaskać bicze błyskawic, zrobiło mu się trochę łyso, chociaż fakt, że jest w pociągu z konduktorem i innymi pasażerami, wzmagił nieco poczucie bezpieczeństwa. Nie było to tornado, tylko gwałtowna burza z potężnymi szumiącymi i siekającymi falami ulewy, które przewalały się powoli przez pszeniczne pola, zabarwiając je na cynkowo. Potem znów wyszło słońce i kiedy Charlie otworzył okno, wszystko pachniało wiosną, ptaki śpiewały w brzozowych zagajnikach i ciemnych kępach jodeł nad błyszczącymi jeziorami.

Jim czekał z ciężarowym fordem na stacji połączonych kolei. Pojechali na dworzec towarowy i Charlie musiał pomagać w ładowaniu ciężkich pak z częściami zamiennymi, adresowanych do Garażu Vogla, które nadeszły z Detroit. Robił minę człowieka, który przez całe życie mieszkał w wielkim mieście, ale aż mu się kręciło w głowie od dzwonienia tramwajów, stukotu ostro podkutych koni pociągowych krzeszących iskry na kocich łbach, widoku przystojnych blondynek, sklepów i przestronnych niemieckich piwiarni, szumu młynów i warsztatów mechanicznych. Jim wydawał mu się chudy i wysoki w kombinezonie roboczym, nabrał krótkiego urywanego sposobu mówienia.

- Musisz się trochę liczyć w domu, chłopie. Stary jest Niemcem, ojciec Hedwig, i jak to starzy Niemcy okropnie drobiazgowy - powiedział, kiedy naładowali ciężarówkę i jechali powoli ruchliwą ulicą.

- Jasne, Jim - odrzekł Charlie, ale ogarnął go lekki niepokój, jak to będzie w tym Minneapolis. Czułby się pewniej, gdyby Jim się częściej uśmiechał.

Stary Vogel okazał się przysadzistym czerwonym mężczyzną z brzuszkiem i brudną siwą czupryną, gustującym w piwie, kluskach i obfitości zawiesistego sosu do pieczeni. Żona Jima, Hedwig, była jego jedyną córką. Jej matka, żona Vogla, nie żyła, w domu była jednak podstarzała Niemka, nazywana przez wszystkich ciotką Hartmann, która prowadziła gospodarstwo. Przez cały dzień chodziła za mężczyznami ze ścierką i do spółki z Hedwig, w której niebieskich oczach malowała się stała irytacja, bo oczekiwała na jesieni dziecka, utrzymywały dom w tak nieskazitelnej czystości, że można by wprost z linoleum zajądać sadzone jajka. Nie pozwalały nigdy otwierać okien, żeby się nie nakurzyło. Z domu wychodziło się wprost na ulicę, stajnia natomiast mieściła się z tyłu w podwórzu, do którego prowadził zaułek, z przyległą po drugiej stronie siodlarnią przerobioną właśnie na garaż. Kiedy Jim i Charlie podjechali, na drabinie od frontu pracowali malarze mocujący

błyszczący od nowości czerwono-biały szyld z napisem: GARAŻ VOGLA.

- Stary drań - wymamrotał Jim. - Obiecywał, że każe napisać: Vogla i Andersona. A, diabli z nim!

Wszędzie pachniało stajnią, na podwórzu Murzyn oprowadzał wychudzonego konia z derką na grzbiecie.

Przez całe lato Charlie mył automobile, czyścił skrzynki biegów, wymieniał okładziny hamulców. Stale brudny, w lepkim przetłuszczonym kombinezonie, o siódmej musiał być już w garażu, z którego wychodził późnym wieczorem, zbyt zmęczony, by myśleć o czymkolwiek prócz rzućcia się na wyrko, które rozstawiono mu na stryszku nad garażem. Jim dawał mu dolara kieszonkowego tygodniowo, tłumacząc, że to wspianałomyślność z jego strony, bo przecież Charlie korzysta uczyć się zawodu. W sobotę wieczorem Charlie kąpał się ostatni, kiedy woda była już ledwo letnia, i dużo trudu kosztowało go doprowadzenie się do porządku. Stary Vogel był socjalistą, nie chodził do kościoła i całe niedziele spędzał na picciu piwa z kamratami. Przy niedzielnym obiedzie wszyscy rozmawiali po niemiecku, a Jim i Charlie siedzieli w ponurym milczeniu, chociaż stary Vogel raczył ich piwem i sypał dowcipami kwitowanymi gromkim śmiechem przez Hedwig i ciotkę Hartmann. Po obiedzie, kiedy Charliemu kręciło się w głowie po piwie, od którego nie wypadało się wymawiać, choć miało taki okropnie gorzki smak, stary Vogel zaczynał się z nim przekomarzać, czyby nie zapalił cygara, po czym radził mu iść obejrzeć miasto. Więc Charlie wychodził z uczuciem przejedzenia i lekkiego zawrotu głowy i wsiadał do tramwaju do Saint Paul, żeby obejrzeć nowy kapitol stanowy, albo do Lake Harriet, albo do parku na Big Island, żeby pojeździć kolejką diabelską czy włączyć się w kółko alejami, aż nogi odpadały mu ze zmęczenia. Jak dotąd nie znał nikogo w swoim wieku, więc zaczął czytać dla wynagrodzenia sobie braku towarzystwa. Kupował każdy numer „Popularnej Mechaniki”, „Technika Amerykańskiego”, „Przygody” i „Szerokiego Świata”. Projektował, że zbuduje jolkę według planów zamieszczonych w „Techniku” i wyruszy w dół Missisipi aż do Zatoki Meksykańskiej. Będzie się żywił zastrzelonymi kaczkami i złowionymi sumami. Zaczął nawet oszczędzać kieszonkowe, żeby zebrać na kupno strzelby.

Mimo wszystko podobało mu się u starego Vogla, bo nie musiał czytać Biblii ani chodzić do kościoła, a lubił majstrować przy motorach i nauczył się prowadzić ciężarówkę. Po pewnym czasie poznał Bucka i Slima Jonesów, dwóch braci w swoim wieku, którzy mieszkali na tej samej ulicy i uważali go za wspianego faceta, bo pracował w garażu. Buck sprzedawał gazety i miał opracowany system dostawania się wyjściowymi drzwiami do kinematografów, a także znał wszystkie płyty, z których było dobrze widać mecze piłkarskie. Poznawszy Jonesów, Charlie biegł do nich w te pędy po niedzielnym obiedzie i mieli uciechy co niemiara. Jeździli po całym mieście na furgonach ze zbożem albo na buforach tramwajów, uciekali przed glinami, łazili po tratwach na rzece, kąpali się, wspinali na wodospady i Charlie wróciwszy do domu, spocony, w wybrudzonej wyjściowym ubraniu,

dostawał od Hedwig burę, że się spóźnił na kolację. Stary Vogel przepędzał młodych Jonesów, ilekroć ich zobaczył kręcących się koło garażu, ale kiedy nie było ani jego, ani Jima, przysiadł się do nich czarny stajenny Gus, cały przesiąknięty zapachem koni, i opowiadał im o wyścigach konnych, wesołych kobietkach, pijatykach w Louisville, o tym, jak należy brać pierwszy raz dziewczynę i że on ze swoją robi to przez całą noc, nie przerywając ani na minutę.

W dniu Święta Pracy stary Vogel zabrał Jima, córkę i ciotkę Hartmann na przejażdżkę bryczką zaprzęzoną w parę pięknych gniadoszy, które dostał do sprzedania, a Charliemu powierzył pieczę nad garażem, na wypadek gdyby ktoś pytał o benzynę lub olej. Zjawili się Buck i Slim i wszyscy razem zaczęli psioczyć, że co, u licha, przecież to Święto Pracy, a oni nie mogą nigdzie iść. Na samych terenach wystawowych ma być mecz i zaraz potem rewanż, nie mówiąc już o kupie innych rozrywek w całym mieście. No i zaczęło się. Najpierw Charlie jął tłumaczyć Buckowi, jak się prowadzi ciężarówkę, potem chciał mu pokazać, więc zapalił korbą motor i ani się obejrzał, jak obiecał przewieźć ich po ulicy. Objechawszy dokoła, wrócił zamknąć garaż, po czym ruszyli na przejażdżkę w stronę Minnehaha. Charlie obiecywał sobie, że będzie prowadził ostrożnie i wróci do domu na długo przed starym, ale na asfaltowym bulwarze coś go podkusiło, dodał gazu i o mały włos byłby wpadł na zaprzężony w kucyka wózek z dziewczynkami, który wyjechał niespodzianie z bocznej uliczki. W powrotnej drodze pili z butelek sarsaparylę i w ogóle świetnie się bawili, kiedy Buck nagle zauważył z tyłu policjanta na motocyklu. Charlie dodał gazu, żeby zwiać, wziął ostro zakręt i wylądował z trzaskiem na słupie telegraficznym. Buck i Slim prysnęli, aż się kurzyło, i Charlie został sam na sam z policjantem.

Policjant był Szwedem, kłął, wymyślał, dunderował, oświadczył, że go wsadzi do ciupy za prowadzenie bez prawa jazdy, ale Charlie znalazł pod siedzeniem prawo Jima, nałgał, że wozili transport jabłek do Minnehaha i brat kazał mu odstawić wóz do garażu, tak że policjant w końcu go puścił, zapowiadając, żeby następnym razem prowadził ostrożniej. Motor pracował normalnie, tylko jeden błotnik był wgnieciony i kierownica jakaś dziwna. Charlie wracał tak wolno, że woda zagotowała się w chłodnicy, nim dojechał do domu, przed którym stał właśnie Gus, trzymając gniadosze za uzdy, podczas gdy rodzina wysiadała z bryczki.

Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Zresztą pierwszą rzeczą, jaką zauważyli, był wgnieciony błotnik. Wskoczyli na niego wszyscy, szwargocąc jedno przez drugie po niemiecku, przy czym najgłośniej wrzeszczała ciotka Hartmann, stary Vogel zrobił się cały fioletowy, a Hedwig złapała go za kołnierz i trzepnęła po twarzy. Orzekli zgodnie, że Jim musi mu spuścić lania, na co Charlie się wściekł i powiedział, że nikt nie ma prawa mu spuszczać lania, a Jim oświadczył, że tak czy inaczej, najlepiej będzie, jak Charlie wróci do Fargo. Więc Charlie poszedł się spakować i nie żegnając się z nikim, jeszcze tego samego wieczoru opuścił dom, z walizką w ręce i pięcioma starymi

numerami „Argosy”³⁹⁰ pod pachą. Zaoszczędzonej forsy starczyło mu akurat na bilet do Barnesville i dalej musiał się bawić w chowanego z konduktorem, dopóki nie dojechał do Moorhead. Matka ucieszyła się na jego widok, powiedziała, że jest dobrym chłopcem, bo przyjechał wcześniej, i będzie mogła się nim nacieszyć przed rozpoczęciem szkoły, po czym zaczęła się rozwodzić, że powinien przystąpić do konfirmacji. Charlie nic nie wspominał o uszkodzonej ciężarówce, natomiast postanowił w duchu, że nie przystąpi do żadnej konfirmacji. Zjadł obfite śniadanie, które Lizzie mu przygotowała, po czym poszedł do swojego pokoju i położył się na łóżku. Zastanawiał się, czy niechęć do konfirmacji nie jest przypadkiem grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, ale jakoś myśl o tym nie przerażała go już tak jak dawniej. Chciało mu się spać po całonocnym tłuczeniu się pociągami i wkrótce zasnął.

Przebrnął jeszcze przez kilka klas gimnazjum, dorabiając sobie trochę wieczorami jako pomocnik w garażu w Moorhead. Ale nie podobało mu się już w domu po zakosztowaniu Dwójmiasta. Matka nie pozwalała mu pracować w niedzielę i suszyła głowę o przystąpienie do konfirmacji. Esther o byle co gderiała, Lizzie traktowała go, jakby był ciągle szczeniakiem, i nazywała swoim chłoptasiem w obecności pensjonariuszy, zresztą szkoły miał już też po dziurki w nosie, tak że skończywszy siedemnaście lat, na wiosnę, po zakończeniu roku szkolnego, wypuścił się na własną rękę do Minneapolis na poszukiwanie pracy. Miał pieniądze na parodniowe utrzymanie, więc postanowił wybrać się najpierw na Big Island. Chciał jeździć diabelską kolejką, strzelać na strzelnicy, pływać, zaczepiać dziewczyny. Skończył raz na zawsze z prowincjonalnymi dziurami jak Fargo i Moorhead, gdzie nic się nigdy nie dzieje.

Było prawie ciemno, kiedy dotarł nad jezioro. Podpływając małym stateczkiem do przystani słyszał zza drzew grający jazzband, turkot i łoskot diabelskiej kolejki, krzyki, kiedy wagonik spadał w dół. Na wyspie była tancbuda, kolorowe światełka migały między drzewami, zalatywały perfumy dziewczyn, pachniała prażona kukurydza, melasowe cukierki i proch ze strzelnicy, naganiacze gardłowali przed pawilonami. Ze względu na poniedziałek nie było zbyt wielu ludzi. Charlie przejechał się parę razy diabelską kolejką, po czym zagadnął obsługującego chłopaka o możliwość znalezienia tutaj pracy.

Chłopak kazał mu poczekać, o jedenastej, przed zamknięciem, zjawi się facet, który prowadzi ten cały interes, niejaki Svenson - niewykluczone, że może kogoś potrzebować. Chłopak nazywał się Ed Walters; poinformował Charliego, że majątku to się człowiek na tej pracy nie dorobi, ale że Svenson jest porządny gość. Pozwolił mu się przejechać parę razy za darmo, żeby Charlie się obznajmił z działaniem diabelskiej kolejki, dał mu butelkę napoju waniliowego i kazał być dobrej myśli. Pracował już drugi rok w wesołym miasteczku, miał ostrą lisią twarz i pewien siebie sposób bycia.

³⁹⁰ „Argosy” (ang. wielki statek handlowy) - to nazwa taniego pisma przygodowego, wychodzącego od 1889.

Serce zaczęło walić Charliemu, kiedy po wpływy z kasy przyszedł wysoki mężczyzna o zapadłych policzkach i jasnej zmierzwionej czuprynie. Był to Svenson. Zmierzył Charliego od stóp do głów i zgodził się wziąć go na tydzień na próbę, tylko niech Charlie sobie pamięta, że to spokojne miasteczko, przychodzą tu całe rodziny, i on, Svenson, nie dopuści do żadnych chryj. Kazał mu się zgłosić następnego dnia o dziesiątej rano.

- To na razie - krzyknął Charlie do Eda Waltersa i popędził łapać ostatni stateczek i ostatni tramwaj do miasta.

Kiedy jednak wysiadł z tramwaju, było za późno na odebranie walizki z przechowalni dworcowej; nie chciał również wydawać pieniędzy na nocleg ani iść do Jima, więc położył się na ławce przed magistratem. Noc była ciepła i imponowało mu, że śpi na ławce jak prawdziwy tramp. Ale łukowe latarnie raziły go w oczy i bał się policjantów; będzie ładny klops, jeśli go przymkną za włóczęgostwo i praca w wesołym miasteczku przejdzie mu koło nosa. Obudził się o szarym świcie, szcękając zębami. Łukowe latarnie świeciły różowo na tle bladego, cytrynowożółtego nieba, kwartały wielkich biurowców o pustych oknach wyglądały dziwnie szaro i martwo. Ruszył żwawo, tupiąc obcasami o bruk, żeby krew zaczęła na powrót krążyć w żyłach.

Znalazł kiosk, w którym dostał kubek kawy i ciastko drożdżowe za pięć centów, i pierwszym tramwajem pojechał nad jezioro Minnetonka. Był jasny letni dzień, z lekkimi północnymi powiewami. Jezioro wydawało się bardzo błękitne, pnie brzoź bardzo białe, drobne listki tańczyły żółtawozielone na tle ciemniejszych drzew iglastych i granatowego nieba. Charlie pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział takiego pięknego miejsca. Drzemał długo w słońcu na skraju pomostu, czekając na odjazd stateczku, a kiedy wreszcie dojechał na wyspę, wesołe miasteczko było zamknięte, kioski zaryglowane na głucho, nieruchome czerwone i niebieskie wagoniki diabelskiej kolejki stały smutno w porannym blasku. Charlie pokręcił się trochę, ale oczy go piekły, nogi bolały, walizka ciążyła w dłoni, więc wyszukał za ścianą jakiejś budy miejsce osłonięte od wiatru, ułożył się w ciepłe słońca za sosnowym igliwiu i zasnął obok walizki.

Obudził się raptownie. Jego ingersoll wskazywał jedenastą. Ogarnęło go uczucie obezwładniającego chłodu. Parszywa historia, jeśli straci pracę przez głupie spóźnienie. Svenson siedział w kasie kolejki, w słomkowym kapeluszu na czubku głowy. Kazał Charliemu po prostu zdjąć kurtkę i pomóc MacDonaldowi, mechanikowi, który oliwił motor.

Przez całe lato, aż do zamknięcia wesołego miasteczka we wrześniu, Charlie pracował przy diabelskiej kolejce. Chodził po całych dniach w koszulce gimnastycznej i spodniach koloru khaki i bardzo się opalił. Mieszkał w małym obozie w Excelsior, po drugiej stronie jeziora, wraz z Edem Waltersem i Włochem nazwiskiem Spagnolo, który miał koncesję na sprzedaż słodyczy.

W sąsiednim obozie mieszkał Svenson z sześcioma córkami. Jego żona nie żyła. Najstarsza, Anna, miała pod trzydziestkę i obsługiwała kasę w wesołym miasteczku, dwie następne były

kelnerkami w hotelu w Tonka Bay, pozostałe zaś chodziły do gimnazjum i nie pracowały. Wszystkie były wysokie, miały jasne włosy i ładną cerę. Charliemu wpadła w oko najmłodsza, Emiska, która była mniej więcej w jego wieku; dziewczyną Eda była Żona. Mieli tratwę, trampolinę i wszyscy razem się kąpali. Często po zamknięciu wesołego miasteczka jeździli we czworo łódką, szczególnie w ciepłe księżycowe noce. Nie pili, ale palili papierosy, grali na gramofonie, całowali się i ściskali na dnie łódki. Kiedy chłopcy wracali do swojego obozu, Spagnolo już leżał, więc robili mu psikusy, wpuszczali chrabąszcze pod koce, a on kłął, wymyślał i przewracał się na łóżku. Emiska była mistrzynią w przyrządzaniu kremu czekoladowego i Charlie szalał za nią, ona zaś zdawała się go także lubić. Nauczyła go wysuwać język przy całowaniu, głaskała po głowie, ocierała się o niego jak kotka, ale nigdy nie pozwalała mu się posuwać za daleko, zresztą sam uważał, że nie ma do tego prawa. Pewnego wieczoru wybrali się we czworo i rozpalili ognisko pod sosną w kępie wysokich drzew na wzgórzu za obozami. Opiekali pańską skórkę i siedzieli dokoła ogniska opowiadając historie o duchach. Wzięli koce, Ed pokazał im, jak zrobić pryczę z gałęzi choiny zatkniętych w ziemię, i spali wszyscy czworo na wspólnym posłaniu. Łachotali się, baraszkowali i długo trwało, nim zasnęli. Przez część nocy Charlie leżał między Żoną i Emiską, które tuliły się do niego, i nie mógł spać, bo miał wzwód i drżał z obawy, że dziewczęta zauważą.

Nauczył się tańczyć i grać w pokera i kiedy nadeszło Świąto Pracy, nie miał zaoszczędzonego ani centa, ale był zadowolony, bo spędził cudowne lato.

We wrześniu, po zamknięciu wesołego miasteczka, wynajął do spółki z Edem pokój w Saint Paul. Dostał pracę jako pomocnik w warsztatach kolei Northern Pacific i zupełnie nieźle zarabiał. Nauczył się obsługiwać elektryczną tokarkę i zapisał na kurs wieczorowy, który miał go przygotować na wydział inżynierii w Szkole Nauk Mechanicznych. Edowi jakoś nie szczęściło się ze znalezieniem pracy, zarobił co najwyżej kilka dolarów pomagając dorywczo w kręgielni. W niedzielę chodzili często na obiady do Svensonów. Pan Svenson prowadził na Czwartej Ulicy niewielki kinematograf pod nazwą *Leif Ericsson*³⁹¹, ale powodziło mu się nieszczególnie. Uważał chłopców za narzeczonych swoich dwóch córek i przyjmował ich z otwartymi ramionami. Charlie co sobota zabierał gdzieś Emiskę i wydawał masę pieniędzy na słodycze, bilety do music-hallów i kolacje w chińskiej restauracji, gdzie można było później potańczyć. Na Gwiazdkę podarował jej swój sygnet i od tej pory podawała się za jego narzeczoną. Wróciwszy wieczorem do Svensonów, ściskali się i całowali w salonie na kanapie.

Emiska lubiła go podniecić, po czym wrywała się i biegła poprawić włosy albo uróżować odrobinę twarz. Nie wracała długo i Charlie słyszał, jak chichocze na górze z siostrami.

³⁹¹ Leif Ericson, islandzki żeglarz z XI stulecia, miał być jednym z pierwszych Europejczyków, którzy dotarli do kontynentu Ameryki Północnej. Płynąc z Norwegii do Grenlandii z powierzona mu przez króla Olafa I misją nawrócenia na chrześcijaństwo osiedlonych tam wikingów, zmylił on kurs i po długim błądzeniu dotarł do lądu, który nazwał Winlandią. Jej położenie pozostawało długo przedmiotem sporu uczonych, obecnie jednak przyjmuje się na ogół, że była to Nowa Fundlandia, gdzie w 1963 roku odkryto ślady osady wikingów odpowiadającej opisowi pozostawionemu przez Ericcsona.

Niespokojny i zdenerwowany, spacerował tam i z powrotem po salonie, w którym była tylko jedna lampa z kwiecistym abażurem. Nie wiedział, co robić. Nie chciał się żenić, bo nie mógłby już marzyć o zwiedzeniu kraju i jakichkolwiek postępach w inżynierii. Chłopcy z warsztatu, jeśli nie byli żonaci, nie gardzili żadną chętną dziewczyną albo wręcz sprowadzali prostytutki z ulicy, lecz Charlie bał się zarazić, przy tym nie miał jakoś nigdy czasu ani głowy, bo to i praca, i szkoła wieczorowa. Zresztą pragnął właśnie Emiski.

Po ostatnim gwałtownym pocałunku, czując jeszcze jej język w ustach, z zapachem jej włosów w nozdrzach i smakiem jej warg na wargach, wracał na piechotę do domu, z szumem w uszach, słaby i chory. Kładł się, ale nie mógł zasnąć i przewracał się przez całą noc, pewien, że oszaleje, aż Ed burczał na niego z drugiego łóżka, żeby, na miłość boską, leżał spokojnie.

W lutym dostał ostrego bólu gardła, doktor, do którego poszedł, stwierdził dyfteryt i odesłał go do szpitala. Był okropnie chory przez parę dni po otrzymaniu antytoksyny. Kiedy mu się trochę polepszyło, przyszedł Ed z Emiską i siedzieli długo na łóżku. Zrobili mu wielką frajdę swoją wizytą. Ed był wysztafirowany od stóp do głów, powiedział, że ma posiadłość i zarabia kupę forsy, ale nie chciał za nic zdradzić, gdzie pracuje. Charlie połapał się, że Ed musi chodzić z Emiską od czasu jego choroby, ale nie przejął się tym zbytnio.

Na sąsiednim łóżku leżał chudy siwy mężczyzna nazwiskiem Michaelson, który był również rekonwalescentem po dyfterycie. Pracował w sklepie artykułów żelaznych i życie dało mu się dobrze we znaki. Miał do niedawna farmę w Iowie, w pasie kukurydzianym, ale kilka lat nieurodzaju wpędziło go w długi, bank wszedł na hipotekę, zajął farmę i tyle. Proponowali mu dzierżawę, ale on odrzekł, że prędzej zje diabła, nim zostanie czymkolwiek dzierżawcą, po czym spakował manatki, przyjechał do miasta, no i musi zaczynać jeszcze raz od początku, z żoną, trójką dzieciaków i pięćdziesiątką na karku. Był wielkim wielbicielem Boba La Follette i głosił teorię, że bankierzy z Wall Street zawiązali spisek w celu przechwycenia władzy i oparcia rządów na pauperyzacji farmerów. Gdyby pielęgniarka nie kazała mu leżeć cicho, mógłby przez cały dzień perorować cienkim rzęzącym głosem o Lidze Bezpartyjnej, Partii Farmersko-Robotniczej, wielkiej misji Północnego Zachodu i konieczności sztafety robotników z farmerami, żeby wspólnie wybierać uczciwych ludzi jak Bob La Follette. Charlie jeszcze na jesieni wstąpił do miejscowej komórki Amerykańskiej Federacji Pracy i wywody Michaelsona, przerywane napadami rżenia i kaszlu, przyprawiały go o gorączkowe podniecenie i budziły zainteresowanie polityką. Postanowił czytać więcej gazet i śledzić, co się dzieje na świecie, bo to i wojna, i w ogóle kto wie, co się może zdarzyć.

Kiedy do Michaelsona przysłała żona z dziećmi, przedstawił wszystkich Charliemu i powiedział, że gdy się leży koło takiego rozgarniętego młodego człowieka, to nawet choroba może się stać przyjemnością. Charliemu zrobiło się głupio, kiedy zobaczył ich blade, niedożywione

twarze i nędzną odzież, którą mieli na ten mróz. Opuścił szpital przed Michaelsonem i kiedy się pochylił, żeby uścisnąć jego suchą, kościstą dłoń, ten powiedział mu na pożegnanie:

- Poczytaj Henry George'a³⁹², chłopcze, słyszysz? Ten wiedział, co dolega naszemu krajowi. Niech mnie diabli, jeśli źle mówię.

Ale Charlie, zadowolony, że wreszcie kroczy na własnych nogach zaśnieżoną ulicą w lodowatych porywach wiatru zamiast wąchać zapachy jodoformu i wyziewy chorych, z miejsca o wszystkim zapomniał.

Prosto ze szpitala poszedł do Svensonów. Emiska zapytała go, co się dzieje z Edem Waltersem. Odparł, że nie był jeszcze w domu i nie wie. Wydawała się tym zmartwiona i trochę go to zastanowiło.

- A Żona nie wie? - spytał.

- Nie. Żona ma nowego chłopaka i o niczym innym nie myśli.

Uśmiechnęła się, poklepała go po ręce i zaczęła się nad nim rozczulać. Potem usiedli na kanapie, poczęstowała go kremem czekoladowym własnej roboty i trzymali się za ręce, ślinili nawzajem całusami i Charlie był szczęśliwy. Kiedy nadeszła Anna, powiedziała, że wychudł, że muszą go odkarmić i żeby został na kolacji, pan Svenson zaś dorzucił, żeby przychodził codziennie, dopóki nie stanie z powrotem na nogach. Po kolacji grali wszyscy w kierki w salonie i świetnie się bawili.

Wracając do domu, Charlie natknął się w sieni na gospodynię. Oznajmiła mu, że jego przyjaciel się ulotnił nie zapłaciwszy komornego i jeśli Charlie nie zapłaci jej tu, w tej chwili, to nie wpuści go w ogóle na górę. Zaczął jej tłumaczyć, że właśnie wyszedł ze szpitala, i w końcu pozwoliła mu zostać jeszcze tydzień. Była to wysoka kobieta o łagodnym wyglądzie i pyzatyh policzkach, w żółtym perkalowym fartuchu z mnóstwem kieszonek. Kiedy Charlie wdrapał się na górę, pokój, w którym mieszkał przez całą zimę z Edem, wydał mu się beznadziejnie nieprzytulny i zimny. Wsunął się do łóżka, między lodowate prześcieradła, i leżał drżąc, z uczuciem słabości i dziecinnej bezradności, bliski płaczu, zachodząc w głowę, czemu, u licha, Ed wyniósł się bez słowa i czemu Emiska miała taką dziwną minę, kiedy powiedział, że nic o nim nie wie.

Następnego dnia poszedł do warsztatów i dostał dawną pracę, chociaż był taki wycieńczony, że nie mieli z niego wielkiej pociechy. Majster zachował się nad podziw przyzwoicie, obiecał, że mu

³⁹² Henry George (1839-1897) - to radykalny ekonomista i publicysta amerykański, który kwintesencję swoich teorii wyłożył w niezmiernie popularnej (miała ponad 100 wydań) rozprawie *Progress and Poverty (Postęp i nędza, 1879)*. Próbuąc dociec przyczyn postępującej pauperyzacji szerokich rzesz przy jednoczesnym wzroście majątku narodowego, dopatrywał się głównej przyczyny zła w fakcie, że stały wzrost renty gruntowej i wartości pozostającej w prywatnych rękach własności ziemskiej przynosi niezасłużone korzyści nielicznym, nie zaś całemu społeczeństwu. Panaceum na ten stan rzeczy upatrywał we wprowadzeniu jako jedyne go podatku od dochodów z ziemi, co jego zdaniem wystarczyłoby na pokrycie wszystkich wydatków publicznych, uwalniając zarazem od niesłusznych ciężarów działalność wytwórczą i zapewniając wzrost płac i zysków wszystkich żyjących z produktywnej pracy. Ta anachroniczna teoria, wywodząca się z czasów, gdy własność ziemska stanowiła największe bogactwo, cieszyła się znacznym uznaniem w radykalnych sferach amerykańskich jeszcze na początku naszego stulecia, w pewnej mierze może dzięki talentowi pisarskiemu i sile przekonywania George'a.

pofolguje przez parę dni, ale za czas choroby nie chciał mu zapłacić, bo Charlie jest nowym pracownikiem i nie ma zaświadczenia od lekarza kolejowego. Wieczorem wybrał się do kręgielni, gdzie Ed czasami pomagał. Barman na gorze poinformował go, że Ed próbował kantować na loterii fantowej, ale zrobiła się draka o jakiś zegarek i musiał pryskać do Chicago.

- Dobrze, żeśmy się pozbyli szczeniaka - rzekł. - Zapowiadał się na lepsze ziółko.

W tygodniu przyszedł list od Jima, że matka pisała z Fargo - niepokoi się bardzo o Charliego i prosi, żeby się pokazał Jimowi. Wobec tego wybrał się w najbliższą niedzielę do Vogłów. Ujrzawszy Jima, powiedział od razu, że ta historia z rozbitym fordem to był idiotyczny szczeniacki wybryk, po czym uścisnęli sobie ręce i Jim go zapewnił, że nikt o tym nie wspomni i żeby Charlie został na obiedzie. Obiad był pierwsza klasa, piwo także. Dzieciak Jima okazał się morowy, ale Charlie jakoś nie mógł się pogodzić z myślą, że jest stryjkiem. Nawet Hedwig nie zrzędziła tak jak dawniej. Garaż dawał dobre dochody, tak że stary Vogel miał niedługo zwinąć stajnię i wycofać się z interesów. Kiedy Charlie powiedział, że chodzi na kursy wieczorowe, zaczął na niego zwracać więcej uwagi. Ktoś wspominał o Bobie La Follette i Charlie oświadczył, że to wielki człowiek.

- Co z tego, sze wielki, kiedy nie ma dobsze w głowie? - zapytał stary Vogel, z wąsami całymi w piwnej pianie. Pociągnął nowy haust z kufla i zmierzył Charliego iskrzącymi się niebieskimi oczami. - No, ale zrobimy jeszcze z ciebie socjalista... Trudny kaszdy początek.

- To się dopiero okaże - powiedział Charlie czerwieniąc się, podczas gdy ciotka Hartmann nakładała mu na talerz nową porcję zająca z makaronem i tłuczonymi kartoflami.

Pewnego mroźnego wieczoru marcowego zabrał Emiskę na *Narodziny narodu*³⁹³. Bitwy, muzyka, trąbki, wszystko to sprawiło, że drżeli jak w febrze. Oboje mieli łzy w oczach, gdy dwaj chłopcy spotkali się na polu bitwy i umierali złączeni uściskiem. Kiedy Ku-Klux-Klan szarżował na ekranie, Charlie przywarł nogą do nogi Emiski, a ona wbiła mu paznokcie w kolano, tak że zabolalo. Po wyjściu z kinematografu Charlie oznajmił, że jak rany, musi chyba pojechać do Kanady, zaciągnąć się i zobaczyć tę wojnę w Europie. Emiska powiedziała, żeby nie był głupi, po czym spojrzała na niego jakoś dziwnie i zapytała, czy jest po stronie Brytyjczyków. Odparł, że nic go to nie obchodzi, i tak wygrają na tym tylko bankierzy, więc obojętne, kto zwycięży.

- Czy to nie okropne? - powiedziała Emiska. - Nie mówmy o tym więcej.

Kiedy wrócili do Svensonów, pan Svenson siedział bez marynarki w salonie i czytał gazetę.

³⁹³ *Narodziny narodu* (*The Birth of a Nation*) - to ważny w historii kinematografii film reżyserii Davida Griffitha (1875-1948), wyprodukowany w roku 1915. Oparty na powieści rasistowskiego pisarza z Południa, Thomasa Dixona, pt. *The Clansman* (*Członek Klanu*, 1905), film stanowi apoteozę Ku-Klux-Klanu, segregacji rasowej i dawnych „patnarchalnych” ideałów Południa. Pomimo oburzenia i protestów światlejszej części opinii publicznej film cieszył się ogromnym powodzeniem ze względu na atrakcyjną fabułę i ogromne walory widowiskowe. Przeszedł do historii jako pierwszy długometrażowy obraz posługujący się konsekwentnie filmowymi środkami narracji i wprowadzający wiele rewelacyjnych wówczas innowacji.

Wstał, podszedł do Charliego z zatroskaną twarzą i już miał coś powiedzieć, kiedy Emiska potrząsnęła głową. Wzruszył ramionami i wyszedł. Charlie spytał Emiskę, co ojca gryzie. Porwała go w ramiona, położyła mu głowę na ramieniu i wybuchnęła płaczem.

- Co się stało, kiciu? Co się stało, kiciu? - pytał.

Ale ona tylko płakała i płakała, aż poczuł łzy na policzku i na szyi.

- Na miłość boską, weź się w kupę, kiciu. Rozmoczysz mi cały kołnierzyk.

Rzuciła się na kanapę i widział, że całą siłą woli próbuje się opanować. Usiadł obok i zaczął ją głaskać po ręce. Nagle zerwała się, stanęła pośrodku pokoju. Chciał ją objąć i pocieszyć, ale go odepchnęła.

- Charlie - rzekła nienaturalnym głosem - chcę ci coś powiedzieć... Zdaje się, że będę miała dziecko.

- Oszalałaś? Przecież nigdy...

- Może to ktoś inny... Och, Boże, chyba się zabiję. Charlie chwycił ją za ramiona i posadził na kanapie.

- Weź się w kupę i powiedz, jak to było.

- Wolalabym, żebyś mnie sprął - powiedziała Emiska wybuchając histerycznym śmiechem. - No, nie bój się, przyłóż mi porządnie.

Charlie poczuł obezwładniającą słabość.

- Powiedz, jak to było - powtórzył. - Rany Jezusa, chyba to nie Ed.

Podniosła twarz zapadłą jak u starej kobiety, popatrzyła na niego wystraszonymi oczami.

- Nie, nie... Tylko że już prawie miesiąc, jak minął mój czas, rozumiesz, a ja się nie znam na tych sprawach, więc spytałam Annę, a ona mówi, że będę miała dziecko i że się musimy prędko pobrać. A potem poszła i powiedziała tatusiowi, papla jedna, a mnie nie chciało przejść przez gardło, że to nie ty, więc wszyscy myślą, że ty, rozumiesz... Tatuś mówi, że trudno, stało się, taka dzisiaj młodzież i w ogóle, i że musimy się pobrać. Myślałam, że nic ci nie powiem i nigdy się nie dowiesz, ale, rety, musiałam ci powiedzieć.

- Rany Jezusa! - jęknął Charlie. Popatrzył na różowy kwiecisty abażur z frędzelkami, osłaniający lampę na stole, na serwetkę z frędzelkami, na swoje buty, na dywan w róże. - Kto to był? - spytał.

- To się stało, kiedy byłeś w szpitalu, Charlie. Piliśmy masę piwa, a potem zabrał mnie do hotelu. Jestem złą dziewczyną i tyle. Szastał pieniędzmi na prawo i na lewo, woził mnie taksówką, byłam szalona. Tak, tak, jestem zepsuta do szpiku kości, Charlie. Chodziłam z nim dzień w dzień, jak byłeś w szpitalu.

- Jak Boga kocham, więc to jednak Ed.

Kiwnęła głową, po czym odwróciła twarz i rozplakała się na nowo.

- Bydlak parszywy! - powtórzył Charlie. Zwinęła się na kanapie, z twarzą w dłoniach.

- Do Chicago drapnął. Faktycznie, lepsze z niego ziółko.

Czuł, że musi wyjść na świeże powietrze. Wziął płaszcz i kapelusz i zaczął się ubierać. Teraz Emiska zerwała się i przypadła do niego. Jęła się tulić, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Wierz mi, Charlie, nie przestałam cię kochać ani na chwilę... Udawałam przed sobą, że to jesteś ty...

Pocałowała go w usta. Odepchnął ją, ale czuł się słaby i zmęczony. Pomyślał o powrocie lodowatymi ulicami do domu, o swoim zimnym pokoju z korytarza, pomyślał, co to w końcu zmieni, i rozebrał się z powrotem. Emiska całowała go, pieściła, a potem zamknęła drzwi na klucz i kochali się na kanapie. Pozwoliła mu na wszystko. Później zapaliła światło, obciągnęła sukienkę i podeszła do lustra poprawić włosy, on zaś zawiązał z powrotem krawat, Emiska przyglądała mu jak się dało włosy, po czym otworzyli bardzo ostrożnie drzwi z klucza i poszła zawołać ojca. Na twarzy miała wypieki i wyglądała znowu bardzo ładnie. Pan Svenson z Anną i wszystkimi dziewczętami byli w kuchni.

- Tatusiu, postanowiliśmy się pobrać z Charliem w przyszłym miesiącu - oznajmiła Emiska.

- Gratulujemy - powiedzieli wszyscy chórem, dziewczęta pocałowały Charliego jedna po drugiej, a pan Svenson otworzył butelkę whisky.

Wypili wszyscy za pomyślność, po czym Charlie poszedł do domu, czując się jak zбитy pies.

W warsztatach pracował razem z nim niejaki Hendriks, który wyglądał na diabło oblatanego, więc następnego dnia, podczas południowej przerwy, Charlie zapytał go, czy nie wie o jakimś środku dla dziewczyny. Hendriks odparł, że i owszem, ma receptę na specjalne proszki, jutro ją przyniesie, tylko żeby Charlie się nie wygadał przed aptekarzem, po co mu są potrzebne. Następnego dnia była wypłata i wieczorem, umywszy się po pracy, Hendriks zaszedł do Charliego zapytać, czy mu się udało z tymi proszkami. Charlie miał już gotową torebkę w kieszeni i postanowił nie iść tego dnia do szkoły, tylko zanieść proszki Emisce. Przedtem wstąpił z Hendriksem na róg napić się jednego. Nie lubił czystej whisky, więc Hendriks nauczył go zakrapiać piwem imbirowym. Smakowało to wyśmienicie. Charliego ogarnęła złość. Czuł się nieszczęśliwy, wcale nie miał ochoty iść do Emiski. Wypili jeszcze parę kolejek, po czym poszli i grali przez jakiś czas w kręgle. Charlie wygrał cztery z pięciu partii i Hendriks oświadczył, że od tej chwili on stawia.

Hendriks był barczystym rzyżym osobnikiem o piegowatej twarzy i krzywym nosie. Zaczął opowiadać zabawne historyjki o dziewczynkach i pochwalił się, że w ogóle ma szczęśliwą rękę do kobiet. Włóczył się dużo i miał Mulatki i Murzynki jak heban w Nowym Orleanie, Chinki w Seattle, czystej krwi indiańską squaw w Butte w Montanie, Francuzki i niemieckie Żydówki w Colon i przeszło dziewięćdziesięcioletnią Karaibkę w Port of Spain. Powiedział, że Dwójmiasto to trupiarnia

i że jak kto ma trochę oleju w głowie, to powinien zbierać manatki i jechać na pola naftowe w Tampico albo w Oklahomie, tam dopiero można zarobić i pożyć sobie jak człowiek. Charlie odrzekł, że rzuciłby Saint Paul bez chwili namysłu, gdyby nie kursy wieczorowe, które chce skończyć, Hendriks jednak uważał, że jest patentowanym durniem, książkowe mądrości jeszcze nikomu nie dały, i jeśli co warto, to się zabawić, póki człowiek ma siły, a potem niech wszystko diabli wezmą. Na to Charlie oświadczył, że jeśli o niego chodzi, to już teraz mogą wziąć.

Wstąpili do paru barów i Charlie, który pijał dotąd tylko piwo, zataczał się już trochę, ale za nic w świecie nie wyrzekłby się tej włóczęgi z Hendriksem od knajpy do knajpy. W jednej Hendriks odśpiewał *Z dobrego jestem domu*, w drugiej *Bękart króla Anglii* i jakiś starszy jegomość z czerwoną twarzą i cygarem w ustach postawił im kilka kolejek. Potem próbowali się dostać do tancbudy, ale wykidajło uznał, że są za bardzo pijani, i wyrzucił ich na zbitą twarz. Zrywając boki ze śmiechu, trafili do gabinetu za jakąś restauracją, którą Hendriks znał, gdzie były dwie dziewczyny, które również znał, i umówił się z nimi po dziesięć dolarów za noc. Wypili jeszcze kolejkę przed pójściem do dziewczyn i Hendriks zaśpiewał:

Raz kupcy dwaj przyjezdni w hotelu późnym wieczorem

Jedli dobrą kolację gawędząc z pijackim humorem

I gdy kelnerka ładna na tacy przyniosła im deser,

Uwagę nieprzystojną rzucili pod jej adresem.

- Komiczny z niego facet - powiedziała jedna dziewczyna do drugiej.

Ale tamta była już trochę wstawiona i uderzyła w płacz, kiedy Hendriks i Charlie zbliżyli głowy i zaśpiewali:

Z dobrego jestem domu i cenię swoje imię,

Jak wam, panowie, nie wstyd ubliżać bezbronnej dziewczynie!

Zamieszkałam w tym mieście, by z bratem drogim być razem,

I gdyby Jack to słyszał, nie uszłoby warn płazem.

Druga też już chlipała, ale szturchała pierwszą i mówiła:

- Wytrzyj oczy, kochanie. Robisz się sentymentalna.

Boki można było zrywać.

Przez następne kilka tygodni Charlie chodził nieszczęśliwy i nieswój. Proszki dały się Emisce bardzo we znaki, ale w końcu zrobiły swoje. Charlie nie bywał u niej teraz zbyt częstym gościem, chociaż ciągle jeszcze mówili o ślubie i Svensonowie traktowali go jak zięcia. Emiska gderała trochę, że pije i włóczy się z Hendriksem. Charlie zaniedbał szkołę wieczorową i rozglądał się za jakąś pracą, która by mu pozwoliła wyjechać, wszystko jedno dokąd. W końcu zepsuł tokarkę i majster go wylał. Kiedy powiedział o tym Emisce, rozzłościła się i oświadczyła, że najwyższy czas skończyć z tym piciem i włóceniem się nie wiadomo gdzie. Nie bardzo słuchając odparł, że

najwyższy czas rzucić wszystko w diabły, po czym wziął płaszcz i kapelusz i wyszedł. Idąc ulicą pluł sobie w brodę, że zapomniał ją poprosić o zwrot sygnetu, ale już nie wrócił.

W niedzielę poszedł na obiad do starego Vogla, nic jednak nie wspomniał, że stracił pracę. Był niespodziewanie gorący dzień wiosenny. Z bolącą głową, bo pił poprzedniego wieczoru z Hendriksem, włączył się przez całe rano oglądając krokusy i hiacynty w parkach, rozkwitające pąki w ogródkach. Nie wiedział, co ze sobą począć. Zalegał już tydzień z komornym, nie uczył się niczego, nie miał dziewczyny. Brała go ochota, żeby plunąć na wszystko, zaciągnąć się do wojska i wyruszyć na granicę meksykańską. Głowa mu pękała, w przedwczesnym upale z ledwością włókł nogi po bruku. Elegancy panowie i panie przejeżdżali ulicą w limuzynach i kabrioletach, jakiś chłopak przemknął na czerwonym motocyklu. Charlie pomyślał, że gdyby miał forszę, też by sobie kupił motocykl i wybrał się gdzieś na wycieczkę. Wczoraj wieczorem próbował namówić Hendriksa do wspólnego wyjazdu na Południe, ale okazało się, że Hendriks złapał właśnie spódniczkę, gorącą dzidzię, która mu daje noc w noc, jak powiedział, i ani mu się śni wyjeżdżać.

„Do diabła z tym wszystkim - myślał Charlie. - Chciałbym zobaczyć kawałek kraju.”

Był taki przegrany, że kiedy wszedł do garażu, Jim zapytał:

- Co się stało, Charlie?

- Ee, nic - odrzekł Charlie i zabrał się do czyszczenia części karburatora od ciężarówki mack, przy której Jim majstrował.

Szofer ciężarówki był młodym chłopakiem o krótkich czarnych włosach i ogorzałej twarzy, która przypadła Charliemu do gustu. Powiedział, że jedzie następnego dnia do Milwaukee z wyposażeniem sklepowym i szuka pomocnika.

- A mnie byś nie wziął? - spytał Charlie. Szofer zrobił zaskoczoną minę.

- To mój młodszy brat, Fred, na pewno będziesz z niego zadowolony... Ale, ale! A co z twoją pracą?

Charlie oblał się rumieńcem.

- Och, wymówiłem.

- Dobra, pójdziemy pogadać z szefem – powiedział szofer. - Jak on się zgodzi, to mnie w to graj.

Wyruszyli następnego dnia przed świtem. Charliego gryzło sumienie, że nie zapłacił gospodyni, ale zostawił na stoliku kartkę, że jej odeśle, co jest winien, jak tylko dostanie jakąś pracę. Przyjemnie było patrzeć, jak miasto ze swoimi młynami i elewatorami zbożowymi rozplywa się w szarym świetle wczesnego ranka. Droga prowadziła wzdłuż rzeki i urwisk, ciężarówka ryczała rozpryskując kałuże i wrzynając się w błotniste koleiny. Było chłodno, chociaż słońce przyjemnie przygrzewało, ilekroć wyszło zza chmur. Charlie i Fred przez cały czas opowiadali sobie o tym i owym, chociaż musieli krzyżeć, żeby się słyszeć.

Na noc dojechali do La Crosse. Zdążyli przed samym zamknięciem zamówić w garkuchni hamburgery i Charlie zauważył, że wpadł w oko kelnerce, której było na imię Helen i która pochodziła z Omaha. Miała koło trzydziestki i wielkie sińce pod oczami, co mu nasunęło myśl, że musi być łatwa. Kręcił się koło garkuchni, dopóki nie zamknęła, po czym wziął ją na spacer. Szli brzegiem rzeki, wiał ciepły wiatr niosący winny zapach tartaków, na niebie stał cienki księżyc przesłonięty puszystymi obłokami. Potem usiedli na młodej trawie, w cieniu suszących się sągów świeżo rżniętej tarcicy. Helen położyła mu głowę na ramieniu i nazwała go swoim chłopczykiem.

Kiedy Charlie wrócił, Fred spał na workach, owinięty w derkę. Charlie opatulił się płaszczem w drugim kącie ciężarówki. Zrobiło się zimno, skrzynie, na których leżał, gniotły go, ale był zmęczony, twarz go paliła od wiatru i po chwili zasnął.

Przed świtem ruszyli w dalszą drogę. Fred, pierwsza rzecz, zapytał:

- No, jak tam, bracie, ustrzelełeś ją?

Charlie roześmiał się i kiwnął głową. Był w świetnym humorze. Jakie to szczęście, pomyślał, że się wyrwał z Dwójmiasta, od Emiski i tego sukinsyna majstra. Świat leży przed nim otworem jak rozpostarta mapa, ciężarowy mack mknie środkiem, a przed nim mającą miasta, czeka na niego praca, dobre zarobki i przystojne dziewczyny gotowe go nazywać swoim chłopczykiem.

Nie zabawił długo w Milwaukee. W żadnym z garaży nie potrzebowali pomocnika, więc najął się jako pomywacz do jadalni. Była to nędzna brudna robota z długim dniem pracy. Dla oszczędności nie brał pokoju, tylko sypiał w ciężarówce w pewnym garażu, gdzie pracował kolega Jima. Miał zamiar wsiąść na pierwszy odpływający statek, kiedy dostanie tygodniówkę, ale wobblis nazwiskiem Monte Davis, który pracował razem z nim w jadalni, namówił wszystkich do strajku na znak solidarności z kampanią o wolność słowa, którą wobblisi prowadzili w mieście, i w rezultacie po tygodniu zmywania Charlie nie zobaczył ani centa i od półtora dnia nie miał nic w ustach, kiedy Fred wrócił swoim mackiem z nową partią towaru i zafundował mu wyżerkę. Potem pili piwo i kłócili się długo na temat strajków. Fred był zdania, że ta cała wobblisowska agitacja to jedna wielka bzdura i że policja dobrze by zrobiła, jakby przymknęła wszystkich wobblisów, Charlie natomiast uważał, że robociarze muszą trzymać sztamę, jeśli chcą wywalczyć lepsze warunki życia, i że zbliża się wielki przewrót, taki jak wojna o niepodległość Ameryki, tylko jeszcze większy, po którym nie będzie już panów, a robotnicy będą sami zarządzali przemysłem. Na to Fred oświadczył, że Charlie mówi jak jeden z tych cholernych cudzoziemców i że to wstyd, bo chyba musi przyznać, że wiara w indywidualną swobodę jest obowiązkiem każdego białego Amerykanina, a jak mu zalizą za skórę na jednej robocie, to przecież potrafi znaleźć drugą. Rozstali się źli na siebie, Fred miał jednak miękkie serce i pożyczył Charliemu pięć dolarów na bilet do Chicago.

Następnego dnia Charlie wsiadł na statek. Żółtawe topniejące kry pływały jeszcze po bladym

chłodnobłękitnym jeziorze, marszczonym tu i ówdzie białymi grzebieniami fal. Charlie, który nigdy nie płynął po takiej wielkiej wodzie, miał trochę mdłości. Mimo to czuł się szczęśliwy, gdy z fabrycznych dymów zaczęły się wylaniać kominy i długie kompleksy budynków, perłowe w promieniach słońca, a potem ujrzał falochrony i wielkie rudowęglowce sunące ciężko po błękitnej tafli i już wysiadał na nabrzeżu, gdzie wszystko było nowe, by po chwili zanurzyć się w tłumie, czekać ze sznurem samochodów i zielonożółtych autobusów na opuszczenie zwodzonego mostu na Michigan Avenue, i maszerować w porywistym wietrze, gapiąc się na błyszczące wystawy, przystojne dziewczyny i powiewające spódnice.

Jim podał mu nazwisko kolegi, który pracował na stacji obsługi Forda na Blue Island Avenue, ale było to tak daleko, że doszedłszy zastał już tylko kierownika, który kazał mu się zgłosić rano, obiecując pracę. Charlie nie miał gdzie iść, ale nie chciał się przyznać kierownikowi, że jest zupełnie goły, więc zostawił walizkę w garażu i włączył się przez całą noc. Parę razy zdrzemnął się chwilę na ławce w parku, ale zaraz budził się sztywny i przemarznięty do szpiku kości i musiał biegać w kółko dla rozgrzewki. Myślał, że noc się nigdy nie skończy, a rano nie miał nawet paru centów na filizankę kawy i pętał się godzinę pod stacją obsługi, nim ktoś się zjawił, żeby otworzyć.

Na stacji Forda pracował, dopóki pewnej niedzieli w parę tygodni później nie spotkał na North Clark Street Monte Davisa i nie poszedł z nim na mityng wobblisów przed Biblioteką Newberry'ego³⁹⁴. Policja rozpędziła mityng, a Charlie nie przysnął w porę i nim się połapał, na pół ogłuszony ciosem pałki, wylądował w wozie policyjnym. Noc spędził w celi z dwoma brodacami, którzy byli pijani w sztok i nie umieli słowa po angielsku. Następnego dnia zaprowadzono go na przesłuchanie do sędziego pokoju. Kiedy powiedział, że pracuje jako mechanik w garażu, gliny zadzwoniły na stację obsługi sprawdzić, i sędzia go zwolnił. Ale gdy się zjawił w garażu, kierownik oświadczył, że nie potrzebuje wobblisowskich obiboków i, wypłaciwszy mu należność, kazał się zabierać.

Charlie zastawił w lombardzie walizkę i odświętne ubranie, zawinął w węzełek kilka par skarpet i kilka koszul i wstąpił powiedzieć Monte Davisowi, że wybiera się autostopem do Saint Louis. Monte odrzekł, że w Evansville rozpoczęła się kampania o wolność słowa, więc i on chyba skoczy zobaczyć, jak sprawy stoją. Dojechali pociągiem do Joliet. Przechodząc koło więzienia Monte wyznał, że na widok mamra zawsze robi mu się niedobrze i ogarniają go złe przeczucia. Rozkrochmalił się zupełnie i powiedział, że teraz to już go chyba niedługo przyskrzynią, czuje to w

³⁹⁴ Biblioteka Newberry'ego - to bezpłatna biblioteka otworzona w 1887 roku w północnej dzielnicy Chicago z zapisu kupca Waltera Loomisa Newberry'ego (1804-1868), który przeznaczył na ten cel połowę swego majątku, co wyniosło 2150 000 dolarów. Newberry dorobił się na kupnie gruntów, których wartość w miarę rozbudowy miasta wzrastała częstokroć tysiąckrotnie lub więcej. Umarł na statku podczas podróży do Europy i kapitan zamiast zgodnie z tradycją pogrzebać go na morzu przywiózł jego zwłoki zakonserwowane w beczce z rumem, co stało się sensacją. Człowiek wielkiej inteligencji i ducha obywatelskiego, Newberry przyczynił się do powstania w Chicago wielu instytucji oświatowych i charytatywnych. Biblioteka jego imienia liczy dzisiaj około 1,4 miliona woluminów, 5 milionów manuskryptów i 60 tysięcy map. Słynie m.in. ze zbioru starych ksiąg, z których 1700 datuje się sprzed 1500 roku, rękopisów europejskich i orientalnych sięgających IX wieku, oryginalnych listów Kolumba, manuskryptów muzycznych

kościach, ale że na jego miejsce przyjdą inni. Monte Davis był chudym chłopakiem z Muscatine w stanie Iowa. Miał długi zakrzywiony nos i ziemistą cerę, jękał się i nie pamiętał czasów, kiedy nie musiał sprzedawać gazet albo pracować w fabryce guzików. Zaprzątało go wyłącznie IWW i rewolucja. Nawymyślał Charliemu od ciemnych ówoków, bo Charlie się śmiał, że wobblisi zwiewali, aż się kurzyło, kiedy policja rozpędzała mityng, i powiedział, że jako robotnik Charlie powinien być bardziej uświadomiony klasowo i brać sprawy poważniej. Na skraju Joliet wskoczyli na ciężarówkę, którą dojechali do Peorii, gdzie się rozstali, bo Charlie spotkał znajomego szofera z Chicago, który go zabrał aż do Saint Louis. Ale w Saint Louis sprawy nie wyglądały wcale tak różowo, ponadto Charlie wdał się w awanturę z przygadaną na Market Street prostytutką, która go próbowała okraść, skorzystał więc z informacji pewnego jegomościa, że w Louisville można łatwo dostać pracę, i ruszył na wschód. Nim dotarł do New Albany, zrobił się skwar jak diabli, w dodatku przez całą drogę nie miał szczęścia do okazji i ledwo powłóczył spuchniętymi, odparzonymi nogami. Stał długo na moście, patrząc w rwący, brunatny nurt Ohio, zbyt zmęczony, by iść dalej. Przerazała go myśl o uganianiu się za pracą. Rzeka była koloru piernikowego i nagle przypomniał sobie zapach pierniczków, które piekła Lizzie Green. Trzeba być skończonym idiotą, żeby się tak poniewierać po świecie, pomyślał. Znaleźć się teraz w domu, zaszyć w wysokiej trawie - oto czego pragnął. W tym momencie nadjechał rozklekotany ciężarowy ford z pękniętą dętką.

- Hej, kicha ci nawaliła! - wrzasnął Charlie.

Szofer zahamował ze zgrzytem. Był to barczysty mężczyzna o jajowatej głowie, ubrany w czerwony sweter.

- A tobie co do tego?

- Rany Jezusa, myślałem, że nie zauważyłeś.

- Ja zauważam wszystko, bracie. To już taki pechowy dzień dzisiaj. Podwieźć cię?

- Jasne - powiedział Charlie.

- Nie mogę parkować na moście... Takie pieskie szczęście przez calutki dzień. Wstałem ci, bracie, przed świtem, podjeżdżam, bo miałem wziąć cztery baryłki tytoniu, a tu ten cholerny czarnuch powiada, że zadział gdzieś klucz od magazynu. Jak Boga kocham, żeby miał spluwę, tobym zakatrupił sukinsyna.

Zatrzymał się za mostem i Charlie pomógł mu zmienić dętkę.

- Skąd jesteś, bracie? - zapytał szofer, prostując się, żeby otrzepać spodnie po skończonej robocie.

- Z Północnego Zachodu - odparł Charlie.

- Pewnie Szwed, co? Charlie się roześmiał.

- E, nie. Mechanik samochodowy jestem, szukam roboty.

- To ładuj się, bracie. Pogadamy ze starym Wigginsem, moim szefem, znaczy się. Może co z tego będzie.

Przez całe lato Charlie pracował w Warsztatach Reperacyjnych Wigginsa w Louisville. Wynajmował pokój do spółki z Włochem nazwiskiem Grassi, który uciekł do Ameryki przed służbą wojskową. Grassi dzień w dzień czytał gazety i drżał, że Stany Zjednoczone przystąpią do wojny. Wówczas, mówił, będzie musiał zwać za meksykańską granicę. Chociaż z przekonań anarchista, był spokojnym chłopcem i całe wieczory spędzał na schodkach przed domem, śpiewając półgłosem i akompaniując sobie na akordeonie. Opowiedział Charliemu o wielkich zakładach Fiata w Turynie, gdzie pracował, nauczył go jeść spaghetti, pić czerwone wino i grać na akordeonie *Funicu-li funicula*³⁹⁵. Ambicją jego życia było zostanie pilotem.

Charlie zbliżył się również z młodą Żydóweczką, która pracowała jako sortowaczka w składach tytoniu. Nazywała się Sara Cohen, ale kazała na siebie mówić Belle. Dostyc ją polubił, nie omieszkał jednak dać jej przezornie do zrozumienia, że nie ma zamiaru się żenić. Odparła, że jest radykalnych przekonań i wierzy w wolną miłość, co również nie bardzo mu odpowiadało. Brał ją na przedstawienia i na spacerzy do parku Cherokee, kupił jej broszkę z ametystem, gdy kiedyś wspomniała, że ametyst jest jej szczęśliwym kamieniem.

Jednakże ilekroć zaczynał się zastanawiać nad sobą, nachodziły go wątpliwości. Mija dzień za dniem, a on robi ciągle to samo, bez żadnych widoków na lepsze zarobki, na zdobycie jakiegoś wykształcenia, na obejrzenie kraju. Z nadejściem zimy ogarnął go niepokój. Upatrzył dwuosobowego otwartego fordka, który miał iść na szmelc, połatał go wybrakowanymi częściami zamiennymi, po czym namówił Grassiego na wspólną wyprawę do Nowego Orleanu. Mają trochę zaoszczędzonych pieniędzy na drogę, a tam znajdą sobie jakąś pracę i obejrzą Mardi Gras³⁹⁶. Po raz pierwszy od opuszczenia Saint Paul poczuł się naprawdę dobrze rozmokłego dnia styczniowego, kiedy wyruszyli z Louisville na południe, z pracującymi wszystkimi czterema cylindrami i stosem używanych opon zapasowych za plecami. Jechali przez Nashville, Birmingham i Mobile, ale drogi były okropne, auto wymagało ciągłych napraw, pod Guntersville o mały włos nie zamazali na śmierć podczas śnieżnej zadymki i musieli przerwać podróż na parę dni, tak że ich fundusze były na wyczerpaniu, kiedy wreszcie dotarli do Bay Saint Louis i tłukli się dalej wzdłuż wybrzeża, z błękitnym niebem nad głowami, w ciepłe słońca, wśród palm i bananów, które Grassiemu przypominały Il Vesuvio, La Bella Napoli i dziewczynę z Turynu, której już nigdy nie zobaczy z powodu tej cholernej wojny kapitalista. Dojechali do Nowego Orleanu z dolarem i pięcioma centami w kieszeniach i może

³⁹⁵ *Funiculi funicula* - to popularna włoska piosenka o dźwięcznie brzmiących słowach bez określonego znaczenia.

³⁹⁶ Mardi Gras (fr., dosłownie: Tłusty Wtorek) - to ostatni dzień przed wielkim postem, a także ostatni dzień karnawału obchodzonego hucznie w niektórych południowych stanach USA, a także w niektórych innych krajach chrześcijańskich. Do najgłośniejszych obok Nowego Orleanu w Luizjanie należą obchody karnawałowe w Nicei we Francji, w Kolonii w Niemczech i w Rio de Janeiro w Brazylii. W Nowym Orleanie, gdzie karnawał trwa parę tygodni, organizowane są z tej okazji m.in. parady uliczne z żywymi obrazami na platformach, pochody z pochodniami, pokazy i tańce uliczne, bale maskowe z oryginalnymi kostiumami.

kubkiem benzyny w baku, ale szczęśliwym trafem nawinął się czarny przedsiębiorca pogrzebowy i Charlie sprzedał mu za dwadzieścia pięć dolarów smętne resztki, które pozostały z wozu.

Wynajęli za trzy dolary tygodniowo pokój w domu niedaleko wałów przeciwpowodziowych. Gospodyni była Mulatką z Panamy, na galerii przed ich pokojem trzymała papugę. Słońce grzało w ramiona, kiedy wyszli na ulicę, i Grassi nie posiadał się ze szczęścia.

- Zupełnie jak w Italia - powtarzał.

Chodząc po mieście próbowali pytać o pracę, ale jakoś od nikogo nie mogli się dowiedzieć nic ponad to, że w przyszłym tygodniu jest Mardi Gras. Wlekli się Canal Street pełną Murzynów, Chińczyków, ładnych dziewcząt w jaskrawych sukienkach, macherów wyścigowych, wysokich starszych panów w jasnych letnich ubraniach. Wstąpili na piwo do otwartego od ulicy baru, ze stolikami wzdłuż chodnika i tłumem różnego pokroju mężczyzn pijących i palących cygara. Kiedy wyszli, Grassi kupił popołudniową gazetę. Zbladł i wskazał tytuł: „WOJNA Z NIEMCAMI WISI NA WŁOSKU”.

- Gdy Ameryka wypowiedzi wojnę, gliny aresztują wszystkich Italianów, posyłają ich bić się w Italia, kapujesz? Tak mówi mój przyjaciel, on pracuje w konsulacie, tak mówi, kapujesz? Ja nie pójdę bić się w ta guerra capitalista.

Charlie próbował z niego kpić, ale wyraz troski nie ustępował z twarzy Grassiego i gdy tylko się ściemniło, zostawił Charliego mówiąc, że wraca do chałupy spać. Charlie powłókł się ulicami sam. Od rafinerii cukru szedł ciepły zapach melasy, od czasu do czasu zalatywało skądś ogrodem, czosnkiem, pieprzem, smażoną oliwą. Wszędzie widać było kobiety - siedziały w barach, stały na rogach, wyglądały kusząco zza żaluzji w otwartych na oścież drzwiach i oknach - ale Charlie miał przy sobie dwadzieścia dolarów i bał się, że go mogą okraść, więc spacerował, póki się nie zmęczył, a potem wrócił do domu. Zastał Grassiego śpiącego z przykrytą głową.

Obudził się późno. Na galem przed oknem skrzeczała papuga, ciepłe słońce zaglądało do pokoju. Grassiego nie było. Charlie ubrał się i czesał właśnie włosy, kiedy Grassi wpadł podekscytowany. Zamustrował się jako pomocnik mechanika na frachtowiec odpływający w południe do Południowej Ameryki.

- Jadę do Buenos Aires. Do widzenia, koniec z wojną. A jak Argentyna wypowiedzi wojnę, do widzenia, jadę dalej.

Pocałował Charliego w usta, uparł się ofiarować mu na pamiątkę akordeon i ze łzami w oczach popędził na statek.

Zostawszy sam, Charlie obszedł całe miasto, rozpytujac się w garażach i warsztatach mechanicznych, czy przypadkiem nie mają pracy. Szerokie, pełne kurzu ulice zabudowane były jednakowymi niskimi domami z żaluzjami w oknach, odległości - olbrzymie. Charlie czuł się zmęczony, spocony i brudny. Ludzie byli, i owszem, wylewni, ale nikt jakoś nie wiedział o żadnej

pracy. Postanowił, że zostanie mimo wszystko na Mardi Gras, a potem wróci na północ. Mężczyźni, z którymi rozmawiał, radzili mu jechać na Florydę albo do Birmingham w Alabamie, albo do Memphis czy Little Rock, i wszyscy zgodnie twierdzili, że w Nowym Orleanie można się tylko zamustrować na statek, innej pracy nie ma. Dni wlokły się, długie, gorące i słoneczne, przesiąknięte zapachem melasy z rafinerii. Charlie spędzał długie godziny na czytaniu w bibliotece publicznej albo wylegiwał się na wałach przeciwpowodziowych obserwując, jak Murzyni rozładowują statki. Miał zbyt wiele czasu na medytacje i gryzł się myślą, co z sobą począć. W nocy źle spał, bo nie był zmęczony po dniu spędzonym na nieróbstwie.

Któregoś wieczoru usłyszał na Chartres Street dźwięki gitary dochodzące z knajpy, która nazywała się *Autentyczne Tripoli*. Wszedł i usiadł przy stoliku, zamówił coś do picia. Kelner był Chińczykiem. W mrocznym kącie sali tańczyły parki splecione jak w zapasach. Charlie zdecydował się odżałować piątaka, jeżeli za tę cenę przygrucha jakąś spódniczkę, i po chwili fundował zakrapianą kolację dziewczynie, która miała na imię Liz i powiedziała, że przez calutki dzień nic nie jadła. Zapytał ją o Mardi Gras, ale odparła, że to paskudny okres, gliny kładą na wszystkim łapę.

- Wczoraj wieczór zrobili obławę w porcie, wywieźli wszystkie panienki w górę rzeki.

- I co z nimi zrobili?

- Zawieźli do Memphis i puścili. W całym stanie nie ma więzienia, które by pomieściło wszystkie portowe dziewczynki.

Pośmiali się, wypili jeszcze po jednym, po czym poszli tańczyć. Charlie objął ją mocno. Była chuda, miała spiczaste piersi i szerokie biodra.

- Rany, dziewczyno, ale ty umiesz człowieka rozpalić - powiedział potańczywszy chwilę.

- To mój zawód robić chłopcom przyjemność. Podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła.

- Słuchaj, mała, ile ty bierzesz?

- Pięć kółek.

- Co ty, nie jestem milionerem... Zresztą postawiłem ci kolację.

- Dobrze, fundatorze, niech będzie trzy.

Wypili jeszcze po jednym. Charlie zauważył, że dziewczyna za każdym razem pije jakąś lemoniadę.

- Nigdy nie pijesz nic mocniejszego, Liz? - zapytał.

- Nie można pić w tym zawodzie. Ani bym się obejrzała, jakbym zaczęła dawać na piękne oczy.

Po sali kręcił się chwiejnie wielki pijany drab w brudnym podkoszulku, wyglądający na palacza okrętowego. Złapał Liz za rękę i oplótszy grubymi, tatuowanymi na niebiesko i czerwono ramionami, pociągnął do tańca. Charlie widział, jak jej poddziera i szarpie sukienkę.

- Puszczaj, skurczybyku jeden! - krzyczała Liz.

Rozzłościło to Charliego tak, że podszedł i odciągnął draba. Ten się odwrócił i zamachnął w jego stronę. Charlie dał nura i uskoczył na środek sali, z podniesionymi pięściami. Drab był pijany w sztok. Kiedy się zamachnął do następnego ciosu, Charlie podstawił mu nogę i tamten runął na twarz, przewracając stolik, a wraz z nim niskiego smagłego osobnika z czarnym wąsikiem. Smagły w mgnieniu oka poderwał się na nogi, z błyskiem wyciąganej maczety³⁹⁷. Chińczycy rozbiegli się na wszystkie strony, piszcząc jak stado mew. Właściciel, tęgi Hiszpan w fartuchu, wyszedł zza baru pokrzykując:

- Wynosić mi się stąd, wynosić się wszyscy!

Mężczyzna z maczetą ruszył w stronę Charliego. Ale nim doszło do czegokolwiek, Liz złapała go za rękaw i pociągnęła przez cuchnące latryny i jakiś pasaż do tylnego wyjścia.

- Masz źle w głowie, żeby się wdawać w bójkę o pierwszą lepszą kurwę? - syczała mu w ucho.

Znalazłszy się na ulicy, Charlie chciał wrócić po kapelusz i kurtkę. Liz mu nie pozwoliła.

- Odbiorę rano - powiedziała.

Ruszyli ulicą.

- Diabło porządna z ciebie dziewczyna, podobasz mi się - powiedział Charlie.

- Nie mógłbyś odżałować dziesiątki i zostać na całą noc?

- Rany, dziecko, mortus u mnie.

- To chyba będę cię musiała wyrzucić i poszukać sobie innego klienta. Tylko jednemu daję za darmo, ale ty nim nie jesteś.

Dobrze im było ze sobą. Siedzieli na brzegu łóżka i rozmawiali. Drobną Liz z wypiekami na twarzy wyglądała w różowej koszulce na swój sposób ładnie. Pokazała mu zdjęcie narzeczonego, który był drugim mechanikiem na tankowcu.

- Prawda, jaki przystojny? Nie pracuję, kiedy jest w mieście. A jaki silny... Potrafi zgnieść bicepsem orzecha pekanowego.

Pokazała na jego ramieniu miejsce, którym jej przyjaciel umiał zgnieść orzecha pekanowego.

- Skąd jesteś? - zapytał Charlie.

- Co cię to obchodzi?

- Musisz być z północy. Poznają po tym, jak mówisz.

- Jasne. Jestem z Iowy, ale nigdy tam nie wrócę. To cholerne życie, chłopczyku, nie zapominaj o tym. *W e s o ł e k o b i e t k i*, dobre sobie. Wydawało mi się w domu, że jestem klasa dziewczyna, aż pewnego dnia się obudziłam i stwierdziłam, że jestem zwykłą kurwą.

- Byłaś kiedy w Nowym Jorku? Potrząsnęła głową.

³⁹⁷ Maczeta (z hiszp. machete) - to duży, ciężki nóż z zakrzywioną klingą, używany w tropikalnych krajach Ameryki Południowej i Afryki do cięcia trzciny cukrowej, wyrąbywania ścieżek w dżungli i tym podobnych celów.

- Ale ostatecznie można żyć, trzeba się tylko wystrzegać alkoholu i alfonsów - powiedziała z namysłem.

- Chyba się zabiorę do Nowego Jorku zaraz po Mardi Gras. Jakoś nie mogę znaleźć pana w tym całym mieście.

- Niewiele ci z tego przyjdzie, jak nie masz forsy.

- Przyjechałem specjalnie na Mardi Gras w Nowym Orleanie, to już chyba zostanę.

Świtało, kiedy wychodził. Liz zeszła z nim na dół. Pocałował ją i obiecał jej te dziesięć dolarów, jeśli odbierze kapelusz i kurtkę. Kazała mu przyjść koło szóstej po południu, ale do niej do domu, broń Boże nie do *Tripoli*, bo ten Meksykanin to lepszy typek i na pewno będzie na niego czatował.

Ulice tonęły w błękitnej mgle po dachy starych domów ze stiukami i żelazną koronką balkonów. Tu i ówdzie kręciły się po podwórkach Mulatki w nakrapianych kolorowych chustkach. Na bazarze starzy Murzyni rozkładali owoce i warzywa. W domu zastał na galerii przed swoim pokojem Panamkę z bananem w wyciągniętej ręce, pokrzykującą skrzekhwym głosem:

- Ven³⁹⁸, Polly... Ven, Polly...

Na skraju dachu siedziała papuga, mrugając do niej szklanym okiem i rechocząc cicho.

- Ja tu cała noc - powiedziała Panamka z płaczkowym uśmiechem. - Polly no quiere³⁹⁹ iść.

Charlie wdrapał się po okiennicy i spróbował złapać ptaka, ale papuga podreptała boczkiem na szczyt dachu i skończyło się na tym, że strącił sobie na głowę dachówkę.

- No quiere iść - powtórzyła Panamka z żalem.

Szczerząc do niej zęby, Charlie schronił się do swego pokoju, gdzie padł na łóżko i natychmiast zasnął.

W Mardi Gras włóczył się po mieście, aż go rozboleły nogi. Wszędzie były tłumy, pełno świateł, pochody, żywe obrazy na platformach, orkiestry, dziewczęta w maskaradowych strojach. Bez trudu zawierał znajomości, ale nie na długo, bo każda dziewczyna, gdy się zorientowała, że jest goły, zaraz go zostawiała. Starał się wydawać pieniądze, jak mógł najwolniej. Kiedy zaczynał mu dokuczać głód, wstępował do jakiegoś baru, gdzie zamawiał piwo i zjadał ile się dało darmowych zakąsek.

Po Mardi Gras tłumy zaczęły rzednąć, a Charlie nie miał już pieniędzy nawet na piwo. Błąkał się głodny i nieszczęśliwy; zapach melasy, w połączeniu z zapachem absyntu dochodzącym z barów francuskiej dzielnicy i ciężką wilgocią powietrza, przyprawiał go o mdłości. Nie wiedział, co ze sobą począć. Przeraziła go myśl o ruszaniu znowu w drogę na piechotę czy przygodnymi ciężarówkami. Poszedł do biura Western Union i próbował nadać do Jima telegram za pobraniem,

³⁹⁸ Ven (hiszp.) - Chodź.

³⁹⁹ No quiere (hiszp.) - Nie chce.

ale urzędnik powiedział, że nie przyjmują za pobraniem telegramów z prośbą o pieniądze.

Panamska gospodyni wyrzuciła go, gdy nie zapłacił za następny tydzień z góry, i tak znalazł się na Esplanade Avenue z akordeonem Grassiego pod jedną pachą i paczką odzieży w gazecie pod drugą. Poszedł na wał przeciwpowodziowy i usiadłszy w słońcu na trawie, rozmyślał długo. Pozostało mu jedno z dwojga - rzucić się do rzeki albo zaciągnąć do wojska. Nagle przypomniał sobie o akordeonie. Taki akordeon wart jest kupę forsy. Zostawił zawiniątko pod jakimiś deskami i powlókł się z akordeonem od lombardu do lombardu. Ale nigdzie nie chcieli dać więcej niż piętnaście dolarów. Nim obszedł wszystkie lombardy i sklepy muzyczne, ściemniło się i sklepy pozamykano. Szedł chwiejnie chodnikiem, miał mdłości i był półprzytomny z głodu. Na rogu Canal i Rampart Street stanął. Z knajpy dochodził śpiew. Coś go tknęło, żeby wejść i zagrać *Funiculi funicula*. Może mu dadzą jakąś zakąskę i kufelek piwa.

Ledwo zaczął grać, wykidajło przesadził bar i byłby go wyrzucił, gdyby nie wysoki mężczyzna rozwalony przy jednym ze stolików, który jął na niego kiwać.

- Chodź tu, bratku, i siadaj.

Mężczyzna był barczysty, z długim złamanym nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi.

- Siadaj tutaj, bratku. Wykidajło wrócił za bar.

- Znasz się, bratku, na graniu jak kura na pieprzu. Ja tam jestem ciemny kmiotek z Okachobee City, ale jak bym miał tak rzępolić...

Charlie się roześmiał.

- Wiem, że nie umiem grać. Co prawda, to prawda. Mężczyzna z Florydy wyciągnął gruby plik banknotów.

- Wiesz, bratku, co zrobisz? Sprzedasz mi to cholerne pudło. Mogę sobie być ciemny kmiotek, ale rany Chrystusa...

- Hej, Doktorku, nie wygłupiaj się. Po kiego ci to pudło?

Koledzy próbowali go skłonić do schowania pieniędzy, ale Doktor ek uczynił ręką szeroki gest, zrzucając z trzaskiem trzy szklaneczki na podłogę.

- Będziecie, sępy, krakać, jak przyjdzie wasza kolej. Ile chcesz, bratku, za ten swój akordeon?

Wykidajło wyszedł znowu zza baru i stanął groźnie koło stołu.

- W porządku, Ben - powiedział Doktor ek. – Wujcio za wszystko zapłaci. Daj no jeszcze jedną kolejkę tej dobrej żytnióweczki. No, bratku, ile za niego chcesz?

- Pięćdziesiątkę - powiedział Charlie niewiele myśląc.

Doktor ek wręczył mu pięć dziesiątek. Charlie wychylił kieliszek, położył akordeon na stole i ulotnił się czym prędzej. Bał się zostać dłużej, żeby farmer nie wytrzeźwiał i nie odebrał mu

pieniędzy. No i chciał coś zjeść.

Następnego dnia opłacił przejazd do Nowego Jorku na międzypokładziu parowca *Momus*. Rzeka górowała nad miastem. Dziwnie było stać na rufie statku i patrzeć w dół, na dachy, ulice i tramwaje Nowego Orleanu. Kiedy parowiec odbił od nabrzeża, Charlie poczuł się lepiej. Znalazł czarnego stewarda i udało mu się dostać miejsce w nadbudówce. Wsuwając paczkę w gazetę pod poduszkę, rzucił okiem na dolną koję. Ubrany od stóp do głów, w popielatym letnim garniturze i słomkowym kapeluszu, spał na niej smacznie Doktor, z wypalonym cygarem w kąciку ust i akordeonem leżącym obok.

Minęli wały Eadsa⁴⁰⁰ i na twarzach czuli pierwsze morskie powiewy, a pod nogami pierwsze niepewne przechyły Zatoki Meksykańskiej, kiedy Doktor zataczając się wyszedł na pokład. Poznał Charliego i podszedł do mego, wyciągając wielką łapę.

- Niech ja zdechnę, jeśli to nie nasz muzykant. To dobry akordeon, chłopie. Myślałem, żeś mnie nabrał widząc takiego ciemnego kmiotka ze wsi, ale niech ja zdechnę, jeśli on niewart tych pieniędzy. Napijesz się ze mną?

Wrócili do kabiny i rozsiedli się na koi Doktor. Doktor otworzył butelkę bacardi⁴⁰¹ i po paru kolejkach Charlie powiedział mu, że nie miał złamanego centa przy duszy; gdyby nie te pięćdziesiąt dolarów, siedziałby pewnie do tej pory na wale przeciwpowodziowym. Co do niego, odparł Doktor, toby podróżował pierwszą klasą, gdyby nie te pięćdziesiąt dolarów. Oświadczył, że jedzie do Nowego Jorku zaciągnąć się do korpusu sanitarnego⁴⁰². Nie codziennie trafia się człowiekowi okazja zobaczenia takiej wielkiej wojny, więc się spieszy, zanim cały interes weźmie w łeb. Jakoś nie w smak mu była myśl, że miałby strzelać do białych, do których nie ma żadnej złości, więc sobie wykombinował, że to będzie najlepszy sposób; gdyby Szwaby były czarnuchami, no to co innego.

Charlie odrzekł, że jedzie do Nowego Jorku, bo w wielkim mieście muszą być możliwości kształcenia się; jest mechanikiem samochodowym, a chciałby zostać inżynierem albo czymś takim, bo bez wykształcenia nie ma żadnej przyszłości dla robociarza. Doktor jednak uważał, że to wszystko brednie, co taki młody człowiek jak on powinien zrobić, to pójść i zaciągnąć się do korpusu sanitarnego, jako mechanikowi będą mu płacić pięćdziesiąt dolarów na miesiąc, może nawet więcej, a to gruba forsa po tamtej stronie oceanu; no i zobaczyłby wojnę, zanim ten cały interes

⁴⁰⁰ Wały Eadsa (Eads Jetties) - to wysokie obwałowania, w jakie ujęte jest koryto rzeki Missisipi w Nowym Orleanie. Wybudowane w latach 1875-1879 w celu spiętrzenia wody tak, by prąd unosił muł i piasek, którymi rzeka się dławiała przy ujściu do Zatoki Meksykańskiej, spowodowały pogłębienie głównego koryta z 3 do 9 metrów i podniesienie lustra wód tak, że rzeka wydaje się górować nad miastem. Konstruktorem wałów był genialny inżynier budowli wodnych, James Buchanan Eads (1820-1887), wstawiony uprzednio m.in. oddanym do użytku w 1874 stalowym mostem przez Missisipi w Saint Louis, o przeszłach rozpiętości i wysokości wcześniej nie spotykanej.

⁴⁰¹ Bacardi -to marka wytrawnego rumu, wytwarzanego na wyspach Morza Karaibskiego.

⁴⁰² Amerykański Ochotniczy Korpus Sanitarny (American Volunteer Ambulance Corps) został utworzony przez osiadłego w Europie archeologa amerykańskiego Richarda Nortona (1872-1918) przy wydatnej pomocy paryskiego domu bankowego Morgana & Harjesa i działał we Francji i we Włoszech do roku 1917. Po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny został przejęty przez Amerykański Czerwony Krzyż, o czym jest mowa w Oku kamery (32)

weźmie w łeb. Doktorek nazywał się naprawdę William H. Rogers i pochodził z Michiganu, ale jego staruszkowi zachciało się hodowania grejpfrutów we Frostproof na Florydzie i dzięki temu, on, Doktorek, zgarnąwszy grubszą forszę na kilku, pomyślnych zbiorach warzyw z bagien Everglades, jedzie do Francji obejrzeć sobie madmazele, zanim ten cały cholerny interes weźmie w łeb.

Byli dobrze pijani, kiedy się ściemniło. Siedzieli na rufie z obdartym osobnikiem w dęciaku, który oznajmił, że pochodzi znad Bałtyku i jest Estończykiem. Po kolacji Estończyk, Doktorek i Charlie wgramolili się na mały mostek nad tylną nadbudówką. Wiatr ustał i była gwiazdzista noc z lekką chwiejbą.

- Rany boskie - powiedział Doktorek - coś dziwnego wyprawia się z tą łajbą. Przed kolacją Wielka Niedźwiedzica była na północy, a teraz przelazła na południowy zachód.

- Czego innego można się spodziewać po kapitalistycznym społeczeństwie - rzekł Estończyk.

A dowiedziawszy się, że Charlie ma czerwoną kartę, Doktorek zaś nie chce strzelać do nikogo prócz czarnuchów, palnął im dłuższą mówkę o rewolucji, która wybuchła w Rosji, o abdykacji cara i odrodzeniu ludzkości, które przyjdzie ze Wschodu. Oświadczył, że Estończycy odzyskają niepodległość i że niedługo cała Europa będzie stanowić wolne socjalistyczne Stany Zjednoczone pod Czerwonym Sztandarem.

- A co, może nie mówiłem? - powiedział Doktorek do Charliego. - Niedługo ten cały pieprzony interes weźmie w łeb. Musisz ze mną jechać, póki czas, jeśli chcesz zobaczyć tę wojnę.

Charlie przytaknął i Doktorek ciągnął:

- Pójdiesz ze mną, chłopie, wystarczy, żebyś im pokazał prawo jazdy i powiedział, że jesteś studentem.

Rozzłościło to Estończyka, który uważał, że obowiązkiem każdego uświadomionego klasowo robotnika jest odmowa udziału w wojnie.

- Ależ, Estuś, staruszkule, my wcale nie jedziemy się bić - powiedział Doktorek. - Będziemy tylko wyciągać rannych chłopców, zanim odwalą kitę, kapujesz? Byłbym niepokieszonym sukinsynem, gdyby ten cały interes wziął w łeb, nim dojedziemy, prawda, Charlie?

Potem dyskutowali jeszcze trochę, gdzie jest Wielka Niedźwiedzica, i Doktorek się upierał, że przelazła na południe, a skończywszy drugą butelkę, zaczął dowodzić, że nic dobrego nie może z tego wyjść, kiedy biali pukają do siebie zamiast strzelać do Murzynów, po czym ruszył na poszukiwanie tego cholernego czarnego stewarda, żeby go zakatrupić i pokazać wszystkim, że nie rzuca słów na wiatr. Estończyk śpiewał *Marsyliankę*, Charlie zaś opowiadał na prawo i lewo, że jeśli

czegoś pragnie, to zobaczyć wielką wojnę, zanim wszystko weźmie w łeb. Dobrze się musieli potem we dwóch namęczyć, żeby zapakować Doktorka do łóżka, a kiedy go wreszcie ułożyli, zrywał się co chwila z koi, wykrzykując, że musi zakatrupić paru czarnuchów.

Do Nowego Jorku dopłynęli podczas śnieżycy i Doktorak zauważył, że Statua Wolności wygląda, jakby była w nocnej koszuli. Estończyk rozglądał się nucąc *Marsyliankę*, po czym orzekł, że miastom amerykańskim brak artyzmu, bo domy nie mają szczytów jak w krajach bałtyckich.

Zszedłszy na ląd Doktorak zawiózł Charliego na Broadway do Central Hotelu. Charlie nie był nigdy w takim eleganckim miejscu i chciał sobie znaleźć tańszy nocleg, ale Doktorak powlókł go za sobą, mówiąc, że ma dosyć floty dla obydwu, zresztą co sobie żałować, kiedy i tak niedługo cały interes weźmie w łeb. Nowy Jork był pełen chrzęstu przełączanych biegów, warkotu aut, dudnienia kolei nadziemnej, krzyków gazeciarzy sprzedających dodatki nadzwyczajne. Doktorak pożyczył Charlieemu porządny garnitur i poszli do biura werbunkowego korpusu sanitarnego, które mieściło się w wielkim błyszczącym gmachu finansowej dzielnicy dolnego Manhattanu. Poważny nowojorski adwokat, który przyjmował w swojej kancelarii zapisy, palnął im mówkę o tym, że są ochotnikami i powinni się zachowywać jak dżentelmeni, żeby nie przynieść wstydu sprawie aliantów, fladze amerykańskiej i cywilizacji, za którą dzielni żołnierze francuscy biją się tyle lat w okopach. Dowiedziawszy się, że Charlie jest mechanikiem, zapisał go rezygnując z czekania na referencje szkoły i pastora kościoła luterańskiego w Fargo, na które Charlie się powołał. Posłał ich na badania lekarskie i szczepienia przeciwtyfusowe i kazał wpaść następnego dnia po wiadomość, kiedy będą mieli statek. Wychodząc z windy, natknęli się w błyszczącym marmurowym hallu na grupkę mężczyzn pochylonych nad gazetą - Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom. Wieczorem Charlie napisał do matki, że idzie na wojnę i prosi o pięćdziesiąt dolarów. Następnie poszedł z Doktorakiem obejrzeć miasto.

Na każdym budynku wisiały flagi. Mijali kwartał za kwartałem handlowej dzielnicy, rozpytując o Times Square. W pobliżu Czternastej Ulicy usłyszeli bicie w bęben i orkiestrę. Zatrzymali się na rogu, ciekawi, co to za pułk, ale okazało się, że to tylko Armia Zbawienia. Zanim doszli do Madison Square, zrobiła się pora obiadowa i ulice się wyludniły. Zaczęło mżyć, flagi na Broadwayu i Piątej Alei obwisły bezwładnie na drzewcach. Weszli do Hofbrau⁴⁰³ coś zjeść. Charlie uważał lokal za zbyt wykwinny, ale Doktorak oświadczył, że on funduje. Przy wejściu stał na drabinie mężczyzna i wkręcał żaróweczki w świetlną imitację flagi amerykańskiej. Wewnątrz restauracja była również udekorowana flagami, a orkiestra co drugi kawałek grała *Gwiazdzisty sztandar*, tak że raz po raz musieli wstawać.

- Co oni sobie właściwie wyobrażają? Że przyszliśmy ćwiczyć przysiady? - mrucał Doktorak.

Okrągły stolik w kącie zajmowało jakieś towarzystwo, które siedziało najspokojniej, rozmawiając i jedząc jakby nigdy nic, kiedy orkiestra grała *Gwiazdzisty sztandar*. Ludzie przy innych stolikach zaczęli na nich patrzeć i wymieniać uwagi.

- Założę się, że to Szwaby... Szpiedzy niemieccy... Pacyfiści...

Przy jednym ze stolików siedział w towarzystwie dziewczyny oficer piechoty, który czerwieniał cały na twarzy, ilekroć spojrział w ich stronę. W końcu podszedł do nich kelner, podstarzały Niemiec, coś szeptem powiedział

- Ani mi się śni - rozległ się głos od stolika w kącie.

Oficer piechoty nie wytrzymał i zerwał się, mówiąc coś o szacunku dla hymnu narodowego. Wrócił czerwieńszy, niż wstał. Był to niski mężczyzna o pałkowatych nogach, opiętych wypucowanymi do glansu sztylpami.

- Zasmarkani germanofile - prychnął siadając.

Ale zaraz musiał wstać, bo orkiestra zaczęła grać *Gwiazdzisty sztandar*.

- Dlaczego nie wezwiesz policji, Cyryl? - zapytała jego towarzysza.

Teraz ludzie podnosili się już w całej sali i podchodzili do okrągłego stolika. Doktorek obrócił się do Charliego na krześle.

- Kikuj dobrze - powiedział. - Będzie na co popatrzeć. Wysoki mężczyzna, cedzący po teksasku słowa, szarpnął jednego z siedzących za kołnierz.

- Wstawaj albo wynocha.

- Nie macie, ludzie, żadnego prawa czepiać się nas powiedział jeden z mężczyzn z brytyjskim akcentem.

- Wy wyrażacie swoją aprobatę wojny wstając, a my wyrażamy dezaprobatę nie...

Tęga kobieta w czerwonym kapeluszu z piórem, siedząca obok niego, powtarzała w kółko:

- Milcz, nie odzywaj się do nich.

Tymczasem orkiestra skończyła grać. Wszyscy zaczęli klaskać z całej siły i krzyżeć:

- Jeszcze raz, jeszcze raz.

Kelnerzy biegali nerwowo tam i z powrotem, właściciel stał pośrodku sali ocierając łysą głowę. Oficer podszedł do dyrygenta i powiedział:

- Prosimy o zagranie jeszcze raz hymnu narodowego.

Przy pierwszym takcie wyprostował się sztywno na baczność. Pozostali mężczyźni oblegali okrągły stolik. Doktorek tarosił się z jegomościem o brytyjskim akcencie. Zamierzył się do ciosu.

- Wyjdźmy na dwór, jak pan się chce bić – powtarzał napastowany.

- Dajcie spokój, chłopcy - dał się Doktorek. - Sam ich wyprowadzę po dwóch naraz.

⁴⁰³ Hofbrau (niem., właściwie: Hofbrau) - Piwiarnia dworska.

Stolik upadł i towarzystwo zaczęło się wycofywać do drzwi. Kobieta w czerwonym kapeluszu złapała salaterkę homarów w majonezie i powstrzymywała napastników, rzucając im garściami zawartość w twarz. W tym momencie zjawili się trzej policjanci i aresztowali cholernych pacyfistów. Wszyscy stali czyszcząc ubrania z majonezu. Orkiestra zagrała jeszcze raz *Gwiaździsty sztandar* i towarzystwo próbowało śpiewać, ale nie bardzo to wychodziło, bo nikt nie znał słów.

Po kolacji Doktorek i Charlie poszli do baru na whisky z kropelkami. Doktorek chciał popatrzeć na dziewczynki, więc zapytał barmana o jakąś rewie. Usłyszał to grubasek z flagą amerykańską w klapie i powiedział, że najlepsza rewia w Nowym Jorku jest u Minsky'ego na East Houston Street. Postawił im parę kolejek dowiedziawszy się, że jadą obejrzyć tę całą wojnę, ofiarował się zawieźć ich do Minsky'ego. Nazywa się Segal, informował, i był socjalistą do zatopienia *Lusitanii*, ale teraz uważa, że trzeba Niemcom przetrzepać solidnie skórę i zburzyć Berlin. Pracuje w branży odzieżowej i jest szczęśliwy, bo na dobrą sprawę ma już w kieszeni kontrakt na umundurowanie dla wojska.

- Trzeba było dopiero wojny, żeby z nas zrobić prawdziwych mężczyzn - powiedział bijąc się w piersi.

Wsiedli do taksówki i pojechali na dolny Manhattan. Ale music-hall był przepelniony, powiedziano im, że nie ma ani jednego wolnego krzesła.

- Miejsca stojące, niech to diabli. Ja chcę dziewczynek - oświadczył Doktorek.

Pan Segal zastanawiał się przez chwilę z przekrzywioną głową.

- Pojedziemy do Małych Węgier - zdecydował. Charlie czuł się zawiedziony. Liczył, że się zabawi w Nowym Jorku. Lepiej by zrobił idąc wcześniej do łóżka. W Małych Węgrzech roiło się od Niemek, Żydówek i Rosjanek. Wino w śmiesznych butelkach leżało na specjalnych podstawkach pośrodku każdego stołu. Pan Segal oznajmił, że odtąd on stawia. Orkiestra grała obce melodie. Doktorek był coraz bardziej pijany. Usiedli przy stoliku wciśniętym między inne stoliki. Charlie pokręcił się trochę po sali. Poprosił jakąś dziewczynę do tańca, ale odmówiła z sobie tylko wiadomych powodów.

Wobec tego wdał się przy barze w rozmowę z młodym osobnikiem o wąskiej twarzy, który właśnie wracał z mitingu antywojennego w Madison Square Garden. Nastawił baczniejsze ucha, kiedy młodzieniec powiedział, że w Nowym Jorku wybuchnie rewolucja, jeśli władze spróbują przeforsować pobór. Młody człowiek nazywał się Benny Compton i studiował prawo na Uniwersytecie Nowojorskim. Charlie przysiadł się z nim do stolika, który zajmował równie młody człowiek z Minnesoty, pracujący jako reporter w „New York Call”. Charlie zapytał ich, czy uważają za możliwe łączenie pracy ze studiami w szkole inżynierskiej. Był prawie zdecydowany wycofać się ze służby w korpusie sanitarnym. Ale tamci nie rokowali mu większych nadziei, jeśli nie ma oszczędności na początek. Młody człowiek z Minnesoty był zdania, że Nowy Jork to nie

miejsce dla biedaków.

- A diabli, to będę musiał iść na tę wojnę – powiedział Charlie.

- Obowiązkiem radykała jest iść raczej do więzienia - oświadczył Benny Compton. - Zresztą i tak będzie rewolucja. Klasa robotnicza nie zniesie tego długo.

- Jak kto chce zarobić trochę forsy, to najlepiej jechać do Bayonne, do fabryki zbrojeniowej - powiedział młodzieniec z Minnesoty.

- Kto pracuje w fabryce zbrojeniowej, jest zdrajcą swojej klasy - orzekł Benny Compton.

- Nie ma wyjścia dla biednego człowieka – powiedział Charlie. - Wcale mi się nie uśmiecha latać przez całe życie rozklekotane fordysie za siemdziesiąt pięć dolarów na miesiąc.

- Czyż Eugene Debs nie mówi: „Chcę rosnąć ze swoją klasą, nie wyrastać ponad nią”.

- A ty to co, Ben? Może nie kujesz dzień i noc, żeby zostać adwokatem i wyrwać się ze swojej klasy? – spytał młodzieniec z Minnesoty.

- Kuję, żeby być przydatnym w walce. Chcę się stać precyzyjnym narzędziem. W walce z kapitalistami musimy się posługiwać ich własną bronią.

- Ciekawym, co ja ze sobą pocznę, kiedy zawieszę „Call”⁴⁰⁴?

- Nie odważą się zawiesić.

- Na pewno się odważą. Przystąpiliśmy do wojny dla ratowania pożyczek Morgana. Skorzystają z tego, żeby się rozprawić z opozycją wewnętrzną. To równie pewne jak to, że się nazywam Johnson.

- Jak już o tym mowa, to mam pewne zakulisowe informacje. Moja siostra, kapujesz, jest stenotypistką. Pracuje u J. Warda Moorehouse’a, wiesz, tego radcy prasowego, co prowadzi kampanie propagandowe dla Morganów i Rockefellerów. Otóż siostra mówi, że przez cały ostatni rok facet współpracował z tajną misją francuską. Wielki kapitał umiera ze strachu, że we Francji może wybuchnąć rewolucja. Zapłacili dziesięć tysięcy dolarów za jego usługi. Facet prowadzi propagandę wojenną za pośrednictwem syndykatu prasowego. I to się nazywa wolny kraj.

- Mnie już nic nie zadziwi - powiedział młodzieniec z Minnesoty nalewając sobie resztkę wina z butelki. - Nawet jeśli któryś z nas trzech tutaj okaże się szpiclem albo szpiegiem.

Zamarli mierząc się nawzajem wzrokiem. Charliemu przebiegły ciarki po krzyżu.

- To właśnie miałem na myśli. Moja siostra, kapujesz, doskonale się orientuje pracując u tego typka. To jest spisek wielkich kapitalistów, Morgana i różnych innych, żeby zmusić robotników do posłuszeństwa, posyłając ich na wojnę. Jak cię wezmą do wojska, to już nie będziesz gardłował o swobodach obywatelskich i uprawnieniach konstytucyjnych. Mogą cię

⁴⁰⁴ „Call” - to skrót nazwy ukazującego się w Nowym Jorku dziennika powstałej w 1901 roku Socjalistycznej Partii Ameryki (Socialist Party of America), „Socialist Call” („Socjalistyczny Zew”). Dziennik został faktycznie zawieszony wkrótce po przystąpieniu USA do wojny i zaczął się na nowo ukazywać dopiero w 1934.

rozstrzelać bez sądu, kapujesz?

- To oburzające. Ludzie na Północnym Zachodzie nigdy do tego nie dopuszczą - powiedział młodzieniec z Minnesoty. - Ale, ale, pan przecież był tam nie tak dawno jak ja. La Follette jest wyrazicielem powszechnej opinii, prawda?

- Jasne - odrzekł Charlie.

- No, więc co, u diabła?

- To dla mnie za mądre - powiedział Charlie i zaczął się przepychać między zatłoczonymi stolikami, szukając Doktora.

Doktor był już zupełnie zalany i Charliego obleciał strach, że dalsza zabawa może pociągnąć za sobą nieprzewidziane koszty. Pożegnali się z panem Segalem, który poprosił na odchodnym, żeby ukatrupili na jego konto kupę Szwabów, i wyszli na Houston Street. Przy krawężniku stały ręczne wózki z latarniami, rzucającymi czerwony blask na twarze ludzi tłoczących się na chodniku w mrocznej mżawce. U wylotu szerokiej alei utknęli w ciżbie wylewającej się z teatru. Przed Kawiarnią Kosmopolityczną jakiś mężczyzna przemawiał stojąc na skrzynce po mydle. Wychodzący klębili się dokoła niego. Doktor i Charlie przepchali się zobaczyć, o co chodzi. Słyszeli tylko urywki zdań, które mężczyzna wykrzykiwał ochryłym, gardłowym głosem:

- Nie dalej niż parę dni temu słuchałem w Instytucie Coopera⁴⁰⁵ Eugene'a Debsa... „Czymże jest ta cywilizacja - mówił - ta demokracja, za której ocalenie panowie każą wam, robotnikom, oddawać życie? Czymże jest dla was, jeśli nie niewolniczą pracą za marne pieniądze? Czymże...”

- Te tam, bratku! Jak ci się tutaj nie podoba, to wracaj, skąd przyjechałeś - rozległy się głosy z tłumu.

- Wolność harowania, żeby panowie bogacili się na twojej pracy... Okazja do zdychania z głodu, jak cię wyrzucą z pracy...

Z tyłu popychano Doktora i Charliego. Mówca zachwiał się na skrzynce i zniknął. U wylotu alei falował zbity tłum. Doktor wdał się w bójkę z barczystym mężczyzną w kombinezonie, ale rozdzielił ich policjant grzmocący pałką na prawo i na lewo. Doktor zamierzył się i byłby wyrznął policjanta, gdyby Charlie nie złapał go za rękę i nie odciągnął.

- Na miłość boską, Doktoro, to jeszcze nie wojna. Doktor był cały czerwony na twarzy.

⁴⁰⁵ Instytut Coopera dla Krzewienia Nauki i Sztuki (Cooper Union for the Advancement of Science and Art) został wybudowany w 1859 roku na Lafayette Square z funduszy fabrykanta, przemysłowca i finansisty Petera Coopera (1791-1883), który pragnął zapewnić Nowemu Jorkowi bezpłatną szkołę wyższą i który osobiście, a później na mocy zapisu testamentowego do końca stulecia ją finansował. Instytut, pomyślany jako forum dla wolnej i nie skrupowanej dyskusji wszelkich kwestii publicznych oraz miejsce, gdzie mogliby zdobywać wykształcenie młodzi ludzie pracy bez względu na płeć, rasę i wiarę, prowadził początkowo przede wszystkim wieczorowe studia inżynierii i sztuki. Uzyskawszy dodatkowe dotacje, uruchomił w 1900 także studia dzienne i wydaje w szkole inżynierskie; dyplomy z zakresu inżynierii chemicznej, łądowej, elektrycznej i mechanicznej; a w szkole artystyczne; - z zakresu sztuki, sztuki dekoracyjnej; reklamy, rysunku przemysłowego, wzornictwa odzieżowego, architektury i architektury wnętrz. Ponadto prowadzi odczyty i kursy wieczorowe dla pracujących w zakresie nauk społecznych, ma 2 biblioteki, 2 muzea, sale wystawowe itp.

- Nie podobała mi się gęba tego faceta - powiedział.

Za pieszymi policjantami parły w tłum dwa auta patrolowe z potężnymi reflektorami. W ich białym blasku jak cienie podskakiwały głowy i kapelusze, szamotały się ramiona, podnosiły i opadały pięści i pałki policyjne. Charlie pociągnął Doktorka pod witrynę kawiarni.

- Hej, Doktorku, żebyśmy przypadkiem nie wylądowali w kiciu, bo statek nam ucieknie - szepnął mu w ucho.

- Czy to nie wszystko jedno? - odparł Doktorek. - I tak cały interes weźmie w łeb, nim dojedziemy.

- Dzisiaj robotniki wieją od glinów, niedługo gliny będą wiali od robotniki - krzyknął ktoś.

Ktoś inny zaintonował *Marsylianke*. Więcej głosów się przyłączyło. Doktorek i Charlie stali przyciśnięci ramionami do witryny. Za nimi kawiarnia była pełna twarzy pływających w kłębach błękitnego dymu jak ryby w akwarium. Nagle witryna się rozprysła. Ludzie w kawiarni zrywali się z miejsc.

- Uwaga, kozaki! - wrzasnął jakiś głos.

Do wylotu alei zbliżał się kordon policji, pusta przestrzeń za nim rosła. Z drugiej strony, z Houston Street, nacierała policja konna. Na oczyszczonym terenie stał wóz policyjny, do którego policjanci wpychali bez wyboru mężczyzn i kobiety. Doktorek z Charliem dali nura obok konnego policjanta, który z okropnym stukotem kłusował po chodniku pod samymi domami, i skręcili za róg. Na Bowery było pusto i ciemno. Ruszyli w stronę hotelu.

- Rany boskie - powiedział Charlie. - O mały włos byłbyś nas wpakował do ciupy. Chcę pojechać do Francji, jak już raz postanowiłem.

Tydzień później płynęli przez Cieśninę Nowojorską na pokładzie parowca Linii Francuskiej *Chicago*. Mieli kaca po wieczorne pożegnaniu, zapach statku przyprawiał ich o lekkie mdłości, w uszach brzmiały jeszcze dźwięki jazzbandu na nabrzeżu. Dzień był ponury, z niską czapą ołowianych chmur, zanosilo się na śnieg. Załoga była francuska, stewardzi także. Do pierwszego posiłku podano im wino. Chłopcy jadący wraz z nimi do korpusu sanitarnego zajmowali oddzielny stół.

Po obiedzie Doktorek poszedł do kajuty się przespać. Charlie, nie mając co robić, pałętał się po statku z rękami w kieszeniach. Na rufie zdejmowano brezentowy pokrowiec z siedemdziesięciopięciomilimetrowego działka. Obszedł dolny pokład, pełen beczek i skrzyń, i potykając się o zwoje grubych kosmatych lin, dotarł na dziób. Stał tam obserwator, mały różowy francuski majtek w czapce z czerwonym pomponem.

Morze szkliło się, tu i ówdzie upstrzone brudnymi falującymi plamami wodorostów i śmieci. Mewy siedziały na wodzie i pływających kawałkach drewna. Od czasu do czasu któraś rozpościerała leniwie skrzydła i odlatywała krzycząc. Rozłożysty dziób statku żłobił dwie równe bruzdy w gęstej

szkstozielonej wodzie.

Charlie spróbował zagadnąć obserwatora. Wskazał przed siebie.

- Wschód - powiedział. - Francja.

Obserwator nie zwracał na niego uwagi. Charlie wskazał zasnuty dymami zachód.

- Zachód - powiedział i postukał się w pierś. – Mój dom, Fargo, Północna Dakota.

Ale obserwator potrząsnął głową i przyłożył palec do ust.

- Francja daleko na wschodzie... Łodzie podwodne... Wojna - powiedział Charlie.

Obserwator położył dłoń na ustach i Charlie wreszcie zrozumiał, że majtkowi nie wolno rozmawiać.

OD TŁUMACZA

„Uważam Johna Dos Passosa za największego pisarza naszych czasów” - oświadczył Jean-Paul Sartre⁴⁰⁶ w rok po ukazaniu się w jednolitym, poprawionym i uzupełnionym wydaniu trylogii *USA*.

Chociaż minęło od tej pory sześćdziesiąt lat, jego wypowiedź nie straciła swego ciężaru gatunkowego, gdyż z perspektywy końca wieku widać tym wyraźniej, że spośród wielu wspaniałych autorów amerykańskich naszego stulecia właśnie John Dos Passos dał najpełniejszy wyraz swojej epoce. Żaden z pisarzy jego pokolenia - i kto wie, czy tylko w Ameryce - nie stworzył tak szerokiego, tak wnikliwego i tak przejmującego obrazu życia swego kraju na początku XX wieku. Trylogia *USA* pozostanie na trwałe nie tylko szczytowym osiągnięciem w twórczości jej autora, ale jednym z wielkich osiągnięć literatury amerykańskiej w ogóle.

John Dos Passos ma w swoim dorobku ponad czterdzieści tomów - poezje, powieści, sztuki, eseje, opracowania historyczne, reportaże. Obok trylogii *USA*, na język polski zostały przełożone dwie powieści - *Trzej żołnierze* (*Three Soldiers*, 1921), jedna z kilkunastu ważnych pacyfistycznych powieści o pierwszej wojnie światowej; oraz *Manhattan Transfer* (1925), kronika życia Nowego Jorku w zaraniu stulecia, najwybitniejsze obok trylogii dzieło pisarza. Obie te powieści stanowią niejako preludium do trylogii *USA*, bogatszego, w pełni dojrzałego przetworzenia tych samych doświadczeń, w którym miejsce Nowego Jorku z *Manhattan Transfer* zajmuje panorama całego olbrzymiego kontynentu amerykańskiego na przestrzeni trzydziestu lat, od początków nowego wieku do wielkiego kryzysu.

Poszczególne tomy trylogii ukazywały się w kilkuletnich odstępach jako osobne powieści - *Czterdziesty drugi równoleżnik* (*The Forty-second Parallel*) w 1930, *Rok 1919* (1919) w 1932, *Ciężkie pieniądze* (*The Big Money*) w 1936 - kontynuowały jednak historie życia tych samych fikcyjnych bohaterów i realizowały ten sam nowatorski zamysł kompozycyjny. Pierwszy tom opowiadał o latach przed wielką wojną, drugi o wojnie, trzeci o latach powojennych. Wydane razem w 1937 roku pod wspólnym tytułem *USA*, zaopatrzone w piękny poetycki prolog i epilog, pozwoliły krytykom i

⁴⁰⁶ Jean-Paul Sartre A propos de John Dos Passos, 1938.

czytelnikom docenić w pełni wielkość i nowatorstwo pisarstwa Dos Passosa.

John Dos Passos należał do generacji pisarzy, którzy do literatury weszli z frontów pierwszej wojny światowej, generacji nazywanej później zagubionym pokoleniem, *lost generation*. Był o pół roku starszy od Francisa Scotta Fitzgeralda, o półtora roku od Williama Faulknera, o dwa i pół roku od Ernesta Hemingwaya. Urodził się 14 stycznia 1896 roku w chicagowskim hotelu jako nieślubny syn adwokata Johna Randolpha Dos Passosa i ziemianki z Południa, Lucy Madison, z domu Spogg. Jego dziad Manoel Dos Passos był szewcem, który, zamieszany w jakąś rozprawę nożową, musiał się ratować ucieczką z portugalskiej Madery do Ameryki; ojciec doszedł o własnych siłach do pozycji wziętego obrońcy karnego, później radcy prawnego wielkich firm i organizatora kilku korporacji. Miał prawowitą żonę i bał się skandalu, który mógłby go pozbawić praktyki zawodowej i w konsekwencji środków do utrzymania dwóch rodzin, tak więc z ukochaną spotykał się przeważnie w podróży, często za granicą, w Anglii, Belgii, Meksyku. Małego Johna wychowywała matka, ojciec pojawiał się w jego życiu sporadycznie. Wrażliwy, zamknięty, krótkowzroczny chłopiec nie miał nigdy normalnego domu. Dzieciństwo upłynęło mu na wędrówkach, miesiącami mieszkał w hotelach, internatach, u rodziny matki w Waszyngtonie. Jeszcze studiując w latach 1912-1916 na Uniwersytecie Harvarda w Cambridge pod Bostonem, występował pod nazwiskiem matki z jej pierwszego małżeństwa, jako John Roderigo Madison.

Na uniwersytecie znalazł bardzo żywe środowisko intelektualne, zaczął dużo pisać, drukował w pismach studenckich. W roku 1915, na rok przed otrzymaniem dyplomu, dowiedział się o śmierci matki. W półtora roku później, w Hiszpanii, dokąd pojechał studiować architekturę, ale przede wszystkim pisał i chłonał kulturę iberyjską, zaskoczyła go śmierć ojca. Wróciwszy do Stanów, wyzwolony spod rodzicielskiej kurateli, uczynił krok, którego próbował już rok wcześniej, bezskutecznie wobec ojcowskiego sprzeciwu - zaciągnął się do Ochotniczego Korpusu Sanitarnego Nortona-Harjesa. Został wysłany do Francji, później trafił do Włoch, gdy po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny Korpus został przejęty przez Amerykański Czerwony Krzyż. Za niesubordynację i wypowiedzi antywojenne, które cenzor odkrył w jego listach, został karnie odtransportowany do Ameryki, gdzie zgłosił się wkrótce ochotniczo do wojska. Przerzucony ponownie do Francji, już po zawieszeniu broni, służył jeszcze przez parę miesięcy jako szeregowiec Korpusu Sanitarnego Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych.

Po demobilizacji pozostał po europejskiej stronie Atlantyku aż do roku 1922; kończył w Hiszpanii i Portugalii pisać powieść rozpoczętą jeszcze we Francji podczas wojny, podróżował po Azji Mniejszej, przejechał z amerykańską misją Pomocy dla Bliskiego Wschodu pozostające w stanie wojny domowej południowe rejony późniejszego Związku Sowieckiego. Powrócił do Stanów już jako autor wydanych rok przedtem i szeroko dyskutowanych *Trzech żołnierzy*, jednej z najwcześniejszych powieści antywojennych tej epoki, poprzedzonej tylko przez francuski *Ogień* Henri Barbusse'a.

Takie były „lata wędrówek i nauki” Johna Dos Passosa. Złożyły się na nie w znacznej mierze doświadczenia wspólne całej jego generacji, „zagubionemu pokoleniu” Amerykanów. Co sprawiło, że Dos Passos wyniósł z nich coś więcej od jałowego rozgoryczenia wielu swoich rówieśników, że nie przybrał pozy dwudziestoparoletnich cyników, tak świetnie uchwyconej przez Hemingwaya w powieści *Słońce też wschodzi*.

Na pewno nie bez znaczenia była tu jego bardzo szczególna biografia, decydująca o wcześniejszej od innych dojrzałości. Nie trudno sobie wyobrazić wrażliwego chłopca, wstydliwie ukrywanego w ekskluzywnych hotelach i internatach, pogardliwie przezywanego przez widzących jego inność kolegów Francuzikiem, dotkliwie odczuwającego swoją fałszywą sytuację rodzinną, nie należącego na pełnych prawach ani do patriarchalnego ziemiańskiego środowiska matki ani do nowobogackiego burżuazyjnego środowiska ojca. Co więcej, chłopiec lubi czytać i obdarzony jest nieprzeciętną ciekawością świata i ludzi, a przerzucany z miejsca na miejsce i ze środowiska w środowisko ma nieporównanie więcej od swoich rówieśników możliwości obserwacji. Rychło spostrzega podział świata na dobrze i źle widzianych, posiadających i wydziedziczonych - i instynktownie solidaryzuje się z tymi drugimi.

A jest to epoka wielkich wstrząsów, gwałtownej industrializacji i powstawania wszechmocnych monopolii, krzyczącej nędzy i bezwstydnego zbytku, brutalnego ucisku i rozpaczliwych prób obrony. W 1912, kiedy Dos Passos wstępuje na uniwersytet, Boston podzielony jest na dwa obozy potężnym strajkiem w Lawrence, pobliskim mieście fabryk włókienniczych, i raz po raz rozchodzą się wieści o gwałtach policji i straży fabrycznej. Oddalając się coraz bardziej od konserwatywnego światopoglądu swego ojca, przyszły pisarz nie potrafi się jeszcze wyzwolić spod wpływu jego ekspansywnej indywidualności czy też może unika konfrontacji ze względu na spokój wiecznie chorującej matki. Lecz oto przychodzi śmierć rodziców, a zaraz potem doświadczenia wojny z jej okrutną logiką dławienia praw ludzkich. Wracając do Stanów Zjednoczonych w cztery lata po zakończeniu wojny, Dos Passos ma wykrystalizowaną zasadniczą problematykę swojej twórczości - losy jednostki we wrogich trybach mechanizmów społecznych, miażdżących indywidualności i bakierujących żywoty Amerykanów w XX stuleciu.

Tak więc nadrzędną pasją przenikającą trylogię *USA* jest protest przeciwko niesprawiedliwości, solidarność z krzywdzonymi i poniżanymi. Ale obok pasji społecznej uderza w powieści również pasja sensualna i pasja intelektualna. Pasja postrzegania i pasja rozumienia. Obserwacji i interpretacji. Utrwalania biegu wydarzeń i wyciągania z nich wniosków. I to między innymi sprawia, że *USA* stanowi tak przykuwającą lekturę.

John Dos Passos jest fanatykiem prawdy. Dbą, by życiorysy jego bohaterów były charakterystyczne dla czasu, miejsca, środowiska, które mają za tło; by każdy szczegół topograficzny, chronologiczny i psychologiczny był prawdziwy. Liczy się zarówno stosunek bohatera do

przełomowych wydarzeń epoki, jak i drobne akcesoria jego pozycji w społeczeństwie. Chwilowa zamożność proletariusza Maca wyrazi się posiadaniem jednodolarowego zegarka marki Ingersoll; stabilizacja J. Warda Moorehouse'a na odpowiedzialnym i dobrze płatnym stanowisku zapisze się kupnem kabrioletu marki Stutz i nauką gry w golfa. Dla sentymentalnej Janey Williams wojna to „walka o demokratyczny świat”, jak głosi prasa; dla jej brata Joego, który tę wojnę zna z bliska, to „jedna wielka granda”.

Powziąwszy zamysł stworzenia powieściowej historii społeczeństwa amerykańskiego na przestrzeni trzydziestu lat, John Dos Passos stanął przed dwoma problemami. Pierwszy to znalezienie złotego środka pomiędzy obiektywizmem dokumentalisty, który chce opowiedzieć historii swoich czasów, a subiektywnym zaangażowaniem człowieka, który sam w tej epoce żyje i nie może ani nie chce pozostać wobec niej obojętnym. Drugi to po prostu *embarras de richesse*, problem, jak w jednej, nawet trytomowej powieści zawrzeć materiał, którego ogrom porównać można chyba tylko z kilkudziesięcioma tomami *Komedii ludzkiej* Balzaca. Rozwiązanie obu problemów znalazł Dos Passos w oryginalnej kompozycji opartej na kilku technicznych innowacjach, które stały się jedną z większych sensacji literackich lat trzydziestych, a później były wielokrotnie powielane i modyfikowane przez młodszych autorów.

Oczywiście rozpoczęła się dyskusja, w jakiej mierze innowacje te są wynalazkiem Dos Passosa, a w jakiej zostały zapożyczone. Ich pomysł wywodzono z amerykańskiej tradycji niemal o dwie dekady wcześniejszych opowiadań Sherwooda Andersona z tomu *Miasteczko Winesburg* oraz poetyckich epitafiów Edgara Lee Mastersa z tomu *Umarli ze Spoon River*. Zastanawiano się, jaki wpływ na technikę Dos Passosa wywarła sztuka filmowa. Podkreślano, że *USA* nie mogłoby powstać, gdyby nie było *Ulissesa* Joyce'a. Wskazywano na powinowactwa trylogii z modnym w tym okresie w Europie gatunkiem powieści rzeki. We wszystkim tym kryła się częśćka prawdy. Ale prawdą jest również, że nikt przed Dos Passosem nie zastosował podobnego arsenału środków formalnych dla stworzenia równie szerokiej epickiej panoramy życia narodu.

Zasadniczą treść trylogii *USA* stanowią pisane stylem beznamiętnej relacji historie życia dwunastu fikcyjnych postaci, wywodzących się z różnych obszarów geograficznych i sfer społecznych kontynentu amerykańskiego. Dla nadania szerszej perspektywy historycznej i emocjonalnej ich dziejom Dos Passos wprowadził między rozdziały właściwej narracji trzy rodzaje krótkich rozdziałów - przerywników - Kroniki, Biografie i Oko kamery.

Kronik jest w trylogii sześćdziesiąt osiem. Stanowią one montaż nagłówków gazetowych, fragmentów artykułów prasowych i wypowiedzi publicznych, sprawozdań i dyskusji, reklam i przebojów. Funkcja Kronik jest oczywiście dokumentalna - odtworzenie wydarzeń i atmosfery lat, w których rozgrywa się akcja, zatrzymanie uciekającego czasu. Ułożone są z grubsza chronologicznie, komponowane jednak w pewne zamknięte całości, podkreślające logikę rozwoju wypadków, co

niekiedy narusza lekko chronologię. Zresztą im dalej, tym kompozycja Kronik staje się luźniejsza, bardziej bezładna, tak jak coraz bardziej chaotyczne i gorączkowe staje się życie epoki. Kronika I odnosi się do roku 1900 - oficjalne osobistości dufnymi przechwałkami witają nowe stulecie, głównodowodzący przyjmuje defiladę wojskową, oddziały amerykańskie tłumią powstanie na Filipinach, aktorka wzbudza zgorszenie skąpym strojem. Ostatnia Kronika LXVIII odnosi się do roku 1929 - na giełdzie pojawiają się pierwsze niepokojące oznaki nadchodzącego kryzysu, prezydent zapowiada rychły nawrót koniunktury i otwiera rezerwat dzikich ptaków, policja walczy ze strajkującymi, gangsterzy za pośrednictwem agencji artystycznych prowadzą handel żywym towarem. Wydarzenia wielkie i małe, epokowe i ulotne. Wojny i rewolucje, strajki i masakry, procesy polityczne i kryminalne, sensacje i mody, dzieła sztuki i wynalazki, debaty w Kongresie i notowania giełdowe, przesady i obyczaje. Pulsowanie czasu.

Drugim elementem kompozycji powieściowej poszerzającym tło historyczne są Biografie dwudziestu sześciu wybitnych Amerykanów, którzy zapisali się trwale w historii kraju, oraz dwu jej bezimiennych statystów, anonimowego Trampa i Nieznanego Żołnierza. Te biografie nie mają już bezosobowego tonu Kronik. Pisane ekspresywnymi, poetyckimi skrótami, wyrażają stosunek autora do bohatera i do roli, jaką on i jemu podobni odegrali w kształtowaniu epoki. Jedne są utrzymane w tonacji mniej czy bardziej patetycznej, inne w ironicznej czy wręcz sarkastycznej. Lecz patetyczne czy sarkastyczne, wszystkie zaprawione są goryczą. Tyle zmarnowanego, nie w pełni lub na opak wykorzystanego talentu, zapału, odwagi, wysiłku - zdaje się mówić Dos Passos.

Najliczniejsze są biografie bojowników o prawa obywatelskie, poczynając od radykalnych działaczy różnych odcieni (Eugene Debs, William Haywood, Joe Hill, Wesley Everett), poprzez liberalnych polityków (William Bryan, Robert La Follette) aż po rewolucyjnych czy liberalnych pisarzy i myślicieli (John Reed, Randolph Bourne, Paxton Hibben, Thornstein Veblen). Na przeciwnym krańcu mamy biografie wielkich kapitalistów (Minor Keith, Andrew Carnegie, John Pierpont Morgan, Henry Ford, William Hearst i Samuel Insull). Pomiędzy tymi dwoma biegunami - bojowników o sprawiedliwość społeczną i kapitalistów zbijających mniej czy bardziej niegodziwymi sposobami miliony - manewrują prezydenci Theodore Roosevelt i Woodrow Wilson. Na uboczu od walk politycznych stoją pozostałe wybitne postacie epoki, zwykle zresztą szermierze przełomowych idei w swojej dziedzinie, jak przyrodnik Luther Burbank, twórcy nowoczesnej elektrotechniki Thomas Alva Edison i Charles Stemmetz, inicjator naukowej organizacji pracy Frederick Taylor, pionierzy lotnictwa bracia Wilbur i Orville Wright, architekt Frank Lloyd Wright, tancerka Isadora Duncan, aktor filmowy Rudolf Valentino.

O ile zadaniem Kronik i Biografii jest poszerzenie perspektyw historycznych trylogii, o tyle rozdziały Oko kamery służą pogłębieniu jej wymiarów emocjonalnych i intelektualnych, nadają jej intymne odautorskie zabarwienie. Jest tych rozdziałów pięćdziesiąt jeden. Mają formę urywków

luźnego strumienia świadomości, pisanego również lekko poetyckim stylem, zupełnie jednak odmiennym od stylu biografii wielkich Amerykanów. Ich bohaterem jest sam autor, relacjonujący strzępy własnej biografii. Mówi o sobie przeważnie w pierwszej, rzadziej w drugiej osobie; niekiedy jednak określa siebie słowami, jakimi się do niego zwracano, per „mały”, per „Jack”, per „Francuzik”, i wtedy przechodzi do narracji w trzeciej osobie. Można z tych migawkowych zbliżeń poznać niektóre ważne momenty jego życia, zapisane we wrażliwej pamięci. W sumie stanowią one rodzaj duchowej biografii pisarza, poczynając od wspomnienia małego chłopca jeszcze z okresu wojny burskiej na przełomie stuleci, kończąc na wspomnieniu dojrzałego reportera z odbytej w 1931 roku wyprawy na tereny hrabstwa Harlan w Kentucky, widownię tragicznego strajku górników.

Wspomnienia z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości ograniczają się w zasadzie do reakcji emocjonalnych na zapamiętane zdarzenia i widziane miejsca, z często pojawiającymi się u boku chłopca osobami rodziców, ojcem, który występuje jako On (zawsze wielką literą) bądź czasem także jako Jack, i matką, która występuje jako Ona (również wielką literą) albo Lucy. Z biegiem lat, w miarę dochodzenia autora do dojrzałości, reakcje emocjonalne stają się często wypadkową przemyśleń i krystalizujących się poglądów, a niekiedy po prostu namiętym autorskim komentarzem do fabularnej części powieści.

Niezależnie od swojej magii artystycznej rozdziały Oko kamery mają jeszcze jeden niebagatelny walor: pozwalają niekiedy śledzić dzieło Dos Passosa niejako *in statu nascendi* - wówczas mianowicie, gdy w losach fikcyjnych bohaterów odnajdujemy literacko przetworzone fragmenty biografii samego pisarza. Dotyczy to głównie, ale nie tylko, bostońskiego epizodu życia Mary French w trzecim tomie trylogii oraz całego wojennego okresu życia Richarda Savage'a w drugim tomie. Dla bliższego przyjrzenia się fascynującemu procesowi przetwarzania materiału autobiograficznego w literaturę może czytelnik sięgnąć do przypisów tłumacza na końcu książki, gdzie znajdzie informacje o prawdziwych wydarzeniach, z których zrodziły się niektóre rozdziały Oko kamery.

Ilekolwiek rzetelnego arcyzmu mieści się w tych interludiach trojakiemu rodzajowi, to jednak największa siła arcydzieła Dos Passosa leży w historiach życia fikcyjnych bohaterów, opowiedzianych na tak poszerzonym i pogłębionym tle. Biegną te historie równoległe, przeplatane Kronikami, Biografiami i Okami kamery. Jest tych fikcyjnych bohaterów w trylogii dwunastu (drugoplanowych nikt chyba nie próbował liczyć). W *42. równoleżniku*⁴⁰⁷ poznajemy ich pięcioro:

⁴⁰⁷ Tytuł *42. równoleżnik* zaczerpnął Dos Passos z podręcznika E.W. Hodginsa *Klimatologia Ameryki (American Climatology, 1865)*, z którego cytatem posłużył się jako mottem do pierwszego wydania powieści w 1930 roku. Motto to, które w późniejszych wydaniach powieści zostało zastąpione rozdziałikiem wstępnym zatytułowanym tak jak cała trylogia *USA*, brzmiało następująco:

„Te powszechne zaburzenia były przedmiotem nie kończących się dociekań amerykańskich meteorologów i wiele wysiłku włożono w rozliczne hipotezy co do praw nimi rządzących. Niektóre z tych praw, w szczególności odnoszące się do ich cech zewnętrznych oraz ogólnego kierunku przemieszczania, można uważać za ostatecznie

robotnika-rewolucjonistę Feniana McCreary, zwanego Makiem, urzędniczkę Janey Williams, założyciela wielkiej agencji reklamowo-propagandowej J. Warda Moorehouse'a, estetyzującą właścicielkę firmy dekoracyjnej Eleonorę Stoddard oraz mechanika samochodowego Charliego Andersona. Spośród pięciorga bohaterów *Roku 1919* troje to postacie drugoplanowe tomu poprzedniego: przyjaciółka Eleonory, Ewelina Hutchins; brat Janey, marynarz Joe Williams; oraz brat Gladys, koleżanki Janey Williams, Zyd rewolucjonista Ben Compton. Dwie nowe postacie to późniejszy współpracownik i następca Moorehouse'a, Richard Ellsworth Savage; oraz panna z zamożnej południowej rodziny, Anne Elizabeth Taylor, zwana Dzidką. W *Ciężkich pieniądzach* mamy tylko czworo bohaterów, przy czym dwóch znamy już z poprzednich tomów: Charliego Andersona, który robi tutaj wielką karierę konstruktora lotniczego, oraz Richarda Savage'a. Obok nich pojawiają się: działaczka społeczna Mary French i aktoreczka Margo Dowling, która wybija się na gwiazdę filmu niemego.

Oto dwunastka bohaterów, których dzieje tworzą w sumie powieściową historię społeczeństwa. Każdy z nich pojawia się, by za chwilę ustąpić miejsca drugiemu, po jakimś czasie powraca, przechodzi z pierwszego planu na drugi, z drugiego na pierwszy, z głównego aktora własnego losu przemienia się w statystę cudzego. Każdy, we własnym zyciorysie, ukazany jest ze swojego punktu widzenia, bez żadnego komentarza, przy czym autor tak dalece identyfikuje się z nim, że w ramach ogólnie kolokwialnego codziennego języka wszystkich narracji przyjmuje jego słownictwo, sposób wyrażania się, styl. Ta bezstronność jest oczywiście pozorna, bo za chwilę ten sam bohater, oglądany z perspektywy innego zyciorysu, okaże się innym człowiekiem. Aż powoli zaokrągli i zobiektywizuje się jego portret. Zresztą i w ramach jednej narracji nie może być mowy o całkowitej bezstronności. Sądem o bohaterze jest już zyciorys, w jaki autor go wyposażył, proces przemian, jakim go poddaje. Jedynymi ciepłymi, względnie pogodnymi epizodami wszystkich historii jest dzieciństwo, później życie każdej z postaci przemienia się w pasmo niepowodzeń, zawodów, upokorzeń, cierpień, i to bez względu na to, czy bohater ulega rozkładowi moralnemu, czy też krzepnie wewnątrz. Rozpatrywana od tej strony trylogia *USA* jest po prostu powieścią o erozyjnym działaniu czasu na człowieka. Dni, miesiące, lata biegną szybko, gorączkowo, nieubłagane. Zwykłe wydarzenia codzienności, jakie przeżywa bohater wciśnięty w schemat swego losu, stają się stopniowo sprawą życia. Już w samym wypunktowaniu tej nieuchronności losu człowieczego jest coś przejmująco tragicznego.

ustalone; charakterystyczne przejawy tak rzucały się w oczy i powtarzały z taką częstotliwością, że nawet na podstawie najbardziej niedoskonałych obserwacji nie sposób było nie wyciągnąć pewnych wniosków. [...] Pokróćce, burze te trzymają się trzech dróg albo szlaków od Gór Skalistych do Oceanu Atlantyckiego, przy czym główny z tych szlaków odpowiada z grubsza 42. równoleżnikowi szerokości geograficznej; wszystkie zjawiska przemieszczają się na wschód z szybkością w żadnym przypadku nie mniejszą niż dwadzieścia mil na godzinę, a w okresie silnych wiatrów i w zimie zazwyczaj dochodzą do trzydziestu lub czterdziestu mil”.

Jednakże *USA* to powieść o losach ludzkich w konkretnym miejscu i czasie. O społeczeństwie, które wkraczało w nowe stulecie z nadzieją na lepsze jutro, by po trzydziestu latach stwierdzić, że nadzieje spełzły na niczym. A właściwie o dwu różnych warstwach tego społeczeństwa, uciskających i uciskanych. Ta linia podziału jest jedną z głównych zasad organizujących cały materiał powieściowy i wytyczających losy bohaterów Dos Passosa. Ogniskową wczesnie rozpoczętej edukacji społecznej pisarza była w 1927 roku dramatyczna sprawa Sacco i Vanzettiego. Końcowe partie trylogii, w których Dos Passos opisuje udział fikcyjnej Mary French w akcji na rzecz niewinnie skazanych, oparte są na przeżyciach samego autora. Stracenie Sacco i Vanzettiego, którym nie udowodniono zarzucanego mordu rabunkowego i których skazano właściwie tylko dlatego, że byli imigrantami i anarchistami, stanowiło policzek dla amerykańskich humanistów i odbiło się szerokim echem w świecie. Dla Dos Passosa było dodatkowo sygnałem, jak dalece zagrożona jest amerykańska demokracja. Formułuje to dobitnie w kulminacyjnym *Oku kamery* (50):

rozpędzili nas pałkami są silniejsi są bogaci kupują i sprzedają polityków redaktorów starych sędziów małych ludzi na stanowiskach rektorów piesków partyjnych (słuchajcie biznesmeni rektorzy sędziowie Ameryka nie zapomni swoich zdrajców) opłacają ludzi z karabinami zonglują mundurami wozami policyjnymi karetkami więziennymi

w porządku zwyciężyliście...

Ameryka nasza ojczyzna została podbita przez obcych którzy przenieśli nasz język przywłaszczyli sobie czyste słowa naszych ojców i splugawili je zmieszali z błotem...

w porządku należymy do dwu różnych narodów

O każdym bohaterze Dos Passosa wiemy, do którego z tych „dwu różnych narodów” należy. Oczywiście sprawa nie jest ujęta w żaden schemat. O owej przynależności decyduje me tyle szczebel zajmowany na drabinie społecznej, co wybór, którego każdy musi dokonać na własny rachunek. Dokonuje takiego wyboru radykał Mac decydując się na wygodny żywot sklepikarza w Meksyku; i dokonuje go panienska z dobrego domu Mary French podejmując wbrew wszelkim niedogodnościom karierę działaczki społecznej. Nie trzeba być wcale wielkim kapitalistą, by wejść do klasy posiadaczy jak Mac, ani czynnym rewolucjonistą, by zachować solidarność z klasą wyzyskiwanych jak Joe Williams.

Ale istotny najgłębszy tragizm *USA* to już nawet nie ten ogólnoludzki tragizm przemijania ani tragizm społeczeństwa podzielonego na „dwa różne narody”, lecz nieuchronna klęska każdego losu ludzkiego bez względu na dokonany wybór. W Ameryce i w ogóle w świecie XX wieku - zdaje się mówić Dos Passos - nic nie kończy się spełnieniem. Schemat klęski życiowej przystaje do każdego. Do wielkich Amerykanów z rozdziałów biograficznych, do fikcyjnych bohaterów, w pewnej mierze nawet do autora z *Oka kamery*. Przystaje, choć oczywiście w inny sposób, do postaci negatywnych i do postaci pozytywnych.

Przystaje do tych, którzy robią karierę, i do tych, którym to się nie udaje lub którzy nie mają zamiaru tego próbować. Bo sukces życiowy w tym okrutnym i głupim świecie, modlącym się do fałszywych bogów, uzyskuje się tylko za cenę kompromisu, jeśli nie łajdactwa, za cenę zaprzeczenia indywidualności i sumienia. Oczywiście na dłuższą metę nikomu nie przynosi taki sukces zadowolenia, na każdym prędzej czy później się mści. Zresztą i o taki sukces niełatwo. Większości bohaterów Dos Passosa życie przynosi gorzkie załamanie istotnych dążeń i nadziei. Odnosi się to w najbardziej uderzający sposób do bohaterów pozytywnych, tych, którzy próbują walczyć o lepszy świat. Dos Passos realista nie mógł im dać satysfakcji, której im poskąpiła historia. Lecz im właśnie przyznał zwycięstwo moralne. Nie darmo książkę zamyka scena, w której pokonana, odarta ze złudzeń i nadziei Mary French się otrząsa, by powrócić do bezinteresownej pracy dla najbardziej krzywdzonych.

Takie jest przesłanie ideowe i artystyczne trylogii *USA*. Ale John Dos Passos żył i pisał jeszcze przez długie lata po jej ukończeniu. Umarł w roku 1970. I oczywiście nie mógł się w dalszej twórczości nie ustosunkować do tego, co historia przyniosła później. Musiała ona radykalnie wpłynąć na przemianę jego światopoglądu. Zresztą już w trzecim tomie trylogii, *Ciężkich pieniądzech*, pojawiły się wyraźne akcenty krytyki doktrynerskiej lewicowości. Warto może dodać, że akcenty te stawały pod znakiem zapytania ukazanie się tego tomu w komunistycznej Polsce (wyszedł dopiero w 1990). Również nie od razu ówczesna cenzura puściła *Kronikę XXXI* z drugiego tomu, *Roku 1919*, która jest w całości relacją z egzekucji rosyjskiej rodziny carskiej przez bolszewików w 1918 roku.

Powieściowym rozrachunkiem Dos Passosa ze złudzeniami młodości są wydane w 1939 roku *Przygody młodego człowieka* (*Adventures of a Young Man*). Pisarz opowiada tu historię ideowego działacza buntującego się przeciwko polityce komunistycznych przywódców, którzy zdominowali amerykańskie związki zawodowe; jedzie on w końcu do Hiszpanii, by wziąć udział w wojnie domowej w obronie Republiki, lecz i tam dosięgnie go zemsta za odstępstwo od linii partyjnej - zostanie wysłany na akcję, która się równa wyrokowi śmierci. *Przygody młodego człowieka* zostały później włączone jako pierwszy tom do drugiej trylogii Dos Passosa, która otrzymała tytuł *District of Columbia* (Dystrykt Columbia, a więc wydzielony okręg rządowy ze stolicą Waszyngtonem). Drugi tom tej nowej trylogii, *Number One* (*Numer pierwszy*, 1943), jest powieściowym portretem faszystującego dyktatora południowego stanu, opartym na prawdziwej historii gubernatora Luizjany, Huey Longa. (Inną fabularyzacją życiorysu tego samego demagoga będzie w 1946 powieść Roberta Penna Warrena *All the King's Men*, przełożona na język polski pt. *Gubernator*.) W trzecim tomie swojej nowej trylogii, *Grand Design* (*Wielki plan*, 1949), Dos Passos poddaje z kolei krytyce biurokrację i hipokryzję, w jakich ugrzęzła polityka reform społecznych sformułowana przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta w jego doktrynie Nowego Ładu.

Wyczulony na niedoskonałości demokracji, przyjrząwszy się jako korespondent wojenny z

bliska zbrodniom totalitaryzmów, czerwonego i brunatnego (był m.in. korespondentem na procesie norymberskim), Dos Passos pisze równoległe z utworami fabularnymi serię prac eseistycznych, w których próbuje wskazać remedium na choroby XX wieku. Dopatruje się go w powrocie do idei, jakie przyświecały narodzinom demokracji amerykańskiej u schyłku XVIII i na początku XIX stulecia, do koncepcji tzw. Ojców Założycieli Stanów Zjednoczonych, głównie Thomasa Jeffersona. Tak powstaje cykl szkiców historycznych, który pisarz zapoczątkował w 1941 roku tomem *The Ground We Stand On* (*Grunt, na jakim stoimy*). Późniejsze ważne tomy tego cyklu to *The Head and Heart of Thomas Jefferson* (*Głowa i serce Thomasa Jeffersona*, 1954), *The Men Who Made the Nation* (*Mężowie, którzy stworzyli naród*, 1957), *Prospect of a Golden Age* (*Widoki Wieku Złotego*, 1959) i *Shackles of Power: Three Jeffersonian Decades* (*Okowy władzy: trzy dekady Jeffersonowskie*, 1966). Innym opracowaniem historycznym będzie *Mr. Wilson's War* (*Wojna pana Wilsona*, 1962), monografia prezydentury Woodrowa Wilsona, za której rozgrywa się znaczna część historii opowiedzianej w trylogii *USA*.

W 1961 roku Dos Passos opublikował powieść *Midcentury* (*Półwiecze*), która okazała się jego największym osiągnięciem od czasu trylogii *USA*. Stosując rozmaite techniki pisarskie jak w tamtej trylogii, autor podsumował tutaj doświadczenie amerykańskie połowy stulecia. W ostatnich miesiącach życia kończył jeszcze jedną dokumentalną powieść, *Century's Ebb* (*Odplyw stulecia*), w której zdołał doprowadzić sfabularyzowaną historię XX wieku do lądowania na Księżycu w 1969 roku. Powieść ta, wydana w rok po śmierci autora, stanowi ostatnie przesłanie Dos Passosa, przesłanie „zawiedzonego moralisty”. W rozmowie z jednym z przyjaciół nazwał tę książkę swoją „ostatnią niepocieszoną Kroniką Rozpaczy” („last forlorn Chronicle of Despair”).

Ale pisarz realista, jakim był Dos Passos, nie może być do końca pesymistą ani do końca optymistą. Z czasem, dzięki swojej wyjątkowej intuicji, bogatym doświadczeniom i wszechstronnej wiedzy, widzi coraz bardziej jasno całą złożoność świata.

Ktokolwiek pragnie zrozumieć Amerykę XX wieku z punktu widzenia losów jednostki i niepowtarzalnych społecznych, politycznych i duchowych wzlotów i załamania kraju winien bezwarunkowo sięgnąć po trylogię *USA*, arcydzieło jednego z wielkich pisarzy amerykańskich.